



KRAINA
MIŁOŚCI
I ZATRACENIA

Tiphonie Yanique



Tiphane Yanique

**KRAINA
MIŁOŚCI
I ZATRACENIA**

PRZEŁOŻYŁA
Monika Skowron



WOLNOŚĆ

Największym niebezpieczeństwem

żeglugi po Wyspach Dziewiczych

– jeśli nie po całych Karaibach –

była i jest Anegada.

– David A. Melford



1.

Owen Arthur Bradshaw przyglądał się małej dziewczynce zaplątanej w koronkę i jedwab. Zamieszał ciepłym rumem w szklance i wsłuchał się w szum wiatru.

Burza szalejąca na zewnątrz to nie huragan. Zaledwie tropikalny wiatr. W końcu nadeszła pora burzowa. Błyskawice wdzierały się do środka domostw, nie zważając na ciężkie, drewniane okiennice, zamknięte, ale niezaryglowane. Przez zbudowane z morskich kamieni ściany przenikały grzmoty. Nikt nie stał na deszczu, na zewnątrz nie było żywej duszy. Tego należało unikać.

Koronkę i jedwab przywiózł ze sobą z Ameryki pewien naukowiec. Wszyscy zgromadzili się w domu pana Lovernkrandta, znanego duńskiego przedsiębiorcy. Dania dała sobie spokój z Indianami Zachodnimi, zaczęła je więc wykupywać Ameryka, ale Lovernkrandt nigdzie się nie wybierał. Badacz właśnie krępował dziewczę. Przeprowadzał doświadczenie, które na Starym Kontynencie odeszło już w niepamięć – eksperyment z prądem. Drobną dziewczynką była bardzo piękna. I bardzo mała. Oraz bardzo przestraszona. Ale przy tym niezwykle odważna.

Kapitan Bradshaw pomyślał o swojej córce, Eeonie, wcale nie tak bardzo różniącej się od tej amerykańskiej dziewczynki. Tyle że Eeona była o wiele piękniejsza. I przynajmniej tak samo odważna.

Zgromadzone towarzystwo, tak na oko kapitana Owena Arthura Bradshawa, składało się po części z mieszkańców Afryki Zachodniej przywiezionych na wyspy siłą w charakterze niewolników oraz ludności Afryki Zachodniej, która przybyła tu z własnej woli, by zaoferować usługi złotnicze. Inni to Europejczycy, przestępcy wydaleny z kontynentu z wilczym biletem, oraz Europejki, kobiety o błękitnej krwi płynącej w arystokratycznych żyłach, które przybyły na wyspy w poszukiwaniu przygód. Rodowód niektórych zebranych sięgał dalekich ziem Azji. Część Azjatów trafiła tu w roli służących – ci planowali powrócić do swoich Indii. Pozostali chcieli jedynie sprawdzić, czy zachodnie krańce Indii rzeczywiście istnieją. Byli też Karaibowie, ci siedzieli cicho jak myszy pod miotłą, plotąc koszyki po wioskach i knując, jak wyciąć w pień całą resztę i odzyskać ziemię, którą ich Bóg nadał im tysiącletnie temu.

Owen Arthur z dołu drabiny społecznej wspiał się na wyżyny prestiżu i bogactwa. Został kapitanem i właścicielem statku handlowego. A teraz zasiadał pośród ważnych osobistości w salonie i poprzez mglistą lunę kaganka przypatrywał się, jak koronki i jedwabie unoszą dziewczynę ponad ziemię i zawieszają ją na haku pod sufitem. Dziewuszką szarpnęło, gdy naukowiec ją podciągnął. Jej ciało drgnęło i zawisła parę stóp nad podłogą, nie wydobywszy z siebie ani jednego dźwięku. Owen Arthur Bradshaw nie był pewien, jak długo zdoła jeszcze na to patrzeć. Jednak obecność na tym spotkaniu to dla niego rzecz nieodzowna.

Gospodarz, pan Lovernkrandt, produkował rum, a Owen Arthur od zawsze frachtował ów trunek. Wraz z nadejściem Amerykanów miała zapanować prohibicja, więc Owen Arthur musiał mieć gwarancję, że weźmie udział w każdym bezalkoholowym przedsięwzięciu Lovernkrandta.

Owen Arthur chwycił między kciuk i palec wskazujący płatek ucha i potarł go. W jego głowie powinny pozostawać jedynie myśli o sukcesie i osiągniętej wypłacalności, ale nie mógł się powstrzymać, żeby nie patrzeć na amerykańską dziewczynkę z ojcowską tkliwością. To małe dziewczę miało blade lico i blond włosy, podczas gdy córeczka Owena, Eeona, miała cerę barwy miodu i fryzurę niczym wzburzony ocean. A jednak on wciąż patrzył na tę przedziwną drobną dziewczynkę tak, jakby widział w niej własne dziecko. Od pasa w górę pragnął, by okazało się, że to on spłodził tę malutką dziewczuszkę. Była śliczną, złocistą istotką. Od pasa w dół pragnął jej samej. Ile mogła mieć lat?

Przytknął usta do szklanicy i przechylił ją, aż ciepła słodycz dotknęła jego warg. „Ona mnie przeżyje” – szepnął w duchu. Ale kogo miał na myśli, mówiąc „ona”? Może żonę, która właśnie w tym momencie siedziała w domu i oddawała się robótkom ręcznym, do czego Bóg najwyraźniej ją stworzył. A może na myśl przyszła mu jego kochanka, która w tamtej chwili, zamknięta w czterech ścianach, grała na otrzymanym od niego pianinie, tworząc muzykę, którą tylko Bóg albo sam diabeł mógł pobłogosławić. Być może wyobraził sobie swoją córkę, którą kochał równie mocno, jak siebie samego. A może po prostu jego myśli zaprzętała ta mała dziewczynka, do której uczony przytraczał teraz metalowe przewody. To wątle dziewczę w pewien sposób było dla niego tymi wszystkimi kobietami, tak jak wszystkie kobiety mogą przypominać pewnemu typowi mężczyzny jedną i tę samą niewiastę.

Owen Arthur miał rację. Wszystkie one go przeżyją. I nie mógł znieść myśli o tym, że jego kobiety będą trwać nawet po nim. Jak wszyscy rodzice miał pewność, że jego córka będzie żyć wiecznie, ponieważ – ogólnie rzecz biorąc – rodzic w większości przypadków umiera pierwszy. Ale Owen nie umrze ze starości. Owen umrze z miłości. Duńskie Indie Zachodnie staną się Wyspami Dziewiczymi Stanów Zjednoczonych i wówczas on – patriarcha – zginie. A może to jedno i to samo.

– Spójrzcie. – Amerykanin mówi z dziwnym akcentem. Wręcza dziewczynce szklaną kulę i szepcze: – Nie upuść tego, bo w przeciwnym razie czeka cię kara.

A ona nie skinie nawet głową, żeby pokazać, iż słyszała. Bierze jedynie szklaną kulę w obie dłonie. I wtedy dzieje się pierwszy cud: włosy stają jej dęba. Burza za oknem poczyna wyc.

„Chryste, zlituj się” – brzmiały szepty chrześcijan. Żydzi i muzułmanie, którzy na wyspie znaleźli schronienie, mamroczą pod nosem: *O, Gotenu* i *Allahu Akbar*. Zgadza się, Ameryka przyniesie nam postęp. Ów postęp odbywa się na naszych

oczach.

Szpon błyskawicy wdziera się przez okno, jakby straszło. Owen Arthur widzi, jak włosy dziewczyny unoszą się do sufitu i sterczą ku górze niczym orkiestra trąb anielskich.

Och, jakież historie opowiedzą ci ludzie o tej nocy. Jak przejaskrawią część zdarzeń, pomijając inne. Jak raz po raz będą ponownie powoływać tę noc do życia, niektórzy po arabsku, duńsku, angielsku czy w jidysz, inni językiem Karaibów, który przewodniki dla turystów nazwą „kreolskim”. Opowieść stanie się bardziej prawdziwa niż noc sama w sobie, ponieważ opowieść przetrwa, podczas gdy ta noc burzy wkrótce dobiegnie końca. My zaś spisujemy owe wypadki tutaj, by zapamiętano je na wieki.

Owen Arthur myśli o swojej pierworodnej. To jego jedyne dziecko, które przeżyło. Jego Eeona o miodowej skórze. Jej włosy żyją własnym życiem. Sam je czesał i zaplatał w warkocze, więc wie, że mógłby zgubić się w ich gąszczu. Wybierał resztki jej włosów ze szczotki i własnoręcznie je palił, by nikt nie mógł ich ukraść i rzucić na nią klątwy. Owen nie należy do zbyt owłosionych, nie zapuścił nawet bokobrodów, tak popularnych wśród mężczyzn tamtej epoki i miejsca. Jego córka na głowie ma włosy wprost olśniewające, ale wszędzie indziej jest gładka.

Eeona jest tak piękna, że wielu nazywa ją niepokalaną i marzy przy niej o dziewiczych pagórkach. Albo woła na nią „Nieskalana” i myśli o czystych, rozległych przestworach oceanu. Lub obdarza ją przymiotnikami takimi jak „nietknięta” czy „niesplugawiona”, ale nagle nabiera ostrożności, bo wie, że same słowa mogą ją zepsuć. W mgliste noce mężczyźni wyobrażają sobie, że są aniołami i mogą dotykać jej do woli, ale gdy się budzą, czym prędzej czynią znak krzyża. A jeśli akurat mają wodę święconą pod ręką, skrapiają nią obficie klatkę piersiową. Tak naprawdę nie pragną zbrukać drobnej Eeony. Chcieliby tylko jej nieco uświadczyc, a potem móc wrócić do siebie, tak jak turysta wybiera się na wycieczkę.

Amerykański naukowiec w saloniku wyjmuje dziewczynce kulę z rąk. Szykuje się na prawdziwy triumf. Zrobi z tej małej cud. Uczony zbliża naczynie do twarzy dziewczęcia. Dziewczynka jest mądra, małe dziewczynki muszą takie być. Ani drgnie, ale zamyka oczy. Badacz przykładą jej szkło do nosa. Białe iskry strzelają niczym błyskawice wokół jej twarzyczki. Krzyczy, ale mężczyźni klaszczą głośniej. Widzieli elektryczność! Zobaczyli przyszłość!

– Panie Lovernkrandt – mówi naukowiec – musi pan spróbować.

Naczynie podano panu domu, który stoi nieopodal zamkniętego, ale niezaryglowanego okna, a odnóża deszczu kopały go w plecy. Robi krok do przodu ze sporym wahaniem, które można by nazwać obawą, gdyby nie to, że jest człowiekiem majątnym. Przystawia szkło do nosa dzielnej dziewczynki. Czuje

kopnięcie w dłoń, wędrujące w górę po mokrym rękawie, i odskakuje.

– Litości! – woła tak głośno, że nikt nie słyszy ponownego krzyku małej dziewczynki.

Poczerwieniał z gorąca na twarzy. Przez chwilę sądził, że został sparaliżowany. Ale przeżył.

Owen czuje deszcz wkradający się do środka niczym pocałunki drobnych ust. Podnosi rękę.

– Też chciałbym spróbować – mówi.

Badacz z Ameryki uśmiecha się, kiedy Owen Arthur występuje przed szereg. Podaje naczynie Owenowi. Ten zbliża się do małej dziewczynki. Ona wciąż wisi, więc teraz są niemal równego wzrostu. Wymieniają spojrzenia. On pochyla się ku niej i delikatnie pieści płatek jej ucha, podoba mu się dotyk jej gładkiej skóry.

– Mężczyźni tracą rozum, gdy w grę wchodzi piękne dziewczęta – mówi wystarczająco głośno, by wszyscy go usłyszeli, a potem ciska szkłem o podłogę.

Dostojni goście się zachnęli. Wielu odwraca wzrok, są zawstydzeni, że nie mogą się poszczycić prawością pokroju kapitana Bradshawa.

– Najmocniej przepraszam, panie Lovernkrandt. Zdaje się, że stłukłem przyrząd z Ameryki. Obawiam się, że to koniec zabawy.

Owen pogrąża się w rozmyślaniach o wszystkich dochodowych transakcjach żeglugowych, które właśnie musiał stracić. Myśli o tym, że jego interesy od przeszło dekady opierały się na rumie Lovernkrandta. Lecz nagle do głowy przychodzi mu co innego.

– Ale najbardziej się martwię, że pora spania tej małej minęła już dawno temu.

Dotyka włosów dziewczynki, a potem skinąwszy kapeluszem, rusza prosto w burzę.

Nauka to pewnego rodzaju magia, z kolei magia ma w sobie coś z religii. Owen Arthur wie na ten temat wszystko, ponieważ jest właścicielem statku, a mężczyźni, którzy spędzają życie na morzu, wiedzą, że magia istnieje.

Owen stoi w deszczu, drogę oświetlają mu błyskawice. Dom Lovernkrandta, o świetnej lokalizacji w centrum miasta, nie leży wcale daleko od brzegu morza. Gdziekolwiek Owen się uda, po obu bokach i tak będzie miał morze. Wzniesiono nawet niewysoki kamienny murek, by odgrodzić zatokę. Nie jest to już więc plaża, ale prawdziwa przystań. Dla Owena marsz w sam środek oceanu to pestka. Już wcześniej to robił. Będąc dzieckiem, pływał w tym porcie. A teraz ocean – spójrzcie tylko – zbliża się do niego. Fale przelewają się przez umocnienia na brzegu, podskakując jak zwierzęta albo jak małe dziewczynki.

Owen nie może się zdecydować, do którego domu skierować kroki. Jeśli morze będzie miał po swojej prawicy, wtedy minie rynek, gdzie zaradne przekupki sprzedają dobra i plecionki ze słomy. Dalej, w małym domku, mieszkają Rebekah

z synami. On nie jest ojcem żadnego z tych chłopców.

Jeśli morze znajdzie się po jego lewej stronie, minie mniejszy targ rybny, dokąd mężczyźni przed świtem przytaszczą połów. Kawałek dalej, w Nadmorskiej Willi, mieszka żona Owena, Antoinette. W majątnej, lecz skromnej posiadłości żyją wszyscy razem: ich córka, kucharka miss Lady oraz ogrodnik mister Lyte. Dom wznosi się nad płycizną przystani. Salon od jadalni oddziela lniana zasłona, sprawiająca, że domostwo przypomina statek na morzu. Za to z balkonu Nadmorskiej Willi kapitan może dostrzec swój własny statek, zadokowany nieco dalej, w porcie.

Teraz Owen Arthur rozmyśla o stających dęba włosach małej dziewczynki i zatrzymuje się na wprost plaży. Czeką, aż jego całe ciało nasiąknie deszczem. Potem udaje się do Eeony, ponieważ tamta mała sierotka przypominała mu o niej. Owen nie potrafi przewidzieć przyszłości, ale ma wgląd w przeszłość, to sztuczka magiczna znana nam wszystkim. Maszeruje przed siebie, morze mając po boku, lecz deszcz zaczyna od tyłu, pchając go ku jednemu dziecku. Fale obmywają mu buty.

Kiedy Owen jest już na miejscu, udaje się do żony, która w salonie szepcze małej Eeonie opowieść do ucha. Ta rodzina odnajduje się poprzez historie, te opowiadane w samą porę i te przekazane zbyt późno. W niczym nie różni się od innych plemion.

– Duchu Święty! – krzyczy żona na jego widok, tak jakby jej mąż właśnie tonął.

– Lady! – woła Antoinette. – Ręcznik i ubranie na zmianę dla kapitana. I to prędko.

Eeona nie waha się ani chwili. Podbiega do ojca, a on podnosi ją i przyciska do piersi, mimo że będzie cała mokra i oboje się przez to pochorują. Kiedy miss Lady schodzi z piętra z ręcznikami, wie już, że powinna przynieść dwa.

W tej chwili dziewczynka jest tylko dzieckiem zakochanym w ojcu. Nieważne, że za jakiś czas córka Owena Arthura pozbawi go życia. To drobnostka. Rodzina zabija bez przerwy: czasem po trochu, dzień po dniu, innym razem nagle i niespodziewanie. To samo robi z ludźmi miłość.

Matka Antoinette nosi w łonie kolejne dziecko. Ale nie chce mieć więcej dzieci, więc niemowlę, tak jak trzy poczęte przed nim, pozna na własnej skórze wyspiarskie sposoby spędzania płodu. Lecz kobietom nie zawsze udaje się postawić na swoim. Ta dziecinka przetrwa i będzie ostatnim potomkiem Owena. Nazwą ją Anette.

Anette Bradshaw będzie tak różna od starszej siostry jak woda od lądu. Starsza siostra wyrośnie na oszałamiającą kobietę, a mężczyźni będą się jej bali. Anette odwrotnie. Chłopcy będą kleić się do młodszej z sióstr jak lepki sok z mango. Trzech mężczyzn poczuje do niej miłość tak intensywną jak woń

akacyjowa, jeżąc im skórę głowy w nocy. Anette zaszczyci swą obecnością srebrny ekran. Na wyspy spadnie nawet BOMBA, ponieważ ona będzie tego chciała. Ale mała Anette jeszcze nawet nie przyszła na świat. Na razie są tylko Eeona i papa oraz przyglądająca się im z boku mama.

2.

Anette

Nieważne, że jeszcze się nie urodziłam. To ja jestem kronikarką tej rodziny. Nauczycielką historii w anglikańskiej szkole, gdzie wszystkie świetne rody posyłają dzieci. Tak na serio tylko ja mogę opowiedzieć wam, co stało się w Dniu Transferu. Jeśli ktokolwiek w ogóle zna tę historię, to jestem ja. Dziś ludzie sądzą, że historycy to nadęte typki, ale historia to magia, którą tu uprawiam.

Jest 31 marca 1917 roku. Wyspy Saint Thomas, Saint John i Saint Croix przechodzą spod duńskiego zarządu pod amerykański. Dania doszła do wniosku, że nas nie chce. Ameryka stwierdziła, że ma na nas chrapkę. Pierwsi uznali nas za niepotrzebnych, kiedy załapali, co wyprawia się w Europie. Drudzy mają nas za konieczne potrzebnych, bo siedzą twardo tyłkiem na Karaibach. I tak przechodzimy z rąk do rąk.

W Dniu Transferu nasi ludzie usiłowali zachować godność. „Cieszymy się, że stanęliśmy w jednym szeregu z odważnymi, a nasza ziemia odzyskała wolność” – zarzekali się. Ale prawdę mówiąc, krucho u nas z pieniędzmi, a handlowcy cienko przędą. My, Bradshawowie, jesteśmy bogatsi od większości, ale nie tak majątni jak co poniektórzy. Nie zwracajcie sobie głowy tym, co mówią Eeona i pozostałe zabobonniczki. Są potężniejsi od nas. Kiedy papa się oświadczał, na pewno obiecał mamie wszystkie bogactwa Karaibów. Ale z tych bogactw ona zaznała jedynie Nadmorskiej Willi, służącej i kucharki w jednej osobie oraz ogrodnika.

Kucharka, która jest także służącą, nazywa się Sheila Ladyinga. Nigdy nas nie kochała, ale zawsze się o nas troszczyła. Ogrodnikiem jest Hippolyte Lammartine. To dobry człowiek mimo głupot, którymi potem zaleje mi głowę. Mister Lyte i miss Lady – tak wszyscy ich nazywali. Ale mama Antoinette pragnęła dla siebie tego, o czym pisano w powieściach, tego, co miały angielskie damy, a co należało się żonie gubernatora. Kamerdynera. Kucharki i sprzątaczkę – dwie różne służki. Niani do każdego dziecka. Mamki. Mama musiała karmić nas własną piersią. Rozchodzi się o to, że mama była dość postępową. Nie miała zamiaru poświęcać wszystkiego na rzecz dzieci. Chciała się poświęcić, ale sobie. Jednak albo czasy były nieodpowiednie, albo mamie Antoinette czegoś nie dostawało. Trudno mi to powiedzieć. Trudno w ogóle to stwierdzić. Potrafiła za to szyć jak nikt inny. Miała rękę do ściągów. Nauczyła Eeone wszystkiego, co sama umiała. Ja nie miałam sposobności się tego nauczyć, gdy się urodziłam, a potem

dorosłam. Ale mama miała talent. Wiem to. Każda zabobonniczka tak mówi.

W Dniu Transferu wszyscy poszli do baraków wojskowych, wymachiwali wyświechtanymi flagami amerykańskimi i zachodzili w głowę, czy nasze Wyspy Dziewicze kiedykolwiek staną się częścią Stanów Zjednoczonych. Dopiero teraz, kiedy sama jestem historyczką, potrafię spojrzeć za siebie i dostrzec, że tak naprawdę tamtego dnia wydarzyło się coś zabawnego. Ziemia i ludzie tacy jak my poszli oddzielnymi drogami. Ziemia stała się amerykańska, ale ludzie zostali karaibscy. Eeona zawsze powtarza, że papa był Brytyjczykiem i Duńczykiem, ale każdy, kto widział go na zdjęciu, powie, że trochę w nim z Francuzika, a sporo z Murzyna.

Ale spójrzcie tylko. W Ameryce potrafią marzyć. Ludzie zeszli się tam ze wszystkich stron i teraz tworzą jeden naród. To prawdziwy kocioł jak na Karaibach. Nie mam racji? A wyspiarscy pisarczykowie, zasypujący wówczas pisma swoimi wywodami, sądzili, że to tylko kwestia czasu, kiedy my, Karaibowie, staniemy się częścią Stanów Zjednoczonych. Wówczas Stany – z Karaibami niczym z rzeźbionym galionem na dziobie okrętu – stałyby się świetlanym przykładem dla wolnego świata. Tak właśnie myśleli głupcy w Dniu Transferu.

Pomiędzy barakami można zobaczyć nadzianych mężczyzn, ubranych w błękitne lniane garnitury. Kobiety przywdziewają biały len, do tego czerwony szal i duży biały kapelusz. Ale przyjrzyjcie im się – kilka z nich pofarbowało swoje białe suknie na jasną żółć. Protestują. Na serio protestują! Żółty to kolor naszych – słonecznych – wysp. W Ameryce żółty oznacza tchórzostwo. Ale nie u nas. Żółty to dla nas bezczelność. Żółty to dla nas szczęście i wolność. Ci w żółci chcą pozostać pod zarządem duńskim lub przejść pod brytyjską banderę albo nawet wybić się na niepodległość, tak jak to się może stać z Portoryko, o czym wszyscy gadają. Popatrzcie tylko – nawet ci protestujący w żółci nieźle się bawią. Nie mają nic do stracenia, demonstrując, dlatego równie dobrze mogą się cieszyć tą rozróbą.

Eeona jest jeszcze dziewczyną, ale już tak śliczną, tak piękną, że mogłaby zatapiać okręty. Można by pomyśleć, że widok statków idących na dno ją ucieszy i wyda jej się jedyną wartą wysiłku zabawą. Mama uszyła jej czerwoną sukienkę. To żaden skandal, bo Eeona jest jeszcze młodą panią. Na głowie ma słomiany kapelusz, który wyblakł od słońca i zbielał jak kość. W tamtej epoce dzieci były ciche i grzeczne. Ale Eeona to co innego. Była laleczką mamusi. Zdaniem mamy Eeone stworzono po to, by zbierała komplementy, które należały się jej matce. Tak jakby mama szyła i dziergała dziecko, nie tylko suknię. Tamtego dnia Eeonie nie wolno było nawet podnieść wzroku, na wypadek gdyby jej piękno miało kogoś usidlić i odwrócić uwagę od oficjalnych wydarzeń. Trzyma więc głowę nisko i idzie przed siebie ze wzrokiem wbitym w stopy ojca przechadzającego się w tłumie.

Wszystkim kręci się od tego w głowach. Wystarczy, że poczytacie gazety

z tamtych czasów. „Syn takiego a takiego rusza do Ameryki w poszukiwaniu przygód” – głosi jedna. „Syn z domu Iksińskich udaje się do Ameryki na studia” – pisze inna. Mama i papa wysłuchują tego, ale nie mają przecież syna, który bez sensu miałby wyjeżdżać do bezsensownego miejsca. Mama nie chce mieć więcej dzieci, chce szyć rękawiczki i suknie oraz stać się naczelną modystką, na której będą się wzorować inne modnisie. Papa pragnie syna, ale do tego potrzebna mu mama. A mamie potrzeba jedynie modniejszych tkanin i przemysłowej maszyny do szycia. Wszystko to łatwo nabyć w Ameryce, za to prawie niemożliwe jest dostać to tutaj, na wyspie. Mama jeszcze nie wymyśliła, jak zdobyć to, czego chce.

W barakach wszyscy zajądają się świeżo złowionym solonym dorszem. Wokół pachnie oceanem. Wciąż gadka kręci się jak katarynka: „Nasza rodzina przeprowadza się do Atlanty w stanie Georgia. Mój mąż otrzymał posiadłość...”. Mama nie może już dłużej tego wysłuchiwać, więc ciągnie Eeonę za sobą. Dziewczyna straciła nogi papy z oczu. Mama stanęła przy Francuzkach sprzedających słomiane torby. Kobiety mają brązowe twarze, mimo że są białe jak biali ludzie. Francuzki klepią biedę, ale mają styl. Plotą sobie ładne kapelusze i szyją proste ubrania. Kiedyś pochodziły z francuskiej wyspy. Nawet my wiemy, że francuskie oznacza modne. Nieważne, że nasze Francuzeczki są biedne. Mama zatrzymuje się przy nich, kurczowo trzymając przy sobie Eeonę do momentu, aż zauważy przechodzącą obok kobiety z jej sfery i podczepia się pod nie razem z Eeoną.

W barakach panują teraz gwar i harmider. Blisko stąd do Yard. Ta okolica zawsze była szemrana. Nawet podczas prohibicji od świtu można tu było dostać kieliszeczek rumu. Tego poranka wybuchła tu niezła draka. Jak w karnawale. Mężczyźni śpiewają *Gwiazdzisty sztandar*, hymn Stanów Zjednoczonych, a przewodnią nutę wygrywa flet, wypożyczony od grajków quelbe. Kobiety – również mama – nieśmiało przyklaskują.

W końcu orkiestra dęta zaczyna grać oficjalny hymn Danii. Z dwudziestu dwóch luf pada salwa, wystrzelona w powietrze z łodzi stojącej w porcie. Każdy strzał rezonuje w brzuchu mamy Antoinette, w którym czają się ja. Duńską flagę opuszczają o włos. Niektórzy naprawdę płaczą. Broń palna znów wystrzeliwuje. Rozbrzmiewa nowy hymn i zapada cisza, że cicho sza! Papa podchodzi do mamy i Eeony i staje u ich boku w tej ważnej chwili. Nie piśnie ani słówka na temat tego, skąd właśnie wrócił.

Amerykańska flaga wędruje do góry, a Eeona ląduje u ojca na barana, żeby mogła zobaczyć Amerykę na szczycie masztu w ogrodowym belwederze. Eeona jest już za duża, żeby brać ją na ramiona, sami widzicie. To jeszcze dziewczyna, ale lada chwila będzie z niej kobietka, pierwsze krwawienie tuż-tuż. Część ludzi patrzy na flagę, część na tę kobietę dziecko, ale wszyscy wyteżają wzrok i ani mru-mru. Mama Antoinette obciąga sukienkę Eeony, by zakrywała przynajmniej

kolana. Mówi: „Patrz, Eeono. To jest wolność”. Nawet dziś, jeśli przyjrzyście się zdjęciom z archiwów, zobaczycie, jak surowo wyglądają mężczyźni w mundurach wojskowych. Złote guziki lśnią na wysoki połysk. Mama doskonale wie, że wolność ubiera się modnie i z klasą. I właśnie to się stało. Duńskie Indie Zachodnie zamieniły się w Wyspy Dziewicze Stanów Zjednoczonych. Z rąk duńskich przeszliśmy do amerykańskich, jakby to nic nie znaczyło. Albo jakby to znaczyło wszystko.

3.

Wieczorem po uroczystościach Dnia Transferu Antoinette i Owen Arthur pokłócili się w sypialni Antoinette. Eeone wyrwała z drzemki zmoczona pościel, poszła więc przyłożyć swoje delikatne ucho do drzwi łączących jej izbę z pokojem matki. Miss Lady, która wiedziała wszystko, weszła do sypialni dziewczynki, dała Eeonie klapsa i odesłała ją do łóżka, po czym sama zaczęła podsłuchiwać.

Głos papy był donośny i nieustępliwy. Mama mówiła cicho i łagodnie. Zawsze kłócili się właśnie tak.

– Rozumiem, Nettie, że zrobiłaś afront Baskerville’om, ponieważ powiedzieli, że płyną do Nowego Jorku.

– Nie zrobiłam im żadnego afrontu, panie Bradshaw.

– Chodzi o to, że jesteś zazdrosna?

– Proszę wybaczyć, że się powtarzam, ale nie było żadnego afrontu.

– Pani Bradshaw, to jasne jak słońce, że nie możemy opuścić morza. To cały mój interes. Nasz byt.

– Jaki interes, panie Bradshaw? Proszę mi to wyjaśnić. Jak dokładnie idą interesy? Czy może jestem tylko kobietą i dlatego nie zdołam pojąć, że bez rumu nie ma mowy o żadnych interesach...

– Antoinette, proszę. Jestem kapitanem statku. Znam się na morzu. Czym miałbym się zajmować na stałym lądzie?

– Nie interesuje mnie przeprowadzka *per se*, panie Bradshaw.

– Pani Bradshaw?

– Martwi mnie jedynie, czy ci z nas, którzy nie przeniosą się do Nowego Świata, otrzymają dostęp do przywilejów naszego nowego kraju. Czy nie powinniśmy zostać amerykańskimi obywatelami?

– Tak, oczywiście. W swoim czasie.

– Kobiety w Ameryce mogą głosować. A tu naszym mężczyznom pozwala się na mniej niż tamtejszym kobietom. Tutaj nikt nie będzie mógł głosować. Ale gdybyśmy znaleźli się na kontynencie, dostalibyśmy prawo głosu oraz to, czego pragniemy, jedwabne i koronkowe tkaniny...

– Ależ, pani Bradshaw, właśnie powiedziała pani, że nie potrzebuje przeprowadzać się do Ameryki. Pani logika jest pokrętna. Zaczyna się jeden z pani

epizodów.

– Nie mów do mnie w ten sposób! Nie jestem małą dziewczynką! Ile twoich dzieci nosiłam w swym łonie, zanim nie popędziły po równi pochyłej w objęcia śmierci? Nie pragnę, byśmy przenieśli się tam na stałe. Miałam jedynie nadzieję, że otworzą się dla nas drzwi do murzyńskiej sceny artystycznej i teatralnej w Nowym Jorku, że będę mogła dostarczać moje suknie na występy, że Eeona odbierze lekcje śpiewu, jak na panienkę przystało. Nie musimy mieszkać tam wiecznie, ale trzeba zrobić wszystko, co mogłoby nam pomóc zdobyć te dobra. Jesteś kapitanem statku. Czy to nie jest w twojej mocy, Owenie...?

– Cicho, Nettie! Co za bzdury pleciesz o Murzynach? Twój epizod sprawia, że bredzisz. Mówisz o naszej córce, choć to przez twój wpływ ma w sobie taką samą dzikość jak ty. Robi się zuchwałą, przekracza wszelkie granice.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Co chcę powiedzieć? – krzyknął, biorąc się w garść. – Mówię, że musisz o tym zapomnieć. Najpierw musimy pokazać dobrą wolę.

– Dobrą wolę? Czy Ameryka nie zajrzała darowanemu koniowi w zęby, zanim nas nie przyjęła?

– Skończ z tym, Antoinette. Skończ z tym natychmiast. Tak się składa, że ja, żeglarz z Saint Thomas, sporo zyskam na tym krajowym transferze. Nie widzisz, że inni wyspiarze już tu ściągają? Tak jak wtedy, gdy budowano kanał. Połowa mieszkańców Saint Thomas wyjechała do Panamy, do ziemi obiecanej. Teraz to my jesteśmy ziemią obiecaną.

– Nie chcę być pół-Amerykanką. Chcę pełnego i wolnego dostępu do dóbr. Wiedziałeś, że tego pragnę, gdy braliśmy ślub. Powiedziałeś nawet, że...

– Nie możesz wierzyć we wszystko, co słyszysz. – Potrząsnął przecząco głową, lecz zmiękł, gdy ujrzał zrozpaczoną minę żony. – Och, Nettie. Murzyński teatr? To amerykański wymysł. My, Bradshawowie, jesteśmy Brytyjczykami i Duńczykami, na litość boską.

– Nie jesteśmy ani Brytyjczykami, ani Duńczykami, Owenie.

Na dowód musnęła dłonią swoje brązowe ramię. Nie kłócili się już o wyjazd, prawo wyborcze czy dostęp do sztuki. Kłócili się o to samo co zawsze. Poparłaby każdego, kto poparłby ją. Słyszała, że w Ameryce mieszkają bogaci ludzie o wszystkich kolorach skóry. Mogłaby im przypaść do gustu jej moda, mogliby nie zaprzętać sobie głowy jej nędznym pochodzeniem.

Tak się właśnie działo, gdy wpadała w jeden z tych swoich epizodów. Epizod to stan pragnienia i łaknienia. Potrzeba było sporo magicznych sztuczek, by ją uspokoić. Lekarze twierdzili, że to nerwica wywołana ciężami i poronieniami. Kobięca dzikość.

Ale Owen, zamiast ją ułagodzić, zmienił taktykę i stawiał żonie czoło.

– Wracaj na Anegadę, Antoinette Stemme. Tam, gdzie cię znalazłem. Na ten

wyschły atol, gdzie mieszka więcej homarów niż ludzi. Wyjdź za tego swojego rybaka zamiast za kapitana statku. Może z nim popłyniesz łodzią do Ameryki.

– Moja matka poślubiła rybaka, Owenie Arthurze. Radzę ci zważać na słowa.

– Twoja matka nie żyje, Antoinette, tak samo jak twój ojciec rybak. To ja jestem głową tej rodziny i mówię ci, że staniemy się Amerykanami, zostając dokładnie tutaj, gdzie jesteśmy, na wyspie. Za twoją zgodą czy bez niej.

– Jestem twoją małżonką. Czyjej zgody jeszcze potrzebujesz?

– Proszę cię, Nettie. Pragniesz zbyt wiele. Przesz wciąż i wciąż przed siebie. A przecież jesteś damą. Musisz się opanować. Biorąc pod uwagę twój stan...

– Czy jest ktoś jeszcze, komu obiecałeś, że będziesz w pobliżu? Czy ktoś staje na drodze naszej przeprowadzce, chociażby wycieczce?

Nagle coś się rozbiło. Nie zdobna zastawa, ale cały kredens runął na podłogę, a wraz z nim ślubna fotografia młodej pary stojąca na szczycie. Owen Arthur Bradshaw zbiegł po schodach i zawołał mister Lyte'a – ogrodnika mającego francuskich przodków, który był także ich rybakiem – by przyniósł mu szklaneczkę rumu. Właśnie tak zawsze kończyły się pojedynki małżonków. Antoinette wzywała wówczas Eeone, która przybiegała do niej w podskokach. Antoinette mawiała wtedy: „Uszyję ci lnianą sukienkę. Nie ruszaj się. Będziesz moją laleczką”.

Ale gdy na świat przyjdzie mała Anette, sprawy przybiorą inny bieg. Gdy Anette zdąży podrosnąć na tyle, by zrozumieć, o co mama i papa się kłócą, mama i papa już w ogóle przestaną się kłócić. Ponieważ wcale nie będzie już mamy i papy. Anette zostanie tą siostrą, która zmaci rodzinne wody, tak jak fala zabiera ze sobą łachę sypkiego piasku.

4.

Pani Antoinette S. Bradshaw była dopiero na początku ciąży. Była także na początku, we wczesnych tygodniach, amerykańskości. Antoinette to typ kobiety, która zapada na chorobę jedynie wtedy, gdy wyleguje się na porannym słońcu. Jak na ironię ta, która pozbyła się tyłu niemowląt, przez ciążę przechodzi jak przez dywan usłany różami. Antoinette Bradshaw w stanie błogosławionym wyglądała kwitnąco. Włosy jej nie wypadały. Nos nie rósł. Stopy nie puchły. Piersi nie paliły, a plecy nie bolały. Nie dokuczał jej nawet pęcherz. Nic z tych dolegliwości, których doświadczały przeciętne kobiety. Za to w promieniach słonecznych robiła się nadwrażliwa, tak jakby cofała się w czasie, nabierała ducha i rzeźkości na twarzy jak dziewczynka.

Zwykle krwawiła co miesiąc punktualnie jak w zegarku. Co do dnia i co do godziny. Stąd też tamtego poranka, w czasie rodzinnej wycieczki, wiedziała, że musi zażyć herbaty z czerwonej krewki, aby spędzić z łona dopiero co poczęte dziecko. Winą za wszelkie następujące później dokuczliwości obarczyłaby morze.

Podróż stanowiła mężowską pokutę, częściowe poddanie się. Statek „Homecoming”, czyli „Powrót do domu”, nie zabierze ich, co prawda, do Ameryki, ale na brytyjskie i hiszpańskie wyspy – owszem. Nieco przygody, by uspokoić zwichrowane nerwy żony. Miał nadzieję, że dziecko, które nosiła w sobie, okaże się synem. Ale teraz Antoinette znajdowała się na statku i zbliżało się jej miesięczne krwawienie. Wstała i poszukała wzrokiem narodzonej już córki.

Eeona dopiero co zaczęła krwawić, a Antoinette postanowiła, że o ile tylko Eeona nie zaprzepaści dziewictwa – a była dziewczyną świadomą swej urody – matka wcześniej wyda ją za mąż. Antoinette i Owen Arthur już sprzeczekali się o to, czy odesłać córkę. Antoinette pomyślała, że sąsiednie Brytyjskie Wyspy Dziewicze to odpowiednie miejsce dla młodej panienki zdobywającej edukację. Albo może Portoryko, gdzie Antoinette uczęszczała do prywatnej szkoły dla dziewcząt z wyższych sfer, która przygotowała ją do życia na salonach. Ale aż dziw, Owen wspomniął o Wielkiej Brytanii albo Danii, a może nawet Ameryce. I mimo że Nettie podobały się jego propozycje, nie pojmowała do końca, dlaczego jej mąż pragnie wysłać ich córkę tak daleko od domu. I to bez rodziców. Dziewczyna potrzebowała kobiecego wykształcenia, takiego, które mogła jej zapewnić starsza kobieta z rodu. Dla Antoinette na przykład najcenniejszą lekcją kobiecości było zdobycie wiedzy, jak pozbyć się niechcianego płodu, zanim stanie się dzieckiem.

– Pospiesz się – warknęła Antoinette.

Dziewczynie szybko poszło z ojcem.

Eeona siedziała na worku cukru dorównującym jej rozmiarami. To nie był rejs handlowy, statku nie zapełniono więc majtkami ani żywym inwentarzem, by wykarmić gęby majtków. Eeona już widziała podobny statek. Widziała także zupełnie pusty okręt, gdzie nie było żywej duszy prócz niej i ojca. Oba jej się podobały. Nie podobało jej się teraz, kiedy matka tkwiła u boku ojca. Za to była zadowolona, kiedy pomoc kuchenna i marynarze pokładowi gapili się na nią, aż przełożona statku nie zaciągnęła ich za fartuchy pod pokład.

To ojciec nauczył ją pływać na otwartym oceanie. Teraz Eeona pragnęła poszybować naga w sam środek morza i wpaść ojcu prosto w ramiona. Ale nie gdy obok kręciła się matka. Eeona nie przemyślała tego, jak zdoła wziąć kąpiel pod czujnym okiem rodzicielki. Gdyby poświęciła na to choć chwilę, błagałaby, żeby zostać w domu i pilnować Willi wraz z miss Lady. Nie wybrali się w ani jeden rodzinny rejs, od kiedy Eeona wkroczyła w okres dojrzewania, od kiedy narodził się jej sekret.

Podczas wycieczki przybiją do brzegów wielu małych wysepek, będą wylegiwać się beczynn timer na plaży i składać wizyty. Starsza kuzynka Antoinette, która uczyła francuskiego na sąsiedniej brytyjskiej Tortoli, ugości ich przez tydzień. Nauczy młodą Eeonę mądrych słówek w tym pięknym języku. Stary druh Owena spotka się z nimi w Fajardo, na samym skraju Portoryko. To właśnie na

Portoryko Owen wysłał Antoinette zaraz po ich zaręczynach, by nauczyła się podawać kawę i herbatę oraz siedzieć jak dama. Wizyty miały więc teraz charakter poznawczy, bo być może Eeona także wylądowała gdzieś tutaj. Znajdowały się tu też zakątki, które Antoinette знаła i kochała. Nie odwiedza jednak miejsca, które znała i kochała najbardziej, czyli Anegady. Tam właśnie nauczyła się chodzić, mówić, pływać – tam się urodziła. Tam doświadczyła pierwszego pocałunku i pierwszej miłości. To było właśnie tam, ale nie pożeglowali w tamtym kierunku. Jej rodzice już nie żyli, to prawda. Ale prawdą było także to, że poławiacz homarów, którego niemal poślubiła, żył, i to pełnią życia. Mężczyzna zaproponował Antoinette przyszłość pełną pracy i miłości, ale Owen Arthur przyobiecał jej rozrywkę i wolność. Od czasu złożenia ślubów kapitanowi statku Antoinette nie odważyła się postawić nogi na wyspie, wiedziała bowiem, jakie niebezpieczeństwo kryje się w powiedzeniu „stara miłość nie rdzewieje” i jak łatwo to uczucie naoliwić. Owen w swojej mądrości nigdy nie zaoferował, że tu zaokrętuje. Żeglowali po innych wodach.

Teraz Antoinette zawołała na majtka, by opuścił łódź wiosłową na morze. Gdzie jest Eeona? Matka pstryknęła palcami i Eeona przypełzła.

– Dziecko, nie ociągaj się jak melasa.

Eeona wdrapała się do łodzi z matką, a potem opuszczono je na morze.

Zakołysały się chybotliwie i Antoinette wyciągnęła otwarte ramiona ku Eeonie, która zdawała się nieustraszona.

– Wesprzyj się – Antoinette szepnęła Eeonie do ucha, gdy łódka opadła z pluskiem na wodę. Antoinette rozebrała się, a potem spojrzała na córkę. – Zrób to samo.

Dziewczę rozejrzało się wokół. Ogromny „Homecoming” majaczył tuż obok. Wszechogarniający ocean otaczał je dookoła. Powinna odpłynąć kawałek dalej. Bardzo dobra była z niej pływaczka, co na tych wyspach stanowiło nadzwyczajny wyjątek, zwłaszcza w przypadku dziewczyny. Powinna zawołać ojca. Powinna powiedzieć mamie Antoinette, że jest chora i musi wracać na pokład. Że ma miesiączkę, musi więc trzymać się z dala od wody z obawy przed rekinami. Miss Lady ją przed tym przestrzegala, ale matka, kobieta z Anegady i kobieta z morza, nie wierzyła w te bojaźliwe wymówki. Eeona nie potrafiła wymyślić niczego na poczekaniu.

– Mamo, mogę umyć ci włosy?

Dziecko pogładziło się po włosach, jak to robią małe zwierzątka. Takie odwrócenie uwagi działało na papę.

– Nie, Eeono. Mój księżyc jest w pełni – powiedziała Antoinette i zamilkła.
– Właśnie teraz.

A wtedy krew, prawie dziecko, zaczęła się z niej sączyć.

Mimo że Eeona także krwawiła, nie czyniła tego na komendę, tak jak matka.

Miesiączka przychodziła niespodziewanie i kończyła się niespodziewanie, ogólnie rzecz biorąc, przysparzając utrapienia. Wpatrywała się w matkę z podziwem. Sama ścisnęła mocno uda, by ukryć blask.

Antoinette miała chłodny i zacięty wyraz twarzy, gdy przyciskała gałgan do łona. Przygotowywała się na bulgot i chlust.

– Krwawienie to nie przekleństwo – odezwała się do córki. – To błogosławieństwo. – Sprawdziła szmatkę i na powrót przycisnęła ją do siebie. – Lecz błogosławieństwo, tylko pod warunkiem że masz je pod kontrolą.

Eeona chciała być dzielna. Zaczęła więc odpinać guziki sukienki. Pod suknią Eeona nosiła pantalone, które nadeły się wokół ud. Wstrzymała oddech i zdjęła także bieliznę. Potem czekała, aż wzrok matki na nią padnie.

– Eeono – powiedziała Antoinette – wkrótce zaczniesz odczuwać pragnienia...

To był dopiero początek lekcji. Ale Eeona nie usiadła. Zamiast tego wypchnęła miednicę.

Antoinette spojrzała. Wychowano ją na damę, wiedziała więc, jak zachować panowanie nad sobą. Teraz po prostu nabrała powietrza. Potem wyciągnęła rękę i dotknęła córki. Nie była pewna, co ma przed oczami.

A był to sekret Eeony: włosy rosnące między nogami nie były brązowe i krzaczaste jak u jej matki. Nie były też czarne i kręcone jak u miss Lady. Były szare i rzadkie. Jak u staruszki. Jak przerzedzone kosmyki na skroniach papy. Eeona wyobrażała sobie, że dostała je od papy. Intymny sekret w jej intymnych, sekretnych częściach ciała. Nikt go dotąd nie widział. Poza ojcem. On powiedział jej, że to oznacza mądrość, gdy niczym rozbitkowie stanęli na skraju pokładu „Homecominga”, po czym rzucili się w morze.

– Pozwól mi spojrzeć – powiedziała Antoinette surowo. – Pozwól mi zobaczyć, co jest nie tak.

„Może to tylko popiół” – pomyślała w szaleńczym amoku matka, tak jakby córka miała przypalać sobie części intymne. Ale nie, szary kolor nie zniknął pod wpływem zabiegów dłoni Antoinette.

Eeona nabrała powietrza w płuca. Odkąd pamięta, tylko ojciec jej tam dotykał.

Mama Antoinette zapomniała o własnym ciele. Wyrzuciła poplamione krwią skrawki szmaty do morza i zaczerpnęła morskiej wody do wiader. Świeżym gałganem rozgniotła kostkę mydła na mydliny. Rozszerzyła Eeonie nogi i zaczęła ją tam szorować.

– Coś ty narobiła, Eeono? Co się stało?

Znów zanurzyła szmatkę w wiadrze. Eeona nie odezwała się ani słowem. Być może jej matce uda się zmyć szary kolor. Dziewczyna nie pragnęła szarości nawet mimo słów papy. Chciała czerni jak u mamy czy miss Lady. Sama się

zastanawiała, co jest nie tak.

Och, ale ona wiedziała. Wiedziała. Lubiła, gdy papa ją tam całował. Wiedziała, że nie powinna, ale lubiła to. Zamieni się przez to w staruszkę i cała się pomarszczy. Albo przybędzie jej krągły brzusek i będzie chodzić w wiecznej ciąży jak mama. Eeona stała bez ruchu, a Antoinette szorowała mocniej. Eeona chciała powiedzieć mamie, że jej szorowanie boli, ale tego nie zrobiła. Szmatki, które Antoinette wyrzuciła, zniknęły, a Eeona utkwiała wzrok w miejscu, gdzie wpadły do morza, podczas gdy jej matka pucowała ją, jakby była pokładem łódki.

Skóra Eeony czerwieniła się, aż gałganek nabrał rdzawego koloru krwi. Antoinette zapomniała o swoim krwawieniu, które najpierw zmniejszyło się, potem ustało, aż dziecku w jej łonie nie groziło już niebezpieczeństwo.

– To nie może być prawda – wyszeptwała miękko Antoinette.

Owłosienie nie zmieniło koloru na brąz czy czerń ani nawet bladą żółć. Zamiast tego włosy pomiędzy nogami Eeony lśniły blaskiem jak srebro, a Eeona czuła na sobie oddech matki niczym tchnienie kochanka. Eeonie srebro wydało się osobliwie piękne, ale wiedziała, że powinna się tego wstydić. Wstrzymała oddech i próbowała stłumić w sobie wszelkie uczucia. I tak właśnie będzie odtąd czynić. Albo spróbuje zakopać się pod powierzchnią ziemi, albo wypłynąć na wolność spod poziomu morza.

Ponad nimi na pokładzie stała przełożona statku. Jej zadanie polegało na tym, by strzec tej burty, by pani Bradshaw i panienska Bradshaw mogły wykąpać się w spokoju, nienękane przez ukradkowe spojrzenia mężczyzn z góry. Owen Arthur podszedł do niej i miał zamiar ją wyminąć.

– Kapitanie, panie zażywają kąpieli.

Skinął głową i zrobił krok przed siebie.

– Kapitanie.

Przełożona nie była potężna, ale za to muskularna i młodsza od kapitana Bradshawa, który znów postawił krok.

– Kapitanie, to kobiety – powiedziała przełożona tym razem tak srogo, jakby nie zwracała się do kapitana statku.

Owen odchrząknął.

– A czyż to kobiety zażywają kąpieli?

Przełożona spojrzała na kapitana.

– Pańskie, sir – odparła, pojmując intencję tego pytania.

Skinął głową i wyminął ją. Odwróciła się i odprowadziła go wzrokiem. Nie odwracając się, polecił jej:

– Pilnuj posterunku.

Polecenie było jednocześnie łagodne i szorstkie. Przełożona załogi odwróciła się i teraz pilnowała także pana Bradshawa.

Owen wychylił się za burtę i spojrzał w dół na żonę i córkę. Z jednej strony

odgradzał ich statek, z drugiej otaczało otwarte morze. Do oczu napłynęły mu łzy.

– Chryste Panie – szepnął i nie miał poczucia, że wzywa imienia pańskiego nadaremno.

Pragnął krzyknąć do swoich kobiet. Chciał, by skierowały wzrok w górę, tak żeby mógł zobaczyć piersi żony na otwartej przestrzeni. By mógł uświadczyc widoku jędrnego brzucha Eeony.

Owen Arthur po tym wszystkim nie podpisał lukratywnego kontraktu handlowego z panem Lovernkrandtem. Alkohol był nielegalny, więc kapitan Bradshaw czerpał zyski z dziwacznych źródeł: dostawy butów z Santo Domingo, byczych kości z Ponce, beczulek ropy naftowej z Port-of-Spain, choć to kości stanowiły najczęstszy załadunek jego statków. Obecnie wierzył jedynie w miłość do żony i córki. Wiedział jednak, że coś niegodziwego tkwi w pragnieniu, by ujrzeć choćby najbardziej niewinną część ciała córki, równie silnym, jak pragnienie zobaczenia żony.

Ale być może wcale nie pożądał Eeony. Antoinette, stale z robótką ręczną przy boku, nie zawsze mu ulegała. Może po prostu musiał częściej odwiedzać Rebekah. Panią Rebekah McKenzie, nauczycielkę gry na pianinie oraz handlarke z targu. Jej mąż, członek załogi marynarki wojennej, parę miesięcy temu zniknął na dobre. Tak naprawdę to Rebekah rzuciła na niego czar, by zniknął.

Owen spotykał się z Rebekah, gdy jej mąż wypływał w morze. Bycie z Rebekah przypominało kroki stawiane na lądzie po miesiącach spędzonych na wodzie. Kupił jej nawet pianino. Zrobiono je na Florydzie, skąd je odebrał i przetransportował do San Juan. Ale teraz, patrząc na córkę i żonę, Owen czuł się dziwnie spokojny. Był niedawno z Rebekah. Próbował ją wówczas posiąść.

– Moje – powiedział do jej rozwartych nóg. – Moje – rzekł do jej gładkiego ramienia.

Było go na to stać. Mógł posiąść kobietę. Patrzcie tylko, z jaką łatwością wyrwał Antoinette z objęć tamtego poławiacza homarów z Anegady. Teraz posiądzie tę, która zdoła urodzić mu syna, do diabła z amerykańskim prawem i zasadą prawowitego łoża.

Ostatni raz omiół wzrokiem łódź. Widział ciała żony i córki nachylone ku sobie niczym kurtyzany, nagle dostrzegł też błysk srebra.

Poniżej, na małej łódce, która ledwie oddzielała Eeonę od morza, dziewczyna przestała płakać. Spojrzała ostro na matkę i odezwała się jeszcze ostrzej:

– Mamo, dosyć.

Antoinette w końcu przestała, ale zaniepokojenie stężało. Kobiety stanęły naprzeciwko siebie, twarde jak skała.

5.

Eeona

Matka była o mnie zazdrosna. Często zabierała mnie do swojego pokoju, gdzie znajdowały się lustra. Kazała mi siadać wyprostowanej obok siebie, po czym przyglądała się naszemu odbiciu. Patrzyła to na moją twarz, to na swoją, tak jakby w moim obliczu szukała własnej historii. Była bardzo ładna, ale ja miałam w sobie coś więcej. Mówię tak tylko dlatego, że taka jest prawda.

Matka bała się o mnie. Obawiała się, że stanę się kobietą ufającą jedynie swej urodzie, że nie rozwinę jej talentów i zdolności. „Nie wystarczy być piękną” – mówiła. – „Kobieta musi tworzyć piękno”. Mama dopilnowała więc, bym nauczyła się pleść słomę, szyć ubrania i szydełkować torebki. Ten kunszt może się przydać, jeśli uroda nie pomoże.

Wierzę jednak, że opowieści mamy miały moc. Gawędziarstwo także było jej domeną, choć przeznaczoną jedynie dla mnie. Historia o Duene miała mnie przestrzec. Jeśli kobieta nie panuje nad sobą, grozi jej niebezpieczeństwo, może nią zawładnąć dzikość. Wiem, że matka cierpiała z tego powodu. Epizody – tak to nazywaliśmy. Matka, o czym każdy wie, zbiegła ze swej wyspy Anegady, by poślubić ojca. Prawie nie знаła wtedy papy. Mama miała skłonność do dziczenia i błakania się. Od zawsze wiedziałam, że jestem taka sama.

Gdy mama zaczynała snuć opowieść, siadała na bujanym krześle. To był elegancki bujak, ręcznie wykonany z twardego drewna mahoni. To jeden z przedmiotów, których najbardziej żałowałam, gdy morze zabrało kawałek ładu, a wraz z nim mojego ojca. W dużym salonie migotało wokół nas światło lamp. Cienie wydłużały się za naszymi plecami. Często stawała za mną miss Lady i zaplatała mi włosy na noc. Tata zwykł popijać rum w małej szklaneczce i patrzeć, jak służąca poskramia moje loki. Od początku wiedziałam, że moim prawdziwym talentem jest piękno, wbrew temu, co mówiła mama.

Kiedy matka podejmowała swoją historię, ojciec wstawał i zaczynał krążyć po pokoju. To mnie bardzo rozpraszało. Sączył głośno drinka, co sprawiało, że miałam ochotę wsadzić mu do ust własny palec. Teraz pojmuję tę zawiść, rozumiem, że pewnie był zazdrosny o ten czas, który mama spędzała ze mną. Wolną ręką papa trzymał się za płatek ucha. Spacerując tak, dochodził do drzwi i opierał się o szafę, gdzie mama wystawiała swe cenne figurki z porcelany. Potem wymykał się z pokoju.

Mama nigdy nie pytała, czy chcę usłyszeć anegdotę. Bezpretensjonalnie haftowała akcent na sukni, a potem podnosiła wzrok na mnie. Zaczynała od kobiet Duene, które mieszkają w morzu nieopodal Anegada Passage. Swoim śpiewem potrafią zatapiać okręty. Są wysokie i mają kanciaste nogi, którymi odpychają się i płyną, czując się jak ryby w wodzie. Ich ciała po części pokrywają łuski o barwie cennego kruszcu. Zakrywają w ten sposób choć skrawek bijącego od nich piękna, gdy wychodzą na łąd.

Mężczyźni żyją jedynie na ziemi naszej siostrzanej wyspy Saint Croix. Samce są wyrzeźbieni jak z kamienia i brązowi niczym kora drzewa. Czekają na lądzie na porę godową, kiedy przybywają do nich kobiety. Mężowie Duene mieszkają głównie w Frederiksted, gdzie krzewy wiecznie zielonego ostrokrzewu rosną dziko, dając im schronienie. Nie potrafią pływać. Niekiedy mama opowiadała, że mężczyźni w klatkach piersiowych skrywają dodatkową parę nóg. Że są jak pajęczaki, jak Anansi, Pan Pająk. Mawiała, że w ramionach chowają skrzydła i potrafią latać.

Jest tylko jedna rzecz, która łączy kobiety i mężczyzn. Ich stopy tyłem do przodu. Dlatego ludziom tak trudno ich wysledzić. Duene nie chcą, żebyśmy się za nimi pałętali, chronią dzikość przed zniszczeniem, które siejemy. Kobiety strzegą morza. Mężczyźni pilnują lądu.

Mama mówi, że nawet kiedy zobaczysz Duene na własne oczy, nie zdołasz stwierdzić, w którą stronę idą. Zdaje ci się, że się od ciebie oddalają, podczas gdy tak naprawdę zbliżają się do ciebie w podskokach, by porąbać cię na kawałeczki. Mimo że Duene nie napadają na ludzi, którzy nie szkodzą ziemi i wodzie, to lepiej ich unikać, bo nigdy nie wiadomo, kiedy postanowią zrobić ci krzywdę. Duene nie znają litości. Potrafią zaciągnąć swą ofiarę za włosy na sam środek morza. Oderwą jej członki kawałek po kawałeczku, tak jak my rwiemy po kolei płatki kwiatków, szepcząc pod nosem: „Kocha, nie kocha, kocha, nie kocha”. Duene nas nie kochają. Kochają tylko siebie i dzicz. A przynajmniej tak mówiła mama.

W tym momencie zwykła przerywać haftowanie i patrzyła wprost na mnie.

– Dzicz to nie tylko parę drzew czy wodny staw.

Zaczęłam rozumieć, że dzicz może zaczynać się we mnie.

6.

Madame Antoinette Bradshaw, żona Owena Arthura, matka Eeony, wybrała się na spotkanie przy herbatce. Pani Liva Lovernkrandt, żona niegdysiejszego producenta rumu, właśnie wróciła z miesięcznego pobytu w Ameryce. Na podwieczorek przywdziała duży, oklapnięty kapelusz, wykonany z materiału, który pani Lovernkrandt nazywała filcem. Wszystkie panie musiały się pochylać, by lepiej ją widzieć. Miała na sobie także suknię z gorsetem, w której wyglądała jak worek batatów. Później kobiety będą podśmiewywać się z niej za plecami. Ale nie Antoinette.

– Nowy Jork – zaczęła pani Lovernkrandt, robiąc pauzę na łyk herbaty – to niezwykle szykowna stolica Nowego Świata. – Odstawiła filiżankę na spodek. – Niech drogie panie raczą zerknąć. Obdarzą spojrzeniem te eleganckie czasopisma.

Wydobyła stertę magazynów modowych i rozłożyła je na nowym stoliku kawowym. Pozostałe panie pospiesznie podniosły filiżanki, by zrobić miejsce. Pisma były błyszczące, w jaskrawych kolorach. Kobiety z okładek miały usta pomalowane czerwoną szminką i uśmiechały się szeroko, ukazując rząd prostych zębów. Ich skóra miała ten jasny odcień, podobny do obranego ze skóry młodego kartofelka. Nosiły buty na wysokich obcasach. Odślaniały nie tylko kostki, ale całe łydki, a nawet kolana w pełni. U dołu okładki napisano: „Upoluj księcia z bajki!”. Modelka na obwolucie trzymała w dłoniach pudełeczko, a na udzie prezentowała podwiązkę. Wyciągała z paczki prawdziwego papierosa. Wyglądało to tak, jakby za chwilę miała podpalić żarliwy slogan.

Damy zgromadzone przy herbatce pochylały się nad magazynami, ale nie dotykały ich ani nie otwierały. Pani Lovernkrandt rozsiadła się wygodnie i posłała gościom przeciągłe spojrzenie. Uśmiechnęła się, ale z zamkniętymi ustami, skromniej niż Amerykanki. Potem zawołała służącą, by przyprowadziła „zwierza”. Potrzeba było do tego dwóch osób. Pokojówka niosła go za jedno ramię, a złota rączka Lovernkrandtów za drugie. Panie wstrzymały oddech i krzyknęły zza stołu: „O mój Boże! Czy to żyje?! Zabierzcie to ode mnie!”. Ale pani Lovernkrandt wstała i podeszła do futrzastego okazu. Zanurzyła ręce w jego cielsku.

– Wyobraźcie sobie! – zakrzyknęła. – Futro uszyte z małych, miękkich zwierzątek. Można się poczuć jak żona wikinga przemierzająca Arktykę na saniach. W Nowym Jorku nie da się obejść bez takiego futra, jest tam doprawdy chłodno. Z całą pewnością zimniej niż w Danii.

Panie miały raczej sceptyczne miny, ale zbliżyły się.

– Z jakiego to zwierzęcia?

– Z futrzanego – odparła pani Lovernkrandt, gładząc dłonią wierzch sierści.

– A jak wygląda ten futrzany?

Liva Lovernkrandt przygotowała się na pytania Antoinette. Wiedziała, że to

pani Bradshaw będzie najbardziej zaciekawiona, najbardziej zazdrosna.

– Jak mangusta, Antoinette. Zupełnie jak mangusta.

Ale cóż to, Liva zaczęła się pocić w tym futrze. Zrzuciła je z siebie i gestem kazała je zabrać.

– Mają też buty uszyte ze skóry węża oraz oprawki okularów zrobione z żółwiej skorupy – ciągnęła, osuszając zroszone potem czoło chusteczką. – Antoinette, możesz to sobie wyobrazić? Na następny wyjazd zabiorę ze sobą rękawiczki, które dla mnie uszyłaś.

Pozostałe panie zaczęły skwapliwie zajadać się pełnoziarnistymi herbatnikami i popijać je herbatą, ponieważ wszystkie wiedziały, że Antoinette Bradshaw nigdy nie postawiła stopy w Ameryce. Czy to nie byłoby coś, gdyby jej rękawiczki tam dotarły, a ona ani razu? Ale Antoinette zatopiła się już w marzeniach. Och, to takie niesprawiedliwe, że kobietom wolno marzyć. Oto ona, pani Bradshaw we własnej osobie, zachodzi w głowę, jak można by uszyć futro z włosia mangusty. Czy Amerykanki by je nosiły? Może zdołałaby przekonać Livę Lovernkrandt, by zabrała ze sobą więcej niż jedną parę rękawiczek, może całą skrzynię rękawiczek i rozdałaby je w prezencie elegantkom z Nowego Jorku? Rękawiczki wystąpiłyby w roli zapowiedzi. Może Antoinette i Owen w końcu pošlą Eeonę do Stanów do modnej szkoły dla dziewcząt. Antoinette uparłaby się, uparła bezapelacyjnie, by towarzyszyć córce. Wówczas Nettie zdołałaby obmyślić powód, by chwilę się tam zatrzymać. Najpierw musi jednak dojść do wprawy w sporządzaniu futer z mangust. Potem kobiety, które miały okazję nosić jej rękawiczki, złożą u niej zamówienia. Później zaprojektuje podwiązki z ozdobami z żółwiej skorupy. Każda kobieta z klasą będzie chciała wsunąć taką na udo. W tej chwili Antoinette wpatrywała się w kobietę z czasopisma, tę gotową rozniecić żar. Warto upolować coś więcej niż tylko księcia z bajki. Gdy Nettie opuściła domostwo Lovernkrandtów, udała się po napar z ostrej papryki, by w końcu wypalić w sobie to twardogłowe dziecko.

7.

Anette

Niech no wam coś powiem o Anegadzie. Sporo mi się mieści w tej mojej twardej głowie. Nie pamiętam jednak nic a nic z tego, co działo się ze mną przed czwartymi urodzinami. Ale pamięć mi niepotrzebna. Historyk – w końcu to ja. Nigdy nie byłam na Anegadzie, ale wiem dość.

Przez całe życie ani razu nie chciałam spędzić płodu. Pragnęłam każdego dziecka, które poczęło się pod moim sercem. Ale nie każda kobieta ma w sobie takie pragnienie. Nie mogę mówić za nie wszystkie. Ale wiem, że na Anegadzie nie dało się uprawiać nic poza miłością. Widzieliście kiedyś to miejsce? Wpadła wam kiedyś w ręce pocztówka z Anegady? Tam jest zbyt pięknie. Jakby niebiosa

i piekło wzięły ślub i zrodziły wszystkie boginie i upiory, jakie tylko się da. Słuchacie? Jeśli wychowaliście się tam, gdzie dorastała mama, wiecie tylko co nieco o pięknie i o tym, jak je stworzyć. A uprawianie miłości to nic innego jak stwarzanie piękna.

Można sobie wyobrazić, że Antoinette Stemme zaszła w ciążę młodo. Prawdopodobnie z miłym chłopcem, poławiaczem homarów o nogach niczym z brązu. A jeśli tak było, nie można jej za to winić. Wszyscy wokół piękni i kochani, a mężczyźni słodcy i czuli. Poza tym na całej wyspie jest może z piętnaście dziewcząt i piętnastu chłopców. To jasne jak słońce, że się spotkają, mieszają, sparują. Wziąć ich do kupy i masz przed oczami najpiękniejszych ludzi na Ziemi.

Możemy sobie tylko wyobrażać, jak wyglądało wtedy życie. Połów to życie. Homar jedzony dwa razy dziennie to życie. Pływanie to życie. Dla nas, mieszkańców wielkiego miasta Charlotte Amalie na Saint Thomas, brzmi to jak rozrywka. Ale dla nich? Wtedy? Nie. Bo na Anegadzie nie znajdziesz ani jednego szpitala. Żadnego lekarza. Jeśli umierasz, to umrzesz. Nie wiń nikogo. Żadnej policji, adwokatów, sądu. Tak już tam jest. Doskonałość, ale z dziurą na przestrzał. To wcale nie wyspa. To atol. Słuchacie?

Gdy więc młody kapitan wpływa statkiem na rafę koralową... Co wtedy? Co z tego, że to jedynie zmyślona historyjka? Możemy powiedzieć, że pewne dziewczę z Anegady o imieniu Antoinette jest syreną. Matka i ojciec kochają ją jak własną ziemię i chcą dla niej jak najlepiej. Zdali już sobie sprawę, że dziewczyna ma na sobie pomysł, który przerasta atol. Przekonują zatem kapitana, choć kapitana Bradshawa wcale nie trzeba mocno przekonywać. Jasne, wiedział, że ona nosi w sobie dziecko innego. Ale dziewczyna była słodsza niż homar. Kapitan znał się na ziołach. To typ mężczyzny, który o kobietach wie wszystko. Zadziałał szybko jak strzała, a dziewczyna wypłukała z siebie dziecko innego. Kapitan statku nie wiedział, że włożył wtedy swojej przyszłej żonie w rękę broń, z której mierzyć będzie do niego przez całe ich małżeństwo.

Uciekł z nią. Kochał ją aż do dnia swojej śmierci, ale w pewien sposób też ją posiadał. To dlatego, że zmusił ją do tyłu rzeczy. Rzuć narzeczonego. Pozbądź się prawie dziecka. Zostaw za sobą Anegadę i nigdy tam nie wracaj.

Wcale nie twierdzę, że tak wyglądała historia moich rodziców. To nie jest prawdziwa opowieść. Chcę tylko powiedzieć, że biorąc pod uwagę to, co wiadomo nam o tamtym miejscu i czasie, moja wersja może mieć w sobie żdźbło prawdy. To moje bajanie, rozlećcie je do kieliszków i upijcie się nim.

8.

Antoinette leżała w łóżku i wiedziała, że już nie śpi. Oczy chciały się jej otworzyć, ale ona się opierała. Odgadła, co się zdarzy. Zamiast tego leżała więc

z szeroko otwartymi ramionami, tak jakby za chwilę miała przygarnąć do siebie dziecinę. Nogi również miała rozwarte na oścież, jak gdyby pragnęła przyjąć w siebie kochanka. Obie pozycje były kłopotliwe. Mimo że powieki wciąż pozostawały zamknięte, mimo że zasunięto moskitierę, która teraz okalała łóżko, pomarańczowa słoneczna poświata i tak sączyła się jej do oczu. Słyszała morze za oknem. Słyszała bzyk komarów tuż za ochronną siatką.

Antoinette zacisnęła dłoń w pięść. Takie małe było dziecko, które w sobie nosiła. Plamiła czerwoną krwią, a mimo to dziecko, nie większe od pięści, się ostało. Musiała z nim wygrać. Było uparte, ale ona zwyciężyła tę rozgrywkę. Miała już jedno dziecko. Dokonała tego: dała Owenowi dziewczynkę. Wystarczy.

Posłuchajcie, Antoinette miała widzenie. Jeśli urodzi kolejne dziecko, straci samą siebie. Jak inne kobiety to robią? Siedmioro dzieci. Dwanaścioro. Choć jej matka, żona rybaka na malutkim atolu, miała przecież tylko ją.

Właśnie wtedy, gdy Antoinette pomyślała o nieżyjących rodzicach i o Anegadzie, gdzie miała słońce u swych stóp, oczy otworzyły się jej na oścież, zanim zdążyła je powstrzymać. Światło uderzyło ją z całą swoją jasnością. Dopadły ją gwałtowne i silne nudności. Odsunęła moskitierę i pochyliła się nad nocnikiem. Wyrzuciła z siebie wczorajszą kolację, teraz czerwonawą, mimo że zjedli baraninę z miętą oraz grzyby z awokado. Opadła z powrotem na łóżko, oddychając ciężko. Zostawiła szparkę między powiekami, na wpół przymkniętymi, pozwalając słońcu delikatnie do siebie docierać.

Dobrze wyszła za mąż mimo brązowej skóry i kiepskiego pochodzenia. Miała córkę, konia oraz kucharkę i służącą w jednej osobie. Miała ogrodnika, który przy okazji przynosił im świeżą rybę na próg. Do tego wszyscy byli teraz Amerykanami. Niebawem przyznają im amerykańskie paszporty. Eeona rosła jak na drożdżach, wprost jak na drożdżach. Owen wziął sobie kochankę, ale który mężczyzna z łądu nie ma kobiety na boku? Delikatne damy, takie jak pani Bradshaw, musiały siedzieć cicho jak myszy pod miotłą. Antoinette Bradshaw była jednak po prostu samolubna.

Antoinette znów zacisnęła dłoń w pięść. Tym razem uniosła ją w powietrze i uderzyła nią w miękkość swego brzucha. Krzyknęła. Lecz zrobiła to ponownie. Znów krzyknęła, ale uderzyła się jeszcze raz i jeszcze raz. Nagle miss Lady zjawiła się u drzwi, dobijając się do środka.

– Madame Bradshaw, mogę wejść? Dopadła panią choroba?

Pani Bradshaw okryła się złą sławą przez to, jak szybko potrafiła stracić dziecko. Leżeć w łóżku – zalecił doktor, gdy była w kolejnej ciąży po Eeonie. Ale to też straciła pomimo leżenia w łóżku. Tak naprawdę utopiła je w łonie, ale kto mógłby jej coś udowodnić? Zażywać morskiej bryzy – stwierdził doktor przy następnym płodzie, ale ten Antoinette też spędziła. A potem orzekł – leżeć w łóżku i zażywać morskiej bryzy – więc Antoinette dzień i noc leżała przykuta do łóżka

z okiennicami otwartymi na oścież. To dziecko chciało przyspieszyć poród. Ale potem zmarło. Kazano mu zamrzeć.

– Wszystko w porządku – zawołała Antoinette do miss Lady, ale miss Lady i tak wpłynęła na przestwór pomieszczenia.

Przyniosła chleb i herbatę, które zostawiła na stoliku nocnym. Posłała pani Bradshaw surowe spojrzenie.

– To musi być dziewczynka. I to uparta – powiedziała, zanim zabrała nocnik.

Antoinette zmrużyła oczy. Miss Lady zdawała sobie sprawę, że Antoinette miała też inne plany poza dziećmi. Ale Sheila Ladyinga mogła przynajmniej udawać, że nie wie – tak byłoby bardziej przyzwoicie. Musi stać po stronie Owena, tak jak każda kobieta pod tym dachem. Antoinette podniosła się i wsparła na łokciu. Co było w tej herbacie? Pewnie coś, co miało wzmocnić dziecko. Antoinette przestała pić gorący napar. Chleb dawało się przegryźć. Zjadła i zatopiła się w marzeniach.

Marzyła, że wraz z mężem spacerują po mlekiem i miodem płynących ulicach Nowego Jorku w jasnozielonych butach ze skóry iguany. Ale powoli docierało do niej, że nie słyszała, żeby Owen Arthur wrócił wczoraj na noc. Pewnie był u tej swojej ladacznicy. Tej więdźmy, kobiety *obeah* – Rebekah. Rebekah, która mogła rodzić niemowlę za niemowlęciem i nadal grać na pianinie, i wciąż sprzedawać limonki i pigwy. Pospolita handlarka, której udało się dobrze wyjść za mąż, a i tak małżonek ją zostawił. Antoinette taka nie była. Mogła mieć przedsiębiorcze sny, ale nigdy nie poniży nazwiska Bradshawów, tak jak Rebekah poniżyła McKenziech. Racja, zacznijmy od tego, że nazwisko rodu McKenziech nie miało tak wysokiej pozycji jak Bradshawów. Mężczyźni z rodziny McKenziech brali sobie przyzwoite żony, ale nie było wśród nich kapitana statku. W każdym razie przedsięwzięcia Antoinette przyniosą rodzinie zysk, nie upadek.

Antoinette wstała i podeszła do sekretarzyka. Napisała wiadomość do Livy Lovernkrandt, że czym prędzej uda się do niej z wizytą, by przedyskutować prywatne sprawy biznesowe. Przywołała miss Lady, by ta dostarczyła notkę. Sheila Ladyinga potrafiła czytać. Antoinette nie zatrudniłaby służącej analfabetki. Można było więc przypuszczać, że miss Lady rozerwie nożem kopertę i naprawdę uwierzy, że madame Bradshaw wybiera się teraz do pani Lovernkrandt. Można też było żywić zaufanie graniczące z pewnością, że miss Lady przekaże tę fałszywą informację Owenowi, jeśli ten ją spyta. Tymczasem pani Bradshaw nie spieszyła się wcale do państwa Lovernkrandtów. Szykowała się na wizytę u samej Rebekah McKenzie. Tej więdźmy Owena.

9.

Antoinette Bradshaw, gdy już dotarła na targ, nigdzie się nie spieszyła. Przebierała w jabłkach cukrowych i ostrych papryczkach. Kiedy dama ze

znakomitej rodziny, nawet jeśli ta znakomita rodzina pochodziła z wcale nie tak znakomitego Frenchtown, udawała się na targ, zwykle towarzyszyła jej służąca lub córka. Ale Antoinette Bradshaw, pani domu z Nadmorskiej Willi, żona kapitana Owena Arthura Bradshawa, przechadzała się spokojnie po chatce bez dachu w pojedynkę. Miała ze sobą koszyczek. Taki, który zdoła pomieścić parę limonek i nieco gujawy, nic więcej. Rynek na Saint Thomas nie przypominał tych zamasztych targowisk, które można znaleźć na większych karaibskich wyspach. Tu znajdowało się nieco ponad dwie dziesiątki kobiet sprzedających dobra. I niecała dziesiątka mężczyzn, sprzedawców trzciny cukrowej. Obok przechadzały się przekupki noszące swoje stoiska targowe w koszykach na głowie. Zawołały Antoinette po nazwisku.

– Najlepsze banany w mieście, madame Bradshaw. Gotowe na patelnię. Nie chce pani smażyć, to dam takie do gotowania.

Antoinette, kiedy przechadzała się powolnym krokiem po targowisku, miała świadomość, gdzie jest Rebekah, a Rebekah była świadoma jej obecności. Kobietom, które dzielą między sobą mężczyznę, zawsze towarzyszy to przecucie. Nawet na zatłoczonym bazarze, pełnym agresywnych prób opchnięcia żywności i mało dziarskich wysiłków sprzedaży cukru, Rebekah i Antoinette zdołały się dostrzec, a teraz obserwowały się przenikliwie kątem oka. Antoinette nigdzie się nie spieszyło. Był ukrop. A ona nie miała zamiaru się spocić.

Wiele straganiarek siedziało obok swego dobytku, pod sobą i dobrami na sprzedaż rozpościerając lniany obrusik. Kupcy spoglądali z góry na kobiety, a gdy się odwracali, handlarki musiały uświadczyc widoku ich oddalających się kuprów. Ale nie Rebekah McKenzie. Rebekah miała stół. Nocą zostawiano go na małym dziedzińcu, by każdego ranka jej synowie mogli zawlec go na targ. Rebekah siedziała za stołem na prawdziwym krześle bardziej jak uprzywilejowany księgowy w banku niż przekupka. Gdy Antoinette podeszła do stołu Rebekah, ta powiedziała do niej to, co mówiła wszystkim innym:

– Musi pani kupić parę limonek, najlepiej dziś pożenić limonkę z pigwą.

– Dobrze wiem, kto jest czyją żoną.

Rebekah się uśmiechnęła.

– Oczywiście, pani Bradshaw. To ja czasem o tym zapominam.

– Proszę jednak postarać się o tym pamiętać, panienko McKenzie.

Rebekah wcale nie była panienką. Wyszła przecież za mąż za Benjamina McKenziego. Ale jej małżonek nie żył albo przynajmniej zachowywał się, jakby nie żył, zwał na okręt marynarki wojennej lub leżał martwy w portorykańskim lesie deszczowym, a przynajmniej takie napływały opowieści. Ale Rebekah nie była taka jak Antoinette. Rebekah to kobieta, która potrafiła dopiąć swego. Mimo że bracia jej męża nie wpadali z wizytą ani nie wpadli na to, żeby do niej zatelefonować, nie mogli odebrać jej tego, co zyskała. A miała dom McKenziego.

Wżeniła się w ród McKenziech. Jej synowie nosili nazwisko McKenzie.

Na tym samym dziedzińcu, gdzie Rebekah składowała stolik, hodowała także owoce. To, z czego nie zrobiła użytku w domu, sprzedawała na targu. W salonie grywała na pianinie. Udzielała lekcji uczennicom, córkom bogaczy, choć nigdy córkom mężczyzn, z którymi sypiała, co oznaczało, że córka pani Bradshaw była z tego grona wykluczona. Poza tym Rebekah uwielbiała targ. Kochała hałas i rozmowy. Kochała władzę. Ubóstwiała używać władzy, którą posiadała. Na targowisku była kimś więcej niż tylko sprzedawczynią limonek i pigwy. Była lekarką, a przynajmniej kimś w rodzaju lekarki, i specjalizowała się w kobiecych problemach.

Miała władzę pochodzącą od tych wszystkich ludzi, którzy stworzyli Owena Arthura Bradshawa, od tych, co stworzyli każdego z nas. Znała musztardę ze Skandynawii. Znała gałkę muszkatołową z Afryki Zachodniej. Znała morskie winogrono od Arawaków. Rebekah potrafiła stwarzać różne rzeczy. Mogła sprawić, by krew zamieniła się w twoim ciele w wodę morską i wysuszyła cię na wiór od wewnątrz. Umiała poddać macię korozji jak puszkę, aż jajeczka wewnątrz zagrzechotały niczym żebrak trzęsący kubeczkim na jałmużnę. Potrafiła obrócić w popiół kieszenie chytrego męża, obrócić w proch jego paznokcie u rąk, aż powoli zaczęło kręcić mu się w głowie, aż z uszu posypały się monety. Potrafiła bezpiecznie przetransportować kobietę z Saint Thomas do Nowego Jorku nawet na tonącym statku. Każda wyspiarka wiedziała, co Rebekah potrafi. Oczywiście umiała też pozbyć się tego, czego Antoinette chciała się pozbyć.

– Muszę strącić owoc z gałęzi – odezwała się Antoinette cicho, odwróciwszy wzrok.

– Próbowalaś zagnieść błoto z gałką muszkatołową i sosem pieprzowym? Zadziałało poprzednim razem.

– Niczym nie można wycisnąć soku z tego owocu.

Antoinette obracała w dłoni limonkę ze straganu Rebekah.

Rebekah obsłużyła inną klientkę i podała jej torbę limonek z pigwą.

– Spróbuj guanabany i morskiego winogrona. Popij wywarem z wrzącej wody z solą.

– Bardzo twarda ta limonka. – Teraz patrzyła wprost na Rebekah. Nachyliła się nad stołem, ściskając owoc limonki, który trzymała w dłoni. – Nie każ mi błagać, siostró.

Przecież były siostrami. Kobietami kochającymi tego samego mężczyznę. To ich połączyło niczym dwie córki zrodzone z jednego ojca.

Rebekah spojrzała na ręce Antoinette, lepkie od kwaśnego miąższu.

– Przyjmę cię dziś wieczorem.

A potem podała Antoinette najśłodsza pigwę ze stoiska.

Och, ale to, co nastąpiło tamtego wieczoru, nie wystarczyło, ponieważ nic

nie było wystarczające. Po wszystkim Antoinette leżała na łóżku w Nadmorskiej Willi. Najpierw zajrzała z pospieszną wizytą do Lovernkrandtów, aby uciąć sobie z Livą pogawędkę na temat możliwości skrojenia butów z iguany i uszycia etoli z mangusty. Potem udała się do Rebekah. Wtedy Rebekah położyła dłoń na brzuchu Antoinette i natychmiast cofnęła ją jak oparzona.

Zapadła noc, Antoinette leżała w łóżku, ale tym razem nie była sama. Odwiedził ją doktor. Nie dlatego, że Antoinette straciła dziecko. Ale ponieważ Antoinette pokonała pieszo całą drogę od Rebekah, zapomniawszy zabrać ze sobą osiodłaną na damską modłę mulicę, którą uwiązała przed domem McKenziech – więc wszyscy i tak się domyślą. Antoinette we własnym domu weszła na szczyt wysokich schodów, po czym obróciła się i rzuciła się z góry. Ale Antoinette nie zwichnęła nawet kostki. Nie nabiła sobie ani jednego guza. Dziecku nic się nie stało.

Lecz pani domu rzucająca się we własnym domu ze schodów stwarzała wystarczające niebezpieczeństwo. Wezwano więc doktora i ciąża, którą Antoinette usiłowała utrzymać w tajemnicy przed światem, została odkryta, a potem ogłoszona wszem wobec. To był ten sam doktor, który wcześniej kazał jej leżeć w łóżku, potem zażywać morskiej bryzy, a na końcu przykazał obie te czynności. Teraz zalecił rzecz najgorszą ze wszystkich: pani Bradshaw nie wolno spuścić z oka ani na chwilę. Kiedy pani Bradshaw zmruży oczy, ktoś musi być u jej boku, ktoś musi jej dotykać. Potrzebuje czuć bicie serca i puls drugiej osoby – stwierdził doktor. To pomoże ukoić jej nerwicowe epizody i utrzyma dziecko przy życiu.

Tej nocy Owen Arthur został więc przy żonie i nie odwiedził kochanki ani nie wymknął się do córki. Leżał w łóżku z małżonką, przyciskając ją mocno do piersi, by mogła poczuć bicie jego serca. Dawniej na początku ciąży nie chciał nawet tknąć jej palcem ze strachu przed poronieniem. Ale prawdę mówiąc, uwielbiał ciało nimfетки żony, gdy nosiło w sobie dziecko, tak jakby ona sama stawała się dzieckiem.

Antoinette spoczęła na jego piersi. Na nagiej klatce piersiowej, od zawsze pozbawionej owłosienia. Czowała, że teraz bez wątpienia straci wszystko. Wszystko poza swoim mężczyzną. Dobrze, niech tak będzie. Podda się temu. Ostatecznie odniosła pewne zwycięstwo. Niech szlag trafi Rebekah, która nie potrafiła jej nawet pomóc pozbyć się dziecka.

Ale Antoinette nie miała do końca racji. Tej nocy Rebekah była we własnym domu. W domu z czerwonymi okiennicami i pianinem, które kupił dla niej Owen. Wszyscy synowie, poza tym w brzuchu, już spali. Ona także nosiła pod sercem dziecko Owena. Koniec końców Antoinette nie odniosła nad nią całkowitego zwycięstwa. Męża Rebekah nie było od niemal roku. Wszyscy będą szeptać, że nowy potomek nie pochodzi z prawego łóża. Rebekah także usiłowała się pozbyć dziecka – dla jego własnego dobra. Ale nawet napary, herbatki i zaklęcia Rebekah

nie pomogły. Gdy tylko przyjęła u siebie Antoinette, wiedziała już dlaczego.
10.

– Pluję krwią – powiedziała Antoinette, gdy przyszła do Rebekah w poszukiwaniu zaklęcia *obeah*. – Kiedy wymiotuję, to zawsze na bordowo.

Rebekah dotknęła brzucha Antoinette. Dłoń Rebekah była chłodna i delikatna. Kobieta rzucająca zaklęcie *obeah* oderwała rękę i zaskoczona uderzyła się po klatce piersiowej.

– Dobrze – powiedziała Rebekah. – Niech będzie. Nie zostawiasz mi innego wyjścia, kobieto.

Ale wcale nie miała na myśli Antoinette. Rebekah mówiła o duchu dziecka, które wyrośnie na rudowłosą kobietę. Rudzielec skradnie duszę syna Rebekah. Te dzieci razem napiszą okropną historię.

Rebekah poszła do swojej izby. Zdjęła prawy but. Chwyciła brązowy włos znad pęciny i wyrwała go.

Antoinette chwyciła kosmyk zwierzęcego włosa, który podała jej Rebekah.

– Połóż to sobie pod językiem – poleciła Rebekah.

Antoinette nie zawahała się ani chwili.

– A teraz czekamy – powiedziała Rebekah.

Szorstki włos tkwił pod językiem Antoinette. Czekiła, aż się rozpuści albo wyrosną mu odnóża i wypełnią jej z ust. Wsłuchiwała się w rozgwar mijających ją i nawołujących się ludzi.

– I co?

Antoinette pokręciła przecząco głową.

– Daj mi go.

Antoinette wypluła włos z buzi. Był oślizły, ale zmienił barwę na srebrną. Czy to *obeah*? Antoinette pomyślała o swojej chodzącej już po tym świecie córce, o srebrze Eony, i zastanawiała się, co to wszystko może znaczyć. Czy gdy Antoinette wróci do domu, poczuje znajome skurcze, a potem dziecko, strużka krwi, błysk srebra, nic więcej, wyleje się z jej wnętrzości? Czy klątwa spocznie także na Eonie?

Rebekah spojrzała na swój włos w dłoni Antoinette. Zaniepokoiło ją jego lśnienie. Nigdy wcześniej jej się to nie zdarzyło. Ale wiedziała, że to oznacza, iż zarówno jej, jak i Antoinette przytrafi się coś złego. To pradawna, odwieczna przepowiednia.

– To dziecko zabije ciebie, zanim ty zdołasz je zabić.

– Dlaczego? Powiedz mu, żeby nie przychodziło na ten świat. Ta dziecina mnie już nie słucha.

Rebekah się odwróciła. Sięgnęła za pazuchę po pieniądze, które dostała od Antoinette. Wiedziała, że pani Bradshaw ma na imię Antoinette, ale nigdy by się

tak do niej nie zwróciła. Rebekah pamiętała, że nawet Owen Arthur nie mówił do pani Bradshaw po imieniu, ale „Nettie”, bo podczas gdy uprawiali swą burzliwą miłość, nazwał ją tak nieraz.

– Madame Bradshaw, nie zostanie pani matką tego dziecka.

Przez wiele długich miesięcy młodej Eeonie kazano każdej nocy kłaść się do łóżka, które przestawiono do przeciwległego skrzydła domu. Pokój obok izby mamy przygotowywano na narodziny dziecka. Eeona leżała samotna i kipiała ze złości. Była wystarczająco dorosła – sama osiągnęła już wiek zamążpójścia – by wiedzieć swoje. Wściekała się do granic możliwości, że od tak dawna nie pływała już nocą razem z ojcem. Od dawna nie tańczyli na balkonie o zmroku. Od tak dawna nie zabrał jej na spacer o świcie. Cały swój czas poświęcał teraz mamie.

– Twoja matka to pani tego domu – powiedział jej, gdy szukała go pierwszego z wielu samotnych wieczorów. – Muszę być przy niej w potrzebie.

Rozgoryczenie rosło w ciele Eeony niczym guz albo może jak dziecko.

Brzuch Antoinette urósł do rozmiarów kontynentu. Owen trwał u jej boku, tak jak zalecił doktor. Mimo że pożył jej pełnego wyczekiwania ciała, nigdy nie kochał się z żoną, gdy wiedział, iż jest w ciąży. Stale obawiał się straty dziecka. Poza tym, nawet gdyby Antoinette doczekała się zaokrąglonego brzucha, wtedy z pewnością nie wydałaby mu się już tak apetyczna jak w pierwszych miesiącach błogosławionego stanu. Na tym etapie Owen zwykle pożył wąskości ciała córki, więc chodził sobie ulżyć gdzie indziej. Ale teraz Rebekah także była w ciąży. Próżno u niej szukać smukłości. Kazano mu zostać przy Nettie i sam również chciał przy niej trwać. Być może w jej łonie do przyścia na świat przygotowywał się długo wyczekiwany chłopiec. Teraz zatem mąż i żona uprawiali miłość, bo to także zalecił im doktor. Ona była ogromna jak okręt, a Owen sterował nią jak kapitan. Podobały mu się nawet nowe obrzmiałość i gorąco buchające z jej wnętrza. Owen, kochając się z żoną, nigdy nie wspomnił imienia Rebekah. „Posiadam ją” – te słowa powtarzał w głowie jak mantrę, która nigdy nie przeszła mu przez usta.

Antoinette udała się na targ jeden jedyny raz o tej porze roku, a Eeona i miss Lady poszły razem z nią. Nie postawiła tam stopy już ani razu, dopóki dziecko nie przyszło na świat. Za tym jednym razem Nettie zobaczyła Rebekah sprzedającą słodką paprykę i gałkę muszkatołową. Nettie dostrzegła u Rebekah zaokrąglony brzuch, tylko odrobinę większy od tego Antoinette. Pani Bradshaw nie wiedziała o jej ciąży. Ze strachu przed wywołaniem u madame jeszcze częstszych nerwicowych epizodów nikt nie puścił pary z ust. Ale teraz Antoinette już wiedziała, co się stało. Nie odniosła zwycięstwa nad Rebekah. Tkwiły w tym razem.

Tego ranka, kiedy Antoinette w końcu poczuła regularne skurcze, Owen Arthur był w niej. Jęknęła, a on, źle to interpretując, napierał mocniej. Pozwoliła mu skończyć, w końcu była dobrą żoną. Kiedy opadł bez sił obok niej, zwróciła ku niemu twarz.

– Sprawileś, że dziecko chce wyjść.

Leżąc w łóżku, miała poczucie, jakby kula ziemską chciała się z niej wydobyć. Gdy dziecko wydostało się na świat, zaczęło zawodzić, jakby się paliło, a włosy miało czerwone jak pancerzyk homara. Antoinette spojrzała na oblicze dziecięcia.

– Och – powiedziała. – Gdybym wiedziała, że to będziesz ty...

Dziewczynka była cała skąpana w czerwieni. Jej homarowatość przypominała Antoinette czasy sprzed niań, służących i męża ze statkiem. Przywiodła jej na myśl wspomnienie Anegady. Dała więc dziecku przewrotne imię.

Kiedy przyszedł Owen, Antoinette pozwoliła mu wziąć ich córkę na rękę. Owen trzymał niemowlę, wcale nie tak rozczarowany jego kobiecością, jak się spodziewał. Zamiast tego zachodził w głowę, czy pomoże mu ono zwalczyć niebezpieczną miłość, którą żywił do drugiej córki. Myślał o imionach takich jak Francesca albo Liberia, które mogłyby przydać dziewczynce nieco wolności. Ale Antoinette wyraziła się jasno.

– Dałam jej na imię Anette. Po mnie.

W miejsce drugiego imienia Antoinette dała dziecku Stemme, swoje panięskie nazwisko, które umieściła w świadectwie urodzenia małej. Akt nadania imienia to pierwsze gusła odprawiane przez rodziców.

Podawała Anette pierś. Ale rudowłose niemowlę ugryzło matkę, zamiast ssać. Mimo że Antoinette smarowała biust łagodzącą maścią, jej sutki nadal pękały i krwawiły. Były tak podrażnione, że wyglądały jak wnętrzości lucjanowatej ryby. Antoinette z tą samą determinacją co zawsze wpychała dziewczynce sutek do buzi i płakały razem.

Można powiedzieć, że Anette uczepiła się jej, bo wiedziała, że matka odejdzie. Nie miała nawet cienia szansy, by zatrzymać ojca. A Owen Arthur nie zostawi dla Anette nic a nic, gdy odejdzie. Ani skrawka ziemi. Każdy wyspiarz powiedziałby, że powinien zostawić choć to. Bo na początku jest tylko woda, ale na końcu zostaje jedynie proch. Owen nie zostawił żonie ani dzieciom nic poza morzem.

12.

Eeona

To ja poprawiałam angielski Anette, bo już jako dziecko mówiła jak Francuzeczka. To prawda, że miałam ciemne, gęste i nieposkromione włosy, ale to ja poskramałam jej niesforną fryzurę podgrzanym do czerwoności metalowym grzebieniem. Byłam dobrze wychowaną dziewczyną. Nie musiałam jechać do szkoły dla panienek w Portoryko tak jak mama, gdy wyszła za papę.

Przez cały tydzień po przyjściu Anette na świat przy stole w jadalni siedzieliśmy tylko papa i ja. Podawał mi każde danie. Rozprawiał ze mną

o interesach. Dzielił się ze mną swoimi zmartwieniami – o statek, któremu przybywało lat, oraz o marny i nieprzynoszący godziwych zysków załadunek. Popijałam z jego szklaneczki zakazany rum. Byłam wówczas gospodynią Nadmorskiej Willi. Papa uśmiechał się i mówił, że mam głowę do tych spraw i byłaby ze mnie wspaniała madame.

Nawet gdy mama już wróciła do siebie, to ja odprowadzałam papę po Main Street w dni wolne i święta. Mama zostawała w domu z małą Anette, udając, że nic ją to nie obchodzi. Zakładałam rękawiczki, które mama dla mnie uszyła, po czym wyciągałam odzianą w rękawiczkę dłoń, by całowały ją drżące usta ze śliną zebraną w kącikach. Małe dziewczynki biegły za mną, chwytając się halek mojej sukni, licząc chyba na to, że jeśli dotkną mej garderoby, to choć kropla mojego piękna na nie spłynie. Wydaje mi się, że mama była tym wielce zaniepokojona.

Mama i mała Anette dołączyły do papę i do mnie podczas nabożeństwa w kościele anglikańskim. Nadal to ja stałam obok papę. Zawsze trzymał chusteczkę w pogotowiu, by w razie czego móc ocierać spocone oblicza pozostałych parafian, którzy spieszyli mnie pozdrowić, jeszcze zanim ucichły organy. Papa dbał o mnie w ten i na wiele innych sposobów. Nawet ministranci potrząsali dzwoneczkami i podnosili hostię do ust biskupa z wdziękiem, o którym wiem, że był przeznaczony wyłącznie dla mnie. Ale te zabiegi były próżne, bo ja należałam tylko do ojca.

Z małej Anette nie była żadna piękność. Systematycznie gorączkowała, jakby wiedziała, że tym sposobem skupi na sobie uwagę mamy. Dziś Anette jest nauczycielką historii i bada przeszłość, ale być może wtedy znała przyszłość. Może wiedziała, że mama od nas odejdzie. W każdym razie Anette stała się nową laleczką mamy. Papę i mnie zostawiono sobie samym. Tyle że teraz byłam już młodą kobietą.

Po zachodzie słońca papa uczył mnie na balkonie walca i tańca na siedem. Lniane zasłony oddzielały balkon nie tylko od reszty domu, ale i od całego świata. Zasłony wzdymały się i opadały, wprawiane w ruch morską bryzą.

– Właśnie tak, kochanie. I raz, i dwa, i trzy, i cztery, i pięć, i sześć, i siedem. I raz, i dwa, i trzy. Doskonale!

Miałam na sobie podomkę mamy, a wydawało mi się, że to balowa suknia. Papa puszczał się w obroty ze mną stojącą na jego stopach, a potem kołysaliśmy się na boki. Trzymał sztywno rękę uniesioną wysoko, przyciskając mnie do siebie, jak Francuzik ściska swoją niemłodą już żonę. W końcu – mimo że nie byliśmy Francuzikami – mieszkaliśmy we Frenchtown. Tańczyliśmy na galerii wychodzącej na port, gdzie „Homecoming” stał zacumowany i czekał na rozkaz papę. Pływaliśmy w morzu, nadzy jak nas Pan Bóg stworzył. Statek był ogromną tarczą, osłaniającą nas przed wścibskimi spojrzeniami. Wyobrażałam sobie, że tylko my tworzymy rodzinę. Żadnej mamy, żadnej małej siostrzyczki. Wiedziałam, że te marzenia są podłe, ale nie mogłam się powstrzymać. Mój umysł błądził i plół

bsdury.

– Kocham cię, papo.

– Kocham cię, moja ty.

Przy śniadaniu szeptano o naszych potajemnych *rendez-vous*, choć staraliśmy się utrzymywać je w tajemnicy przed mamą. Znałam te historyjki na pamięć. Miss Lady, która – jak wówczas wiele osób na wyspie – nie umiała pływać, mówiła, że widziała przerażające zjawy unoszące się nad oceanem. Mister Lyte, Francuzik, a więc urodzony pływak, stwierdził, że to byli kapitan Bradshaw i jego kochanka syrena. W każdym razie Sheila Ladyinga i Hippolyte Lammartine zgadzali się co do tego, że kobieta duch miała włosy, które falowały jak ocean po zmierzchu. Papa i ja, osłonięci wzdymanymi wiatrem zasłonami albo cielskiem statku, jako jedyni znaleźliśmy tę wyjątkową prawdę: Louis Moreau nie będzie pierwszym mężczyzną, którego pocałuję.

Teraz statek papy Owena osiadł na mieliźnie Anegady i tam został pogrzebany. Moja Nadmorska Willa nadal stoi, choć już się tak nie nazywa. Zdaje się, że każdy może wejść do naszych sypialni, gdy tylko zapłaci za posiłek. Nawet balkon, gdzie tańczyliśmy z papą, można dziś wynająć na bankiet. Na ścianach wiszą fotografie przedstawiające Francuzików holujących łodzie albo Charlotte Amalie przed wciągnięciem na maszt amerykańskiej flagi. Ale nie ma ani jednego zdjęcia papy i mnie. Nie pozostał po nas żaden ślad, nawet białe koszule nocne ani kapcie, tylko wiatr wieje ten sam, który niegdyś owiewał nasze skąpane w morzu twarze, przywarte do siebie policzkami.

13.

Anette Stemme Bradshaw wyrosła na nauczycielkę historii, ale nigdy nie pozna nadprzyrodzonych prawd o początkach własnej historii. Gdy już podrośnie na tyle, by usłyszeć opowieść o sobie, jej rodzice będą martwi.

Jako dziecko przypominała rudego aniołka. Miała czerwoną skórę i czerwone włosy, niektórzy uważali ją za paskudę. Czerwonawa karnacja była nawet atrakcyjna. Jednak rude włosy mogły wskazywać na chorobę genetyczną. Coś jak albinizm, co wyspa ujrzała na żywym przykładzie grzecznego, ale zbyt cichego dziecka, które nie dożyło nawet szóstego roku życia. Anette jednak dożyje. Rude włosy, rzecz jasna, to cecha odziedziczona po rodzinie ze strony Antoinette. Rude włosy u dziecka to jedno, ale u dorosłej kobiety z Anegady to coś zupełnie innego – coś frapującego, magicznego.

Nie wszystkim rude włosy małej Anette wydawały się bez reszty brzydkie. W końcu to znak jej słonecznego usposobienia, bo czyż słońce to nie wielka kula ognia? Do tego Anette była oddaną wyznawczynią uśmiechu. Nawet jako niemowlę miała dryg do ludzi, tak jakby ludzie stanowili jej hobby. Uśmiechała się, zanim skończyła tydzień, i nawet miss Lady musiała przyznać, że uśmiech był

prawdziwy, nieudawany, jako że noworodek patrzył wprost na rozradowaną buzię matki i odpowiadał tym samym.

Mała Anette zaczęła chodzić, kiedy miała dziesięć miesięcy, co nie było znowu aż tak niezwykle, ponieważ wszystkie nasze dzieci potrafiły chodzić, jeszcze zanim skończyły roczek. Ale Anette w wieku dziesięciu miesięcy zaczęła także mówić. To było prawie niemożliwe, a jednak się stało. Potrafiła chodzić i mówić, miała poczucie humoru i wycucie do ludzi, a to wszystko przed pierwszymi urodzinami.

Ale nie ma na to żadnego dowodu. Rodziny, które pragną zachować spuściznę, troszczą się o zapisy spadkowe. Umieszczają na przedmiotach swoje imiona, które potem żyją utrwalone – w książkach, budynkach, chłopcach – gdy ich samych już zabraknie. Owen Arthur nie otrzymał takiej schedy, podobnie jak jego żona. To prawda, że każde z nich cechowało się ogromną determinacją. Ale ich losy zderzyły się z wielkim okrętem narodu, który to naród zalał ich falą i za bardzo zmiękczył. Dla małej Eeony mieli jeszcze srebrne łyżeczki oraz grzechotkę z prawdziwego złota. Ale gdy Anette przyszła na świat, ów świat zdążył się zmienić. Prohibicja narzucona przez Amerykanów przegoniła gdzie pieprz rośnie producentów rumu. Amerykanie z kontynentu przybijali do brzegów własnymi statkami pełnymi turystów. Tak różni od Duńczyków, Brytyjczyków i Francuzików, ci nowi biali ludzie budowali domy na wzgórzach. Na wybrzeżu wyspy stawiali hotele. Na małej portowej wysepce otworzyli Gull Reef Club. Z dala od nas, od ludzi.

Antoinette próbowała pochwycić mały huragan w postaci Anette. Łapała pulchniutkie niemowlę i szeptała mu do ucha: „Anegada”. „Słodki homarku” – powtarzała – „ukryty za horyzontem”. „Moja mała córeczka Duene”. Potem wypuszczała Anette z objęć i pozwalała jej się ulotnić.

Gdy Anette liczyła sobie zaledwie jedenaście miesięcy, Antoinette zabrała dziecko nad morze. Nie wybrała jednak plaży miejskiej, która byłaby zbyt blisko widoku. Plaże stanowiły miejsce spotkań towarzyskich. Antoinette nie chciała zaś, by ktokolwiek ją pouczał, że źle robi. Mieszkańców Wysp Dziewiczych cechował uzasadniony strach przed wodą. Z wyjątkiem wyspiarzy z Anegady i Francuzików z Saint Thomas większość z nas nie umiała pływać. Nawet doświadczeni marynarze pokładowi tonęli równie łatwo, jak ci pracujący na lądzie. Owen, obdarzony sekretnym francuskim dziedzictwem, szybko nauczył się pływać. Ale uważano, że ta umiejętność bardziej przystoi tchórzowi niż kapitanowi statku. Kapitan miał iść ze statkiem na dno, a nie ratować się własnymi siłami. Mimo to Owen nauczył swoją starszą córkę pływać, wyrzucając ją za burtę okrętu „Homecoming”, gdy miała pięć lat.

– Nie walcz! – krzyczał do niej, gdy ślicznymi rączkami i nóżkami biła w wodę. – Jeśli będziesz walczyć z wodą, utoniesz – powiedział, po czym

zanurkował tuż obok niej. Potem chwycił ją i pokazał, jak zmusić wodę do uległości. Pływanie było jak uwodzenie.

Ale kiedy Anette tak szybko nauczyła się mówić, napędziło to ludziom stracha. A co dopiero powiedzieliby, gdyby zobaczyli, jak pływa, mimo że nie skończyła jeszcze roczku? Antoinette przysłała na świat na atolu Anegady, była urodzoną pływaczką. Anette też nią będzie. Wszyscy Anegadyjczycy to ludzie morza.

Na wyraźne żądanie Antoinette mister Hippolyte przygotował wóz zaprzężony w mulicę, którym matka z córeczką ruszą na wieś, a potem wyjadą za wiejskie opłotki. Udawały się na plażę, gdzie nieopodal brzegu właśnie odkryto głęboki na trzydzieści stóp rów. Żołnierz amerykańskiej marynarki wojennej odbił od nabrzeża i nagle znalazł się na morskich głębinach. Istnienie rowu, który wcześniej pojawiał się jedynie w opowieściach zabobonniczek, zostało potwierdzone. My, stare wiedźmy, które wiemy wszystko i od zawsze, tylko przytaknęłyśmy w milczeniu.

Plaża z powodu rowu morskiego była niebezpieczna, więc nie dało się tu uświadczyc żywej duszy. Wybrzeże było piękne, a woda czysta jak kropla deszczu na dłoni. Kimkolwiek był właściciel ziemi, nie zwracał sobie głowy intruzami. Niektóre plaże na wyspie zamknięto i ogrodzono, ta uniknęła jeszcze tego losu.

Mister Lyte dosiadł mulicy. Ludzie mijali ich i pozdrawiali, Antoinette odwzajemniała pozdrowienia i odpowiadała, że jadą na wieś, by dziecko zażyło świeżego powietrza. Matce, dziecku i służącemu droga na wieś zajęła parę godzin, dopiero potem ruszyli na wschód, a później na plażę, która wtedy jeszcze nie miała oficjalnej nazwy, ale później nazwano ją Coki.

Na miejscu byli tylko oni. Tylko Hippolyte, pani i dziecko. Mężczyzna uwiązał mulicę i dał jej jeść. Matka wyjęła wąski szal i nakarmiła córeczkę z przesadną wstydlivością. Potem wyciągnęła spore prześcieradło, rozłożyła je na piasku i zabrała się do jedzenia drożdżowego chlebka oraz spoconego żółtego sera, które uprzednio przygotowała, a teraz przeżuwała chleb na papkę dla dziecka. Podzielili się wodą. Mister Lyte wrócił do mulicy.

Kiedy ogrodnik oddalił się na przyzwoitą odległość, Antoinette rozebrała małą z ciuszków. Potem sama zdjęła z siebie ubranie, żeby mokry materiał jej nie zdradził. Utopienie dziecka – tak zawyrokowałyby wyspa. Anette przywarła do matki, kiedy szły do wody, niczym w mitycznej opowieści.

Tak, wierzymy w plażę. Zawsze wierzyliśmy w plażę. Plaża to miejsca chrztów i pogrzebów. Bachanaliów, ale także samotności. Nie uważaliśmy jednak, że morze – nawet jeśli zachowuje się najspokojniej na świecie – to odpowiednie miejsce dla dzieci. Poza tym był styczeń, a żaden mieszkaniec Wysp Dziewiczych pozostający przy zdrowych zmysłach nie pływa w zimowym morzu. Ale Rebekah powiedziała, że Antoinette nie będzie matkowała temu dziecku, więc Antoinette

zrozumiała, iż Anette trzeba nauczyć wszystkiego, czego może nauczyć ją matka, i to tak szybko, jak to tylko możliwe. Fale nie przypominały zwykle łagodnego karaibskiego morza. Były dorodne, wysokie, piętrzące się i spienione. Po niecałej godzinie mała sama pływała już pieskiem. Schowana pod wodą z otwartymi oczami, to zanurzała, to wynurzała ręce i nogi, uśmiechając się szeroko. Fale brały ją w objęcia, to znów wyswobadzały, by zaczerpnęła powietrza. Anette miała morze we krwi. Jak każde dziecko Anegady.

Wysuszyły się na prześcieradle i znów weszły do morza, po czym ponownie wyschły po to tylko, by po raz kolejny zanurzyć się w wodzie. W przerwach Antoinette owijała się prześcieradłem i trzymała Anette za rękę, wypatrując gorgonii. Kiedy Antoinette dostrzegła dużą muszlę, wyciągała ją dla dziecka.

– W tej muszli możesz usłyszeć papę – powiedziała do Anette.

Ale zdołały dosłyszeć tylko morze. Mała Anette przyciskała główkę do muszli. Dźwięk nieco ją usypiał.

– Dobranoc, papo – powiedziała w głąb muszli.

Antoinette uspiła córkę, delikatnie muskając jej twarz i włosy. Nikt inny nie dotykał dziecka w ten sposób. Gdy Anette się zbudziła, ruszyły z powrotem do morza.

Hippolyte obserwował je cały czas, choć przymykał oko na nagość pani. Musiał mieć nad nimi pieczę, bo na dnie morza był rów, a plaża niezwykle oddalona od domostw. I tak, madame Bradshaw była piękną kobietą. Wpatrywał się w nie wystarczająco z bliska, by móc je pochwycić, gdyby porwał je prąd. Ale też był wystarczająco daleko, żeby nie dostrzegać zagłębienia pod obojczykiem albo krągłości piersi.

Hippolyte Lammartine był człowiekiem godnym zaufania. Zachowywał w tajemnicy każdy rodzinny sekret aż do dnia, gdy zdradził je wszystkie. Mała Anette była stanowczo za mała, żeby pamiętać tamten dzień. Kiedy Eeona powie jej później: „Nie zbliżaj się do wody, bo utoniesz jak papa”, Anette jej uwierzy. Nigdy nie dowie się, że jej matka zdążyła nauczyć ją pływać.

Prawda jest taka, że matka z dzieckiem raz po raz przechodziły chrzest na plaży, która zdawała się niczyja. Poza dniem, kiedy należała tylko do nich.

14.

Eeona

Papa zamierzał zapewnić mi szkolną edukację, przystojącą młodej damie. Mama optowała za wyjazdem do Ameryki, ale tylko pod warunkiem że mogłaby zostać na miejscu ze mną, na wypadek gdyby zainteresował się mną odpowiedni zalotnik. Papa upierał się, że obecny stan ich finansów nie pozwala na taki wydatek. Trzeba by się wykosztować na transport i zakwaterowanie dla czterech osób, ponieważ mama nie zostawiłaby małej Anette, a Anette oczywiście

potrzebowałyby niańki. Ja jednak wiedziałam, że papa po prostu chciał zatrzymać mnie przy sobie. Mama zaś pragnęła wysłać mnie jak najdalej stąd.

Tortola to wyspa jeszcze bardziej rolnicza od naszej. Znajduje się o wiele bliżej Ameryki, bliżej nawet niż Portoryko. Mama miała tam kuzynkę, która będzie nadzorować moją edukację i odsiewać potencjalnych amantów.

Nie uroniłam ani jednej łzy, aż znalazłam się na łodzi, a wyspa Saint Thomas stanowiła jedynie parę pagórków majaczących w oddali. Wtedy wylałam całe morze łez. Mężczyźni przechadzali się nieopodal to w tę, to we w tę. Chciałam skoczyć do wody tylko po to, by jeden z nich mógł mnie uratować. Nie zaryzykowałam jedynie dlatego, że zaświtało mi w głowie, iż gdy już uwolnię się od stęsknionego bólu w piersi i łądźwiach, z zadowoleniem będą patrzeć, jak idę na dno.

Będę tęsknić za dziką Anette, wspinającą się na drzewa i potrafiącą inne rzeczy nieprzystające panienkom. Będę tęsknić za opowieściami matki. Zaś co do ojca... żadne słowa nie opiszą mojej za nim tęsknoty.

Moja francuska guwernantka była podstarzałą kuzynką, która organizowała mi szereg *entretiens* z każdym dobrze urodzonym Francuzem przybywającym na wyspę. Mimo tego nie mogła zatamować napływu podarków od innych konkurentów. Mężczyźni zastawiali schody werandy owocami i kwiatami.

Louisa Moreau wybrałam po sześciu miesiącach przebierania w ofertach. Przez cały ten czas byłam z dala od papy i Nadmorskiej Willi. Moreau pochodził z prawdziwej francuskiej rodziny, więc przy jego boku zostanę prawdziwą madame. Nie urodził się na naszej wyspie, zatem łatwo dawał sobą sterować. Nie powinnam była płynąć z Louistem z Tortoli na Anegadę. Taka przygoda sam na sam z mężczyzną była zabroniona. Mimo tego pragnęłam się stać kobietą, która bierze los we własne ręce i zajmuje należne jej miejsce w świecie, a nie taką, która musi prosić się o to jak mama.

Pozęglowaliśmy z Louistem na Anegadę i nie powiedzieliśmy o tym żywej duszy. To była zaledwie jednodniowa wycieczka, powrót zaplanowaliśmy przed zachodem słońca. Starsza kuzynka była już leciwa i zdarzało jej się przeoczyć najprostsze sprawy, takie jak to z kim i jak długo się zadają. Na małym stateczku trzymaliśmy się z Louistem blisko siebie jak kochankowie. Ktoś krzyknął, że Anegada jest już blisko, wypatrywałam więc skrawka lądu, ale na próżno. Louis ujął moją dłoń i skierował mój palec gdzieś w dal. Wyspa nie odznaczała się na linii horyzontu.

Tortola, gdzie mieszkałam, jest górzysta, podobnie jak Saint Thomas. Pagórki są tu strome jak ściana. Anegada to jednak wcale nie wyspa. To raczej pierścień koralu wystający nieco ponad powierzchnię wody. Brakuje tam drzew, za to pod dostatkiem jest piasku. Podwodna rafa wyrasta już osiem mil od brzegu. Dlatego właśnie jest tam tak niebezpiecznie.

Nasz stateczek musiał zdekować daleko od lądu, na skraju rafy koralowej. Na spotkanie wypłynęła nam łódź wiosłowa, którą zabrano nas bliżej brzegu. Ale nawet łódkami nie dało się pokonać płycizn rafy. Ciemnoskórzy mężczyźni wzięli na ręce mnie i pozostałe kobiety, po czym zanieśli nas na nabrzeże, żebyśmy nie zamoczyły sukien. Gdy mój tragarz mnie podniósł, zadrżał z przejęcia. Można by pomyśleć, że jestem skrzynią pełną porcelany.

Leżąc na piasku, mogłam dostrzec, że niebo nad Anegadą tworzy ogromną kopułę. Gdziekolwiek się obejrzałam, widziałam firmament leżący tuż u moich stóp.

„Monsieur Moreau” – wołali ludzie i skłaniali głowy, ale spoglądali tylko na mnie. Wtedy dostrzegłam arogancję tej wycieczki. Mimo że papa, mama i ja wiele razy podróżowaliśmy na pokładzie statku „Homecoming”, nigdy nie przybiliśmy do brzegów ziemi ojczystej mojej matki. Nigdy tak naprawdę nie przyszło mi do głowy, że na wyspie może nadal żyć bliska rodzina mamy, a ja zostanę rozpoznana.

– Dzień dobry – powiedziała do mnie i Louisa pewna kobieta, a ja ruszyłam dalej.

Jej oczy lśniły spod burzy włosów czerwonych jak zachodzące słońce. Wyglądała na przestraszoną. Podniosłam głowę, żeby ujawnić moje pochodzenie i zniechęcić ją do dalszych pytań. Tym samym jednak wywołałam uśmiech na jej twarzy, tak jakby dokładnie wiedziała, kim jestem.

– Paniąka jest z Anegady – odezwała się do mnie.

Skąd mogła to wiedzieć? Miałam na sobie cienką halkę na modłę europejską, która podkreślała moje kształty. Prowadziłam za sobą Francuza. A ona ubrana była jak mężczyzna i prowadziła osła.

– Myli się pani – powiedziałam, odwracając się do Moreau, który uniósł brwi ze zdziwieniem, a ja odpowiedziałam mu tym samym.

– Nie myślę się – ciągnęła kobieta z błyskiem w oku. – Zawsze poznam Stemme, gdy ją zobaczę.

Chciałam ją poprawić, że jestem z Bradshawów. W końcu byłam dzieckiem swojego ojca. To moja matka pochodziła ze Stemme’ów.

– Wyglądasz jak żywcem wyjęta z historii o Duene, które opowiada się dzieciom – stwierdziła kobieta. – Weź to – dodała i podała mi zawiniątko rozmiarów niemowlęcia, owinięte w czyste płótno. – To tak, jakbyś zjawiała się w samym środku pory godowej. Niektórzy ze Stemme’ów wyjeżdżają stąd z miłości, inni z miłości tu wracają. – Nie odpowiedziałam na tę impertynencję, ale starsza kobieta poklepała tobolek, który mi podarowała. – Nie ma na co czekać – dodała, zanim odeszła.

Moreau zaprowadził mnie na plażę, nie komentując zajścia ani słowem, ale mogłam wyczytać zdumienie malujące się na jego twarzy. Kiedy odeszliśmy na odpowiednią odległość, odwinęłam podarek od kobiety. Był czerwony i miał

szczypce, a brzuch pęczniał mu od nadmiaru mięsa. Byłam bliska wyrzucenia go ze strachu na ziemię.

– Homar! – krzyknęłam, bo nigdy wcześniej nie miałam okazji ani go skosztować, ani choćby dotknąć.

– Ludzie są tutaj tacy uprzejmi – stwierdził Moreau. – To pewnie był obiad tej biednej kobiety.

Skinęłam twierdząco głową, nie chcąc dodawać nic do tej rozmowy, na wypadek gdyby zaczął wyobrażać sobie mnie prowadzącą osła, odzianą w męskie spodnie.

Szliśmy dalej po ziemi, która wcale nie była ziemią, ale koralowcem. To tak, jakbyśmy chodzili po dnie oceanu. Mama nigdy nie mówiła o Anegadzie zbyt wiele. „Oderwałam się od wyspy dla małżonka” – tak jakby papa był jej nową ojczyzną. Gdyby papa jej nie zdobył, pewnie stałabym się córą Duene, tak jak w opowieściach matki. Wstępowałabym prosto do oceanu. Chodziłabym po dnie rafy koralowej tak jak po lądzie.

Louis wyciągnął długie ramię i wskazał nim plażę, którą nazywano Flash of Beauty, czyli „blask piękna”.

– Przypomina ciębie – powiedział.

Fale obmywające piasek wydawały się pokaźne, jakbyśmy tkwili na środku oceanu, a nie po prostu siedzieli na plaży. Nie byłabym wcale zaskoczona, gdybym zobaczyła piękną kobietę wynurzającą głowę z fal i kroczącą ku nam na nogach z namorzynów i stopach skierowanych tyłem do przodu. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego matka porzuciła to miejsce. Choć jeśli się nad tym zastanowić, powód był oczywisty. Wyjechała dla papy.

Gorgonie były tu jasnopurpurowe. Nastąpiłam na jedną z nich, otrzepałam ją z piasku i trzymając za bulwiasty korzeń, wachlowałam się nią. Daleko na morzu fale wznosiły się wysoko, pieniały się białą, po czym rozbijały i cofały.

– Podwodna skała – powiedział Louis, wskazując w dal. – Hiszpanie nazwali wyspę Anegada, „zatopiony ląd”, ponieważ słynie z topienia statków. Tysięcy statków, które teraz spoczywają tutaj, na dnie. – Wskazał miejsce, gdzie fale uderzały o brzeg. – Jeśli ktoś nie wie, gdzie zaczyna się rafa koralowa, rozbije się o nią i zatopi okręt.

– Kiedy ziemia będzie należeć do nas, ludzie przyplyną tutaj, jeśli pokażemy im jak.

Rozłożyliśmy koc i zaczęliśmy szykować piknik, a Moreau opowiadał mi o swoich planach, by wybudować na Anegadzie pole golfowe i kurort. Mówił o lądzie, jakby już należał do niego. Nie mogłam się oprzeć i wciąż zastanawiałam się, co stało się z kobietą, która podarowała mi homara.

– Ale Flash of Beauty – powiedział jakby na zgodę – powinniśmy przeznaczyć na schronienie dla kobiet i rezerwat dla ryb.

Wtedy mu się przyjrzałam. Włosy miał proste, a nogi długie. Wąsy wywijają mu się ku uszom. Nos wyginał się w łuk nad ustami. Zdecydowałam, że wyjdę za niego za męża. Jeszcze przez długi czas ciekawie będzie na niego patrzeć. Z nim zdobędę Nadmorską Willę i być może całą Anegadę. Stanę się zamożną madame i przekonam męża, by wydzielił osobną plażę także dla mężczyzn i pajęczaków. Pozwolimy tubylcom wchodzić na nią bez pozwolenia. Tak, Moreau będzie odpowiedni. A ja zrobię to, co zechcę.

Nie widziałam sensu, by dłużej zwlekać.

Obiema dłońmi rozpuściłam włosy zaplecione w kok. Fale loków rozbijały się o brzeg mojej twarzy i opadały na ramiona. Przyciągnęłam do siebie Moreau, aż jego usta zbliżyły się do moich, a włosami muskałam jego policzek.

Może to on się nade mną pochylił. Może to ja pochyliłam się nad nim. To nie ma znaczenia. Nasze usta się spotkały, wargami chwycił kosmyki moich włosów. Moje loki zakryły nas niczym fala. Sięgnął do mokrej kieszeni na piersi i wyjął jedwabną chusteczkę. W środku znajdował się pierścionek zaręczynowy z brylantem i perłą.

– Na Anegadzie od dziesięciu lat nie było żadnego ślubu – wyszeptał.

15.

Jacob Esau McKenzie był wtedy tak mały – nie skończył nawet trzech lat – że całe życie pozostawał w przekonaniu, iż wizyta kapitana statku nie wydarzyła się naprawdę. Pamięć wracała mu w dziwacznych okolicznościach. Kiedy ktoś powiedział mu, że jest przystojny, gdy tańczył albo wpatrywał się w zdjęcie Anette Bradshaw.

Tego wieczoru mama przystrajała pięknie dom. Naręcza trawy cytrynowej poukładane w wazonach, tak jakby były kwiatami, sprawiały, że domostwo pachniało miętowo. Przygotowała Jacobowi specjalną kąpiel, namaczała go tak, jakby miał odtajać. Raz po raz zanurzała mu główkę pod wodę, śpiewając pod nosem. Melodia do zanurzania. Pomrukiwanie do szorowania. Starszych braci wysłano z długą listą sprawunków i zbyt dużą sumą pieniędzy, by nie wracali przez dłuższy czas.

– Jacobie, mój najukochańszy – powiedziała Rebekah, skończywszy wycierać małego chłopca szorstkim ręcznikiem z grudkami waniliowej kory uczepionymi materiału niczym rzep. – Twoja najstarsza siostra uczy się na Tortoli. Twoja rudowłosa siostra przestała ssać mleko matki, ale wciąż zapewnia swej rodzicielce zajęcie. Teraz więc twój ojciec wraca do nas.

Ale Jacob nie miał żadnych sióstr, o których by wiedział, nie zwracał więc na matkę większej uwagi. Od zawsze nuciła i szeptała różne słowa, choć nie miały z nim nic wspólnego.

Ojciec, który przyjechał, nie był tym z fotografii wiszącej na ścianie salonu,

przedstawiającej żołnierza marynarki wojennej, na którego piersi, na białym prostokącie, wypisano: „McKenzie”. Ojciec, który przybył, był wysoki i miał morskie szare oczy. Pachniał oceanem.

Owen Arthur pierwszy raz widział nowo narodzonego syna, ów nie był już noworodkiem, ale małym chłopcem.

– Esau – odezwała się Rebekah, przedstawiając go Owenowi. – Ponieważ jest twoim najukochańszym synem.

Na pierwsze miał Jacob, ale to po to, żeby przede wszystkim był jej.

Owen przez ten czas ani razu nie był z Rebekah, ale słał pieniądze dla syna. Był zaferowany swoimi kulejącymi interesami, nieprzejednanymi bankami oraz Eeoną, a właściwie wyprawieniem jej w świat. A teraz jego syn stał przed nim i wyglądał jak ziarnko piasku. Żywił spore nadzieje, że Rebekah da mu syna, ale teraz żałował, że urodził się chłopiec. Potrzebował kolejnej córki. Wiedział już bowiem, że mała Anette pomimo zadziorności nie ułagodzi chorej miłości, którą darzył Eeoną. Zauważył, że Esau i Anette są do siebie podobni. Podobieństwo to kryło się w kroju ust i w kącikach oczu.

Owen wiedział, że syn nigdy oficjalnie nic po nim nie odziedziczy, nie będzie nosił nazwiska Bradshaw. Ale pomoże Esau, gdy ten będzie dorastać. Miał plan, by chłopiec dowiedział się, kim naprawdę jest jego ojciec. To będzie jedna z tajemnic poliszynela, tak pilnie strzeżona na wyspie. Kiedy umrze, pozostawi Esau całe swoje doświadczenie oraz jedną trzecią dorobku. Wszystkim tym Owen zajmie się, gdy tylko wyprowadzi interesy na prostą. Kiedy Lovernkrandt lub ktokolwiek inny uwierzy w niego i w jego statek. Teraz wpatrywał się w Esau i uśmiechał do Rebekah. Zaczęło go ogarniać wierne uczucie pożądania, pragnął Rebekah, co stanowiło dla niego pewną ulgę. Jak zwykle stopy odziane miała w buty, choć zdejmie je, by się z nim kochać. Ściąga je tylko po to, by odprawiać tę magię.

Tych dwoje dorosłych przez wiele minut to patrzyło na Jacoba Esau, to spoglądało po sobie. Siedzieli na krzesłach naprzeciwko siebie w niewielkim saloniku. Okiennice zamknięto, a ich oczom ukazała się czerwień wnętrza, niema biel została wystawiona na ulicę. Zakup rumu graniczył na wyspie niemal z cudem, lecz Owen wiedział, że jeśli ktokolwiek zdobędzie choćby kroplę, będzie to Rebekah. Nadal jednak trzymał się w ryzach i zamiast tego pocierał płatek ucha. Rebekah siedziała wyprostowana, jej długa suknia opadała kaskadami na ziemię, zakrywając ją całą ze wszech miar. Tych dwoje dorosłych nie uprawiało ze sobą miłości od trzech lat.

Po tym, jak ostrożnie zaproponowano herbatę oraz uprzejmie jej odmówiono, gdy płatek ucha był już mocno zaczerwieniony, Owen w końcu wyciągnął rękę, by dotknąć twarzy Jacoba Esau. Szorstką dłonią rysował linie wokół nosa Jacoba i jego powiek. Chwycił podbródek, a potem pogładził główkę

chłopca.

– Jesteś bardzo przystojny, Esau – powiedział mężczyzna. – Jakże mogłoby być inaczej?

Wtedy dorośli spojrzeli na siebie.

– Zagraj mi coś, Rebekah – poprosił.

Matka Jacoba Esau podeszła do pianina. Ostrożnie uniosła klapę instrumentu i usiadła na stołku. Najpierw pozwoliła palcom dotknąć klawiszy, nie wydobywając z nich dźwięku. A potem zaczęła bardzo cicho. Wygrywała dźwięk prawie jak ciszę. Uszy nie potrafiły jeszcze rozpoznać, jaką piosenkę gra. Najpierw dało się poczuć pod skórą, tam, skąd wyrastały włosy, bolesną pieśń słodczy, którą Rebekah wypełniała pomieszczenie. Pedaly naciskała bardzo lekko, jedynie czubkiem prawej stopy odzianej w czarny but.

Owen uwielbiał słuchać, jak gra. Nie było na wyspie nikogo, kto by tego nie lubił. Nigdy nie powiedziałby tego na głos, ale oddałby każdą koszulę, którą wyhaftowała mu Antoinette, za dziesięć minut tej gry na pianinie. Instrument Rebekah, który sprowadził dla niej z Ameryki, potrafił brzmieć jak mżawka, a mógł huknąć jak burza. Jej muzyka była wilgotna. On był człowiekiem morza, jak mógłby pragnąć od melodii czegoś innego?

Owen Arthur wziął na ręce Jacoba Esau i zaczął z nim tańczyć. Okręcał go dookoła, a chłopiec śmiał się do rozpuku. Pokazał ojcu w uśmiechu wszystkie zęby. Scenka rozwijała się i trwała dopóty, dopóki Jacob Esau nie zasnął w ramionach tańczącego z oceanem. A gdy się obudził, leżał sam na sofie. Po cichu błąkał się po pokojach, ale w małym domu panowała cisza.

Gdy zawędrował do izby matki, zobaczył swojego drugiego ojca, jak pochyła się nad wysokim łóżkiem. Matka wyciągała ku niemu ręce i zaplatała mu je na szyi. Dobrze znał jej ramiona. Ale niżej, na plecach mężczyzny, były jej nogi. Idealnie gładka i smągła stopa. Palce rytmicznie kurczyły się i prostowały w powietrzu. Druga stopa wcale nie była stopą, lecz racicą. Kopyto sięgało aż do miejsca, gdzie powinna się znajdować kostka jego matki. Dziwny twór koloru kości zamiast palców. Gęsta brązowa sierść sięgająca aż do kolana. Ta stopa nie dotykała skóry ojca ani nie poruszała się, ale pozostawała nieruchoma, zarzucona na napięty grzbiet ojca.

Jacob, którego – do dziś – nigdy nie nazywano Esau, czmychnął z izby. W myślach powtarzał zaklęcie: „To się nie dzieje naprawdę. To się nie dzieje naprawdę. To się nie dzieje naprawdę”. Położył się z powrotem na sofie w salonie. Czekał, aż znów zaśnie, a potem obudzi się w prawdziwym życiu.

Czy matka wiedziała, co zobaczył? Czy jej późniejsze polecenia, wydawane, gdy dorósł, by nosił głowę wysoko i wpatrywał się w sufit, wskazywały na to, że wiedziała? Ale do tego czasu Jacob zdążył zapomnieć, co tak naprawdę widział. Puścił w niepamięć fakt, że to nie był zły sen. Zapomniał, że jego prawdziwym

ojcem nie jest Benjamin McKenzie. Zapomniał o racicy w miejscu stopy matki.
Zapomniał, że miał kiedyś siostry.

Eeona miała zaledwie siedemnaście lat, gdy zaręczyła się z Louistem Moreau III, synem właściciela ziemskiego z wiejskich terenów Gwadelupy oraz kobiety z wybrzeży Nicei. To on zabierze Eeonę z powrotem na Gwadelupę i pozwoli jej skończyć szkołę, zanim na świat przyjdą dzieci. To ważne, by jego żona mówiła swobodnie zarówno po francusku, jak i po angielsku, zwłaszcza jeśli miała się okazać atutem w kontaktach towarzyskich z żonami mężczyzn popierających pole golfowe, które chciał wybudować na Anegadzie.

Miesiąc po przyjętych oświadczeniach Eeona nadal liczyła sobie siedemnaście lat, gdy rodzice w końcu złożyli jej wizytę na Tortoli. Mama przywiozła swojej kuzynce w prezencie haftowane serwetki. Mała Anette chowała się za suknią rodzicielki, wstydząc się pięknej starszej siostry, którą ledwie pamiętała. Kuzynka zwabiła Anette słodyczami do kuchni. Wtedy rodzice zamknęli się z Eeoną w salonie i spytali, czy nadal jest dziewicą. Słyszeli o potajemnej wycieczce na Anegadę i plaży zwanej blaskiem piękna. Wszyscy o tym wiedzieli. Eeona spojrzała na ojca siedzącego obok, pocierającego obiema dłońmi płatki uszu. Wówczas zaniósła się szlochem i wycisnęła z siebie łzy, zwierając się z tego, jak to Louis Moreau rozdziewiczył ją na malutkiej Anegadzie. To kłamstwo, ale Eeona przez całe przedstawienie nie spuszczała łzawego wzroku z ojca. Czy dostrzegł, że już jest kobietą? Gotową zostać damą? Czy był zazdrosny?

Gdy rozważano ślub Eeony z Moreau, Antoinette w ogóle się tym nie zmartwiła. Matka chciała wydać córkę za mąż. Koniec kropka. Może młody Moreau będzie nawet kochał Eeonę. A wtedy Eeona zostanie ocalona przed swoim pięknem, mogącym w każdej chwili wybuchnąć. A wtedy Antoinette od prawdziwego życia będzie dzielić jedynie mała Anette. Ostatnie dziecko już wypłukała ze swego łona. Tym razem poszło gładko.

Antoinette zamartwiała się raczej o srebrny sekret córki i o to, jak jej przedślubny kochanek może na niego zareagować. Eeona potrafiła dochować tajemnicy, ale matka wiedziała, że jednocześnie pielęgnowała srebro miękką szczotką dla niemowląt, więc równie dobrze mogła się okazać na tyle niemądra, by się z tym afiszować. Być może Francuz podczas ich pierwszego poznania miał zamknięte powieki ze strachu albo skromności? Och, ale niebawem nabierze odwagi, otworzy szeroko oczy i to zobaczy. Może pomyśleć, że srebrne włosy oznaczają bezpłodność. Albo zbytnią dojrzałość. W każdym razie mogło to postawić małżeństwo pod znakiem zapytania, matka wiedziała więc, że musi trzymać córkę z dala od chutliwego narzeczonego, aż oficjalnie połączy ich święty węzeł małżeński.

Gdy rodzice w końcu otworzyli drzwi salonu, mała Anette podeszła ostrożnie do siostry i zaczęła gaworzyć nieskładnie.

– Nauczyłam ją paru łacińskich przysłów – powiedziała z dumą kuzynka. – Ma dar do języków.

Eeona zacisnęła usta, bo ona sama czyniła we francuskim powolne postępy. Nie miała zamiaru przytulać malutkiej siostry, zamiast tego wstała i poszła do swojego pokoju. Dało się słyszeć płacz Anette, a potem słowa pocieszenia mamy. Nazajutrz rano rodzice zabrali swoje córki z powrotem na Saint Thomas.

Wieczorem, kiedy wrócili do Frenchtown, Owen Arthur przyszedł do pokoju Eeony. Nie robił tego, odkąd skończyła przedszkole. Czegoś takiego ojcowie nie zwykli czynić. Nie zapukał. Po prostu otworzył drzwi, a Eeona siedziała na skraju łóżka w rozwianej koszuli nocnej. Włosy na jej głowie lśniły wokół niej niczym aureola. Owen powstrzymałby się i wycofał. Stałby w miejscu i przykląkł. Gdyby był mniejszym lub lepszym człowiekiem.

– Próbowałem żeglugi po innych wodach – mówił zamiast tego, zbliżając się do niej – ale potrzebuję... – Był od niej już tylko o krok.

Eeona wpatrywała się w ojca i nie ruszyła ani o milimetr. To, za czym tęskniła na Tortoli, było na wyciągnięcie ręki, ale teraz bała się tego.

– Papo – powiedziała, zachowując zdecydowany ton.

Czy naprawdę ją teraz posiadzie? Kiedy mama jest po drugiej stronie domu? Czy nie zaczeka, aż będą mogli razem odpłynąć? Wystarczy zostawić Moreau i Antoinette dom oraz pole golfowe na Anegadzie. Owen uniósł wyprostowaną dłoń, jakby chciał powiedzieć: „Stop” albo jakby chciał rzec: „Błogosławię cię”. Zamiast tego stwierdził: „Musisz wyjść za tego mężczyznę za mąż i wyjechać z nim”, po czym potrząsnął przecząco głową, tak jakby nie mógł uwierzyć we własne słowa.

– Zawsze pragnąłem dla ciebie Europy. Mówią, że w Paryżu są podobne do ciebie. Kobiety splendoru. Twoja uroda nie będzie tam aż takim brzemieniem.

– Ależ, papo, nie ma takich jak ja. – Kontrolowała głos, bo taka też była jej uroda. – Nie odsyłaj mnie, papo.

– Moja córko, już to zrobiłem.

Obrócił się do drzwi. To, co Eeona w sobie pojmowała, opadło; to, czego w sobie nie rozumiała – epizody, jak później będą je nazywać – wystąpiło z brzegów.

– Owenie – powiedziała jak kobieta – ale co ze srebrem? Zawsze powtarzałeś, że należy do ciebie.

Owen nie obrócił się i nie spojrzał jej w twarz. Zamiast tego powiedział:

– Matka prawie skończyła twoją suknię ślubną.

Eeona wstała i objęła go od tyłu. Odwrócił się do niej. Ich twarze znalazły się za blisko. W tym położeniu nie zdoła nad sobą zapanować. Kobieta, której usta znajdowały się tak blisko, nie mogła być jego dzieckiem. Jak to się stało, że chciał ją odesłać? Czuł mrowienie pod skórą na policzkach. Objął córkę w talii.

– Zawsze wiedzieliśmy, że dobry ojciec i dobra córka nie postępują w ten sposób – powiedział.

Eeona dopiero co przeradzała się w kobietę. Nadal była dzieckiem. W głowie rozpętała się jej burza. Czy papa pocałuje srebro? Tutaj, w domu jej matki? Eeona ujęła jego twarz w dłonie, wyczuwając jego obcość, wzbierającą niczym przyływ. Serce Owena Arthura biło tak wolno, iż sądził, że zaraz umrze.

– Nie potrafię dać ci nic dobrego – powiedział. – Dla twojego własnego dobra. Nie będzie między nami nic więcej.

Serce Eeony biło tak mocno, że czuła pulsowanie między nogami.

– W takim razie życzę ci śmierci, papo. Lepiej będzie, jeśli zginiesz.

Wtedy Owen, jakby wyswobodził się z kajdan, wypłynął z pokoju.

Nazajutrz wieczorem przyszedł telegram: „»Homecoming« rozbił się na rafie koralowej Anegady. Dwóch ocalałych. Kapitana wśród nich nie ma”.

Tak po prostu.

17.

„Homecoming” zatonął, kiedy dzień był jeszcze jasny i młody. Mówili, że statkowi przydarzyło się to, co zdarzyć się mogło każdemu opływającemu koralowy atol Anegady. Tyle że kapitan dobrze znał tę wyspę, w końcu tutaj znalazł żonę.

Każda licząca się rodzina z Wysp Dziewiczych Stanów Zjednoczonych oraz Brytyjskich Wysp Dziewiczych miała krewnego na pokładzie okrętu, który poszedł na dno. Niejedna straciła głównego żywiciela. Więcej niż jedna kobieta straciła kochankę. Eeona, nadal ledwie siedemnastolatka, została pozbawiona jednego i drugiego. Zamiast organizować ślub, pomagała matce zaplanować pogrzeb. Anette nic z tego nie pojmowała, ale mimo to bawiła się cicho, opiekując się lalkami, które uszyła dla niej matka. Karmiła je, ubierała, tuliła do piersi, czule układała do snu. Innymi słowy, dawała im miłość, której nikt wtedy nie miał czasu jej samej dać.

Dwaj marynarze pokładowi, którzy przeżyli katastrofę, zostali wyciągnięci na brzeg przez poławiaczy homarów z Anegady. Majtkowie opowiadali, że w przeszłości kapitan zawsze dostrzegał Anegadę z daleka, twierdził, iż wygląda jak płaska klatka piersiowa dziecka unoszącego się na wodzie. Ale tym razem wyspa albo syreny musiały przywołać kapitana. „To się zdarza” – powiedział ocalały. „Homecoming”, który wcześniej transportował rum, przewoził żywność karmiącą Saint Thomas i frachtował pieniądze zalewające Tortolę, tym razem ekspediował zaledwie ładunek kości. Statek pełen kości osiadł na płytkim dnie morza.

Możemy sobie wyobrazić, co stanie się z załadunkiem „Homecominga”. Jak ryby obgryzą ciała załogi do kości. Jak jeszcze przez całe lata rybacy wraz

z homarami będą wylawiać ludzkie szczęki. Jak przez parę pokoleń dzieci będą znajdować w piasku kości udowe.

Pierścionek zaręczynowy Eeony z perłą i brylantem zwrócono Moreau, którego ojciec zabronił mu żenić się z dziewczyną, jako że teraz była to transakcja finansowa obciążona sporym ryzykiem. Moreau przechował pierścionek i włożył go na palec Francuzki czystej krwi, za którą popłynął do Nicei, porzucając marzenia o Anegadzie. Za każdym razem, gdy Louis Moreau zasiadał w pojedynkę w jakimś zaciszu nad butelką wina, rozpoznawał w nim smak Eeony. Będąc w towarzystwie, szeptał jej imię do kieliszków z szampanem, bo właśnie tym kolorem dla niego była – szampańskim. To stonowana barwa, do tego owiana tajemnicą. Nawet jego śliczna francuska żona myślała, że postradał zmysły. Nigdy nie dowiedziała się, kim była Eeona, mimo że często słyszała jej imię.

Pomimo tego, że „Homecoming” rozbił się całe mile stąd, na mieliznie Anegady, ciało Owena Arthura Bradshawa w końcu znaleziono wyrzucone na brzeg morza w zatoce, na nabrzeżu Saint Thomas. Jego twarz znajdowała się już w stanie rozkładu, ale reszty nie sposób było pomylić, jeśli widziało się go nagim za życia. Antoinette szlochała i wierzyła, że mąż widocznie starał się do niej wrócić. Trzeba jednak powiedzieć, że znaleziono go w połowie drogi między Nadmorską Willą a domem o czerwonych okiennicach należącym do Rebekah. Poza tym oczywiście Antoinette nie była jedyną drogą jego sercu kobietą w Nadmorskiej Willi.

Większość mówiła, że utonął. Ale Francuzi wiedzieli, że z Owena Arthura był człowiek morza, a ludzie morza nie toną tak po prostu. Wchodzą do wody z garściami pełnymi kamieni. Piją, po czym rzucają się we wzburzone fale. Uderzają się w głowę podniesioną kotwicą i wpadają do wody.

Z Anegady docierały różne opowieści. Ktoś widział małą łódkę, jak pusta odpływała, gdy wielki okręt tonął. Ktoś inny dostrzegł pięknego ptaka, kreślącego ósemki na niebie, kiedy statek uderzył z łoskotem o dno. Pogłoska głosiła, że morderczynią była kobieta ze stopami skierowanymi tyłem do przodu i włosami wzburzonymi jak ocean. Może to była wiedźmowa kochanka kapitana, która znała magię i miłość i wiedziała, że to jedno i to samo bez względu na ciężar grzechu.

Eeona, która wiedziała, że potrafi zatapiać okręty, mogła winić tylko siebie.

Znajomkowie Owena napływali z pobliskich wysp. Mama Antoinette nie rzuciła się żadnemu z nich w ramiona, jakbyśmy to sobie wyobrażali, że powinna zrobić, by uratować rodzinny majątek. Nie, Antoinette miała własny pomysł. Żaden mężczyzna nie zakotwiczy w Nadmorskiej Willi, zbyt pełnej kobiet, to łamałoby reguły przyzwoitości. Żałobnicy zatrzymują się w samym centrum miasta, w Grand Hotelu, zwykle przyjmującym podróżujących Amerykanów.

Nabrzmiące ciało Owena Arthura podczas czuwania przy zwłokach leżało na małżeńskim łóżu przykryte płócienną narzutą, by ukryć okaleczoną morzem twarz.

Liva Lovernkrandt zauważyła, że guziki Owena nadal są mocno przyszyte. Antoinette nie widziała sensu, by je odpruć. Nie było też sensu pruć mu kieszeni. Nie potrzebował pomocy, by bez przeszkód popłynąć rzeką Jordan. Najwyraźniej jej mąż już odpłynął. Albo utonął.

Córki kapitana, jedna zbyt mała, druga zbyt zszokowana, zapomniały związać mu palców, by nie przemienił się w *jumbie* i ich nie straszył. Ale Owen Arthur i tak będzie je nawiedzał. Przecież tak robią rodzice.

Trzy miesiące po pogrzebie, kiedy Eeona nadal miała siedemnaście lat, Antoinette chwyciła ją za rękę i powiedziała:

– Od dziś to ty jesteś matką Anette i *mademoiselle* Nadmorskiej Willi.

Antoinette spakowała jedną małą torbę pełną koronkowych rękawiczek, będących jej znakiem rozpoznawczym.

– Wrócę z butami ze skóry iguany – zapowiedziała, po czym weszła na pokład dużej łodzi i trysnęła do Nowego Jorku ku własnej, chwiejnej wolności.

Zanim więc Eeona skończyła osiemnasty rok życia, nie była już bogata, przestała być zaręczona i już dłużej nie uczyła się francuskiego na Tortoli. Ale Eeona nadal była lubieżnie piękna. Tylko że teraz miała już tylko swoje piękno.

18.

Antoinette nie dała się ponieść do Ameryki pod wpływem chwili. Ale zostać w Nadmorskiej Willi? Doprawdy nie było takiej możliwości. Rodzina potrzebowała pieniędzy. Antoinette rozważała powrót do domu, na Anegadę. Ale jej rodzice już nie żyli. A nuż jej poławiacz homarów tam jest i być może dotąd opierał się przed małżeństwem. Ale Antoinette miała dwie córki, obie z mężczyzną, którego poślubiła zamiast rybaka. Zaiste na Anegadzie nie było nic prócz piękna. A tym nie da się opłacić rachunków. Pewnego razu Rebekah powiedziała Antoinette, że nie będzie matkowała Anette. Antoinette, będąc wdową, wiedziała już, że stanowiło to wskazówkę, by opuściła wyspę. Więcej niż wskazówkę, coś w rodzaju pozwolenia.

To Liva Lovernkrandt powiedziała Nettie o murzyńskim projektancie, który szuka ślicznych i rumianych dziewcząt, by dla niego szyły i obmyślały projekty. Tak naprawdę Liva zaproponowała Eeonie takie wyjście z sytuacji, wszyscy wiedzieli bowiem, że dziewczyna straciła narzeczonego, ojca i widoki na przyszłość. Arogancją zaś byłoby sugerować Antoinette, że potrzebuje pracy.

Ale gdy Antoinette dotarła na Manhattan, stwierdziła, że Instytut Mody dla Kolorowych to biuro o isticie grobowej atmosferze. Jedna z kobiet siedziała przy maszynie do pisania, ale nie pisała nic, tylko tkwiła nad trumną swego biurka, by w odpowiedniej chwili powiedzieć Nettie: „Brak miejsc. Nie wiesz, że wszędzie brakuje posad? Nawet dla białych”. Potem obróciła się i delikatnie odkaslnęła krwią w kolorową chusteczkę.

W naszych Stanach Zjednoczonych Ameryki nie czekała na nas żadna praca. Nie było ani mleka, ani miodu. Zamiast tego wielka depresja. Chodniki były brukowane, ale głównie śmieciami. Wieczorami ludzie wyrzucali jedzenie na ulice, by inne istoty ludzkie mogły się rzucić na te śmieci jak szczury. Urodziwe kobiety przechadzały się w strojach skrojonych na modłę tych z czasopism Livy Lovernkrandt, ale suknie zdawały się zgrzytać, zamiast rozbrzmiewać melodią. Miasto było rosłe i posępne i nawet szczury chodziły w nim głodne.

Budynki przypominały nieprawdopodobnie wysokie szczyty, pozbawieni manier ludzie wędrowali po schodach to w górę, to w dół, jakby sami byli załadunkiem. Jedzenie było droższe niż jakiekolwiek towary na Wyspach Dziewiczych. Zimno było zimniejsze niż jakikolwiek chłód, który mama Antoinette kiedykolwiek знаła.

19.

Anette

To moje pierwsze wspomnienie. Nie z podręcznika do historii ani dokumentu z archiwum biblioteki, ani nawet z wyobraźni. To moja prawdziwa pamięć. Mama leży w łóżku. Jest piękna, brązowa, ale nadal wygląda jak chmurka. Jakby za chwilę miała odpłynąć. Eeona każe mi się odsunąć.

– Mama odeszła – szepcze. Ale ja już kiedyś widziałam tu mamę. – Jest martwa – mówi Eeona nieco głośniej.

– Jak moje lalki? – pytam.

Eeona spogląda na mnie dziwnie, ale przytakuje. Wtedy kładę wyprostowaną rękę na piersi mamy. W miejscu, gdzie zwykle kładłam głowę. I mama tak po prostu zaczyna oddychać. To moja sprawka, że oddycha. Patrzę na Eeone.

– Wróciłam mamę do życia! – mówię.

Ale Eeona spogląda na mnie zezłoszczona i potrząsa przecząco głową. Tak jakbym nie postarała się wystarczająco. I taka jest prawda, bo gdy zerkam raz jeszcze, mama znów nie oddycha.

Mam mętlik w głowie, bo mama dopiero co wróciła z Ameryki, i to tylko po to, by znów tam wyjechać, ale tym razem w gorszym stanie. Chcę spytać Eeone dlaczego, ale Eeona krąży po pokoju w tę i z powrotem, plotąc bzdury o jakimś bracie. A ja myślę sobie, że może jemu też się zmarło. Może odszedł? Albo przyjdzie nam pomóc, skoro mamy nie ma. Podchodzę do Eeony, stoję tuż przed nią, każąc jej przestać dreptać w kółko i mamrotać pod nosem.

– Siostrze Eeono, na Boga, czemu nie ocaliłam mamy?

Eeona odpowiada tak szybko, jakby tylko czekała na to pytanie.

– Bóg nie ma z tym nic wspólnego. Sama musisz ją ocalić.

Wtedy już wiedziałam, że tak, mogłam uratować mamę. Gdybym tylko

skupiła się mocniej, kiedy dotknęłam jej piersi. Jeśli tylko uwierzyłabym naprawdę.

Potem Eeona wyszła z izby zmarłych. Odwróciła się i zawołała mnie. Zamknęła drzwi i przyglądała mi się srogo. Odezwała się surowo:

– Nadal możemy ocalić twoją edukację i dobre obyczaje. Zobowiązałam się do tego.

Tak jakby mnie to w ogóle obchodziło.

20.

Nie było pieniędzy. Był za to dług. Nie tylko wobec Lovernkrandta, ale też innych przedsiębiorców, którzy pomogli Owenowi zabezpieczyć nowy załadunek. Pomoc finansowa była wysoce potrzebna, ale tę w formie gotówki uważano za brak szacunku, więc zamiast niej kobiety z kręgu znajomych Antoinette przynosiły kwiaty. Niekończące się bukiety bezużytecznych kwiatów. Willa śmierdziała jak burdel. Procesji na cmentarz brakowało stosownej skromności. Równie dobrze mogłaby to być karnawałowa maskarada z tymi wszystkimi odcieniami purpury w płatkach. Eeona kazała małej Anette i miss Lady zostawić wszystkie kwiaty na grobie. Te, które dostarczono bezpośrednio do domu, będą tam leżeć, aż zaczną cuchnąć.

Wieczorem, kiedy całe kwiecie w końcu zwiędło, miss Lady postawiła filiżankę herbaty obok Eeony i czekała, dopóki dziewczyna, zatopiona we własnych myślach, nie spojrzała na nią.

– Sama mam dzieci – powiedziała Sheila Ladyinga do Eeony. – Moje trzy dziewczyny są prawie dorosłe, ale wciąż mnie potrzebują.

Trzy córki? Prawie dorosłe?

– Zamierzam zatrudnić się jako kucharka i sprzątaczką w hotelu. Musisz sprzedać Nadmorską Willę, Eeono.

Mogła sobie pozwolić, by opuścić zwrot „miss”. W końcu plotła Eeonie warkocze. Wycierała Eeonie tyłek.

– Jankesi już się tu kręcą i podpytują. Zarobisz trochę grosza, żeby mieć od czego zacząć.

Miss Lady nie powiedziała: „Zacząć od nowa”. Przynajmniej była miła.

Wszystko potoczyło się szast-prast. Eeona czuła się tak, jakby była ziemią, na której co krok wyrastały hydranty, i to całkiem odkręcone. Głowa napelniła jej się płynem i zrobiła ciężka. Otworzyła usta, by zmniejszyć ciśnienie. Popłynęła nimi woda. Ale wąską struzką jak ślina. Nie była hydrantem. Eeona to zwykła dziewczyna, która nigdy nie potrafiła wybaczyć ojcu, że był jej ojcem, ani wybaczyć matce, że była jego żoną. A teraz wszystko, czym Eeona była – ulubioną córką, pożądaną młodą damą, nawet nową panią domu Nadmorskiej Willi – odpłynęło. Za to Anette potrzebowała jej, by mieć gdzie zacumować.

21.

Eeona

Zanim mama zmarła, wzięła mnie za rękę i powiedziała wyraźnie:

– Masz brata. Dziecko twojego ojca z nieprawego łoża. To Esau McKenzie. Jest w tym samym wieku co Anette. Proszę. Uważaj na Esau i Anette.

Wyrwałam dłoń z jej uścisku i cofnęłam się jak oparzona. Nie chciałam myśleć o Owenie Arthurze i jego innej kobiecie, skoro ta kobieta nie była mną. Nie było też jasne, czy mama chciała, bym pilnowała nieznanego brata, czy raczej wystrzegająca się go.

22.

To był ich ostatni wieczór w Nadmorskiej Willi. Coś w rodzaju ostatniej wieczerzy. Miss Lady, z której wcale nie była taka panienka, ale raczej pani, przyniosła Eeonie i Anette bochenek jeszcze ciepłego chlebka drożdżowego i trochę świeżego sera, który kupiła tego ranka. Zerwała z podwórka trochę trawy cytrynowej i zaparzyła dla całej ich trójki herbatę. Już od miesiąca dom był odzierany z mebli. Salon i pokój dzienny przypominały puste groty. Rzeczy, które niegdyś należały do nich, teraz wynoszono na rękach, przewożono na grzbietach osłów i pakowano na ciągnięte siłą ludzkich ramion furmanki.

Po kolacji miss Lady opuściła je. Dostała już pracę w nowym hotelu Gull Reef Club na pobliskiej Water Island. Najpierw będzie tam sprzątaczką, potem kucharką, aż w końcu zostanie kuchmistrzynią.

– Jeśli będziesz czegoś potrzebować... – powiedziała do Eeony, po czym odwróciła się i wyszła, nigdy już nie dokończywszy zdania.

Sprzedano małe łóżeczko Anette, więc gdy zrobiła się śpiąca, ukołysała się do drzemki tutaj, przy stole jadalnym, który im jeszcze pozostał. Ale gdy się obudziła, wokół było ciemno i głucho, słyszała tylko świerszcze i śpiewające drzewo na podwórku na tyłach. Dom był spory, ale ona szła tam, gdzie zwykle szukała schronienia. Eeona leżała w wysokim, mahoniowym łóżku mamy Antoinette. Anette weszła na nie po schodkach. Eeona poczuła małe, ciepłe ciało intruza i się odsunęła.

Rano Eeona niemal zaczęła krzyczeć, gdy zobaczyła Antoinette leżącą obok w łóżku, jako że ciało matki pogrzebano ponad miesiąc temu. Wtem Eeona zdała sobie sprawę, że to tylko karzełkowata kopia mamy, jej mała córeczka, która właśnie wybudzała się ze snu. Eeona wściekała się, że jej siostrzyczka ubzduriała sobie, iż może spać z nią w tym samym łóżku.

Nikt nie zaoferował pieniędzy za łożo Antoinette i nikt tego nie robi, jako że zmarła na zakaźną chorobę. Gdy rodzina opuściła dom, mister Lyte, któremu Bradshawowie nie płacili już prawie od roku, spalił łożo na popiół.

Tego ranka siostry spakowały swoje rzeczy. Gdy skończyły, Eeona zawlokła krzesło bujane Antoinette na werandę i zaczęła się w nim huścić. To na tym fotelu Antoinette karmiła obie córki i tam siadywała, by opowiadać historie. Eeona kiwała się jakby w rytm zaklęć. Jakby myślała, że bujak to łódź, więc jeśli będzie kiwać się wystarczająco mocno, wyciągnie ją z wody wprost na nabrzeże. Widok Eeony z poważną miną, huśtającej się zapamiętała w gorączce epizodu, zatopionej w marzeniach, przeraził dziewczynkę. Mała Anette nie patrzyła więc. Odwróciła wzrok i utkwiała go w morzu. Niebo było jasne i czyste, z lekką domieszką żółci w powietrzu, podkreślając idealne słońce. Lecz Anette dostrzegła chmury nadciągające znad portu wraz z warkoczami łez.

Na śniadanie zjadły mango i trochę mamoncillo, ale teraz było już popołudnie. Zrobiły się głodne, lecz w domu nie zostało nic do jedzenia. Zjawił się mister Lyte z osłem i przytroczył ich tobołki do grzbietu zwierzęcia. Wraz z nim nadciągnęła ciemna chmura.

Zerwał się wiatr. Kiedy solidnie przymocowano do osła cały ich dobytek, Eeona wstała, a krzesło nadal się bujało. Zeszła po schodach, Anette ruszyła w ślad za nią. Eeona szła tak wyprostowana, że można by pomyśleć, iż prowadzą ją na śmierć męczeńską.

Zasłona deszczu nadciągnęła znad morza i uderzyła w nich, po czym przeszła dalej. Minęła tak szybko, że nie zdążyli nawet rozważyć, czyby nie schronić się w domu. A jednak przemokli do suchej nitki. Nie zwracając na to uwagi, szli dalej obok osła, mister Lyte próbował mówić, a mała Anette usiłowała słuchać, tylko Eeona nie odezwała się ani słowem. Mowa uczyniłaby ten rytuał prawdziwym, a on nie był prawdziwy. Eeona nie wierzyła w jego realność.

Anette zawsze uczestniczyła w nabożeństwach kościelnych wraz z mamą, słyszała więc o słupie soli. Dziewczynka uważała, że to metafora uporu. A ona chciała się uprzeć. Dlatego obróciła się, by spojrzeć na bujane krzesło, kiwające się szaleńczo na wietrze, który za sobą zostawili.

Eeona narzuciła surowe tempo, choć poruszali się powoli. Mokre ubrania, w których pokonywali drogę, pogłębiały tylko ponizenie i czyniły wstyd bardziej wstydlivym. Dotarli do małego mieszkanka, o które Eeona się zatroszczyła, mieszkanka wielkości ich dawnego pokoju dziennego. Zostawili za sobą wszystkie zwiędłe i ususzone kwiaty żałobne. Zostawili bujak. Zostawili dom i ziemię. Zostawili – albo raczej odebrano im to. Na jedno wychodzi.

Dla Eeony ta chwila oznaczała kres jej dni. Ani matki, ani ojca, ani ziemi, ani nawet Nadmorskiej Willi. Nie miała nic, do czego mogłaby powiedzieć: „Należysz do mnie”.

Dla Anette ta chwila wyznaczy jej początek. Miała to samo wspomnienie co Eeona, ale nadała mu odwrotne znaczenie. Ani matki, ani ojca, ani willi, ani ziemi. Nic, do czego mogłaby powiedzieć: „Należę do ciebie”.

23.

Anette

Kiedy moi rówieśnicy uczyli się grać w kulki, ja uczyłam się od Eeony siadać jak dama. Uczyłam się dygać. Jak chodzić z plecami wyprostowanymi jak struna. Jak popijać herbatę z naszych nadtłuczonych filiżanek z porcelany. Jak mówić po angielsku poprawnie.

Mieszkałyśmy w Savan i nie byłyśmy już bogate. W podstawówce naśmiewano się ze mnie, że przychodzę do szkoły w kaloszach. Teraz chłopcy oddaliby wiele, by pograć w kosza w gumiakach. Ale wtedy to były buty dla biedaków. Koniec kropka. Moja przyjaciółka Gertie nie mogła obronić mnie słowami, ale potrafiła bronić mnie pięściami. Już wtedy Gertie umiała się bić. To znaczy biła się tak, jak umiała. Do tego miała niewyparzony język, przed czym Eeona zawsze mnie przestrzegała. To właśnie Gertie w zeszłym roku przekonała mnie, żebym poszła na potańcówkę, gdzie poznałam mężczyznę mojego życia.

Byłam młodszą siostrą Bradshaw. Nie pamiętałam papy nic a nic. Byłam za mała, kiedy utopił się na statku. Zbyt mała, kiedy mama wróciła na statku, by utopić się we własnej krwi. Nie zdążyłam się urodzić przed Dniem Transferu, ale urodziłam się wtedy, kiedy wszyscy już postanowili, że zostaniemy Amerykanami. A potem szast-prast – zostałam sierotą. Dlatego te dwie rzeczy – sieroctwo i Ameryka – zawsze wydawały mi się jednym i tym samym.

Eeona mówi, że sprzeda dom wraz z całym wyposażeniem za jedzenie i czynsz na parę miesięcy wynajmu mieszkania. Opowiada, że tylko tyle zostało po spłaceniu długu Lovernkrandtom. A potem nagle twierdzi, że dom spłonął – mówi to z poważnym i śmiesznym wyrazem twarzy, tak jakby sama mogła podpalić zapalną. Eeona zabrania mi chodzić w to miejsce, gdzie kiedyś stała willa, bo Lovernkrandtowie ustanowili przeciwko nam jakieś prawo.

Prawdę mówiąc, gadają, że Frenchtown jest dla rybaków wypływających na połów łodziami. Ja nie ufam tym całym łódkom. Łodzie zabiły moich rodziców. A ja po prostu chcę być żywa tak długo, jak tylko się da. To mój cel. Przeżyć. Budzić się pod mężczyzną, który będzie mnie kochać, dopóki śmierć nas nie rozłączy. Robić dzieci, żebym mogła żyć nawet po śmierci. Eeona wierzy w wytworną kobiecość i pochodzenie. Ale ja taka nie jestem.

Niech no wam tylko coś powiem. Pewnego dnia w trzeciej klasie chłopiec o imieniu Franky zrobił dla mnie podróbkę willi z aluminium. Taki domek jak dla lalek, bez dachu. Wystarczyło tylko włożyć laleczkę do środka i zacząć się bawić. Znajdowały się tam malutkie krzesła, stół i kozetka. Na drzwiach wejściowych wyrzeźbił w drewnie kwieciste ornamenty. Miał fach w ręku. Może nawet mógłby zostać artystą, gdyby życie potoczyło się inaczej.

Pewnego razu po szkole Franky, dumny jak paw, wręcza mi dom dla lalek.

Willa była przymocowana do drewnianej deski, ale i tak bardzo jej pilnowałam ze strachu, że mi spadnie, zgniecie się lub porysuje. Niosłam ją do domu na małym pagórku. Nie rozglądałam się wokół siebie na ulicy, bo nie odrywałam wzroku od tyciego domku i wciąż zaglądałam przez tycie okienka na tycią kozetkę. Głównie, czy siostra będzie potrafiła zrobić mi małą poduszczkę, żeby kanapa wyglądała jak łóżko. Ma dryg do szycia po mamie. Myślałam, że domek spodoba się Eeone, w końcu wciąż nadaje jak katarynka o Nadmorskiej Willi. Tak naprawdę bałam się, że może podwędzić mi moją nową zabawkę. Kiedy dotarłam do mieszkania, zajrzałam przez okno i zobaczyłam Eeonę ucinającą sobie drzemkę, widziałam jej piękne włosy, rozsypane wokół twarzy.

Lecz kiedy się obudziła, jakby coś wyczuła. Z miejsca ruszyła do kuchni. Ledwie spojrzała, jak robię rachunki, po czym podeszła do aluminiowej miniaturki.

– Skąd to masz? – spytała. Dopiero wstała, ale już była ostra jak igła.

– Dostałam od Franky’ego Josepha.

Spojrzała z zaskoczeniem, tak jakbym sprzedawała jej policzek.

– Mały Franky Joseph nie pochodzi z naszych sfer. Nazajutrz z samego rana oddasz mu ten prezent. Zdejmij go ze stołu. Połóż na podłodze.

Następnego dnia rano pomaszerowałam z zabawkowym domem z powrotem do szkoły. To było coś w rodzaju procesji wstydu. Naprawdę chciałam mieć ten domek. Przez całą noc bawiłam się nim w myślach. Widziałam, jak jem przy stole dla lalek. Widziałam, jak siedzę na kozetce dla lalek. Widziałam siebie w tym domku, tak jakbym do niego należała.

Nie musiałam szukać Franky’ego przed klasą. To on mnie znalazł. Aluminium błyszczało w porannym słońcu.

– Czemu nie zostawiłaś tego w domu, hę?

W głosie, biedaczek, miał nadzieję. Tak jakby myślał, że przyniosłam domek, by pochwalić się przed przyjaciółkami. Kiedy powiedziałam mu, że siostra kazała mi oddać podróbkę willi, widać było po jego oczach, że rozumie. Wstał i spojrzał na mnie tak, jakby wiedział o mnie coś, czego nawet ja sama nie wiedziałam. Potem wziął ode mnie domek i rzucił go w krzaki. Zgniótł się pod wpływem uderzenia. Przez całe miesiące leżał tam na słońcu. Mrugał do mnie za każdym razem, kiedy szłam do szkoły.

Takich rzeczy nie zapomina się łatwo, mówię wam.

Kiedy tamtego dnia wróciłam do domu, Eeona kazała mi usiąść, twierdząc, że nadszedł czas, by opowiedziała mi o chłopcach. Nie chodziło tu o pogadankę o ptaszkach i pszczołkach. Zabroniła mi broić z chłopakami z niższych sfer, a zwłaszcza z chłopcem o imieniu Esau. Jesteśmy biedne, ale udajemy bogate, nie mam więc pojęcia, do jakiej sfery chcemy się zaliczać. No i nie wiem, co takiego strasznego jest w zadawaniu się z chłopakami, nawet jeśli mają zabawne imiona. Eeona mówi, że nie chodzi o imię, tylko o tego chłopca. Ale na wyspie jest ze stu

chłopaków, a ja nie znam ani jednego, który miałby na imię Esau.

24.

Rebekah McKenzie pilnowała syna, który pływał w morzu. Plażę nazywano Coki, słynęła z podwodnego prądu. Owiana była złą sławą, bo wciągała ludzi do głębokiego na trzydzieści stóp rowu. Rebekah wybrała ten zakątek, bo nie ma tu zbyt wielu osób. Rodzice nie przyprowadzali tu swoich dzieci. Od kiedy żołnierz amerykańskiej marynarki wojennej utonął przy tej plaży w zeszłym pokoleniu, nadal nikt nie rościł sobie praw własności do tego miejsca, które wciąż stanowiło azyl samotnych. Morze było nieujarzmione i piękne, a zatoka odległa od cywilizacji. Rebekah nie wejdzie do wody, chyba że będzie musiała. W życiu nie zdejmie sznurowanych po kolano butów ani długiej białej sukni. Siedziała na piasku z podwiniętymi pod siebie nogami i wyprostowanymi plecami i pilnowała ich. Swoich chłopców. Błyszczących złotych w oceanie.

Kawałek dalej inna kobieta przyprowadziła swoją dziewczynkę na plażę. Ona także nie chciała być widziana. Ale nie dlatego, że bała się wyjawic srebrny sekret ciała. Stroje kąpielowe z tamtej epoki były skromne, lecz ona nie włożyła nic podobnego. Zamiast tego miała na sobie zwiewne bawełniane krótkie spodenki i pasującą do nich koszulę. Mogła się kąpać w tym stroju, gdyby zaszła potrzeba. Po prostu potrzebowała chwili wytchnienia od admiratorów i ich zazdrosnych kobiet. Nie było tu żywej duszy, no cóż, może poza drugą rodziną, która była na tyle uprzejma, by usadowić się na przeciwnym krańcu plaży. W oddali tamci to tylko brązowe plamki na słońcu.

Anette błagała i błagała, by wybrały się na plażę. Wszystkie inne dzieci chodzą, czemu ona nie może? Na Saint Thomas znajdowało się sporo spokojnych, przyjaznych pociechom plaż. Ale Eeona i tak nie pozwalała swojej młodszej siostrzyczce wchodzić do wody, więc wzburzone fale nie robiły jej różnicy.

– Możesz zamoczyć w wodzie stopę, ale tylko tyle – powiedziała Eeona. Wcale nie musiała tego mówić, powtarzała to już tyle razy wcześniej. – Morze cię zabije, tak jak zabiło papę.

Mała Anette nie wiedziała, że już umie pływać. A Eeona ani jej nie uczyła, ani nic jej nie tłumaczyła. Zamiast tego starsza siostra siedziała na plaży i zmagala się z koronką igłową – sztuką, w której jej matka była mistrzynią.

Anette miała na sobie workowatą sukienkę, coś, co Eeona skleciła dla niej ze skrawków czerwieni. Jej włosy jak zawsze gorzały na głowie jak płomień. Mała ruda dziewczynka, gdy jej siostra nie patrzyła, pochylała się, by zanurzyć twarz w załamaniu fali. Potem popędziła czym prędzej brzegiem i usiadła na piasku, by zbierać muszelki. Nie licząc jej siostry, były najpiękniejsze na całej plaży. Anette nie pamiętała, że już tu była ani że nauczyła się pływać. Nie zapamiętała matki przykładającej muszlę do jej ucha. Ale teraz podniosła muszelkę i podbiegła z nią

do Eeony. Siostra odłożyła robótkę ręczną. Zacisnęła pięści i złączyła kostki. Może zbliża się epizod. W każdym razie była gotowa się zbierać. Gotowa nakrzyczeć na dziecko, że zawraca jej głowę. Zapach wody morskiej. Piasek pod stopami. Anette, tak mało urodziwa w porównaniu z tym, jak wyglądała Eeona. Przez to wszystko Eeona zatęskniła za ojcem i matką, a nawet za Louistem Moreau.

– Muszelka – ogłosiła Anette.

– A dokładniej – powiedziała Eeona z podenerwowaniem – muszelka skrzydelnika wielkiego.

Eeona wzięła różową muszlę od Anette i przyłożyła ją dziewczynce do ucha. Teraz Anette szeroko otworzyła oczy. Wsłuchiwała się w skupieniu, jakby ktoś objaśniał jej drogę do celu albo wyjawiał sekret.

– Bądź cicho, to usłyszysz ocean – Eeona powtórzyła to, czego nauczył ją papa.

– Słyszę w muszli papę – stwierdziła Anette.

Eeona spojrzała na Anette, tak jakby miała przemówić w obcym języku, pełnym ostrych pisków zamiast samogłosek.

– Słucham? – spytała wystraszona Eeona.

Ale Anette tylko patrzyła w dal i wciąż wsłuchiwała się uważnie.

– Anette, czas wracać do domu.

To czerwona sukienka, migająca z drugiego krańca plaży, przykuła wzrok Jacoba. Suknia dziewczynki była dziwnie długa, tak jak strój jej matki. Poza tym to dziewczę miało ognisko rudych włosów na głowie. Czerwonych jak kandyzowane wiśnie. Mała zmierzała ku niemu, podczas gdy obecna z nią pani pakowała ich rzeczy. Dziewczynka była bezpieczna, z dala od oceanu, ale Jacoba przepełniło nagłe pragnienie pospieszenia jej na ratunek. Umiał pływać – to dar, który przekazała mu matka. Z początku mama zastanawiała się, czy go nie utopić, więc kiedy miał sześć tygodni, wrzuciła go do morza. Ale nowo narodzony Jacob był jeszcze tak mały, że pamiętał wody płodowe w jej łonie. Pływanie przyszło mu naturalnie i natychmiastowo. Rebekah uznała to za ostateczny znak, ostatni urok. Świat wygrał, pokocha chłopca i pozwoli mu żyć. Ale Jacob pragnął uratować dziewczynkę, ponieważ miał tendencję do ratowania z opresji. Ten symptom da o sobie znać później, kiedy trafi do wojska, oraz potem, gdy będzie zmuszony wybierać między miłością a życiem. Na razie jednak biegł do dziewczynki, która niosła dużą muszlę.

Eeona pospiesznie pakowała rzeczy. Odejść czym prędzej. Nie zauważyła małego chłopca o skórze koloru złocistego piasku, który podszedł do Anette.

Jacob czuł, że musi podbiec do dziewczynki, ale teraz, kiedy stanął przed nią, nie wiedział po co.

– Mogłaś utonąć – powiedział, jakby jej groził.

– Wiem – odparła Anette, nawet na niego nie patrząc.

Anette miała prawie osiem lat. A Jacob miał ich tylko osiem. Była ubrana na czerwono. A czerwony to jego ulubiony kolor.

– Umiesz pływać? – spytał Jacob.

Anette nadal nie podniosła na niego wzroku, bo nie podobała jej się własna odpowiedź.

– Siostra nie chce mnie nauczyć.

– Ja potrafię – stwierdził Jacob.

Chciał odpowiedzieć tym samym: „Uratuję cię, jeśli będziesz potrzebować ratunku”. Jako najmłodsze dziecko w rodzinie nigdy nie miał okazji tego zrobić.

Teraz Anette spojrzała na niego.

– Potrafisz pływać! – powiedziała.

Wyrzekła te słowa z determinacją w głosie, jakby była wiedźmą i rzucała zaklęcie. Jacob skinął twierdząco głową, ulegając czarowi. Wtedy zaproponowała, że przyłoży mu muszlę skrzydelnika do ucha.

– Chcesz posłuchać mojego papy w muszelce?

Jacob pochylił się i pozwolił jej przyłożyć muszlę do swego ucha. Anette spodobało się to, co zrobił, jak to zrobił. Jak wyciągnęła ku niemu tę piękność, a on się nie cofnął.

Opuściła ciężką muszlę. Jacob się uśmiechnął.

– Mama mówi, że wzięłem się z morza – powiedział, sam nie rozumiejąc tych słów. – Jestem tam, w twojej muszelce.

– To tak jak ja – dodała Anette.

W tym momencie matka Jacoba i siostra Anette dojrzały się i pobiegły ratować każdego swojego podopiecznego. Rebekah i Eeona natychmiast się rozpoznały i natychmiast poznały pociechę tej drugiej. Każda z nich porwała i odsunęła swojego ośmiolatka, tak jakby tamta kobieta i tamto dziecko były zarazą.

– Ależ, mam, właśnie mówiłem jej to, co mi opowiadałaś – skarżył się Jacob, gdy Rebekah ciągnęła go za pasek od spodni. Był dzieckiem, więc jeszcze wtedy nie obejrzał się za siebie. Skierował swe słowa do matki. Nie chodziło mu wcale o małą dziewczynkę, jeszcze nie. – Mówiłem jej, że wzięłem się z morza – próbował wytłumaczyć.

– Nie musisz rozpowiadać wszystkiego, co ci mówię – powiedziała Rebekah, odciągając go na stronę i zwołując resztę chłopców.

– Mamo, ale ona mówi, że jest taka sama jak ja. To prawda?

Pytał wciąż i wciąż. Ale Rebekah zdawała sobie sprawę z siły powodzi, z potęgi grudy ziemi rzuconej do dziury, zaczęła więc pleść opowieść. Miała nadzieję, że wybije mu ona z głowy małą dziewczynkę i jej dziewczynskie słowa. To miała być nieszkodliwa opowieść, ale nawet historie, które wydają się nieszkodliwe, zawsze niosą ze sobą niebezpieczeństwo.

„Duene mieszkają w morzu” (ta mała dziewczynka nie umiała nawet pływać). „Mają długie włosy” (ta mała miała niesforną rudą czuprynę). „Chodzą tyłem do przodu” (ta dziewczynka stawiała kroki normalnie). Rebekah opowiadała ów mit, zbierając synów jednego po drugim i maszerując z nimi do domu.

Ale zanim zostawili za sobą piasek i morze, Jacob obejrzał się za siebie. Jego matka nie prowadziła go do kościoła, nie słyszał więc o słupie soli. No i się stało. Nie zamienił się w sól, ale coś w nim zastygło na wieki. Obejrzał się przez ramię i zobaczył małą dziewczynkę w czerwonej sukience, którą odciągano od niego, ale która także oglądała się za siebie. I od tej chwili wiadomo było, co się stanie.

Kiedy dotarły do Savan, Eeona postanowiła, że musi coś zrobić. Mama powiedziała: „Uważaj” na chłopca i Anette. Być może powinna od razu odesłać Anette do kuzynki na Tortolę. To oznaczałoby uszanowanie woli mamy, czyż nie? Prosta recepta na wszystkie problemy, prawda? Kuzynka z Tortoli była już starsza, wręcz słabowita, ale Eeona mogłaby powiedzieć, że to tylko krótka wizyta, a potem pobyt przedłużyłby się na lata. A może rozwiązaniem była tamta Stemme o jasnych oczach z Anegady? Lecz nawet jeśli kobieta przyjęłaby dziecko, cała wyspa Saint Thomas skazałaby Eeonę na potępienie, gdyby wysłała siostrę na Anegadę, by została tam konkubiną. Na nieco mniej znanej wyspie, Saint Croix, znajdował się sierociniec. Ktoś pisał o nim w „Daily News”, wydawało się, że to porządny ośrodek. Do tego Saint Croix, przynajmniej z tego, co słyszała Eeona, to po prostu łąka piasku na morzu, gdzie nikt nigdy się nie dowie, kim jest Anette Bradshaw ani do kogo należy.

A wtedy Eeona będzie mogła zacząć. Zacząć od nowa. Tymczasem mentorki, na którą Eeona się zdecydowała, nie było na wyspie. Z Livy była niezła włóczęga. Ale to dobrze, ponieważ najpierw Eeona musiała uszyć sobie błękitną suknię. Wiedziała, że taki kolor uspokaja kobiety w jej obecności.

Liva Lovernkrandt wróciła ze swej ostatniej podróży do Nowego Jorku, gdy Eeona obszywała rąbek sukni koronką.

25.

U McKenziech z Saint Thomas rodzili się sami chłopcy. Potomkowie chrześcijanina, właściciela niewolników, który przekazał całą swą ziemię jednemu kosmatemu bękartowi. W linii dziedziczenia przekazywano wyłącznie chromosomy Y. Wszyscy mężczyźni w rodzie byli ogromni i masywnie umięśnieni, jeszcze zanim skończyli dziesięć lat. Byli płodni od dziewiątego do dziewięćdziesiątego roku życia. Ale za tę męskość trzeba było zapłacić. W każdym miocie trafiało się paru, z którymi nie wszystko było do końca w porządku.

Osobliwość McKenziech to rzecz tajemnicza, przez nią niektórzy z nich nigdy nie nauczyli się dobrze tańczyć, inni nie mogli przeczytać choćby najprostszej książki. Lecz nadal to oni potrafili obliczyć datę i godzinę narodzin,

a potem przepowiedzieć komuś, kiedy nadejdzie kres jego dni, to oni umieli grać na instrumencie, który dopiero co wpadł im w ręce. Mimo to trudno było kochać McKenziech, bo nigdy się nie przytulali, nie uśmiechali i zdawali się nikogo nie potrzebować – nawet siebie nawzajem. Kobiety stały jakby na zewnątrz. Wszystkie matki i żony – rodzicielki męskiej rasy.

McKenzie nigdy nie zostawali senatorami, w ogóle nie bywali doktorami, ani razu nie pracowali jako dziennikarze, nigdy też nie stawali się wielkimi bohaterami historii Karaibów czy Wysp Dziewiczych. Posiadali dwa nadzwyczajne przymioty: zawsze płodzili synów i zawsze dobrze się żenili.

Każda żona i matka u McKenziech – poza Rebekah – pochodziła z bogatej i wysoko sytuowanej rodziny, rodziny, gdzie dziedziczono jasną karnację, z nią tak łatwo było uchodzić za Portugalkę czy Sycylijkę w podróży do Stanów Zjednoczonych. Ci więc McKenzie, którzy nauczyli się przynajmniej czytać, nieśli dalej w świat swe ultramęskie geny i wżeniali się w najbogatsze i najlepiej sytuowane kasty Saint Thomas i innych Wysp Dziewiczych. Wielu z nich odniosło sukces, choć nie zawsze dzięki własnym zasługom. Za to zawsze z pomocą żony, posiadającej spory majątek i szerokie znajomości.

W dzisiejszych czasach mężczyźni z rodu McKenziech pretendowali do stanowisk takich jak policjant, strażnik, żołnierz czy strażak. Dostęp do tych urzędów w służbie publicznej czasem bywał dla rodowitych mieszkańców wyspy ograniczany, mimo tego Benjamin McKenzie, mąż Rebekah i prawowity ojciec wszystkich jej synów, zdołał dostać się do marynarki wojennej. Lecz od zawsze McKenzie byli rodziną pełną klasy i grubiaństwa. Każda młoda dama skrywała twarz w jedwabnych poduszkach i marzyła, że to włochate brzuszysko któregoś z McKenziech. Każdy przedsiębiorca, czarny, biały, mieszany, Francuzik czy Mulat, pragnął niezliczonej gromadki wnuków, a w tym celu był gotów zaprzedać duszę diabłu, byle tylko ujrzeć swe córki na ślubnym kobiercu z McKenziem.

Jednak Benjamin McKenzie, żeniąc się z Rebekah, nie zadbał o dobrą partię. Wziął ślub pod wpływem zadurzenia, co zdarzało się McKenziem rzadko, a do tego na pewno było dziełem uroku Rebekah. Kiedy Benjamin zostawił ją z małymi mężczyznami – musimy powiedzieć mężczyznami, nie chłopcami, bo z młodzieńców były niezłe gbury już przed okresem dojrzewania – Rebekah nie pograżyła się w rozpacz. Prawdę mówiąc, mieszkańcy Saint Thomas przypuszczali, że Rebekah posłała go na wiatr – i mieli rację. Inne kobiety, które wyszły za McKenziech, zazdrościły jej. Zdołała wykonać w tej rozgrywce zawodowego hat tricka. Zachowała nazwisko McKenzie i synów McKenziech, ale uciekła przed mężem McKenziem.

Trzeba powiedzieć, że Jacob Esau McKenzie stał się beniaminkiem. Przyszedł na świat z potrzeby miłości, nie z potrzeby bezpieczeństwa. Tak, próbowała go zabić, ale jeśli spytacie kogokolwiek, nawet zabobonniczki, odpowie,

że to raczej z troski i miłości. Miłość zwykle zwycięża. Ale troska pozostała nadal żywa. Rebekah kazała Jacobowi chodzić boso, żeby palce u stóp nie zrosły mu się w kopyto tak jak u niej, co było cechą dziedziczną po linii rodu Rebekah. Jednak największą jej troskę stanowiło to, że Jacob Esau tak naprawdę nie jest McKenziem. Czy wujowie McKenzie nie wesprą go, kiedy nadejdzie czas, by udał się do college'u albo zdobył pracę? Czy nie dostanie zgody, aby ożenić się z dobrą partią? To prawda, Jacob Esau, nie będąc McKenziem, nie ucierpi – w przeciwieństwie do braci – z powodu przedwczesnego owłosienia czy głębokiego, męskiego głosu u brzdąca. Należał do niej i Owena i mimo że Rebekah posiadała rozległą wiedzę, nie wiedziała do końca, co wyjdzie z takiej mieszanki. To Owen pewnego razu opowiedział jej o Duene.

Szczerze mówiąc, można od tego oszaleć. Te wszystkie mity, które zlewają się i zrastają w jeden. Czy mężczyźni Duene zamieszkują tylko łąd Saint Croix? Czy kobiety Duene żyją tylko w wodach Anegady? Nawet od mitu muszą istnieć wyjątki. Nawet my, zabobonniczki, musimy mieć swoje tajemnice.

Jacob Esau miał za to niewiarygodną pewność siebie, dzięki której potem zostanie dowódcą w wojsku oraz posunie się za daleko z żoną innego mężczyzny. Potrafił grać na pianinie. Uwielbiał kandyzowane wiśnie za ich smak (zarówno słodki, jak i cierpki) oraz kolor (głęboką czerwień). I co ważniejsze, szaleńczo i ewidentnie się zakochał, jak żaden inny McKenzie.

O tym Rebekah była przekonana. W końcu Jacob nie był McKenziem. Mógł kochać i być kochanym. A jeśli mężczyzna potrafi kochać, to tylko kwestia czasu, zanim zacznie. Rebekah wiedziała o tym, ale była zdecydowana temu zapobiec. Jej mąż zniknął. Jej kochanek przepadł. Zostali jej tylko synowie. Jeśli trochę pomoże losowi, jedyną kobietą, jaką Jacob kiedykolwiek pokocha, będzie ona.

W tym celu Rebekah trzymała wszystkich swoich synów z daleka od Kościoła rzymskokatolickiego, pomimo że to w tym obrzędku chrzczono dzieci z rodziny McKenzie. W parafii były kobiety. Śliczne, młode kobietki z woalkami na twarzach czekały tylko, by jakiś mężczyzna odłonił woal i je pocałował. Co gorsza, była tam też Maria. Dziewica od wieków i na wieki ubrana w błękit. Rebekah odchrząknęła i splunęła, gdy tylko o tym pomyślała. Z Marii była żadna dziewczyna. Maria pieprzyła się przed ślubem, a potem przekonała wszystkich, nawet swojego bezmyślnego chłopca, że to Bóg ją zapłodnił. Do tego jeszcze ten Jezus, wiszący na krzyżu z tą całą swoją nagością i rozżaloną miną usychającego z miłości.

– Nie bierz człowieka do ust, jeśli nie jesteś gotów się poświęcić – powiedziała Rebekah Jacobowi, kiedy błagał ją, by wolno mu było przystąpić z rówieśnikami do Pierwszej Komunii Świętej. – Nie bez powodu nazywają to komunią. Nie bez powodu nazywają to boskim obcowaniem. Bo to obce ciało!

Te wyspy są po prostu zbyt piękne. Przekraczasz próg domu i wchodzisz do

katedr. Schodzisz po schodkach ganku wprost przed ołtarz. Bóg przemawia przez krzew bugenwilli albo ze szczytu Mountain Top. Wystarczy, że pójdziesz na plażę, a zanurzysz się w święconej wodzie. Piękno – tak jak boskie oblicze – jest wszechobecne i oślepiające. Oczywiście, że Rebekah przegra. Jacob zacznie obcować bez jej pozwolenia.

Czasem mówi się, że miłość zaczyna się od muzyki, ale jest inaczej. Miłość swój początek ma w wodzie, tak jak wszystko inne. I jak wszystko, co ma dla nas znaczenie, zaczyna się na plaży. Narodziła się w dniu, kiedy Jacob zobaczył Anette w sukience koloru kandyzowanych wiśni, kiedy Anette przyłożyła mu do ucha muszlę i każde z nich usłyszało swego ojca, jak mówi morzem.

26.

Eeonie udało się zaoszczędzić i kupić muła, by szykownie docierać na targ i do kościoła. Ten był mniejszy i bardziej uparty niż przerośnięta bestia należąca do Bradshawów. Osioł wabił się Nelson. Eeona zawsze sądziła, że nadane imię ma wielką moc, dlatego nie zmieniła mu go, choć wydawało jej się nieco niepoważne. Przed wyruszeniem w drogę do pani Lovernkrandt na herbatę Eeona zawiązała Nelsonowi wokół uszu modre wstążki, żeby móc nadjechać z klasą. Kokardki pasowały Eeonie do sukni. Ale potem zobaczyła prawdziwy automobil zaparkowany u bram Lovernkrandtów niczym sfinks. Jasne, widziała już te zmotoryzowane osły obwożące swoich panów w tę i z powrotem po Main Street. Lecz nigdy wcześniej nie dojrzała żadnego z tak bliska. Zdawało się, że to niebezpieczny omen. I tak rzeczywiście było.

Kiedy tylko Eeona weszła do salonu, natychmiast spostrzegła, że pani Lovernkrandt siedzi w bujanym krześle jej matki. Eeona nie sprzedała fotela, po prostu zostawiła go w Nadmorskiej Willi. A teraz stał tutaj na wyciągnięcie ręki. Skoro Liva miała bujak, na pewno miała też inne fragmenty Nadmorskiej Willi. Być może wszystkie zane kobiety posiadały po kawałku tego, co kiedyś stanowiło wizytówkę domu, co powinno należeć do Eeony, a one sobie to przywłaszczyły. Oczywiście Eeony już nie wtajemniczano w bieżące wydarzenia kobiet z wyższych sfer i ich rodzin.

Patrząc na tę kobietę, jej twarz mangusty i ziemistą cerę, na to, jak rozsiadła się w tak cennym skrawku Nadmorskiej Willi, Eeona miała ogromną ochotę grubiańsko rozpuścić włosy, jakby wyciągała miecz z pochwy. Ale przypomniała sobie, że ta damulka ma zostać jej dobrodziejką.

Pani Lovernkrandt, co prawda, nie paradowała przed Eeoną w futrze, ale sporo opowiadała o swoich podróżach. Wspominała nawet, wyobraźcie sobie, o Anegadzie, skąd częściowo pochodzili jej przodkowie sprzed paru pokoleń. Eeona nie pisnęła ani słówka na temat swej dawnej przygody na atolu. Ale powiedzmy prawdę, i tak wszyscy wiedzą o niepowodzeniu Eeony z młodym

Francuzem.

– Ależ na tej wyspie panuje małowyspiarski zaścianek – powiedziała pani Lovernkrandt o atolu. – Ale... – Uśmiechnęła się i obejrzała za siebie, wyglądając przez okno. – Widzę, jak mój dziadek stoi po kolana w oceanie. Słońce zachodzi tuż za nim, oblewając promieniami jego sylwetkę z maczetą w dłoni, kiedy rąbie homara na kawałeczki. – Westchnęła. – Zacołane i piękne. Jednak zupełnie niepodobne do Nowego Jorku. To miasto jest brzydkie i bardzo postępowe – orzekła Liva, bo Nowy Jork stał się częstym celem jej podróży. – Muzyka, sztuka, teatr, scena artystyczna rozkwitają, mimo że reszta pograżyła się w depresji – powiedziała. Zdawało się, że zapomniała, iż matka Eeony była w Ameryce, po czym wróciła tylko po to, by umrzeć. Tymczasem pani Lovernkrandt pochyliła się z szeroko otwartymi oczami: – Do tego autorzy tej sztuki to po części Murzyni z Ameryki!

Pani Lovernkrandt, Mulatka, miała skórę barwy muszkatołowca. Kiedy wróciła z Nowego Jorku, była bardzo jasna, tak jakby w jej żyłach krążyło mleko, nie krew. Wyglądała prawie jak biała kobieta. Prawdę powiedziawszy, jej mąż, Duńczyk, powiedział Amerykanom, że jego żona ma portugalskie korzenie, aby uciąć wszelkie podejrzenia o negroidalne pochodzenie. Teraz pani Lovernkrandt zawsze zakładała kapelusz, gdy wychodziła na zewnątrz, i nieustannie rozglądała się za cieniem.

Pani Lovernkrandt, siedząc z Eeoną w salonie, przybrała konspiracyjny ton.

– Twoja matka, niech spoczywa w pokoju, zawsze chciała zobaczyć najnowsze kroje.

No cóż, być może Antoinette rzeczywiście je ujrzała. Może wdowa Bradshaw dotknęła ich, a nawet poczuła ich woń. To nie ma znaczenia, bo zdarzyło się daleko stąd, nie możemy więc mieć pewności. Zamiast tego Liva Lovernkrandt opowiedziała o Murzynach, którzy zawładnęli sceną. Widziała czarne kobiety tańczące jak w Afryce, co – prawdę mówiąc – przypominało to, jak wszyscy tańczyli na wyspie.

– Amerykańscy Murzyni – stwierdziła z podziwem, jakby to była nowa rasa ludzi. Choć w pewien sposób rzeczywiście nią byli. W rzeczy samej my byliśmy teraz ich nową wersją.

Eeona siedziała ze sztywno wyprostowanymi plecami, a ta surowość względem siebie, jak to często bywało, wywoływała ból. Po tym, jak pozwalała sobie pokazywać się publicznie, często zwijała się w kłębek w łóżku. Ale nie dopuszczała, by ktokolwiek widział ją w innej pozie niż damy, którą była. Lub powinna była być. Kiedyś znów będzie. Wsłuchiwała się w huśtanie bujaka, a Liva opowiadała niemądre historyjki.

Gdy ogrodnik dolewał im herbaty z czerwonołkrewu, zawadził o filiżankę Eeony. Nie mógł się zdobyć na to, by spojrzeć jej w oczy. Pokazał kark. Ukazał pół

twarzy. Eeona słyszała jego ciężki, płytki oddech. Nie mogła go winić. W końcu przebywał w jej obecności. Sama czuła się podobnie, gdy pozostawała w swoim towarzystwie. Jej błękitna suknia często nieco uspokajała mężczyzn, ale nigdy zupełnie.

Eeona, żeby się odezwać, odczekała, aż mężczyzna opuści pomieszczenie, obawiała się, że przyprawi biedaka o zawał serca, jeśli ten usłyszy jej głos z tak bliska. Nie spojrzała na bujak, widziała go jedynie kątem oka, ale wbiła wzrok wprost w tę kobietę, która miała ją uratować.

– Ma pani wspaniałą służbę, pani Lovernkrandt.

– Tak, i będę wdzięczna, jeśli upniesz włosy, w przeciwnym razie będę musiała go chować za każdym razem, gdy składasz mi wizytę. Wiesz, jakie jesteście, wy, kobiety Bradshaw. – Westchnęła. – Poza tym wolę mieć za służących mężczyzn niż kobiety. Pewnie dlatego, że mam samych synów.

Zatrzymała się, pochylając się do przodu w bujanym krześle i popijając herbatę, a być może ważąc słowa. Pani Lovernkrandt wiedziała, że Eeona nie mogła pozwolić sobie na posiadanie służby, a jeśli tak dalej pójdzie, to nie będzie mieć także dzieci.

Eeona usłyszała te niewypowiedziane zdania. Spięła się, ale czekała.

– Cóż, Eeono, kochanie, najwyższy czas, żebyś zaczęła do mnie mówić Liva.

Dobry znak, ale Eeona musi być ostrożna. Najważniejszym powodem wystawienia Nadmorskiej Willi na sprzedaż była konieczność spłacenia długów kapitana Owena Arthura Bradshawa u męża tej kobiety. Eeona uniosła podbródek, tak jakby patrzyła z góry na swe własne słowa.

– Zatem, Livo, dziękuję ci bardzo. Moja wizyta jest nie tylko kurtuazyjna.

Wiedziała, jak oczarować mężczyznę, ale gorzej szło jej z kobietami.

– Może przez wzgląd na pamięć o wspólnych interesach łączących nasze rodziny od lat będziesz potrafiła mi doradzić.

Na twarzy Livy zagościł kwaśny uśmiezek.

– Droga Eeono, twoja matka zawsze powtarzała, że masz dar jasnowidzenia. Oczywiście, nie będę przeczyć, że brałam cię pod uwagę.

Eeona poczuła, jak napięcie w jej kręgosłupie ulatuje wraz z lekkim westchnieniem. Przygotowała się na ofertę, którą zaraz usłyszy, i na nowe życie, jakie miało się zacząć. Liva ciągnęła:

– Ale powiedz mi, co potrafisz.

Biedna Eeona nie przemyślała tego dobrze. Założyła, że ta kobieta zapragnie jej, bo każda kobieta lubiła piękne rzeczy. Mogłaby być lalką, córką. Eeona uśmiechnęła się, zyskując trochę czasu, by dopłynąć do najdalszych zakątków swego umysłu.

– Szydełkowanie – powiedziała prędko. – Potrafię dość dobrze szydełkować. Dobrze mi idzie plecenie koszyków z suszonych liści palmy. Do tego uczę się

koronki igłowej.

Liva przytaknęła z zapalem, kiwając się na krześle, tak jakby chciała właśnie to usłyszeć.

– A co z twoją młodszą siostrą? Czy nie pozostaje pod twoją opieką? Niestety nie potrzebuję zatrudniać was obu.

– Właśnie teraz planuję odesłać ją na Portoryko – wymyknięto się Eeonie, chociaż list, który pisała, był zaadresowany do Saint Croix, do sierocińca.

– Skończy szkołę na Portoryko! Tak jak wasza matka! – Liva rażno klasnęła w dłoń ku zakłopotaniu Eeony. Bujak zatrzeszczał. – To zmyje z niej trochę zapóźnienia rodem z Anegady, przyda się, zanim wydasz ją za męża. Co prawda, Antoinette zdołała uwieść waszego ojca pomimo swej małowyspiarskości. No cóż, wiele z nas próbowało swoich sił u waszego ojca. Och, nie martw się, złotko. Ona zwyciężyła bezapelacyjnie. Zawsze podziwiałam za to twoją matkę. Wy, Stemme, tak macie, mężczyźni tracą dla was głowę. – Liva przez cały ten czas bujała się na krześle w rytm swojego szczebiotania, wygrywając muzykę odpowiednią do nastroju. – Och! To cudownie, że udało ci się zapewnić siostrze miejsce. Muszę zdradzić ci pewien sekret. Będziemy miały parę sekretów, ty i ja.

Cóż, ta kobieta wydawała się być po jej stronie.

– Wprost wspaniale się składa, pani Lovernkrandt. Livo.

– Dobrze. Świetnie. To prawda, że niedługo znów powinnam wyruszyć w podróż, tym razem sama. Wiesz, muszę sporo podróżować. Urodziłam się dla Nowego Jorku. Teraz to rozumiem. Kiedy tam jestem, nawet synowie nie mieszkają ze mną. Młodszy dzieli kawalerkę. Pamiętasz ich, prawda?

– Wspaniali młodzi mężczyźni – powiedziała Eeona, chociaż zapamiętała młodych Lovernkrandtów jako bandę nieletnich Duńczyków, wpadających w zakłopotanie w jej obecności. Ale sądziła, że ci chłopcy, dziś dorośli mężczyźni, mogliby przykuć jej uwagę.

– No cóż. Tak. Oczywiście najstarszy się ożenił. Ależ mieliśmy tu weselisko!

Liva otworzyła szeroko oczy z rozbawieniem lub zażenowaniem, Eeona nie potrafiła tego z pewnością stwierdzić. Eeony nawet nie zaproszono na ślub. Bujak przestał się kołysać, ale za chwilę znów ruszył.

– Moi młodszy chłopcy zaręczyli się ze szlachetnie urodzonymi dziewczętami. Z siostrami, wyobraź sobie! Ich ojciec buduje kolej żelazną. No cóż, Eeono, kochanie. Nie zaszkodziłoby mieć u boku mężczyznę, nie mojego męża, podczas mych samotnych podróży. – Liva oparła się na krześle i skinęła dłonią na drzwi, za którymi zniknął służący. – Dlatego twoje pytanie przyszło w sam czas. Możesz pojechać ze mną zamiast nich. Jako ktoś w rodzaju służebnicy.

Eeona potrzebowała chwili. „Służebnica” kojarzyła się z rodem królewskim, termin ten na chwilę ją zmylił. Ale za moment wszystko stało się jasne.

– Chcesz powiedzieć, że proponujesz mi posadę służącej?

Eeona czuła, jak pali ją skóra, tak jakby krew zamieniła się w wodę morską.

Liva nachyliła się po filiżankę z herbatą, opierając krzesło bujane na koniuszkach płóz. Unikała wzroku Eeony.

– Cóż, droga Eeono, na co innego liczyłaś? Doprawdy na co innego mogłaś mieć nadzieję?

Eeona wstała. Jej ciało zmieniło się w nadkruszoną skałę, jej postawa stała się chwiejna. Podniosła rękę do włosów, naprawdę miała zamiar po prostu poprawić wsuwki. Ale skoro Liva nawet nie mogła na nią spojrzeć, Eeona poczuła wielkie, wypełzające na powierzchnię pragnienie. Stojąc na środku salonu, wysuwała wsuwki, jedną po drugiej. Liva, usłyszawszy melodię wsuwek, w końcu podniosła wzrok i zobaczyła, jak włosy Eeony żeglują na wszystkie strony świata. Właśnie nadchodził służący, by dolać im herbaty, ale teraz taca, którą trzymał, upadła z łoskotem na podłogę, a cukier rozsypał się po całym pokoju. Eeona nie czekała, aż pani Lovernkrandt wskaże jej drzwi.

– Livo, jeszcze możesz stracić wszystko, co mi odebrałaś.

I to był ostatni raz, kiedy Eeona widziała Livę Lovernkrandt.

Oczywiście, że trudno było sprzedać nielegalny rum Lovernkrandta. Co więcej, Amerykanie uśmiercili najprężniejszą gałąź przemysłu, wprowadzając prohibicję, a ten fakt stanowił dla pana Lovernkrandta uzasadnienie, dlaczego nie mógł darować Bradshawom zabójczej pożyczki.

Podczas trwania prohibicji na Brytyjskich Wyspach Dziewiczych dalej produkowano rum, jak zawsze, tyle że teraz tutejsze kobiety szmuglowały tę słodycz w majtkach. Inspektorzy Straży Wybrzeża Stanów Zjednoczonych tylko czasami zapuszczali swe nagie dłonie w ich oblaną rumem bieliznę. Zanim rum z powrotem stał się legalny, Lovernkrandta zmuszono, by zdemontował swoje młyny i zerwał kontakty biznesowe. Próbował zamiast rumu wytwarzać melasę i cukier. Melasa nigdy za dobrze się nie sprzedawała. A cukier z buraków cukrowych, produkowany w Stanach, był o wiele tańszy. Chwilowo trzcina cukrowa poszła w odstawkę.

Mister Lovernkrandt zawsze powtarzał, że nigdy nie opuści Wysp Dziewiczych, ale oto stoją na pokładzie statku wraz z żoną i machają wyspom na pożegnanie. Przepadli oboje. Ich synowie bogato się ożenili, mogli więc zamieszkać teraz w wiejskim domku w Connecticut. W końcu nie padło na Nowy Jork. Ale udawali się do Ameryki. Mimo tego, że pan Lovernkrandt miał za rodziców Duńczyków, to urodził się na Wyspach Dziewiczych zgodnie z deklaracją Stanów Zjednoczonych. Karaib, ale jednocześnie Amerykanin – jak my wszyscy.

Kiedy Lovernkrandtowie wyjeżdżali, byli zmuszeni sprzedać posiadłość, ponieważ nie zdołaliby jej utrzymać z zagranicy. Sprzedali wszystko. Krzesło

bujane także.

27

Anette

Nie przejmujcie się tym, że jeszcze dzieciak ze mnie. Jestem już wystarczająco dorosła, żeby połapać się, co jest grane. Czasem Eona zostawia mnie ze starą sąsiadką, a sama rusza załatwić sprawunki. Dosiada tego osła, jakby był rumakiem. Z sąsiadów są nawet przyjemniacy, ale nie jestem ich. Nakarmią mnie małym pierożkiem, jeśli jestem głodna. Dadzą mi garnek i patyk, żebym się nimi pobawiła, jeżeli się znudzę. Ale nie kochają mnie. I chociaż nie mam pojęcia skąd, to jednak wiem, co to miłość. Wiem, że moja siostra powinna mnie kochać. Tylko ona ma taki obowiązek. Cała reszta, która mi skapuje, to tylko jakimś cudem.

Eonie się wydaje, że skoro jeszcze dzieciak ze mnie, to jestem ślepa i głucha. Kiedy poszła kupić bilet na Saint Croix, zabrała mnie ze sobą, bo akurat nie było sąsiadów, którym mogłaby mnie podzucić. Słyszałam, jak wymawia moje imię, nie swoje. Jeden bilet. No i słyszę, że nazywa mnie Anette Stemme, nie Anette Bradshaw, chociaż nie znam nikogo o nazwisku Stemme. Ale ja wiem swoje. Jadę gdzieś, a Eona nie jedzie ze mną. A kiedy wyjadę, nie będę już jej siostrą. Inne nazwisko zerwie rodziną więź, ot tak, i po sprawie.

Spójrzcie tylko. Od kiedy bilet jest kupiony, bardzo się staram być grzeczna. Zasłużyć sobie, żeby zostać. Zamiatam podłogi. Jem tylko tyci, tyci, żeby nie martwiła się o jedzenie. Ciskam się na skraju łóżka, żeby nie czuła, że zakłócam jej sen. I tak prawie wcale nie śpię. Chowam się po kątach, żeby nie przeszkadzać, kiedy szyje. Wychodzę często z mieszkania i wałęsam się, topię patyki w deszczówce z Gertie i innymi dzikimi dzieciakami. Widzicie? Schodzę jej z cholernej drogi, jak się da.

Ale Eona i tak mnie odsyła. Wiem, że to ten dzień, kiedy siostra wyciąga spod łóżka płócienną torbę z klamrą. To fikuśna rzecz, mogła należeć do mamy. Pęka w szwach wypakowana ubraniami. Wiem, że to dla mnie. Siadam i patrzę, jak Eona miesza herbatę z guanabany. Guanabana to flaszowiec miękkociernisty, ma złagodzić wszystkie ciernie. Kiedy wypiliśmy napar, byłam tak miła i gładka, że mogłabym unosić się na wodzie. Herbata mnie uspokoiła. Zmusiła, bym nie zdradziła swego prawdziwego nazwiska i nie popsuka całej akcji. Dziś daje się coś takiego dzieciakom, zanim wsiądą do samolotu. Ale wy mnie wcale a wcale nie znacie. Nieważne, jaką truciznę mi wcisną, nie ma mowy, żebym wsiadła na łódkę. Wiem, że łódka to prosta droga do śmierci. Guanabana mnie ogłupiła, byłam na tyle głupia, żeby – kiedy tylko podeszliśmy do łodzi – zacząć wrzeszczeć: „Umieram! Umieram! Nie dajcie mi umrzeć!”

Eona zaczęła się rozglądać na boki, jakby miała zapaść się pod ziemię ze

wstydu, próbowała zatkać mi buzię ręką. Nie zdążyłyśmy nawet wsiąść na pokład, a ja już zdziczałam – *o, bazadie!* Próbuje mnie poskromić jak dzikie zwierzę, ale cały czas wodzi wzrokiem dookoła, żeby sprawdzić, kto to widzi. I wtedy zdaję sobie sprawę, że chciała odesłać mnie w tajemnicy nie tylko przede mną, ale przed wszystkimi. Dopiero wtedy ruszam do dzieła. Zaczynam wrzeszczeć i obwieszczać światu swoją nieuchronną śmierć tak głośno i z takim przejęciem, że sama w to już wierzę.

Musiał się zjawić sam kapitan, który powiedział Eeonie, że nie mogę wejść na pokład bez opieki, jeśli nadal mam zamiar się tak zachowywać. Kapitan to mężczyzna, więc zna nas i woła po nazwisku. Jeśli więc wszyscy czekający na łódkę nie zdążyli się jeszcze dowiedzieć, to teraz już wiedzą, że Eeona Bradshaw we własnej osobie usiłuje odesłać swoją małą siostrzyczkę na Saint Croix, i co to, do diabła, ma znaczyć? Pojawia się żona kapitana i patrzy mi prosto w oczy.

– To dziecko jest chore – mówi i chociaż brzmi szorstko, w jej głosie słychać też łagodność.

Ale Eeona szybko odzyskuje rezon.

– Jedzie do rodziny. Lekarzy. Rodziny lekarzy na Saint Croix.

Żona kapitana potrząsa przecząco głową i robi krok do tyłu.

– Ta choroba może być zakaźna.

Niech no tylko wam coś powiem. Kiedy rozlega się dudnienie, ja, Anette Bradshaw, osuwam się na suchy dok i patrzę, jak statek odbija od brzegu. Eeona stoi i patrzy, jakby odprowadzała wzrokiem ukochanego mężczyznę, który się od niej oddala. Ale jest coś, czego Eeona jeszcze nie załapała. Ja naprawdę jestem chora.

Tam, w porcie, moja skóra płonie, jakbym miała gorączkę. Oczy mi łzawią, ale to nie woda, lecz coś gęstego, co chyba mnie oślepi. Eeona maszeruje do domu i nawet nie obejrzy się za siebie, żeby sprawdzić, czy za nią idę. Wlekę się z tyłu, potykając się i zastanawiając, jak to, do diaska, zrobiłam. Powiedziałam, że umieram, no i patrzcie, umieram! Nazajutrz rano budzę się na podłodze. Ale poznaję, że to podłoga, tylko po tym, że jest twarda i zimna. Oczy mam zamknięte na amen, jakby sklezione jakimś klajstrem.

Eeona nie wezwała doktora ani nie zabrała mnie do szpitala. Ale przyszła sąsiadka. To kobieta z wysepki Jost Van Dyke. Z tych samych stron Wysp Dziewiczych, tych brytyjskich, co nasza mama. Wszyscy wiedzą, że czuje miętę do kobiet, tak jak kobieta powinna czuć do mężczyzn. Eeona nie napędza jej stracha. Eeona jej się podoba. Sądzi więc, że wyświadcza Eeonie przysługę, że przychodzi do naszego mieszkania. Ale nawet ona stawia szybką diagnozę. Gorączka do szpiku kości. Śluz zatyka każdą błonę. Tak, to prawda. Umieram. Mogę umrzeć w każdej cholernej chwileczce. Albo może to zająć cały miesiąc. Ale w tę stronę to zmierza. Hiszpanka – mówi, żegna się znakiem krzyża i czmycha z pokoju.

Zaraźliwa jak cholera, bez żartów, zabije każdego, kogo pocałuje.

A ja? A ja żyję. Wiem, że to żadna hiszpanka, choć prawie skosiła mnie maczetą z nóg. To ja jestem ostrzem tej maczety. To ja sama mówię coś, a potem tak się dzieje. Żaden lekarz mnie nie wyleczy. Tylko ja mogę to zrobić. A więc spędzam najpierw całe dni, potem długie tygodnie, powtarzając sobie w kółko, że przeżyję. Eeona traktuje mnie gorzej niż trędowatą, ale to oznacza, że mam całe łóżko dla siebie, bo ona śpi na kozetce w pokoju obok. Mimo że czeka na moją śmierć, nadal musi podawać mi wodę. Kobieta z Jost Van Dyke wciąż przychodzi tu i szuka Eeony, a mnie przynosi rosół. Jestem więc na tyle pokrzepiona, żeby myśleć trzeźwo. Będę kochać i będę kochana, wszystko skończy się dobrze, bo ci, którzy mnie kochają, przestaną, ale ktoś zjawi się i przybędzie tu, jeśli tylko zostaniesz przy życiu, Anette. Moje myśli prawie mnie zabiły, a teraz to one mnie ocaliły.

Ale wyznam wam, że cała ta moc napędziła mi niezłego stracha. Powiedz, a tak się stanie – to sztuczka, z którą łatwo o błędy. Żyję, ale zrobiłam się ostrożniejsza. Żyję, by przez długie lata nie życzyć śmierci ani jednej żywej duszyczce, aż spotkam mężczyznę, który zaleje mnie miłością jak tsunami. A ja wypłynę na głęboką wodę i zatnę w nim.

28.

Eeona

Piękno to podstępna sztuczka. Tkwi w tym, jak prezentujesz się w świetle. W tym, jak odchylasz głowę i jak oddychasz. Mężczyzna już nigdy nie spojrzy na swą żonę tak samo po tym, jak powącha ten maleńki fragment ciała za mym uchem.

Mężczyźni mogą się zenić pomimo swoich niezdolności. My, kobiety, musimy budować życie, stawiając fundamenty na bazie naszych umiejętności. Posiadam od zawsze jedną zdolność – mężczyźni mnie kochają. To magia, którą dysponuję. Nie wydawało mi się możliwe, bym mogła wybrać prawdziwą siebie i zachować dziecko. W tym matka i ja byłyśmy podobne. Tylko że miałyśmy inne ambicje.

Ja pragnęłam tylko skrawka ziemi i willi. Chciałam jedynie statku. Pożądałam tylko ojca, którego byłabym faworytką. Jak widzicie, prędko mnie z tego odarto. Nawet ja byłam świadoma, że moje piękno może nie trwać wiecznie.

Oczywiście, że będę nosić żałobę po śmierci Anette. Tak samo, jak okryłam ją żałobą już za życia.

PRZYNALEŻNOŚĆ

Pozdrówcie wszyscy Wyspy Dziewicze,

szmaragd morskich fal,

gdzie na plażach jaśniej piasek czysty,

a pasaty błogosławią nasz ląd ojczysty.

– Alton Adams

Virgin Islands Marc, hymn Wysp Dziewiczych Stanów Zjednoczonych



29.

Anette

Nic nie dzieje się bez przyczyny. Musi stać za tym jakaś historia. Ale kiedy przezwyciężam gorączkę, pierwsze, co widzę z łóżka, to wgapiony we mnie chłopiec. Wtedy z chłopaków znałam tylko RONALDA, którego od czasu do czasu widywałam z moją przyjaciółką GERTIE, kiedy ubierała się porządnie i nie latała ze mną po ulicach. Zapachy dobiegające z kuchni jego matki nie raz i nie dwa kazały mi usiąść pod jego oknem i marzyć. Ale teraz RONALD siedzi tu, wlepia ślepią w moje ciało, po czym opamiętuje się i spogląda na twarz. Nie mam pojęcia, że leżę tam w lichej koszulinie i przez gorączkę wypacam wiadra potu, więc jestem mokra, jakbym była topielicą. RONALD widzi mnie taką, jaką mnie PAN BÓG stworzył.

– Anette, wszyscy mówią, że jeśli cię pocałuję, to umrę. Ale ja im nie wierzę.

– No to uwierz – mówię cichym i szorstkim głosem, bo dawno nie otwierałam buzi.

Wychodzi, po czym wraca ze szklanką wody. Sięgam po nią, ale ręce mi się ślizgają. Czy gorączka znów wybucha? W piersi i całym ciele przelewa mi się woda. Ale nic a nic mnie to nie obchodzi. RONALD podnosi wodę do mych ust. Czuję kolce w gardle, ale jest mi dobrze.

– Dziękuję uprzejmie, RONALDZIE.

– Przyjdiesz do szkoły, Anette?

Nie mam pojęcia, o czym, do diaska, ten chłopak opowiada. Kiedy byliśmy bogate, EONA miała guwernantkę, a potem wysłano ją na TORTOLĘ, żeby tam udzielała korepetycji. A ja? Ja byłam za mała na guwernantkę, kiedy papa i mama przepadli. Darmowa podstawówka kończy się na piątej klasie, więc od dłuższej chwili nie było mnie w żadnej szkole. EONA nie posłała mnie do prywatnej, bo mówi, że nie damy rady wysupłać ani grosza z kieszeni na chesne, podręczniki, no i mundurek. Umie czytać, znam się na liczbach, wiem co nieco o historii, a nawet o polityce – wystarczy posłuchać gadania ludzisków na ulicy. Tam ostatnio jest moja szkoła. Ale wciskam RONALDOWI kłamstwo, bo myślę, że może jeśli tak powiem, to tak właśnie będzie.

– Tak, do zobaczenia w szkole.

– Dobrze będzie cię zobaczyć.

– No ale widzimy się teraz.

Przełyka głośno ślinę. Nie przejmuję się tym nic a nic. Staje w drzwiach sypialni, a ja główkuję, jakby się go pozbyć, żebym mogła przyjrzeć się swojemu ciału cal po calu i sprawdzić, czy jest miłe i suche. Ale nie mogę zatrzaskać chłopakowi drzwi przed nosem. Pytam go więc:

– Chcesz dać mi buziaka teraz?

Gały wychodzą mu z orbit, jakby zobaczył mnie gołą, choć jestem prawie golusienka w tym świetle i mokrej koszulinie, którą mam na sobie.

– Do zobaczenia w szkole, Anette – mówi, odwraca się na pięcie i daje drapaką, aż się za nim kurzy.

Widzicie? Nigdy nie chciałam tego, czego pragnęła moja siostra. Eeona pragnęła posiadać rzeczy. Ja pragnęłam być posiadana. Chciałam do kogoś należeć. To żaden wstyd, możecie napisać mi na nagrobku: „Anette leży tu, co miała miłości w bród”. O to chodzi w całym moim życiu. Ale nie będzie ono takie, jak teraz mi się wydaje.

Jeszcze w tym samym tygodniu piszą w gazetach i mówią w kościołach, że publiczna edukacja się rozwija i szkoła skończy się teraz dopiero na dwunastej klasie. Wszystko za darmo, nawet podręczniki. I nie ma wyboru. „Obowiązkowe” – to nowe, ważne słowo. Amerykańskie prawo w twoim *bawna*. Eeona posłała mnie na lekcje. Pozbyła się mnie z przyjemnością.

W niedzielę Eeona chce zabrać mnie ze sobą, żebym zobaczyła na własne oczy nowego biskupa amerykańskiego Kościoła anglikańskiego i przyjęła błogosławieństwo, bo tylko dzięki boskiej łasce wyzdrowiałam – a przynajmniej ona tak twierdzi. Prawdę mówiąc, myślę, że odstawia szopkę. Ale upiera się, że to prawdziwie dar boży, że idę do szkoły.

Mnie się tam wydaje, że możemy pójść do kościoła pieszo, ale Eeona, do diaska, wskakuje na Nelsona. Powiem wam, że nie lubię tego zwierzęcia. Nie przepadam za siodłaniem go na damską modłę i tymi idiotycznymi procesjami. Eeona zawiązuje osła wokół uszu te cholerne niebieskie wstążki, pasujące do jej błękitnej sukni. Robimy z siebie pośmiewisko. Poza tym osioł jest samcem, nie wiem więc, jakim cudem miałyby mu się podobać tasiemki. Ale Eeona tylko ustawia nogę, żeby móc jechać jak dama. Zaciska ręce na lejcach tak mocno, że kłykcie jej bieleją – ale mimo tego, co sądzi, wcale nie jest białą kobietą, a to oznacza, że po prostu za mocno ściągnęła wodze, rozumiecie, co mam na myśli.

– Ja mogę iść pieszo – mówię.

– Zawsze musisz tak wszystko utrudniać, Anette? – Eeona trzyma lejce Nelsona w zaciśniętej pięści, a w drugiej dłoni ściska parasol z falbankami, jakby była królową. – Jeśli pójdziesz pieszo, przegapisz całą mszę. Wskakuj na osła – mówi, jakby wydawała mi rozkaz.

Pamiętam, że z osła potrafi być miły koteczek z przodu, a tygrys z tyłu. Do tego Nelson wie, że go nie lubię. Kiedy siadam na jego grzbiecie, wierci tyłkiem, więc myślę, że ta cholerna bestia zaraz pierdnie, a my wylądujemy w kościele, śmierdzące zadem osła. Eeona odchrząkuje i składa usta w linijkę, tak jakby to, że zacisnęła wargi, miało przekonać zwierzę, by powstrzymało się od pierdnięcia. Zamiast tego osioł kręci się i kręci, a potem powoli obniża zad do ziemi, żebym

zjechała mu z grzbietu niczym po zjeżdżalni dla dzieci, którą wystawiają w karnawale. Gdyby Eeona nie wyciągnęła nóg przed siebie, wylądowałaby na tyłku obok mnie. Ale ona stanęła nade mną, zezłoszczona, i – do cholery – przez to jeszcze piękniejsza.

– Coś ty narobiła? – pyta.

Chcę jej powiedzieć, że to ten głupi głupiec osioł. Zamiast tego mówię:

– Spróbuję jeszcze raz.

Próbuję znowu i znowu, ale za każdym razem, kiedy wskakuję na grzbiet, Nelson siada, jakby się zmęczył. Skąd cholerny osioł wie, że to ja, skoro nawet nie obejrzał się za siebie – nie mam pojęcia. Teraz już za to wiem, dlaczego sprzedali go Eeonie za parę groszy. Jestem pewna, że nikt nie potrafi ujarzmić tej bestii, tylko Eeona Bradshaw.

Tym sposobem Eeona zostawia mnie w domu, a sama jedzie na tym dupcu na mszę, żeby zdażyć przynajmniej na drugie czytanie.

– Pomodłę się za nas wszystkich – mówi, ruszając w drogę galopem. Potem woła, nawet nie odwróciwszy głowy: – Nabierz wody do garnka z hydrantu. Ulep trochę pierogów. Idź na targ rybny Hospital Ground i kup rogatnicę. Żadną inną rybę. Tylko rogatnicę. Skoro już wyzdrowiałaś, musisz się spróbować na coś przydać.

Pozwólcie sobie wyjaśnić, że Nelson nigdy nie pozwala mi się dosiąść. Problem jest taki, że Eeona zawsze ma dla mnie listę sprawunków, kiedy sama udaje się do Hospitality Lounge, gdzie dostaje robótkę ręczną i wyszywa ściegi i hafty, albo jedzie do kościoła dziękować Bogu, że poszłam do szkoły i dałam jej trochę przestrzeni czy czego tam jej potrzeba. „Przynieś z targu paprykę i limonki” – mówi. „Nabierz wody z hydrantu, żebyśmy mogły umyć zęby. Kup rybę na Hospital Ground, nigdy z Frenchtown”. Eeona twierdzi, że opętałam Nelsona jakimś *jumbie*. Poza tym polegam we wszystkim na niej i w dodatku chcę, żeby uszło mi to płazem. Ale powtórzę wam raz jeszcze, nie wierzę nic a nic w te sprawy: *jumbie*, *obeah*, *vodou*. Ja wierzę w siebie.

Słuchajcie, co chcę powiedzieć: tej pierwszej niedzieli nawet nie wyszłam za próg, żeby przynieść rybę i wodę. Serio. Po prostu siadłam w naszym malutkim mieszkanku, które wynajmujemy, i rozmyślałam o smażącej się rybie i tryskającej znikąd wodzie. Wyglądało, jakbym odkładała to na później, ale ani ździebko się nie zdziwiłam, kiedy Ronald zapukał do drzwi i powiedział, że tak sobie pomyślał, że wpadnie ze świeżą rybą i świeżą wodą w wiadrze. Czy ryba to rogatnica? Tak. Przyniósł też paprykę i limonki. Człowieku, Ronald nawet oporządził i ugotował rybę, pojmujesz? Niby z niego chłopak, ale nauczył się tego wszystkiego od matki.

Co mogę powiedzieć o Ronniem? Było z niego dobre chłopaczysko i będzie porządny mężczyzna. Ale tak naprawdę to nie jestem dla Ronniego wcale taka wyjątkowa. Nie tylko mnie wyświadcza przysługi. Wystarczy, że ktokolwiek

poprosi go o dolara, a on już sięga do kieszeni i daje dziesiątaka. Wiecie, dobrze jest dawać. Ale Ronald daje tak, jakby nie wiedział, kiedy powiedzieć sobie dość. Człowieku, Ronnie zaprzyjaźnia się nawet z turystami, co kręcą się tu, piją rum jak wodę i pocą się jak hydranty. Podaje im ręcznik, by się wytarli. Wskakuje do wody, gdy turyści wrzucą dziesięciocentówkę, żeby ją dla nich wyłowić. Dolewa im coca-coli z własnego kubka do ich rumu.

Ale, no, no, jak ten chłopak umie gotować! Eeona myśli, że może warto mnie zatrzymać, skoro nauczyłam się, jak robić johnnycake, czyli podplomyk z mąki kukurydzianej, pasztet, no i zupę z soczewicy z pierożkami. Tak jakbym nauczyła się tego we śnie. Ale kiedy Eeona rusza ulicami na grzbiecie Nelsona, siadając na damską modłę, ze zbyt ciepłym jak na tę porę szydełkowym szalem wokół ramion, wystarczy, że pomyślę o Ronaldzie, a Ronald i Gertie zaraz się zjawiają, pukają do drzwi i pytają, czy czegoś mi nie potrzeba.

Bo widzicie, oprócz tego pierwszego razu, kiedy Ronnie zrobił rybę i pierożki, nigdy nie przychodzi w pojedynkę. To doprawdy niestosowne, by młody mężczyzna przebywał z młodą dziewczyną w domu sam na sam. Zjawia się więc z moją przyjaciółką Gertie. Podczas gdy on przygotowuje rybę z grzybami, Gertie i ja gramy w karty – w „Idź na ryby”. Kiedy jedzenie jest gotowe, wszyscy się nim zajadamy.

Eeona spędza całe popołudnia na robótkach w Hospitality Lounge, knując plan, jak znów stać się bogatą. Ale nie pisnie ani słówka o odesłaniu mnie na Saint Croix. Nie wiem co i jak. Za to wyspa Saint Thomas jest słodka jak melasa. Poza tym, kiedy już trochę podrosłam, zaczynam dokładać się do czynszu – po lekcjach dorabiam jako kasjerka w aptece, bo amerykańskie prawo zakazujące dzieciom pracy jeszcze się nas nie tyczy. Jedzenie, które przyrządza Ronnie co niedzielę, starcza na cały tydzień. Prawie wcale nie widuję Eeony. Jesteśmy jak siostry, choć każda z nas mieszka na swoim kawałku ziemi, a oddziela nas morze. Ale mnie to pasuje. Pasuje jak ulał. Godzę się na to od dawna. Ale potrzeba będzie tylko paru lat, by wojna zburzyła ten cały pokojowy układ.

30.

To proste. Wybuchła wojna. Musieliśmy teraz udowodnić coś temu państwu. Dowieść, że zasługujemy na paszporty Stanów Zjednoczonych, które pozwolono nam mieć. Każdy mężczyzna na Saint Thomas wiedział, że zostanie powołany do wojska. Każdy mężczyzna, który wkładał mundur, chciał coś po sobie zostawić. Choćby żonę. Coś, do czego będzie mógł wrócić. Byli dopiero w liceum, ale Ronald kochał się w Anette od lat, od dnia, kiedy odważył się zakraść do jej mieszkania i próbował ją pocałować.

Ronald pochodził z porządnej rodziny. To nie liczyło się dla Anette. Za to miało znaczenie dla Eeony. To prawda, że Eeona nie darzyła RONALDA sympatią.

Prawdę mówiąc, sądziła, że jego niesforne włosy skalają geny Bradshawów. Ale Eeona potrzebowała dwóch rzeczy: po pierwsze, wyzwolić się od niechcianego obowiązku, i to w taki sposób, by zachować godność rodziny, a po drugie, choć tak naprawdę powinno to być na pierwszym miejscu, trzymać Anette z daleka od tego namorzynowego mężczyzny o nazwisku McKenzie.

Lecz Anette potrzebowała czegoś innego – tak zakochać się w mężczyźnie, żeby czuła się do niego przywiązana niewidzialnym sznurem. Nie takim jak pępowina łącząca matkę z dzieckiem przy porodzie. Ale taką liną, której nie sposób dostrzec i tym samym trudno ją zerwać. Anette wydawało się, że lubi Ronalda dość, by z nim chodzić. Łatwo było coś takiego pomyśleć. Wiele dziewcząt go lubiło. Ronald dawał się lubić.

Gdy tylko Ronald Smalls skończył osiemnaście lat, otrzymał list, który dostawali wszyscy nasi młodzieńcy, i przeczytał w nim, że werbują go do armii. Zamiast drżeć ze strachu, udał się do pięknej Eeony. Sprzedał jej kłamstwo, że zaciąga się do wojska na ochotnika, i prawdę, że chciałby, by Anette została jego żoną. Siedział w ich małej izdebce i odpowiadał na pytania Eeony.

– Będzie ją pan kochał i będzie jej posłuszny?

– Tak, panno Bradshaw.

– Przyrzeka pan nie umrzeć?

– Przyrzekam, że się postaram.

– Wie pan, że ona pana nie kocha?

Ronald tego nie wiedział. Siedział z lekko otwartą buzią i mrugał z niedowierzaniem.

– Młody człowieku, miłość to nie wszystko – powiedziała Eeona z powagą. Biedny Ronald. – W porządku, panie Smalls. Nada się pan.

Eeona pobłogosławiła więc małżeństwo i zaczęła, tak jak przed nią jej matka, szyć dla Anette suknię. Eeona poczęła także przeliczać oszczędności, rozważać wszelkie dostępne możliwości, kreślić najprostszą trajektorię i najwyższe ramy czasowe swojej opóźnionej wycieczki. Ale jednej rzeczy nie wzięła pod uwagę: że Ronald Smalls i Jacob Esau McKenzie zostaną żołnierzami i trafią do 875. Kompanii Indii Zachodnich.

31.

Anette

Nie wiemy do końca, że jest wojna. Rozumiecie, żyjemy całkiem dobrze. Marynarka wojenna stacjonuje w Sub Base, ale kto by się tym przejmował? Chłopaki z wojska po prostu lubią sobie wypić i od czasu do czasu wywołać jakąś burdę. Straż Wybrzeża przemałowała latarnię morską na Muhlenfeldt Point i zamontowała jaskrawe lampy, które nocą puszczają oko do morza. Ale nikt tak naprawdę nie zwracał uwagi na straż, bo wojny rumowe się skończyły. Razem

z Gertie próbowałyśmy przebić się pod latarnię, żeby urządzić sobie tam piknik, ale strażnik, stary jankes, przegonił nas stamtąd. I nagle wybucha wojna. Mówią, że powołują specjalne kompanie tylko z Wysp Dziewiczych. Armię. Straż Wybrzeża. Niektórzy chłopcy o porządnym nazwisku trafiają nawet do marynarki wojennej. Wszyscy gadają, że jeśli chłopcy się spiszą w służbie, to pozwolą nam głosować i mieć własnego gubernatora. Amerykańcy zwieźli do nas żołnierzy i marynarzy z Portoryko, żeby kręcili tu tyłkami, ekhm..., to znaczy kręcili tu interes. Spójrzcie tylko na tych chłopaków z Portoryko, różnych, że aż strach, w swoich białych mundurach. Łażą po ulicach z tymi swoimi szerokimi barami, jakby byli mężczyznami z prawdziwego zdarzenia, chociaż większość z nich ma dopiero siedemnaście czy osiemnaście lat, tak jak ja czy dzieciaki z mojej klasy.

Wszyscy poszliśmy wtedy do liceum w Charlotte Amalie. To jedyne liceum z prawdziwego zdarzenia na wyspie, więc każdy zna się tu z każdym. Mamy w klasie McKenziego, na imię mu Saul. Ci McKenzie albo są faworyzowani, albo pomijani – w zależności od tego, jak nauczyciele sądzą – czy z nich geniusze, czy głuptaki. Z Saula jest głupol, jest starszy od nas i nieco zapóźniony, ale to miły gość. Słyszałam, że ma brata, który jest od niego młodszy, ale już trafił do college'u. Brat, rzekomo geniusz, ma na imię Jacob. Raz otworzyłam księgę pamiątkową i Jacob we własnej osobie uśmiechnął się do mnie ze stołka przy pianinie. Ale tylko tyle mi wiadomo o tych całych McKenziech.

Mnóstwo dziewcząt czuje miętę do mojego kolegi z klasy – Saula. Trochę z niego nudziarz, ale przynajmniej McKenzie. Lecz on nie zawiesza oka na żadnej z nas. Widocznie wcale nie ma słabości do dziewcząt, nic a nic. Zresztą nieważne, bo kiedy tylko przyszła wojna, każda dziewczyna z liceum chodzi z portorykańskim żołnierzem albo marynarzem, nawet jeśli tylko w marzeniach. Muzyka z Portoryko podbiła fale radiowe, wszyscy nucą pod nosem hiszpańskie bolero.

Teraz staje się jasne, że Ronald – mimo gotowania i sprzątania – nie jest mężczyzną, który potrafiłby mnie przy sobie zatrzymać. Ronnie przez te wszystkie lata, kiedy chodzimy razem do szkoły, ani razu nawet nie spróbował pocałować mnie jeszcze raz. Nie boi się grypy hiszpanki, ale po prostu jest z tych porządnickich chłopaków. Mimo tego innym się wydaje, że chodzimy ze sobą. Ale ze mnie jest szybka dziewczyna, zawsze wiruję w koło i nie mam ani grama cierpliwości do Ronalda, który nie wie, jak mnie zatrzymać.

Kiedy chłopaki z Portoryko cisną się w parku Emancipation Garden, Gertie i ja też się tam tłoczmy. Manie – tak wołam na każdego z żołnierzy, nawet jeśli wiem, że ma na imię Manuel albo Manuelito czy jakoś tak. Chodzi tylko o to, że prawdziwi z nich faceci, wiecie? Mówią po hiszpańsku zuchwałe rzeczy. *Encantada. Bonita*. Każdy mieszkaniec Saint Thomas na tyle zna hiszpański, że potrafi kupić prowiant ze statków z Santo Domingo, które przybijają do naszych

brzegów, albo wyblagać u gościa z Ponce, właściciela kina, Clarke'a Gable'a. ¿Cómo estás? – mówimy. *Bien. Hombre bonito. Por favor.* Chłopcy znają parę słów po angielsku, bo uczyli się tego języka w szkole w San Juan. Pytają, czy mamy chłopaków, zanim nawet spytają nas o imię. Gdy nasza znajomość słów w obcym języku się wyczerpie, chłopcy biorą nas za rękę i prowadzą po parku, jakbyśmy ze sobą chodzili. Kiedy spacerujemy, oni prowadzą: lekkie pociągnięcie – chodźmy tędy, lekki obrót – stańmy w cieniu, lekkie szarpnięcie w dół – usiądźmy na ławce. Sygnały delikatne i gładkie jak woda w szklance.

Wyjaśnijmy sobie jedno: wcale nie wydaje mi się, żeby wysiadywanie z chłopakiem na ławce to było coś wielkiego. Ale tego wieczoru, kiedy wróciłam do domu, Eeona powiedziała mi: „Twój amant tu był i cię szukał”. Zastanawiam się tylko, jakim cudem, do diaska, Manie znalazł nasze mieszkanie. Myślałam, że Eeona zdrowo zmyje mi głowę, mówiąc na przykład: „Kim, na Boga, jest ten obdartus z Portoryko, co to nawet nie potrafi wysłowić się po angielsku, ale wali do naszych drzwi?”. Ale potem myślę, że to może nawet dobrze się skończyć. Eeona może polubić tego młodego człowieka, bo on ma jasną karnację. Wicie, moglibyśmy udawać, że pochodzi w prostej linii od Magellana, Kolumba czy kogoś takiego.

Kiedy tak sobie rozmyślam, do drzwi puka Ronald Smalls. Nie czeka na odpowiedź, tylko pakuje się do środka, mimo że słońce już zachodzi i to naprawdę niestosowne, by zjawiał się u nas tak późno.

– Słyszałem, że pewien Portorykańczyk prowadzi się z moją narzeczoną – mówi, nawet na mnie nie patrząc.

– Narze-co? Ronnie, co ty wygadujesz?

Ronald spogląda na Eeonę, tak jakby ona i on zawarli jakąś umowę.

– Dochodzą mnie słuchy, że do panny Anette Bradshaw zalecał się jakiś Portorykańczyk z... marynarki wojennej.

Widać, że wypowiedzenie ostatniej części zdania sprawiło mu trudność. Bo to prawda, mężczyźni w mundurach oblepiali kobiety jak pajęczyny.

– Nie jestem twoją narzeczoną, Ronnie. – Kiedy to mówię, Eeona otwiera szeroko oczy, aż jej brwi unoszą całe czoło. – Nie widzę na moim palcu pierścienka zaręczynowego, nie jestem nikomu obiecana. – Macham im palcem serdecznym przed nosem i idę do sypialni. Rzucam się na nasze jedyne łóżko i pogrążam się w lepkiem śnie.

Jeszcze tego samego tygodnia przechadzamy się z Gertie po Main Street, każda z wąskim niebiesko-czerwonym szalikiem wokół szyi, bo amerykańskie barwy są teraz w modzie. Ktoś mija nas biegiem. Za nim biegnie kolejny. Zatrzymuję następnego i pytam:

– Za czym tak gonicie?

– Jeden z naszych chce pobić w parku chłopaka z Portoryko. Będą się bić

o jakąś dziewczynę – woła przez ramię. Potem zatrzymuje się i obraca w moją stronę. – Hej, to o ciebie mają się bić. To ty jesteś Anette Bradshaw, co nie?

Biegniemy z Gertie ile sił w nogach. Docieramy do Emancipation Garden. Wcale nie ma tłumów, ledwie garstka ludzi. Sami mężczyźni, ponieważ już samo oglądanie bójk nie przystoi damie. Gertie i ja znajdujemy więc kryjówkę za bugenwillą i patrzymy, jak Ronald wrzeszczy i startuje do nie wiadomo kogo. A jego przyjaciele, którzy są też naszymi przyjaciółmi, w końcu wszyscy chodzimy do tej samej szkoły, próbują go powstrzymać. Tymczasem nie ma śladu po żadnym chłopcu z Portoryko. Nie chcę, żeby obili Ronaldowi buzię, myślę więc, czy nie podejść do niego i nie powiedzieć mu, że będę jego dziewczyną, jeśli się opanuje. Ale właśnie w tym momencie nadciąga gang Portorykańczyków. Patrząc po naszych chłopcach i jest mi źle, że tak słabo wyglądają. Wątpię, żeby Manie, który przesiadywał ze mną na ławce, był wśród tamtych, ale jeden z nich podchodzi prosto do Ronalda i zanim ktokolwiek zdążył rzucić hasło: „Czas start!”, uderzyć w dzwonek czy dać jakiś inny sygnał do bójk, ten sprzedaje mu takiego kuksańca, że Ronnie pada rozłożony na łopatki jak trup.

Wszyscy tłoczą się wokół Ronalda. Nawet chłopcy z Portoryko pochylają się nad nim, żeby sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku. Ale zaraz z wyciem syren zjawia się żandarmeria wojskowa i cała grupa pryska stąd gdzie pieprz rośnie. Ktoś chce podnieść Ronalda i zaciągnąć go na bok, ale okazuje się, że Ronnie jest ciężki jak załadowany statek, więc chłopaki porzucają go i zostawiają za sobą. Bijatyka trwa, dopóki żandarmi nie sponiewierają wszystkich i miejsce się nie wyludni. Dopiero wtedy razem z Gertie wychodzimy z kryjówki za krzakiem, żeby zobaczyć, czy Ronnie żyje, czy też umarł.

Spójrzcie tylko, jak klęczę u boku Ronniego, gotowa się rozplakać i zostać wdową, mimo że nie dalej jak wczoraj powiedziałam mu, że nic do niego nie czuję. Wtedy on decyduje się otworzyć oczy.

– Obiłem dla ciebie tego Portorykańczyka – odzywa się tak żywy, że bardziej się nie da.

Gertie śmieje się tak, że omal nie pęknie. Ja uśmiecham się, ale z litości, przytakuję mu i mówię: „Tak, słyszałam”. Ronnie kręci się, aż jego głowa ląduje na moich kolanach, a ja myślę sobie, że z tym swoim wielkim łbem jest podobny do osła Nelsona.

– Weźmiemy ślub, co nie, Anette?

Patrząc na pobite usta, które wypowiadają te słowa, i myślę sobie: „Chyba oszalał”.

– Przemyślę to – mówię, bo czuję się kiepsko z tym, że to na moim punkcie oszalał. On uśmiecha się mimo opuchlizny.

Skąd Eeona dowiedziała się o całej awanturze, tego wam nie powiem, bo sama nie wiem, no ale w końcu wyspa jest mała. Eeona funduje mi pogadankę na

temat nieobyczajności, łaja mnie za to, że wszczęłam grandę. Ma ściągniętą twarz, jakby osiadł na niej kurz. Cmoktam ustami i mówię Eeonie, że jestem kobietą tak jak ona. Eeona nie opuszcza ani jednego oczka w ściegu, tylko podnosi na mnie surowy wzrok i mówi:

– Cóż, w końcu. Być może teraz zaczerpniesz nieco ze źródła kobiecej mądrości i wyjdiesz za mąż za tego porządnego człowieka. Już za długo mam cię na głowie.

Dopiero wtedy naprawdę przyglądam się, co tam sobie dzierga, i widzę, że wygląda to serio: biało, koronkowo i ślubnie.

– Sama za niego wyjdź – mówię i znów rzucam się na łóżko.

W snach słyszę, jak ktoś gra na pianinie, a ja idę do ołtarza w koronkach.

Może z tydzień później wracamy całą bandą ze szkoły do domu, kiedy Saul ogłasza, że jego brat dostał wezwanie do wojska. Jego braciszek, którego wojna miała nie tykać, bo był w college'u. Saul jest rozdrażniony, bo jego brat powinien trafić do marynarki wojennej, gdzie służył ich ojciec, Benjamin McKenzie, zanim udał się na Portoryko, żeby zginąć w lesie deszczowym.

– Ten brat, co gra na pianinie? – pytam Saula, a wszyscy patrzą na mnie rozbawieni, bo ani razu nie spotkałam chłopaka, to skąd niby mam wiedzieć, że potrafi grać na pianinie? A ja przypominam sobie o tamtym chłopcu z książki pamiątkowej, o namorzynowej buzi. Wyglądał, jakby był kimś. Wyobrażam go sobie w mundurze. I myślę, że tak, pewnie wygląda dobrze w mundurze. Marynarki wojennej czy armii lądowej, nieważne.

A teraz wyobraźcie sobie coś takiego. Widzę Ronalda w tej małej trójkątnej czapce wojskowej.

– Co ty wyrabiasz w tym przebraniu? – pytam.

– To nie jest przebranie – mówi. – Odpowiem ogniem na ogień. Idę do wojska.

Głupiek do kwadratu. Ale kto jest bardziej głupi – ja czy on? W dzień zakończenia liceum on wstaje w swoim birecie, żeby odebrać dyplom, a ja patrzę na niego i myślę: „Nie wygląda źle”. A kiedy na przyjęciu po oficjalnej uroczystości pijemy poncz i coca-colę, podchodzi do mnie i pyta:

– Namyśliłaś się, czy chcesz za mnie wyjść?

– Jeszcze myślę – odpowiadam.

– Odpływam na tym statku, który stoi w porcie. Wyruszamy lada dzień.

Patrzę na salę i widzę Gertie ze swoim amantem. To chłopak z naszej klasy, który zaciągnął się do wojska tak samo jak Ronald. Wojak Gertie poprosił ją, żeby dała się zaobrączkować, a ona się zgodziła. Ma więc mężczyznę i męskie ramię, na którym może się oprzeć. Mówię do Ronalda:

– To co, muszę się zdecydować na dniach? – pytam, po czym cmoktam ustami. – Wsiadaj więc na tę swoją łódkę.

Ale Ronald mówi, że nigdzie się nie wybiera, aż nie dam mu konkretnej odpowiedzi na tak albo na nie. Chcę powiedzieć mu: „Nie”, ale nie mam serca. Kombinuję, że i tak wezmą go do wojska, a on nie może zrobić nic, żeby temu zapobiec. Nie włada magią, by zaczynać i powstrzymywać rzeczy, tak jak ja to potrafię. Ale mówię wam, że ten statek odbije od brzegu bez Ronalda. Nie dopilnował jakiejś papierkowej roboty albo może tak naprawdę to wcale nie jego okręt. Posłuchajcie tylko. Zaledwie tydzień później dociera do nas wieść, że statek poszedł na dno ze wszystkimi słodkimi Portorykańczykami na pokładzie, łącznie z chłopakiem Gertie. Bomba – jak mówią niektórzy. W każdym razie osiedli na samym dnie. Wszyscy zginęli. Gertie wpadła w histerię. Chodzi jak w jakimś cholernym transie. To tak, jakby jedynym powodem, dlaczego Ronnie nie umarł na okręcie, było to, że rozważałam jego oświadczyzny. Wskrzyślałam go z martwych. Może magia daje mi znak. Eeona wciska mi białą koronkową suknię i wychodzę za Ronniego za mąż, jakby ślub z nim był moim obowiązkiem. No bo jest.

Eeona wyprawiła nam małe przyjęcie weselne na plaży nad Lindbergh Bay, ponieważ nie stać nas było na wynajęcie sali. Gertie przychodzi na wesele mimo żałoby. Nie mam ojca, żeby zatańczyć z nim ostatni taniec, jak to jest w zwyczaju w Stanach. Zamiast tego tańczę z Ronniem. Ale z niego jest raczej lewy tancerz. Przez większość czasu siedzimy, chowając stopy w piasku.

Mimo to jest mi dobrze. Ronnie tu jest. I Ronnie mnie chce. Jest wojna. Taki wysyp ślubów, jakby zapanowała na nie moda. Wprowadzam się do domu matki Ronalda, przynosząc Eeonie ulgę, której pragnęła. Przez tydzień, jeden krótki tydzień wszystko jest na swoim miejscu. A potem Ronald odpływa na statku.

Nie tęsknię za Ronniem ani tyci. Prawdę mówiąc, skaczę do góry z radości, jupi! Mam siedemnaście lat. Ale nawet jako siedemnastolatka wiem, że coś jest nie tak, skoro cieszę się, że chłopak, za którego wyszłam, poszedł na wojnę.

32.

Miejscowi chłopcy odpływali, za to napływali turyści. Te dwie fale zdawały się ze sobą łączyć, tak jakby oznaczały jedno i to samo. Turystami byli starsi mężczyźni i młodsze kobiety, wojna się ich nie tykała. Albo też toczyli własne wojenki.

Za pierwszym razem, kiedy Eeona przestąpiła próg Hospitality Lounge, napotkała tam pewnego mężczyznę oraz klimatyzację. Eeona nigdy wcześniej nie słyszała o czymś takim jak klimatyzacja. Powietrze było chłodne i przytłaczające, tak samo jak mężczyzna prowadzący bar. Mówiono na niego pan Barry. Siedział na niskim stolku za ladą, za którą wyglądał jak karzeł. Miał włączone radio, z którego teraz grzmiał głos młodzieńca z Saint John, Mervyna Manatee’ego.

Bar składał się z jednego sporego pomieszczenia i dwóch toalet z bieżącą wodą, każda odgródzona drzwiami. Na wejściu do jednej z nich wisiał napis:

„Panie”, a pod nim obrazek blondynki ocienionej parasolem, żeby wszyscy wiedzieli, jak wygląda pani. Na drugich drzwiach widniał namalowany blady mężczyzna z cylindrem na głowie. W życiu nikt na wyspie nie założyłby cylindra.

W sali stały miękkie krzesła dla gości. Z drewnianego wieszaka zwisała wyspiarska prasa. Pan Barry rano serwował gorącą herbatę z czerwono krzewu, a popołudniami zimne drinki z rumem. Jego zadanie polegało na obsłudze tego całego tsunami odwiedzających wyspę gości oraz inwestorów nieruchomości.

Pierwszego dnia pan Barry kupił od Eeony wszystko, co mu zaprezentowała – kapelusze plecione z palmowych liści z wyszytymi inicjałami Wysp Dziewiczych Stanów Zjednoczonych, szydełkowane serwetki na papier toaletowy w barwach wyspy, żółci i błękitu. Rzucił sumy wyższe, niż Eeona miała nadzieję uzyskać. A potem poprosił, by przyszła ponownie, kiedy przygotuje więcej rękodzieła. Wróciła z podkładkami z koronek i serwetnikami z muszelek. Zapuścił się na sam skraj swojej śmiałości i zażądał, żeby została. Pragnął tylko prostej przyjemności patrzenia na nią. Za tę przyjemność zaoferował jej pensję.

Dla Eeony zaś samo siedzenie w Hospitality Lounge stanowiło pewnego rodzaju powrót do luksusu, który stanowił jej przyrodzone prawo. W klimatyzowanym pomieszczeniu włosy nie kręciły się na skroniach. Szminka trzymała się na ustach doskonale. Czasem zimny powiew powietrza sprawiał, że skóra pokrywała się dreszczem niczym miniaturowymi stożkami wulkanów, więc wydzięrgała na szydełku szal. Zarzucała go na ramiona i nosiła nawet w drodze do pracy i z powrotem. Jako że mieszkała w Savan, a bar Hospitality Lounge mieścił się na pierwszym piętrze Grand Hotelu, Eeona pomimo upału wypływała w rejs po mieście z szalem na ramionach. Tak, niech ją zobaczą. Pracuje w klimatyzowanym pomieszczeniu! To pan Barry był szefem w Hospitality Lounge, ale wszystkim wyglądało to tak, jakby to ona kierowała interesem.

Pan Barry nie pochodził ani z brytyjskich, ani z amerykańskich Wysp Dziewiczych, nie był też Portorykańczykiem, choć do nich zdążyliśmy już przywyknąć. Eeona prawie nie odnotowywała faktu, że był człowiekiem z krwi i kości. Przez długie miesiące, a potem przez całe lata traktowała go, jakby był wydrążonym drzewem. Kiedy się do niego odzywała, była to jedynie wymówka, żeby powiedzieć coś do samej siebie.

– Pani Lovernkrandt straciła dom i bujane krzesło. Doprawdy można by rzec, że straciła wszystko.

– Przykro mi, panno Eeono – powiedział uprzejmie, choć nie miał pojęcia, kim są państwo Lovernkrandt.

Wiedział za to o zatonięciu „Homecominga”. Nawet na jego ojczystej wyspie Saint Kitts to był ważny okręt. Znał wiele historii. Jedna z nich głosiła, że kapitan wcale nie zatonął na rafie koralowej z powodu niespodziewanego przypływu, ale po prostu opuścił statek, zanim w ogóle wpłynął na wody Anegady.

Pan Barry wiedział, że Eeona była córką kapitana. Eeona to młoda dama i ulubienica wyspy. Taka kobieta ze smutną historią byłaby poza ligą pana Barry'ego. Ale teraz pan Barry uważał się prawie za jej narzeczonego. Poprosił ją nawet o rękę – i to nie raz. Nie powiedziała: „Tak”, przynajmniej jeszcze nie. Jednak Eeona nadal u niego pracowała, więc wciąż miał szansę.

Podczas gdy chłopcy wyruszali na wojnę, Eeona zbliżała się do trzydziestki. Kobieta w jej wieku stawiała na skraju desperacji lub rezygnacji. Eeona nie ulegała ani jednemu, ani drugiemu uczuciu. Poza tym statusy starej panny i wolnej kobiety są do siebie podobne i mogą się okazać niebezpiecznie czarujące. Wystarczy tylko spojrzeć na to z odpowiedniej perspektywy. W końcu miło być rozchwytywaną i skupiać na sobie pożądliwe spojrzenia.

To Izba Turystyki ufundowała Hospitality Lounge pana Barry'ego oraz fundowała uśmiech Eeony posyłany białym Amerykankom, które mówiły do niej powoli. Eeona upinała włosy i nosiła się w błękicie, żeby odeprzeć ataki rozochoconych amerykańskich żeglarzy, żołnierzy i turystów. Całymi dniami mocno ugniatała żdźbła słomy, by potem wyplatać z nich kosze. Trzymała igłę, jakby to był chirurgiczny skalpel, kiedy wbijała ją we włóczkę, z której powstawały torebki i szale.

Parę razy dziennie rozbrzmiewał dzwonek wiszący nad drzwiami i do środka wdzierało się gorące powietrze. Na progu stawali mężczyzna i kobieta, oboje o zaróżowionych i spoconych twarzach, uśmiechając się od ucha do ucha. Czasem pojawiało się dwóch mężczyzn. „Halo, co słychać?” – mówił jeden z nich do Eeony, co było pod wieloma względami niestosowne. Lecz Eeona i tak wstawiała i podawała im herbatę.

Służba nie musi oznaczać kroku w tył – powtarzała sobie. To wszystko kwestia punktu widzenia. Nie chodziło wcale o to, że Liva zniżyła się aż do tego, by jej to zaproponować. Eeona mogła przecież zostać gospodynią w dobrym domu. Teraz jedynie doskonaliła swoje umiejętności, które przydadzą się jej, gdy dawne życie wróci i lunie na nią jak z cebra. Była gotowa. Zatrzaszczyła się o wszystko. Czyż nie znalazła Anette męża? Czy nie uważała na Esau?

33.

Jacob Esau był mężczyzną o skórze koloru złocistego piasku i z tego, co mówili, był McKenziem. Nie spieszyło mu się, by studiować eugenikę. Jego najstarszy brat, Adam, uczęszczał do szkoły dentystycznej. Drugi w kolejności, Mark, miał zostać prawnikiem. Następny brat, Saul, nie był zbyt lotny, a wręcz nieco opóźniony, dotknięty otępieniem McKenziech. Saul został architektem – pierwszym czarnym budowniczym na posadzie rządowej Wysp Dziewiczych, chociaż nigdy wcześniej nie pomyślał o sobie, że jest czarny. Rebekah brakowało jedynie doktora. Studia nad genami – tego pragnęła dla swojego ulubionego syna.

Wierzyła, że to magiczny żywioł medycyny.

Jacob od najwcześniejszych lat wykazywał się geniuszem, dlatego matka posłała go do pierwszej klasy, gdy skończył trzeci rok życia, upewniając się tym samym, że rozminie się w szkole z Anette. Rebekah powiedziała do niego: „Doktor”, wyciągając ku jego twarzy długą rękę z otwartą dłonią jakby w geście propozycji. Miała szczupłe, długie i piękne ramiona. Zawsze nosiła je odkryte i nagie, przyciągając wzrok męża, a potem odrzucając go – choć nie wiedziała, że posyła go wprost w ramiona Eeony Bradshaw. To okaże się później.

Rebekah zawsze nosiła długie suknie, ale nigdy nie zapominała, by odsłonić choć skrawek ramienia lub zaokrąglenie łokcia, co wywoływało prawdziwy skandal. Zamiatła ziemię długimi sukniemi, rąbkiem zbierała kurz i błoto. Jacob tylko raz widział zezwierzęconą lewą nogę matki. Był za młody i zbyt zaspany, żeby to zapamiętać. Ale wiedział, że ma ona potężną moc. Zaproponowała mu, żeby został doktorem. Powiedziała mu, że stanie się wielkim, złotym człowiekiem, jeśli dowie się, czego potrzeba, by stać się mężczyzną.

Jacob wybrałby coś uczonego, coś artystycznego. Zostałby profesorem gry na steel panie. Pewnie stałby się zawodowym podróżnikiem, wstąpił do marynarki. Tatko Benjamin służył przecież w marynarce wojennej Stanów Zjednoczonych. Tatko mieszkał na Portoryko, a potem przepadł na dobre w lasach El Yunque. Wujowie McKenzie łżyli marne grosze na college, ale tak naprawdę nie mieszałi się w wychowanie chłopców, nie byli więc żadnym wzorem do naśladowania. Gdyby wiadomo było na pewno, że Benjamin zginął, jeden z nich wziąłby chłopców do siebie, tak jak przygarniali wszystkich pozbawionych ojca kuzynów. Rozdzieliliby synów między siebie, a Rebekah kazali wracać do rodziny. Ale Rebekah by na to nie pozwoliła. Nie było żadnego pogrzebu, więc skąd niby wiadomo, że Benjamin nie żyje? Pewnego dnia może wrócić i być ponownie ojcem i mężem.

Prawdę mówiąc, Benjamin McKenzie wcale nie umarł. Mimo tego, że taka była intencja rzuconych przez Rebekah zaklęć *obeah*. „Niech obie nogi rozbiegną ci się na wszystkie strony” – zaklinała. Lecz zamiast tego Benjaminowi urosło sześć dodatkowych metaforycznych nóg, razem miał ich więc osiem. Posłała go do lasów deszczowych El Yunque na Portoryko, by pochłonęła go dzicz. Ale miast tego skończył w lasach tropikalnych na Saint Croix i sam stał się dzikiem. Rebekah wcisnęła swojemu mężowi amerykańską lukrecję oraz owoc jatoby za pas bielizny, zanim popłynął na Portoryko. Lukrecję po to, by ludzie pragnęli go zabić, a śmierdzącą jatobę, by łatwo go było odnaleźć. Ale zamiast tego stał się niewidzialny. Przyleciał z Portoryko na Saint Croix, a w końcu nawet na Saint Thomas, a nikt go nie spostrzegł. No i nikt go nie zabił. Zamiast tego ludzie powierzałi życie w jego ręce. *Obeah* Rebekah zdawało się działać, mimo że tak nie było. W kwestiach miłości i małżeństwa często się myliła.

Pani Rebekah McKenzie była kobietą korzeni i zakłęb. Ale to Karaiby, gdzie nic nie jest jednoznaczne, nic nie jest jasne. Rebekah była czarownicą *obeah*, która mogła sprzedawać limonki na placu targowym, ale była też najbardziej rozchwytywaną nauczycielką gry na pianinie dla młodych dam. Tym również różniła się od innych żon McKenzie, które zostały zduszone dłońmi własnych mężów.

Czy Rebekah pobierała opłatę za lekcje pianina? Może nie wystarczyłoby to, żeby zapewnić jej niezależność, ale gdyby wujowie McKenzie o tym wiedzieli, nigdy by na to nie pozwolili. Były pewne granice, nie mogła w pełni należeć do klasy robotniczej. Zgodzili się, żeby sprzedawała na targu, to było tylko niegroźne ogrodnicze hobby, jak zakładali, powodowani głupotą mężczyzn, którzy obracają się jedynie w kręgu innych mężczyzn. Stale przypominali Jacobowi, że mimo iż nie było ich obok, kiedy dorastał, to oni sponsorowali mu naukę w college'u, ponieważ jego ojciec nigdy nie powrócił z bazy na Portoryko.

Ale Rebekah zawsze starczało, by posłać mu pocztą paczuszkę kandyzowanych wiśni albo nową kurtkę, którą kupiła w jednym z tych ładnych sklepów dla turystów. Jacob chował kandyzowane wiśnie – zbyt wyspiarskie słodczyce, jego jankescy przyjaciele tego nie rozumieli – za to obnosił się z kurtką, pokazując, że nawet chłopak z Indii Zachodnich może zasługiwać na stopień licencjata, na który każdy harował w pocie czoła. Ale to Rebekah, sama będąc kimś w rodzaju eugeniczki, uczyniła ze swoich chłopców wybitnych profesjonalistów.

W końcu – co stanowiło pewną ironię losu – tylko Jacob przedłużył ród Benjaminą McKenziego, choć tak naprawdę wcale nie będzie to ród McKenziech. Zakocha się w tej małej Mulatce, tej rozwódce z dzieckiem. Co gorsza, pochodzącej z upadłej rodziny. Ożenek z kobietą niskiego lub gorszego stanu stanowiłby anomalię, do tej pory niespotykaną wśród McKenziech. No i oczywiście było jeszcze coś, o czym ani on, ani dziewczyna nie wiedzieli.

Każdy już to kiedyś słyszał: „To twoja kuzynka. A to twoja młoda ciocia”. Wyspa jest tak mała, że rodzice muszą być czujni i zapobiegać zawieraniu małżeństw w obrębie rodziny, zaś w urzędzie sprawy dało się załatwić jedynie na drodze nepotyzmu. Ale Rebekah nie wytłumaczyła swojemu chłopcu, dlaczego nie Anette, nie powiedziała mu o Anette ani słowa. Gdyby uznano, że Jacob pochodzi z nieprawego łoża, straciłby poważanie i pieniądze McKenziech. A potrzebował obu, by ukończyć szkołę medyczną.

Matka Jacoba potrafiła ścierać kości i krew na kurz, którym potem dmuchała prosto w twarz, a ta nazajutrz rozpadała się na kawałki. Mogła posłać węża do twych snów, nawet jeśli spałeś w dolinie, a Rebekah dzieliły od tego miejsca całe góry. Jacob był jej ostatnim synem. „Doktor” – powiedziała, myśląc, że przesądza tym wszystko.

Brat Jacoba grał na tubie, saksofonie i kontrabasie na długo przed tym,

zanim jazz zrobił się na wyspie modny. W końcu to McKenzie. Ultramęskość sprawiała, że potomkowie rodu stawali się dziwaczni i nieprzystępni, ale ponieważ byli mężczyźni, akceptowano ich odstępstwa od normy. Ale Jacob chciał grać na steel panie. Uwielbiał to, że melodia brzmiała jak woda. Chciał skoczyć na główkę w sam środek karnawału, który nadszedł w kwietniu. Tańczyli niezgrabnie, jak to McKenzie, w paradzie, tuż obok trupy Tiny Chinee. Nie grali na steel panie, to było poniżej ich godności. Zamiast tego Jacobowi kazano grać na pianinie. Wydobył melodię z instrumentu swej matki. I został lekarzem, co pasowało do McKenziech. Ale nie zrobił tego tak, jak chciała matka, więc mógł schować się za tajemniczymi budowlami Saula, które wyrastały z ziemi Saint Thomas, za plecami Marka, który w sądzie opowiadał dowcipy i nigdy, ani razu nie wygrał żadnej sprawy, za Adamem, bratem dentystą, który stosował zbyt kuriozalne metody, by można mu było dać do ręki choćby nic dentystyczną. Jacob Esau został doktorem, bo matka powiedziała mu, że tylko to może mu dać. Ale zanim Jacob mógł zostać doktorem, musiał poznać Anette, a zanim mógł poznać Anette, musiał przeżyć wojnę.

34.

Czy to było pragnienie przynależności, czy też paraliżujący strach przed łodziami, tego Anette nie potrafiła powiedzieć. Ale kiedy pozostałe żony żołnierzy ruszyły do bazy wojskowej w Bayamón na Portoryko, gdzie oferowano darmowe zakwaterowanie, ona się tam nie udała. Została na miejscu, mieszkała z matką swego męża, co nawet jej odpowiadało, i próbowała wymyślić, jak urodzić dzieci, mimo że od męża dzieliły ją morskie wody.

Spotkała się z Gertie i we dwie krążyły po okolicy, jakby znów były dziewczynkami.

Starsza siostra, Eeona, została sama w starym mieszkaniu. Całe godziny spędzała, spoglądając w lustro i podziwiając własne oblicze, które zapierało dech w piersiach. Potem czytała prasę i szyla wypchane trawą laleczki dla Hospitality Lounge. Trzy razy w tygodniu odwiedzała bibliotekę i wypożyczała powieść. Przedzierała się przez książkę, aż w lampie wypalała się nafta. Od czasu do czasu Anette wpadała do niej z gulaszem przyrządzonym przez teściową, mówiąc, że to ona go ugotowała. Eeona krytykowała intensywność pieprzu, kolor rosółu, konsystencję tańii. Ale prawda jest taka, że lubiła towarzystwo Anette. I taka, że były razem tylko we dwie już od dłuższego czasu.

– Ryba i johnnycake to kiedyś była twoja specjalność – powiedziała Eeona, tymi słowami chwalać talent Anette do gotowania.

– Och, proszę cię, Eeono. – Anette uśmiechnęła się, skierowawszy kąciuki ust ku dołowi. – To było proste.

Po wielu miesiącach samotności Eeona złapała się pewnego wieczoru na

tym, że siedzi ze wzrokiem utkwionym w swoich dłoniach. Niebieskie żyły prześwitywały jej przez skórę na nadgarstkach. Wsunęła ręce w koronkowe rękawiczki, które niegdyś należały do matki. Próbowala, lecz nie udało jej się ich powielić. Ale teraz zobaczyła, że rękawiczki zgrabnie pasują na jej własną dłoń. Siedziała przy stole w jadalni, twarzą do dwóch pustych krzeseł. Meble były tanie, nie takie, jakie miała w Nadmorskiej Willi.

Anette obiecywała, że będzie ją częściej odwiedzać, ale nigdy nie dotrzymała słowa. Eeona rozczarowała się tym faktem, co z kolei wpędziło ją w rozczarowanie samą sobą. Epizody się pogłębiły. Coraz częściej wpatrywała się w martwy punkt, czasem szepcząc coś do siebie. Niekiedy zalewało ją pragnienie wędrówki, wtedy wstawiała i wychodziła za drzwi bez względu na porę. Szła w góry. Szła w morze. Wracała do domu i zaczynała rytuał od nowa. Może to i dobrze, że mieszkała sama, bo nikt nie widział tego na własne oczy.

Tego samotnego wieczoru Eeonie wydawało się, że nagle z powietrza zdoła wykryształizować się człowiek. Zdawało jej się, że ktoś ukrywa się za drzwiami albo czeka za szybą okienną. Ktokolwiek. Kto? Eeona złożyła dłonie na podolku tak, by wyglądało to naturalnie, pomimo że przecież celowo przyjęła taką pozycję. Oddychała, ale pilnując, by oddech nie stał się ciężki, a pierś nie zapadała się – w końcu była piękna, lecz musiała walczyć z ciałem pragnącym ją zdradzić. Uczucie – niczym fala przyływu – zalało ją. Czy to epizod tęsknoty jak u mamy Antoinette? Przecież Eeona nie tkwiła już dłużej w pułapce, a jednak... Potrzebowała zachęty. Po prostu powinna wstać, podejść do okna i wyskoczyć. Wcale nie podróżowała ku swemu wielkiemu prawdziwemu życiu, czymkolwiek ono było. Czy w ogóle rozpozna swoje życie, gdy je odnajdzie?

Eeona nie ściągnęła rękawiczek Antoinette i jadła zupę, którą przygotowała na ten samotny obiad. Nie zdawała sobie sprawy, że z oddali dobiega muzyka, aż zorientowała się, że przytupuje nogą w jej rytm. Tupnęła, pragnąc otrząsnąć się z rytmu, bo wygrywana melodia to tylko pospolite calypso. Stała przed nią opróżniona do połowy miska z zupą. Odziane w rękawiczki dłonie spoczywały teraz obok naczynia.

Poczuła, jak po samą szyję zalewa ją fala, woda, wrażenie opuszczania statku, aż wstała czym prędzej i wyprostowała się w swoim małym saloniku. Wstała, by ocalić umysł przed zatonięciem. Miała tylko jednego przyjaciela, do którego mogła się udać po pomoc i po rozmowę, ale nawet on nie był jej prawdziwym przyjacielem.

35.

Eeona zakochała się w klimatyzacji pana Barry'ego w Hospitality Lounge. Zakochała się w jego staraniach, bo całymi dniami nie robił nic innego, tylko słuchał radia, czytał gazetę i zalecał się do Eeony. Ale nie zadurzyła się w tym

mężczyźnie. To prawda, pan Barry oddawał jej prawie połowę swego rządowego wynagrodzenia za przywilej patrzenia, jak siedzi naprzeciwko niego w Hospitality Lounge. Ale pracowała u niego już dekadę i zdążył przez ten czas prawie całkiem wyłysieć. Oczywiście Eona nadal była piękna, ale coś się zmieniło. Pan Barry to człowiek nieposiadający nazwiska o ustalonej reputacji, a jednak miał czelność starać się o nią. Nie widział, będąc z Saint Kitts, jak mężczyźni z naszej wyspy zawsze adorowali ją z oddali, bo jej uroda była zbyt niebezpieczna, by można jej zawierzyć. Albo może ona nie była już taka piękna. W każdym razie do czasu, kiedy Anette wyszła za mąż, pan Barry oświadczył się Eonie siedemdziesiąt parę razy. Za każdym razem wręczał jej bukiet kwiatów. Zaczął od hibiskusa.

Padął przed nią na kolana z hibiskusem w dłoni za każdym razem w innym kolorze: czerwieni, żółci, pomarańczy, bieli. Kiedy to ją nie zwabiło, przerzucił się na orchidee: orchidee „zatop mnie w swojej miłości”, orchidee „mam serce przebite sztyletem”, orchidee „zaraz się rozplączę”. Wkrótce pan Barry wypracował sobie rytuał. Prosił o rękę panny Eony w każdy trzeci piątek miesiąca wieczorem. Pan Barry był jednym z tych nudnych mężczyzn, co wierzyli, że kobietę można zmiękczyć. Ani razu nie przyszło mu do głowy, że kobieta, której opór złamano uporem, to nie to samo, co kobieta, która popłynęła na fali wzbierającej miłości. Przy oświadczeniach numer czterdzieści on wręczał anturium, a ona zdążyła wyrzucić setki wiązanek na mały dziedziniec za mieszkaniem, tam, gdzie przywiązywała osła. Wydma usypana z pięknych zwiędłych kwiatów przypominała jej ostatnie dni w Nadmorskiej Willi.

Pewnego wieczoru pan Barry zamykał duże okna na fasadzie budynku. We framugi okienne wprawiono szyby, tak by wraz z Eoną cieszyli się zarówno klimatyzacją, jak i światłem dziennym. Eonie nigdzie się nie spieszyło. Wiedziała jak zawsze, co robi. Nie miała już kogo odwiedzać. Nikt nie zapraszał jej już na herbatę. Był czwartek, nie czekało na nią więc błaganie na kolanach z kwiatami w ręku. Eona w końcu była też człowiekiem, mimo że prócz ludzkiego mogła mieć też inne wcielenia.

Pan Barry zdążył zamknąć drzwi i wszystkie okna poza jednym, kiedy Eona odchrząknęła. Odwrócił się do niej, jakby jej głos pochwycił go od tyłu.

– A niech mnie, Eono, myślałem, że już poszłaś. Przepraszam. Nie miałem zamiaru zamykać okien przed twoim wyjściem. – Mówiąc to, właśnie zamykał ostatnie z nich.

Pamiętajcie, że to lata czterdzieste dwudziestego wieku, że to Karaiby. Eona nigdy wcześniej nie była wewnątrz zupełnie zamkniętego pomieszczenia, budynku całkowicie pozbawionego naturalnego światła. W Nadmorskiej Willi okna były otwarte na oścież nawet wieczorem, uchylone pomimo deszczu. Blask gwiazd i lśnienie księżyca wpadały do środka i mieszały się z poświatą lampy naftowej. A tu niespodziewanie pan Barry i Eona znaleźli się w budynku pozamykanym na

cztery spusty i oświetlonym sztucznym światłem. To przeraziło nawet Eeonę. Poczła w sobie odwagę już przez sam fakt przesiadywania w tym miejscu.

Pan Barry począł swoim tłustym cielskiem wokół biurka, przerzucając papiery i kompletując dokumenty. Zbierał się do wyjścia, chociaż zarówno on, jak i Eeona wiedzieli, że jeszcze nigdzie nie idą. Był tym typem mężczyzny, którego w młodości wiele kobiet brało za atrakcyjnego. Był dużym mężczyzną. Mówili na niego – „Niebosięzny”. Ale Eeonie zawsze wydawał się mały, wręcz tonący w ogromnym krześle za biurkiem. Oczywiście to prawda, że najczęściej kiedy zwracała na niego uwagę, on akurat klęczał u jej stóp.

Tego wieczoru Eeona siedziała wyprostowana jak struna, ręce splotła na podołku niczym korzenie drzewa i mu się przyglądała. On nawet na nią nie spojrział, kiedy pytał:

– Panno Eeono, jakie ma panienka plany na wieczór, jeśli wolno spytać?

Ostrożnie zwijał gazetę, by włożyć ją do skórzanej teczki, jakby papier zrobiono z czegoś ciężkiego i sztywnego.

Eeona uśmiechnęła się lekko, by uświadomić mu jego głupotę.

– Nie mam żadnych planów, panie Barry.

– No cóż.

Być może zastanawiał się, czemu tego dziwnego czwartku nie przyniósł ze sobą hibiskusa. Może dziś wieczorem panna Eeona powiedziała by: „Tak”. Nie miał prostackiego zwyczaju chodzić w kapeluszu pod dachem, ale teraz założył go sobie na głowę. Poprawił go starannie, tak jakby nakrycie podtrzymywało jego godność.

– Panno Eeono, skoro nie ma panienka innych zobowiązań, może miałyby panienka ochotę przyłączyć się do mnie i pójść na próbę chóru? Należę do Kościoła braci morawskich i tam właśnie się udaję, jak już wspomniałem, na próbę chóru. Może panienka nie wie, ale teraz będzie już wiedzieć, że jestem przewodnikiem Męskiego Chóru Kościoła Braci Morawskich, znanego na całej wyspie. Zaiste jestem wiodącym barytonem i dyrektorem chóru. Chcę przez to powiedzieć, że gram także na organach.

– Cóż, to fascynujące informacje, panie Barry. Wolałabym jednakże zostać tu jeszcze chwileczkę. Konkretnie bolą mnie stopy.

Nie kłamała. Akurat dziś wypożyczyła Nelsona komuś, kto – jak miała nadzieję – kupi bestię. To był krok ku prawdziwemu życiu, ponieważ postanowiła nabyć auto. Wszystkie nobliwe rodziny mogły się już poszczycić jednym czy dwoma pojazdami. Poza tym na czterech kołach zawędrowałyby dalej niż na osle. Jednak wyrzeczenie się Nelsona było sporym poświęceniem. A czółenka na obcasie, które dziś przywdziała, okazały się niezbyt rozsądnym wyborem.

Pan Barry ukląkł obok niej. To nic nowego. Przy dwudziestych ósmych oświadczeniach Eeona była na tyle hojna, że pozwoliła mu, podczas gdy on, śliniąc się, wydukał swoje błagania, trzymać ją za rękę, ale nigdy nie dotknął więcej niż jej

palców, dłoni, raz tylko nadgarstka. Kiedy ujął jej dłoń, poczuł delikatne linie papilarne. Ona za to poczuła jego skamieniały naskórek. Po wszystkim moczyła dłoń w wodzie miętowej, by im ulżyć. Teraz przygotowywała ręce, usiłując je rozluźnić. Lecz miast tego pan Barry delikatnie unióś jej stopę i wyzuł ją z buta.

Miała na sobie spódnicę sięgającą kostek, pan Barry wędrował teraz dłońmi w górę jej łydek z wprawą sugerującą, że robił to już wcześniej. Odnalazł skraj pończochy, zwinął ją do samego dołu i zdjął z nogi. Czowała, jak pocał mu się dłoń, i to pomimo klimatyzacji, która prychała teraz nierównomiernie. Oddech pana Barry'ego także stał się niemiary. Pochylił się i przytknął stopę Eeony sobie pod nos. Czowała jego oddech między palcami. Poczuła jego dłoń, kołyszącą jej piętę.

Pan Barry liczył sobie tyle lat, ile miałyby teraz Owen Arthur. Był mężczyzną, który własnoręcznie zbudował interes od podstaw. Nie był zły, można by się przy nim zadomowić, no i nim zadowolić. Miał porządny dom przy Garden Street, żadna wielka posiadłość, ale co tam.

Och, lecz z knykci sterczą mu włosy. A Eeona pragnęła mężczyzny pozbawionego owłosienia, gładkiego jak papa. Spojrzała w sufit.

Jedną stopę oparła między udami mężczyzny i poczuła jego nabrzmiałą męskość. Druga stopa spoczywała w jego to zaciskającej się, to rozluźniającej dłoni. Czowała jego ciepły oddech, a potem nagle zimny język, niespodziewanie ślizgający się między jej palcami. Poczuła jego usta otwierające się niczym podwodna jaskinia. Jezu. Najpierw była zatrwożona, potem zaniepokojona, lecz później powoli rozsiadła się na krześle i poczuła, jak zmienia się w kogoś niemającego nic wspólnego z damą.

Kiedy tego wieczoru Eeona wyszła, pan Barry został, klęcząc na podłodze, tak jakby w geście przebłagania czy żalu za grzechy. Nawet nie zdjął marynarki czy kapelusza. Przepadła mu cała próba chóru. Kiedy wsunęła buty, a zsunęła suknię, słyszała, jak po cichu podśpiewuje Psalm 23. Kiedy doszedł do fragmentu o „ciemnej dolinie”*, wiedziała, że to część jej jest ciemną doliną. Kiedy mówił: „Mój kielich jest przeobfity”, wiedziała, który jej srebrny element opływa w obfitość. Przez cały czas trwania pożądliwej miłości dostrzegala jedynie jego kapelusz, kołyszący się to w górę, to w dół, tak jakby unosił się na wodzie.

Jakąż ignorancją się właśnie wykazała! Już zmierzchało. Eeona prędko ruszyła do domu, obcierając stopy, bo zapomniała o pończochach i zostawiła je w barze. Wiedziała, że nie uda jej się dotrzeć do mieszkania, zanim zapadnie noc, ale miała nadzieję, iż jej wykroczenie nie będzie aż tak oczywiste dla każdego mijanego przechodnia. Pan Barry był teraz jedynym żyjącym mężczyzną, który wiedział o jej srebrnym sekrecie w sekretnym miejscu. Tak, podobała jej się klimatyzacja. Tak, podobał jej się czek, który wystawiał jej co dwa tygodnie. Podobały jej się nawet kwiaty. Tylko on jej się nie podobał.

Włosy mu sterczały, nie tylko z kłykci, ale też z uszu i nosa. Nawet nie był

Amerykaninem, myślała, ale kimś z małej kolonialnej wyspy, gdzie nadal przetwarzano trzcinę cukrową. Teraz może rozsiać o niej plotki po całej wyspie. Czy była tak zrezygnowana, czy zdesperowana, że podawała mu się na tacy?

Eeona weszła do mieszkania w chwili, kiedy niebo zachodziło purpurą, otworzyła drzwi wprost do uczucia pustki, tak jakby pokój był głębokim lejem wodnym. Weszła do środka i usiadła przy stole naprzeciwko dwóch pustych krzeseł – siedziska Anette oraz dodatkowego miejsca dla gościa. Powoli założyła rękawiczki Antoinette.

Eeona, starsza siostra, siedziała i rozmyślała, co powinna zrobić. Co powinna zrobić, a co chciała zrobić – to były dwie różne sprawy. Być może miała kolejny epizod pragnienia, tak jak matka. Miała ochotę rzucić się na podłogę i okładać ją odzianymi w rękawiczki dłońmi.

Zamiast więc jutro przyjąć usta pana Barry'ego, złożone jej niczym w darze, odwiedzi swą siostrę. Powtarzała sobie, że nigdy nie wybierze się do nowego domostwa Anette. W końcu odejście Anette dało Eeonie wolność, której tak bardzo łaknęła. Nie było sensu udawać się z wizytą do siostry, która przez tyle lat siedziała jej na głowie. Ale nie pozwalała sobie rozpamiętywać tego wszystkiego teraz. Mąż Anette niedawno, po odbyciu przygotowania wojskowego, był na chwilę w domu, ale zdążył już wyjechać do Stanów. Nie złożył nawet Eeonie, starszej siostrze swej żony, oczekiwanej, porządnej wizyty. Nie obchodziło ją to. Nic a nic. No dobrze, może trochę, ale nie za bardzo. Teraz Eeona wmawiała sobie, że Anette musi potrzebować towarzystwa rodziny, skoro przesiaduje z samymi teściami.

Matka Ronniego była prawdziwą panią Smalls. Z jej męża był zawodowy kobieciarz, więc nie spędzał w domu więcej niż paru minut, kiedy to pani Smalls podawała mu lemoniadę sporządzoną z limonek z własnego podwórka oraz kokosową tartę – sama ścierała kokos na wiórki. Wszyscy wiedzieli, że jest wyśmienitą kucharką, lecz nawet jej dania nie zatrzymały męża u jej boku. Kucharzenie działo jedynie tyle, że urodził się syn, który stanowił równy pożytek, co jakakolwiek kobieta krzątająca się po kuchni.

Eeona patrzyła teraz, jak Anette je. Młodsza siostra siedziała w podomce na kanapie i była wyraźnie zaokrąglona. Eeona przyglądała jej się i stwierdziła, że Anette potrafi wyglądać nawet ładnie. Eeona do tej pory miała spięte włosy, ale teraz rozpuściła je, czując, że potrzebuje utwierdzić się w swej urodzie w obliczu nadobności Anette. Biedna pani Smalls, przywykła do obelg, wstała i wyszła z pokoju, jakby Eeona rozebrała się do naga.

Mimo że Ronald wrócił z przygotowania wojskowego, niezwłocznie wezwano go z powrotem na Portoryko, a stamtąd odesłano do Luizjany. Anette przysunęła się bliżej siostry i oznajmiła jej, co Ronald zdołał uczynić, zanim udał się na stały ląd.

– Jestem w ciąży – powiedziała Anette z takim podekscytowaniem, jakby to

ona dopiero co usłyszała te wieści. – Wiem, sama nie sądziłam, że Ronnie jest do tego zdolny.

Eeona, która nigdy wcześniej w całym swoim życiu nie pragnęła dziecka, poczuła subtelne ukłucie wyzwania.

Anette, tak pełna siebie, nie dostrzegła nagłej zmiany atmosfery, tego, jaki ciężar zawisł nad ich pokojem.

36.

Nagła zmiana atmosfery. Jaskrawe światło. Głośne trzaski. Gorąco i zimno. To wszystko – jak powiedział jego brat, który był dentystą – spotęguje pulsujący ból w zębie Jacoba Esau McKenziego. Dlaczego światło? Czemu hałas? Zęby nie miały wzroku ani słuchu. Ale jego uzębienie posiadało zmysł, którego nie nauczył się poskramiać – potrafiło czuć dźwięk. Potrafiło czuć ciemność i dać się jej utulić. „To jest Ameryka” – upierał się jego brat przez telefon. W Ameryce dzieją się dziwne rzeczy. Jacob Esau poszedł studiować na Uniwersytecie Howarda, był dwie wiosny młodszy od kolegów z roku i skończył naukę w trzy lata. Zobaczył na własne oczy, jak dziwna jest Ameryka. Jak karaibscy Mulaci, tacy jak on, wykształceni i dobrze wychowani, szli do amerykańskiego college’u i z dnia na dzień stawali się czarnuchami.

Każdy z chłopców z wojska coś potrafił, ale Jacob, najmłodszy z nich wszystkich i przystojniejszy od większości, wiedział więcej. Jacob odebrał naukę w college’u, grał na pianinie i umiał pływać. Oficerowie w armii uważali chłopaków z Karaibów za bezużytecznych. Nasi rodacy urodzili się otoczeni wodą, ale kiedy do niej wskakiwali, nie mieli się czym pochwalić. Ale Ronnie Smalls gruntownie to sobie przemyślał. „Pokonuję góry, nie latając. Czemu nie miałbym poruszać się w wodzie, nie pływając?”. Pływanie było więc jak latanie. Tylko niektóre wiedźmy to potrafiły.

Popołniono błąd. Wszystkich mężczyzn z Wysp Dziewiczych umieszczono w tej samej jednostce. W kompaniach 872., 873., 874. i 875. oraz w bazie wojskowej w Nowym Orleanie znaleźli się sami mieszkańcy Indii Zachodnich. Chłopcy rozprawiali o tym nad posiłkami w stołówce. Ronald Smalls przełknął kęs gumowatego naleśnika.

– To dla podtrzymania ducha jedności – mówił, przegryzając. – Żebyśmy nie tęsknili za domem.

Ronald ogromnie tęsknił za domem. Był dobrym człowiekiem, zrobił wszystko, żeby stać się przeciwieństwem swojego ojca kobieciarza. Jego żona była w ciąży, a on marzył, że dziecko będzie pierwszym z wielu, które przyjdą na świat. Ale marzenia Ronniego pozostaną tylko marzeniami.

– Nie, Smalls – powiedział Jacob. – To wszystko po to, żebyśmy nie prysnęli na wolność. Żebyśmy patrzyli sobie na ręce i przywoływali się do porządku.

Jacob wiedział, co mówi. Jego matka była ekspertką w obserwowaniu ludzi i uniemożliwianiu im ucieczki na wolność. Ostrzegła Jacoba przed bólem zęba. Kazała mu używać odpowiednich ziół, by złagodzić ból, i poczekać, aż sama będzie mogła się tym zająć. Ale Jacob postawił jej się i poradził brata, który uczył się w szkole dentystycznej Meharry, aż w Tennessee. Potrzebował prawdziwego doktora, a brat prawie nim był. Jacob wiedział także, że sam zostanie prawdziwym lekarzem. Nie znachorką jak matka. Jednak to ona ostrzegła go, że kompania złożona z samych Karaibów to przekleństwo.

Spice był z Grenady. Szanował Jacoba McKenziego. Zważając na jego wiedzę, umiejętności i skórę koloru złocistego piasku, trudno go było nie poważać. Spice sądził jednak, że Ronald Smalls jest naiwny, jeśli uważa, że Amerykanie życzą im dobrze. Współczuł mu, gdy ten wyciągał fotografię swojej miłej, biuściastej żonki za każdym razem, gdy ktoś wspomniał o bara-bara. Spice wiedział, że to zamerykanizowani mieszkańcy Wysp Dziewiczych Stanów Zjednoczonych oraz Portorykańczycy, którzy nie potrafią zrozumieć Ameryki. „Posłuchaj, człowieku. Jankesi wcale nie chcą być z nami”. Spice był Grenadyjczykiem starającym się o amerykańskie obywatelstwo. Wiedział o sprawach, o których nikt inny nie miał pojęcia... I wcale nie dlatego, że chodził do szkoły. Był najstarszy z całej bandy, a rodzice zmarli, kiedy miał sześć lat. Żył, krążąc po dalekiej rodzinie, rozsianej po różnych wyspach. Znał hiszpański, francuski, niderlandzki i angielski. Wszystkie języki Karaibów. Mimo że i tak był już najstarszy, wydawał się jeszcze starszy. Znał karaibski. Znał świat.

– Dlaczego niby nie chcą być z nami? – spytał Ronald, wspominając, jak pobili go żołnierze z Portoryko. Myślał, że może podział według regionu pochodzenia i języka ma coś wspólnego z kobietami.

– Jankesi sądzą, że pachniemy, mamy zapach – odpowiedział Spice z autorytetem w głosie.

– Zły?

– Tak, zły, kokosowy głąbie.

– Ale to oni śmierdzą jak surowe mięso.

– Prawda – powiedział Spice.

Słyszał ze swoich teorii spiskowych. Nie tykał posiłków ze stołówki. Zamiast tego zajadał się racjami żywnościowymi. Polewał wysuszone steki wodą i suszył paczkowane orzeszki ziemne. Tym karmiono facetów na froncie. Takie jedzenie utrzymywało przy życiu.

– Nie wiem, dlaczego nie chcą z nami być – powiedział Jacob, odpowiadając na poważne pytanie Ronalda Smallsa.

Ronald westchnął, wyjął zdjęcie żony i ostrożnie wygładził je kciukiem.

Jacob uciskał bolące miejsce na dłoń paznokciami. W college’u zasmakował protekcjonalności ze strony białych Amerykanów. Ci, którzy

przyjeżdżali do kampusu na wykłady, byli słodcy, ale aż mdlący. I tak, słyszał od szkolnych kolegów ponure historie. Ale ci studenci nie pracowali tak ciężko jak on. Nie mieli dobrego nazwiska, którym on mógł się poszczycić. Czarna robota – Jacob wiedział, że to prawdziwe sformułowanie. Istniało naprawdę. Niektórzy byli czarnymi robotnikami. Ale nie Jacob. On pracował uczciwie.

Zanim Ronald Smalls wyjechał do Ameryki, kochał się ze swoją żoną po raz ostatni w życiu. Potem pożeglował na Portoryko i dołączył do reszty kompanii, która była też kompanią Jacoba, płynącej łodzią do Nowego Orleanu. Pierwszy raz był w Ameryce. Jego życie stawało się spełnieniem marzeń. Musiał tylko żyć dalej. Ani trochę nie chciał uwierzyć w cokolwiek, co oznaczało kalectwo, śmierć lub kłopoty.

– Widzisz, Spice – krzyknął Ronald, kiedy znaleźli się wszyscy na tyłach zadaszonej plandeką wojskowej ciężarówki, jadącej do bazy. – Gdyby nas nienawidzili, posłaliby nas do kompanii nazi.

Spice potrząsnął przecząco głową.

– Stany Zjednoczone to jest Naziland, przycipasku.

Jacob, który starał się chronić Ronalda, poklepał Grenadyjczyka po plecach.

– Daj mu spokój. Odpuść mu, staruszk.

To prawda, że Jacob podczas nauki w college’u pracował jako kelner i wołano wtedy na niego: „Chłopcze!”. Ale on był chłopcem. Od zawsze. Najmłodszy w klasie. Beniaminek w rodzinie. Był chłopiasiem nawet w wojsku, pośród samych mężczyzn.

Kiedy tu przyjechali, dowództwo powiedziało im, że Nowy Orlean nie różni się aż tak bardzo od Karaibów. Jeszcze wtedy miano nadzieję, że karaibscy chłopcy sprawdzą się w wodzie, ale tylko Jacob potrafił pływać. Prawdę mówiąc, miasto leżało poniżej poziomu morza – tak jak Atlantyda. Jakby wszyscy byli pod wodą, ale jakimś cudem jeszcze oddychali.

Ból zęba był tępy i nieustępliwy. Jacob dostał od brata maść, dzięki której bolało go nieco mniej. Nadal jednak, za każdym razem, kiedy oddychał głęboko, ostry ból przeszywał jego twarz, a usta mu drżały. Inni zaczęli postrzegać to jako gest modny i pewny siebie, jak trzymanie papierosa czy przeczesywanie grzebieniem prostych jak spokojna morska fala włosów. Wkrótce tik Jacoba stał się znakiem rozpoznawczym 875. Kompanii Indii Zachodnich. Drżenie warg sprawiało, że wyglądał, jakby był gotowy – gotowy coś zrobić. Przez to prawdziwi Amerykanie, oficerowie, uważnie mu się przyglądali.

Przez pierwsze dwa tygodnie kompania pozostawała w obozie, żołnierze robili naprawy, zaprowadzali porządek, wypełniali rozkazy. Ronald Smalls gwizdał pod nosem i drżał. Ameryka! Ziemia wolności! To wprawiało w dobre samopoczucie. Nigdzie wokół ani kropli oceanu, który każe ci się zatrzymać. Tylko ląd i ląd. By po nim wędrować. By go podziwiać. By go podbić, okiełznać i nazwać

własnym. Ronniego przepelniało takie zadowolenie, że napisał do Anette i polecił jej dać dziecku na imię Ronald. „Proszę, Anette, proszę”. Miał pewność, że podczas tej wojny dorobi się spuścizny. Był zbyt szczęśliwy.

Ale jesteśmy na wojnie. Samo szczęście tu nie wystarczy.

37.

Muzyka z drewnianego pudełeczka Jacoba grała głośno, bo zębowi Jacoba nie przeszkadzał blues. Kobieta podśpiewywała. O rany, rany. Ależ ona potrafiła śpiewać. Powalała mężczyzn na kolana. Świat się zmieniał. Tak, zaiste. Chłopcy pomadowali krótko przycięte fryzury. Spice prostował swoje włosy czarne jak smoła. Jak kopalnia na Trynidadzie. Jacob miał kant spodni od munduru. Wszyscy wypolerowali buty. Tego wieczoru mieli przepustkę. Ruszali w miasto. Będą pić. Będą tańczyć. Może poznają parę miłych kobietek, które zdołają powalić mężczyzn na kolana.

Ronald miał pełne i miękkie usta. Anette przypadło do gustu odciskanie na nich pocałunków. Jego ręce były gładkie pomimo tego, że do jego obowiązków należało zmywanie naczyń. Poza tym pod każdym względem był zwykłym człowiekiem. Wiedział o tym. Wydawało mu się, że może być dumny ze swej zwyczajności. Spice był dobrze zbudowany, ciemnoskóry i wściekał się na proste włosy, które rozrastały się jak chwasty. Kobiety z French Quarter w Nowym Orleanie uwielbiały, gdy je siłą uwodził. Wystarczyło, by wpadł im w oko niczym drobina kurzu i pozostawał w nich aż do momentu, gdy zapragnął się wycofać.

Jacob był szczupły i wysoki jak pień palmy kokosowej. Nad górną wargą zawsze miał mgiełkę potu, przez którą kobiety pragnęły polizać jego usta. Brązowe włosy łonowe przycinał małymi nożyczkami. Pod pachami miał zawsze wilgotno, a jego ciało emanowało zapachem ziemi. Skóra, oczy i włosy były tego samego koloru mokrego piasku. Nawet biali sierzanci, choć nie potrafili tego wytłumaczyć, trzymali za niego kciuki. Matka przypominała mu za to w listach: „Czeka cię jeszcze sporo nauki. Nie zapuszczaj korzeni”.

Cóż, dziś wieczorem idzie w miasto. Będzie trałował po Tremé i French Quarter. Zanurzy dłonie w Missisipi. Był mężczyzną zdolnym osiągnąć wszystko. Zostanie lekarzem, jeśli przeżyje wojnę. A przeżyje. Matka miała na niego oko, a on miał ogromny hart ducha. Pewnego dnia ożeni się z kimś równie atrakcyjnym. Ale na razie: „Chcę się dowiedzieć, która z tych Kreolek zostanie matką moich dzieci”.

– Ja się na nic nie piszę – uściślił Ronald.

Wyjął fotografię Anette, którą zwykle wszystkim pokazywał. Teraz trzymał ją blisko twarzy, tak jakby kobieta stała obok niego. Jak gdyby szła z nimi do miasta. Jacob uśmiechnął się do słodkiego Ronniego, ale zmrużył oczy na widok kobiety ze zdjęcia. Chciał powiedzieć: „Mam przecucie, że ją znam”. To nie

byłoby nic wielkiego. Saint Thomas to bardzo małe miejsce. Ale zamiast tego Jacob odparł:

– Schowaj swoją żonę.

We trójkę ci żołnierze z wyspy byli idealni i piękni jak jeden mąż. Kiedy podrzucono ich na przedmieścia, zatrzymali się, żeby przetrzeć buty. Wysoki wzrost, modne fryzury, miękkie usta. Kroczyli bulwarem z wypiętymi dumnie piersiami. Pozdrawiali przechodniów, unosząc lekko kapelusze. Nawet ulicznice przemykały obok nich tylko po to, by zatrzymać się i popatrzeć, jak spodnie raz po raz obciskają im umięśnione pośladki.

Daliby się pokroić, żeby wrzucić na ząb coś innego niż rację żywnościową czy gumowate naleśniki. Nie czekali więc, aż dotrą do zbytków French Quarter. Drzwi stały przed nimi otworem. Dobiegł ich zapach smażonej wieprzowiny. To był przypieczony, tłusty, przydymiony i krwisty aromat. Na szyldzie widniało: „Jak u Mamy”. Nazwa knajpy wystarczyła, by Jacob skinął na kolegów, będących jego prawą i lewą ręką. Spice Grenada i Ronald Smalls skinęli w odpowiedzi. Cała trójka weszła do środka. Usiadła przy jedynym wolnym stoliku.

Szafa grająca nadawała za głośno. Światło było mętne, tylko nad ich stolikiem migotała samotna żarówka, a jej jasna poświata co chwilę padała na Jacoba. Przy barze i opasłej barmance nigdy nie było pusto. Stali bywalcy rozmawiali ze sobą, pokrzykując. Gdzieś tam tłukły się gary. Pomalowane na żółto ściany też były krzykliwe i emanowały hałasem. Ząb zagroził Jacobowi, że zaraz wyskoczy mu z ust. Teraz drżały mu także oczy, podniósł więc troskliwie ręce do twarzy. Spice sypał jak z rękawa złośliwymi, serdecznymi dowcipami, bębniąc palcami o stół tak, że blat cały się trząsał. Inne stoliki to pustoszały, to się zapełniały. Oni wciąż czekali.

– Przepraszam, panienko. Jesteśmy gotowi, jeśli panienko gotowa.

– Proszę wybaczyć, panienko. Widzę, że panienko zajęta, ale czy możemy złożyć zamówienie?

– Panienko? Poproszę talerz gumbo. I parę chłopskich kanapek. Bardzo proszę.

Była szczupła, w średnim wieku. Włosy schowała pod chustą, ale oczy miała jasnozielone, w kolorze morskiej toni, co stanowiło niepokojący kontrast z jej mleczną i obwisłą skórą. Była ubrana w znoszony biały fartuch, przykrótki i poszarzały. Współczuli jej. Była ślicznotką z tymi swoimi oczami barwy mchu i uśmiechała się do nich, krzątając się w tę i w tę. Żaden z nich nie miał zegarka, ale mogliby przysiąc, że przyjęła ich zamówienie dopiero po jakiejś godzinie.

– To potrwa naprawdę długo – powiedziała. – Jesteście pewni, żołnierze, że chcecie tu jeść?

– Tu jest jak u mamy – zauważył Ronnie z wygłodniałym uśmiechem.

Kobieta skinęła głową, powtórzyła raz jeszcze, że to trochę potrwa, i spytała, czy nie chcieliby stołować się gdzie indziej. Może kawałek dalej, we French Quarter?

– Co tu jest grane? – Spice zwrócił się wprost do omszałej kelnerki, która cofnęła się o krok i wyglądała na przestraszoną.

Spice wbijał palce w stół, usiłując powstrzymać chęć, by ją uderzyć, zamiast tego miał zamiar zostawić odciski palców w drewnie.

Przerwał im Jacob.

– Przepraszamy, nie chcemy panienki niepokoić.

Utkwił w niej swe piękne oczy. Panował nad nią tak, jak zawsze potrafił zapanować nad kobietami. Bolał go ząb. Być może ból był spotęgowany głodem.

– Niech panienka nam przyniesie frytki i coś do picia, to przeżyjemy.

– Wy, chłopcy, nie jesteście stąd – powiedziała i skinęła głową.

Grenada odprowadził ją wzrokiem. Patrzył, jak podaje zwalistej kobiecie przy ladzie kartkę z ich zamówieniem. Przyglądał się, jak szepczą między sobą. Widział, jak kelnerka jeszcze raz kiwa głową. Ta duża to Mama. To oczywiste. I Mama patrzy na Grenadę tak, jakby był małą wysepką, a ona wielkim statkiem, „Pintą” czy „Santą Marią”, gotowym pożreć go żywcem. Nie powinien spuszczać jej z oka, ale gapienie się na nią, starszą osobę, było niegrzeczne. Odwrócił się więc. Zasugerował Jacobowi na głos, że czas zbierać się do wyjścia.

Ronald Smalls zacierał ręce i beknął. Brzuch zaczął mu się wypełniać gazami.

– W żadnym razie, kolego. Zaraz nas obsłużą. Pójdziemy gdzie indziej, to znów poczekamy z godzinę.

Siwa kelnerka kiwała się w przód i w tył. Już się nie uśmiechała ani nie podnosiła na nich wzroku. Wołali ją: „Panienko!”. „Przepraszam...”. W końcu Spice sprzedał Jacobowi kuksańca w bok i wtedy Jacob to zrobił. Zagwizdał na kelnerkę.

Jasne, kiedy Jacob był w college’u, miał niejaką świadomość istnienia praw Jima Crowa. Ale nigdy tak naprawdę nie wierzył, że dotyczą także jego. Zresztą pracował tak ciężko, by odizolować się od reszty, iż nigdy nie przekonał się o tych regulacjach na własnej skórze. Oczywiście, w szkole wszyscy byli Murzynami, w sklepach, które odwiedzał, sprzedawali i kupowali sami Murzyni, personel kelnerski w pracy też składał się z samych Murzynów, ale w domu przecież też tak było. Na Saint Thomas nie mieli żadnego amerykańskiego Jima Crowa – Murzyni, o jaśniejszej czy ciemniejszej skórze, stanowili większość i Jacob zakładał, że tak samo było kiedyś w Waszyngtonie, a teraz jest w Nowym Orleanie. Jakim cudem ustawodawstwo Jima Crowa miałoby tu obowiązywać, skoro przywdziali mundury i przyrzekali umrzeć za każdego w tej knajpie? Poza tym Nowy Orlean tak bardzo przypominał Saint Thomas: werandy, panny posyłające uśmiechy, brzdąkanie

muzyki na ulicach. Jak mogli go tu uważać za kogoś innego niż pożądanego namorzynowego mężczyznę, którym przecież był?

Ale kiedy gwizdnął, było tak, jakby wszyscy, każdy jeden przy każdym jednym stoliku u Mamy, czekali na ten sygnał. Jak gdyby przedstawienie już się zaczęło, a Jacob wszedł na scenę jako nieprzewidziany w scenariuszu aktor, ponieważ wszyscy umilkli, tylko szafa grająca rozbrzmiewała głośną i żwawą melodią. Jacobowi z każdym uderzeniem serca pulsował ząb. Chciał krzyknąć, ponieważ ból stawał się nie do zniesienia.

– Hej, wy! Czarnuchy nie będą gwizdać na białą kobietę. Nie w Luizjanie.

Po tych słowach, które dla wszystkich były oczywiste, rosły mężczyzna wstał. Na głowie miał kapelusz, mimo że siedzieli pod dachem. Czystą białą koszulę ścisnęły mu szelki. Podtrzymywały zwykłe, lecz wyprasowane czarne spodnie. Rosły mężczyzna nosił się staromodnie, ale był młodszy od Ronniego i Jacoba. Zbliżył się do nich spokojnym krokiem. I mimo że dzieliło ich zaledwie parę jardów, podczas jego spaceru kilka par zdążyło czmychnąć z knajpy „Jak u Mamy”. Rosły mężczyzna zdołał także się rozmnożyć, więc kiedy stanął nad ich stolikiem, towarzyszyło mu siedmiu czy ośmiu innych, którzy wyglądali tak jak on, tyle że sięgali mu do ramion. W oczach żołnierzy szelki przydawały tym osobnikom komicznego wyglądu, tylko uczniacy je nosili, i to zwykle po domu. Ronald Smalls miał nadzieję, że ów potężny towarzysz to syn właściciela, któremu kazali przeprosić za złą obsługę. Jacob ani drgnął. Patrzył na tych ludzi. Ronnie miał szeroko otwarte i zażawione oczy. Grenada był gotowy, po prostu.

– Czy ten młodzieniec właśnie nazwał mnie czarnuchem? – Jacob po prostu nie dowierzał, nie miał zamiaru być zuchwały.

Wielki gość położył swoje wielkie łapska na skraju ich stolika. Uśmiechał się.

– Wyjaśnijmy coś sobie. Wydaje mi się, że trafiliście w nieodpowiednie miejsce. – Zmierzył wzrokiem każdego po kolei. – Naprzykrzacie się Mamuśce.

Mówił opanowanym tonem, ale w jego słowach czaiło się ostrze, tak jakby głos za chwilę miał mu się załamać. Wskazywał w kierunku zwałistej pani za ladą, lecz żołnierze nie powędrowali wzrokiem za jego ręką. Dobrze ich wyszkolono. Utkwili wzrok w gadającym wrogu.

– Wszyscy jesteśmy amerykańskimi patriotami, ale nie zamierzamy tolerować zniewagi.

Ile lat miał ten młodzieniaszek w chłopięcych szelkach? Co sobie wyobrażał?

Jacob dowodził. Jacob był przywódcą. Poczł, jak coś ciepłego i mokrego wypełza mu z ust.

– Człowieku, chcemy tylko coś zjeść.

– To nie wasza stołówka, żołnierzu.

Ani drgnęli. Ale kiedy biały mężczyzna-chłopiec znów się odezwał, atmosfera uległa nagłej zmianie.

– Jeśli opuścicie to miejsce po cichu, czarnuchy, to ja i moi przyjaciele nie wywlecziemy was stąd za fiuty i nie potopimy w rzece. Zrozumiano?

Tak, Jacob Esau McKenzie rozumiał. Na jego oczach rozgrywała się historia, o jakiej opowiadali koledzy ze szkoły. Oto ona. I oto on. Zamierza zostać lekarzem. Umiał grać na pianinie lepiej niż ktokolwiek inny. Umiał pływać, jakby zrodził go ocean. Ten dzieciak w szelkach tego nie dostrzegał. Ale z pewnością zauważył, że byli w mundurach. Że wypastowali buty na połysk.

Jacob Esau McKenzie, mąż o wielkim harcie ducha, powoli odsunął krzesło, które wydało z siebie dotkliwy zgrzyt, szurając po podłodze. Dźwięk sugerował, jakby uwalniało się właśnie jakieś zło. Inni poszli jego śladem. Duży chłopak wyprostował się i pozwolił żołnierzom, którzy przysięgali zginąć za Amerykę, opuścić przybytek „Jak u Mamy”. Jacob się nie zatrzymał. Ani na chwilę. Ruszył prosto przed siebie. A gość odprowadził Jacoba na ulicę, gdzie ten splunął na krawężnik gęstą, ciemną krwią.

Jacob i jego kompani szli przed siebie, aż znaleźli się nad wodą. Ale to była rzeka, nie morze. Maszerowali więc dalej w ciemności, aż wojskowa ciężarówka dostawcza minęła ich i zrobiła dla nich miejsce wśród świeżej białej pościeli.

38.

Anette

Wiele kobiet wychodzi za mąż dla świętego spokoju, a potem na twarzach swoich dzieci widzi cień żalu. Były lata czterdzieste dwudziestego wieku. I przez dobrą chwilę wierzyłam, że jestem nawet szczęśliwa. W pewien sposób ocalałam Ronniemu życie, a teraz on dawał mi życie. Patrzcie tylko, jesteśmy tutaj tylko my, ja i matka Ronniego. Gotujemy, prowadzimy dom, a brzuch mi rośnie. W kółko opowiadam jej lub Eeonie o moim marzeniu, by zostać nauczycielką historii. Jego matka prowokuje mnie i gada, że skoro wiem tylko trochę więcej niż nic o byciu gospodynią domową, to jak chcę zostać nauczycielką? Eeona rzuca mi wyzwanie, że może powinnam odpuścić sobie posadę nauczycielki, zostać profesorką i wyjechać do Ameryki. A niech je, kobiety. Myślą, że ich marzenia powinny być moimi. Ale ja się nad tym nie zastanawiam. Wiem, czego chcę.

Zanim Ronnie wybył do Nowego Orleanu, przyjechał do domu ze szkolenia wojskowego na Portoryko. Miałam przecucie, że lada chwila się zjawi. Ubrałam się w czerwoną sukienkę, która przylega mi do ciała i sprawia, że wyglądam jak syrena. Przez tych parę krótkich tygodni, kiedy jest na przepustce, wychodzimy i bawimy się dobrze albo zostajemy w domu i bawimy się dobrze. Nie odwiedzamy Eeony. Rzadko widzujemy się z jego matką, a przecież przebywamy pod tym samym dachem. Wiem na sto procent, że jestem wymarzoną żoną mojego męża, bo

urządzam mu w sypialni niezły raban. Nazajutrz rano jego matka zaszyje się w swoim pokoju, jak gdyby się nas wstydziała. Gotowane jajka i herbata na stoliku, jakbyśmy byli gośćmi w motelu.

Eeona nigdy nie zapomniała, że jest damą z nobliwej rodziny. A ja? Zapominam o tym cały czas. Śmieję się z otwartą na oścież buzią. Niech no wam tylko coś powiem, życie jest proste. Potrafię zrobić, żeby takie było. Kiedy więc wojsko zaciąga RONALDA do Nowego Orleanu, odkrywam, że zaciążyłam za jego sprawką. Eeona zaczyna zaglądać do mnie wieczorami. Mieszkam na drugim krańcu miasta, ale mimo tego ona zjawia się pod wieczór, by natrzeć mi stopy oliwą. Czasem nawet przychodzi i zostaje do późna, aż matka RONALDA pójdzie już do siebie. Kiedy mieszkałam z moją siostrą, nigdy aż tak bardzo nie zawracała sobie mną głowy.

Jestem jedną z tych kobiet, co uwielbiają puchnąć od dziecka. To dla mnie pestka. Czuję się jak ryba w wodzie. Kiedy jestem w ciąży, wszystko mnie uszczęśliwia. Zbieram mango z mangowca pani Smalls, a jego owoce są słodsze niż miód. Idę do sklepu spożywczego na początku Pave Street i czuję, że mam silne nogi i brzuch napięty jak mięsień. Mleczarz i rybak co dzień rano zachodzą na naszą ulicę z przenośnymi zamrażarkami na plecach, zawsze przychodzą najpierw do mnie, żebym dostała najświeższe mleko i ryby. Ludzie spieszą pomóc mi nieść nawet paczkę śliwek. Jakiś mężczyzna pędził całą drogę, żeby otworzyć mi drzwi. Przechadzamy się z Gertie po okolicy i mimo że ona ma płaski brzuch, to przeze mnie i tak nam się przyglądają. Wszyscy mi nadskakują, nawet drzewa nachylają ku mnie swoje gałęzie pełne owoców i kwiatów.

Serwuję sobie mieszankę farby na głowę i mimo że włosy nie robią się czarne jak smoła, choć na to liczyłam, czerwień skryła się pod milusińskim brązem. Skórę mam wilgotną i miękką. Paznokcie rosną mi mocne. Wyglądam ślicznie. Mam wielki brzuch, ale i tak wyglądam najlepiej na świecie. Znosi się nawet na to, że możemy z Eeoną zbliżyć się do siebie. Być jak prawdziwe siostry. W końcu przychodzi tu, gdzie mieszkam, tylko po to, żeby wymasować mi stopy i spędzić ze mną czas. Rozmawiamy o różnych rzeczach.

Jednak tak naprawdę ona jedynie suszy mi głowę. Później udaje zaskoczoną, gdy wracam z portu bez RONALDA. To ona namieszała mi w głowie. A teraz zachowuje się, jakby zapomniała.

– Anette.

– Tak, Eeono?

Leżę na fotelu z odchyłoną głową. Wgapiam się w sufit, śledzę każdą jego nierówność i garb. Siostra przesuwa palcami wokół moich kostek. Mocno je naciera, co boli, ale jednocześnie sprawia przyjemność. Potem wędruje do pięt. Czuję skurcz biegnący w górę po łydce i wywołujący ciepło u dołu kręgosłupa. Zatapiam się w fotel. Och, Eeona ma rękę do pięt, mówię wam. Gdzie się tego

nauczyła, nie mam pojęcia.

– Anette, wydajesz się dość szczęśliwa w małżeństwie.

Taka jest prawda. Byłam szczęśliwa. Ale w jakim stopniu wynikało to z mojego małżeństwa, tego nie potrafię powiedzieć. Ronald bywał w domu zbyt rzadko, żebyśmy mogli się nazywać małżeństwem.

Teraz Eeona mówi powoli, tak jakby chciała, żebym usłyszała wyraźnie każde jej słowo:

– Sądzisz, że będziesz dobrą matką?

Podnoszę głowę, żeby dobrze przyjrzeć się starszej siostrze. Ona nie odrywa oczu od moich stóp na swoim podolku. Zdaje się koncentrować na pracy rąk. „Odprawia jakieś *obeah*” – myślę sobie. Ale nie poddaję się:

– Będę idealną matką.

– Jak będziesz kochać swoje dziecko?

– Jak? Tak samo jak każdy kocha swoje dzieci, Eeono.

Z powrotem opieram głowę. Eeona zawędrowała do podbicia moich stóp. Oliwa, której używa, jest śliska, mokra. Dotarła do stawów przy palcach i zanurza się w nie. Siedzimy cicho, że cicho sza, aż przychodzi pora na zmianę i Eeona zaczyna masować mi drugą stopę.

– Anette, chciałam cię spytać, skąd będziesz wiedzieć, jak kocha rodzic. Nie otrzymałaś rodzicielskiego przykładu.

Ależ dziwactwa wygaduje. Czy ona nie była moim przykładem?

– Mój mąż mnie kocha. Taki właśnie przykład zamierzam dać dziecku.

Opuściła moją stopę mocno na podłogę. Czuję, jak dziecko we mnie całe się spina, już wtedy Ronalda była wrażliwa. Eeona odskoczyła ode mnie, jakbym była gorejącym krzakiem.

– Anette Bradshaw Smalls, miłość między mężem a żoną to nie ten rodzaj miłości, który przekazuje się dzieciom. Mam nadzieję, że to wiesz.

Z piersi wrywa mi się rechot, ale połykam go z powrotem, kiedy widzę, jak bardzo serio odzywa się moja siostra.

– Naprawdę chcesz zawracać mi tym tyłek?

– Anette, wyrażaj się stosownie. Pytam cię tylko, jak zamierzasz kochać swoje dziecko. Skąd będziesz wiedzieć, że nie wpajasz mu niezdrowej miłości?

– Ale, Eeono, miłość do małżonka jest jak miłość do dziecka. Nie ma czegoś takiego jak niezdrowa miłość.

Wtedy patrzy na mnie, jakby myślała, że do reszty zgłupiałam. Wstaje, wyciera ręce w suknię, jakby ścierała mnie ze swoich dłoni.

– Eeono, o co chodzi, do diaska?

Ale ona już na mnie nie patrzy. Odwróciła się i wyszła z domu. Ot tak, po prostu.

Naprawdę nie mogę powiedzieć, że to wszystko wina Eeony. Nie mogę

stwierdzić, że wtarła mi *obeah* w stopy, żeby zachciało mi się chodzić po wodzie i zabijać lub ratować moje małżeństwo. Ale jej proste pytania, jej przesłuchanie coś ze mną zrobiły. Ponieważ, prawdę mówiąc, nie kocham swojego męża. Nigdy nie miałam okazji wykombinować razem z nim, czym jest miłość. Nie było go przez większość naszego małżeństwa. Teraz siedzę w pokoju, a dziecko kopie. Boli mnie stopa, bo Eeona po prostu cisnęła nią o podłogę. Mój mąż wyjechał i nie będzie go przez niewiadomy czas, jak mi powiedział. Serio nie planowałam za nim tęsknić. Naprawdę, co za miłość przekażę Ronaldowi juniorowi albo Ronaldzie? Niech mnie piekło pochłonie, co ja właściwie wiem o miłości? Wyobrażam sobie, że zakochiwanie się powinno być przyjemne i bezpieczne jak kąpiel w spokojnym oceanie o zachodzie słońca. I po prawdzie wiem, że Ronald nigdy nie sprawił, żebym się tak czuła. To nie jego wina. Tak już po prostu jest.

Chcę krzyknąć za Eeoną, że to ona tak bardzo naciskała na to małżeństwo, a teraz, kiedy wzięłam ślub, jest po prostu zazdrosna.

Ale tej samej nocy, kiedy leżę sama w łóżku i wcale a wcale nie tęsknię za Ronaldem, zaczynam myśleć, że może się naczytałam zbyt wielu książek o historiach miłosnych Napoleona i Józefiny czy Cezara i Kleopatry. No bo tak naprawdę, do diaska, co zrobię, jeśli odejdę od Ronniego? Wprowadzę się z powrotem do Eeony? Zdecydowałam się więc. Zakocham się w Ronniem. Rzucę na siebie czar i zanurzę się w nim. Nauczę się tego sama, tak jak uchroniłam się przed śmiercią z gorączki.

Przygotowuję cały plan. Zamieszkamy tylko we dwoje. Bez matki wężającej za drzwiami i liczącej nam z zegarkiem w rękę, ile czasu spędzamy na igraszkach męża z żoną. Zatroszczymy się o telefon w domu i powiemy Eeonie, że musi dzwonić, zanim przyjdzie.

Kiedy RONALDA się rodzi, Eeona przynosi pieluchy, śliniaczki i tak dalej. W końcu dobra z niej siostra. Ale przy tym zabawnie gada – ma te swoje epizody, jak je nazywa. Mówi, że odziedziczyła je po mamie. Nadaje o tym, jak to musimy być wolnymi kobietami i jak sądzimy, że jesteśmy wolne, ale tak nie jest. Kiedy mówi, wpatruje się w martwy punkt, tak jakby opowiadała historię ludziom, których tam nie ma. Ale ja mam już po dziurki w nosie słuchania tych głupstw.

Przez cały ten czas napływają do nas plotki o tym, że część naszych chłopców wszczęła w Nowym Orleanie awanturę i wpadła w niezłe tarapaty. Wiemy, że to przez jakąś rasistowską głupotę, i jesteśmy z nich dumni. Bardziej dumni, niż gdyby walczyli w Niemczech czy Japonii. Kiedy dowiadujemy się, że jest już po wojnie, wiem, co należy zrobić. W radiu mówią, że chłopcy wracają wielkim statkiem wycieczkowym jak turyści. Zaczynam przypatrywać się matce Ronniego, żeby zobaczyć, jak przyrządza zupę z czerwonej fasoli, taką, jaką on lubi. Uważam na figurę, żeby być nadal szczupła i przyjemna. Kocham małą Ronaldę. To znaczy kocham ją tak, jak każda matka kocha dziecko. Wybieram

życie. Czemu nie mogę po prostu wybrać miłości? Muszę tylko skupić się na miłości, która płynie na pokładzie tego statku.

Zjawię się w porcie wraz z połową Saint Thomas, będziemy tam czekać na chłopców. Zauważę, jak Ronnie schodzi ze statku i pochyla się, żeby ucałować ziemię. Zobaczycie mnie tam z sercem otwartym i gotowym jak usta na przyjęcie Najświętszego Sakramentu.

39.

– No to, do diabła, jaki mamy plan?

Wrócili do baraku sypialnego, a Grenada był wściekły, głodny i pełen gazów. Jacob rozebrał się i padł na pryczę jak powalone drzewo.

– Zajmiemy się tym jutro. Przysięgam na moją matkę, że zajmiemy się tym jutro.

Ronnie wyjął wymiętoszoną fotografię Anette. Usiadł obok Jacoba.

– Popatrz no, Jay. Przysięgam na nią.

Jacob wyciągnął dłoń, a Ronnie swobodnie przekazał mu zdjęcie. Anette wyglądała, jakby czytała mu w myślach.

– Potrafi gotować? – spytał Jacob.

– Nie potrafi nawet zagotować wody.

Jacob uśmiechnął się i przycisnął spocony kciuk do szyi Anette. Gdy oddawał fotografię, zdjęcie lekko zmieniło barwę, tak jakby Anette zarumieniła się na dekolcie.

Tej nocy Jacob leżał na dostawionym łóżku polowym, kiedy pozostali kompani poszli do stołówki najeść się gumowatej strawy. Nawet Spice Grenada zajadał ją, nie obawiając się zatrucia. Ronnie zaklinał się na ukochaną żonę, a Jacob poprzysiągł na matkę. Ale czy starczy im odwagi? Co z nich za żołnierze? Jacob został i pograżył się w rozmyślaniach o swojej matce oraz Mamie z restauracji. Myślał o kelnerce i o wszystkich kobietach z Nowego Orleanu oraz Wysp Dziewiczych, które go nie znały. Nie znały jego potencjału, jego wartości. Tej nocy w jego marzeniach stanęła przed nim żona Ronniego w czerwonej sukni, mokra od stóp do głów, jakby przed chwilą pływała. „Znam cię” – powiedziała. Stał naprzeciwko niej i poczuł, jak zaczynają mu kruszeć zęby. Otworzył usta, a zęby jeden po drugim wypadały i lądowały u jego stóp niczym muszelki.

Jacob pościł cały następny dzień, jakby wstrzymywał oddech. W końcu znajdowali się pod wodą, walcząc o łyk powietrza. Wypluł ropę, wtedy ząb przestał go boleć, ale dalej był lekko zaróżowiony, więc Jacob przez całe lata nie uśmiechał się szeroko, aż brat dentysta wybielił mu ząb, a hart ducha Jacoba skurczył się do rozmiarów zwykłego mężczyzny. Ale przez cały ten dzień wszyscy w Nowym Orleanie trzymali się od niego z daleka. Wieści błyskawicznie rozeszły się wśród chłopców z Indii Zachodnich. Amerykańscy oficerowie węszyli dookoła, ale nie

mogli zlokalizować źródła smrodu krwi. Przyglądali się chłopakom z wyspy. Nikt nie podejrzewałby, że młody absolwent college'u, McKenzie, złamie regulamin. Miał nieco jaśniejszą od innych karnację i był uprzejmy. Potrafił pleść po wyspiarsku i jankesić po amerykańsku do oficerów. Nikt nie przypuszczałby, że zakradnie się do zbrojowni i wyniesie trzy strzelby. Teraz zaczęła się prawdziwa wojna. W końcu zostaną prawdziwymi Amerykanami.

Wybrali się całą trójką do miasta. Jacob w myślach klepał zdrowaśki. Był McKenziem, a McKenzie to katolicy, mimo że matka nigdy nie pozwalała mu chodzić do katedry. Ale dzieci zawsze się buntują. Przed bitwą w Nowym Orleanie Jacob przyrzekał na swoją matkę. Teraz modlił się do Matki Boskiej.

Smalls i Grenada chodzili w tę i z powrotem, przytakując sobie od czasu do czasu. Milcząca zachęta. Jacob nie wyjaśnił misji. Jacob nie wiedział, jaka to misja. Zawierzył intuicji. I będzie tak postępował ze wszystkim, aż matka nie podniesie się jak fala i nie przygniecie go swoim ciężarem.

Kiedy szli ulicą, posyłano im teraz inne spojrzenia. Niektórzy im się kłaniali. Długie lufy broni na ramionach znaczyły, że pilnują pokoju. Bronią wszystkich przed złymi nazistami i szalonymi japońcami. Anglosaski mąż szepnął swojej żonie cicho do ucha, kiedy mężczyźni patrolowali ulice: „Od kiedy to dają czarnuchom broń? Użyją jej przeciwko nam, zobaczysz”. Kobieta, której prapradziadek sam był czarnoskóry, zachichotała nad głupotą małżonka.

Tym razem zauważyli znak wywieszony przed knajpą „Jak u Mamy”. Był czarny z wyraźnymi białymi literami. Każdy mógł odczytać napis, nawet po ciemku. Jak mogli wcześniej wejść i rozsiaść się w środku, nie zauważywszy go? „KOLOROWYM WSTĘP WZBRONIONY”. Byli kolorowi. Ale znów wtargnęli tam, mocno trzymając strzelby u boku, po czym usiedli z bronią między nogami i lufami wycelowanymi w sufit.

– Mamuśka! – Jacob zawołał na przyciężką kobietę zza lady, która grzebała paznokciem między zębami. Odezwał się czule, jakby mówił do własnej matki: – Mamo, złożyliśmy zamówienie. – Czuł, jak siła jego ducha promienieje bursztynowo i się rozrasta. – Przyszliśmy zjeść to, co zamówiliśmy.

Spice trzykrotnie uderzył kolbą strzelby o podłogę, jakby wypowiadał zaklęcie, a jedzenie się pojawiło. Ta sama siwiejąca na zielonkawo kelnerka postawiła przed nimi wszystkie dania z menu. Już się nie uśmiechała ani nie wyglądała ładnie. W ogóle na nich nie patrzyła. Dania tłoczyły się na stole. Spice oblizywał kanapki z biednymi krewetkami. Ronnie przeżuwał udka kurczaka i wypluwał papkę na serwetki. Jacob przepłukiwał gardło trunkiem. Pozwalał, by chlupotał mu w buzi i opłukiwał zęby, po czym wypluwał go z powrotem do kubka. Żaden z nich nie mógł przełknąć ani kęsa. Wszyscy trzej gładzili swoje strzelby i wymieniali głębokie jak toń morza spojrzenia.

Pięć tygodni w karczerze dla każdego. Zakłócili porządek, ukradli broń. Mieli

szczęście, że nie skazano ich na lata więzienia. Po odsiadce deportowali Spice'a Grenadę na jego Grenadę, do której przyrósł pępowiną i gdzie odzyskał imię nadane mu przy urodzeniu, Michael Worthingham V, po czym przyłączył się do grenadyjskiej rewolucji.

Dla amerykańskich Murzynów z Karaibów armia przygotowała nie tylko wyrok w karczerze odsiadywany przez McKenziego i Smallsa, ale też pogadanki i reformę szeregów kompanii 872., 873., 874. i 875. tak na wszelki wypadek. Sprowadzono olimpijczyka, który brał udział w wyścigach w Niemczech, wygrywał i wygrywał, a teraz rząd amerykański płacił mu, by dawał wykłady ciemnoskórym żołnierzom.

– Rozumiem waszą frustrację – mówił odznaczony złotymi medalami bohater do chłopaków z Indii Zachodnich. – Ale tak to już jest w Ameryce. Oddajcie swoim krajanom przysługę, bo walczyście za wasz kraj. Nie stawajcie okoniem wobec Stanów Zjednoczonych. Pokażcie im, że jesteście...

Ale bohater nie dokończył, ponieważ mężczyznom, ciemnoskórym tak jak on, nie mieściło się w głowie, by kłaniać się w pas, uśmiechać i współczystować. Krzyczeli: „Lizodupiec”, „Mięczak”, „Niewolnik”. Jednak Jacob siedział cicho, zastanawiając się, co tak naprawdę się dzieje.

Jacob wciąż miał w sobie dość odwagi, żeby przyznać się do swoich strachów. Obawiał się, że jego świat, ten, który do niego należał, ten, gdzie był przystojnym i kochanym przyszłym panem doktorem oraz muzykiem grającym na pianinie, został zmuszony do uśmiechów i bicia pokłonów. Kiedy więc inni szydzili, Jacob wstał i postawił swój lśniący czarny but na podium, po czym kopnął nim wspaniałego murzyńskiego olimpijczyka w głowę. Tak po prostu.

Po tym incydencie rozdzielono rekrutów z Indii Zachodnich. Nigdy więcej nie powstała zachodnioindyjska kompania. Ronniemu pozwolono zostać w tym kreolskim kraju, ponieważ wszyscy wiedzieli, że w pojedynkę nie stanowi większego zagrożenia.

Ale po popisie butowania, który dał Jacob, umieszczono go na dwa bite tygodnie w karczerze, gdzie musiał przykładać dłonie do własnej twarzy, by wiedzieć, że nadal istnieje. Potem zesłali go na Sand Island na Hawajach. Jak przypuszczał, mieli go tam zabić japońce. Wyspa Sand Island była dla naszego piaskuna kolejnym więzieniem. Marzył tam jedynie o plażach, muszlach i dziewczętach w sukienkach koloru kandyzowanych wiśni z Saint Thomas.

Kiedy wojna dobiegła końca, zdemobilizowano Ronniego i bandę Portorykańczyków oraz wysłano ich na Portoryko, gdzie zapijali się rumem jak bracia i śpiewali *Gwiazdzisty sztandar*, hymn Stanów Zjednoczonych, jak prawdziwi Amerykanie. Rozszalał się sztorm tropikalny, więc przez ponad tydzień razem z paroma innymi mężczyznami z Saint Thomas podgrzewali imprezę, podczas gdy ich łodzie, którymi mieli wyprawić się na ojczystą wyspę, huštały się

na falach w porcie Portoryko.

Jednak gdy spadła druga bomba, Jacoba także demobilizowano i odesłano wcześniej do domu na pokładzie transatlantyku przewożącego zapasy i paru żołnierzy z Saint Croix.

– Zadokujemy najpierw przy Saint Thomas – powiedział jeden z nich. – Jesteśmy z tych samych Wysp Dziewiczych Stanów Zjednoczonych, a ja nigdy wcześniej nie byłem na Saint Thomas, wyobrażacie to sobie? Jak tam jest? Słodko?

Jacob skinął twierdząco głową.

– Za słodko – odpowiedział, ale nie miał zamiaru bratać się z chłopakami.

O zakończeniu wojny dowiedział się, leżąc na koi i czując Morze Karaibskie pod brzuszyskiem statku. Rzucił się w sam środek rwetesu i fety urządzanej przez kolegów z wojska, ziomków z Wysp Dziewiczych, ale nie mógł się zdobyć na to, by wznieść wraz z nimi toast. Jacob Esau rozmyślał jedynie o powrocie na matczyną wyspę, do matki. W głowie miał tylko szkołę medyczną. Jego myśli były wybrakowane.

40.

Saint Thomas to obecnie dziwaczne miejsce. Wyspa się zmieniła, a powracający na nią tubylczy synowie nie uczynią jej na powrót taką samą. Właściciel mieszkania Eeony wyrwał z korzeniami jej ogród na tylnym dziedzińcu, by zrobić miejsce na pojazd, żeby sąsiadka z Jost Van Dyke miała gdzie zaparkować auto. Kobieta nie tylko posiadała własny samochód i umiała nim kierować, ale prowadziła też interes – restaurację na nabrzeżu.

Na Frenchman Hill nadal mieszkało parę znanych rodzin z Savan, ale gdy tylko zejść ze wzgórza, okolica stawała się mniej znajoma. Eeona tak naprawdę nie знаła dzisiejszych sąsiadów, którzy w większości pchali się tu do pracy drzwiami i oknami z Brytyjskich Wysp Dziewiczych: Tortoli czy Jost Van Dyke. Większość z nich wynajmowała mieszkania w turach po trzy miesiące, na co zezwalało prawo. Pracowali na dopiero co wymyślonych posadach. Barman. Kelnerka. Kucharz. Pokojówka w hotelu. Grajek calypso na lotnisku. Witajcie na wyspie pracy.

Eeona nadal szukała drogi ucieczki i drogi awansu. Już dziś wiedziała, że musi się udać tam, gdzie nikt nie będzie znał jej historii, wiedział o jej przegranych i występkach. Żadnej Anette. Żadnego pana Barry'ego. Żadnej Nadmorskiej Willi i jej duchów, straszących we Frenchtown. Wydawało się jasne, że Nowy Jork ma sens. Wraz z końcem wojny wielkie miasto będzie potrzebować szacownych obywateli takich jak ona, by pomogli ożywić społeczeństwo. Poza tym zamieszkiwana przez nią dzielnica stawała się okolicą, gdzie dama z klasą nie powinna zamieszkiwać, zwłaszcza jeśli mieszka sama. Kiedyś mieściły się tu tylko delikatesy Lettisome's Corner, a dziś stały tu trzy sklepiki. Wszystkie czynne były do nocy i sprzedawano w nich papierosy. Eeona zostawi pana Barry'ego.

Pozbędzie się osła Nelsona, ale nie po to, żeby kupić samochód, lecz aby nabyć bilet na rejs. Wyplaci wszystkie pieniądze, które zaoszczędziła w Banku Saint Thomas. Ale najpierw potrzebuje zdecydować, co pocnie w Nowym Jorku. Nie zamierza przybyć tam z marzeniami, ale bez pomysłu, jak je spełnić. Przemyśli to wzdłuż i wszerz, nie tak jak mama, która popłynęła tam powodowana kaprysem.

Wolność to nie to samo co samotność. Nie, nie to samo. Po prostu nie i już. Eeona opracowała strategię wolności, co doprowadzi ją do ludzi, jakimi zgodnie ze swoim przeznaczeniem powinna się otaczać. Zniosła małą tartę kokosową właścicielce restauracji z Jost Van Dyke. To była ta sama kobieta, która wiele lat temu pomogła Anette wrócić do zdrowia po hiszpance; ta, co nadal nadkładała drogi, by zwyczajowo życzyć Eeonie dobrego dnia. Zdawała się emanować klasą i inteligencją. W końcu wyspa Jost Van Dyke należała do Brytyjskich Wysp Dziewiczych. Eeone poczęstowano herbatą, a potem przez dłuższą chwilę panie rozmawiały o rodzinie Stemme'ów i innych. Stemme wciąż było znanym anegadyjskim nazwiskiem, zaś w Antoinette Stemme nadal rozpoznawano rdzenną córkę tej ziemi, Panie, błogosław jej duszę, niech jej ciało spoczywa w pokoju. Kiedy Eeona poruszyła temat interesów, restauratorka zaproponowała jej, by przez parę godzin gotowała i obsługiwała gości restauracji. Lecz wtedy Eeona rozpuściła włosy, a kobieta z Brytyjskich Wysp Dziewiczych zrozumiała, jak cenna może być.

– Myślałam – zaczęła właścicielka restauracji – żeby zorganizować parę pokoi na pięterku. To za dużo pracy dla mnie samej. Będę potrzebowała zastępczyni.

Mimo że Eeona odchodziła od pana Barry'ego, zdołała wydobyć od niego list polecający, ten, który zabierze ze sobą do Ameryki. Potem zwolniła się z Hospitality Lounge i bezzwłocznie podjęła pracę w restauracji, gdzie teraz można było również wynająć pokój. Tak przyjemnie na nią popatrzeć, jak przechadza się między stolikami albo siedzi w biurze i podlicza rachunki. Przez nią ludzie nabierali apetytu, więc restauracja pękała w szwach. Dzięki niej goście nabierali apetytu także na seks, dlatego pokoje pękały w szwach z jeszcze większym impetem.

Gdy Eeona zebrała listy, pieniądze i zdobyte doświadczenie, przekonała się też, że Anette da sobie radę. Wiedziała, że w żadnym razie nie opuściłaby Anette, gdyby siostra jej potrzebowała. Tak przynajmniej Eeona sobie powtarzała.

Ale znaki stawały się teraz dość czytelne. Pani Smalls zatrzyma Eeone na ulicy, żeby ponarzekać na Anette, która biegła do sklepu spożywczego o ósmej albo nawet dziewiątej wieczór, zostawiając małą Ronaldę w domu. Czy nie można poczekać do rana, żeby kupić puszkę skondensowanego mleka? Kiedy Anette przychodziła z małą Ronaldą złożyć wizytę, Eeona dostrzegła, że Anette podziwia własne odbicie w lustrze. Kto jak kto, ale Eeona dobrze знаła ten grzech. I kiedy Eeona już miała odplłynąć stąd na fali, w gazecie niczym ostrzeżenie ukazało się

zdjęcie Esau McKenziego. Ale Eeona ze wszystkich sił starała się to zignorować. Musiała.

Poza tym, jak powtarzała sobie Eeona, Anette ma teraz dziecko, którym musi się zaopiekować. Eeona nie miała. Anette ma męża, którym musi się zaopiekować. Eeona nie miała. Nieważne, że to sama Eeona sprzeciwiła się swemu małżeństwu i potomstwu, które związek małżeński mógł ze sobą przynieść. A przynajmniej wierzyła, że to jej wybór.

Eeona od dwóch miesięcy była zastępczynią kierowniczką, kiedy do brzegów przybił pierwszy okręt z żołnierzami. To ten sam statek, który potem zawróci i zabierze ją stąd. Do tego czasu nauczy się nowego fachu. Kiedy trafi do Nowego Jorku, nie będzie pracy, której nie dałaby rady się podjąć. Będzie potrzebować tylko jednej posady przystającej damie, o całą resztę zatroszczy się jej uroda. Skłamię na temat wieku, jeśli to okaże się konieczne. Poda się za Kreolkę albo Portugalkę, jeśli będzie musiała. Zrobi wszystko, by odnaleźć drogę powrotną do świetności, na jaką zasługiwała. Opiekowanie się rodzeństwem nie należało już do jej trosk.

41.

Czerwony nie był kolorem, który Anette nosiła często, biorąc pod uwagę wzgardzoną rudość włosów, którą ukrywała, zakrywając ją czarną farbą. Ale czerwony do niej pasował, a wcześniej działał na Ronniego. Sprawił, że zrobił jej dziecko. To była barwa pod tytułem: „Patrz na mnie!”. To dzięki niej dopiero co przybyli na wyspę mężczyźni przyglądali się spacerującym po Saint Thomas dziewczętom nieco dłużej. Anette ubrała się więc w czerwoną sukienkę, kiedy poszła spotkać się z Ronniem. Chciała górować niczym latarnia nad wezbranym morzem czekających.

Anette z Ronaldą uwieszoną u jej boku wstąpiła po drodze do mieszkania siostry, by dać Eeonie znać, że udaje się do portu, gdzie stoi statek pełen żołnierzy.

– Idę po mojego ukochanego. Ale najpierw zajrzę z nim tutaj, jeśli nie masz nic przeciwko. Podrzucimy Ronaldę, żebyśmy mieli chwilę dla siebie, sam na sam, jak mąż z żoną.

Eeona zauważyła, że włosy Anette były miedziane, niemal lśniły. Może potrzebuje więcej farby.

Kiedy Anette wraz z połową Saint Thomas stawiała się w porcie, Eeona ruszyła pospiesznie Main Street i sprzedała wyjęte z uszu kolczyki jubilerowi, którego nie знаła. Jubiler miał wilgotne dłonie. Pochylił się nad nią, żeby ścisnąć płatek jej uszu kciukiem i palcem wskazującym.

– Dziękuję – powiedział i podał jej dwukrotność sumy, o którą prosiła. – Jesteś aniołem, prawda?

– Myli się pan – odparła Eeona. – Jestem Bradshaw. – Zatrzasnęła torebkę

i wyszła na ulicę. Stała tam przez chwilę, łapiąc oddech.

Mąż Anette wraca do domu. Teraz Eeona w końcu wyjedzie. Otworzy interes, jeśli tylko się uda. Będzie szyć kapelusze, szale i koronkowe lalki. Postara się o własny bar, a może nawet pensjonat dla dziewcząt. Być może uda jej się przekonać wszystkich, że jej ojciec był bogatym generałem i poległ na froncie. Opowie cokolwiek, aż na scenie nie pojawi się mężczyzna o porządnym nazwisku. Rockefeller. Carnegie. Ford. Może kolejarz. Nazwisko musi być porządne, jeśli ma zastąpić Bradshaw.

Eeona kupiła bilet na transatlantyk za pieniądze zarobione w restauracji. Miała ruszyć w drogę za trzy tygodnie. Stała na brzegu Water Front i widziała ów statek, jak swobodnie przepływa na drugą stronę zatoki. Anette stała tam wraz z gromadką żon i matek oraz połową wyspy czekającą, aż pierwsza partia żołnierzy zejdzie na ląd. Eeona obserwowała tę scenę, aż zdawało jej się, że okręt zacumował, wtedy udała się z powrotem do Savan, by przesyć ostatnie fragmenty koronkowych rękawiczek mamy na dziecięcą bieliznę dla Ronaldy. Zaczeka na siostrę, jej męża i ich dziecko, ale ostatni raz.

Jednak kiedy Anette wróciła z portu, była z Ronaldą, ale bez Ronalda. Eeona tylko trochę się zmartwiła. Może to nie ten statek. Być może ten był pełen medyków i medykamentów albo płodów rolnych lub nawet kości. Eeona nie odłożyła skrawków koronki, które nie przypominały już rękawiczek Antoinette. Prawie skończyła.

Anette trzymała Ronaldę na rękach, dziecko wtulało twarzyczkę w jej ramiona. Pochyliła się nad Eeoną, jakby chroniąc małą przed sekretem.

– Eeono, statki od urodzenia źle na mnie działają. Teraz przez ten okręt rozwiodę się z Ronaldem.

Eeona mocno zacisnęła zęby w skrytości swoich ust. Odczekała parę sekund i dopiero po chwili rozluźniła zgryz.

– Nie zrobisz tego.

– Sama zobaczysz.

Eeona nadziała napałek na palec wskazujący i nie podniosła wzroku na siostrę.

– Co się stało, Anette?

– Nic się nie stało.

– Czy twojego męża nie ma na tym statku? Nie masz w sobie choć krztyny cierpliwości?

Anette odwróciła się od Eeony, żeby odłożyć Ronaldę na łóżko. Mała obudziła się, ale nie zakwiliła. Miała otwarte oczy i wpatrywała się w matkę.

– Eeono, miałaś rację. Nie kocham tego mężczyzny. Nigdy go nie kochałam.

– To bardzo samolubny powód, by go zostawić.

– Cóż... – Przeszła przez pokój, jej biodra zakołysały się zupełnie nie po

matczynemu. – To był ten statek, ale Ronalda na nim zabrakło.

Eeona nadal nie podnosiła oczu znad robótki ręcznej.

– Nazywasz się Bradshaw. Nie jesteś kobietą lekkich obyczajów, która zostaje rozwódką tylko dlatego, że jej mąż jest wystarczająco głupi, by przegapić rejs do domu. – Urwała nic zębami. – Skończysz jako stara panna, Anette. Zostaniesz sama.

Podala siostrze koronkę. Anette ostrożnie przyjęła prezent, jakby Eeona obdarowała ją zagadką.

– Eeono, nie wiem, w jaką grę pogrywasz, ale nie zostanę z mężem dlatego, że się boję. Ty masz swoją urodę. Ja mam tylko przecucia. I mam przecucie, że mój mężczyzna był na tamtym statku, Eeono. Problem jest taki, że Ronniego na nim nie było.

Tym razem Eeona pochwyciła spojrzenie Anette.

– Siostrzyczko, nie masz pojęcia, jak głupio kobiety w naszej rodzinie traciły głowę z powodu mężczyzn i statków.

Wtedy Ronalda wydała z siebie dźwięk, jakby nie mogła się zdecydować, czy się rozplakać, czy też nie. Anette chwyciła koronkową dziecięcą bieliznę, jakby to była ścierka, którą mogła wytrzeć wylewającą się z niej frustrację. Nie umiałyby podjąć takiej decyzji, trzymając na rękach dziecko Ronalda.

– Pójdę już – powiedziała Anette i wybiegła z mieszkania.

Zostawiła siostrę i córkę samym sobie.

42.

Na kartach historii Jacob Esau McKenzie mimo wszystko zapisał się jako pierwszy, który opuścił pokład wielkiego statku. Był pierwszym żołnierzem, który uściśnął dłoń gubernatorowi de Castro. Pisano o tym w gazetach. Istniał na to dowód. Jacob był bohaterem balu wyprawionego w Grand Hotelu na cześć powracających.

Ale tak naprawdę nie było nic wspaniałego w byciu pierwszym. Gdyby prasa знаła prawdę, dziennikarze nie napisaliby o nim: „Bohater”. W końcu opuścił szeregi armii w wyniku niehonorowego zwolnienia. Wrócił pierwszy tylko dlatego, że nie mógł się doczekać, by jeść matce z ręki. Był już w karcerze i był na Sand Island. Ale najbardziej bał się, że wyspa Saint Thomas okaże się nieprawdziwa. Statek, który oferował także luksusowe rejsy między wyspami, odegrał teraz swoją patriotyczną rolę. Ale nie zadokował w porcie wystarczająco szybko. Jego wielkie cielsko zapadało się w wody i wypływało, delikatnie całując ląd. Mężczyźni, którzy ratowali sobie nawzajem życie, mężczyźni, którzy płakali sobie w rękaw, teraz popychali się i bili, aż w końcu otworzono drzwi i opuszczono pomost. Jacob parł najmocniej. Przebił się na czoło, oczy wszystkich zebranych były skierowane na niego. Zdjął wojskową czapkę i ucałował ziemię, jakby to była kochanka lub

uważana za zmarłą matka. I został tak z ustami przytkniętymi do ziemi jak do kobiety, aż gubernator nie podszedł do niego, pochylił się i powiedział: „Synu, twoja pasja jest godna podziwu, ale też nieprzyzwoita”, po czym Jacob powoli wstał i wymienił uścisk dłoni z gubernatorem, pozując do zdjęć.

Jacob naprawdę był bohaterem. Okazał się nieustraszony, kiedy krajanie traktowali go gorzej niż byle Niemca. To on ukradł broń i domagał się obsłużenia w restauracji w Nowym Orleanie. Tylko jego wtrącono do karceru. To jego zesłano na Sand Island, żeby zginął na wojnie, która dobiegała końca.

Ale swego czasu nie był taki odważny. Gdy zawleczono go do karceru, gdzie stał się marzycielem, by nie postradać zmysłów. Kiedy osadzono go na Sand Island, gdzie może nie zginął z rąk japońców, lecz spędził długie tygodnie w wilgoci i błocie, z bronią, przytulony do ziemi, zastanawiając się, co czyni mężczyznę mężczyzną.

Nagle wojna się skończyła. A on przeżył. Matka napisała do niego, że bohaterstwo tkwiło właśnie w tym, że przetrwał. Ale Jacob wcale nie był tego taki pewien.

Tego dnia, kiedy wrócił, ucałował ziemię, uściśnął gubernatorowi dłoń i dostrzegł w tłumie ubraną w wiśniową sukienkę kobietę, która przypatrywała mu się, jakby był czymś, co zgubiła. W tamtej chwili nie pomyślał o żonie Ronalda Smallsa z fotografii. Przyszło mu jedynie do głowy, że pragnie wyciągnąć dłoń i dotknąć jej miedzianych włosów. Nic w tym dziwnego, od tak dawna nie cieszył się względami kobiety. Lecz tej nocy, kiedy leżał na plecach, jego czerwony ząb nadal pulsował tępo, jakby składał się z czystego mięsa, a Jacob potrafił myśleć jedynie o tamtej kobiecie w czerwieni i o tym, że patrzyła na niego, jakby był prawdziwym bohaterem tylko dlatego, że zszedł z pokładu statku. Nawet matka, która w końcu miała trzech innych synów, nie spojrzała tak na niego, kiedy stanął w progu jej domu.

Tej nocy w snach śledził tamtą kobietę i dopiero wówczas przybrała ona kształt żony Ronalda Smallsa ze zdjęcia, którą tak naprawdę była. Jej czerwona sukienka migotała to za rogiem budynku, to za drzwiami. Jacob podążał za nią drogą aż do plaży Coki, tej słynącej z podwodnego prądu i owianej złą sławą połykania ludzi w całości. Kobieta w czerwonej sukience zjawiała się przed nim, mokra, jakby właśnie pływała. Znów poczuł, jak ząb zaczyna mu kruszeć. Otworzył usta i u jej stóp wylądowały muszki.

43.

Anette

Cieszyłam się, że mam Ronalda. Nieważne, że nie chciałam jej ojca. Chodzi o to, że tego dnia, kiedy poszłam zobaczyć powrót chłopaków, widziałam wysokiego i tyczkowatego, co zszedł na ląd, a Ronalda wcale a wcale.

Namorzynowy mężczyzna wyglądał tak, jakbym już go kiedyś kochała. Ukłękł i pocałował ziemię, jak gdyby należała do niego. A ja chciałam być tą ziemią, rozumiecie?

Rozdziawione usta Eeony gapią się na mnie, kiedy ogłaszam rozwód. Zostawiam więc Ronaldę i lecę do domu matki Gertie, gdzie Gertie nadal mieszka. Pukam do drzwi i mówię przyjaciółce co i jak już od progu.

– Nie jesteś pierwsza ani ostatnia – mówi Gertie. – Przynajmniej mąż ci nie umarł. Przynajmniej to twój wybór. Przynajmniej w ogóle wyszłaś za mąż.

Gertie połała dwa kieliszeczki nalewki z jagód Guava z kryształowej karafki, mimo że do Gwiazdki było jeszcze daleko. Piłyśmy, aż nie mogłyśmy na siebie patrzeć, żeby się nie śmiać. Wierzgałam nogami w powietrzu, kiedy Gertie parodiowała poważny charakter Ronniego. Zachłystywałam się własnym śmiechem, a potem nagle wybuchałam płaczem.

– Och, Gertie. Nie nabijaj się z człowieka – mówię z głową położoną na własnych udach. – To nie jego wina.

Jeszcze tego samego dnia wynoszę się z domu pani Smalls i zabieram z powrotem do Eeony, gdzie mieszkałam wcześniej. Kiedy zaczynam się pakować, pani Smalls mówi mi: „Zawsze myślałaś, że jesteś od niego lepsza”. To nieprawda. Tak naprawdę to Ronnie jest za dobry, ale jak mam to wytłumaczyć? Ta kobieta po prostu umyła ręce i powiedziała, że nie chce mnie znać.

Dzień po tym, jak statek zawinął do portu, ten sam mężczyzna, którego widziałam, jak schodzi z pokładu, jest na okładce gazety. No, proszę, proszę! Uderzam się dłonią w czoło, przecież to młodszy brat Saula. Ten, co gra na pianinie. Kupuję gazetę i wycinam zdjęcie człowieka wymieniającego uścisk dłoni z gubernatorem. Kiedy wracam do domu po wizycie z Ronaldą u jej babci, Eeona siedzi przy naszym stoliczku, ściskając w palcach wycinek z prasy. Macha mi nim przed twarzą jak płachtą na byka.

– Skąd to się tu wzięło?

Cmokta ustami, kiedy mówię jej, że to nic takiego. W życiu nie widziałam, żeby siostra tak cmokała. To nie przystoi damie, a Eeona zawsze zgrywa damę. Krzywię się i wyjaśniam:

– To tylko brat kolegi z klasy.

– Lepiej, żebyś знаła go tylko od tej strony – mówi.

Ale ja myślę sobie, że to jej dziwactwo, to, co nazywa epizodami. Doszłam już do tego, że najlepiej nie zwracać na nią wtedy uwagi. Poza tym, co ja tam wiem o tym gościu? Nic a nic. Przestaję o tym myśleć i jeszcze tego samego dnia idę do biblioteki wypożyczyć na godzinę maszynę do pisania. Piszę list, że chcę rozwodu. Jedna kopia dla Ronniego, druga dla sądu.

Musiały minąć ze dwa tygodnie, zanim Ronald przyплыł na Saint Thomas. Ale się spóźnił. Poszedł szukać mnie u swojej matki. Ona mówi mu, że odeszłam

z domu i odeszłam od niego. Ronald zjawia się w naszym mieszkaniu z kapeluszem w dłoni, jakby znów się zalecał. Całuję go w policzek jak siostrę, jedną ręką podaję mu córkę, drugą list.

Przyjmuje zarówno dziecko, jak i list, jakby to była kara, na którą zasługuje, co mnie cieszy, bo ułatwia całą sprawę. Ale kiedy wychodzi, znajduję list na ulicy, nieruszony, tak jakby położył go tam na sekundkę, żeby zawiązać sznurówki. Posłuchajcie no tylko, przekazałam Ronniemu list rozwodowy. Nieważne, co jeszcze paskudnego w przyszłości wykombinuję. Jesteśmy Amerykanami, nie potrzebuję pozwolenia męża, żeby go zostawić. Jestem kobietą niezależną.

44.

Eeona

Byłam przeciwna nie tyle rozwodowi, co temu, by Anette pozostawała niezamężna. Powinnam powiedzieć jej: „Nie ufaj swoim emocjom”. Powinnam powiedzieć: „Nie kochaj siebie za bardzo, bo jeszcze możesz zakochać się w nieodpowiednim mężczyźnie”. Ale nic takiego jej nie powiedziałam.

Kiedy Anette zdradziła mi swoje zamiary, wybiegła z pokoju z resztką rękawiczek mamy. Nigdy więcej nie ujrzałam tej koronki. Uniknęła mojej prostej magii. Zamiast tego przed sobą miałam Ronaldę. Dziecko właśnie nauczyło się siadać. Wpatruje się we mnie swoimi ogromnymi, pełnymi nadziei oczami, które przypominają wzrok Anette o poranku, kiedy zmarła nasza matka.

Nazajutrz zobaczyłam twarz mego ojca spozierającą na mnie z gazety. Nazwisko nie pasowało, ale nadal podejrzewałam, że ten żołnierz to nasz brat. Chyba wystarczająco wyraźnie wyjaśniłam Anette moją wzdargę, jak mniemam, choć nigdy do końca nie pojęłam ostrzeżenia mamy, by uważać. Wiem za to, że nazwisko Bradshaw dość już straciło na znaczeniu. Jak bardzo nasza reputacja zatonie, gdy wyjawię, że mój ojciec był z kobietą, co parała się *obeah*? Do tego kobietą zameżną? Potrzebowałam nazwiska. Kochałam i szanowałam mężczyznę, który mi to nazwisko nadał.

Przed wyjazdem zamierzałam zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby nie dopuścić do rozwodu Anette. Musicie jednak pojąć powagę sytuacji. Rodzina potrafi być jak kotwica. Kotwica może cię uwiązać. Ale kotwica może też pociągnąć cię za sobą i zatopić twój statek.

45.

Anette

Matce Gertie wydaje się, że nadal jestem porządną mężatką, więc nie robi rabanu, że Gertie chodzi ze mną na tańce do szkoły katolickiej. Zostawiam Ronaldę u Eeony, mówię jej, że idę z Gertie tylko dla towarzystwa. Jeszcze się nie rozpadało. Czuć tylko zapach deszczu, świeże powietrze, które jakiś głupek

mógłby wziąć za nadzieję czy nowy początek. Patrzcie tylko, wojna się skończyła. No i mimo tego, że potańcówkę urządzili przy kościele, kiedy przekraczamy z Gertie próg, Jeppesson zaczyna od głupkowatego calypso.

W tancbudzie nie ma piaskuna. Nawet miesiąc nie minął, od kiedy jego statek przybił do brzegu, i mimo że mam przecucie, że przyjdzie, ale tak naprawdę w to nie wierzę. Nie tak prędko. Zamiast tego zjawia się Saul, tańczy i dolewa rumu do coca-coli, tak jak podpowiada mu tekst piosenki calypso. Saul zawsze jest skory do psot, w końcu to McKenzie. Nudna już jest ta cała gadka, że Saul stawia budynki tylko po to, żeby wiedzieć, jak zakraść się za panem domu do środka, a potem czmychnąć z mieszkania tak, by żona niczego nie podejrzewała. Tak, Saul zawsze był cioteczką.

Zapiszcie sobie w pamięci, że zdecydowałam się na rozwód, zanim poznałam Jacoba. Jacob nie miał zamiaru rozbijać rodziny, a przynajmniej jeszcze nie teraz. „Plotki roznoszą się lotem błyskawicy” – jak śpiewają w piosenkach o miłości. Jacob mnie nie ukraść. Postarajcie się zapamiętać, tamtej nocy nie miałam na palcu obrączki. Zapłaciłam za rozwód ze swoich pieniędzy, które zarobiłam u aptekarza. Gadam wszystkim, żeby od teraz mówili do mnie: „Panienko Bradshaw”. Nie przyszedł na potańcówkę dlatego, że szukałam mężczyzny. Byłam tam z Gertie. Ani trochę nie chciałam zrobić dobrego wrażenia. Taka jest prawda. Koniec kropka. A że pragnęłam mężczyzny, który złapie mnie i mocno ściśnie, będzie wielbić jak grubego złotego cielca. Nie mogłam wybić sobie z głowy tego, co zszedł na ląd i ucałował ziemię. Ale w uszach szumi mi nadal ostrzeżenie siostry, że mam być damą. Eeona myśli, że sam rozwód to już wystarczający powód do wstydu, nie chce, żebym jeszcze się z tym obnosiła. Nie uczesałam więc włosów, nic podobnego. Mam buty na płaskiej podeszwie. Nałożyłam tylko odrobinę jasnej szminki na usta.

„Rum i co-caaa-co-la”. Jeppesson śpiewał, a Saul McKenzie polewał rum. Znałam tę nutę z piosenki Lorda Invadera, płynącą z trzaskiem z radia. Dopiero później dotarło do nas, że Yankee Andrews Sisters ukradły ten kawałek. No ale nikt nie wścieka się na Amerykanów, bo Ameryka wygrała wojnę. Karaiby to rum, Ameryka to coca-cola, a Wyspy Dziewicze to i jedno, i drugie, więc słodko, słodziej, najslodziej. Amerykanie nie okopali się jeszcze we własnych szkołach i nie urządzili sobie w East End sypialni, jakby to była mała Ameryka, nie popijali w fikuśnych barach i nie grali tylko swojej muzyki. Jeszcze tak nie było. Za moich czasów zdawało się, że Amerykanie naprawdę przyplływali na wyspę, żeby z nami być. Człowieku, tej nocy czułam, że coś wisi w powietrzu, ale jestem pewna, że to tylko radość z bycia po zwycięskiej stronie. Szczęście z powodu bycia Amerykaninem.

Patrzcie na mnie. Kręcę się po potańcówce. Ucinam sobie z każdym pogawędkę. Kiedy pytają o Ronniego, jestem przygotowana. Uśmiecham się

i macham ręką. „Ma się dobrze. Rozwiedzimy się, ale wiesz, ma się dobrze”. Nie chcę wyznawać tego po cichu, jakby to był wstyd. Nie chcę pełnych litości spojrzeń. Wiem, że myśli mają moc. Chcę ogłosić rozwód, a potem tańczyć. Nie dam nikomu szansy, by choćby na moment zaświtało mu w głowie, żeby mi współczuć. Niektóre kobiety, co przyszły tu z mężami, patrzą na mnie tak, jakbym im zaimponowała.

Jestem na potańcówce i czuję, że mężczyzna nadchodzi, tak jak czuje się z balkonu wilgoć nadchodzącego deszczu, zresztą sama już nie wiem, co podpowiada mi przecucie. Wygraliśmy wojnę! Jesteśmy zwycięzcami! Wydaje się, że to, co czuję, to patriotyzm, ale teraz wiem już, że miłość do mężczyzny i miłość do kraju, za który walczy, to może być jedno i to samo. W piosence o rumie i coca-coli śpiewają o chłopcach z amerykańskiego wojska, co pokochali miejscowe brzoskwinki. A ja wiem, że brzoskwinka i ja jeszcze doczekamy się swojego amerykańskiego chłopca.

Słuchajcie uważnie. Chodziłam z Saulem McKenziem do tej samej klasy. Wiedziałam, że ma gromadkę braci, ale nigdy nie byłam jedną z dziewczyn, co wzdychały do McKenziego. Saul jest przystojny i zabawny, ale niezły z niego matoł. Poza tym okazuje się, że jemu w głowie tylko romanse z innymi mężczyznami. Tańczyłam z nim chwilę i raz po raz naprowadzałam go, żeby wskoczył znów w dobry rytm. „Rum i co-caaa-co-la!” – śpiewam mu ten kawałek do ucha, żebyśmy nie wpadali w rytm deszczu czy czego on tam słucha. Gertie tańczy z pierwszym gościem, który porwał ją na parkiet.

Tej nocy piosenka podpowiada nam, że powinniśmy omdlewać, kiedy usłyszymy nucenie Binga Crosby’ego, więc wraz ze wszystkimi dziewczętami przykładamy wierzch dłoni do czoła i udajemy, że lekko się chwiejemy. Piosenka mówi o miłości tropików, na co chichoczymy, bo wiemy, że tylko my, wyspiarskie dziewczęta, potrafimy dać taką miłość. Nawet jeśli nie mamy jeszcze pojęcia, że miłość to miłość, koniec kropka. Przemierzyłam i przetańczyłam całą salę, w końcu siadam. Szukam wzrokiem Gertie, bo nie widzę, gdzie zniknęła, a jej matka kazała mi zrobić znak krzyża i przyrzec, że będę jej pilnować. Nie przeżegnałam się po katolicku, ale mimo to wyglądam Gertie.

Band robi sobie przerwę, ale mam nadzieję, że Jeppesson puści jeszcze raz piosenkę o coca-coli, mimo że tej nocy leciała już trzy razy, kto to słyszał. Lord Invader z Trynidadu zamierza zdobyć szturmem Nowy Jork swoim calypso, co go na Saint Thomas nie znamy, bo z radia zalewa nas fala amerykańskich kawałków o Karaibach i utworów z Indii Zachodnich o Ameryce, a nam wszystkim się wydaje, że to prosta droga, żebyśmy stali się tacy sami. Tego wieczoru uwielbiam tę piosenkę, bo uwielbiam się bawić poza domem matki Ronniego i uwielbiam być jedyną wyspiarską brzoskwinką. Ale Jep już tego nie gra. Następnym razem usłyszę tę melodię dopiero lata później, w cuchnącym Gull Reef Clubie. To wtedy

kazali trzem białym piosenkarkom nagrać ten kawałek, tak jakby to była ich piosenka, wtedy też zdaliśmy sobie sprawę, że Lord Invader, najeźdźca, sam doświadczył podjazdu.

Ale teraz na ławce obok mnie siada mężczyzna. Kiedy to robi, drewno ugina się pod jego ciężarem, a ja podskakuję. To deszcz musiał go tu zapędzić, bo gdy czuję, jak ławka przyjmuje obciążenie, słyszę krople bębniące o dach. W szkole uczą tylko do szóstej klasy, więc ławki są niskie; dla mnie – idealnie, ale on jest za wysoki. Wygląda głupkowato z podwiniętymi pod brodę nogami. Nie ma na sobie munduru, ale jego skóra przybiera kolor złocistego piasku. To on.

Co mnie podkuśiło, żeby do niego zagadać? Nie wiem. Może to ta bezczelna piosenka dodała mi odwagi. Jezusie, nie mogę kłamać. Znam moc, którą mam. Wiem, że jestem niebezpieczna. Odzywam się więc, ale po hiszpańsku: *Anegando en mis llanto*. Tonę we łzach. *Anegando* – powtarzam. Tonę.

To portorykańskie bolero, które rządziło w radiu ze dwa lata temu. Domyślałam się, że mężczyzna nie zna tej piosenki, bo nie było go wtedy w okolicy. Bolera nie są już modne, teraz chcemy tylko amerykańskiej nuty. Ale przypomniałam to sobie, bo ten człowiek ma złocistą jak piasek skórę, a do tego na zewnątrz pada dziś tak, jakby nadciągał potop. Mówię to, wpatrując się w dekolt własnej sukni. Wtedy dociera do mnie, że zwracam na siebie uwagę. Po tych wszystkich tańcach wystaje mi biustonosz, a rękaw zsunął się i odsłania ramię.

– Anegada? – pyta mężczyzna, jakby potrzebował objaśnienia.

I gdy to mówi, pierwszy raz się do mnie odzywa, wyciąga jednocześnie rękę, żeby poprawić mi górę sukienki. Tak jakby już mnie znał.

Słyszymy, jak deszcz pada, kap, kap, kap, a potem szaleje już na dobre, jakby morze zalewało nas falą. Nie odpowiadam na pytanie piaskuna o Anegadę ani o tonięcie we łzach, ale i tak zdaje się, jakby czuł, co mówię. Ja za to czuję na sobie jego palce jeszcze długo po tym, jak przestały mnie dotykać. Ma dłonie wojaka. Twarde i zręczne. To też dłonie pianisty. Długie i zdolne. Mężczyzna spogląda na Jeppessona, jakby znali się od dawna z ciągnących się w nieskończoność dni babiego lata, a Jeppesson podłapuje sugestię i jego band zaczyna nową piosenkę. Nie słyszałam jej wcześniej, ale teraz, za każdym razem, jak wpada mi w ucho, nawet pod koniec życia, wstrzymuję oddech, jakbym dała nura pod wodę. To kawałek Irvinga Berlina *They say it's wonderful*. Może to magia, a może Bóg albo dobre wycucie czasu lub przeznaczenie – w końcu to i tak jeden pies. Mężczyzna wstaje, a ja idę za nim na parkiet, jakbym już była jego.

Nigdy nie powiedziałabym, że to prawdziwy McKenzie, bo potrafi tańczyć. Trzyma mnie za rękę, łapie mnie w talię tymi swoimi dłońmi i prowadzi nas ku muzyce. Zachowuje się przyzwoicie, nie tak jak dzisiejsza młodzież przepadająca za macankami, że hula-hoop. Stajemy mocno na nogach. „Wiem, że wspaniale jest

się zakochać” – miło zaśpiewuje Jeppesson, a mężczyzna kieruje mną swoimi rękami. Gertie zjawia się i szepcze mi do ucha, że ulatnia się z jakimś chłopakiem, a ja tylko przytakuje, nawet nie odwracając się w jej stronę.

Z początku mężczyzna nie spytał mnie o imię. Pamiętam. Zapamiętałam to, ponieważ wszystko było takie cudowne i dziwne. Najpierw zapytał: „Istniejesz naprawdę?”. Podoba mi się, że zaczyna mnie pytaniem, ale bez arogancji. Choć jego pytania są odważne.

Tańczymy, a on obejmuje moją dłoń swoją i przyciska sobie do piersi. Mówię: „Uszczypnij mnie, to zobaczysz, czy jestem prawdziwa”. Szczypie mnie lekko w ramię swoimi muzykalnymi palcami. Mam przeczucie, że to, co się teraz dzieje, to magia i niebezpieczeństwo, a nie po prostu zbieg okoliczności. Nie tylko muzyka czy padający deszcz. To wcale nie przypadek.

– Cóż, nazywam się Jacob McKenzie. Odprowadzę cię dziś do domu.

Jego głos nie brzmi wojowniczo. Nie brzmi też jak słowa kogoś pokonanego, a tak właśnie mówił zawsze Ronnie, nawet przed wojną, jeszcze przed tym, kiedy złożyłam wniosek o rozwód. Głos Jacoba przypomina grę na pianinie, białą koszulę guayabera i hibiskus w dłoni.

Odchylam głowę raz po raz, żeby spojrzeć mężczyźnie w twarz.

– Mów mi Nettie.

Podaję mu ksywkę. Nikt tak do mnie nie mówi, ale zabrzmiało to prawdziwie na sto dwa. Staję prosto i wpatruję się w jego pierś. Zaczynam w myślach mówić do jego serca: „Otwórz się. Bądź mnie zawsze pełne”. I zanim jeszcze kończę myśl, Jacob McKenzie wypowiada do mnie na głos te słowa: „Czy początek miłości nie jest wspaniały?”. A ja przytakuje. Tak, mimo że nigdy wcześniej nie byłam zakochana. Mimo że właśnie wyjął te słowa śpiewającemu Jeppessonowi z ust. Ale przytakuje, bo też się tak czuję. Piosenka zbliża się do końca, melodia klawiszy pianina opada jak mżawka. Jest mi głupio. Ale chcę się czuć głupio przy tym mężczyźnie.

Naprawdę nigdy wcześniej nie byłam ptaszyną lecącą na Jacoba McKenziego. W szkole był dwie klasy wyżej, mimo że urodziliśmy się w tym samym roku. To jeden z braci Saula, którego zobaczyłam kiedyś w kronice, jak gra na pianinie. Ale potem poszedł na wojnę i wrócił jako mężczyzna. I był mężczyzną mojego życia.

Deszcz zelżał, ale zanim Jeppesson zdążył zacząć zmienić nutę na The King Cole Trio, zjawił się woźny z miotłą w rękę, gotów zamieść całą imprezę. Wszyscy schodzą mu z drogi, chłopaki wołają: „Daj spokój, grubasku, jeszcze jedna piosenka!”. Ale woźny nie zwraca na nas uwagi, idzie na drugą stronę tancbudy, wyłącza światło i rzuca w ciemność: „Koniec tańców!”. A potem to zapala, to gasi światło, które błyska jak w czasie burzy, aż wszyscy się stamtąd nie zmyjemy.

Przed szkołą Jacob trzyma się blisko mnie. Stoimy w deszczu. Podchodzi do

nas jego brat Saul i mówi do Jacoba:

– Posłuchaj no, traktuj Anette, jak należy. To moja koleżanka z klasy.

Jacob przytakuje, tak jakby to był rozkaz. Potem Saul odzywa się do mnie:

– Anette, ten młody człowiek to mój mały braciszek. Lepiej daj mu popalić.

Potem odwraca się na pięcie i zostawia nas. Pamiętam to, bo to aprobata, której nigdy nie dostaliśmy od matki Jacoba ani od mojej siostry.

Według piosenki księżyc nad nami ma być cudowny, ale czy ja wiem? Czy prowadziła nas jasna gwiazda? Nie pamiętam. Jest doskonale, ale to taka doskonałość, której nie sposób wyjaśnić. Słyszę, że zza otwartych drzwi płynie merengue. Błąkaliśmy się po tylnych i bocznych uliczkach, więc mimo że mieszkam najwyżej pięć minut od szkoły katolickiej, nasz spacer trwał dobre pół godziny. Tak jakby nawet czas nie istniał naprawdę.

Skęciliśmy do Savan, gdzie u stóp wzgórza, w małej ruderce na parterze, mieściło się mieszkanie moje i Eeony. Wiatr rozwiewał zasłony. W łóżeczku spała moja córeczka. Wcześniej nie zdawałam sobie sprawy, że jeśli ktoś stanie u szczytu ulicy, może się pochylić i zajrzeć przez okno do naszej sypialni. RONALDA wyciąga przed siebie ręce, jakby po coś sięgała, nogi kuli do brzuszka, jest w takim wieku, że już to potrafi.

Przywykłam, że mężczyźni głośno komentują urodę Eeony. Ale tuż obok jest moja córka. W samej pieluszcze. Jej niespokojne piękno krążące po orbicie, jakby zaraz miało wylądować. Odwracam się do Jacoba, bo nie jestem pewna, czy wie, że patrzy na moją córkę. Pragnę wskoczyć przez okno i ją zakryć, twardo rościć sobie do niej prawo. Powiedzcie: „Moja”. Miałam ochotę ogłosić, że jeśli chce mnie, musi chcieć także ją. Ale Jacob po prostu obraca się do mnie i mówi: „Tak”. Zupełnie jakbym zadała mu pytanie. „Tak”.

Mówię wam, w tej samej chwili objęłam jego twarz dłońmi. Tuż obok leży moja córeczka, ja jeszcze nie do końca się rozwiódłam, a w głowie śpiewa mi Irving Berlin. Całuję Jacoba. Pocałunek przenika całe moje ciało, aż czuję go niczym bicie serca w podbiciu stóp.

Nikt wówczas nie zwykł zamykać domu na klucz, więc po prostu otwieram drzwi do mieszkania. Zanim wejść do środka, odwracam się i widzę Jacoba, jak stoi u podnóża wzniesienia. Patrzy na mnie, jakby był moim aniołem stróżem albo moim ojcem. Potem krzyczy prosto w noc: „Miłość jest wspaniała!”. Zachowuje się dokładnie tak samo, jak zapowiedzieli w piosence. W odpowiedzi pieje kogut. A ja wiem. Wiem, że już po mnie. Rzucam się do mieszkania i zamykam drzwi. Opieram się o nie i mogłabym przysiąc, że czuję, jak pulsują. Jakby w budynku był ocean i wdierał się falami do środka.

To zbyt szalone i zbyt szybkie, żeby było miłością. Ale to miłość. Tak jak w kinie, tyle że naprawdę. Takie rzeczy się zdarzają, mówię wam. Nie zawsze wokół płynie muzyka, no chyba że ta jedna piosenka, co ci w sercu gra. Ludzie

mogą potrzebować siebie nawzajem jak wody. To może być wspaniałe.

Eeona, czekająca w ciemnym mieszkaniu, przecina ciszę niczym maczetą.

– Późno pani wraca, pani Smalls.

Ale ze mnie już żadna pani Smalls.

* Ten i inne cytaty biblijne zaczerpnięto z Biblii Tysiąclecia. Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki.

Eeony nie było, by nawinać włosy Anette na kołowrotek i odciągnąć ją od mężczyzny, kiedy ten całował ziemię po zejściu z pokładu na ląd czy gdy na potańcówce rozmawiali o Anegadzie i tonięciu. Eeony tam zabrakło. A nawet gdyby się tam zjawiała, co niby miałyby powiedzieć do Anette? Ten człowiek to syn naszego ojca. Ten mężczyzna to twój brat. Eeona nie zebrałaby się na odwagę, żeby to zrobić. To i tak nic nie znaczyło. Nie powinno nic znaczyć. Skąd Eeona miała wiedzieć, że w tym kotle aż zawrze? Zdażyła się utwierdzić w przekonaniu, że takie grzeszne występki to tylko jej domena.

Oddajmy Eeonie sprawiedliwość. Rano, po nocy, kiedy Anette wróciła z tamtych tańców z Gertie, Eeona miała zamiar zwrócić bilet do Nowego Jorku. Nie wiedziała, że tamtego wieczoru Anette poznała Jacoba Esau na potańcówce. Eeona chciała postąpić właściwie, na litość boską. Odłoży swój wyjazd. Opóźni nadejście swej wolności. Zostanie na Saint Thomas jeszcze chwilę i zapobiegnie rozwodowi Anette. Ale wtedy jak grom z jasnego nieba spadł McKenzie. Kolejny McKenzie. McKenzie należący do Rebekah. McKenzie Eeony. Cholerny McKenzie, który lata temu miał zniknąć w lesie deszczowym.

My, zabobonniczki, wiemy, że piękno kobiety nie leży tylko w jej wyglądzie. Jej władza tkwi w tym, jak unosi się na powierzchni morza. W sposobie, w jaki stawia stopy na ziemi. Eeona zawsze była piękną kobietą. Ale nagle ów mężczyzna przyplłynął na hydroplanie. Zważcie na to, jakie to wszystko oczywiste. Samolot to środek transportu. Samolot ma kapitana. Samolot niczym się nie różni od statku. A hydroplan, cóż, to coś więcej niż statek. Mężczyzna miał tyle lat, ile dziś liczyłby sobie Owen Arthur. Zdażyła ich połączyć ta sama historia, obaj kochali tę samą kobietę. Ów człowiek był mężem Rebekah. Formalnie rzecz biorąc, nadal jest mężem Rebekah.

Biały statek wycieczkowy rozsiadł się w zatoce niczym tłusty bogacz, jakby tylko czekał na Eeonę. Odpływa za tydzień. Eeona minęła zbawczy okręt i nie zdradziła się nawet jednym spojrzeniem. Szła zwrócić bilet, otrzymać zwrot zapłaty. Ale gdy była blisko dworca morskiego, gdzie sprzedawano bilety, zastała tam grupkę gapiów. Nie przyszli wsiąść na statek, przyszli po coś lepszego. Z Portoryko przylatywał hydroplan albo poduszkowiec, czy jak to się tam nazywa. Gdy nadleciał, mógł wystartować z wód Saint Thomas, wzbić się raz jeszcze w powietrze, a potem wybrać na miejsce lądowania wody nabrzeżne Saint Croix. Saint Croix! Anette miała trafić do tamtejszego sierocińca, ale zamiast tego roztrwonila pieniądze Eeony i zachorowała. W życiu nie słyszano, by ktoś z Bradshawów kiedykolwiek widział Saint Croix. Nawet kapitan Bradshaw nie miał okazji. Historia działa się teraz, a Eeona była jej świadkiem.

W porcie każdemu pasażerowi hydroplanu kazano stanąć na wadze. Pewna

dama ze stoickim spokojem przytrzymała dłonią kapelusz na głowie, mimo że nie wiało. Wymizerniały młodzieniec posyłał tłumowi promienny uśmiech, tak jakby to on wynalazł podróż w przestworzach. Gdy waga dobijała do maksymalnej liczby funtów, resztę podróżnych zawracano. Eeona czekała na otwarcie okienka kasy transatlantyku i zwrot kosztów podróży, obserwując wybraną szóstkę, jak wpatruje się w horyzont. Ona też zapatrzyła się w linię horyzontu, gdy hydroplan stawał się najpierw punktem, potem ptakiem, a na końcu maszyną chodzącą po wodzie jak Jezus. Hydroplan zawył, z pluskiem opadając na wody nabrzeża. Dama w kapeluszu zapomniała na chwilę o pilnowaniu nakrycia głowy, które wzbiło się w powietrze jak podniebny stwór. Kobieta pozwoliła mu odlecieć, a jej włosy wzburzyły się jak obłok wokół jej głowy. Silnik maszyny zamilkł. Gdy otworzyły się drzwi, młody człowiek począł powoli się wycofywać, kurczowo przyciskając skórzaną torbę do piersi.

Kiedy rozpoczęto wpuszczanie na pokład, żadne słowa perswazji nie zdołały przekonać młodzieńca, który teraz przypominał przerażonego chłopca, żeby wsiadł do hydroplanu. Potrzeba było jeszcze jednej osoby, by zrównoważyć obciążenie. Eeona stała na czele tłumu, ponieważ tłum zachowywał się w jej obecności tak samo jak woda: rozstępował się przed nią.

– Ostatnie wezwanie na Freedom City – ryknął kontroler biletów.

Freedom – wolność – tak nazywano miasto na Saint Croix. Wolność była tym, czego Eeona pragnęła. Można się domyślić, co stało się później.

Eeona podniosła rękę. Włosy miała upięte w bezpieczny kok. Jasnobłękitna sukienka była lekko przyfastrygowana jedynie w talii i pod biustem. Jej piękno zdawało się zachwycające, nieprzerażające. Mężczyzna odpowiedzialny za sprawdzenie biletów skinął na nią. Eeona nie miała żadnego bagażu. Torba podróżna do Ameryki leżała spakowana już od paru tygodni z tyłu szafy w ich mieszkaniu. Teraz Eeona podała kontrolerowi bilet do Nowego Jorku. Kosztował pięciokrotność przejazdu hydroplanem. Mężczyzna przyjął świstek jako zapłatę za Freedom City. Ot tak, po prostu.

Eeona usiadła z tyłu hydroplanu, odpowiadało jej to, ponieważ mogła patrzeć, jak pozostali pasażerowie to przywierali do okien, to odsuwali się od nich w zależności od odwagi. Bujała w obłokach. Tak bardzo przywodziło jej to na myśl przebywanie na pokładzie statku ojca. Tyle że tym razem miała przepłynąć ponad oceanem. Tak jak w snach. Gdy wzbili się w przestworza, obróciła głowę ku Frenchtown i nawet się nad tym nie zastanawiając, szukała wzrokiem Nadmorskiej Willi. Stała tam, w dole, właścicielami byli majętni Amerykanie. Oczywiście nigdy nie spłonęła. Eeona powiedziała tak małej Anette, żeby dziewczynka nie chciała się tam z powrotem zadomowić. Willę zamieniono w pensjonat, tak przynajmniej Eeona słyszała. Wpatrywała się w dawny dom, skupiając na nim wzrok, jakby budynek był okiem byka, a ona strzałą, mogącą poszybować w sam jego środek.

Wtedy hydroplan zatoczył łuk. Eeona zobaczyła plażę Lindbergh Bay, gdzie Amerykanin, Charles Lindbergh, postawił swoją stopę i zostawił własne imię. Potem Eeona obserwowała, jak Saint Thomas tonie w oddali.

Nie opuszczała wyspy, od kiedy była małą dziewczynką. Kiedy jeszcze jej ojciec żył. Nie widziała Nadmorskiej Willi od dnia, w którym z niej odeszła. Obserwowali teraz, jak Saint Croix przebija się przez poszycie horyzontu. Jeden z pasażerów zaczął przekrzykiwać ryk silnika: „Patrzcie, moja wyspa! A niech mnie, a niech mnie kule biją!”.

Eeonie wyspa przypominała plecy mężczyzny z głową pod wodą. Na zboczu niewysokiego klifu dostrzegła wznoszący się niczym posiniaczony guz ośmioboczny dom. Lecz gdy zniknął z pola widzenia, spieniona woda uderzała w szybę – hydroplan sunął po wodzie. Eeona dotknęła twarzy i odkryła, że szłocha.

Gdy Eeona opuściła pokład, stał tam jej McKenzie. Leciał tym samym hydroplanem, ale w kokpicie, dlatego wcześniej go nie zauważyła. Wyglądał na białego, ale każdy wyspiarz poznałby, że nim nie jest.

Powie jej, że jest z Anegady, ponieważ to samo mówi każdemu. To kłamstwo, ale dla Eeony to kłamstwo idealne. Powie jej, iż jest kapitanem hydroplanu. I to prawda. Do tego prawda dla Eeony idealna.

47.

Tego poranka po potańcówce Eeona uwolniła się więc od wyspy. Ale tego samego ranka Anette tkwiła nadal w ich mieszkaniu. Dopiero się budzi, ponieważ mała RONALDA muska jej twarz. Anette jest taka zmęczona po wczorajszych tańcach. Ale budzi się z uśmiechem, bo przecież poznała Jacoba.

48.

Jeszcze jedna rzecz wydarzyła się o poranku po potańcówce. Jacob Esau powiedział matce przy śniadaniu, że poznał Anette Bradshaw. Na tę wieść włosy matki, ścięte tuż pod uchem, bo wszyscy jej synowie zaczęli dojrzewać, stanęły dęba, jakby w czaszce ukrywała gniazdo węży. Syknęła na Jacoba. Język wydłużył się do granic możliwości, a ona tupnęła nogą jak rumak. Mimo że syn się przestraszył, zachował na tyle trzeźwości umysłu, by stwierdzić, że zrobiła to bardzo wprawnie.

I wtedy Jacob przypomniał sobie widok kopyta. Przywołał w pamięci człowieka, z którym tańczył, gdy matka grała na pianinie. Przypomniał sobie także, że wydawała się wtedy szczęśliwsza, niż kiedykolwiek była i kiedykolwiek będzie. A teraz, już dorosły, wstał, odwrócił się do matki plecami i powiedział: „To się nie dzieje naprawdę”, co stanowiło nieco przewrotną wersję pytania, które zadał Nettie. A kiedy Jacob odwrócił się, jego matka z powrotem była tylko matką, powiedziała do niego spokojnie, wyciągając ręce w geście pojednania: „Tylko nie

ta dziewczyna”.

Tego wieczoru nie przyprowadził więc Anette, by poznała jego matkę – nigdy tego nie zrobi – ale wyobraził sobie, że ich miłość przeradza się w coś żywego, coś, co można powąchać, czego można dotknąć, posmakować. A kiedy wgryzał się w tę miłość, była słodka jak kandyzowane wiśnie, które matka słała mu podczas studiów w Howardzie. Tej nocy Jacob, leżąc w łóżku, sięgnął po tę miłość, lecz zamiast niej napotkał śpiącego brata. Ale Saul, głęboko pogrążony w snach o lękach przyporowych i półkach z książkami prowadzących do sekretnych pokoi, nie pozwolił, by nachalne palce brata zakłóciły mu sen. Jacob rzucił się na swoją miłość jak na ucztę. Wciąż podawano kolejne dania, aż w końcu ugryzł kandyzowaną pestkę i znów miał sen o zębach chwiejących się jeden po drugim. Zęby zgrzytały mu w buzi, szczękały o siebie jak malutkie muszelki, wypełniając usta dzwonieniem. Tym razem nie chciał ich wypluwać, bo nie było kobiety, której mógłby je dać. Zamiast tego się obudził.

Ubrał się i wyszedł z domu. Minał matkę, która siedziała na leżance w ciemności i odprowadzała go wzrokiem. Przeszedł obok kozy, meczącej na każdego przechodnia. Zostawił za sobą duży mangowiec, który obradzał jedynie w grzyb. Wdrapał się na wzgórze. I w środku nocy zajrzał przez okno. Okiennice stały otworem, mógł więc przyjrzeć się obliczu śpiącej obok córki. Nigdzie nie było śladu po starszej siostrze. Sięgnął dłonią przez okno i odgarnął jej kosmyk włosów z twarzy. Zauważył, że w tym świetle odrosty są rude. Powiedział na głos: „Kocham cię, Nettie”. Ta kobieta uratuje mu duszę, a bycie uratowanym to nie taki zły powód, żeby kochać. Powód lepszy od wielu innych. Chciał opowiedzieć jej o swoich snach: o wykruszających się zębach, krowim kopycie, strachach samotności i szarych oczach papy, który z nim tańczył.

Musnął palcami czoło Anette, a ona otworzyła oczy. Pomyślała, że widzi mężczyznę o skórze koloru piasku z księżycem za plecami.

– Nie pozwól mi odejść – powiedziała, jakby rzucała zaklęcie. Potem uśmiechnęła się przez sen, ponieważ rzucony urok oznaczał, że od teraz zawsze będzie posiadana. A dla dziewczyny, która została osierocona, to nie był zły powód, by się zakochać. Lepszy od wielu innych.

Kiedy Jacob McKenzie szedł do domu, nie myślał już dłużej o swoim prawdziwym ojcu, który był także ojcem Anette, kapitanem morskim i który wiedział, że magia istnieje naprawdę. Jacob wiedział za to tylko tyle, że pragnie tej kobiety – i co więcej, chce, żeby ona też go pragnęła, szanowała, by poznała go jako mężczyznę.

Kiedy Anette obudziła się nazajutrz rano, wiedziała, że dla tego mężczyzny odłoży godność na bok.

Nie wszyscy w pełni rozumieli ich rozpoznanie.

Matka czekała na niego w domu, ale tej nocy już tam nie wrócił. Wiedział,

że jest na tyle zła, by rzucić urok, sprawić, że Fred zmarszczy mu się jak dżdżownica, że serce zacznie pompować mu wodę. Zamiast tego poszedł do szynkownej pijalni, prowadzonej przez dwóch byłych żołnierzy amerykańskich. Usiadł przed wolnym pianinem i rzucił w przestrzeń:

– Jestem weteranem. Upijcie mnie.

Zaczął grać coś smutnego i wtedy zdał sobie sprawę, że matka nauczyła go tylko smutnych piosenek. Mimo tego przygrywał dalej, barman polewał mu wodę ognistą, a alkohol lał się tak długo, jak sączyła się muzyka.

49.

W akcie urodzenia Jacoba Esau w rubryce „ojciec” wielkimi, grubymi literami wpisano „Benjamin McKenzie”. Ale Benjamin McKenzie już od dawna nie używał tego imienia. Teraz nazywał się Kweku Prideux. Kiedy Kweku po raz pierwszy ujrzał Eeonę Bradshaw, siedział w portowej kantine w Freedom City na Saint Croix. Wciąż miał na sobie mundur kapitana hydroplanu Powsen Passenger. Eeona zatrzymała się, żeby kupić krakersy w puszcze. Nie wiedziała, co robi ani co robi. Ale była spokojna i opanowana, wszyscy postrzegali ją jako kobietę, która wylądowała w miejscu, do którego należy. Wszyscy poza Kweku. On widział w niej oschłą i surową osobę. Włosy miała zaczesane do tyłu, sterczące na przekór, dziwnie powyginane jak gałęzie. Chodziła sztywna i wyprostowana, jakby zamiast kręgosłupa miała pień drzewa. Nie widział tego, co widzieli inni ludzie. Nie dostrzegął jej piękna. Rzucone na niego zaklęcie *obeah* odarło go nie tyle z życia, co z miłości. A to tak naprawdę jedno i to samo. Kweku miał przed oczami wyłącznie błotnistą cerę Eeony, bo życie padało na nią jak nieprzerwana struga deszczu.

Nie szła w jego kierunku, ale chodziła własnymi ścieżkami. Idąc, rozpięła guzik bluzki. Było jej gorąco. Wsiadając na pokład hydroplanu, zrobiła coś szalonego i nieustraszonego.

Kweku wstał, kiedy przechodziła obok. Stanął jej na drodze nie dlatego, że chciał ją wykorzystać, jeszcze nie teraz, ale dlatego, iż ją rozpoznał. Cóż, nie do końca. Poznał, kim jest. Zbiegiem. Tak jak on. Była kobietą, która uciekała od rodziny albo od siebie, albo od wyspy. Bez różnicy. Odezwała się do niego bez wahania i śmiało:

– Czy mogę tu wypożyczyć osła albo czy mógłby pan wskazać mi drogę do pensjonatu przystojącego damie?

– Osła? – spytał, gotów się roześmiać, lecz tego nie zrobił. – Taka staromodna z pani damulka, co wciąż jeździ na osle? Witamy w Freedom City na Saint Croix, na Wyspach Dziewiczych Stanów Zjednoczonych. Podrzucę panią samochodem.

Ponieważ była końcówka lat czterdziestych dwudziestego wieku

i mężczyzna nadal miał na sobie mundur kapitana, Eeona mu zaufała. A z racji tego, że ona wydawała mu się rzeczą, którą jako mężczyzna był nauczony zdobywać, oraz ponieważ próbował zdobyć Rebekah i nie udało mu się, postanowił zabrać Eeone i już nigdy jej nie oddawać.

Przedstawiła się jako Eeona Bradshaw i mimo że jego krajanie pochodzili z Saint Thomas, mimo że wiedział, co oznaczało pochodzenie z rodu Bradshawów – sam był rozchwytywanym McKenziem, więc nazwisko nie robiło na nim żadnego wrażenia. On przedstawił się jako Kweku Prideux. Imię pochodziło z Afryki Zachodniej, ale tego Eeona nie wiedziała, nie знаła jego źródła. Nazwisko było francuskie i Eeona dokładnie wiedziała, co oznacza: człowiek morza czy coś takiego.

Tak czy inaczej, wszystko poszło jak z płatka.

Eeona przeżyła pierwszy lot samolotem i pierwszą przejażdżkę autem tego samego dnia. Magii było więcej niż wystarczająco. Na ziemi Saint Croix poczuła, że to ląd spieszy ku niej, nie ona ku lądowi. Jak ściana, na której można się oprzeć. Jak ojciec, który potrafi dać wsparcie. Mężczyzna obok przypatrywał się jej, gdy wnikała w arterie Freedom City.

Zajęła miejsce pasażera, a on prowadził swojego bardzo przyjemnego srebrnego chevy'ego, kupionego na kredyt. Podczas jazdy Eeona stwierdziła, że Saint Croix może być czymś w rodzaju Anegady. Albo może Anegada jest pewnym rodzajem Saint Croix. Obie wyspy stworzone z koralu i szczerości. Obie wyspy oddzielone od swoich dziewiczych sióstr cieśniną Anegada Passage. No i tak piękne. Takie nieodkryte. Miejsce, gdzie można być piękną i gdzie nikt nie będzie cię musiał do końca poznać.

Widziała z nieba kształt wyspy i ocean oblewający wszystkie zatoki. Kiedy hydroplan opuszczał Saint Thomas, Eeona dostrzegła nawet Nadmorską Willę, ale pierwszy dom, który zobaczyła na Saint Croix, to ten o ośmiu bokach. Okazało się, że to dom Kweku. Każdy dałby się złapać na tę przynętę. To zabawne, jak działa wolność.

Kim tak w ogóle był Benjamin McKenzie? Mężczyzną, który nie potrafił podsycić w żonie miłości. Człowiekiem, którego żona przyprawiła mu rogi i spłodziła syna z kapitanem statku. Facetem, który nie mógł bić żony jak tłuczkiem o moździerz, ponieważ była kobietą, co mogła być zarówno tłuczkiem, jak i moździerzem, a nawet ucieranymi solą i pieprzem. Zostawił więc Rebekah swoje zdjęcie na ścianie i zostawił ich synów bez ojca. Pozbawił się miana Benjamina McKenziego z Solberg na Saint Thomas. Teraz nazywał się Kweku Prideux i był z Anegady, mimo że nigdy nie postawił tam stopy. Ale mieszkańcom Saint Croix atol wydawał się tak odległy, a jego ludność tak daleka, że każdy z Saint Croix mógł twierdzić, że pochodzi z Anegady, bo na wyspie i tak nigdy nie znalazł się żaden prawdziwy Anegadyjczyk, by z pełnym przekonaniem móc orzec, że jest

inaczej. Był człowiekiem, który by dostać licencję pilota hydroplanu, skłamał na temat swojego pochodzenia i edukacji. Był kłamcą, nikiem innym.

Minęły dziesiątki lat, od kiedy ktoś ostatnio nazwał go Benjaminem. Prawie wcale nie przypominał tamtego mężczyzny. Benjamin zginął w lesie deszczowym Saint Croix, mimo że Rebekah miała na myśli las deszczowy Portoryko. Ale jej zaklęcie nie spełniło się pod wieloma względami. Benjamin McKenzie może i zniknął, ale na jego miejsce pojawił się Kweku Prideux. I to Kweku był pierwszym mężczyzną, który dostrzegł w pełni, kim była Eeona, i nie przestraszył się tego. No cóż, po prawdzie – był drugim. Owen Arthur miał prawo pierwszeństwa.

Bądźmy szczerzy: ten nowy człowiek stał się mitem.

Jego ośmioboczny dom był schludny, lecz tylko dlatego, że był taki duży i pusty. W kątach stały skrzynie, a na parapecie butelki rumu. Wiadra i puszki służyły za stoły i szafy na ubrania. W nocy dom obrastał pajęczynami. Można by pomyśleć, że Kweku Prideux jeszcze nie zamieszkał w swoim domu na wzgórzu, na skraju pięknego kawałka ziemi.

To nie sierociniec, ale równie dobrze mógł nim być. Eeona przekroczyła próg domu Kweku, domu, gdzie będzie żyć i gdzie umrze jej godność, choć tak naprawdę ona nigdy tu nie zamieszka. Rozejrzała się dookoła, a potem spojrzała w górę.

– A niech mnie, wszędzie są pajęczyny!

– Pająki zjadają komary. Boisz się?

Mieszał dla niej ciepły rum z coca-colą, on też słyszał tę piosenkę. Nie było dziś lodu w kostkach, bo nie było dziś w domu prądu – pojawił się i zniknął. Kweku nie zapłacił rachunku i wcale tego nie potrzebował.

Eeona, która miała trzydzieści parę lat, nadal w pewnych kwestiach zachowywała się jak dziecko. Dziś przepelniała ją magia. Skąd mogła wiedzieć, że magia może człowieka napełnić, a potem przelać się i zostawić go wyschniętego na wiór?

– Na suficie są tylko pajęczyny – zauważyła. – Ani jednego pająka, panie Prideux.

Jego nazwisko już zdążyło wpaść jej w ucho. Czy nie miło byłoby słyszeć je po własnym imieniu? Sączyła ciepłego drinka. Wiedziała, że Kweku nie był człowiekiem czystej europejskiej krwi. Nie mówił jak Europejczyk. Ale prędko puściła to uprzedzenie w niepamięć, ponieważ wyglądał tak znajomo. Wszystko było takie znajome. Poza tym stał tu ogromny dom, można by go nazwać willą, otaczała go spora połać ziemi i oblewało przepastne morze.

Drink skleił jej język jak melasa. Przyzwoita Eeona w życiu nie piła jeszcze rumu z colą. Nie chadzała na potańcówki i nie знаła piosenki, którą ukradną piosenkarki z Andrews Sisters. Ale drink był dobry, wypić ją już do połowy,

zanim on zdążył sobie nalać.

– Znajomi mówią na mnie Kweku.

– Póki co powinnam się do pana zwracać per panie Prideux – powiedziała Eeona, bowiem miała świadomość potęgi słów. – Tak wolę.

– Dobrze. Proszę tak do mnie mówić.

Powiedział to z takim autorytetem w głosie, że Eeona wiedziała, iż jakimś sposobem odebrał jej nieco władzy. Wpatrywał się w nią, jedno oko lekko mu uciekało, więc nie mogła być pewna, czy patrzy na nią, czy ponad nią, a może prosto przez nią.

Zaprowadził ją na balkon przez ogromne, ukryte przeszklone drzwi. Ocean się otworzył. Morska bryza była jak osiem macek delikatnie obmacujących jej guziki. Spojrzała na ocean, poczuła się rozgrzana i pokonana. Może była nieco wstawiona. Może się zakochała. Jaka to zresztą różnica? Była wolna.

Kweku Prideux z łatwością zdjął z Eeony ubranie.

To było niebezpieczne z wielu powodów.

Znajdowali się na balkonie, na wzgórzu wychodzącym na ocean. Saint Croix nie obfitowało w pagórki, a jednak trafili na jeden z nich. I mimo że Kweku nadal miał na sobie spodnie i koszulę, a w dłoni trzymał szklaneczkę rumu, ona nagle stała tam zupełnie naga. Było tam też srebro, którego nie widział nikt z żyjących prócz Kweku i pana Barry'ego.

Czuła, że srebro opływa wilgocią. Przeczuwała z nagłym rozdarciem, że może to wcale nie jej piękno, lecz właśnie to srebro stanowiło jej magię. Ten napawający strachem srebrny sekret, który Prideux ujął teraz całą dłonią, tak jakby mógł wyrwać kawałek skarbu i go przehandlować.

Na wzgórzu stał jeszcze jeden dom, mniejszy, lecz niezbyt oddalony. Zza krzaków dobiegał stłumiony gwar rozmów, podczas gdy Kweku zaciągnął Eeone niczym na wędce na balkon. Ci ludzie mogli ich szpiegować: niezamężny mężczyzna i nieprzyzwoita kobieta tak na widoku.

W oddali był także ocean. Miał kolor stali, ale poruszał się i tylko czekał, by pochłonąć w całości to, co do niego wpadnie.

Usta Kweku ssały ją tam, gdzie lśniła jak klejnot. Czuła się tak, jakby wysysał z niej krew. Wstrzymała oddech i patrzyła, jak jej diament błyszczący mu tuż przy ustach.

Pierwszy raz pocałowano jej srebro na statku, tamtym mężczyzną był jej ojciec. Teraz przypominała sobie, że ową magię czuła najpierw jako brak tchu w piersiach, zaburzenie rytmu oddychania, czego nie potrafiła kontrolować. Potem eksplodowała, odchyłała głowę za barierkę, włosy wiły się ku morzu, gdy krzyczała, a zamieszkujące ją anioły lub demony wypływały z niej niczym oliwa po udach. Teraz zdawał się obejmować ją ramionami i nogami, nawet gdy się w niej zagłębiał i spokojnie sączył drinka. Całe jej ciało było w tej chwili

naprężone. Cały jej umysł przełączył się na tryb przetrwania.

Znów raz po raz ocierała się plecami o wąską barierkę. Obrócił jej głowę na bok, żeby móc połączyć jej ramię rumem z colą, a potem to z niej zlizać. Dostrzegła zza krzaków, Chryste Panie, sąsiedni balkon. Inną parę, mężczyznę i kobietę, napierających na siebie jak załamujące się fale. Kobieta patrzyła na nią, miała grymas na twarzy, stała zwrócona nagimi plecami do odzianego w koszulę brzucha mężczyzny.

Wtedy właśnie Eeona zdała sobie sprawę, że wciąż nie zdjęła butów. Drapnęła Kweku obcasem po plecach, a on w odpowiedzi uwolnił ją z objęć. Nie widział, żeby uderzyła w morze. Nawet nie wypadła przez balkon. Zamiast tego miętosili się na balkonowej podłodze. Szklanka brzękała jej nad twarzą i głową.

– Łóżko – szepnęła, choć nie miała zamiaru szeptać. Chciała tego zażądać, powiedzieć to z pełną mocą. Odkasznęła, ale jej głos nadal przypominał szept, cichszy, niż się o to posądzała. – Prideux, chcę do pańskiej sypialni.

Podniósł ją, jakby była pozbawiona ciała, ukazując gęsty dywan ciemnych włosów, wyzierających zza kołnierzyka koszuli. To owłosienie obudzi jej wstręt, o ile już tego nie zrobiło. Ale teraz on niesie ją na materac na podłodze, który będzie ich.

50.

Anette

Słuchajcie uważnie. Mam dar przewidywania powitań, ale nie pożegnań. Nie wiem więc, co mam o tym myśleć. Mojej siostry nie ma już cały dzień i całą noc. Zostawiła spakowaną torbę w szafie w sypialni, jakby zaplanowała tę przygodę, ale zapomniała bagażu. Zastanawiam się, czy to nie ja ją przegoniłam swoimi myślami. Jestem pewna, że miała mnie już po dziurki w nosie. Ale prawdę mówiąc, własny kąt spadł mi jak z nieba, bo Jacob mieszka z matką, a ta kobieta potrafi dosolić. Poza tym Eeona zawsze wariacko trajkotała o tym, jak to pragnie wolności. Wstała i się wyniosła – to do niej podobne. Sama Eeona mówiła, że mama robiła tak podczas epizodów. Marzyła, a potem uciekała, ot tak.

W porządku, przyznaję się bez bicia, że przez minione dwa dni wcale a wcale nie szukałam siostry, aż zaczęły napływać plotki. Najpierw ktoś widział, jak wskoczyła do wody na nabrzeżu i popłynęła na Saint Croix. Potem inny widział, jak idzie między groby Western Cemetery, wykopuje dół i rzuca się do niego, jakby była nasionem. Inni gadają, że poszła do dawnej Nadmorskiej Willi, do miejsca, co spłonęło dawno temu, według tego, co w kółko powtarzała mi Eeona. Mówią, że przebiegła obok pracujących Francuzików i goszczących tam turystów, a potem wyskoczyła z balkonu willi. Nasłucham się różnych kwiatków. Ludzie złączą się pod moje okna i pukają do drzwi tylko po to, żeby sprzedać mi te śmiercionośne historie. Tak jakby śmierć płynęła w żyłach naszej rodziny.

Wpada mi do głowy, że nawet nie wiem, z kim Eeona się przyjaźni. Nie jestem pewna, czy w ogóle ma przyjaciół. Idę do pana Barry'ego do Hospitality Lounge, ale kiedy mówię, że straciłam siostrę, ten rosły gość wybuchając płaczem i oznajmia, że też ją stracił.

Mówię wam, nie mogłam zrobić nic a nic. Miałam Ronaldę na głowie. Mimo że Ronald od czasu do czasu pomaga mi jej pilnować i mimo tego, że nadal mi słodzi, jakbym mogła jeszcze zmienić zdanie i na powrót być jego żoną. Ale ja mam kogoś jeszcze. Mam Jacoba.

Pierwszy raz spotykamy się na potańcówce tamtego piątkowego wieczoru. W sobotę zjawia się pod moim oknem we śnie jak piaskun z amerykańskiej piosenki. W niedzielę idziemy całą trójką – Jacob, ja i Ronald – aż do Magens Bay, na plażę w kształcie serca. Trzymam Ronaldę, a Jacob niesie torby, koc, przekąski na lunch i książki. Po chwili niesie też małą, a bagaże zarzuca sobie na plecy. Moje dziecko, które wygląda przed światem na jego dziecko, bardzo mu pasuje. Jakbyśmy do niego należały. Nuci po drodze pod nosem. Podśpiewuje Irvinga Berlina.

Niech no tylko wam coś powiem. Był taki młody i szczęśliwy, będąc zwykłym facetem śniącym o bogactwie. Teraz to już bogacz. Pieniądze to potrafią. Uczynić z człowieka skąpca i złośliwca. Ale wtedy, kiedy zaginął tatuś McKenzie, był niemal biedny i miał wszystko w nosie.

Gdy mijamy skrzyżowanie po drodze do Magens Bay, Jacob odbija na Brown Estate. Idę dalej, trzymając teraz Ronaldę, która obraca głowę, żeby zobaczyć, gdzie zniknął piaskun. Jacob wymyka się i mówi, że zaraz wróci. Kiedy zjawia się z powrotem, dzierży w ręce bukiet kwiatów plumerii, jakby po prostu spadły z nieba. Podsuwa wiązankę Ronaldzie, z której jeszcze dzieciak, ale przecież potrafi sięgnąć po coś rączką, a kiedy to robi, chwytą tylko jednego kwiatka, jednego jedyne. Zawsze była taka – nie wiedziała, czy coś jej się należy. Wtedy mój piaskun obsypuje mnie kwieciami i mówi:

– Pada na ciebie deszcz kwiatów z nieba.

– A może to ty obsypujesz mnie kwiatami? – pytam.

Idziemy dalej, płatki opadają mi na ramiona.

– Wiesz, jaka jesteś śliczna? – mówi, tak jakby była na to odpowiedź.

Wiem, że żadna tam ze mnie ślicznotka, ale spodobało mi się to, co powiedział.

– Zawsze przynos mi kwiaty – mówię, zdejmując płatek z języka.

– Zawsze będę przynosił ci kwiaty.

Podnosi wypluty płatek i bierze go do ust, jakbyśmy odprawiali na sobie nawzajem *obeah*.

Zabrałam na plażę książki do nauki, bo staram się o posadę nauczycielki historii, mimo że wiem, iż nie chcą zatrudnić rozwódki. I tak się zaczytuję, no bo

nigdy nie wiadomo. Tego poranka obudziłam się, a mężczyzna o skórze koloru piasku siedział mi w głowie. Postanowiłam, że nie chcę znać przyszłości. Znajomość przyszłości ją rujnuje. Mam do tego dar, ale już dłużej go nie chcę. Chcę za to znać przeszłość. Z tego, co mi wiadomo, to jeszcze nikogo nie zrujnowało.

Kiedy ja się uczę, Jacob buduje z Ronaldą fort z piasku. Każe jej się czołgać po całym forcie, a kiedy kończą zabawę, cieszy się, gdy ona burzy fortyfikację.

– To wróg – ryczy. – A ty jesteś bohaterką! – wrzeszczy, jakby byli na wojnie, a on został dowódcą.

Później, kiedy przytulamy się w wodzie, szepcze: „To jeszcze jeden sposób, żeby cię kochać” i wskazuje brodą śpiącą na kocyku na piasku Ronaldę. Wiem, co ma na myśli. Że będzie kochać moje dziecko, bo kocha mnie. I wydaje mi się, że to mężczyzna, co zna miłość. Taką miłość, co mówi: „Bądź przy mnie zawsze”.

Wyjmuje słoik kandyzowanych wiśni, żebyśmy zjedli je na plaży. Nie znoszę ich, ale biorę jedną czy dwie, w końcu to prezent, który przyniósł. Kiedy widzi, że mi nie smakują, śmieje się i odkłada je na bok. Mówi: „Nigdy więcej ich nie przyniosę. Ty będziesz moją wisienką”. I wtedy mnie całuje. Ssie moje wargi w pocałunku, który jest czymś więcej niż pocałunkiem, to zachłanność, stosunek języków, które całkiem dobrze sobie radzą. Wiem, że jestem słodka. Wiem, że do niego należę. Wcale nie udaję, kiedy tak mocno go obejmuję.

Dopiero po tym pierwszym dniu na plaży, kiedy Jacob wychodzi, a ja wślizguję się do łóżka obok mojej śpiącej córeczki, zauważam leżący tam biustonosz Eeony. Miseczki wznoszą się i zaokrąglają jak pagórki. Przyprawia mnie to o dziwaczne uczucie. Jakby kiedyś leżała tu kobieta, tyle że nagle zniknęła, zostawiając po sobie tylko piersi w łóżku. I wtedy na powrót przypominam sobie, że moja siostra zaginęła. Wstaję, by zwinąć biustonosz, żeby mnie nie prześladował. Ale kiedy wciskam go pod zapasowe prześcieradło, widzę plan podróży do Ameryki. Statek zawija do portu na Portoryko, potem do Santo Domingo, a później płynie do Nowego Jorku. Nie znajduję żadnego biletu, więc dodaję dwa do dwóch. Eeona popłynęła do Ameryki w pogoni za marzeniami jak mama.

Powiem wam, że jeśli o mnie chodzi, to wszystko gra. Od kiedy zostawiłam Ronalda, Eeona nie dawała mi ani chwili spokoju. Chcę zachować coś dla siebie. Sekret. Prawdę mówiąc, nawet wam nie mówię wszystkiego.

51.

To, czego Anette nie mówi – i nie powie tego nigdy – dotyczy tego, co zaszło między nią a Jacobem Esau tydzień później. Była noc, to bardzo istotne. Słońce już zaszło. Moskity zbiły się w rój i odleciały. W mieście, na niewysokim wzgórzu Savan, młoda kobieta, która nigdy nie poznała ojca i ledwie pamiętała

matkę, kołysała własne dziecko do snu.

Anette usiadła u wezglowia łóżka, gdzie mogła oprzeć się o parapet i cicho nucić do siebie: „Panie piaskunie, ześlij mi sen”. Guziki bluzki miała rozpięte, ale widziała stąd ulicę i zdołałaby dostrzec, gdyby ktoś się zbliżał. Poza tym pogasiła światła w domu, więc nikt nie mógł zobaczyć, że przy oknie siedzi jakaś kobieta, no chyba że stanąłby z nią twarzą w twarz. Anette wciągnęła bryzę w płuca i pomyślała o tym, jak zapłaci czynsz bez połowy wkładu Eeony. Już i tak chodzi z niepofarbowaną głową o wiele dłużej, niż przyzwoitość pozwala. Rudość odrostów zaczynała rzucać się w oczy. Ale przecież Anette da sobie radę. To oznaczało, że będzie musiała odmówić sobie nowej wyjściowej sukienki. Ufarbuje włosy sama w domu. Spyta w aptece, czy może zostawiać Ronaldę na zapleczu. Może nawet będzie musiała poprosić Ronniego albo jego matkę, by pomagali jej więcej.

Piaskun szedł teraz ulicą, nucąc pod nosem. Podśpiewywał sobie cicho, ale Anette wiedziała co, bo to była ich piosenka. Zapięła guziki koszuli, kiedy z ciemności ulicy dobiegło: „To ja”. Zsunęła się z łóżka i podeszła do drzwi.

– Po coś tu przyszedł? – spytała, mrużąc oczy i wydymając usta, przez co wyglądała, jakby dokładnie wiedziała, po co się tu zjawiał.

– Po ciebie – powiedział, wyciągając dłoń i odgarniając jej kosmyk włosów z czoła. – Jestem tu po ciebie.

Przez chwilę stali w progu, aż Anette usłyszała kichnięcie sąsiada, więc wpuściła Jacoba do środka, by zniknął ciekawskim z zasięgu wzroku.

– To niestosowne, że tu jesteś – powiedziała, choć wcale nie miała zamiaru się tym przejmować.

– Nie zostanę tu. Zabieram cię ze sobą.

– Chyba oszalałeś. Gdzie mamy się włóczyć o tej porze? Ronaldka już zasnęła.

– To tajemnica.

Anette uśmiechnęła się i czekała.

On uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Nettie, jako porządna kobieta z Indii Zachodnich powinnaś zaproponować mi poczęstunek i napitek.

– Cóż, panie porządnicki, nie ma tu nic do jedzenia ani do picia. Poza tym w gorącej wodzie pan kąpany, że przychodzi tu po dziewiątej wieczór w poszukiwaniu poczęstunku.

– Chodźmy więc stąd.

– Poniesiesz Ronaldę?

– Poniosę i ciebie, jeśli będzie trzeba.

Przerzucił dziecko przez ramię. Nadal była mała i lekka, wciąż nie stanowiła ciężaru. Anette miała na sobie ciemną sukienkę i jasną szminkę. Było zbyt późno

i cała sprawa za bardzo zakrawała na niedorzeczność, ale szła tam, gdzie on jej kazał. Mieli ze sobą tylko małą płócienną torbę, którą trzymała w ręku. Gdy tylko jej ją podał, z wprawą przejrzała zawartość: prześcieradło, butelka wody i nic więcej.

Wyszli z miasta w milczącą ciemność.

– Tutaj się urodziłam – powiedziała, kiedy mijali drogę wiodącą w dół do Frenchtown, mimo że nigdy wcześniej nikomu o tym nie mówiła.

– Nie wiedziałem, że płynie w tobie francuska krew.

Nie mógł widzieć wyrazu jej twarzy, ale usłyszał, jak krótko i ostro się roześmiała, a potem zamknęła sobie usta, by stłumić głos.

– Żadna ze mnie Francuzeczka – powiedziała przekornym szeptem. – Po prostu tu się urodziłam. Nie szłam tą drogą, od kiedy się wyprowadziliśmy.

– Nawet po to, żeby zobaczyć radiostację?

– Ani razu. Teraz znasz mój rodzinny sekret – powiedziała.

– No cóż, Nettie, pozwól, że powiem ci coś, czego o mnie nie wiesz.

– Słucham.

– Umiem grać na pianinie.

– Ale to już wiem.

– Naprawdę? W porządku. W takim razie mój ulubiony kolor to czerwony.

– Tak łatwo cię rozgryźć? To też wiem.

– No to mnie znasz.

– Spróbuj jeszcze raz. Zaciągnąłeś mnie z dzieckiem w sam środek ciemnej nocy i prowadzisz Bóg wie gdzie. Lepiej daj mi jakiś porządny sekret, zanim zacznę krzyczeć.

Przed wojną Jacob pewnie sypałby głupotami jak z rękawa. Może zdradziłby jej, że na drugie ma Esau. Ale nie zrobił tego. Jego drugie imię zdawało się czymś trywialnym, choć wcale trywialne nie było ani dla niego, ani dla niej. W zamian powiedział jej coś, czego nie mówił nawet sam sobie.

– Pragnąłem cię, od kiedy cię ujrzałem w Nowym Orleanie.

– Posłuchaj, szaleńcu. Wyszłam z tobą w środku nocy. Trzymasz w ramionach moje dziecko. Nie gadaj mi tu, że pomyliłeś mnie z jakąś babką z Ameryki.

– Nie, Nettie. Kumpel z wojska nosił w kieszeni twoje zdjęcie. Brał je zawsze ze sobą.

Anette pomyślała o niemądrym Ronniem, który obnosił się z jej fotografią. Wyobraziła sobie obu mężczyzn, jak przyglądają się jej twarzy i czują, jakby dla niej warto było żyć. Ta myśl była słodka. Ale wydawała się także bardzo powierzchowna. Czy Jacob lubił ją tylko z powodu zdjęcia? Czy on nie spodobał jej się przez fotografię w kronice i wycinek z gazety? Anette i Jacob szli dalej, księżyc wisiał nad nimi, ale nie było oczywiste, gdzie poniosą ich nogi.

– Raz – mówił – dotknąłem fotografii.

Urwał i zatrzymali się. Dotarli na odludną plażę. Anette wiedziała, że inna kobieta na jej miejscu bałaby się. Albo to był poważny błąd, albo to mężczyzna jej życia – że te dwie sprawy mogą być jednym i tym samym, nie przyszło jej do głowy.

– To było tak, jakbym mógł dotknąć twojej twarzy – ciągnął Jacob. – I kiedy wszedłem do tamtej restauracji, gotów ich wszystkich powystrzelać, zrobiłem to dla ciebie. To znaczy zrobiłem to dla siebie. Kląłem się nawet na swoją matkę. Ale zdobyłem się na to jedynie dla dziewczyny, którą miałem kiedyś pokochać. Wiedziałem, że jesteś żoną Ronalda. Ale jakimś cudem byłaś też moją dziewczyną.

Położyli Ronaldę na prześcieradle na piasku. Kręciła się nieco, bo od oceanu wiała bryza. Jacob zdjął sweter i przykrył dziecko. Teraz miał na sobie tylko biały podkoszulek, którego blask bił od niego jak luna. Usiedli na prześcieradle, Jacob objął Anette i razem spoglądali daleko w morze. Znaleźli się na plaży Lindbergh Bay, gdzie Amerykanie postawią hotel, bo niedaleko stąd do nowego lotniska. Ale na razie nie ma tu żadnego hotelu, tylko kawałek dalej przy drodze stoi hangar samolotowy marynarki wojennej. Fale bujały się rytmicznie, jakby nuciły kołysankę. Drzewa szeleściły liśćmi, jakby szeptały. Plaża mówiła i śpiewała.

– Przeżyłem wojnę – odezwał się cicho Jacob. – Mówią, że być może czeka nas kolejna. Ale tym razem nie planuję się na nią wybierać.

– A co planujesz?

– Nas. Ciebie i mnie. To w związku z tobą mam plany.

Ronolda zdążyła już mocno zasnąć. Jacob zdjął spodnie i bezgłośnie zsunął buty. Anette wyskoczyła z bluzki i spódnicy, i halki.

– Umiesz pływać? – spytał Jacob, kiedy wchodzili do wody.

Anette nie spojrzała na niego, bo nie podobała jej się własna odpowiedź.

– Nigdy się nie nauczyłam.

– Złap się moich ramion – powiedział Jacob, gdy stali po pas w zimnej wodzie.

Jego ramiona rozświetlała mieniąca się poświata fosforyzującego planktonu. Miał dłonie zwrócone ku górze, oznaczało to, że będzie jej dotykał. Bez wątpienia. Bała się. Było za ciemno. Kto wie, co kryje się w wodzie. Co złapie ją za kostkę i pociągnie na sam środek morza. Woda była zimna.

– Dasz radę – powiedział. – Obiecuję – dodał z takim samym przekonaniem, z jakim położył na niej swoje dłonie.

Tak właściwie to nie wiedział, dlaczego powiedział coś tak zarozumiałego i głupiego. Coś, za co nie mógł ręczyć. Ale Anette złapała się jego ramion, jego dłonie wylądowały na jej brzuchu. Poczuł, jak ona sztywnieje i wydaje z siebie okrzyk, który jednak prędko zdusiła. Szaleńczo uderzała stopami, ale nie niezdarnie, z wielkim pluskiem, jak jego wyspiarscy koledzy z wojska, gdy

próbował nauczyć ich pływać.

– Kop – powiedział jej, ale trzymała nogi pod wodą. – Mocniej – polecił.

Poczuł, że pod jej naporem traci równowagę. Wtedy znieruchomiała.

– Jest za ciemno, nic nie widzę – stwierdziła.

– To nic – odparł. – Nie musisz widzieć, żeby pływać. Wyciągnij przed siebie ręce, one będą patrzeć za ciebie. Stał i zademonstrował jej to w powietrzu. Potem przykucnął i pokazał jej, jak ramiona powinny powoli przecinać wodę. – I pluskaj mocniej – powiedział, bo tak właśnie go nauczono.

– Ale plusk obudzi dziecko. Ściągnie tu rekiny.

Uśmiechnął się i objął ją rękoma w pasie.

– Rekiny nie podpływają w nocy.

Czy to prawda? Nie wiedział. Może utoną razem. Ale nie myślał o rekinach ani o dziecku porzuconym na piasku. Myślał, że pragnie i nie dostaje tego, czego chce. Sądził, że powinien ochłonąć i odpuszczyć, ale nie miał zamiaru odpuszczać.

– Jeszcze jedna próba – powiedział.

Anette poczuła, jak piasek pod jej stopami wzbiera i opada jak fale. Nie lubiła stać w wodzie, kiedy nie widziała dna. I wtedy, tak jakby niebo czytało jej w myślach, chmury rozstały się i ukazały księżyc, tak jasny, jak to tylko było możliwe. Teraz Anette widziała piasek pod stopami. Widziała srebro malutkich rybek.

– Tym razem chwyć mnie w pasie – polecił.

I kiedy to zrobiła, jej dłonie znalazły się blisko miejsca, gdzie był on. Mogła wyobrazić sobie jego gruby zarys w mokrych szortach Jacoba. Kiedy podniosła jedną, a potem drugą stopę, nie dała już rady zachować wyprostowanych rąk. Musiała je przykurczyć, ale wciąż go obejmowała i teraz jej twarz była tuż przy jego brzuchu. Wtedy mogła go poczuć. Szorstkie włosy. Zapowiedź. Ścieżka powitania. Jej policzek przy owłosieniu, które zostawi na jej twarzy odcisk.

– Spróbujmy inaczej – powiedział.

Tym razem przytrzymał ją w talii, a ona rozluźniła ramiona w wodzie. Uspokoiła nogi. Tak mocno uderzała stopami, a jednak prawie wcale się nie poruszała. Jak w zwolnionym tempie. Jakby utknęła. Poczła dłonie Jacoba na swojej kibici. Podnoszące ją ku górze. Podtrzymujące ją. A ona dalej próbowała.

Parła wciąż, lecz nagle nogi jej osłabły, tak ciężkie, jak gdyby już nigdy miały się nie unieść. Znów to samo. Wtedy on cofnął się nieco, odrzucony siłą jej starań, dzięki czemu udało jej się podnieść nogi odrobinę wyżej. Po chwili zorientowali się, że unosi się na powierzchni dlatego, że podpływa do niego, kiedy on się cofa. A może to ona napierała, a on po prostu nigdy nie odchodził zbyt daleko? Warto to dobrze przemyśleć, ale przyjdzie jeszcze na to pora. Na razie ona uczy się pływać, a on jest jej nauczycielem.

Niedługo potem poszukała palcem stopy dna, ale go nie wyczuła. Zamiast

poddać się głębokości, obróciła się, by spojrzeć na dziecko, tak jak zrobiłaby to każda matka w obliczu śmierci. Ale wtedy poczuła, że on nie obejmuje jej już rękami, i wiedziała, że płynie sama. Spojrzała na Jacoba. On jeszcze wyczuwał dno w tym miejscu i mógł ją teraz szybko objąć w talii.

– Trzymam cię – zapewnił.

Zarzuciła mu ramiona na szyję, a nogi oplótła w pasie. Cieszył się, że ma piasek pod nogami, w przeciwnym razie pociągnęłaby ich pod wodę.

– Pływasz – powiedział.

– Pływam – odparła.

Tak jakby to była magia, którą jej podarował. Ale my, zabobonniczki, wiemy, że to magia jej matki. Ale tego właśnie Jacob i Anette potrzebowali. Rozprostowała ramiona i nogi i podpłynęła kawałek do brzegu. Nagle stanęła, chichocząc cicho i zatykając dłonią usta.

– Nie mogę uwierzyć, że to było takie proste.

Bo to było proste. Prostsze niż dla chłopaków z wojska. Takie łatwe i szybkie. Jak dziecko, które stawia pierwsze kroki, kiedy mama nie patrzy, a potem szokuje całą rodzinę, gdy po prostu wstaje i idzie. Cudowne dziecko. Albo żywy cud.

Zdążyli już złożyć sobie prywatne śluby i zdjąć mokre majtki Anette, zanim RONALDA się obudziła. Zwykle dziecko wstawalo o tej porze, by zmienić mu pieluchę i je nakarmić. Anette wyzwoliła się z objęć Jacoba, powoli rozpięła guziki śpiochów córki i niespiesznie rozwinęła mokry materiał pieluchy. Anette wstała w świetle wielkiej tarczy księżyca, a jej ciało było jak cień padający przed Jacobem. Naga matka i córeczka weszły do morza. Woda była zimna i RONALDA mocno chwyciła się mamy, ale nie zapłakała. Nie była takim dzieckiem.

Anette brnęła dalej, aż RONALDA zanurzyła małą pupkę. Jacob obserwował je z brzegu i wiedział, że to jego życie. Anette zapragnęła go tak prędko, natychmiast uwierzyła w jego miłość. Tak, Jacob otrzymał potwierdzenie. Poczul, jak coś go skręca w środku. Zarezerwował ten honor dla matki i nawet teraz myślał o niej, i choć myśli kotłowały mu się głowie, nadal czuł płonący żar między nogami.

Kiedy Anette wyszła z wody, obie z RONALDĄ drżały jak osiki, ale wokół panowała głucha cisza. Anette i Jacob nie byli pewni, czy tam dalej, na plaży, ktoś nie śpi, nie byli przekonani, czy ktoś nie będzie tędy przechodził, by rozstawić wcześniej stoisko na targu. Ale czuli się prastaro i naturalnie, jakby żyli – tu i teraz – przed czasami amerykanizmu i przed epoką wszelkich -izmów.

Anette położyła swoje mokre ciało obok małego mokrego ciała RONALDY, a Jacob owinał je i siebie prześcieradłem. RONALDA zanurkowała w poszukiwaniu piersi Anette, aż odnalazła nabrzmiały i gotowy sutek. Jacob wygiął się w łuk, żeby pokryć Anette. Zanurkował w nią, aż odnalazł inną gotową nabrzmiałość. Wszystkie ciała splotły się razem.

– Podbij mnie jak kraj – szepnęła Anette.

Nie usłyszał jej, ale nie miało to znaczenia. I tak czuł, że są sobie przyrodzeni.

Fale zmalwały. Księżyc zmalął. Słońce szpiegowало zza horyzontu. Anette trzymała Ronaldę, dziecko trzymało w ustach jej pierś, a Jacob trzymał Anette, jego usta na jej szyi i ramieniu. Anette poczuła wzbierający przypływ i niestosowność faktu, że ma te dwie rzeczy naraz, przy czym wiedziała, że tego chce, bez względu na to, czy to stosowne, czy też nie. Jacob nie ustępował, jedną ręką oparł się na piasku, drugą wędrował ku jej brzuchowi, a gdy go znalazł, odszukał też paluszki małej Ronaldy, piętę jej małej stópki, potem miękką dziecięcą łydkę, wciąż je dotykając i ściskając. Wszystko to było pradawne i dobre, aż słońce nie wychynęło z wody jak grzech albo znak, albo może po prostu jak słońce, które pokazało, że Ronaldka ma otwarte oczy i patrzy. Jacob też otworzył oczy, by móc widzieć, jak dochodzi, i napotkał wzrok Ronaldy patrzący na niego nad ciałem jej matki, i to było właśnie tak, jakby kochał się z nią. Poczul jej delikatną pulchność w dłoni, skończył i nigdy więcej nie spojrzał Ronaldzie w oczy.

Leżeli we trójkę. Anette czuła i wiedziała, że to nie w porządku, ponieważ wszyscy, nawet dziecko i słońce, skąpali się w pożądaniu i miłości. Jacob zebrał się w sobie i ponieważ nadal był mężczyzną o harcie ducha, ubrał je obie. Guziki zapinał niewprawną ręką, ponieważ jako najmłodsze dziecko nigdy wcześniej nikogo nie ubierał.

– Tak zaczyna się nasze prawdziwe życie – rzekł, ponieważ wiedział, że jako mężczyzna to on powinien powiedzieć to pierwszy.

52.

Drugiego dnia o poranku w Freedom City Eeona zobaczyła kępy włosów na plecach Kweku. W końcu podczas ich pierwszego wzięcia się szturmem tylko ona była naga. Owłosienie porastało płatami większość jego grzbietu, co obrzydzało ją przy śniadaniu, a potem przeszywało dreszczykiem emocji, gdy znów zawędrowali na materac. Tak to już z nimi będzie. Podczas uprawiania miłości będzie ciągnąć go za włosy na plecach, aż nie obejmie jej szyi dłońmi, dusząc, aż do uwolnienia się. Ale potem przy śniadaniu ona znów odwróci wzrok, gdy on stanie zwrócony do niej plecami. Resztę ciała miał zwodniczo gładką.

Eeona czuła, że wszystko już postanowione. Zrobi z siebie panią domu na ośmiu nogach, który wspaniałością przewyższy nawet Nadmorską Willę. Eeona zobaczyła cudowny, rosnący dziko na dziedzińcu hibiskus. Teraz musiała jedynie dopowiedzieć resztę w głowie. Piękny dom. Kapitan jako głowa rodziny. I ona – gospodyni.

Ale Kweku nie był zwykłym mężczyzną. Był mężczyzną odrzuconym.

Klatka piersiowa i organ ukrywający się w niej zamknęły się jak opaska brzegowa i żadna słodka woda nie zdołała obalić tego muru. Wcale nie był człowiekiem. Był mitem. Potrafił latać samolotem. Umiał rzucić *obeah* na kobietę. Mógł kraść historie garściami od pani morza.

Po tygodniu pobytu Eeony Kweku zaczął znikać. W niektóre noce wracał do swego pajęczego domu dopiero po zmroku, przekraczał próg, woniejąc rumem i solonym dorszem, a to przecież także zapach seksu.

Był człowiekiem opowieści. Tylko tak potrafił żyć – na językach innych ludzi. Siadywał w pijalni rumu w La Grange i przysłuchiwał się historiom o drugim sobie.

– Słyszałeś o tym gościu z marynarki wojennej z Saint Thomas, który zostawił swoją kobietę, czarownicę *obeah*, uciekł na Portoryko i zabłądził w lesie deszczowym?

– Tak – skinął twierdząco głową. – Człowieku, słyszałem, że zginął na dobre. Ale obito mi się też o uszy, że był dla niej dobry. A zgubił się tylko dlatego, że jego *obeah* żona zbyt go dręczyła.

– Ale, Kweku, gdzieś ty to słyszał? Chyba nie na twojej malutkiej Anegadzie?

– Nawet na Anegadzie dochodzą nas słuchy. Ale nie, zaczekaj. Chyba dość już wypileś.

Żeby podtrzymać przy życiu Kweku Prideux, mitycznego Anansiego, Pana Pajaka, musiał słuchać historii o samym sobie, musiał być awanturnikiem. W ten sposób wcale nie różnił się tak bardzo od innych, którzy niespodziewanie kończyli na ładach obu Ameryk.

Kweku wiedział także, że Eeona może zdradzić jego i jego przedpajęczą historię. Trzymał ją więc z daleka od innych ludzi. Pozwalał jej tylko na wspólne przejażdżki po wiejskiej okolicy. Ubierała się wtedy w coś ładnego, co jej przyniósł. Coś w barwach ziemi, koniec z maryjnym błękitem – chciał być przy niej cały czas podniecony. Kazał jej chodzić boso, żeby nie zawędrowała za daleko, choć powiedział jej, iż to dlatego, że uwielbia jej stopy i chce móc wciąż na nie patrzeć. Wtedy już Eeona mogła chodzić dla niego nawet nago. Była damą, ale była także zakochana. Kiedy wychodził, siadała na swoim krześle, czekając z nogą założoną na nogę – jak bogaczka.

53.

Freedom City na Saint Croix leżało jakieś czterdzieści mil od Charlotte Amalie na Saint Thomas. Do Anegady było dwa razy dalej. Ale wciąż to małe odległości. W końcu Kweku powiedział Eeonie, że jego ojczyzną jest atol. Po kilku tygodniach z Kweku Eeona zaczęła myśleć o ojcu. Ojciec opuszczający pokład statku. Jej własne słowa jak ostrze noża wycelowane w jego brzuch. Ojciec tonący

z miłości do niej.

Eeona nie знаła na Saint Croix żywej duszy. W sąsiedztwie mieszkali Amerykanie, ale nie było okazji ich odwiedzić, poza tym potrzebowałyby po temu zyskać oficjalny status. Musiałaby zostać żoną Kweku, a nie tylko konkubiną. A Kweku wcale tak łatwo się w niej nie zakochał. W przeciwieństwie do tak wielu innych mężczyzn! Czemu tak długo to trwało? Może dała mu zbyt wiele i za wcześnie? Myśl o tym doprowadzała ją do dzikiego szału, sprawiała, że chciała skoczyć z balkonu.

Pierwsza połowa każdego dnia pełna była rozmyślań o ojcu. Pewnego razu spytała papę, czy kiedykolwiek położył usta na mamie tak, jak robił to z nią. Teraz Eeona siedziała sama w dużym domu i wspominała, jak papa popatrzył na nią tak, jakby była dorosłą kobietą, i powiedział: „Nie”. A wtedy ona pomyślała: „To dobrze, jego usta należą do mnie”. Ale on wpatrywał się w nią uporczywie i rzekł: „Ale robiłem to już. Z tą, która mnie tego nauczyła. Rebekah, matką twojego przyrodniego brata, Esau”. To było tak, jakby nie rozprawiali o intymności, lecz dyskutowali o cukrze czy melasie albo interesach. Eeona chciała wtedy zabić Owena Arthura na miejscu. Czy to nie jest jasne, że nic dla niej nie zostanie? Gdzieś tam był syn, który może odziedziczyć ziemię, dom i wszystko należne Eeonie. A jej nie zostanie nawet miłość papieża, bo będzie musiała dzielić się nią nie tylko z mamą, ale też z tą kobietą, Rebekah.

W domu Anansiego, Pana Pajaka, Eeone opętały smutne wspomnienia. Tak naprawdę były to wizje. Papa, który chodzi, aż nie może iść dalej, tylko zapada się i zapada, i tonie w piasku.

Ale czy Kweku Prideux nie był lepszy, najlepszy? Należał tylko do Eeony. Rankami siadywała z długopisem i kartką papieru, które przyniósł jej Prideux. To był jej czas transformacji. Codziennie pisała list do siostry, wyjaśniając, gdzie jest. Zapewniała, że jest szczęśliwa. Że ma dom, chociaż raz po raz snują się w nim pajęczyny. Niedługo wszystko nadejdzie, pisała, niebawem wszystko do niej powróci. Napominała Anette, by unikała Esau, tego mężczyzny z gazety. Mimo dzielącego ich morza Eeona nadal czuwała nad Anette, wciąż dbała o jej bezpieczeństwo.

Eeona dawała listy Prideux, żeby je wysyłał, ale Anette nigdy nie odpisała. Czy Anette ani trochę za nią nie tęskniła? Być może Anette odkryła, że to wina Eeony, iż zostały sierotami. To wina Eeony, że straciły wszystko. Eeona pomyślała o tej winie po raz pierwszy w życiu. Ale ponieważ nadal była Eeoną, nie poświęciła tej myśli zbyt wiele czasu.

Drugą połowę dnia Eeona spędzała na przygotowaniach do przyjścia Prideux. Zamiatła podłogi i zasnuła pajęczynami sufity. Czyściła toalety i parapety na błysk. Potem zaczynała przygotowywać siebie. Zażywała kąpieli w rumie i liściach laurowych. Nacierала ciało balsamem z awokado i deszczówki.

Wmasowywała we włosy odżywkę z galaretki kokosowej. Zajadała się miodem przegryzanym liśćmi mięty. Wszystko to rosło dziko tuż pod domem. Zabiegi zabierały całe godziny, co było dobre, ponieważ czasem Kweku całymi godzinami nie przychodził do domu. Robiła to wszystko dla niego z własnej nieprzymuszonej woli. Jeśli miała szczęście, Kweku trąbił, kiedy przyjeżdżał, klakson ryczał jak zwierzę, a ona wychodziła mu na spotkanie – z nagimi stopami i całą resztą. Wybierali się na przejażdżki. Docierali na sam skraj wyspy. Jeździli na klify. Zapuszczali się do lasu deszczowego, gdzie po raz pierwszy poszedł po rozum do głowy, od kiedy żona się go pozbyła. Kochali się w samochodzie, on tak mocno uciskał jej pierś, że prawie mdlała. Pewnie z miłości, jak się domyślała. Nigdy nie składali innym ludziom wizyt. Nie ma takiej potrzeby – mówił. Mieli przecież siebie. Reszta przyjdzie z czasem. Przyjdzie lada chwila.

Poza tym Kweku cały czas przynosił papier listowy, by mogła pisać wiadomości do Anette. „Pewnego dnia wydamy tę całą pisaninę w książce i sprzedamy ją”. Tak tylko mówił. Po to, żeby czuła się doceniona, a przez to bezbronna. Wpatrywała się w biel kartek z nadzieją, tak jakby to były spienione fale oceanu. Czarnym długopisem, który jej podarował, pisała do obojętnej Anette epistołę za epistołą.

– Musisz w końcu zapomnieć o siostrze – powiedział pewnego dnia Prideux.
– Powinnaś pisać o większych sprawach. O ludziach z Wysp Dziewiczych. Napisz, że przeleciałem nad horyzontem, czemu nie? Zostaw te głupie listy. Twojej siostry nic to nie obchodzi.

Eeona była wrażliwa. Tak wychowywano każdą kobietę z jej sfer. Wyczekuj, kiedy trzeba dolać dorosłemu herbaty. Domyśl się, kiedy młodzieniec chciałby z tobą porozmawiać. Ale to oznaczało, że Eeona potrafiła także przewidzieć nawet najmniejszy niesmak czy niełaskę. Ten mężczyzna nie padał jej do stóp jak każdy inny na jego miejscu. To było takie mylące, tak bolesne, tak bardzo ludzkie, że Eeona czuła, iż to musi być miłość, prawdziwa sprawa.

Już teraz wiedziała, że urodzi temu mężczyźnie, jej mężczyźnie dziecko. Czyż ich dziecko nie będzie przepadać za opowieściami, które snuła mama Antoinette? Eeona zaczęła spisywać historie o Duene. Zaczęła od kobiet z Anegady, tych wielkich piękności ze stopami tyłem do przodu. Nie trwało to długo, zanim...

– Mój drogi Prideux, nie widziałeś moich notatek? – Pytała Kweku Prideux całymi dniami, trzy albo cztery razy na godzinę, gdzie znikwały opowiadki, które przed chwilą spisała. Czasem była stanowcza i zła jak dawna ona. Innym razem bardzo słodka, błagała go, by jej odpowiedział.

– Nie wiem, kochanie. Nie czytam zbyt wiele.

– Ojej! Moja historia właśnie przepadła.

– Czy to historia o ważnych rzeczach, dziecinko? Powiedz, jaki miała tytuł.

Zmieniała tytuły, by nikt nie podejrzewał, że tak naprawdę były to dziecinne bajania, i żeby Kweku nie domyślił się, że tak naprawdę ona sama jest jeszcze dzieckiem.

– *Topielcy* – szepnęła, jakby ściany miały uszy.

– Nie brzmi to jak coś, co przystoi damie – powiedział. – Może dobrze, że zniknęło. Być może nie powinienem kupować ci tyle papieru listowego. Nie jesteś gotowa. Potrzebujemy prawdziwych historii z Saint Croix. Jak o Panu Pajaku czy Kobiecie Krowie. Ale nowoczesnych, o współczesnych czasach. Żeby ludzie wiedzieli, że jesteśmy prawdziwi.

Do tego czasu nawet on zdążył się zorientować, że Eeona jest w ciąży, ale mimo tego nie rozmawiali o tym. Powoli wiała sobie gniazdko w pokoiku obok holu. Utrzymywała tam porządek. Pocięła koce na pieluchy i trzymała je w szafie. Myślała o tym, jak poprosić Prideux o kupno igły i nici, żeby mogła zacząć przygotowywać wyprawkę. W małym pokoiku mieściły się małe biurko i małe krzesło, stąd Eeona mogła dokładnie przyglądać się każdemu, kto pukał do drzwi wejściowych. Lecz nikt nigdy nie stanął na progu. Jej mężczyzna siedział teraz przy dziecięcym biurku, które jej przywłókł w prezencie. Ani drgnął, ale miotał wokół spojrzzeniami.

Podniosła na niego wzrok z podłogi, gdzie siedziała, od czasu do czasu szarpiąc się za włosy.

– Proszę, pomóż mi to znaleźć.

– Nie wiem, gdzie to jest, dziecinko – mówił. – Może odleciało tak jak ja. – I trzepotał rękami w powietrzu.

Gdzie lądowała opowieść? W tym samym miejscu, co listy do Anette. Nie na strychu, bo w tutejszych domostwach nie budowano strychów. Nie na dnie szuflady, bo w ośmiobocznym domu brakło kredensu. Zrobił to, co pokolenie wcześniej robili piraci. Użył matki ziemi na bezpieczny schowek. Zakopał całą pisaninę jak skarb. Ale że kartki papieru nie zostały schowane do skrzyni czy zamkniętego słoika, rozłożą się i staną się częścią ziemi, potem grunt ulegnie erozji i trafi do morza. Kweku nie miał zamiaru ukrecać historii łba. Chciał, żeby żyła. Ale pragnął jej tylko dla siebie. Nie zdawał sobie sprawy, że te dwie rzeczy wzajemnie się wykluczają.

W rezultacie sama Eeona doznała erozji. Przestała spisywać historie. Nie szyła, nie szydełkowała ani nie plotła kapeluszy z liści palmowych. Swobodnie rzuciła się w ten nowy dla niej brak kontroli. Oto miała wolność, której tak długo pragnęła. Zaczęła żyć od epizodu do epizodu. Chodziła po domu, jakby wybrała się na pielgrzymkę. Pozwoliła pajęczynom gromadzić się, choć pająki nigdy się nie zjawiły, by rościć pretensje do swoich tworów. Zbierała liście laurowe i owoce awokado. W ten sposób ziemia stawała się czymś w rodzaju Edenu. „Tego właśnie chciałam” – tłumaczyła przysłuchującym się ścianom. Wiedziała, że tak łatwo

mogłaby uciec. Mogłaby wskoczyć do cysterny i utonąć. Mogłaby przeskoczyć barierkę balkonu i utonąć. Mogłaby wejść do morza i iść przed siebie, aż utonie. Czy nie byłaby to największa wolność?

Od kiedy nosi dziecko w sobie, Eeona wie, że już nigdy nie będzie dzieckiem. Kweku nie był jej ojcem. Jej ojcem była śmierć. Dziecko w niej nie stało się jeszcze dzieckiem, dlatego nie warto było zostawać dla niego przy życiu. Eeona mogła utonąć. Ale wtedy w końcu poczuła, jak dziecko pływa w jej wnętrzu. Ewidentne kopnięcie, żadne gazy, czuła to wyraźnie, nie ponosiła jej wyobraźnia. Pluskała się w niej żyjąca istota. Tak, tak. Oczywiście, że tego chciała. Musiała zdwoić wysiłki. Popracować nad urodą. Przekonać Prideux, że kochanie jej przez całe życie jest tym, czego on potrzebuje. W końcu takiej historii pragnęła. Była teraz dorosła i widziała, że nawet wolność ma pewne ograniczenia.

Przy tej jasności umysłu z powrotem zalały ją wspomnienia o siostrzyczce Anette, o tym, że Anette od niedawna jest niezamężna, w związku z czym może stawiać czoło niebezpieczeństwu, jakie stanowił Esau. Eeona po raz pierwszy od wielu miesięcy poczuła wyrzuty sumienia. I od razu ich pożałowała.

Ale jeszcze tej samej nocy Kweku pochylił nad nią usta, ponieważ należał do najgorszego rodzaju męskiego, który wie, czego kobieta pragnie, i wykorzystuje to przeciwko niej. Wyszeptał do jej srebra: „Jesteś moją diamentową dziewczynką”. Poczuela, jak jego słowa rezonują w niej, jakby była instrumentem dętym, a on wygrywał na niej melodię aż po horyzont. Któż nie chciałby być tak pożądanym? Poza tym był to znak, że jej wysiłki przynoszą skutek. Tak łatwo zapomnieć o siostrze, gdy tak bardzo pragnie się zniewolenia.

Kweku obejmował Eeone w łóżku tak, jakby była zdjętą z niego skórą. Nie czuła się tak kochana i tak w tym zanurzona od czasu, kiedy była dziewczyną. Rankiem jej piękno zalewało pokój powodzią.

54.

Anette

Eeona przepadła miesiące temu. To nie tak, że całkiem o niej zapomniałam. Po prostu całe życie byłam sierotą. Zawsze mnie zostawiają. Eeona chciała wyjechać. Chyba przyszła na nią pora. Tak, martwię się, że do mnie nie pisze, zamartwiam się nawet, że może nie żyje, ale tak naprawdę nic a nic się o nią nie kłopotuję. Eeona ma się dobrze. Zawsze da sobie radę. Nawet jeśli jest już w niebie, pewno wodzi świętego Piotra za nos i odstawia niebiańskie przedstawienie. Poza tym teraz mam Jacoba. Już mi zapowiedział, że nigdy mnie nie zostawi. Wierzę mu.

Sami widzicie, że czas na życie jest teraz najlepszy. W środku wieku, w bezpieczeństwie. Żadnej apokalipsy. Dwie wielkie wojny za nami, wiele mniejszych przed nami. Ale na wyspach – nie całkiem amerykańskich, niezupełnie

karaimskich – żyjemy w samym oku cyklonu i znamy tylko pokój. Zostawiłam Ronaldę u matki Ronniego i skłamałam, powiedziałam jej, że idę szukać dorywczej pracy, żeby mieć na czynsz. Ale tak naprawdę poszłam zaszaleć.

Samochód, którym jechaliśmy, nie miał drzwi. Ulice były luźno brukowane, raczej wysypane żwirem, raz po raz wzbijał się kurz. Ja i Jay z tyłu. Jechaliśmy ekipą do latarni morskiej na Muhlenfeldt Point. Chcieliśmy się tam rozłożyć, bo był stamtąd niezły widok. Wszędzie latały kamienie i kurz. Zakręty pojawiały się znikąd i na każdym łuku prawie wylatywaliśmy z drogi.

Z przodu Gertie i jakiś amerykańczyk. Amerykanin to nasz bilet wstępu do latarni. Z Gertie już próbowałyśmy się tam zakraść, ale przegonił nas umundurowany jankes. Amerykaniec gada, że zna strażnika latarni i może nas tam zaprowadzić, a pewnie nawet zabrać do środka, żebyśmy mogli zobaczyć morze. Gertie nie ma narzeczonego na stałe, ale jej amerykańczyk wygląda, jakby był kolorowy. Teraz zmienia biegi, jak gdyby wiedział, co robi. „Amerykanie wiedzą, jak prowadzić” – powtarza głośno, aż bołą uszy. Co parę minut samochód zdaje się przyspieszać. To jak karnawałowa przejażdżka.

Siedzę z tyłu z Jacobem, trzymam się go kurczowo, skręca mnie w żołądku i szeroko otwieram buzię. Niech to diabli, mam ochotę ryczeć jak ten okropny osioł, którego już nie mamy. Ale ryki wlatują mi z powrotem do ust, pchane pędem powietrza. Dziadowski samochód chybotuje się na wszystkie strony.

Jacob stara się mnie strzec. Obejmuje moje ramiona i nogi, jakby sam mógł dopilnować, żebym nie wyleciała na zewnątrz przez dziurę, w której powinna być przednia szyba. Wtedy taki był. Ciągle mnie dotykał i chronił. Twardo rościł sobie do mnie prawa.

Żwir chrzęści pod kołami. Pobrząkuje o podwozie. Chłoszcze moje łydki, gdy udaje mu się precyzyjnie przez otwory do środka, omiata nas wtedy chmurą kurzu. Zamykam oczy, ale od tego robi mi się niedobrze. Dojechaliśmy do wielkiego rowu, ale amerykańczyk nie hamuje, zamiast tego kręci i kręci kierownicą, aż wjeżdża do dołu i wylatuje z niego. Ojejku! Gość poszybował w kierunku złomowanego na podwórku dodge'a. Nie wleciał wprost na maskę, ponieważ siłą rozpędu utkwiał łokciami i głową w przedniej dziurze. Nogi wyrzuciło mu na tylne siedzenie. Zmiażdżył mi ramię, wałąc mnie solidnie w głowę. Przez świeże rozdarcie w spodniach mogłam podziwiać wyeksponowane białe pośladki biednego chłopaka.

Gertie zaczęła wykrzykiwać jego imię: „Ham! Hamilton! Ham!” brzmiało to tak, jakby zamawiała jedzenie. Ale amerykańczyk nic tylko śmieje się do rozpuku. Śmieje się! Wyczołguję się spod niego, a mój mężczyzna mną kieruje.

– Zmywajmy się stąd – mówi Jacob. – Ten facet jest pijany.

Gertie wgapia w niego gały i cmokta ustami.

– Nie możemy się zmywać – protestuję. – Nie dojechaliśmy jeszcze do

latarni.

Jacob odpiera argument.

– Nie powinnaś się godzić na taką wariacką jazdę. To dla ciebie zbyt wiele.

Kładzie mi dłoń na krzyżu. Wiem, co to znaczy. Tak robi, kiedy w pobliżu znajduje się inny mężczyzna. To uroczyste ogłoszenie. Dowód, że jestem jego. Ale teraz nie ma żadnego, który zdołałby to zauważyć. Lecz ja wiem, że jego ręka to sekretna mowa. „Mam cię” – chce powiedzieć. Gdzie ty, tam ja.

To działa na mnie jak urok, ale nadal wbijam Jacobowi paznokcie w nadgarstki, żeby wiedział, że nie jestem zadowolona z jego decyzji.

– Nettie – mówi, odciągając mnie na bok. Zawsze tak mnie nazywa. – Musisz na siebie uważać.

– Nie jestem laleczką, Joy – odpowiadam, mimo że uwielbiam, jak tak do mnie mówi, jakby chciał się mną zaopiekować. – Nie jestem dzieckiem.

– Tak, tak, jesteś.

Nieco unosi klatkę piersiową. Wydaje z siebie dźwięk, jakbym była mu droga. Odwracam się do Gertie, a ona przegania mnie ręką. Zostanie tu z amerykańcem. Ham staje o własnych siłach, opiera się o samochód, paląc papierosa i chichocząc, jakby wcale przed chwilą omal nie zginął. Pozwalam więc mojemu mężczyźnie zaprowadzić nas na drogę, gdzie dostrzegamy samochód i łapiemy okazję.

Jacob odprowadza mnie tylko do połowy drogi do Ronniego, bo nie jestem gotowa na pogadanki matki Ronniego ani żadne inne. Kiedy podnoszę Ronaldę, jej dziecięce oczy są wielkie jak spodki. Tak jakby czuwała i czekała na mnie cały dzień, nie zmrużywszy oka.

Przeważnie sama płaciłam czynsz za mieszkanie w Savan. Ale teraz Jacob trochę mi pomaga. Czasem zostaje u mnie, ale częściej u swojej matki. Chcemy wziąć ślub. Czekam, żeby sprawdzić, czy Eeona wróci. A on czeka na matkę, aż zmieni zdanie, bo okazuje się, że Rebekah nie lubi mnie już za samo brzmienie imienia. To dlatego, że jestem rozwódką, wiem to. Z tych McKenziech wielcy katolicy, moje dziecko. Rycerze Kolumba. Siostry katolickie. Chrześcijanie od stóp do głów. Nie jestem tym, kogo McKenzie życzyliby sobie dla jednego ze swoich.

Ale to nic. Minęło dopiero parę miesięcy. Jacob i ja wiemy, że jesteśmy dla siebie stworzeni. Nie musimy robić czegoś na hop-siup, żeby wszystko zniszczyć. Kiedy nadejdzie pora, nasza miłość będzie tak przejrzysta jak woda i widoczna na pierwszy rzut oka.

Usypiam Ronaldę i sama kładę się obok niej. Czasami, kiedy Jacob tu nie nocuje, podchodzi pod moje okno i zanurza ręce w moich włosach. Tej nocy śniły mi się ryby, a później nowo narodzone jaszczurki. Obudziłam się w półmroku, nie miałam na sobie rąk Jacoba, ale miałam świadomość, że znowu jestem w ciąży. I wtedy, jak gdyby coś rościło sobie do mnie prawa w świetle księżyca,

zorientowałam się, że mam zaokrąglony brzuch. Coś zgłosiło do mnie pretensje jak Europejczycy przybijający do brzegów pokojowo nastawionych Arawaków. Tak, jakby Jacob mówiący: „Tak, tak, jesteś dzieckiem” sprawił, że tak się stało.

Ciągle karmię Ronaldę piersią, a przecież sama matka Ronniego mówiła mi, że to ma niby zapobiegać ciąży. Wiem więc, że ten, kto jest we mnie, musi być potężny. Sprawiałam, że piaskun zakochał się we mnie, bo wyszeptalam mu parę słów bolera podczas tańca, a teraz on samymi słowami daje nam dziecko.

Resztę nocy miotam się między snem a głębokim przecuciem, że coś się zbliża. Coś nadchodzi. Ale przecucie nie wspominało o siedmiu czy ośmiu miesiącach. Podpowiadało mi, że to już, teraz, zaraz. Jakbym była w dalej posuniętej ciąży, niż na to wygląda. Rano mam zamiar wstać z łóżka i zastanowić się, co, do licha, teraz zrobimy z dzieckiem, które pcha się na ten świat za szybko, żeby wyglądało to przyzwoicie. Ale obok mnie w łóżku leży to, co przyjechało. To moja własna siostra. Kurwa mać!

Zaczynam oddychać płytko i ciężko, bo po prostu wiem, że obok leży moja martwa siostra, co nawiedza mnie za to, że nie szanowałam się i nie pozostałam mężatką, jak mi przykazała. Ale wtedy Eeona otwiera oczy, a ja krzyczę. Doskakuje do mnie niczym wiedźma na miotle i mówi: „Obudzisz dziecko”. Wiem, że ma na myśli Ronaldę, która wije się jak robak u naszych stóp, ale brzmi to tak, jakby miała na myśli też dziecko w moim brzuchu.

Kiedy przestaje zatykać mi usta dłonią, wykorzystuję okazję i dopadam do śpiącej Ronaldy. Jestem gotowa chwycić małą i prysnąć stąd.

– Jesteś prawdziwa? – pytam siostrę albo jej ducha.

– Tak sądzę.

55.

Eeona

Nigdy nie zdobyłam się na to, żeby opowiedzieć siostrze prawdziwą historię, ale powinnam podzielić się nią tu i teraz.

Przez wiele miesięcy nie wychodziłam z domu bez monsieur Prideux. Wszystko, co robiłam, robiłam z nim. Gdybyście tam byli, zrozumielibyście. Freedom City, tak się nazywało to miasto. Było dość luksusowe i ładne. Dom, który zamieszkiwaliśmy, był wielki i wychodził na ocean. Trudno było się tam nie zakochać, a tym samym nie popaść w desperację. Pewnego wieczoru wracaliśmy z malowniczej przejażdżki, kiedy pochyliłam się nad przednim siedzeniem i błagałam mojego Prideux.

– Jedźmy na plażę – poprosiłam, ponieważ to była jedyna rzecz, której nigdy nie zrobiliśmy.

Pokręcił przecząco głową, jakby mnie łajał.

– Jest za późno, moja dziecinko. Komary dobiorą ci się do skóry.

Mimo to wierzyłam, że plaża w końcu go do mnie przekona. Plaża skłoniła do oświadczyn nawet Louisa Moreau.

Błękitny tuman kurzu otoczył auto. Wiatr zbierał się wokół ciemniejących chmur. Lada chwila zacznie padać. Dało się słyszeć głośno tańczące dzwony. Muzyka była nieharmonijna, tak jak moje rozbiegane myśli.

Gdy monsieur Prideux zaparkował srebrnego chevy'ego pod naszym domem, niebo było już ciemnogramatowe. Czułam się wolna, nasze przejażdżki po wiejskiej okolicy zwykły przepelniać mnie poczuciem wolności. Wyczuwałam, co mam w środku. Wyspa Saint Croix była podobna do Anegady, bardziej płaska od Saint Thomas. Powstała z koralu. Przycupnęła nad cieśniną Anegada Passage. Pragnęłam plaży. Muszę dostać plażę.

Weszłam do naszego wielkiego domu, założyłam na nogi kalosze i przebrałam się z liściastozielonej sukienki, którą kupił mi specjalnie na przejażdżki, w błękitną, tę, którą miałam na sobie, gdy pierwszego dnia weszłam na pokład hydroplanu. Ciasno opinała mi biust i ledwie wcisnęłam w nią brzuch. Oświadczyłam, że idę na spacer po plaży z nim albo bez niego. Nie byłam taka odważna od dnia, kiedy tu przyjechałam.

– Po drodze nie ma latarni, a robi się ciemno. Nie możesz iść.

– Idę.

Postanowiłam to w taki sam sposób, jak podjęłam decyzję, żeby wiele miesięcy temu wsiąść na hydroplan. Ukrywałam przed nim sekret. Sekret był taki, że od tygodni usiłowałam ułożyć plan, ale byłam tak zagubiona, że w głowie pływały mi ryby. Miałam nadzieję, że mój błogosławiony stan przyspieszy oświadczyni Prideux, ale tak się nie działo. Jeśli tej nocy wejdem do wody, może umysł mi się oczyści i zdołam rozważyć wszystkie możliwości. Co ważniejsze, jeśli się na to porwę, przestraszy się, że nie wrócę. Może moje zniknięcie, choćby chwilowe, przekona go do mnie.

– Eeono, dziewczyno, nikt cię nie będzie pilnował po drodze.

Kiedy wyruszyłam, niosłam przed sobą zapaloną lampę naftową. Czułam się bezpieczna, gdy zaczęłam schodzić podjazdem. Musiałam minąć krzew bugenwilli, żeby obejść zamkniętą bramę, postawioną na straży naszych samochodów. Po co tu ta brama? I tak z łatwością można by się tu zakraść i zawłaszczyć sobie wszystko, co tylko mamy. Choć już wtedy wiedziałam, że nie mamy wcale tak dużo, to i tak mogli jeszcze odebrać mi honor. Zabić mojego mężczyznę. Spalić do szcztu dom. Mogli wyrzucić nas za barierkę i utopić w morzu.

Szłam dalej, a wokół szybko się ściemniało. Dochodziła do mnie rozmowa ojca z córką. Znajome dźwięki dobiegały z domu tuż nad moją głową. Rozmawiali po angielsku, odmieniając wyrazy poprawnie jak Amerykanie. Do głowy napłynął mi ich śmiech.

Zaczęłam dostrzegać, że to, co robię, jest kompletnie pozbawione sensu.

Prideux miał rację, nikt inny tędy nie spacerował. Minęły całe miesiące, od kiedy ostatnio wybrałam się gdzieś sama, a teraz jestem tu w nocy, na wyspie, której tak naprawdę nie znam. Pędem minął mnie samochód z włączonymi światłami. Przywarłam kurczowo do zbocza wzgórza. To był wystrzałowy wóz, a kierowca wcisnął klakson, zaskoczony moim widokiem. Na miejscu pasażera siedziała Amerykanka. Jadąc z pełną prędkością, wystawiła swój wymuskany manikiurem środkowy palec. Ci Amerykanie, przybywający na nasze wyspy, okazali się tacy nieokrzesani.

Gdy tylko samochód zniknął, poczułam się bardzo samotna. Przepęniało mnie poczucie, że Prideux powinien przywiązać mnie do krzesła i nie pozwolić mi odejść. Odchodziłam od zmysłów, w końcu zawsze powtarzali, że to groziło mamie. Nie było mnie już półtorej godziny albo i dłużej. Powinien już do tego czasu nadjechać samochodem. Powinien się martwić.

Za zakrętem zobaczyłam wodę. Zatoka nie przypominała Saint Thomas. Na Saint Croix nabrzeże było wąskie. W piasku kryły się bryły muszelek. W morzu znajdowały się drzazgi wodorostów. Stamtąd, gdzie stałam, fale wyglądały na zamrożone. Zatoka zdawała się odległa i niebezpieczna.

Pamiętam pływanie nocą z ojcem. Ściągał z nas ubrania i dawał nura do ciemnej, zimnej wody. Nasze ciała rozświetlały się w błyszczącym blasku fosforyzującego planktonu, który nas opływał, wzmocnionego majestatem okrętu „Homecoming” w tle.

– Przeklinam cię – powiedziałam na głos, choć nie wiedziałam do kogo.

Pomyślałam o siostrze i zastanawiałam się, czy może udało jej się znaleźć drogę powrotną do męża. Zdawało mi się, że minęły całe lata, od kiedy poszłam zwrócić bilet, a zamiast tego wyruszyłam tu, do Freedom City.

Zeszłam na długą ścieżkę prowadzącą na plażę. Lampa w mojej dłoni ledwie się tliła. To kwestia najwyższej wagi, by pokazać Prideux, że jestem godna nocnych plaż. Jestem Eona Bradshaw i mężczyźni zawsze uważali, że jestem więcej niż godna. Jestem córką kapitana, potrafię pływać, nurkować i sterować łódką na morzu.

Przeszłam całą drogę nad zatokę. Kiedy dotarłam na miejsce, powietrze nad oceanem było chłodne. Piasek falował mi pod stopami jak woda. Widać było sierp księżyca. Dało się słyszeć tylko szum wód i moje stopy kroczące ku falom. Powoli i zgrabnie zdjęłam z siebie ubranie. Może Prideux widzi mnie z domu. Zostawiłam przyodzianie na piasku. Stałam nad brzegiem oceanu, a fale obmywały mi nogi. Woda była lodowata, ale i tak do niej weszłam. Pływałam nago w oceanie, tak jak robiłam to z ojcem. Wodę czułam na sobie tak, jakby była pożądającym mnie mężczyzną. Pod powierzchnią oceanu moje srebro lśniło jak klejnot. Doglądałam go, tak jak każda kobieta troszczyłaby się o swoje brylanty.

Kiedy mi ulżyło, wybiegłam na zimne powietrze. Jedną ręką ścisnęłam

brzuch, drugą piersi. Stałam na brzegu, gdy zaczęło padać. Czułam, że wywołałam deszcz. Znalazłam ubranie i prędko się przyodziałam. W wyciągniętej ręce trzymałam lampę i przeszłam całą drogę z powrotem do bram naszego wielkiego, pustego domu.

Znów byłam sobą. Potrzebowałam tylko tej małej ucieczki. Teraz nasz dom pozna moją rękę. Muszę uszyć zasłony. Powinnam kupić jakieś porządne garnki do gotowania. Nie potrzebuję jego oświadczeń. Wyprawię się do miasta i sama załatwię ceremonię zaślubin.

Na progu stał Prideux ze świeczką w dłoni.

– Martwiłem się. Właśnie szedłem cię szukać – powiedział. – Czemu tak długo cię nie było?

– Poszłam na plażę – mówię. – Pływałam nago w świetle oceanu.

Popatrzył na mnie tak, jakbym była jakimś mitologicznym stworzeniem, które robi, co chce.

Moi drodzy. Nie tak było naprawdę. To tylko historyjka, którą sobie powtarzałam.

W rzeczywistości poszłam na brzeg, ale nawet nie zdjęłam butów. Nie wystawiłam na widok moich intymnych brylantów. Wcale nie weszłam do wody. Cały czas trzymałam przygasającą lampę. Za bardzo się bałam. Postawiłam ogarek na piasku, żeby światło mogło udawać pełnię księżyca. Słysząc było tylko ocean i naftę szumiącą w lampie. Weszłam do wody i zrosiłam chłodem twarz. Potem chwyciłam na powrót światło. Kalosze Prideux były na mnie za duże i chwiały się z każdym krokiem. To napędziło mi jeszcze większego stracha, tak jakby ocean się mnie uczeplił. Chciałam, żeby mnie pochłoniął, tak jak wchłoniął mojego ojca.

Kiedy w końcu dotarłam do głównej drogi, zaczęłam biec. Biegłam najszybciej od czasów dzieciństwa, choć damy nie biegają. Potykałam się w za dużych butach. Lampa krzywo i dziwacznie rozświetlała to, co przede mną. Tu mignął mi kawałek skały. Tam pas drzew. Wszystko, co mnie czekało, wyglądało na równie połamane i groźne, jak to, co zostawiałam za sobą. Nie zamieniłam się w Duene ani *soucouyanta*.

Gdy stanęłam pod masywną czarną bramą, byłam zwykłą kobietą. Żebra paliły mi od wewnątrz pierś. Zachodziłam w głowę, czy to, co kryło się we mnie, mogło wyczuć żebra. Zastanawiałam się, czy to, co było w moim wnętrzu, potrafiło czuć. Byłam mokra od potu. Położyłam się na ziemi i wpatrywałam w nikły księżyc.

W końcu nafta w lampie wypaliła się i przeszłam ostatni odcinek podjazdu do domu, który w głębi mego serca należał do mnie.

Mój Prideux stał na ganku, pochylając się. Kiedy mnie zobaczył, pospieszył w moją stronę z zawziętością, która powinna stanowić dla mnie ostrzeżenie.

– Musiałem tak długo na ciebie czekać.

Nie spytał, gdzie byłam. Zamiast tego zaczęło padać. Na przekór temu czułam się magicznie, jak jakaś istota, która dostrzegła znak i może robić, co chce. Mogę chodzić ciemnymi uliczkami na plażę. Mogę całować ocean i biec całą drogę z powrotem.

Moi drodzy, przyjmijcie moje przeprosiny, ponieważ znów rozminęłam się z prawdą.

A prawda jest taka, moi kochani, że nie doszłam nawet na plażę na chrzest, który planowałam wziąć. Nie dotarłam nawet do połowy drogi wiodącej na plażę. Zbyt się bałam i było za ciemno. Nie byłam ani cieniem, ani ptakiem, ani mitologicznym stworzeniem. Zamiast tego po prostu stałam tak i wyobrażałam sobie, że idę na plażę, pływam, a potem tonę lub sama się topię. Później wróciłam do domu. Lampa się tliła. Zaczęło padać, a ja zaczęłam biec. Nie, nie. Pozwólcie, że powiem prawdę. Uszłam w deszczu tylko kawałek. Zimne krople uderzały ciężko o moje powieki. Poczułam nieprzemijający wstyd.

Kiedy dotarłam pod bramę, musiałam się przedrzeć przez pokrytą rosą pajęczynę. Minęłam podjazd i przecisnęłam się przez drzwi. Prideux nawet nie oderwał wzroku od pajęczyny, którą zdzierał z okna.

Wtedy już wiedziałam, że nigdy nie będę z powrotem taka, jaka byłam.

56.

Koniec Kweku i Eeony to historia prawdziwa. Kweku miał trzy dni, żeby przekonać Eeone, by została i donosiła dziecko w brzuchu, zanim nie wejdzie na pokład łodzi albo statku czy jeszcze innego środka transportu i nie popłynie na spotkanie rodzinie. A jej rodzina, przynajmniej z tego, co było jej wiadomo, to Anette i jej potomstwo, nikt więcej. Kweku już miał dzieci – mnóstwo chłopaków spłodzonych z Rebekah. Ale kochał swoją Eeone. Kochał ją najlepiej, jak nauczyła go historia, lecz to, czego się nauczył, i tak nie wystarczało. Nie wiedział, że ma tylko trzy dni. Spodziewał się, że wyjedzie lada chwila albo w ogóle. Nie wierzył jej, że się pakuje. Ale jak na kobietę szaloną pakowała się dość pieczołowicie. Składała w milczeniu bawełniane biustonosze, zwijała pantalone w kulki.

Kweku stanął w progu ich sypialni. W głowie mu dudniło, bo chciał, żeby została.

– Drapetomania – powiedział. – Na to cierpisz.

Eeona ponownie złożyła błękitną sukienkę, w której przyjechała. Teraz była już za mała na jej brzuch.

– Chyba chcesz spytać, co to takiego – powiedział, bo rzeczywiście chciała go spytać, ale nawet wtedy nie zdołała przyznać się przed nim, że nie jest do końca idealna. – To oznacza, że pragniesz uciekać, mimo że nie masz powodu.

Nie powiedziała nic na głos, ale pomyślała w zaciszu swojej głowy, że ma rację. Miała chorobę uciekinierów. Ale miała też powód. Całą listę powodów.

Być może gdyby Kweku zamiast tego spróbował powiedzieć: „Kocham cię”, może by ją do siebie przekonał i zatraciłaby się w nim ciałem i umysłem aż do śmierci – jako żona lub konkubina. Ale pajączarz pomyślał, że „kocham cię” nie wystarczy. Rebekah nigdy nie wystarczało.

Mimo że nie zbliżał się jeszcze termin porodu, wody odeszły Eeonie w drugi dzień pakowania. Dalej składała ubrania. Zdawało się, że układa całą garderobę świata, mimo że miała jedynie sukienkę, w której tu przybyła, w szafie pieluchy ze szmatki i parę kiecek, które Kweku sprawił jej, gdy brzuch jej nabrzmał. Teraz znosił jej morskie winogrona i herbatę i stawiał je przed drzwiami, podczas gdy sam przesiadywał w salonie, popijając rum i czekając, aż Eeona wyjdzie. Ona przyjmowała jedzenie, ale nie zwracała na niego uwagi. Potem uciniała sobie drzemkę, tak jakby skurcze wcale nie miały się w niej i nie wzbierały falami. Śluzowate wody płodowe wylały się z niej i wsiąkły w pościel – teraz należąca tylko do niego. Obudziła się i zobaczyła Kweku Prideux stojącego w progu, jego bladą skórę mieniającą się od kropel wody. Mimo że nie mogła tego zobaczyć, wiedziała, że na rosłej kępie włosów na środku pleców zakotwiczyła się gruba warstwa mydła. To jedyne miejsce, do którego nigdy nie dosięgał. Podniosła na niego wzrok. W końcu podniosła wzrok.

– Jakoś nie mogę przestać wierzyć, że na to zasługuję – odezwała się do niego. – Ale co to w ogóle znaczy: „Zasłużyć”? – W bólach porodowych piękno Eeony odpływało jak fala.

Kweku, stojąc w progu, poczuł się dobry i silny. Kiedy Eeona była zbyt piękna, to go osłabiało. Gdy była mniej piękna, to osłabiało ją. Kiedy czuła się słaba, robiła się dla niego dobra. On też będzie dla niej dobry, jeśli zostanie słaba.

– Eeono, moja mała dziecinko – powiedział do niej słodko. – Wody ci odeszły. Chodź. Musimy jechać do szpitala, żebyś mogła urodzić zdrowe dziecko.

Wbiegł do pokoju z wyciągniętymi ramionami. Pierwszy raz w ciągu tych wszystkich miesięcy przyznał, że Eeona jest w ciąży. Kiedy się kochali, co pomimo jej stanu nadal robili, pieprzył ją od tyłu albo na boku, żeby pominąć jej brzuch, dzielącą ich masę.

Ale teraz Eeona zamknęła walizkę i wstała.

– To dziecko pójdzie tam, gdzie odeszły wody.

Kweku rozważał, czy dać jej spokój. Szaleńcy postępują zgodnie z własną logiką, która potrafi być przekonująca. „Ale to zła logika” – pomyślał znowu. – „Zła do reszty”.

– Eeono, dziecko tam utonie.

Ale ona go nie słuchała. Może wody wcale jej nie odeszły. Kweku nie wiedział, co jeszcze mógłby jej powiedzieć. Próbował, czyż nie? Wyszedł przez salon na balkon. Pochylił się i położył na podłodze. Zaczekał, aż powietrze się ochłodzi, a na ramiona wystąpi mu gęsia skórka. Niebo zrobiło się pomarańczowe,

a potem purpurowe jak siniak. Wsłuchał się w pobliski ocean. Zasnął.

Śnił mu się on sam jako lepszy człowiek. Jako McKenzie. Ojciec swoich synów. Ktoś, kto ma dość odwagi, by kochać kobietę tak, jak on kochał Rebekah, pomimo tego, że mężczyźni z rodu go ostrzegali. Co się stało z nim, z Benjaminem McKenziem? Tylko w snach ośmielił się zadać sobie to pytanie. Być może nie próbował wystarczająco mocno z Rebekah. Może nie dał jej zbyt wiele od siebie. Dopiero teraz, na wygnaniu, nie potrafił odnaleźć samego siebie.

Kweku obudził się rano na balkonie. Poczł pustkę w domu. Może Eeona po prostu wyszła. Może się zabiła. Kweku pomyślał, że nadszedł czas, by znów się przeprowadzić, tym razem dalej. Ktoś na pewno niedługo go rozpozna podczas lotu na Saint Thomas. Miał taką nadzieję, prawda? Ale nie, było za późno na nadzieję. Może poleci do Ameryki, gdzie nikt nawet nie słyszał o Wyspach Dziewiczych. Uśmiechnął się. Być może to on cierpiał na chorobę uciekiniera.

Otworzył kuchenną spiżarnię i wpatrywał się w nią. Leżały tam chleb i ser, ale Kweku niczego nie dostrzegł. Otwierał szafki jedną po drugiej, zostawił je otwarte na oścież i wyszedł z kuchni. Poszedł do sypialni, myśląc, że zakopie twarz w łóżku, gdzie mógł ostać się zapach Eeony. Ale Eeona tu była, leżała w poprzek materaca, pęczniejąc od poporodowej opuchlizny. Jej walizka, która tak naprawdę była jego walizką, stała obok. Eeona miała otwarte oczy i wzrok utkwiony w suficie.

– Eeono – zawołał cicho. – Odchodzisz ode mnie? W takim razie idź. Ale wiedz, że to tylko twoja wina. Zbyt wiele ode mnie oczekiwałaś.

Nic z tego nie było prawdą. Ale jak miał powiedzieć prawdę? Jak wydusić z siebie: „Jestem mitem?”, „Potrzebuję cię. Potrzebuję nas. Ale nie mogę znieść swoich potrzeb”. Jak wyznać coś takiego?

Wszedł do środka. Pokój był biały i ogołocony. Materac i nocny stolik stanowiły jedyne meble. On i Eeona nie wzięli nawet ślubu. Nie umeblowali domu należycie. Nie omówili przyszłości swojego dziecka. Żadne z nich nie siedziało na nocniku, podczas gdy drugie brało kąpiel. Nie było drobnych przysług w postaci rezygnacji z ulubionej stacji radiowej na rzecz drugiej osoby, żadnego smażenia ryb z sosem pieprzowym tak, by trafić w gust podniebienia ukochanego. W końcu nie byli nawet kochankami.

Eeona nie wiedziała, dlaczego wyjeżdża. Kweku sypiał z innymi kobietami, od kiedy przyjechała. Wiedziała o tym, ale można to było jeszcze wybaczyć. Ukradł ją, lecz też nie o to chodziło. Czyż ona w pewien dziki sposób nie chciała zostać skradziona? Teraz pragnęła jedynie tego, by powiedział to, co należy. By umieścić jej nazwisko na akcie własności. By kochał ją i to dziecko i zapisał na nich ziemię. By została damą z eleganckim nazwiskiem. By razem wybierali się do miasta i by darzono ich szacunkiem. By nie umarł i jej nie zostawił. By pozwolił jej mówić do siebie: „Papo”.

Ale skąd miała to wszystko wiedzieć? Jak miała to powiedzieć? Zamiast rzec: „Bądź moim mężem”, zaklinała go. Tu, na tym materacu, daleko posunięta w zbyt wczesnym porodzie. Twarz kurczyła jej się i rozluźniała – jak serce.

A wtedy, tak jakby nie wiedział, że to może ją zabić, Kweku rzekł: „Moja droga, jestem mężem innej kobiety”.

Musiała wiedzieć. Tak, to prawda, że zgolił swoje dziwaczne włosy na głowie, ramionach i nogach. Ale nadal mimo mitycznie obranego imienia najwyraźniej był McKenziem o skórze tak jasnej, że z łatwością mógł uchodzić za Irlandczyka o ciemnej karnacji albo Żyda. I czyż nie było to oczywiste, którym dokładnie był McKenziem? Tym zagubionym, tym należącym do Rebekah. Ale Eeona świadomie pozbywała się ostatniego grama szacunku dla samej siebie.

– Istnieje coś takiego jak rozwód, monsieur Prideux.

– Mąż nie może zostawić swojej żony. – A ponieważ był okrutny, powiedział to uprzejmie.

– Już ją zostawiłeś, Prideux.

– To matka moich dzieci, Eeono.

– Ja też niedługo nią będę.

Spojrzał na nią i zobaczył jej twarz jak pięść wymierzoną w ból.

– Eeono, dziecinko, nie taka jest twoja rola w mojej historii.

Co za szaleństwa on wygaduje? Ale miało to dla niej pewien niezbadany sens. Starła się nie myśleć o czasach, kiedy widziała jego namydlone przed goleniem ciało, tak jakby miał na sobie sweter. Przykładał brzytwę najpierw do knykci palców u stóp i golił całe ciało z włosów McKenziego. Golił nawet to owłosienie, którego jej samej zabronił pozbywać się z ciała. Próbowwała przywołać to wspomnienie, żeby ją zniesmaczyło. By przekonała się, że pajęczarz nie jest jej mężczyzną. Nigdy nim nie zostanie. Ale bez względu na to – dziecko i tak pchało się na ten świat.

Po wszystkim jej srebrne włosy były wszędzie, odbijały blask nowych pajęczyn. To było piękne, tak jakby ona i Kweku, i cały dom zmarli i zostali wysłani za kres chmur. Dziecko urodziło się nieruchome. Nieżywe. Martwe. Chłopiec, rzecz jasna. W końcu Kweku Prideux był prawdziwym McKenziem.

Eeona nie płakała. Zamiast tego przyciskała skulone ciało chłopca do piersi i myślała o swojej matce. Może Antoinette miała rację, że zanim je urodziła, zwróciła tyle dzieci Bogu. Eeona nie mogła powiedzieć tego nikomu innemu, więc powiedziała Kweku, że dała chłopcu na imię Owen Arthur. Takie imię nie nadawalioby się dla żyjącego dziecka, ale to dziecko nie będzie musiało z takim imieniem żyć. Poza ich dwojgiem nikt nie wiedział, że ono prawie istniało. Kweku wziął niemowlęce ciało Owena Arthura i wyrzucił je przez balkon. Nie obejrzał się, żeby sprawdzić, czy uderzyło o ziemię, czy wpadło do morza.

Potem Eeona leżała na plecach do momentu, aż zdołała usiąść. Siedziała, aż

mogła już wstać. Stała, aż zdołała chodzić. Chodziła, aż znalazła łódkę. I nie zatrzymała się, aż nie znalazła się w łóżku siostry.

57.

Anette

Kiedy Eeona dociera z powrotem na Saint Thomas, muszę ostrzec Jacoba. Nagadam mu, że jest więcej niż ładna. Pomyśli, że to najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widział na oczy. Ale on mówi, że wszystko o niej wie. Każdy mężczyzna, co dorastał na wyspie, słyszał o niej. Ale twierdzi, że jemu wcale nie w głowie babka, w której kocha się każdy gość. On pragnie tylko tej, którą sam kocha.

Choć nadal wygaduje o niej zabawne rzeczy.

– Słyszałem, że jest trochę dzika – mówi tak, jakby zadawał pytanie.
– Dzika? Wpada w dziki szał tylko przez pomyłkę.
– No cóż, słyszałem, że ma nierówno pod sufitem. Idzie się włóczyć, kiedy ma ochotę.

– Po prostu zachowuj się jak dżentlema, a wszystko będzie dobrze.

Staje w drzwiach z bukietem kwiatów anturium.

Ale jest jedna sprawa. Oczy Eeony, od kiedy wróciła, są puste jak muszle. Ale kiedy tylko mówię jej, że prowadzam się z kimś nowym, mruży powieki, jakby miała pod nimi piasek. O nic nie pyta. Dziwacznie się zachowuje. Jakby uleciała z niej energia. Nie mówi, gdzie była przez te wszystkie miesiące, co wtedy robiła ani co robi teraz. Znalazła plan podróży do Ameryki i powoli drze go na kawałeczki tak drobne jak pyłek kurzu.

Kiedy Jacob przekracza próg, przygląda mu się uważnie, tak jakby go znała albo wiedziała o nim coś złego. Kiedy pyta go o pochodzenie, odpowiada swoim jankeskim angielskim, wyjaśniając, że jest McKenziem, tłumaczy, kim jest i skąd się wywodzi. Ale wygląda, jakby samo jego imię wyciągało ku niej rękę i ją dusiło. Jacob patrzy na Eeonę i przybiera kamienny wyraz twarzy. Dopiero kiedy spogląda na mnie, rysy mu łagodnieją, choć nadal jest zmieszany, bo zdaje się, że Eeona z miejsca go znienawidziła.

Pyta, co Jacob wie o swoim ojcu, on odpowiada, że nie widział ojca, Benjamin McKenziego, od małego, bo matka wychowywała jego i starszych braci sama. Wtedy Eeona wstaje i mówi głośno, jakby przemawiała do tłumu: „Z przykrością pana informuję, że nie wolno panu dłużej zalecać się do mojej siostry”. To najdłuższe zdanie, jakie skleciła, od kiedy dwie noce temu pojawiła się w moim łóżku.

Wstaję.

– Eeono, a niech cię, o co chodzi? Oszalałaś?

Obraca głowę w moją stronę tak szybko, jakby była iguaną.

– Tak, oszalałam. A teraz wróciłam powiedzieć ci, Anette, że masz robić, co mówię!

Zachowuje się tak dziwnie, że zbija mnie z tropu. Nie starcza mi czasu, by wziąć się w garść i uderzyć ją w twarz, bo Jacob wstaje i mówi: „Nettie”. Samo moje imię, tak jakby spodziewał się takich wybryków. W końcu to on powiedział mi, że Eeona jest dzika. Zanurzył opuszki palców w powietrzu, jak gdyby to była woda, a on sprawdzałby, czy jest gorąca, czy zimna. „Ochłoń” – próbuje mi powiedzieć. Wszystko w porządku. W porządku. Potem wycofuje się rakiem z domu, jakby nie mógł się odwrócić plecami. Jakby musiał mieć wroga na oku. Eeona staje w drzwiach, nie pozwala mi za nim iść, zastępuje mi drogę jak góra.

A ja wcale się nią nie przejmuję. Idę do sypialni, RONALDA ucina tam sobie drzemkę. Wczołguję się na łóżko, uważając, żeby nie obudzić mojego dziecka, i wypływam przez okno. Jacob wchodzi na wzgórze, doganiam go akurat, gdy się obraca. Spogląda na moje włosy i szyję, ale ja chwytam jego twarz i zmuszam go, by spojrzął mi w oczy. Czuję łzy zalewające mi gardło jak sypiące się kamienie. Czuję, że nie mogę mówić.

– To nie jest wcale piękna kobieta – mówi w końcu. – To *soucouyant*. Lepiej niech ta twoja siostrzyczka przywdziewa z powrotem co noc swoją własną skórę albo osobiście ją jej wygarbuję.

Przez dłuższą chwilę ta groźba wisi między nami. Moja siostra to wstrętna wiedźma w skórze pięknej kobiety. Ale Jacob w końcu wyciąga ku mnie rękę, chwytam mnie i obejmuje ramionami. Stoimy wysoko i patrzymy z góry na dachy i ścieżki prowadzące nad samo morze. Spoglądamy na wodę i chwytamy się siebie, jakbyśmy w tej chwili mieli gdzieś odpłynąć. Potem odwraca się i bierze moją twarz w dłonie, jakbym do niego należała.

– Moja matka nie da nam pozwolenia ani twoja siostra nie da nam pozwolenia.

Kładzie dłonie na mojej piersi i gładzi sukienkę, aż dociera do małego, zaokrąglonego brzuszka.

Kiedy wracam do naszego mieszkania, nie mogę się powstrzymać, do głowy przychodzi mi John Smith i Pocahontas, wiem o nich wszystko, bo chcę zostać nauczycielką historii. Pamiętam, że skończyli w ramionach innych. Mimo tego jestem taka głupia, że zaplątałam się w ten romans, który wydawał mi się romantyczny. Nie wyglądał na niemożliwy.

Zaczynam wrzeszczeć na siostrę, gdy tylko znajdę się w zasięgu jej słuchu. Nadal jestem na ulicy, a ona stoi w drzwiach.

– Każda dziewczyna chce McKenziego – wydieram się na nią. – Nawet ty, Eeono. McKenzie nadawałby się nawet dla ciebie.

Tkwi w progu i przygląda mi się, jak przechodzę przez jezdnię. Wciąż czekam, aż strzeli mi pogadankę, że nie załatwia się takich spraw na ulicy, ale

zamiast tego stoi tam, aż czuję, że może powinnam się zamknąć. Nie odzywa się do mnie nawet wtedy, gdy wchodzę do domu, a ona siada na rozklekotanym bujaku, co go wyciągnęła ze sterty śmieci.

– To dla mnie dobra partia – próbuję raz jeszcze.

– Ty go w ogóle nie znasz.

Mówi cicho i powoli, jakby starała się nie powiedzieć niczego złego, mimo że każde jej słowo brzmi dla mnie źle. Potem spuszcza wzrok, żeby spojrzeć na swój brzuch, tak jakby coś tam chowała. Nigdy nie widziałam, by moja siostra kiedykolwiek z jakiegokolwiek powodu spuściła wzrok.

– Eeono, wiem wszystko, co potrzebuję wiedzieć – mówię delikatnie. – Jest dobry dla Ronaldy. Będzie dobrym ojcem.

Teraz patrzy mi prosto w oczy.

– Nie masz pojęcia, co to znaczy być dobrym ojcem. – No, to jest moja Eeona. Poirytowana samą wzmianką o ojcu. – Anette, ten młody człowiek nie wie, jaki dobry ojciec ma być.

Nie daję rady stać nad nią, kiedy wydaje się mieć takie miękkie serce, więc siadam na leżance. Jej nastroje opanowały cały dom, może tym razem na dobre dostała kręčka. Być może epizody stały się czymś więcej niż tylko epizodami, zaczęły być nią samą.

– Jego matka nie jest przyzwoitą kobietą – ciągnie. – A jego ojciec McKenzie – mówi powoli, jakby recytowała coś, czego nauczyła się na pamięć – był kiepskim przykładem męża. – Teraz spogląda na mnie jak zwykle surowa mina Eeony. – Rozumiesz, co chcę powiedzieć, Anette? – Ma zaciekły wyraz twarzy, jakby dobrze znała tych ludzi.

Jestem zmieszana, mówię więc tylko to, co naprawdę chcę powiedzieć.

– Eeono, za późno już na to, co cię gnębi. I tak już go kocham.

Pochyliła się, plecy ma proste jak deska, wygląda, jakby miała tryknąć mnie głową.

– Anette Bradshaw, czy nie przestrzegałam cię przed McKenziem o imieniu Esau?

– On ma na imię Jacob, Eeono. Może masz na myśli jego starszego brata Saula. Rozumiem, że się martwisz. Wiem, że Saul to cukiereczek, który nie lubi kobiet. Ale mój to Jacob. Jacob McKenzie.

Patrzy mi w twarz, jakby rzucała zaklęcie.

– To Esau. Spytaj go, czy nie ma na imię Esau.

Ale czemu miałabym pytać mężczyznę o coś takiego? Ani nie ma tego imienia na plakietce wojskowej, ani w prawie jazdy, nawet przyjaciele tak na niego nie mówią. Czemu mam wypytywać faceta o takie głupstwo, kiedy wiem, o co tak naprawdę chodzi? Eeona pęka z zazdrości. Myśli, że nie widzę, że uciekła i wróciła zgorzkniała, a epizod, który ma, pojawił się z powodu jakiegoś mężczyzny? Byłam

już z dwoma facetami, więc z łatwością potrafię dodać dwa do dwóch. Musi chodzić o to, że w końcu oddała swoją wisienkę, ale wtedy typek okazał się wcale nie tak słodki.

To nie moja wina – chcę jej powiedzieć. To nie moja wina, że Eeona dostała kręćka – *o, bazadie!* – bo ma złamane serce.

– Eeono, przykro mi, że się nie zgadzasz. Naprawdę mi przykro, ale on jest dla mnie stworzony.

– Tylko nie on – mówi z przekonaniem i mocno ściśniętą dłonią, jakby trzymała mojego Jacoba w garści.

Wstaję i idę do drugiego pokoju, ponieważ boję się, że może się na mnie rzucić, choć nigdy wcześniej to się nie zdarzało.

– Musimy wziąć ślub, Eeono. Z twoją zgodą czy bez niej.

Kładę obie dłonie na brzuchu, gdzie rozkwita dziecko, żeby zrozumiała, co chcę przez to powiedzieć. Właśnie wtedy Ronalda budzi się z krzykiem w pokoju obok.

58.

Jacob wiedział, kim jest Anette, od chwili, kiedy przysiadł się do niej na potańcówce. Cóż, miał świadomość, że jest żoną ze zdjęcia Ronalda. Zapamiętał ją nawet, jak stała w czerwonej sukience w porcie, kiedy całował ziemię, a ona świdrowała go wzrokiem, jakby łączyła ich już wspólna historia. Ale nie pamiętał, jak biegł do niej po plaży, gdy mieli po osiem lat, jak jej czerwona sukienka ją opływała, a muszla skrzydelnika śpiewała mu do ucha. To było jak sen. A sny – jak każdą ważną rzecz – trzeba spisywać, żeby dobrze je zapamiętać.

Kiedy Anette była w dziewiątym miesiącu ciąży i widocznie miała już dość czekania, on zdradził jej swój plan.

– Kiedy dziecko się urodzi, weźmiemy ślub. Moja matka nas wesprze, kiedy nasze dziecko przyjdzie już na ten świat.

Anette przytaknęła ze wzrokiem utkwionym w morzu. Sądziła, że do tej pory już zdążą być małżeństwem i zamieszkać razem. Może nie potrafiła zrozumieć jego miłości do matki, bo sama nie przypominała sobie matczynego uczucia. Albo może jej siostra Eeona po części miała co do niego rację. Nie mógł wiedzieć, co to znaczy być ojcem. Anette chciała spytać Jacoba o Esau, ale stała się zbyt milcząca, żeby zapytać go o cokolwiek.

Weszli z Jacobem do oceanu i kochali się dłońmi. Nadal dopadały ją silne skurcze, w końcu więc wyszła na brzeg i zauważyła, że jej wewnętrzne wody odeszły. Zanim Eve Youme zobaczyła matkę, dostrzegła twarz Jacoba. Dlatego właśnie matka nie zdołała jej ocalić przed tym, kim się stała. Jedynym, który mógł ją uratować, był jej ojciec.

Dał jej na imię Eve, ponieważ była pierwszą kobietą w rodzie McKenziech,

jaka kiedykolwiek przyszła na świat. I tak samo jak biblijna Ewa straci ojca. Ale Jacob, kiedy tylko ją zobaczył, zapragnął córki, mimo że pozwoli jej odejść. Naprawdę wyglądała jak pierwsze stworzenie. Jacob był bogiem. Anette była Ziemią. Eve była nimi obojgiem. Do tego Eve zrobiła się dzika, rzecz jasna, jaki inny wybór miała pierwsza kobieta?

Ale nadawanie imienia to *vodou*, które odprawiają wszyscy rodzice. Anette na drugie dała swojej córce Youme. Spędziła długie godziny w bibliotece na szukaniu dziecku imienia, zamiast przygotowywać się do egzaminu nauczycielskiego. Imię nie oznaczało „nasza”, jak z początku miała nadzieję. Znaczyło „sen”. Ale to mogło mieć sens, skoro to, co nasze, i tak jest tylko snem. Czymś, o co trzeba cały czas walczyć, lub czymś, co kryje się w naszych głowach – to zależy. Tak się właśnie mają rzeczy na wyspie, więc na dziewczynkę nie wołano nigdy Eve. Z początku mówiono na nią Youme, ale w wyspiarskiej historii zapisze się jako Me. Historia potrafi to zrobić – zmienić człowiekowi imię. Historia jest tak prosta i nieustępliwa, że nikt się przed nią nie ukryje. Historia kazała się wykoleić nawet Jacobowi i jego Anette.

Widzicie, warzyła się nowa amerykańska wojna, tym razem w Korei. Okazało się, że jest tylko jeden sposób, by Jacoba nie wciągnięto w wojenny wir. I tym sposobem było nie utonąć w miłości do kobiety, którą kochał. Pomimo ślubów, które Jacob złożył Anette, jego matka nadal nie pochwałała ich związku. Zamiast tego zakazała mu przynosić dziecko do jej domu. Rebekah powiedziała mu, że potrafi przewidzieć jego przyszłość i że skończy w koreańskim rowie, jeśli nie posłucha jej bardzo uważnie. Był synkiem mamusi i mimo że walczył, by nim nie pozostać, posłuchał.

– Ona już ma jedno dziecko. Do tego dziewczynkę. Nie masz w tym żadnego interesu, żeby wychowywać dziecko innego mężczyzny.

– Ludzie nam pomogą. Poza tym to nie jakiś tam gość. To mój przyjaciel. On też pomoże.

– Synu, słyszysz, co mówisz? Nie możesz zostać ojcem córki. Dziewczynka wpędzi cię w tarapaty. A dwie? W życiu. Nawet ta, która, jak sądzisz, jest twoja, nie może być twoja – powiedziała Rebekah. – Pamiętaj, jesteś McKenziem, a McKenzie płodzą tylko chłopców.

– Może tak naprawdę nie jestem McKenziem – odparł, przypominając sobie mężczyznę o morskich oczach.

Rebekah nie zawahała się ani chwili.

– Ta kobieta rzuciła na ciebie zaklęcie. Nie waz się zapominać, kim jesteś. Bo nigdy nie będziesz doktorem i zostaniesz nikim. Rób, jak ci matka każe, a będziesz mógł liczyć na błogosławieństwo. Idź do szkoły medycznej i nie żeń się z tą dziewczyną od Bradshawów. Naprawdę, synu, nie chcesz trafić do Korei, by po ledwie osiemnastu godzinach wróg wziął cię na zakładnika, przywiązał cię do

drewnianej deski, przechylił do tyłu i nalał wody morskiej do nosa i ust, aż wypełni ci pierś i utoniesz. Albo może tylko wyobrazisz sobie, że toniesz, co jest jeszcze gorsze, bo opróżnisz pęcherz, wylejesz wszystkie łzy i padnie na ciebie strach większy niż w kolorowej armii. Żebyś więc nie stracił życia, a co ważniejsze – męskości, musisz dostać się do szkoły medycznej i zostać doktorem dzięki pieniądzom, które wujowie McKenzie ci ślą, ponieważ wierzą, że jesteś jednym z nich.

Jacob wysłuchał matki. Usłyszał rzeczy, które brzmiały na zbawienne. Powtarzał sobie, że jako lekarz będzie się cieszyć szacunkiem. I kiedy zostanie lekarzem, nikt nie będzie mu mówił, w której restauracji może jeść, a w której nie. Jako lekarz stanie się odpowiedzialny za życie – niczym Bóg. Wtedy zdoła ocalić siebie, swoją kobietę i ich dziecko... Oraz – jeśli to możliwe – także jej pierwszą córkę. Nie poślubi Anette teraz. Musi stanąć wystarczająco mocno na własnych nogach. Opracował więc inny plan. Kiedy tylko uda się z powrotem do Ameryki, odwiedzi brata dentystę i w końcu wybieli czerwonawy ząb. Koniec ze snami o kruszejących jak muszelki zębach. Wtedy wreszcie wyszczerzy kły i dopnie swego.

Wróci po Anette, jak tylko stanie się mężczyzną. Gdy tylko wyzwoli się od złych przeczuc swojej matki. Przyjmie żonę Ronniego. Zostanie mężem rozwódki. Takie posunięcia nie do końca przystoją dżentelmenowi. Chciał zrobić, co należy, a należało wtedy przetrwać i stać się mężczyzną. Potem mężem i ojcem. Starał się nie myśleć o własnym ojcu, McKenzie, który wyjechał i nigdy nie wrócił. Usiłował nie myśleć o matce, co znalazła innego mężczyznę, którego mogła pokochać. Nie chciał myśleć o tym, że może ów inny mężczyzna był jego prawdziwym ojcem.

Ale Jacob od zawsze wiedział, że Anette lubi hibiskus, który otaczał go w nocy i sprawiał, że czuł się jak samotne ziarnko piasku. Całe lata będzie kładł dłonie na innych kobietach i szukał w nich Anette.

59.

Eeona

Wierzę, że istoty ludzkie posiadają dzieci z potrzeby miłości. To żadne sentymentalne stwierdzenie. W końcu mężczyźni nie stoczyli przecież dwóch wielkich wojen z miłości do swoich wielkich krajów czy łańcuszków małych wysp, prawda?

Kiedy wróciłam z Freedom City, odkryłam, że mimo tego, co przeżyłam, nadal potrafię kochać dziecko. Przynajmniej tyle mogę zrobić. Pokochałam Eve Youme, córkę Anette. A jednak to ona unaoczniała mi wszystkie moje grzechy.

60.

W dniu wyjazdu Jacoba do Ameryki Anette ubrała się w białą bawełnianą sukienkę. W prezencie na pożegnanie, a raczej na przeczekanie, w pewnego rodzaju obietnicy Jacob kupił jej zwykłą białą bawełnę, a do tego całe jardy ekstrawaganckiego czerwonego surowego jedwabiu w żółte kwiaty. Wyobrażał ją sobie w długiej spódnicy, takiej, jaką nosiła jego matka. Czerwony to ulubiony kolor Anette. Żółć kwiatów – powiedział – symbolizuje tekome prostą oraz cukrzyka, odpowiednio: narodowy kwiat i narodowego ptaka wyspy. Chciał, by Anette była wyspą czekającą na niego, niezmienną na morzu. Myślał, że pewnego dnia z białego materiału, który zakupił, Anette będzie mogła uszyć suknię ślubną. Ale Jacob Esau, będąc mężczyzną, nie rozumiał, że rozwódka nie może przywdziać bieli na swój drugi ślub.

Eeona z białej tkaniny Anette uszyła codzienną sukienkę, ale nie chciała mieć nic do czynienia z surowym jedwabiem. Eeona sądziła, że to materiał godzien latawicy. Biała sukienka miała elegancki biały haft na rąbku spódnicy i rękawów.

Jacob ubrał się w szare spodnie i pasujący sweter, choć było za gorąco na taką elegancję. Buty miał wypolerowane. Trzymał Ronaldę za rękę, dziecinka miała we włosach mnóstwo dzikich kwiatków, które zebrał dla jej matki. Eve Youme siedziała na rękach u mamy, opatulona resztkami białej bawełnianej tkaniny. Stali w czymś, co niegdyś było hangarem samolotowym marynarki wojennej, ale teraz przekształciło się w przepocone, głośnie i ciemne lotnisko na wyspie.

Pasażerowie przybywali, odprawiali się, czekali, odbierali bagaż z wielkiej sterty w kącie, niektórzy wlekli co cięższe walizy za skórzane pasy. Grupa turystów stała i rozmawiała tak głośno, że wydawało się, iż się kłóć. Mieli różowe i oślizgłe twarze. Sufity były za wysokie, nawet ptaki nie zdołały założyć pod nimi gniazd, ale w środku i tak było wilgotno. W co wyższych zakamarkach zagnieździły się nietoperze, ale znajdowały się za wysoko, by ktokolwiek przejmował się ich nurami dawanymi na oślep. Lampy, niewiele wyższe od człowieka, rzucały nieco światła. W tłumie Jacob, Anette i dwoje dzieci mogliby uchodzić za prawowitą rodzinę.

Żaden głośnik nie oznajmił im, że czas się zbierać, ale stanie tam i czekanie były gorsze niż pożegnanie. O czym tu rozmawiać? To koniec. Żegnaj. Czy jeszcze kiedyś się zobaczymy? Módl się. Wierz w Boga lub kogoś innego. Skierowali się więc do wyjścia, ku samolotowi. W tym upale biała sukienka przywarła Anette do nóg. Jacob się z tego cieszył. Nie wiedział, czy jeszcze kiedyś zobaczy zarys jej ud.

– Niebawem wrócę – rzekł Jacob. – Tak szybko, jak tylko zdołam.

Doszli do końca korytarza. Przed nimi znajdowały się tylko otwarta przestrzeń i duże samoloty, powietrze bolało i przyprawiało o zawrót głowy. Odsunęli się na bok, żeby dać innym przejść.

– Kocham cię. – Jacob powiedział to do Anette, by przypomnieć jej, że nie

odchodzi od niej. Po prostu odchodzi. A to pewna różnica. Przyszło mu do głowy, żeby wytłumaczyć jej tę różnicę, ale miał pewność albo przynajmniej przekonanie, że ona rozumie. Anette przyciskała ich dziecko do piersi. Eve Youme wystawiała twarzyczkę z opatulającego ją materiału i wpatrywała się w ojca, nie mrugnawszy ani razu powiekami.

Anette nie powiedziała ni słowa. Jej mężczyzna odchodzi. Idzie do szkoły medycznej, tak jej powiedział. Niebawem wróci, zapewnił. Wtedy dostanie pracę z prawdziwego zdarzenia i nie będzie zależny od matki, swoich wujów ani nikogo innego. Anette uśmiechała się usilnie, żeby nie rozpaść się na kawałki.

W dzień wyjazdu Jacoba miała na sobie sukienkę z białego materiału, który jej kupił. Pozwoliła rudym włosom odrosnąć nieco, co przypadło mu do gustu. Pozwoliła mu, by tego ranka się z nią kochał, mimo że zakaz po porodzie jeszcze obowiązywał. Przyprowadziła ze sobą swoją córkę i jego córkę. Zdołała nawet go przekonać, że powinien pożegnać się z matką, zanim uda się na lotnisko, by rodzicielka spędziła z nim jego ostatnie wyspiarskie minuty. Ale i tak zostawiał Anette. Szkoła medyczna nie wypuści go z objęć tak prędko.

Anette porzuciła męża, który ją kochał. Męża, który mógłby zostać kochającym ojcem. A teraz ten, którego pokochała, odchodził – co prawda, nie na pokładzie łódki, lecz samolotu, ale jednak. Tam, w hangarze, Anette zaprzętała sobie głowę przeciwieństwem myślenia. Zapominaniem. Zapominała zwodniczą magię, którą wedle pogłosek władały kobiety z rodu Bradshawów. To tylko stare gawędy i bajania.

Jacob pochylił się i pocałował swoją córkę, swoje pierwsze dziecko, które później zniknie z rodzinnych fotografii. Ale teraz jest tylko dzieckiem, co wie tylko tyle, że miłość – tak jak jedzenie – może dostać zawsze, jeśli tylko o to zapłaci. Eve Youme uśmiechnęła się do ojca, bo uśmiechała się od urodzenia, tak jak jej matka. Jacob pochylił się nad Anette i pocałował ją – publicznie, posiadał ją – publicznie, był jej mężczyzną – publicznie. Ucałował ją i przytrzymał, by ją zbudzić, by zmusić do mówienia. Nie mogła go powstrzymać, miała ich córkę na rękach. Ale on zatrzymał swoje usta na jej wargach. Miał odczucie, jakby dawała mu siłę, mimo że zbyt mało była sobą, żeby mogła dać cokolwiek.

Oswobodził z uścisku lewą dłoń Anette, puścił palce, których nie przyoblekł w pierścionek, i wcisnął jej w rękę małą piąstkę Ronaldy. Anette patrzyła, jak jego ciało znika w samolocie.

I tak wyglądała jedna strona ich sagi.

MOJA WOLNOŚĆ



Kiedy Jacob odszedł, Anette jeszcze przez dwadzieścia minut czekała. Miała teraz dwoje dzieci wyłącznie pod swoją opieką. Dopiero kiedy Jacob zniknął z pola widzenia, ogłoszono, że czas wsiadać na pokład. Anette obserwowała, jak grupa amerykańskich podróżników rozpierzcha się w zamęcie. Pili, jak się zdawało. Z tego, co nam wiadomo, to Amerykanie robią tylko to: piją i skupują ziemię. Połowa grupki toczy się w kierunku samolotu. Druga połówka zostaje w miejscu. To nie Francuzicy, amerykańscy politycy, wojskowi czy starzy Duńczycy, którzy nie odpuścili i nie wyjechali. To był najgorszy typ białego człowieka. Turysta.

Anette trzymała Eve Youme w ramionach i przeprowadziła Ronaldę obok sterty bagaży. Amerykańskie białasy, które zostały na lotnisku, teraz wspinały się na samochód, prawie tak duży jak ciężarówka. Zatrąbili, gdy Anette przeszła przed maską. Skinęła głową, bo tak nakazywała grzeczność. Zaczęli się głośno przekrzykiwać. Była pewna, że nie mówią do niej, jako że Amerykanie nieczęsto się do nas odzywali, o ile nie robili z nami interesów. Anette szła powoli, żeby szkrab mógł za nią nadążyć. Plaża przy Lindbergh Bay, gdzie pierwszy raz byli z Jacobem razem, przypominała długie ramię piasku z morzem u boku – nęcący lub odpychający widok, nie była do końca pewna. Ale nawet tam nie spojrzała. Przejdzie przez tę ulicę ze wzrokiem utkwionym prosto przed siebie. Zajdzie do Savan, żeby posiedzieć z siostrą i poczekać na Jacoba. Choć wiedziała, że nie może czekać. Choć Eona miała uczynić jej oczekiwanie żalnym. Ale wielki samochód Amerykanów zdawał się śledzić Anette na drodze. Tak, z pewnością za nią jechali.

Anette przystanęła. Może przybysze czegoś potrzebowali. Miejsce pasażera zajmowała kobieta, ale to mężczyzna się do niej odezwał.

– Halo, dzień dobry. Jestem właścicielem Gull Reef Clubu na Water Island.

Anette zamrużyła i starała się uśmiechnąć. Nie słyszała o tym klubie i nigdy nie była na Water Island.

– Szukamy pokojówki. Naszą chyba deportowano na Antiguę czy Anguillę, czy jeszcze gdzie indziej. Wyobrażasz sobie, jesteśmy w kropce. Jeśli jesteś wolna, możemy cię zabrać od razu z bachorami i całą resztą.

Wypowiadając ostatnie słowa, kobieta z szoferki kiwnęła ochoczo głową i wskazała sporo wolnego miejsca z tyłu.

Gdyby Anette w tej chwili nie była w żałobie po Jacobie i gdyby dokładnie w tym momencie samolot Jacoba nie ryknął im nad głowami, mogłaby dać się ponieść, puścić dłoń Ronaldy, sięgnąć ponad kierownicę i uderzyć kobietę w twarz. Kobieta powinna mieć tego świadomość i nie dopuszczać do takiej obrazy, i to na oczach dzieci. Anette miała jednak na tym upale zbyt złamane serce. Wymieniły jedynie z kobietą spojrzenia, a potem wzrok nieznajomej powędrował za oczami Anette i spoczął na ryczącym samolocie.

– Połknęłaś język? – spytała kobieta, używając wyrażenia, którego Anette w życiu nie słyszała.

– Bardzo mi przykro – powiedziała w końcu. – Pomylili się państwo co do mnie.

Tej nocy Anette leżała w łóżku. Jej córki gnieździły się między nią a Eoną. Eona miała na oczach satynową opaskę. Były w tym samym miejscu co wcześniej. Dokładnie tym samym. Tyle że tym razem leżało z nimi inne dziecko. Tylko że teraz Eona, pragnąc ustrzec swą urodę, zakładała do snu satynową opaskę. Anette leżała tam i rozmyślała. W końcu przyszła jej do głowy myśl, że była głupia, iż kochała mężczyznę. Ale wiedziała – i nienawidziła się za tę wiedzę – że dla tego mężczyzny zgłupieje znów, ile razy będzie trzeba.

Anette usiłowała nie myśleć o Amerykanach z dużego wozu ani o Gull Reef Clubie na Water Island. Czyż to nie oni tak naprawdę próbowali wystrychnąć ją na dudka? Anette nie mieściło się w głowie, że rok później trafi na Water Island, właśnie do tego klubu.

62.

W Ameryce Jacob udał się do brata dentysty, kazał wybielić sobie czerwony ząb oraz wyrwać ząb mądrości. Kiedy ocknął się po znieczuleniu gazem rozweselającym, nie przestawał krzyczeć. Brat stał obok i trzymał Jacoba za głowę, żeby nie miotał się i nie rozbił niczego. A Jacob krzyczał coś bardzo dziwnego.

– Jestem prawdziwy! Jestem prawdziwy!

Wrzeszczał wniebogłosy, aż zmęczył się i uspokoił. Brat powiedział mu, że takie wrzaski są normalne. Naprawdę dość normalne. Mimo że wcale takie nie były.

63.

Eona była niańką surową i pełną dawnych manier, ale dziewczynki raczej ją lubiły, bo dawała im się bawić swoimi włosami. Nawet gdy RONALDA starannie zaplatała jej warkocze, a Youme, będąc jeszcze dzieciakiem, wyciągała pasma włosów, Eona siedziała wyprostowana i z groźną miną. Eona nie miała wokół ust zmarszczek mimicznych od uśmiechu, nigdy jej to nie groziło. Ale w kącikach oczu pojawiło się coś – nazywali to kurzymi łapkami – co zdradzało, że nie była już tak olśniewająca. Nigdy nie wyjdzie za mąż. Ten martwy noworodek to jedyne dziecko, jakie urodzi.

Nie było jej w pobliżu, żeby uważać na Esau. Ale teraz uważała na Youme. Czowała, że samo istnienie Eve Youme to jej wina. Czasem Eona szcztokowała włosy Youme. Czasami zaplatała je i szeptała dziecku do ucha. Specjalne zakłęcie na każde pasmo, które wplatała w warkocz. „Moja” – myślała. – „Moja własna”. RONALDZIE nigdy nie uczesała warkocza.

Anette czekała długie miesiące po odejściu Jacoba, choć wiedziała, że nie powinna. Potrafiła przepowiedzieć, kiedy ludzie się zjawią, i mogła przepowiedzieć, że Jacob się już nie pojawi. Mimo to czekała na list posłany statkiem z Ameryki albo rozmowę zamiejscową. Jakikolwiek znak. Wyczekiwała na niespodziewane odwiedziny albo paczkę niespodziankę pod drzwiami. Ale od kiedy Jacob McKenzie odszedł, nie było po nim ani widu, ani słychu.

Pewnego ranka przydybała na ulicy Saula.

– Żyje – powiedział Saul głupkowato. – Mama stale posyła mu kandyzowane wiśnie.

I tak oto Anette przestała czekać – przynajmniej z pozoru. Zaczęła chodzić na tańce. W pewien pokrętny, magiczny sposób myślała, że jeśli wyjdzie na potańcówkę, zespół zagra *They say it's wonderful* i wtedy zjawi się Jacob. Anette zostawiała dziewczynki w domu, by zaplatały i rozplatały Eeonie włosy.

Tego konkretnego wieczoru Anette nie udała się na kościelną potańcówkę, bo na Saint Thomas – mimo że w tak krótkim czasie – zdążyło się wiele zmienić. Trwała już jedna wojna, a krążyły pogłoski o kolejnej. Wszyscy mężczyźni palili papierosy. Każdy pił rum z coca-colą. Wszystkie rodziny miały krewnego w Ameryce. Na Saint Thomas mieszkańcy Wysp Dziewiczych mieszały się z Amerykanami, ale wyobraźcie sobie, że zjeżdżało się tu wielu, wielu przybyszy z innych wysp Karaibów! Rodowici wyspiarze ścielili hotelowe łóżka. Sprzedawali na targu wodę kokosową prosto z orzecha. Posiadali nawet pewne rzeczy: interesy, domy, samochody. Wszystko się zmieniło. Katolickie potańcówki zawsze miały konkurencję w postaci wieczorów gier u Adwentystów Dnia Siódmego, luterańskich występów kabaretowych i anglikańskich kręgli. Ale zabawa, na którą Anette udawała się z nadzieją przywołania Jacoba, należała do najnowocześniejszych – była świecka. Anette poszła na nią sama.

Tańce urządzono w restauracji po godzinach. Stoły odsunięto na bok, krzesła rozstawiono pod ścianami. Tak naprawdę było za dużo miejsc siedzących. Zbyt wiele wymówek, żeby siedzieć i się wstydzic. Anette właśnie się rozsiadła. Nie dlatego, że była nieśmiała, ale ponieważ zmęczył ją cały wieczór tańców z przeróżnymi mężczyznami, którzy byli tu nowi, bo przybyli z innych wysp, i na pewno nie wiedzieli, że Anette jest rozwódką z dwiema córkami z dwóch różnych ojców. Gertie umówiła się na kolację z Hamem, swoim amerykańskim kawalerem, nie było więc nikogo, kto kazałby jej pilnować manier. Anette siedziała, próbując ochłonać i wyczuć Jacoba, kiedy podszedł do niej ciemnoskóry mężczyzna.

– Dobry wieczór, Anette.

Nie poznała go, ale wykazała na tyle łaskawości – skutek wychowania Eeony – by zdobyć się na uprzejmość.

– Dobry wieczór.

– Anette, zatańczysz ze mną?

Fakt, że on znał jej imię, a ona nie знаła jego, stanowił problem. Jeśli się zgodzi, będzie tańczyć z kimś, kto zna ją, a kogo ona powinna znać, a to zupełnie inna historia niż tańczenie z pełnymi nieznanymi. Do tego ów mężczyzna miał dość ciemną skórę, co przyprawi Eeonę o zgryzoty, jeśli kiedykolwiek dowie się, że Anette choćby tylko z nim zatańczyła. Poza tym Anette była zmęczona i bolały ją nogi.

– Nie, dziękuję – powiedziała z wytwornym uśmiechem i odwróciła głowę, żeby dać mu znak do odwrotu.

Nie była niczyją pokojówką. Siostra wychowała ją tak, by potrafiła trzymać filiżankę jak dama. Poza tym miała w Stanach narzeczonego, czyż nie? Co prawda, nie napisał do niej ani słowa przez te wszystkie miesiące, ale mimo to...

Mężczyzna pochylił się nad nią i odezwał tuż przy jej twarzy.

– Anette, powinnaś ze mną zatańczyć, tak.

W głosie miał coś w rodzaju ostrzeżenia. Tak jakby był nie człowiekiem, a duchem, którym zresztą potem się okazał. Zaskoczyła ją jego impertynencja. Nawet się obraziła, choć jego silny głos ją zaintrygował. „Powinnam z nim zatańczyć, bo w przeciwnym razie co?” – pomyślała w duchu. A do niego powiedziała:

– Sądzę, że jest pan niegrzeczny, proszę pana. Nie znam pana. – Jak na złość zaserwowała mu poprawną angielszczyznę Eeony.

Mężczyzna nie cofnął się, jak powinien. Pochylił się znów nad jej twarzą.

– Anette, pamiętasz chłopca, który w podstawówce zrobił dla ciebie domek z aluminium? Siostra nie pozwoliła ci go zatrzymać, ponieważ myślała, że nie jestem ciebie godzien.

A niech mnie kule biją! Franky. Franky Joseph, który zbił dla niej komplet salonowych mebelków do domku dla lalek. Zrobił jej dom. Oczywiście, że pamiętała. Aluminiowy stół jadalniany i krzesła stanęły jej przed oczami jak żywe. Leżały na tym samym starym stole, przy którym wraz z Eeoną wciąż spożywały posiłki. W tym samym wynajmowanym mieszkaniu, które dwadzieścia lat temu było całkiem przyjemne, a dziś, no cóż, jest dwadzieścia lat starsze. Oczywiście, że pamiętała. Czy nie skończył szkoły wcześniej od innych? Czy nie zaginał podczas wojny? Wyciągnęła przed siebie dłoń, on ją ujął i zaprowadził na parkiet. Nie pamiętała jego zielonych oczu, ale taki właśnie miały kolor. Rozświetlały jego ciemną twarz jak obietnica.

Nazajutrz robotnik o zielonych oczach i zielonym cadillacu oparł się o ladę apteki, wziął resztę i zaprosił Anette do kina.

– Dobrze – powiedziała. – Ale będę musiała zabrać ze sobą dzieci.

A jakie to miało znaczenie? Franky kochał się w Anette od dziecka. Wiedział, że teraz jest jego czas i jego szansa.

Franky Joseph nie miał nic wspólnego z magią czy zaklęciami *obeah*. Żaden z niego czarodziej. Był po prostu wiernym wyznawcą miłości do Anette. Wyznawał ją całe lata. Uczył się tej miłości i studiował ją jak historię. Podczas wojny pracował dla Straży Wybrzeża. Ta historia zmieniła wszystko. Wojna zesłała mu na trudnej służbie na kutrze. Nie wysłali go do Niemiec ani do Ameryki. Został na oceanie. Teraz, kiedy przyjmowali kolorowych chłopaków do zadań bardziej odpowiedzialnych niż sprzątanie czy gotowanie, Franky pełnił prawdziwą służbę w Straży Wybrzeża Stanów Zjednoczonych. Przyjmował zagraniczne statki, głównie z innych wysp, sprawdzał papiery. Służył także jako zastępca strażnika latarni morskiej na Muhlenfeldt Point. Niewielu z nas miało okazję zobaczyć latarnię z bliska. Ale Franky znał każdy zakątek Wysp Dziewiczych, każdy skrawek lądu i każdą kroplę oceanu.

Franky usłyszał o tanecznym filmie na Water Island jako pierwszy. Ale zaczekał, aż zrobi się o tym głośno. Tak, Amerykanie kręcą film. Wyspy Dziewicze zostaną gwiazdą. Franky prowadził się z Anette dopiero od paru tygodni. Ich randki były niewinne i nostalgiczne.

Zabrał ją i dzieci na piknik w latarni morskiej. Do miejsca, które próbowali z Jacobem odwiedzić, ale prawie zginęli, kiedy Hamilton, chłopak Gertie, rozbił samochód. Ale teraz w latarni wiatr nie szeptał, on wył. Panorama była szeroka, tak jakby stali na rufie statku, tyle że Anette czuła się bezpiecznie. Franky sam przygotował jedzenie, co zbyt przypominało jej Ronniego. Potem, przed świtem, zjedli z dziećmi śniadanie na plaży, a kiedy słońce weszło, to zbyt intensywnie przypomniało jej Jacoba. Randka na planie filmu Water Island to będzie ich pierwsze wyjście bez dzieci, do tego po raz pierwszy nie będzie gotował. Franky potrzebował czegoś, dzięki czemu stanie się w oczach Anette oryginalny. Nigdy nie była na Water Island. To nie powinno przywozić jej na myśl wspomnień o nikim innym.

W radiu mówili, żeby ubrać się w jasne kolory. Przywdziać sukienki, które wirują w tańcu. Większość mężczyzn miała na sobie najlepsze białe lniane ubrania. Paru przyszło w koszulach i garniturach na amerykańską modłę. Ci mieszkali w Ameryce i wiedzieli, że Amerykanie nie do końca pojmowali elegancję guayabery, nie dali więc wiary poleceniu, by zachować „wyspiarską etykietę”. Każdy przywdział najlepsze buty – najgorsze obuwie do tańczenia.

Anette, która nadal pracowała w aptece, choć od niedawna zajmowała także posadę pomocnicy nauczyciela w anglikańskiej szkółce, udawała się na tańce pomimo strachu przed łodziami oraz pomimo czekania na Jacoba. Ciężko zapracowała sobie na szacunek. Cóż innego miała robić? Niezameżna samotna matka – nikt nie zatrudnił jej na pełnoetatową nauczycielkę. Musi zachowywać pozory. Po całym miasteczku krążyły plotki, jak to jeden z McKenziech wcisnął jej

do brzucha dziewczynkę, a potem ją zostawił. Nikt nie dawał temu wiary – McKenzie płodzili tylko chłopców. Anette pewnie jest kłamczuchą. Kto by ją teraz zechciał?

Anette poszła więc na plan filmu w Gull Reef Clubie na Water Island, ponieważ wszyscy tam szli, a ona chciała, by oni wszyscy zobaczyli, że ma się dobrze, po prostu świetnie. Patrzcie tylko, zielonooki strażnik ze Straży Wybrzeża w niebieskim mundurze zaproponował, że zapewni jej swoje towarzystwo. I Anette – jak wyspa – korzystała z zabawy tak, jak inni ludzie i inne kraje korzystają z syropu na kaszel czy ze spowiedzi. Porządna granda to świetne lekarstwo na każdą przypadłość, zarówno u człowieka, jak i całego społeczeństwa.

Pomijając fakt, że Franky był niezupełnie do przyjęcia – z jego ciemną skórą i podrzędnym nazwiskiem – Anette robiła z grubsza to, czego chciała dla niej Eeona. Nie kochała się z Frankym. Nawet nie pozwoliła mu się pocałować.

Ale trzeba także powiedzieć, że Anette szła na tańce, ponieważ właśnie na potańcówce poznała Jacoba, a któż mógłby zaprzeczyć, że to nie pasowałoby do piaskuna, gdyby przepłynął łódką kanał aż do Gull Reef Clubu i wyłonił się z mgły, żeby stanowczo rościć sobie prawo do Anette?

Ale Franky Joseph miał inny plan. Przywdział mundur, marynarską czapkę i całą resztę. Franky wiedział, że Jacob smalił cholewki do Anette na potańcówce. W końcu Franky usiłował zrobić to samo. Ich krótki związek, Franky zdawał sobie z tego sprawę, był kruchy jak niemowlę. Chciał dać Anette wspomnienie, które sprawi, że wszystkie inne wyblakną.

65.

Jacob

Czy mogę się wtrącić? Jestem doktorem... Ocaliłem życie wielu kobietom. Zapewne po mojej śmierci nadadzą szpitalowi Saint Thomas moje imię... Chcę powiedzieć tylko coś od siebie. Czy mógłbym zabrać głos? Moja matka... posiadała moc, by powstrzymywać i zaczynać wiele rzeczy. Jednakże miłość nie podlegała jej jurysdykcji. Powtarzano sobie po całej wyspie, że matka także zakochała się w nieodpowiednim mężczyźnie. Być może należałoby opowiedzieć tę historię... Moja matka sama poddała się miłości i już nigdy więcej nie potrafiła poruszyć kogokolwiek innego. Mówię wam, nie poruszyła mego serca... Chcę przez to powiedzieć, że... Kochałem Anette od początku i na zawsze... jakby była ciałem z mego ciała. Chodzi o to, że... Chodzi tylko o to, że muszę być posłuszny matce... Aż nie zostanę doktorem... Wtedy stanę się mężczyzną i będę podlegał tylko sobie. Ale Anette... Ona pierwsza zrobiła krok. Nie ja. Ja na nią czekałem.

To wszystko, co mam do powiedzenia.

66.

Na nabrzeżu zgromadził się tłum. Wypożyczono łodzie, żeby nimi powiosłować do brzegów Water Island. Anette kurczowo trzymała się Franky'ego, kiedy małe łódki rybackie cumowały w porcie. To był krótki odcinek, podróż zajmowała pięć, może dziesięć minut. Anette potrafiła pływać, ale łódka jej się nie spodobała. Franky był strażnikiem Straży Wybrzeża, miał więc wprawę w sterowaniu zarówno łodziami, jak i przerażonymi ludźmi, teraz więc objął Anette w pasie, mimo że przewoźnik wziął ją za rękę. Franky czuł przyspieszony oddech Anette.

Amerykanie swój plan filmowy zbudowali na wysepce w porcie. Każdy, kto mieszkał w centrum, czyli prawie wszyscy mieszkańcy głównej wyspy, widział, jak na wysepkę zwożono łodziami sprzęt filmowy. Trwało to całe dni. Wyspa Water Island wyrosła ponad przystań jak grzbiet jakiegoś wielkiego podmorskiego potwora. Gull Reef Club znajdował się na szczycie tej skały.

Na głównej wyspie mieściły się hotele, które może byłyby bardziej stosowne. Stał tam Grand Hotel o surowej duńskiej architekturze. A także Hilton, szczyjący się wodospadem obfitującym w najtłustsze krewetki na świecie. Ale filmowcy zamarzyli o ustroniu i plaży oraz właścicielu hotelu, który da im wolną rękę. Grand Hotel należał do miejscowych, kręcący film czuli, że lokalna ludność może zadawać za dużo pytań. Hilton za to należał do Hiltonów, a ci z kolei już i tak wiedzieli za dużo i nie musieli zadawać żadnych pytań.

Anette Bradshaw, która zawsze będzie należała do Bradshawów bez względu na to, jakie inne nazwisko przybierze, miała na sobie sukienkę z czerwonego surowego jedwabiu w żółte kwiaty. To był materiał, który kupił dla niej Jacob McKenzie. Tkanina miała zastąpić pierścionek zaręczynowy. Anette przez całe długie miesiące, od kiedy Jacob zniknął, nawet jej nie tknęła.

Ale Anette nie chciała, żeby czerwony jedwab wisiał w szafie i ją nawiedzał, dlatego postanowiła włożyć go na plan filmowy. A może Anette wiedziała, że materiał zawsze będzie się jej kojarzył z Jacobem McKenziem, który zawsze będzie McKenziem, ponieważ jego matka tak mu kazała. Przywdziała więc sukienkę, by przywołać go jak syrena. Nosila ją jak zakłęcie.

Eeona ze swoimi wciąż zjawiskowymi i krzykliwymi włosami oznajmiła młodszej siostrze, że sukienka z czerwonego jedwabiu to zbyt ryzykowny wybór na plan filmu.

– Daj mi spokój – powiedziała Anette. – Wyglądam jak gwiazda filmowa. – Przyglądała dłonią jaskrawoczerwony materiał.

– Wyglądasz jak ladacznica. Jesteś matką dwóch córek. – Starsza siostra pochyliła się i syknęła: – Jaki komunikat wysyłasz społeczeństwu?

Eeona wiedziała o Frankym, ale nie skomentowała tego ani słowem.

Ale to była sukienka stworzona dla amerykańskiego kina. Anette planowała także włożyć ładne czarne szpilki, ale Franky uważał, że nie pasują do sukienki.

A on, mając zielone oczy i zielonego cadillaca, znalazł się na dopasowywaniu kolorów. Wziął ją do sklepu obuwniczego La Zapateria, portorykańskiego składziku z półkami pełnymi najnowszych krzyków mody, i kupił jej parę białych czółenek z lakierowanej skóry z cienkim srebrnym paseczkiem i malutką srebrną sprzączką. Błyszczały na jej nogach niczym rybie łuski. Franky wiedział, że on w swoim granatowym marynarskim mundurze i Anette w jaskrawej czerwieni i bieli będą się dobrze prezentować. Będą wyglądać jak prawdziwa amerykańska para.

Ich stary przewoźnik przedstawił się jako mister Hippolyte Lammartine albo mister Lyte, jeśli państwo wolą. Poczęstował Anette łykiem rumu na uspokojenie. „Panno Bradshaw” – tak się do niej zwracał. Anette uśmiechnęła się mimo zmieszania, ponieważ go nie pamiętała. Pociągnęła mały łyk i poczuła słodkie gorąco.

– Znałem ojca pańienki – powiedział.

– Dziękuję – odparła Anette, bo w ogóle nie poznała Owena Arthura Bradshawa.

Spojrzała w dół na wodę, a potem przed siebie na Water Island. Zdołałaby dopłynąć do brzegu, gdyby głupia piroga zatoneła. Ramię Franky’ego obejmowało ją niczym bojka ratownicza. Hippolyte Lammartine puścił butelkę rumu w obieg, po czym zaczął wiosłować.

Francuzik, którego zaliczono by w poczet rasy białej, ale który utożsamiał się z Karaibami, był niezwykle podejrzliwy wobec białych przedstawicieli branży filmowej z Ameryki. Wiosłując, Hippolyte zadawał pytania, które wzbierały w nim, odkąd zaoferowano mu pracę przewoźnika łodzi na ten wieczór.

– Jak myślicie, dlaczego nie chcą kręcić filmu w Grand Hotelu?

Podając sobie butelkę z rąk do rąk, wszyscy skinęli głowami na znak, że to dobre pytanie. Hippolyte, do którego butelczyna przywędrowała z powrotem i którą teraz ścisnął między kolanami, dociekał:

– Muszą ukrywać jakiś sekret, nie sądzicie?

Franky, który był urodzonym przywódcą, a poza tym miał na sobie mundur, pierwszy zaproponował odpowiedź:

– To dlatego, że szukali hotelu z plażą. A tylko ten ją ma. Plaża nazywa się Honeymoon, czyli miesiąc miodowy.

Nikt inny nie był ani razu na Water Island, nie wspominając o Gull Reef Clubie, wszyscy więc zgodzili się z tą odpowiedzią. Tak, hotel miał plażę o uroczej nazwie. To świetny, a zarazem dziwaczny pomysł. Czy ci Amerykanie nie obawiali się ugryzień moskitów? Czy nie zastanawiało ich, jak hotel poradzi sobie z obsługą instalacji wodociągowej znajdującej się niemal równo na poziomie morza? Czy nie przyszło im do głowy, że właściciele hotelu zabronią innym wstępu na plażę? Ale Franky’ego zaciekała jedynie nazwa plaży – Honeymoon. A teraz, gdy

wypowiedział ją na głos, pozwolił sobie także na taką myśl: „Czyż ten wieczór to nie prawdziwy początek, mój i Anette? Jak miesiąc miodowy?”.

Hippolyte odezwał się i powiedział, co wymyślił. Filmowcy chcieli dekoracji w postaci płonących pochodni. Hilton by na to nie pozwolił, a w centrum, gdzie rezydował Grand Hotel, to byłoby zbyt niebezpieczne. Franky wcale nie uważał, by ogień na plaży to był dobry pomysł. Wszędzie wokół rosła drzewa, które mogą się zająć płomieniami. Wszyscy pozostali na łodzi sądzili, że może luna przegoni moskity, więc nie pogryzą ludzi do krwi. W przeciwnym razie będą naprawdę musieli żwawo tańczyć, żeby owady nie zostawiły im na skórze swędzących pręg, które nie wyglądają dobrze przed kamerami.

– Nie ma się co martwić – powiedział mister Lyte. – Tylko Amerykanie będą pogryzieni. Moskity lubią świeżą krew.

Plan filmowy rzeczywiście był na plaży. W środku postawiono parę stołów, dziwnie udekorowanych szklankami wypełnionymi jedynie do połowy lub postawionymi do góry dnem, z których teraz napój ściekał na czarne obrusy. Ale mężczyźni z Saint Thomas w białych koszulach guayabera wyglądali obok swoich pań w błękitach i żółci elegancko. Lecz Anette miała na sobie jaskrawoczerwony jedwab, a Franky mundur marynarski. Wyróżniali się.

Chłopakom z zespołu Markie and The Pick-up Men rozdano takie same koszule i szorty z nadrukiem fal i desek surfingowych. Zaprotestowali przeciwko krótkim spodenkom, bełkocząc z poirytowaniem, że prawdziwy muzyk z naprędce skleconej kapeli z Indii Zachodnich nigdy w życiu nie ubrałby się na występ na przyjęciu w szorty. To byłby wstyd, a oni przecież nie są małymi chłopcami, nie pracują przy cholernym obejściu ani nie idą popływać, do cholery. Reżyser wrzasnął w odpowiedzi:

– To film! Płacę wam, żebyście wyglądali autentycznie.

– Myślałem, że płaci nam pan, żebyśmy grali w kapeli.

Zdawało się, że reżyser ma ich wszystkich po dziurki w nosie, zanim jeszcze zaczęli kręcić, ale wtem odtwórczyni głównej roli, blondynka o niemożliwie szczupłych udach, mocno opiętych kopertową spódnicą, zauważyła, że muzycy i tak przyszli w identycznych czarnych spodniach. Reżyser uspokoił się i przystał na to. Zespołowi pozwolono zostać w długich spodniach. To i tak nie miało znaczenia kamera i tak nie poświęci Markiemu i jego chłopakom zbyt wiele uwagi. Nie będą nawet śpiewać. Filmowcy mieli podkład muzyczny. Kapela The Pick-up Men będzie udawać, że gra. Czy nie czytali umowy? Robią tu tylko za tło. Zapewniają autentyzm.

Niech tak będzie. Markie tak naprawdę nie pozbierał się po tym, jak przegoniono go sprzed mikrofonu. Wcześniej miał zwyczaj odprawiać skoczny taniec z przodu i rozgrzewać tłum. Tego wieczoru kazano mu grać na krowim dzwonku z boku, gdzie miał zostać do końca. Zespół już nigdy nie brzmiał tak

samo.

Z głośników popłynęła popularna piosenka *Rum and coca-cola*. Tylko że śpiewał nie Lord Invader, którego wszyscy znali, ale jakieś białoskóre siostry o nazwisku Andrews, które odwały kawał potwornej roboty. Chłopaki z The Pick-up Men trzymali palce nad instrumentami i grali widmową muzykę, ciała mieli sztywne jak zwłoki, twarze przerażone. Utwór grano w kółko. Nikt z Wysp Dziewiczych nie słyszał wcześniej tej wersji. Spytaliśmy o to reżysera. Jednak amerykański filmowiec powiedział, że nigdy w życiu nie słyszał oryginału śpiewanego przez jakiegoś Invadera.

– Ale w piosence śpiewają kobiety, a w kapeli przecież są sami mężczyźni – starał się delikatnie zauważyć młody asystent.

Wszystkim to przyszło do głowy, ale nikt nie powiedział ani słowa.

– Cicho, Attorney Fondred – zawołaliśmy. – To drobiazg.

W końcu to szansa dla wyspy. Wszyscy – zespół i tancerze – starali się wyglądać na szczęśliwych.

Uśmiechaliśmy się do kamery, próbując jak najczęściej dać się wyłowić jej oku. Porządne buty były nie tylko za porządne do tańca, one prawie uniemożliwiały tańczenie na piasku. Nie kręciliśmy zbyt biodrami i nie trzęśliśmy pośladkami, bo moglibyśmy się od tego poprzewracać, poza tym był z nami pastor.

Ale nadal była to darmowa rozrywka, i to na plaży, to wszystko, czego nam trzeba, żeby dobrze się bawić. Mężowie trzymali swoje żony to bliżej, to dalej, jakby się do nich zalecali, żony ścisnęły mężów za ramiona, jakby miały z nimi pikantny romans. Ci, którzy nie szaleli, popisywali się skomplikowanymi krokami tanecznymi, czasami dotykając ziemi jedynie palcami u stóp.

Anette przypomniała sobie tych wstrętnych właścicieli Gull Reef Clubu, którzy pomylili ją z potencjalną pokojówką. Czy teraz też tu są? Czy widzą, jak dobrze jest ubrana? Rozejrzała się w ich poszukiwaniu, ale nie rozpoznała ich w kłębowisku bieli tłoczącym się wokół. Być może zdążyli sprzedać posiadłość i wyjechać. Zdawało się, że Amerykanie w kółko tylko kupują i sprzedają, zjawiają się i znikają. Anette chciała odchylić głowę i zaprezentować niezły obrót, ale się opanowała, upominając samą siebie, że przecież reprezentuje swoją wyspę i – co równie istotne – pokazuje wszystkim, jak dobrze się ma. W końcu wszyscy patrzą. Ludzie gadają.

Biedne siostry Bradshaw. Nie słyszałeś, że ich ojciec umarł i odszedł? Tylko popatrz, jak rodzina nabrała wody w usta! Starsza siostra była kiedyś taka śliczna, ale potem zniknęła i wróciła jako stara panna. A ta Anette – rozwódka! Zapadła się pod ziemię i zrobiła sobie drugie dziecko z Jacobem McKenziem, tym, co gra na pianinie, no, z tym bohaterem wojennym – a przynajmniej ona twierdzi, że on jest ojcem. Bo on odszedł, zostawił ją z dzieckiem. Nie ma go już prawie cały rok.

Spójrz tylko, jak rzuciła się na pierwszego zielonookiego mężczyznę, który się napatoczył! Ach, te kobiety Bradshaw. Wisi nad nimi klątwa. Ale w końcu ojciec i matka je osierocili. Czego się więc można było spodziewać?

Anette wiedziała o tym, słyszała to wszystko, więc teraz, tańcząc na piasku w nowych białych butach i czerwonej sukience, uśmiechała się szeroko i wdzięczyła do kamery. Miała przecucie, które od czasu do czasu ją dopadało. Ktoś dla niej ważny niebawem się tu zjawi. Może Jacob McKenzie. Zgłosi pretensje do niej, ubranej w sukienkę z materiału, który jej kupił. Ale Franky, co zawsze wiedział więcej, niż dawał po sobie poznać, obracał Anette i mocno ją trzymał. Żeby wszyscy widzieli. Może Franky okaże się tym mężczyzną, który przegna Jacoba McKenziego z jej głowy. Wyglądali wyjątkowo, doprawdy. Inni przybliżali się do nich, żeby uszczknąć odrobinę z ich animuszu.

Podczas przerwy kucharka Gull Reef Clubu podbiegła z szeroko otwartymi ramionami i objęła Anette.

– Czy to możliwe? O mój Boże. Mała Nettie! – krzyknęła donośnie.

Inni przyglądali się tej scenie. Zaledwie parę osób z tej grupy utrzymywało przyjazne stosunki z siostrami Bradshaw. Nikt nie chciał mieć z nimi nic wspólnego. Nie po tym, jak rodzice je osierocili, uczynili nędzarkami, a z pewnością nie po wszystkich tych plotkach.

– Nie pamiętasz mnie? – spytała kucharka, jakby naprawdę nie mogła w to uwierzyć. – To ja. Sheila Ladyinga. Dawniej pracowałam u twojej matki w Nadmorskiej Willi. Wycierałam ci tyłek, jak byłaś mała. Mówiłaś do mnie: „Miss Lady”.

Anette się cofnęła. Czy przeczuwała przybycie tej osoby? Nie Jacoba? Pani Ladyinga przypatrywała się jej twarzy, aż stało się jasne, że Anette jej nie pamięta. Potem stało się jasne, że Anette nie chciała jej pamiętać, jeszcze nie wtedy.

Pani Ladyinga zaczęła mówić dalej, żeby wyjaśnić, kim jest, zadawała serdeczne pytania, ale wtem filmowcy włączyli kolejne nagranie. Tym razem popłynęły dźwięki bębnów, nie steel panu czy kongi, ale afrykańskich bębnów. Zespołowi The Pick-up Men powiedziano, że nie jest już potrzebny. Zwołano tancerzy, by utworzyli półkole i żwawo klaskali w rytm, podczas gdy obok ustawiono poprzeczkę do tańca limbo i rozpalono ogień.

– Hej, wy, nie siedźcie tak – reżyser zawołał do Anette i Franky’ego. – Gracie czy nie?

Anette wstała, nie zaszczycając kucharki żadnym miłym słowem. „Jestem tu z Frankym” – powiedziała do siebie. „Jestem tu z Frankym. Jestem tu z Frankym. To nie jest Jacob. Jestem tu z Frankym”.

– No cóż, mała Anette – powiedziała cierpko pani Ladyinga. – Muszę wracać do kuchni. Sporo gęb do nakarmienia dziś wieczór. Nie tak jak wtedy, kiedy byliście tylko ty i twoja siostra. – Wytarła czyste ręce w czysty kucharski

fartuch. – Ale gdyby nie ja, nie byłoby cię na tym świecie. Uwierz mi. Pozwól więc, że dam ci jedno ostrzeżenie.

Anette nie mogła nadażyć za tym, co wygadywała kobieta. Nawet nie próbowała się uśmiechać, zamiast tego odsunęła się, próbując nabrać dystansu. Ta kobieta to nie Jacob. Wcale nie Jacob. Czemu Anette miałaby się przejmować jej pojawieniem i jej ostrzeżeniem? Ale kucharka ciągnęła wątek, mówiła teraz szybko i cicho, tak jakby coś knuła.

– Nie jestem pewna, czy ten film to coś dla ciebie – powiedziała i zostawiła Anette Bradshaw, tak jak zostawiła ją już raz wcześniej.

Franky i Anette dołączyli do klaszczącej i tańczącej w kółku grupy. Anette wiedziała, że chce udowodnić coś tym ludziom, a przede wszystkim sobie. Tańczyła więc, klaskała, uśmiechała się i śmiała w głos, ogólnie rzecz ujmując, zdawała się mieć niezły ubaw. Bawiła się lepiej niż ktokolwiek inny. Jacob się nie zjawił. Jacob się nie pojawił.

Amerykanka, odtwórczyni głównej roli, której kopertowa spódnica była zbyt obcisła do limbo, stanęła w środku koła. Kucharka wyszła zobaczyć występ. Tym razem Anette usiłowała pochwytać jej wzrok, próbowała posłać jej uśmiech, wiedziała, że wcześniej była nieuprzejma. Ale Sheila Ladyinga patrzyła wszędzie dookoła, tylko nie na Anette. Anette spojrzała więc na Amerykankę i życzyła sobie po cichu, żeby aktorka zajęła się ogniem. Nie żywiła do niej niechęci, nie do niej samej, chodziło jedynie o to, że ogólnie przepelniała ją niechęć. A ta kobieta była w pobliżu i mogła stać się jej celem.

Zabawa w limbo nabierała rumieńców, poprzeczka lądowała niżej i niżej, a pierwszoplanowa aktorka wyginała się coraz bardziej, zaś tłum sześćdziesięciu, a nie dwudziestu gardeł wrzeszczał, kibicując jej. Franky krzyknął szeptem: „Musisz z niej być dobra tancerka”. Anette skinęła głową i starała się skupić na tej chwili.

Wtedy poprzeczkę umieszczono nisko, niziutko, tuż nad ziemią. Jezu Chryste! Jest ciężko, ale da się zrobić. Ci, którzy chodzili na rękach po rozbitym szkle, mogli tańczyć limbo przy samej ziemi z ogniem gorejącym przy twarzy, ale czy turystka to potrafi? Kamera czekała, gdy aktorka raz po raz łapała oddech.

– Zrobię to tylko raz, więc nie spaprzcie tego – rzuciła w przestrzeń ochrypłym głosem, przez co wydawała się starsza, niż wyglądała.

Klaskanie ustało. Wszyscy czekali. Zadarła spódnice i płomienie liznęły jej uda. Ugięła nisko kolana, wewnętrzną stroną stóp przywarła do ziemi, rozcapierzyła dłonie wnętrzem do góry w geście powitania i odchyliła tułów do tyłu, daleko, daleko. Najpierw kolana, potem dłonie.

Wtedy aktorka odsłoniła uda i krocze. Płomienie muskały ją wyżej. Pastor Milford otworzył szeroko oczy, po czym odwrócił wzrok. Przyszła pora na tułów kobiety z ogromnym biustem i w końcu na jej głowę. To włosy zajęły się ogniem. Były tak usztywnione, że wprost nie zdołały się oprzeć iskrze. Rozległ się

przerażliwy pisk. Kucharka zaniósła się donośnym śmiechem, ha, ha, ha. Pastor Milford pospieszył ocalić się od grzechu, zażarcie zasłaniając aktorkę marynarką i gasząc płomienie.

Anette zaczęła płakać. To ona to zrobiła. To Anette źle życzyła tej kobiecie. Anette powinna wiedzieć, że nie wolno nikomu źle życzyć. To nie pomoże jej dojść tam, gdzie przynależy. Nie pomoże jej dać się pojąć Jacobowi. Trzymała Franky'ego za ramię i schowała twarz w jego ciele.

– To bodaj peruka – Franky wyszeptał jej do ucha jak wybawiciel. – Spójrz, zobacz tylko.

Anette spojrzała i zobaczyła odtwórczynię głównej roli, jak wyzwala się spod marynarki pastora i wychodzi cała i zdrowa, czarne włosy oblepiają jej głowę, a zwęglona blond peruka ląduje w piasku.

Kobieta przydepnęła perukę bosą stopą, ale bez spodziewanej paniki. Twarz miała spokojną i opanowaną, dalej zdeptywała perukę. „Cięcie!” – zawołał ktoś. „Żadnego cięcia, ani mi się waź!” – zakrzyknął ktoś inny. Aktorka tupiała i tupiała, zapiaszczonymi nogami miażdżyła perukę rozpadającą się na kosmyki włosów lądujące w piasku, aż odtwórca głównej roli, który miał na sobie za ciasne kąpielówki, w końcu przebił się szturmem przez tłum i porwał ją pewnym ruchem w objęcia. Aktorka chłodno kazała mu się puścić, po czym weszła do wody.

Peruka porzucona w piasku wyglądała jak zamordowane pisklęta.

– Na dzisiaj koniec zdjęć! – powiedział reżyser przez megafon.

Tancerze, wśród których byli lekarze, prawnicy, pastorzy, wychowawcy i jeden funkcjonariusz Straży Wybrzeża, opuścili piaski Honeymoon Beach, wrócili do portu i wsiedli na pokłady łódeczek. Woda z łatwością niosła słowa, wszyscy więc słyszeli, jak inni tworzą opowieść o aktorce tańczącej limbo.

Tym razem to nie mister Lyte był ich przewoźnikiem. Anette pomyślała teraz o kucharce i poczuła się źle. Była na tyle zaabsorbowana, że zapomniała o strachu przed łódkami, lecz mimo to Franky obejmował ją ramionami. Anette nie przypominała sobie żadnej miss Lady, ale niby skąd miała ją pamiętać? Przecież nie mogła przywołać obrazu własnej matki. Wydobyła z pamięci wspomnienie Jacoba, lecz potem usilnie wyrzucała tę myśl za burtę do morza.

Gdy już dobili do brzegów Saint Thomas, Franky mógł odprowadzić Anette do domu pieszo, lecz zamiast tego wskoczyli do samochodu, a Franky opuścił dach. Anette przysunęła się do niego blisko na przednim siedzeniu i położyła mu dłoń na udzie – nigdy wcześniej tego dla niego nie zrobiła.

– Jesteś gwiazdą, tak – powiedział.

Anette, z ufarbowanymi na czarno włosami opływającymi jej twarz, z wielkim księżycem na niebie i szybkim cadillakiem, którym żeglowali po okolicy, uwierzyła mu. „Franky to dobry człowiek” – pomyślała. Skoro nadal myśli o Jacobie, musi być głupia. Dziś wieczorem w końcu pocałuje Franky'ego. On

zasługuje przynajmniej na to.

Lecz Franky, wyczuwając swój moment, nie czekał ani chwili dłużej. Zatrzymał samochód na poboczu, podszedł do drzwi od strony pasażera, otworzył je i przyklęknął na kolano. Minał dopiero miesiąc ich cnotliwych zalotów. Anette przycisnęła dłoń do piersi, jakby ją postrzelono. Franky ujął jej rękę, chwycił ją za palec i wcisnął na niego pierścionek zaręczynowy z brylantem wyrastającym w górę jak wulkan.

– Och, Franky. Dziękuję. Dziękuję ci – powiedziała Anette, ponieważ nie mogła powiedzieć: „Tak”, ale wiedziała, że nie powinna mówić: „Nie”.

67.

Jacob Esau McKenzie nie zniknął tak po prostu, zostawiając Anette niezamężną i z dzieckiem. Prawdę mówiąc, zjawił się w szkole medycznej w stolicy Ameryki z pewnym przekonaniem. Jeśli zamierza zostać pediatrą, będzie musiał się skupić i ukończyć szkołę, a potem specjalizację. Żadnych kobiet. Żadnych wyjść do kina. Żadnego dokazywania, żadnych psot. Tylko dziecięce czaszki. Jelita niemowląt. Ulewianie i czkawki. To wyznaczało krąg jego zainteresowań. No i oczywiście Anette i mała Eve. Wróci do nich. Żadna pielęgniarka, żadna lekarka nie odwiodą go od tego zamiaru. Musi tylko „zostać doktorem”. A pewnego dnia – mężem i ojcem.

Nie odpisywał Anette i nie słał listów na wyspę. Pisanie tylko wydłużył czas oczekiwania. Trzeba byłoby skreślić słowa: „Tęsknię za Tobą”. Należałoby wyznać: „Nasza miłość blednie”. Do tego pisanie do Anette mogło oznaczać jego koniec. Tak powiedziała mu matka. A ona pewnością dowiedziałaby się na tak małej wysepce o każdym liściku. Zapewne posłodziłaby naczelnikowi poczty, wręczyłaby mu miksturę odżywiającą soki cipki jego żony. Albo coś w tym stylu. Jacob nie pisał więc ani do Anette, ani do nikogo innego, nawet do matki. To był jego mały bunt przeciwko Rebekah. Mimo że cały czas posyłała mu kandyzowane wiśnie upchane do małych słoiczków, w których niegdyś przechowywano papki dla niemowląt. Tak, świat się zmienia. Teraz jedzenie dla dzieci było w słoikach. Tak je sprzedawano, najwyraźniej nawet na wyspie.

Zamiast pisać czy dzwonić, Jacob owinął gumkę wokół serdecznego palca i wyobrażał sobie Anette w białej sukni. Kupił jej tkaninę na tę suknię, lecz ona, zamiast czekać na ślub, przywdziała ją tego dnia, gdy go pożegnała. Ale i tak marzył o ożenku.

Pewnego chłodnego waszyngtońskiego dnia zobaczył twarz Anette na plakacie filmowym. Wpatrywał się w afisz *Girls are for loving – Dziewczyny stworzono do miłości* – i stwierdził, że to nie może być Anette. Mimo znajomego materiału sukienki i znajomej twarzy kobiety. Nie, to nie były Wyspy Dziewicze. Ani nie na plakacie, ani w filmie.

Mimo to plakat filmowy wzburzył go na tyle, że złamał się i napisał pospieszną wiadomość do brata, żeby wyświadczył mu przysługę i sprawdził, co u Anette i dziecka. Ale Saul był zaprzątnięty aktualnym projektem architektonicznym oraz towarzyszącym mu potajemnym romansem. Nie zaglądał na pocztę, aż sam naczelnik wpadł na niego na Back Street i dał mu znać, że czeka na niego list. Saul odpisał więc bratu wiele tygodni później: „Anette jest zaręczona i zamierza wyjść za mąż. Nic nie wiesz?”.

68.

Anette i Franky stali się na Saint Thomas gwiazdami. Obklejono plakatami całą wyspę. Czerwienią wypisano tytuł: DZIEWCZYNY STWORZONO DO MIŁOŚCI. A poniżej znajdowała się scena z tańców w Gull Reef Clubie. Anette i Franky trafili na afisz, jakby byli gwiazdoram. Zajmowali ponad połowę miejsca. Nieważne, że sukienka Anette wirowała nieco za wysoko. Nieważne, że cerę rozjaśniono jej tak, iż wyglądała prawie jak biała kobieta, za to skórę Franky’ego przyciemniono, a jego zielone oczy zdawały się nazbyt zielone. Nieważne, byli gwiazdami! Przysporzą Wyspom Dziewiczym sławy!

Prasa przeprowadziła z nimi wywiad i zapytała, czy zamierzają wziąć ślub. Anette, na której palcu pobłyskiwał pierścionek, wzięła Franky’ego za rękę i odparła: „Niebawem”. Franky to dobry człowiek. Wspaniały, doprawdy. Pracuje w Straży Wybrzeża. Opiekował się podstarzałą matką, której z podbródka wyrastały włosy. Anette była damą, tak jak pragnęła tego Eona. Żadnego bezmyślnego ruchu jak z Ronniem. Żadnego miłostnego uniesienia jak z Jacobem. Musiała mieć na uwadze dobro dzieci.

Franky podwoził Anette, kiedy zgłosiła się jako wolontariuszka na posadę zastępczyni nauczycielki w prywatnej szkole anglikańskiej. Tego ranka, gdy opublikowano wywiad, Franky czekał, aż wsiądzie do samochodu, a potem położył jej egzemplarz gazety na kolanach. Na okładce dziennika znajdowało się ich zdjęcie, jej dłoń mocno ujęta w jego dłoń. Pierścionek zaręczynowy lśnił jak obietnica już z pierwszej strony.

W drodze do szkoły Franky przyrzekł, że własnymi rękami zbije dla niej komplet mebli salonowych i wybuduje cały dom, taki, w którym tym razem będzie mogła zamieszkać.

– Anette, czekałem na ciebie od czasu, kiedy byliśmy dziećmi, tak.

I to tak naprawdę wystarczyło. Ponieważ wyglądało na to, że Ronnie nie potrafił poczekać na nią choćby połowę tego czasu. I ponieważ wychodziło na to, że Jacob, jej pierwsza miłość, w ogóle nie potrafił na nią czekać.

Anette poświęciła trzy godziny na ocenianie sprawdzianów szósto-, siódmo- i ósmoklasistów z historii Karaibów i historii Ameryki, teraz tworzących naszą wspólną historię. Jednak trzy razy wstawiała i wchodziła na szczyt szkolnych

schodów, by spojrzeć na port i zobaczyć, czy Jacob przypadkiem się tam nie zjawił, a ona tego nie przeczuła. To niemądre, ale wpadła w nagłą desperację. Kiedy rozległ się dzwonek na przerwę obiadową, skończyła sprawdzanie prac i to Franky, wcale nie Jacob, czekał, by ją odebrać.

Anette stała na szkolnych schodach, by wziąć parę ostatnich oddechów, potem zeszła.

– Zróbmy to w przyszłym tygodniu – powiedziała.

Ale Franky, który miał dobre wyczucie czasu, oznajmił:

– Zróbmy to dzisiaj, tak.

– Ale ja nie mam sukni – powiedziała, rozglądając się dookoła i zauważając, że paru mijających ich nauczycieli odstawia wielkie przedstawienie, udając, że wcale nie przysłuchuje się rozmowie.

– Cóż, urząd stanu cywilnego zamykają dopiero o czwartej po południu, a sklepy są otwarte do piątej.

I Anette, która nie miała już czasu, by przewidzieć nadejście, które się zbliżało, a jeszcze nie nadeszło, powiedziała:

– Cóż, w takim razie czemu nie.

To był właściwy, logiczny krok. Franky był mężczyzną, który postawi dom. Mężczyzną, który zaopiekuje się dziewczynkami. Mężczyzną strażnikiem. Jacob McKenzie tu nie nadpłynie. No cóż, wobec tego Jacob w ogóle nie jest mężczyzną.

Eeona nie lubiła Franky'ego, ale się zgodziła. Anette miała dwoje dzieci. I tak dopisało jej szczęście, że w ogóle znalazła mężczyznę. Choćby potakiwacza, który chce wszystkim sprawić przyjemność. Może tak będzie najlepiej. W każdym razie człowiek niskiego pochodzenia to lepszy pomysł niż rodzony brat, Eeona była o tym przekonana.

Anette kupiła prostą żółtą sukienkę. Zielony to jego kolor, czerwień była jej barwą, ale żółty symbolizował wyspę, a Anette potrzebowała, by ten ślub przerósł ją. W urzędzie zamknęła powieki, kiedy urzędnik spytał, czy ktoś zgłasza sprzeciw. Kiedy je otworzyła, zobaczyła tylko Franky'ego i zaglądając mu w oczy, dostrzegła, że tylko on ją kocha i tylko on został przy jej boku.

Jeszcze w tym samym tygodniu Anette z dziewczynkami przeniosły się od Eeony do skromnego dwupokojowego mieszkania Franky'ego. On sam wyprowadził się od matki dużo wcześniej, niż to zdarzało się mężczyznom na wyspie.

Eeona została sama w swoim małym jednopokojowym mieszkanku.

Teraz, kiedy Anette ponownie wyszła za mąż, nie było żadnych moralnych obiekcji, by dostała awans, w ciągu tygodnia wezwano ją do gabinetu dyrektora i poinformowano, że może objąć posadę nauczycielki w letniej szkółce. Jeśli pozostanie w związku małżeńskim, specjalnie to podkreślono, znajdzie się dla niej coś stałego, kiedy szkoła otworzy podwoje dla uczniów we wrześniu.

Franky zaczął się rozglądać za kawałkiem ziemi, gdzie mógłby postawić dom, żeby dotrzymać obietnicy. Ale zanim Franky zdąży wybudować dom i zanim Anette zdoła zostać nauczycielką, nadejdą inne rzeczy. Po pierwsze, Jacob McKenzie.

69.

Jacob McKenzie, kiedy dowiedział się o zaręczynach Anette, nie zrobił nic. Nic a nic, doprawdy. Nie uczył się więcej w szkole medycznej ani nie jadał rzadziej w restauracjach, ani nie zastanowił się nad sobą lub swoimi porażkami z przeszłości. Nie wziął wolnego w szkole ani w pracy. Potrzebował tylko miesiąca, żeby zebrać pieniądze, które zarabiał jako kelner – jego nienaganny amerykański akcent oraz piaskowa skóra zapewniały mu sowite napiwki. Wtedy kupił bilet w jedną stronę do domu na wyspie. Jacob zrobił wszystko, co wówczas było w jego mocy. Nic więcej nie zaporzątało mu myśli do czasu, aż jego samolot nie wylądował na Saint Thomas, a on poczuł zapach porzewiałego hangaru, dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że ostatni raz widział Anette i ich malutką córeczkę na tym samym lotnisku.

Pasażerowie przeciskali się obok niego, żeby wysiąść z samolotu, bo stanął na środku schodów. Jacob pochylił się i przytulił twarz do pasa startowego. Nie pocałował ziemi Saint Thomas tak jak wtedy, kiedy wrócił z wojska. Tym razem ją polizał. Lizał ziemię, po której toczą się samoloty i którą codziennie przydeptują setki stóp. Lizał ją, jakby była kobietą. I pewna kobieta wbiła w niego oczy, aż pilot położył Jacobowi rękę na ramieniu i powiedział mu, że jego miłość do ziemi jest godna podziwu, ale obsceniczna.

Jacob nie udał się do domu matki. Nie miał wstydu ani nadziei, więc poszedł do Ronalda Smallsa. Ronnie został w wojsku i przechowywał fotografię Anette niczym amulet. W Korei, dokąd go zaciągnięto, pozostał niewinny jak zwykle i prawie wcale nie widział na oczy działań wojennych. Jacob poszedł do niego, ponieważ Ronald był mężem Anette. Ronald ją kochał. Ronald ją stracił. Ronald zrozumie, co teraz czuje Jacob.

– Zastanawiałem się, czy się zjawisz – powiedział Ronnie, kiedy usiedli w salonie.

Matka Ronniego poczęstowała ich nalewką z jagód Guava, bo przyszła Gwiazdka. Kobieta była rozżalona. Nigdy nie podobał jej się pomysł ślubu Anette z jej synem. Te siostry Bradshaw myślały, że są dla nas za dobre. Ha! Spójrzcie tylko na Anette. To ladacznica, cała wyspa o tym wie.

Jacob przytaknął pani Smalls, tak, niech napełni mu kieliszeczek po brzegi.

– Niewiele wiem, Jay – powiedział z zakłopotaniem Ronnie. – Nie było mnie tam.

– Tam to znaczy gdzie? – zapytał Jacob, czując, jak nalewka pali go

w gardle.

– Tam, gdzie wzięli ślub.

Jacob wypił trunek z powrotem do kieliszka.

– Matko Boska! Słyszałem, że dopiero mają wziąć ślub. Człowieku, minęło tylko parę miesięcy.

– Zgubiłeś głowę w Ameryce, Jay? Minął prawie rok. – Ronnie potrząsnął smutno głową, bowiem rozumiał stratę Jacoba. – Wyszła za porządnego gościa. Ze Straży Wybrzeża. Wiesz, niewielu z nas trafia do straży. Pilnuje latarni morskiej. Raz nawet wybrałem się z nim na drinka.

Tym razem Jacob wypił nalewkę jednym haustem i odstawił kieliszek z hukiem na stół.

– Ronnie, upadłeś na głowę? Facet bierze ślub z twoją żoną, a ty idziesz z nim pić?

Ronald cmoknął ustami i dolał do kieliszka.

– Jacob, ty zrobiłeś mojej żonie dziecko, a jakoś siedzę tu z tobą i piję.

Jacob przytaknął. W piersi czuł obrzęk pokory, ucisk dumy i słodczy nalewki.

– Tylko nie gadaj mi już więcej o tym, co robi jej nowy mąż. Albo jak wygląda. Lub jaki ma charakter. Przyjechałem, żeby przekonać Anette, by za mnie wyszła.

– Teraz jesteś gotowy się zenić?

Jacob potrząsnął przecząco głową. Włosy splątały mu się w drobne loczki. Ubranie miał zmięte. Oczy przekrwione.

– Nie jestem jeszcze gotowy, żeby zobaczyć ją, żonę innego.

Do oczu zaczęły napływać mu łzy, ale wtedy zerwał się na równe nogi i wyszedł. Na kawalerskiej kanapie Ronniego zostawił torbę, szal i zimowy płaszcz. Jego pusty kieliszek po nalewce stał na stoliku kawowym.

W końcu Jacob skierował kroki do domu matki. Wiedział, że matki nie będzie wówczas u siebie. Jest na targu, sprzedaje pigwy i limonki oraz zaczarowane napary. Nie chciał, by go widziała, z obawy, by nie rzuciła na niego *obeah*, które rozdzielili jego i Anette do końca życia. Ale może Saul będzie w domu i może będzie potrafił pomóc.

Jacob otworzył drzwi i nie zobaczył nikogo. Zajrzał do pozostałych dwóch pokoi – chłopców i matki. Ani żywej duszy. Pianino przesunięto na środek korytarza. Sofę postawiono na betonowych pustakach i ustawiono przed klawiszami niczym ławę. Jacob wsiąkł w kanapę.

Tak naprawdę nie zagrał niczego konkretnego. Zagrał cokolwiek. Akord tego, melodia z tamtego, murmurando jeszcze z czego innego, do tego wystukiwał rytm nogą i kiwał do taktu głową. W jego opinii brzmiało to na amerykańskiego bluesa. Zdaniem przechodniów mijających dom brzmiało to na nawiedzoną

muzykę.

Jacob grał, czując, jak pot zbiera mu się pod udami, a łzy płyną po twarzy. Roztopiał się. Muzyka była powolna i nieczysta. Żadnych grzeczności rodem z listu miłosnego, żadnego: „Kocham cię”. Melodia była raczej zadziorna, mówiła: „Rzucam szkołę i męstwo” albo „Wiem, że się spóźniłem, ale jestem tu teraz”. Zadzierała z dwiema córkami Anette i jej nowym mężem. Ale Jacob wcale tego nie słyszał, mimo że to właśnie wygrywał. Słyszał jedynie swoje palce na klawiszach pianina i stopy przyciskające pedały instrumentu oraz pokrzykujące usta. Słyszał tylko siebie. Kiedy więc jego brat wszedł z wstępnymi planami rozbudowy osiedla pod pachą, Jacob go nie zauważył.

Saul usłyszał muzykę i zaczął tańczyć po pokoju do rytmu, który nie brzmiał wcale melodyjnie. Kiedy Jacob posłyszał męskie kroki, odwrócił twarz i przestał grać. Przed oczami stanęło mu dziecięce wspomnienie mężczyzny o morskich szarych oczach, tańczącego z nim w tym właśnie miejscu, a potem się rozwiało. Otarł twarz wierzchem dłoni.

– Przybyłem po Anette – powiedział Jacob do brata.

Saul zamarł.

– Wiem.

– Musisz przekazać jej wiadomość ode mnie.

Mina mu stężała, jakby rozkładała go choroba.

– Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Mama ukarze nas obu.

– Po prostu mi pomóż, dobrze?

– W porządku, Jacob. Zajmę się tym za moment.

– Czemu nie już, teraz, zaraz?

Saul spojrział na brata. Spali w tym samym łóżku, dorastali razem, ale rzadko się sobie zwierzali. To nie przystawało McKenziem. Teraz Saul podszedł do Jacoba i dotknął jego skąpanej w strumieniach łez twarzy.

70.

Anette uśmiechnęła się nieznacznie i udawała, że nie wie, czemu Saul przyszedł. Wiedziała, miewała przeczucie i przepełniała ją wiedza, kiedy ktoś miał się zjawić. Ale ta wiedza była okrutna, ponieważ przybyła za późno. Oto i magia, która okazała się bezużyteczna, gdyż ludzie nie zawsze przychodzą wtedy, kiedy się tego chce. Anette wiedziała, że Saul przyjdzie, a w ślad za nim przybędzie Jacob. W salonie Saul rozmawiał z nią o kolegach z dawnej klasy i o dzieciach – w końcu Eve Youme była jego bratanicą.

– Piękne dziewczęta – podsumował, nawet nie spojrzawszy w ich stronę.

– Przynieście wujkowi Saulowi nalewki z jagód Guava – Anette poleciła córkom.

Zostało im pół karafki trunku, który Eeona przyrządziła tego sezonu na

sprzedaż. RONALDA poszła po kieliszki, ale siostra nie podążyła za nią. Eve Youme, nadal mały berbec, nie chciała wyjść z pokoju. Już wtedy było w niej coś dziwnego. SAUL przypatrywał się uważnie Eve Youme, która ze spokojem odwzajemniła spojrzenie. W końcu przestał mieć nadzieję na chwilę odosobnienia. Kiedy RONALDA wróciła z kieliszkiem nalewki, wziął od niej tylko serwetkę. Wyjął eleganckie wieczne pióro i nagryzmolił wiadomość. Potem zebrał się do wyjścia. RONALDA obserwowała, jak drzwi delikatnie zamykają się za nim, sama stojąc obok siostry z nalewką z jagód Guava w dłoni. Była za mała, by się napić, ale opary alkoholu omiatały jej twarz.

Anette nie otworzyła wtedy liściku. Nie kiedy RONALDA stała tam z kieliszkiem w dłoni. Nie kiedy Youme wpatrywała się w Anette tak, jakby czytała jej w myślach. Włosy wiły się dziecku wokół głowy jak zmije.

Anette ruszyła do szafy po wyjściowy kapelusz i zobaczyła swoją czerwoną filmową sukienkę. Ścisnęła tkaninę w garści, jakby czegoś się od niej domagała. Potem wygładziła ją z wymuszonym spokojem i pospieszyła szczotkować włosy. Zostawiła za sobą dom, zostawiła dziewczynki, żeby pójść przeczytać, co napisano na serwetce.

Kiedy matki nie było, RONALDA przejmowała władzę. Zamiast wlać nalewkę z jagód Guava z powrotem do karafki, RONALDA wypła ją powoli, po czym naląła trochę siostrze.

Anette długo spacerowała. Stukała obcasami. Znów była porządną mężatką. Film, w którym wystąpili razem z Frankym, miał się ukazać w kinach za parę tygodni. I było coś jeszcze – dziecko w niej, które ukaże się na świecie jeszcze w tym roku.

Jak daleko Anette musi odejść od mieszkania, żeby to nie była zdrada? Skierowała kroki do portu, gdzie rozładowywano statki i paru białych marynarzy paliło papierosy. Zadokował tam nawet wielki statek pasażerski. Pośrodku przystani widać było Water Island, gdzie tańczyli z Frankym, aktualnie jej mężem, w Gull Reef Clubie, a kamery ich filmowały. Zatrzymała się przy ławce na świeżo wybrukowanym Water Front. Niegdyś były tu same kamienie i piasek, a teraz miejsce to spoił beton, samochody mogły zaparkować, marynarze i turyści spacerować, a kobiety siadywać tu, by kontemplować swoją niewierność.

Spotkaj się z nim na plaży przy Lindbergh Bay o zmroku. Mówi, żebyś zabrała ze sobą małą Eve i wszystko, czego będziesz potrzebowała w Stanach.

Anette nadal była młoda. Wciąż soczysta jak mango julie, wiedziała to. Ale wiedziała także, że w końcu zaczyna się jej dorosłe życie. Koniec z: „Robię krok w przód, dwa kroki do tyłu”, koniec z: „Gonię w piętę za mężczyzną”, koniec z: „Jeżdżę w kółko samochodem bez drzwi”. Czeka na nią prawdziwe życie z domem i dziećmi oraz mężem, którego matka nie rzuca przekleństwa *obeah* na

jego życie. Anette uczyła teraz historii i sama korespondencyjnie pobierała lekcje. Starła się o licencjat, który zapewniłby jej wyższą płacę i prestiż. Pragnęła w końcu stać się prawdziwą kobietą. Jakaż to ironia, że teraz to ona będzie tą Bradshaw, która ucieknie i wyląduje w Ameryce.

Słońce było jasne i gorące, ale ona czuła łagodny pasat, chłodzący jej szyję. Świat zdawał się stać przed nią otworem. Anette wyjrzała na ocean. Ominęła wzrokiem Water Island i nawet nie wspomniała o filmie. Zamiast tego pomyślała o mężczyźnie i kobiecie, którzy sądzili, że jest pokojówką. Spojrzała na możliwości rysujące się na horyzoncie. Nadchodził zmierzch.

Nie powinna tak na to patrzeć. Powinna obejrzeć się za siebie na samochody, ludzi albo budynki. Zamiast tego stanęła twarzą w twarz z morzem. Słońce czerwieniło niebo. Przepelniało ją morskie powietrze. To wzburzone, przepastne i przytłaczające błękitne morze. To żywe, namiętne i ustępliwe błękitne morze. Pomyślała o pierwszym mężczyźnie, którego prawdziwie pokochała. Pamiętała to, jak znali swoje ciała, nawet w ciemności, jakby byli dla siebie stworzeni. Jak nawet bez obrączki czuła, że Jacob należy do niej. A kiedy ona krzyczała i parła, rodząc ich dziecko, on też krzyczał, trzymając twarz tuż przy jej obliczu, aż położna zagroziła, że go wyrzuci, twierdząc, że nie tak powinien zachowywać się ojciec. Odepchnął położną na bok i trzymał gorejącą główkę Eve Youme, kiedy ta przyszła na świat. Niczym doktor, którym zostanie. Anette pamiętała, że kochał ją, jakby była warta tuzin nocnych plaż. Przypominała sobie, jak kochali się tam w nocy. Jak robili rzeczy, o których wie, że powinna się ich wstydzić. Jak powiedział jej, że jest taka silna, iż swym małym ciałem mogłaby go rzucić na kolana. Jak rozcierała mu dziąsło przy bolącym zębie, żażegnując ból. Jak zanurzał palce w jej włosy i masował je u nasady, mówiąc, że czuje rudość. Jak dotykał jej tak, jakby do niego należała. I jak przepelniało ją wtedy, bardziej niż kiedykolwiek indziej w całym jej życiu, poczucie przynależności. Bycie z nim oznaczało należenie do niego. Była głupia, że na niego nie zaczekała.

Ale teraz jest mężatką. Teraz mąż gotuje dla niej, obwozi ją po okolicy zielonym cadillakiem, zabiera ją na tańce i troszczy się o Ronaldę i Youme, jakby były jego własne. Jednak Franky nie czuł się częścią rodziny, mimo że małżeństwo to potwierdziło. A Jacob do niej należał.

Anette wróciła do domu, żeby się przygotować. Pragnęła przynależeć. Wyjedzie z Jacobem.

Jacob nie poprosił Anette, by wzięła ze sobą Ronaldę. Poprosił tylko o Eve. Na razie więc Anette będzie musiała zostawić Ronaldę u siostry. Tak będzie najlepiej. Przynajmniej dopóki się nie ustatkują. Anette nie myślała o tym, z czego zdawała sobie sprawę. Że Ronaldzie nie będzie u Eeony dobrze. Albo o tym, że w drodze jest kolejne dziecko i to dziecko należy do Franky'ego.

Anette minęła przynajmniej sześć plakatów filmowych, na których widniała

razem z Frankym. Była zdeterminowana, żeby w ogóle nie patrzeć na afisze. Ludzie wołali za nią: „Sławna pani Joseph”, a ona z grzeczności reagowała. Ale trzymała wyobraźnię na wodzy. Nie myślała o niczym innym jak tylko o przyszłym pięknym życiu. Stukała obcasami o chodnik. Musiała się spieszyć. I to bardzo.

71.

Jacob czekał na plaży pod drzewem morskiego winogrona, gdzie spędzili tę noc, kiedy pierwszy raz się z nią kochał. Ale nie byli tam sami, wzięli ze sobą Ronaldę. Zacerpnął powietrza i spróbował przypomnieć sobie tamtą noc, usiłując nie myśleć o Ronaldzie. Nie mógł jej teraz z nimi zabrać. Da radę zamieszkać w małym, wynajętym kącie z Anette, trudno będzie mu pomieścić się z Eve, ale więcej nie udźwignie. Ani jego budżet, ani głowa. Poza tym RONALDA i tak była dzieckiem jego starego przyjaciela Ronniego.

Pomyślał o Anette i oceanie. Wyobrazil ich sobie jako jedno i to samo przerażające, kuszące stworzenie. Za Jacobem stał szwadron palm kokosowych. Raz po raz rozlegało się głuchoe tąpnięcie, gdy kokos spadał na ziemię. Jacob nie odrywał wzroku od fal, nie zwracał uwagi na hałas. Odwrócił się jedynie na ciche poruszenie w piasku. Szelest liści. Chciał, żeby do niego podeszła. Chciał, żeby go dotknęła, zanim zdąży ją zobaczyć. Chciał, żeby było to tak piękne. Pragnął zanurkować w jej piersi, podczas gdy ona obejmowałaby go ramionami. Pragnął, by spoiła go z jego własną duszą. Pragnął, by zaczęli od nowa, spoglądając na morze.

Ale nie tak to się potoczyło.

72.

Anette otworzyła drzwi do mieszkania, które było jej i Franky’ego. Jej mąż, człowiek o świetnym wyczuciu czasu, wrócił do domu wcześniej, uprzątnąwszy latarnię morską. Anette słyszała, jak tłucze garnkami. Poczula cebulę, czosnek i rozgrzany olej rzepakowy. Weszła do kuchni, gdzie przyciągały wzrok jego nagie, ciemne plecy. Pochylał się nad garnkiem i mieszał w nim, a potem sięgnął do szafki, by znaleźć przyprawę.

– Franky – powiedziała.

– Witam, pani Joseph.

Odwrócił się, by na nią spojrzeć tymi swoimi krzykliwie zielonymi oczami, i podsunął jej pod nos drewnianą łyżkę z sosem do spróbowania. Anette potrząsnęła przecząco głową i zrobiła krok do tyłu.

– Franky, musimy porozmawiać.

– Wiem. Wróciłem wcześniej do domu, bo mam coś dla ciebie. Dziewczynki śpią jak zabite, tak. A ciebie nie ma.

Sam obliznął łyżkę z sosu, po czym opłukał ją w zlewie i dokładnie osuszył

ręcznikiem kuchennym. Anette wpatrywała się w niego. „To był dobry człowiek” – pomyślała. – „Dobry, rodzinny człowiek”.

– Wszystko w porządku, Anette? Wyglądasz...

Podszedł do niej. Zawsze była drobną kobietką. Niską i szczupłą jak ladacznica. Podniosła wolną rękę, by go powstrzymać, torebka zwisała jej z nadgarstka. On był ciężki i umięśniony, ale zatrzymał się na jej gest.

– Franky, co byś zrobił, gdybym cię zostawiła?

Franky odsunął się, jakby ktoś go uderzył. Powoli znów się wyprostował. Bez słowa, bez drgnienia ust wrócił do gotowania. Przez parę długich sekund, prawie przez minutę, Anette wiedziała, że wszystko będzie dobrze. Popęłniła błąd i pospieszyła się z tym małżeństwem. Zrobiła to z konieczności, nie z miłości. A miłość – jak już teraz wiedziała – była jedyną prawdziwą koniecznością. Franky da sobie radę. Zasługiwał na kobietę, która pokocha go całkowicie. Ale on stał tam nadal, gotując. Był tam i krzątał się zręcznie, jak to miał w zwyczaju.

Anette wpatrywała się w jego silne plecy, ale w głowie przemyśliwała, co musi spakować. Pomyślała o Jacobie i wiedziała, że już jest na plaży. Czeka na nią. Anette powoli oderwała obcas od podłogi, lecz właśnie wtedy zdała sobie sprawę, że jedzenie się przypała. Stuknęła obcasem o ziemię. I wtedy, jakby użyto pstryczka, Franky się włączył. Zobaczyła jego dłoń jakby w zwolnionym tempie... po czym garnki zaczęły latać w powietrzu, gorący olej ochlapował ściany, szklanki się rozбивały, a on był jak huragan uderzający w jej wybrzeże. Wył, przeklinał, miotał się i kopał, a ona rozumiała z tego tylko: „Byłem tu”, „Czekałem na ciebie przez te wszystkie lata” i „Zbudowałem ci dom”. „Nigdzie się nie wybieram”. Przeleciał obok niej jak burza, otworzył na oścież drzwi wejściowe i trzasnął nimi, aż zakołysały się na zawiasach, po czym runęły na schody przed domem. Anette stała w kuchni. Obierki od cebuli zasłały cicho podłogę.

Taki był skutek nieskazitelnego wyczucia czasu Franky’ego. Po tym, jak Franky wybiegł, miotając gromami, Anette pospieszyła, by spakować rzeczy swoje i Youme. Spieszyła się, by zdążyć, zanim wróci zdrowy rozsądek. Był tam. Zawieszony w ich pokoju niczym eksponat sztuki. Przedmiot, który Franky chciał jej dać, dlatego wrócił wcześniej do domu. Plakat z filmu, pokazujący ich oboje. W ramce. Nad łóżkiem. Amerykański film, bardziej prawdziwy od ślubnej obrączki. To była tylko kwestia wyczucia czasu, nie miłości. Ale takie już jest życie.

73.

Druga wiadomość od Jacoba nadeszła nazajutrz z samego rana. Wsunęto ją pod wyrwane z zawiasów drzwi, które ustawiono na noc w progu. Każdy mógł zobaczyć, jak Jacob umieszczał tam notkę. Franky mógł wrócić do domu, gdziekolwiek był przez całą noc, i ją przeczytać. Ale liścik od Jacoba był tak mały,

w przenośni i w rzeczywistości, w porównaniu z obrazem, który wisiał teraz nad łóżkiem. List Jacoba był tak mały, a sam Jacob tak bardzo spóźniony. Anette porwała bilecik spod drzwi i wiedziała, że jest obserwowana, nawet gdy czytała go zaszyta głęboko w mieszkaniu, na małżeńskim łóżu, pod obrazem, który przykuł ją do Franky'ego. Miała świadomość swej niewierności. *Anegando en mis llanto* – pomyślała, a potem jak pomyślała, tak zrobiła. Po wszystkim spaliła liścik nad piecykiem.

74.

Tego wieczoru Jacob był na Portoryko. Spał na lotnisku w San Juan, czekając na jakikolwiek samolot, który zabrałby go do Stanów. Z dała od wspomnień o Anette, odsuwającej o świcie na bok pozbawione zawiasów drzwi. Widział, jak bosa wyłuskiwała liścik spod framugi. Widział, jak odwraca się, nie rozglądając się wokół siebie, nie spojrzawszy nawet na niego, kucającego na ulicy. Trzymała wiadomość bezwolnie, tak jakby wynosiła śmieci.

Kiedy Jacob Esau McKenzie wrócił do szkoły medycznej w Ameryce, zdawał się zupełnie normalny. Nikt nie przypuszczał, że mogło przydarzyć mu się coś takiego. A jednak z powodu Anette zrobił dwie rzeczy. Po pierwsze, zdarł z palca gumową obrączkę. Potem zmienił specjalizację z pediatrii na ginekologię. Z dzieci na kobiety. Włożył dłonie w inne kobiety i będzie szukał w nich Anette.

Ale pamiętajcie, że nie tylko Jacob miał się zjawić. Zaraz potem miał wyjść film. *Girls are for loving. Dziewczyny stworzono do miłości.*

75.

Anette

Film *Girls are for loving* miał z nas zrobić nas. Sprawić, by staliśmy się prawdziwi. Wkleili nas z Frankym na plakat zapowiadający film. Afisz był magiczny. To znak. Zapomnieć o niedawnym gościu, Jacobie. Ponieważ tutaj jesteśmy tylko ja i Franky. Jakbyśmy należeli do siebie nawzajem. Taka przykładowa para, że aż trafiliśmy na plakat. Z Jacobem nie byliśmy przykładowi nigdzie, prócz głębi naszych serc. Nikt a nikt nie brał z nas przykładu ani za grosz.

Ten film sprawił, że Franky i ja wydawaliśmy się do bólu prawdziwi. Jacob, tak bardzo daleki, zdawał się fałszywką. Jacob nagle zjawia się i błaga, żebym do niego wróciła, a tylko ja wiem o dziecku, które noszę w brzuchu. Dziecko należy do Franky'ego. Dzieciaka, tak jak plakat czy film, wszyscy zobaczą na własne oczy. Dzieciak oznaczał prawdziwe poczucie przynależności. Nie ma na to rady. Wiem, że Franky uzna wszystkie moje dzieci za własne. Nie mogę tego samego powiedzieć o Jacobie. Głupiodupiec Jacob. Mój głupiodupiec Jacob. Ale trzeba o nim zapomnieć. Zapomnieć o nim. Zapomnieć.

A teraz posłuchajcie. Zanim urodziło się dziecko, na Saint Thomas dotarł

film *Girls are for loving*. Przyleciał hydroplan pełen mieszkańców Saint Croix oraz przyplłynął prom z pokładem zapełnionym rodakami z Saint John. Nie chodzi tylko o mnie i Franky'ego. Chodzi o nas wszystkich. Turystyka u nas kwitnie, nawet ludność z Tortoli i Anegady regularnie pcha się do nas drzwiami i oknami, zabijając się o pracę. Ten film uczyni nasz kawałek lądu najwspanialszym w regionie. Miejscem kultury. Godnym Hollywood.

Przed kinem ustawia się długa kolejka. Tak, wybudowali nam kino z prawdziwego zdarzenia, kino Apollo, jego właścicielem był miły Portorykańczyk. Mieliśmy wówczas porządne atrakcje. Hotele, banki, kino. Pomijając ten cały tłum, pod każdym względem to był zwykły filmowy wieczór, taki jak każdy inny. Nikomu nie zarezerwowano siedzeń ani nic podobnego. Ale ja i Franky i tak czuliśmy się jak wielkie gwiazdy – a nie zwykli statyści.

Mimo że ledwie się w nią zmieściłam, ubrałam się w sukienkę z surowego jedwabiu. Ale tym razem włożyłam skromne czółenka na płaskiej podeszwie i kurteczkę, by zasłonić się przed wieczorną rosą i ochronić krągłości ciężowego brzuszka. Nie przyniosę wstydu. Kiedy tylko wchodzę, każdy rozpoznaje mnie w tej sukience. Widzę uśmiechy i skinienia głową. Franky trzyma mnie mocno przy sobie. Czuję się tak, jakby to wszystko było tylko dla nas.

Szef sali kinowej krzyczy, by nas uciszyć, przyciemnia światło i taśma filmowa rusza z trzaskiem, nie ma chwili do stracenia. Nasza scena jest już w pierwszym ujęciu! Widzę, jak tańczymy i kręcimy się gładko w rytm calypso, krok na siedem, krok na dwa, ruszamy biodrami. Zespół The Pick-up Men wygląda na dość zadowolony. A niech mnie, wszyscy wyglądaliśmy dobrze, jasna sprawa. Zbliżenie na Franky'ego i na mnie, na moją czerwono-żółtą sukienkę. Mój mąż jest tam taki przystojny. Mój mąż! Ja jestem jego żoną. Pojmujecie? Czuję strach i podniecenie, jakbym miała zaraz wygrać nagrodę. Widzę, jak Franky obraca mnie z początku ładnie i powoli, a potem tak szybko, że sukienka unosi się trochę. Ściskam go za nogę w ciemnej sali kinowej. Jego udo napina się pod dotykiem moich palców, a ja czuję władzę. Patrzę na ekran i widzę, jak wszyscy stajemy się prawdziwi. Obserwuję moje małżeństwo, to małżeństwo, jak staje się prawdziwe, że nawet Amerykanie to widzą i wiedzą. Nie myślę o Jacobie McKenziem nic a nic.

Pora na scenę limbo. Tak było naprawdę. Pierwszoplanowej aktorce widać udo i całą resztę. To nam nie przeszkadzało, gdy tańczyła limbo, ale nie wygląda okej, kiedy oglądamy to na dużym ekranie. A jednak pokazali wszystko aż po same majtki i do momentu, gdy peruka zajęła się ogniem od poprzeczki. Nagle cięcie. I ujęcie od dołu – mojej sukienki, tej samej, którą teraz mam na sobie, jak faluje na wietrze. Ani kawałka ciała, wiecie, tylko rąbek spódnicy. Czuję się nieswojo, jakby moją trzepoczącą ognistą sukienkę można było winić za pożar na włosach. Jakby filmowcy czytali mi w myślach. Potem jest ta scena, kiedy kobieta przydeptuje

perukę i zachowuje się jak szalona, po czym następuje najazd na moją czerwień, później widać nas, tancerki, jak gapimy się i wtulamy się w naszych mężczyzn, nie myśląc wcale, że gramy, a potem znów zbliżenie na moją rozwianą sukienkę, tym razem w zwolnionym tempie, wyłania się kawałek nogi, po czym kamera wraca do pierwszoplanowego aktora, który bierze kobietę w ramiona, a potem cięcie na mojej sukience. Siedzę w kinie, pragnąc, by to się skończyło, żalując, że w ogóle ubrałam się na premierę w ten głupi fatalaszek, wiedząc przecież, że pożar to moja wina. Wtedy znów pokazują parę głównych bohaterów, tyle że teraz... teraz są nadzy! Mignął nam tylko jego spocony tyłeczek, jak prze i prze, oraz gładkie nogi kobiety rozłożone na boki i kiwające się jak zepsuta maszyna. I znów przebitka na moją sukienkę. A potem zbliżenie na ich twarze i pocałunki z języczkiem, potem moja sukienka, później pojedyncza pierś skacze, hop, hop, a żona pastora w kinie krzyczy, jakby miała zaraz wyzionąć ducha. I wtedy wszyscy ludzie zaczynają się zmywać z kina.

Płaczę. Bez łez. To sam szloch. Trzymam się za brzuch i gładzę go. Powtarzam raz po raz: „Moja sukienka, moja sukienka”. A na ekranie jęki amerykańskiej pary, która robi to naprawdę, jakbyśmy wcale a wcale nie patrzyli.

Wylewamy się falą na ulicę, ale nie możemy na siebie patrzeć. Z tego zasłyniemy w Ameryce? Taki będzie debiut mój i mojego męża na oczach wyspy i narodu? To właśnie nazywają pornografią. Dobrze słyszycie.

Gubernator w imieniu Wysp Dziewiczych złożył formalną skargę na ręce studia filmowego. Jego list opublikowano w „Virgin Islands Daily News”. „Ludzie są niewinni” – pisał. Ale filmowcy nawet nie odpowiedzieli. Mieszkańcy wszczynali sprzeczki w Gull Reef Clubie i w końcu amerykański właściciel kazał swoim amerykańskim prawnikom spisać dokument zakazujący naruszeń. „Nikomnie kazano robić nic wbrew woli” – napisał klub w gazecie. „Nie robiliśmy z tego żadnej tajemnicy. To nie nasza wina, że ludzie nawet nie spytali. Poza tym te osoby wcale nie występują w scenach erotycznych”.

Ale hola, hola. Co, do diabła, mają oznaczać „te osoby”? To ja byłam jedną z tych osób. Lecz Gull Reef Club zainkasował niezłą sumkę i chciał zatuszować całą sprawę. Ani więc myśleli ofiarowywać nam choćby słówko wyjaśnienia.

Często leżę w łóżku i rozmyślam, jacy byliśmy głupi, że odstawiliśmy taką szopkę przed Amerykanami. Leżę obok Franky’ego i zastanawiam się, czy nadal będzie takim optymistą jak do tej pory. Czy może jego zapal ostygnie? Rozmyślam, jaki wstyd przyniosłam sobie, jaki wstyd przyniosłam wyspie, okryłam wstydem nawet własne małżeństwo. Czasem, gdy pogrążam się w takich myślach, na nasze okno pada cień. Nie sądzę, że to złodziej. Wydaje mi się, że to Jacob. I pomyśleć tylko, że z nim nie czułam żadnego wstydu. Potem odwracam się i zamiast niego widzę w łóżku Franky’ego.

MOJA PRZYNALEŻNOŚĆ



Kiedy chłopiec się urodził, rodzina pana Franky'ego i pani Anette B. Joseph uwiła sobie gniazdko i zaczęła coś razem tworzyć. Teraz było już troje dzieci – ostatniemu dano na imię Frank po ojcu. Nigdy nie wołano na niego Franky, lecz zawsze Frank, i tak właśnie ich odróżniano.

Marynarka wojenna coraz wyraźniej zwijała żagle na wyspie, Franky'ego awansowano więc na naczelnego strażnika latarni morskiej, nie potrzebowano już dłużej zastępcy. Codziennie stawiał się na posterunku i polerował armaturę na błysk. Wymieniał oświetlenie, nawet gdy nie było takiej potrzeby. Podczas ulewnych deszczów potrafił spędzać tam noc, wypatrując statków, które zdawało się, że nigdy nie znajdują się w niebezpieczeństwie.

Ani on, ani Anette nigdy, ani razu nie wspomnieli o tym, co zaszło w kuchni tamtego dnia, kiedy prawie od niego odeszła. Nazajutrz wieczorem wrócił do domu i po cichu naprawił drzwi. Paru mężczyzn przechodziło akurat tamtędy i zaoferowało pomoc, ale Franky jedynie potrząsał przecząco głową. Potem wślizgnął się do łóżka obok Anette i przytulił ją mocno, jakby mówił: „Dziękuję”. Ale nigdy nie zająknął się o tym ani słowem.

Nigdy więcej nie rozmawiali też o filmie. O tym, jak po premierze Anette wróciła do domu, zdarła z siebie ubranie, zerwała plakat ze ściany i błagała, by Franky w nią wpłynął. Znów i od nowa. Aż oboje byli obolali. I tak przez całe tygodnie, aż jej brzuch się rozrósł, a on zaczął się obawiać, by nie skrzywdzić dziecka.

Przez całe lata żyła z Ronniem, który zawsze dawał znać, zanim się zjawiał, i z Jacobem, który nie zjawiał się wcale.

Ojciec Eve Youme, doktor Jacob E. McKenzie, wrócił na wyspę, żeby otworzyć tu praktykę jako lekarz od kobiecych spraw. Youme nie była już dzieckiem, kiedy zawitał z powrotem. Wówczas zaczęła regularnie odwiedzać jego mieszkanie, a potem dom jego i jego żony. Żona była słodką kobietą, starannie wybraną przez matkę Jacoba. Papa Franky nigdy nie zawoził Me w tamto miejsce ani w ogóle w pobliże jej ojca. W Jacobie McKenziem było coś, co sprawiało, że Franky Joseph czuł się mały. Zauważył, że Anette także nie podrzucała Youme do ojca. Jacob również do nich nie przychodził. Posyłano pokojówkę, by odebrała dziecko. Franky był wdzięczny za ten troskliwy unik.

Wyglądało na to, że Eeona również zagrzała sobie miejsce w nowej rodzinie. Nie tylko niańczyła dzieci, ale nieraz zabierała je ze sobą do pracy. Chwaliła się nimi, tak to wyglądało. Kiedy wróciła po przebytych we Freedom City epizodzie, objęła państwową posadę i udzielała pożyczek. Zaproponowała Franky'emu pomoc finansową, żeby mógł wybudować dom dla Anette. Eeona pragnęła, by to małżeństwo przetrwało. I to nie dlatego, że zaczęła darzyć Franky'ego sympatią.

To nie w jej stylu. W zamian za udzielone wsparcie Eeona poprosiła Franky'ego, by pomógł jej wybrać samochód i nauczył ją prowadzić.

77.

Dawno, dawno temu ojciec Eeony powiedział, że da jej wszystko, czego zapagnie, a potem zostawił ją z niczym. Moreau przysiągł oddać jej w posiadanie całą Anegadę, a potem zawinął się do Francji. Kweku zaszczepił jej dziecko w łonie, tak jakby wybudował dom na skrawku ziemi, ale nie miał najmniejszego zamiaru poprosić ją o rękę. Zawiodła ją nawet Liva Lovernkrandt. Eeona niemądrze polegała na mężczyznach i kobietach, to oni dzierżyli za nią ster i wyznaczali kierunek rejsu. Teraz będzie miała własny wóz i obejmie stanowisko kapitana swojego życia. U dealera samochodowego starała się nie myśleć o Kweku Prideux, który naśmiewał się z niej, gdy po paru pierwszych minutach spędzonych w Freedom City poprosiła go o przejażdżkę.

– Sądzę, że ten, Franklinie. – Eeona wskazała na niebieskiego datsuna.

Sprzedawca był jedynym dealerem samochodowym na wyspie. Teraz kiwał głową i się uśmiechał. Sprzedawał datsuna, twierdząc, że jest nowiusieńki, mimo iż jeździł nim po okolicznych wioskach, by nauczyć syna prowadzić auto. Potakiwał i uśmiechał się także dlatego, że tuż obok przechadzała się wspaniała Eeona Bradshaw. „Doprawdy piękna kobieta” – myślał i chodził za nimi krok w krok, kiedy przyglądali się pojazdowi z bliska, żeby móc ją powąchać. Sprzedawca pochodził z Anguilli, choć mieszkał na Saint Thomas, od kiedy był nastolatkiem. Doszły go słuchy o urodzie Eeony Bradshaw. Wcześniej tylko raz mu mignęła, gdy udał się do wydziału finansów po pożyczkę dla firmy. Pracodawcy nie trzymali jej na widoku, bo z pewnością ludzie zbiegaliby się tylko po to, by rzucić na nią okiem. Ale on namierzył ją, kiedy przechodziła z jednego pomieszczenia do drugiego. Rozpoznał ją po błękitnym ubiorze zakonnicy, który zawsze wdziewała.

Franky obszedł datsuna.

– No nie wiem, siostró. Powinnaś załatwić sobie wóz w jasnym kolorze, żeby ludzie cię widzieli, tak. Zgubisz się w tym granacie, jeśli wyjedziesz wieczorem na wiejskie drogi. Nikt nie zdoła cię zobaczyć.

– Cóż, to miło z twojej strony, Franklinie, że się martwisz. Ale dlaczego miałabym chcieć, by widziano, że krążę sama po nocy? Najwyraźniej knułabym coś niecnego. Poza tym niebieski to mój ulubiony kolor.

– Dobrze auto do nauki jazdy – dorzucił od siebie sprzedawca, który stał za blisko Eeony.

Franky poklepał mężczyznę po plecach i uśmiechnął się.

– Jak pan zgadł? Mam zamiar nauczyć szwagierkę prowadzić.

– Sprzedawca czuje pismo nosem.

Eeona zasznurowała usta.

Sprzedawca przyglądał się jej i myślał: „Tak, Eeona Bradshaw jest bardzo ładna, ale na wyspie dziwki bywają równie piękne”.

Gdy wrócili do domu, Franky żartował z Eeony, że będzie niewidoczna na wzgórzach o zmroku. Eeona, jak to często czyniła, przyszła do nich na kolację. Anette podniosła małego Franka do zlewu, żeby umył ręce, ale spojrzała surowo na siostrę.

– Naprawdę, Eeono? Chcesz być niewidziana?

– Niewidzialna. Anette, proszę. Mów poprawnie.

Ronolda odwróciła wzrok z zażenowaniem – właśnie złajano jej matkę. Anette odchrząknęła.

– Czy tego właśnie pragniesz, siostrzo Eeono? Chcesz być niewidzialna?

– Istotnie.

– Zawsze bierzesz na siebie ryzyko, którego nie pozwoliłaś podejmować mnie. – Anette nie powiedziała tego ze strachem, po prostu rzekła to, jakby to była prawda.

– Od tego są właśnie starsze siostry, kochana.

Youme była środkowym dzieckiem swojej matki, ale najstarszym swego ojca.

– Ciociu Eeono, będziesz jak wiedźma latająca po nocach.

Eeona lekko pociągnęła Youme za bujną, dziką czuprynę. Dziewczynka nie była jeszcze piękna, ale Eeona widziała w niej potencjał. Teraz pochyliła się, by szepnąć Eve Youme do ucha. Jej delikatny oddech sypał się niczym piasek.

– Me – powiedziała. – Me, my jesteśmy wiedźmami.

Youme nie zdradziła tego sekretu najmniejszym uśmiechem. Stała bez ruchu, by wysłuchać szeptu i poczuć oddech cioci w uchu.

Ale niebieski datsun nigdy nie spisał się pod kierownictwem Eeony.

Eeona zajęła miejsce pasażera, a Franky wjechał autem na pole golfowe nieopodal Brewer's Bay. Eeona miała dostać na własność pole golfowe na Anegadzie, a teraz zjeździ całe na Saint Thomas. Tak jakby należało do niej. Zmiażdży je kołami. Zniszczy je, by zyskać wolność.

Tak naprawdę uczący się jeździć cały czas ćwiczyli na polu golfowym. Niedługo na uboczu miało powstać prywatne poletko, by turyści mogli uderzać brązowymi kijkami w białe piłeczki w spokoju. Mówiono nawet, że na terenie obecnego pola staną budynki college'u. Wkrótce będzie można przejść kurs pielęgniarstwa, nie opuszczając wyspy, albo zdobyć uprawnienia nauczycielskie bez konieczności wyjazdu na egzaminy. Ale na razie Eeona wpadła na pomysł, by wykorzystać pole golfowe do nauki jazdy. Siedziała na miejscu pasażera, obrażona, że Franky Joseph musi ją czegoś uczyć.

Już sam pomysł, że Anette i Esau mieliby się kochać, był okropny, ale przynajmniej Esau wywodził się z dobrej rasy. A ten Franky Joseph? Zwykły

Murzyn. Czy Anette nie stać na coś więcej?

Jednak Eeona potrzebowała tego Murzyna, by nauczył ją prowadzić auto. Nie mogła się doczekać, kiedy popędzi przez wyspę swoim szybkim samochodem. Przed lekcją nauki jazdy związała włosy w schludny kok, ale już wyobrażała sobie, że jedzie sama, wystawia głowę przez okno i pozwala włosom powiewać na wietrze. Nie zastanawiała się wcale, czy nie jest za stara na rozpuszczone włosy.

Franky cały czas mówił.

– Widzisz, co robię? Skręcam, żeby ominąć ten dołek, i potem swobodnie puszczam kierownicę. Pociągnij mocno, tak. Powoli. Sprzęgło, hamulec, gaz. Zgadza się?

Spojrzała na niego, żeby przestał jej przytakiwać. Ale tak naprawdę patrzyła na coś poza nim. Widziała siebie, jak biegnie po plaży, która oskrzydlała ich z lewej. Widziała siebie niczym piękne zwierzę z rozwianym włosiem. Pędziła galopem. Należało się jej bać. Taką siebie najbardziej kochała. Takiej siebie też najsilniej nienawidziła. Ale to nieważne, bo za taką sobą najmocniej tęskniła.

Auto gładko sunęło po trawniku. Franky zgasił silnik i wysiadł. Obszedł wóz i otworzył Eeonie drzwi. Nie zawracał sobie głowy taką galanterią przy własnej żonie, ale wiedział, że musi to zrobić dla siostry swej małżonki. Z tej siostry była prawdziwa harpia, ale też ta kobieta wychowała jego żonę. Winien jej był szacunek należny teściowej. Poza tym nadal pozostawała piękna. Była od niego starsza, lecz czasami, tylko czasami wyobrażał sobie, że to ją ujeżdża, kiedy kochał się z Anette. To nie była zdrada ani nic podobnego, nie naprawdę. Kochał swoją żonę tak, jak nigdy nie przypuszczał, że jakikolwiek człowiek może kochać kogoś, kto nie jest Bogiem. Ale oceaniczne włosy Eeony i jej cera barwy mango – no cóż, w niej też nadal tkwiła część Boga. Mimo tej wysuszonej skóry wokół oczu. Nawet mimo odrobiny siwizny u nasady włosów.

Eeona obeszła samochód i zajęła siedzenie kierowcy. Z dołka w oddali sterczała biała flaga. Zamajaczyła Eeonie, a ona postanowiła, że weźmie ją na celownik. Zmiażdży ją. Ale za kierownicą Eeona wydała się mała i krucha, tak jakby to maszyna nią kierowała, nie na odwrót. Zmarszczyła czoło i przekręciła kluczyk w stacyjce. Nic się nie stało. Nie wydobył się żaden dźwięk. Nawet drażniący uszy pisk.

– Wciśnij pedał gazu – powiedział spokojnie Franky, tak jakby nie działo się nic nadzwyczajnego. – Samochód jest jak kobieta, tak. Trzeba obchodzić się z nim delikatnie.

Zdał sobie sprawę, że to może niezbyt trafna metafora pod adresem kobiety za kierownicą, no ale. Miał pewne podejrzenia co do Eeony. W końcu nigdy nie wyszła za mąż i z tego, co wiedział, nigdy nie była z mężczyzną. Może jest jedną z tych, co wolą kobiety.

– Nauczyłem Anette prowadzić auto – mówił teraz. – Nauczę Ronaldę, Me

i Franka, tak. Każdy z początku myśli, że to niemożliwe. Ale pamiętaj, auto jest jak kobieta. Da się je poruszyć.

Zdołał wyczytać z jej wyrazu twarzy, że to nie najlepsza rzecz, którą mógł powiedzieć. Zaczynało brakować mu metafor.

– Później poćwiczmy zapalanie – powiedział.

Potem przesunął się na siedzenie pasażera i zrobił jej miejsce. Gdy usiadła, samochód wydał z siebie łoskot. Szarpnęła za kierownicę i silnik zgasł. Franky cofnął się, powtórzył te same ruchy, zapalając silnik za nią. Ona znów usiadła na fotelu kierowcy.

– Pedał, sprzęgło – powiedział. – Leciutko. Tak, tak.

Eeona wcisnęła stopą ten pedał, który – jak jej powiedział – był od gazu, i zwolniła ten od sprzęgła. Samochód zgasł.

Ale Franky już główkował nad kolejnymi porównaniami.

– Auto jest jak statek – powiedział. – Musisz spokojnie sforsować nim fale. – Spojrzał na Eeone, szukając aprobaty.

– Rozumiem – odparła, wyglądając przez przednią szybę i skupiając wzrok na białej fladze, samotnym świadku wśród zieleni.

– Tak, spróbuj jeszcze raz. Delikatnie przez fale. Twój ojciec był człowiekiem morza, poczujesz instynktownie, jak trzeba to zrobić.

– Czuję, że nigdy nie będę prowadzić auta.

I nigdy nie prowadziła. Samochód nigdy dla niej nie odpalił. Nigdy z nią nie ruszył. Próbowali wciąż od nowa. Próbowali całymi dniami. Anette wsiadła do datsuna i pojechała nim na przejażdżkę na targ. Nawet RONALDA, jeszcze dziecko, przynajmniej potrafiła zapalić silnik.

Ostatnim środkiem transportu, którym Eeona potrafiła kierować, był uparty osioł o imieniu Nelson. Nie, nigdy nie odniosła zwycięstwa na polu golfowym. Nigdy nie pokonała Kweku, kierowcy samochodu, który uczynił z niej bezsilną pasażerkę. Niektórzy ludzie wzięliby to za wróżbę, że ich przeznaczeniem jest pozostać pieszymi. Albo przeznaczone jest im zostać i stać nieruchomo, a nie włóczyć się, odzyskać wolność. Biorąc pod uwagę wszystkie niepowodzenia, Eeonie wybaczone by, gdyby się poddała.

Ale Eeona nie zaliczała się w poczet tych, co się poddają.

78.

Dom, który wybudował Franky, leżał u podnóża Garden Street. Ale nadal była to świetna okolica. Tuż przy skrzyżowaniu z ulicą schodów Bred Gade. Niedaleko pensjonatu Crystal Palace i Słonecznej Willi. Jeśli wejść po schodach na sam szczyt, oczom ukaże się pierwszorzędny widok, za który Eeona mogłaby zabić i którego pragnęła się kurczowo złapać. Do anglikańskiego kościoła był rzut kamieniem. Gdy dom w końcu stanął, Anette, darzona powszechnym poważaniem

jako zacna małżonka oraz nauczycielka historii w szkółce anglikańskiej, zaprosiła w skromne progi księdza, by poświęcił domostwo. Tak właściwie nie był to angielski anglikański duchowny jej matki, ale amerykański anglikanin, który śmiał się donośnie i cicho przebąkiwał o święceniach kapłańskich kobiet.

W dzień poświęcenia domu po raz ostatni zjedzono na wyspie zółwia morskiego, jako że Amerykanie już zaczęli starania o objęcie gatunku ochroną. Pierścionek zaręczynowy sterczał na palcu Gertie jak latarnia morska, a mężczyzną, który jej go założył, był ten sam Amerykanin, co tak dawno temu prawie dowiózł ich po pijaku do latarni morskiej. Hamilton gawędził z pastorem, jakby byli dobrymi ziomkami z Ameryki.

Podczas obrzędu Eeona, nadal mieszkająca w Savan, stanęła spięta i wyprostowana obok duchownego. Pastor, który był żonaty, odsunął się od niej o mały krok, kiedy pochylał głowę.

Eeona tego nie zauważyła. Zatopiła się w rozmyślaniach nad tym, że w końcu wypełniła swój obowiązek – a tak właściwie to przepełniła go. Siostrzyczka Anette miała teraz dom i skrawek ziemi. Anette w końcu oparła się Esau. Czas wolności Eeony z pewnością musi się zbliżać. Teraz albo nigdy. Tym razem Eeona nikogo nie wtajemniczyła w swoje przemyślenia. Zdążyła złapać łódź na Saint John, gdzie w tajemnicy przyglądała się skrawkom ziemi.

Ale w dzień poświęcenia domu Franky ujawnił ostatni prezent. Przyszedł w pudle i był ciężki. Franky sam wywlókł go z przyczepy ciężarówki, gdzie go ukrył, i wtargał po ulicznych schodach. Przepocił garnitur, targając pudło, w końcu na pobłogosławienie domostwa wypadało ubrać się elegancko. Anette uśmiechała się i uśmiechała, lecz pomimo swoich mocy nie potrafiła domyślić się, jakiego przybysza za chwilę przywita. Dzieciaki gapily się, bo karton był ciężki, ale też nie mogły zgadnąć, co kryje się w środku.

Hamilton porozumiewawczo szepnął Gertie coś do ucha. Na twarzy Gertie zagościło zdziwienie.

Eeona, będąc kobietą, która potrafiła sprawić, że inni oddawali jej cześć, wiedziała, że w pudle znajduje się coś, co przykuje tyle samo uwagi co ona. Coś tak niebezpiecznego jak ona sama. Franky postawił pakunek przed pastorem, wyjął scyzoryk i otworzył karton.

To był telewizor.

– Wiedziałem! – powiedział Ham, przeszywając pięścią powietrze.

Duchowny, który widział telewizor w Stanach, zaśmiewał się do rozpuku. Odkąd przeniósł się na wyspę, sam nie posiadał odbiornika, ale miło mieć sąsiadów, którzy takowy mieli! Poświęcił telewizor z jeszcze większą nabożnością, niż błogosławił dom. Potem Franky wsadził wtyczkę do prądu i włączył urządzenie.

W ten oto sposób w latach sześćdziesiątych telewizja zagościła na Wyspach

Dziewiczych. Amerykanin Joe West sprzedawał tanie telewizory i wkrótce cała wyspa znalazła się w ich posiadaniu. Każdy mógł pozwolić sobie na teleodbiornik i dwa kanały, które West miał w ofercie: hiszpański nadawany z Portoryko i amerykański emitujący teleturniej telewizyjny i wiadomości. To właśnie wiadomości zmieniły wszystko.

79.

Wyspa już od dawna była odizolowana. Pasma fal radiowych nie docierało dalej niż na Portoryko. Ostatni poważniejszy kontakt z Ameryką miał miejsce podczas II wojny światowej, kiedy chłopcy wrócili z opowieściami o segregacji rasowej oraz ostrymi odłamkami w ramionach. Nieliczni uprzywilejowani, tacy jak doktor Jacob McKenzie, udali się po dyplom do college'u dla czarnoskórych w Stanach i wrócili, paląc papierosy. Telewizor był najgorszym wynalazkiem Ameryki, a jednak wszyscy go mieli.

Anette przygotowywała dorsza w kuchni, śmierdziało w całym domu.

– Ronaldo, dopilnuj, żeby Me i Frank przygotowali się do lunchu.

Anette dalej smażyła. Ronalda należała do tego typu dzieci, które zawsze są posłuszne, na dobre i na złe. Anette dodała jeszcze trochę sosu pieprzowego swego męża. Wkrótce będzie musiał dorobić parę butelek. Anette nie potrafiła przyrządzić dorsza bez tego dodatku. Franky był w latarni morskiej, później podrzuci mu lunch. Ale kiedy Anette nad tym rozmyślała, niespodziewanie zdała sobie sprawę, że coś jest nie tak. Nie chodziło o to, że w jej domu jest cicho. Chodziło o to, że w każdym domu w mieście było cicho. To nie tak, że nie rozlegał się żaden hałas. Słysząc było krzyki, szum lejącej się wody i gwar tłumu. Dźwięki te zdawały się dobiegać z każdego domu. Wyjrzała przez kuchenne okienko i zerknęła do salonu sąsiadów. Pani Rockwell siedziała na leżance, wpatrując się w telewizor i obgryzając pustą drewnianą łyżkę. Anette pozwoliła, by ryba się przypaliła, a sama weszła do salonu, gdzie jej dzieci także wpatrywały się w ekran telewizora.

W wiadomościach rozgrywała się zbrodnia. Mężczyźni w mundurach o urzędowym wyglądzie bili pałkami prawdziwych ludzi. Czy wybuchł pożar? Z węży strażackich lała się woda. Wężę polewały prawdziwych ludzi na ulicy. Prawdziwi ludzie chowali się za drzewami, krzycząc i płacząc. Mężczyźni w mundurach chwyтали ludzi, odrywali ich od drzew, od siebie nawzajem, od trzymanyh w garści torebek i kapeluszy.

Dzieci Anette to oglądały. Ronalda, która była prawie dorosła, nie mrugała, za to milcząco otwierała i zamykała usta jak ryba. Youme rozglądała się na boki, tak jakby naprawdę nic nie widziała. Mały Frank poklepywał Me po rękę, spoglądając to na jej twarz, to na telewizor.

Wtedy odezwał się prezenter wiadomości.

– Nadajemy z Downtown Birmingham w stanie Alabama. Nasi mundurowi

usiłują powstrzymać murzyńskie protesty.

Dopiero wtedy wszyscy zakotwiczyliśmy przed teleodbiornikami, zdając sobie sprawę, że to biali mężczyźni w mundurach występują przeciwko ciemnoskóрым. Nie było jasne, co złego zrobili ci ludzie. To nie tak, że byliśmy ograniczeni umysłowo, to z powodu ziemi, na której żyliśmy. Mieliśmy francuskie i duńskie korzenie i zdawało się, że nasi biali nie są zdolni do takiego zachowania. Jasne, Amerykanie, których poznaliśmy, byli arogancy. I te ich zebrania, na które nas nie zapraszali. Ale to było coś innego. Słowo „Murzyn” nigdy nie znaczyło dla nas wiele, ponieważ nawet ci ciemniejsi spośród nas upierali się przy mieszanym pochodzeniu. Ale teraz zobaczyliśmy, że lano nawet tych, co wyglądali na Mulatów.

Anette, żeby się upewnić, potrzebowała, by prenter wiadomości potwierdził to, w co nawet ona nie mogła uwierzyć. Jacob opowiedział jej historię z Nowego Orleanu. Ale czy ludzie naprawdę traktowali tak innych ludzi, mimo że nie toczyła się wojna? Spójrzcie tylko, ciemnoskórzy byli lekarzami i prawnikami. Popatrzcie, Anette sama była ciemnoskórą kobietą, zasną mężatką i nauczycielką historii w anglikańskiej szkole, do której uczęszczały nawet amerykańskie dzieci. Jej mąż, to prawda, jest czarny, ale postawił ten cały wymarzony dom otulony balkonem. Jest strażnikiem latarni morskiej i Straży Wybrzeża. I ma zielone oczy.

Anette potrząsnęła przecząco głową. Dzięki Bogu, że na Wyspach Dziewiczych nic takiego się nie dzieje. Ci Amerykanie zwariowali. Anette przeszła obok dzieci, wyłączyła telewizor i oznajmiła, że jedzenie jest gotowe. Gotowe już od dawna.

Anette wybrała się, by zawieźć mężowi rozgotowanego solonego dorsza. Starła się nie myśleć za dużo o wiadomościach, ale kiedy zjeżdżała ulicą, słyszała krzyki w innych domach. Murzyni. Czarni. Biali. Wolność. Kiedy wyjechała z miasteczka i pożeglowała w stronę wzgórz, myślała, że już po wszystkim. Ale gdy dotarła do Muhlenfeldt Point, przed latarnią morską zebrała się już grupka miejscowych strażników Straży Wybrzeża. Mężczyźni w zwykłych mundurach khaki i ogrodniczkach dali się ponieść wrzawie gorącej dyskusji. Było jasne, że oni także oglądali wiadomości.

– Spytajcie pani Joseph – powiedział jeden z nich, wskazując na nią. – Jej lud jest stąd. Spytajcie ją o mężczyzn z Anegady, którzy walczyli o wolność Wysp Dziewiczych. Spytajcie. – Wyciągnął ku niej rękę.

Ależ nie, nie słyszała nic a nic o Anegadzie.

– Naprawdę, pani Joseph? Czy pani pobratymcy nie pochodzą z Anegady? Musiała pani słyszeć o rybaku, który nie dalej jak wczoraj pouczał nas, że wszyscy musimy mieć własne prawa. Oglądała pani telewizję? Ameryka nic nam nie da. Anegadyjczycy sami poszli i wyszarpali sobie prawa z rąk brytyjskich posiadaczy. My sądzimy, że jesteśmy wolni, bo należymy do Ameryki. Ale to mieszkańcy

Anegady i Brytyjskich Wysp Dziewiczych poznali smak wolności.

– Nie znam tak dobrze brytyjskiej linii swojego rodowodu – powiedziała Anette. Nigdy wcześniej nawet nie zastanawiała się nad taką linią. – Ani razu nie byłam na Anegadzie. – Nie wiedziała, jaki związek mają Wyspy Dziewicze, brytyjskie czy amerykańskie z tym, co pokazali w wiadomościach.

– Pani Joseph, ten protestujący z Anegady to pewnie członek pani rodziny. To dzięki temu człowiekowi mieszkańcy Brytyjskich Wysp Dziewiczych są właścicielami swoich plaż, łąd, piasku, namorzynów i wszystkiego. A spójrzcie tylko na nas, mieszkańców Wysp Dziewiczych Stanów Zjednoczonych. Wydaje się nam, że jesteśmy wolni. Ale popatrzcie w ekran telewizora, pooglądajcie tylko telewizję, a zobaczycie, że jesteśmy częścią Ameryki, i to oznacza, że nie mamy nic.

To nieprawda, że protest tego mężczyzny z Anegady miał miejsce nie dalej jak wczoraj. To było lata temu. Niektórzy mówili, że to wcale nie był protestujący, ale melancholijny poławiacz homarów z chronicznie złamanym sercem, ponieważ kobieta porzuciła go dla kapitana statku. Ale to prawda, że był z niego rybak. Prawdą jest również, iż należał do rodziny Anette. Był dalekim kuzynem, a także mężczyzną, którego Antoinette Stemme porzuciła. Anette była nauczycielką historii, ale nie poznała tej opowieści, mimo że wydarzyła się tuż obok. Nie było kursu, gdzie mogłaby przestudiować historię Anegady czy w ogóle Wysp Dziewiczych. Uczyła historii Ameryki i historii Karaibów, poświęconej głównie piratom z Jamajki. Tego właśnie miała nauczać w anglikańskiej szkole.

Teraz Anette czekała i słuchała dyskusji mężczyzn o prawach obywatelskich mieszkańców, które przepchnięto i przegłosowano na Brytyjskich Wyspach Dziewiczych. Mimo że wszyscy mężczyźni wydawali się po tej samej stronie, rwali się do kłótni. Czemu my nie możemy mieć praw, które potwierdzą, że to miejsce należy do nas? Praw, co nas ochronią, pomogą nam tu należeć, pomogą zachować Wyspy Dziewicze Wyspami Dziewiczymi. Czemu nie możemy posiadać pierwszeństwa zakupu ziemi? Czemu nie możemy mieć pierwszeństwa budowy hoteli? Tak samo jak mieszkańcy brytyjskich wysp mogą wyjechać, wrócić i nadal mieć status obywatela, bo nikt nie ma prawa twierdzić inaczej, my też tego potrzebujemy. Nie sądzisz, Franky? Nie wydaje ci się, Fullmore? Pani Joseph, a jak się pani zdaje?

– Nie interesują mnie takie dyskusje – powiedziała Anette, bo nie potrafiła powiedzieć nic więcej.

Jest sierotą, od kiedy sięga pamięcią, i nigdy nie posiadała nikogo prócz siebie i teraz swoich dzieci, ale do dzieci i tak miała jedynie tymczasowy tytuł własności, ponieważ kiedy podrosną, zaczną należeć same do siebie. Ona należała jedynie do Franky'ego i nawet to... No cóż, wiedziała, że tego nie da się cofnąć.

Kiedy Franky skończył lunch, postanowił odwiedzić ją do miasteczka,

obierając dłuższą drogę, przez Barracks Yard, zapuszczoną dzielnicę tętniącą calypso. Ale Franky czuł się dobrze, wioząc żonę tędy, bo był przy niej, by zapewnić jej bezpieczeństwo.

Za to w domu Ronalda podała jedzenie rodzeństwu. Youme przyniosła do stołu książkę i jedynie skubnęła coś z talerza. Frank napchał się tak, że na pewno zaraz zwymiotuje. Ronalda nie przełknęła ani kęsa. Kiedy matka i ojciec weszli do środka, dzieci zdawały się zaniepokojone.

Widzicie, papa Franky należał do Straży Wybrzeża. Papa był człowiekiem w mundurze. Jego niebieski uniform, ten z uroczym jedwabnym krawatem, teraz wisiał w szafie. Fakt, że ludzie, którzy nas strzegli, mogli stać się także tymi, przed którymi my musimy się strzec, nie powinien być dla nikogo lekcją, ale właśnie taką lekcję odebrały dziś dzieci. Tego nauczyły się owego dnia wszystkie wyspy. Funkcjonariusze Straży Wybrzeża także. Człowiek, który potrafi rzucić się w morze, by pospieszyć ci z ratunkiem, równie dobrze może przytrzymać ci głowę pod wodą.

Ronalda nie mogła przełknąć twardego dorsza. Nie dawała młodszym dobrego przykładu. Żuła i żuła, ale ryba nie chciała przejść jej przez gardło. Oczywiście nigdy więcej nie tknęła tego rybiego mięsa. Podczas nauki w Uniwersytecie Howarda potwierdziło się, że postąpiła dobrze, poznała bowiem historię solonego dorsza, którego po kosztach przywożono z Nowej Anglii, by wykarmić nim karaibskich niewolników. Myślała o mieszkańcach Karaibów, którzy niewolniczą strawę uważali za rarytas i bez chwili wahania zajadali się nią z dodatkiem pierożków czy zielonego banana. Ronalda nigdy w życiu nie będzie już tak beztroska. Pozwoli światu wyżreć ją od środka.

Z punktu widzenia Ronaldy papa Franky należał do Straży Wybrzeża, ale był prawdziwym ojcem jedynie Franka. Ojciec Youme też nosił uniform. Biały fartuch laboratoryjny i stetoskop. Youme mówiła, że czasem nawet nosi się tak w domu, krążąc w nim po pokojach, jakby miał na sobie jedynie własną skórę. Jeden ojciec miał strzec ludzi, powinnością drugiego było ich ratować. Lecz ojciec Ronaldy ubierał się w najgorszy mundur. Taki, jaki mieli na sobie mężczyźni z wiadomości. Był w wojsku. Kiedy prawdziwy ojciec Ronaldy przychodził z wizytą, poklepywał ją po głowie jak kogoś obcego. Wypijał piwo i zaśmiewał się z papą Frankym.

– To moja żona podaje nam drinki, Franky. Nigdy nie podpisałem tych papierów. Po prostu ci ją wypożyczyłem.

Tak jakby mógł najzwyczajniej w świecie ukraść mamę.

80.

Eeona nie wierzyła w życie na kredyt i przetrwała w tym niedowierzaniu większość swojego życia. Ale czasy szybko się zmieniały. W przeciwieństwie do nowych przybyszy na wyspie, zjeżdżających się tu z całych Karaibów, Eeona miała

amerykańskie obywatelstwo – z racji urodzenia, jak my wszyscy. Tylko tyle trzeba było, żeby załapała się na przydział mieszkania komunalnego, zaprojektowanego przez nikogo innego jak naszego Saula McKenziego.

– Sugerujesz, że mam zamieszkać w komunie? – spytała Eeona z pogardą, kiedy Franky odpowiedział jej, by wykupiła udziały w projekcie budowlanym.

– Eeona nigdy nie opuściła Savan, nie próbuj jej do tego zmuszać ani tego zrozumieć.

To była Anette, która źle to pojmowała i odrzuciła propozycję. Niebawem lista uczestników projektu mieszkaniowego zapełniła się i zaoferowano pożyczki na wykup lokali na własność. Eeona w okamgnieniu rzuciła urzędniczą posadę, zabrała oszczędności i odprawę i wyjechała na bliźniaczą wyspę Saint John. W ciągu roku pensjonat Eeony wyrósł spod ziemi niczym manifest. A ona zniknęła. Cóż, była tylko o godzinę drogi stąd, ale przepadła. Teraz Eeona posiadała ziemię. Posiadała pensjonat. Tym sposobem ziemia i pensjonat należały do niej. Dorobiła się własnego dziedzictwa. Ot tak.

Liczący trzy piętra pensjonat Eeony był i nadal jest najwyższym budynkiem po tej stronie wyspy Saint John, która znana jest jako Coral Bay. Dziś przyciąga turystów z Dominikany i Trynidadu, a nawet z amerykańskiego kontynentu. Dużo później znajdzie się w rankingu Organizacji Gejów i Lesbijek najbezpieczniejszych miejsc schadzek kochanków.

Mieszkańców Saint John ulepiono z innej gliny. Chociaż byli z Wysp Dziewiczych, pochodzili przy tym z malutkiej wysepki, gdzie większość ludności nadal pamiętała pierwszego białego, który sprowadził się tu na stałe. Prawdę mówiąc, pierwszy biały człowiek nadal żył i nadal tu mieszkał. Przeszło połowa powierzchni wyspy stanowiła amerykański park narodowy, co miało zapobiec budowie ogromnych hoteli, ale wyszło nieco inaczej, niż mieszkańcy Saint John to sobie wyobrażali. Co prawda, zabroniono stawiania hoteli, ale zabroniono także kąpieli w wodospadach w Reef Bay czy sypiania na plaży nad zatoką Caneel. Te tereny teraz do kogoś należały. Do Rządu Federalnego Stanów Zjednoczonych, ściślej rzecz ujmując. Co oznaczało, że nie należały do nas.

Mieszkańcy Saint John, to rozumiały, byli skryci i chronili swoją prywatność. Ale lubili mieszkać w domach, których strzegły drzewa, a gałęzie pukały do drzwi niczym mile widziani goście. Powitali Eeone, jakby była częścią natury. Wołali na nią: „Madame Bradshaw”, ponieważ tak się przedstawiła. Teraz była tym, kim chciała. Tym, kim powiedziała, że jest. Nauczyła się tego od Kweku Prideux. Na Saint John była córką Owena Arthura Bradshawa, którego śmierć i katastrofa statku nadal stanowiły ważne punkty odniesienia. Ale przybrała także tytuł kogoś, kto mógł być żoną kapitana. Sąsiedzi prędko skrócili „madame” do „mada”. Co brzmiało prawie tak samo jak „mama”.

Mada Eona opuszczała Coral Bay, gdzie duchy jej dawno minionych uczynków nawiedzały ją w nocy w panińskim łóžu wyłącznie po to, by wrócić na Saint Thomas i odwiedzić dziecko, dzięki któremu niemal zapominała o własnym prawie dziecku. Zawsze zjawiała się bez zapowiedzi i jeśli postanowiła zostać, niezmiennie spała w jednym łóžu z Eve Youme.

W tymże łóžu opowiadała Youme prawdopodobne, ale nieprawdziwe historie o Bradshawach. Rzeczy, których Eona w życiu nie powiedziała by nikomu. Tak naprawdę nie zdradziła ich nawet Youme. Czekala, aż dziewczynka zaśnie, by opowieści trafiły do jej snów. Niebywale uzdolniona krawiecko Antoinette oraz idealnie przystojny Owen Arthur. Stoły zbite z drewna z Saint Croix i bujak zrobiony z mahoniu. Ryba złapana nad wodą niemal obmywającą schody przed domem. Wołowina w postaci jeszcze żyjącej krowy sprowadzonej na podwórko z Tortoli. Pałacyk na ośmiu nogach stojący na wzgórze oraz pajęczarz, który go zamieszkiwał. Eve Youme będzie znała te opowieści, ale nie będzie pewna, jak się o nich dowiedziala.

Ronolda leżała nieruchomo w łóžu obok i wyteżała słuch, by wyłowić każde słowo i zdanie, które Eona szeptała Youme do ucha. Ronaldzie zawsze było mało informacji, by z ich skrawków utkać całą opowieść. Ronaldzie w ogóle zawsze było mało. To oczywiście Ronolda będzie tą, która wyjedzie do Ameryki. Jeszcze jedna pasażerka na łódce, która nas zostawi, bo nie odziedziczyła paru rzeczy i rzeczy nie układały się po jej myśli.

Była jeszcze Anette. Stała pod drzwiami jak szpieg. Wsłuchiwała się w przyciszone bajanie siostry. Nadmorska Willa zawsze była dla niej zakazana, nawet w rozmowie. A teraz Eona wylewała prawdę z ust. Anette sądziła, że powinna powstrzymać siostrę. Myślała, że jej siostra może stanowić dla rodziny zagrożenie, szepcząc opowieści o swym królewskim rodzie. Anette i Franky starali się zaszczerpić w dzieciach poczucie równości, zwłaszcza że w Ameryce, jak się zdaje, brakowało go. Ale Anette wystawała tam, nadstawiając ucha, ponieważ chciała wiedzieć. Stała w miejscu, dopóki snujący historie głos Eeony nie został zastąpiony przez równy senny oddech.

Za to Anette pochwałała, kiedy Eona opowiadała dzieciom co bardziej fantastyczne historie, i to jawnie, nie ukrywając się po kątach. Anette zaczęła częściej wyłączać telewizor, ponieważ nie chciała, by któreś z jej dzieci wpatrywało się w szklany ekran marnego sprzętu bez jej nadzoru.

Eve Youme właśnie stawała się nastolatką, kiedy Eona opowiadała jej, i to bez ukrywania się po kątach, historię Duene. Dzieciaki krążyły po swoich stałych orbitach: Eve Youme u stóp Eeony, Frank tuż obok, a Ronolda załatwiała sprawunki dla matki. Ciocia Eona zjawiała się jak zawsze bez zapowiedzi. Pukała do drzwi, słyszała: „Proszę” i wchodziła do środka. Czasem przywoziła ze sobą coś

dobrego do jedzenia. Czasami zabierała ze sobą tylko opowieści. Od czasu do czasu opowiadała o Kobiecie Krowie i o Anansi, ale nie dzisiaj.

– Duene to lud, który strzeże dzikich miejsc. Kobiety żyją w oceanie, a mężczyźni na lądzie. Mają stopy tyłem do przodu, dlatego nie można stwierdzić, czy się zbliżają, czy oddalają. Potrafią posiekać na drobne kawałeczki samą siłą myśli.

Eve Youme mocno skoncentrowała się na swoim oddechu. Chciała zrównać go z rytmem słów ciotki. Ronald stała w drzwiach i zamarła, przysłuchując się. Teraz ciocia Eeona opowiadała o mężczyźnie Duene, który miał gładkie, bezwłose ciało. Zakochał się w kobiecie Duene o falowanych włosach.

– Przedstawicielom Duene wolno było spółkować, sami rozumiecie – powiedziała Eeona, mimo że dzieci tak naprawdę nie rozumiały – ale zakazano im miłości. Sekretni kochankowie Duene kochali się bez opamiętania. Jednak miłość przykuła ich do zatoki, ponieważ to na plaży spotkały się ich światy. Spłodzili dzieci, które potrafiły pływać, chodzić i kochać, ale musieli utrzymywać swoje uczucie w tajemnicy.

Anette przysłuchiwała się, krojąc cebulę. Teraz wyprostowała się na krześle i wygięła szyję w łuk. Eeona miała zadyszkę, co nie było do niej podobne.

– Wasza babka – powiedziała do dzieci – opowiedziała mi tę historię, kiedy byłam dzieckiem.

Ale kiedy Eeona wypowiedziała te słowa, Anette poczuła, a po chwili była już pewna, że to nieprawda. Nigdy wcześniej nie słyszała tej części opowieści. Pozbawiony włosów chłopak Duene zakochuje się w dziewczynie Duene o falowanych włosach? Zdawało się, że Eeona wymyśliła tę historyjkę na poczekaniu. Właśnie tutaj. Właśnie teraz. Ot tak, po prostu. Eeona nie pamiętała już, co tak naprawdę opowiedziała jej matka. Zamiast tego coś się z nią działo, jakby mała burza kłębiła się jej w mózgu. Sądziła, że wymknęła się epizodom, od kiedy zgłosiła pretensje do ziemi i wybudowała pensjonat. Ale teraz Eeona sięgnęła nad kark i oswobodziła włosy ze szpilek. Nie robiła tego dla dzieci. Zrobiła to, by odzyskać swą siłę, bo coś było z nią nie w porządku. Nie do końca w porządku.

– No dobrze – podjęła znów ciocia Eeona – a kto teraz strzeże dzikich miejsc? – Rzuciła pytanie w przestrzeń, jednocześnie potrząsając głową tak, by poczuć, jak włosy opadają jej falami na plecy.

Ale dzieci nie odpowiedziały, ponieważ rzucono na ich myśli zaklęcie. To jeszcze jedna rzecz, którą potrafią uczynić opowieści. Youme wsparła się na łokciach, twarz ginęła jej w cieniu. Kur na sąsiednim podwórku piał do księżyca. Gdzieś na ulicy mężczyzna pozdrawiał donośnie swego przyjaciela. Franky wrócił ze stróżowania w latarni morskiej i przywitał się ze wszystkimi, przystanął, by zamrunąć ze zdziwieniem na widok rozpuszczonych włosów szwagierki, przypominających głęboką studnię, do której mężczyzna mógłby się rzucić.

Anette wyszła mężowi na spotkanie do salonu, ale potem podeszła do siostry i zebrała włosy starszej kobiety w kok. Eeona pozwoliła na to i spojrzała na siostrę, nie patrząc jej w oczy.

– Pójdę się położyć – oznajmiła Eeona.

Troje dzieci usłyszało opowieść o kochankach Duene, ale każde inaczej ją zinterpretowało. W ostatecznym rozrachunku i tak nie ma znaczenia, co usłyszeli ani czego się dowiedzieli. Liczy się tylko to, jak zinterpretowali historię.

Ronalda nie sądziła, że dzikie miejsca potrzebują ochrony. To ludzie potrzebowali ochrony. Wystarczy spojrzeć na to, co dzieje się w Stanach. Ronald, która za parę miesięcy wyjeżdżała na naukę w college'u, postanowiła zostawić wszystkie wyspiarskie bzdury za sobą.

Frankowi ludzie Duene wydawali się męczennikami miłości i dzicy. Byli bohaterami. Jak Superman w telewizji.

Eve Youme sądziła, że Duene byli w konflikcie z samymi sobą. Ale może był to konflikt honorowy. Taki, który pozwalał na wygnanie. Jeśli tak jest, to znaczy, że ludzie Duene są tacy jak ona.

Tylko tyle potrzeba było, by każde dziecko stało się tym, kim miało się stać. Ale najpierw wyjechała Ronald. Potem przybyła Mary. Później zniknęła Eeona. Na końcu rodzina Josephów spotka się na plaży, tak jak kochankowie mają to w zwyczaju.

ZATONIĘCIE

Może się wydawać,

że tak prosto powiedzieć: to morze.

Ale... to morze.

– Derek Walcott



82.

Ronalda wyjechała do college'u w Stanach. Tam odkryła rzeczy gorsze, niż się spodziewała. Kiedy dotarła do Ameryki, kraj okazał się jawnie rasistowski, jawnie seksistowski i jawnie nieprzyjazny na wiele różnych sposobów, a RONALDA stała się wyrzutkiem. To prawda, zawsze się tak czuła. Ale w Stanach to uczucie było uzasadnione – brak przynależności stanowił pewną przynależność. I czarni Amerykanie wydawali się RONALDZIE prawdziwi. Byli w telewizji. Byli w gazetach. Byli w czasopiśmie, książkach i filmach. Byli tutaj. Tak realni, że wszyscy mogli ich zobaczyć. Wyspy Dziewicze prawie wcale nie istniały.

83.

Wtedy przybyła MARY. Naliczono parę huraganów. Niektórym nadano imiona. Te zyskały tożsamość, osobowość. Przez długie lata sztormy otrzymywały jedynie kobiece przydomki, co wydawało się pasować. Mogły być zakochane, mogły być zazdrosne. Ale czy dany huragan okaże się DZIEWICĄ, czy MAGDALENĄ, tego nie wiedział nikt, aż było już za późno.

Wyspy widziały niejedną zawieruchę. Domy budowano tak, by zdołały przetrwać. Ale w radiu brzmiało to bardzo poważnie. Dlaczego to się nam przytrafia? Co takiego zrobiliśmy? Kuzyn z Tortoli, którą to ziemię sztorm zdecydował się zignorować na swej drodze, parsknął: „Te amerykańskie Wyspy Dziewicze spotyka zasłużona kara za niemiłosierny brak umiaru”. W końcu podejrzane łupy turystyki zalewają tutejszy archipelag od lat.

Huragany – jak wszystkie ważne sprawy – działy się co pokolenie. Youme i Frank myśleli, że to element folkloru Karaibów jak piraci czy syreny albo karaibski mit jak opowieści Eeony o Duene czy Anansi. Ale ponieważ były to mity, Eve Youme wiedziała także, że powrócą. Wierzyła we wszystkie te opowieści.

Zgodnie z zaleceniami radia członkowie rodziny rozwiesili mapę rozdawaną przez władze i wyrysowali linię od wybrzeży Afryki, skąd huragan wystartował. Nanieśli siatkę długości i szerokości geograficznych. To była gra, w którą lokalna społeczność bawiła się zespołowo – obserwowała, jak MARY, zmutowane dziecko, rośnie, podróżując przez Atlantyckie. Nagle MARY już tu była, pukała do drzwi. Wszyscy chodzili podenerwowani i nieco podekscytowani. Nie ma szkoły! Szybciej wracamy z pracy! Wybuchła cała ta krzątanina. Mervyn Manatee nawoływał w radiu: „Przygotujcie się! Przygotujcie! Huragan MARY nadciąga!”.

Franky pracował w Straży Wybrzeża, nawykł więc do bycia przygotowanym. Posłał Anette wraz z Youme po baterie, dzięki którym sprzęty będą działać, oraz coś dobrego do jedzenia, na wypadek gdyby sztorm wprowadził w posępny humor. Franky z synem przydźwigali ciężkie drewniane dechy i zabili nimi okna od zewnątrz. Franky zatelefonował na Saint John i upewnił się, że ktoś

zajrzy do pensjonatu Eeony i sprawdzi, czy wszystko w porządku. Po tym, jak zabezpieczył dom, zaglądnął do latarni morskiej. Straż Wybrzeża zwolniła go ze służby podczas sztormu, bo byłoby to zbyt niebezpieczne. Ostrzeżono wszystkie statki w okolicy. Kiedy wróci do domu, każe przenieść wszystkie kosztowności na najwyższe półki.

Ale wtedy – co za blaga! Z początku, kiedy Mary przybyła, wydawała się jedynie marnym deszczykiem i lekkim podmuchem.

Doktor Jacob McKenzie wraz z żoną pozostawali w przyjaznych stosunkach z pewnymi Amerykanami, zaproszono ich więc na huraganowe przyjęcie. Jacob zabrał swą piękną małżonkę na prywatkę na wzgórzach, które teraz zwano Peterborg. Dawno, dawno temu wbiegł na te pagórki i zerwał garść kwiatów, by ich deszczem obsypać włosy Anette.

Teraz wraz z ponętą żonką i amerykańskimi przyjaciółmi spoglądał na Magens Bay i widział, jak Ocean Atlantycki robi się bardzo wzburzony, by za chwilę nieco się uspokoić. Amerykanie mieli rację co do sztormu. Najlepiej wyprawić imprezę i cieszyć się dniem wolnym od pracy. Żona Jacoba stukała się kieliszkiem szampana z gospodynią, której mąż dopiero się rozkręcał. Jacob wyobrażał sobie, że możliwa jest tylko jedna katastrofa: ich ogrodnik z Santo Domingo może będzie musiał przesadzić róże.

Anette w końcu była historyczką i mimo że tak naprawdę nie uczyła historii Wysp Dziewiczych – ponieważ w żadnej ze szkół nie uważano tego za potrzebne – to nadal nadstawiała ucha i łowiła lokalne historie. Anette słyszała o dawnym przypiływie, który zalał nabrzeże i zmył anglikański kościółek z powierzchni ziemi. Opowiedziano jej o pradawnym trzęsieniu ziemi, które zburzyło Peterson Building. Wiedziała o minionej cholercie, co niczym prawdziwa plaga zabrała każdej rodzinie syna. Dowiedziała się nawet o zatonięciu statku „Homecoming”. To wszystko należało do historii. Teraz Franky opowiadał w ich domu historię o tym jedynym razie, kiedy uratował kogoś od utonięcia. Przez te wszystkie poczciwe lata służby w Straży Wybrzeża uratował topielca tylko raz.

Wszyscy mówili, że huragan Mary był wściekłą kobietą – albo porzuconą kochanką, albo zrozpaczoną matką. Mary – powinniśmy się domyślić, że z takim imieniem będzie najgorsza na świecie. Nikt się nie przygotował? Ale jakim cudem mieliśmy być gotowi? Burza najpierw wydawała się nawałnicą, potem ucichła, a następnie znów uderzyła z całą siłą, tym razem naprawdę. Zbagatelizowaliśmy ją.

Portret Owena Arthura i Antoinette w sepii zdjęto ze ściany i spakowano. Statki wycieczkowe właśnie zawróciły i popłynęły na Jamajkę. W kółko wydzwaniano do internatu Ronaldy, ale ona sama była akurat na spotkaniu SNCC, studenckiej komisji do koordynacji walki z przemocą, i miała wrócić do domu po godzinie policyjnej, czyli po dziewiętnastej. Godzina policyjna na linii telefonicznej zapadała o dwudziestej pierwszej. Ronalda w końcu oddzwoniła

o dwudziestej trzydzięci i powiedziała:

– Nie mówili nic o Wyspach Dziewiczych w wiadomościach. Wszystko będzie dobrze.

Potem Eeona zadzwoniła z Saint John i powiedziała:

– Posłuchaj uważnie, Anette. Nic nie będzie dobrze.

– Eeono, w takim razie tu przyjedź.

– Nie ma na to czasu. Anette, ewakuują całą Anegadę. Atol może zatonać.

– Czy Anegada ma jeszcze jakieś znaczenie?

– Ma znaczenie.

Być może my zapomnieliśmy o Anegadzie, lecz Eeona pamiętała. Prawda, którą znała, doprawdy była prawdziwa. Czym będzie Anegada bez tamtejszych górskich wędrowców? Co stanie się z tymi paroma drzewami? To dziwne, ale Eeona bardziej martwiła się o ład niż o własny pensjonat.

– Eeono, proszę cię, zatroszcz się o siebie. Czy ktoś jest z tobą?

– Groby naszych dziadków znajdują się na Anegadzie. Tam jest nasza historia.

– Och, Eeono. Morze nie zdoła zagarnąć całej wyspy.

Tak jakby nikt nie słyszał o Atlantydzie.

Youme i Frank spali głęboko, jak to nastolatkowie potrafią. Nie zauważyli nawet, kiedy wyłączono prąd.

84.

Deszcz toczył bój, próbując wedrzeć się do domu. Potem do drzwi dobijały się strzępy cynkowanej blachy. Później wiatr zaczął wyć jak kobieta oplakująca złamane serce. Radio przestało grać składankę amerykańskiego soulu i wyspiarskich rytmów quelbe. Ogarnięci szalem mężczyźni, kobiety i dzieci zaczęli nawoływać i krzyczeć, że wichura pozbawia ich dachu nad głową. Że ich dzieci wyszły na deszcz, który – jak wcześniej sądzili – był tylko lekką mżawką. Pomocy! Mieszkamy w Tutu. Żyjemy na nowym osiedlu. Jeszcze żyjemy! Ratujcie nas!

W radiu nadano komunikat, że potrzebna jest pomoc wszystkich pracowników służb ratowniczych. Wszystkich bez wyjątku. Wzywano policjantów, lekarzy, strażaków, no i oczywiście funkcjonariuszy Straży Wybrzeża. Proszę się zgłaszać. Natychmiast.

Jacob nadal znajdował się na wzgórzach Peterborg, a gościom huraganowej prywatki zaczęło świtać w głowach, że to wcale nie przelewki. Gospodarz wpadł z hukiem do jadalni i wrzasnął: „Potrzebują lekarzy!”. Jacob odstawił kieliszek z winem, ujął żonę pod ramię i zaprowadził do auta. Mieszkali w Wintberg, więc droga powrotna była, co prawda, zdradliwa, ale krótka. Gdy tylko zajechali przed dom, Jacob zaczął pakować torbę medyka. Widząc, że trzęsą mu się ręce, żona

odezwała się do niego, mówiąc, że nie musi nigdzie jechać. Może tam zginąć. Nie powiedziała, jaki był prawdziwy powód jej strachu: że może umrzeć w ramionach Anette Bradshaw.

Poza tym Jacob bał się sztormu. Czyż nie uczynił już wystarczająco wiele? Czy nie walczył za kraj? Nie ucierpiał z powodu rasizmu? Czy nie zgubił duszy i nie stracił miłości swego życia?

Przez chwilę tylko sprzeciwiał się żonce, ale był wdzięczny za jej obawy. Gdy przez radio znów wezwano lekarzy, wyłączył odbiornik. Wtedy wraz z żoną położyli się do łóżka i słuchali wycia Mary. Wówczas, pragnąc poczuć się jak mężczyzna, wturlał się na żonę z nadzieją, że uda im się spłodzić syna.

Kiedy komunikat radiowy wzywający pracowników służb ratunkowych rozległ się w domu Josepha, Franky spojrział na Anette.

– Muszę iść – powiedział.

Franky należał do Straży Wybrzeża, ale nigdy wcześniej nie miał do czynienia z żadnym poważniejszym zagrożeniem. Kiedy został strażnikiem, nie odbył nawet oficjalnego szkolenia, które przygotowałyby go na takie wypadki. Na litość boską, jego praca polegała głównie na utrzymywaniu latarni w dobrym stanie. Mimo że naoglądał się morza, ani razu nie widział na oczy katastrofy morskiej statku. Nie był surferem ani nawet sternikiem. Raz jeden uratował tonącego, kiedy odpoczywał po pracy na plaży Coki. To wszystko.

Ale i tak spieszy na ratunek.

Anette patrzyła, jak jej mąż się ubiera. W pewien sposób był człowiekiem morza, lecz to morze zdawało się teraz wywrócone do góry nogami. Zamierzało spaść im na głowy. Wkrótce zatoną. Anette przyglądała się, jak Franky wkłada ciężkie buciory na nogi, a na grzbiet wkłada kurtkę, którą miał na sobie, kiedy wszyscy razem pojechali do Stanów miesiąc po tym, jak Ronaldla się tam urządziła. Wówczas nie myśleli zbyt wiele o Ameryce, padało rano, po południu i wieczorem, aż do samej nocy, słońce nie zaświeciło w tym czasie ani na moment. Kto to słyszał, żeby deszcz lał całymi dniami? Teraz rzeczywiście lało cały dzień. Anette cieszyła się, że przynajmniej jedno z jej dzieci jest daleko stąd. Ale papa Franky żałował, że Ronaldy tu nie ma. Ona była dzieckiem, któremu ufał najbardziej, że będzie potrafiło przejąć pałeczkę i dowodzić.

– Nic mi się nie stanie, Annie. Jestem mężczyzną, tak? Bądź bezpieczna. Nie dawaj mi powodu do zmartwień.

Anette skinęła twierdząco głową i poczuła łyzy na policzkach. Mąż nigdy wcześniej nie nazwał jej tym zdrobnieniem. Zdawało się wówczas zbyt intymne, jakby wisiało nad nimi coś ciężkiego, co trzeba było osłodzić.

Krople deszczu biły mocno w okna na tyłach domu. Youme i Frank siedzieli w salonie, nie mogli spać. Była pierwsza w nocy. Franky'emu nie spodobał się pomysł, by każde z osobna go żegnało. Nie szedł na śmierć. Szedł ratować życie.

Pokaże, co to heroizm. Wróci.

Anette także się to nie podobało. Jej pierworodne dziecko było bezpieczne, ale tak daleko stąd. Jej siostra była bezpieczna i przebywała bliżej, ale nie dość blisko. Anette najbardziej na świecie pragnęła być z tymi, których kochała i którzy kochali ją.

Frank przytulił się do ojca. Później Franky podszedł do Youme i poklepał ją delikatnie po głowie, jakby była małym dzieckiem. Na koniec pocałował Anette w usta, czego dzieci nigdy wcześniej nie były świadkami. Franky otworzył ciężkie drzwi wejściowe gwałtownym pchnięciem. Deszcz wdarł się do salonu. Wszystkim zaparło dech i cofnęli się o krok. Franky posunął się do przodu. Zatrzasnął za sobą drzwi. Anette wpatrywała się w zamknięte odrzwia, nadal widząc plecy swego męża i szalejącą wokół niego burzę.

W tym momencie Anette życzyła Franky'emu śmierci.

To tylko proste, acz szokujące życzenie. Ledwie pragnienie, by Franky nigdy nie wrócił. Czy wszystko nie byłoby w najlepszym porządku, gdyby Franky utonął? Bohaterska śmierć nie byłaby taka zła. Czyż wtedy Anette nie wypełniłaby swego obowiązku? Została przy nim przez te lata, ponieważ on został przy niej. Później będzie wolna. I zamiast Franky'ego zjawi się Jacob McKenzie. Cóż. Ze zdziwieniem odkryła, że Jacob nadal znajdował się wśród tych, których kochała najbardziej – a nawet nie wśród nich, ale ponad nimi. Anette nie życzyła nikomu śmierci od tak wielu lat, a teraz życzyła jej swemu mężowi.

Youme spojrzała na matkę stojącą w progu i wiedziała dokładnie, co Anette ma w głowie. Stwierdziła, że myśli jej rodzicielki są dziwaczne, bo czyż ona i papa Franky właśnie się nie pocałowali? Dlaczego mamusia miałyby pomyśleć sobie coś tak strasznego? To, że potrafiła czytać matce w myślach, w ogóle nie wydało się Youme dziwne. Zdawało jej się, iż to umiejętność, którą ma każdy. Że to coś, co członkowie rodziny powinni dla siebie robić.

To uderzyło Anette. Poczula, że do jej myśli wtargnął intruz, tak jakby ktoś wybił okno w domu. Rozległ się brzęk i nastąpił moment strachu. Potem obróciła się powoli i spojrzała na śledzącą ją wzrokiem Youme. Wpatrywały się w siebie, aż Youme łzy napłynęły do oczu i poczuła, że robi coś złego. „Me?” – wypowiedziała Anette w swojej głowie, a Eve Youme usłyszała swoje pieszczotliwe imię, jak odbija się echem w jej uszach. Wtedy dziecko zrobiło to, co mogło uczynić tylko dla matki. Obróciło się do niej plecami.

Poza tym Anette tak naprawdę nie chciała, żeby Franky przepadł. Był dla wszystkich dzieci dobrym ojcem. A dla niej dobrym mężem. Byłaby zdruzgotana. Nie wiedziałyby, jak pozostać przy zdrowych zmysłach. Jak miałyby przyrządzać solonego dorsza bez sosu pieprzowego Franky'ego? Sama ledwie potrafiła gotować. Nie, nie, nie chciała, by Franky zginął. Chodziło tylko o to, że pragnęła Jacoba. To wszystko. Chciała jedynie, by Jacob tu przybył. Żeby wziął ją,

przytrzymał i był jej mężem tak, jak obiecał. Od lat nie traciła czasu na takie głupstwa. A to było głupstwo. Lecz teraz po prostu się bała. Z powodu sztormu czuła się porzucona.

Anette z powrotem skupiła wzrok na drzwiach. Stała i wpatrywała się w nie przez dłuższy czas. Wyobrażała sobie zarys pleców Franky'ego w progu. Utrzymywała go przy życiu. Wymazywała swoje wcześniejsze nieostrożne myśli. Jacob jest żonaty, upominała siebie. Nie jest wolny i nie może rościć sobie do niej praw, nawet gdyby ona była wolna i można by się było o nią ubiegać. A tak w ogóle to kto twierdzi, że byłby dla niej dobrym mężem? Kto mówi, że kochaliby się nadal, gdyby została jego dostępną na wyciągnięcie ręki żoną? „Daj spokój” – mówiła do siebie. – „Franky to twój mężczyzna. Franky jest tym, kogo potrzebujesz”.

Podeszła do córki i przybliżyła twarz Youme do swojej.

– Bądź ostrożna, gdy jesteś w głowach innych ludzi – powiedziała na głos.

Potem puściła Youme i wyszła do kuchni, żeby zgromadzić zapasy świec i zapalek. Świece, które się paliły, już zaczęły topnieć.

O piątej nad ranem Anette podniosła słuchawkę, żeby zatelefonować do latarni morskiej i sprawdzić, czy u Franky'ego wszystko w porządku. Odkryła, że zerwało linię. Frank junior pogłodził radio tranzystorowe. Mervyn Manatee ogłosił, że wszyscy powinni otworzyć okna. To zapobiegnie implozji. Dzięki temu ciśnienie wewnątrz domu nie wzrośnie i nie wysadzi dachu od środka. Frank otworzył okna na tyłach. Albumy ze zdjęciami ociekały wodą. Wszyscy czuli, jak huczy im w uszach, gdy spoglądali na dach.

Nawałnica była teraz dziką kobietą.

Frank cały czas sprawdzał zamki i zasuwy, tak jak poinstruował go ojciec. Mimo że był najmłodszy, nikt nie kazał mu sobie odpuścić. Wydawało się, że ma wprawę i dryl wojskowy. Anette obserwowała jego ruchy z sekretną matczyną dumą: mieszanką pociągu i opieki.

Z radia wylewał się potok grozy. Huragan przemieszczał się teraz wolniej. Zatrzymał się całkowicie i przyczaił przy Wyspach Dziewiczych, siejąc zniszczenie niczym coś z góry obmyślonego i biblijnego. Policja nadawała komunikaty w radiu. Ten dom przepadł. Tamten dach został zerwany. Potem dawano wytyczne w tonie pokornej prośby. Schowajcie się w wannie. Zakryjcie głowy materacem.

Kiedy będzie już po wszystkim, wysłuchają opowieści o rodzinach, które cisnęły się w wannie z materacem nad sobą, podczas gdy ich dom się walił. Pomóżcie nam! Pomoc nadchodzi. Zbliża się Straż Wybrzeża. Policja już tu jedzie. Gdzie jest lekarz? Gdzie jesteście? Podajcie adres. Halo? Halo?!

Oko cyklonu w końcu się zamknęło. Oko. Idealna metafora tak wielu rzeczy. Cisza zapanowała na całym lądzie. Spokój. Lekki deszczyk. Promienie słońca

wpadające przez niezabite deskami okna na tyłach domu. W radiu ostrzegano, żeby nie wychodzić, ponieważ nie wiadomo, jak długo będzie panować cisza, zanim Mary nie uderzy ponownie.

Frank, który miał twarz dziecka, ale był prawie nastolatkiem, owinał się kocami. Anette udawała, że nie zauważyła, jak szykuje się do wyjścia. Nie sądziła, że zdoła powstrzymać syna, więc nawet nie próbowała. Miał w sobie pewną determinację. W tym chaosie zdawało się, że nagle narodził się w nim mężczyzna. Później, kiedy syn będzie walczyć po stronie rewolucji na Grenadzie, matka opowie historię o tym, jak ruszył w sam środek oka cyklonu. Ale teraz Frank otwiera drzwi, przez które Franky wyszedł i jeszcze nie wrócił, i rusza w głuszę.

Youme i Anette rozkładają związane prześcieradła w progach drzwi i na parapetach okien, żeby zatamować sączącą się do środka wodę. Nie kładą nic w drzwiach wejściowych, przynajmniej dopóki nie wróci Frank. Kiedy powraca pół godziny później, wygląda na przestraszonego i odważnego.

– Spojrzałem cyklonowi prosto w oko – mówi. – Teraz wichura się na nas wypnie.

Oblicze Mary było złe, ale jej ogon, jak każdy karaibski tyłek, był jeszcze gorszy.

85.

Huragan Mary trwał dwa dni. Mary była wściekła. Potem odpuściła sobie, beczelna, powolna, usatysfakcjonowana.

Popołudniem po ustaniu nawałnicy Youme i Anette brodziły po najbliższej okolicy. Wiekowy mahoń został wyrwany z korzeniami i ciśnięty do rynsztoka. Na środku drogi leżała przewrócona na bok prawdziwa lodówka Maytag. Największa ciekawostka czekała u sąsiadów mieszkających u podnóża ulicy pełnej schodów. Pośrodku rumowiska stało nietknięte łóżko – z wezłowiem i całą resztą. Prześcieradło nadal było dokładnie zaścielone, poduszki wciąż pęczniały u szczytu, podczas gdy reszta domu legła w gruzach. Gdyby łożo było krzyżem lub figurką świętego, wszyscy mówiliby, że to cud boski. Ale w takich okolicznościach Anette jedynie przyglądała się meblowi przez dłuższą chwilę.

Dom Franky'ego – dziwnym trafem – ocalał, i to w całości. Kiedy odszukano dawny portret Antoinette i Owena Arthura, wydawał się w lepszym stanie niż wcześniej.

Życie na wyspie uległo zmianie. To nie była żadna nowość. Raczej coś otwierającego i ożywczego. To było życie, które przekroczyło datę ważności, mimo że na trzech wyspach zginęły jedynie trzy osoby, i to turyści. Musieliśmy przeprować się przez życiorysy innych ludzi, żeby przejść ulicą. Drogę zagracały kuchenne stoły. Kredensy rozbiły się o samochody.

A najgorsze było to, że ci mieszkający w dolinie mogli zobaczyć nagie

wzgórza. Wcześniej stały tam domy. Tak wiele domów! Kiedy je wybudowano? Kto w nich mieszkał? I dlaczego były takie ogromne?

Te domostwa nie dochodziły do stromych uliczek pnących się schodów. Znajdowały się wyżej. Mieszkańcy miasteczka po prostu nie zwracali na nie wówczas uwagi. Racja, ci na dole posiadali ziemię i domy, a jednak dopiero teraz zauważyli, że patrzono na nich z góry. Nagle zdali sobie sprawę, że wcale nie mieszkali w atrakcyjnej lokalizacji.

W dwadzieścia cztery godziny po tym, jak zamknął za sobą drzwi, papa Franky wrócił do domu jako bohater, ale żywy. Chwycił żonę w objęcia, obrócił ją dookoła i powiedział: „Dzięki Bogu, że żyję”.

Później tę wyspiarską mantrę nadawano na pasmach fal radiowych, śpiewano w kolejkach po darmowe posiłki, w słuchawkach telefonów oraz wypisywano na opakowaniach sprayu przeciwko komarom, które RONALDA przesyłała ze Stanów – „Dzięki Bogu, że żyję!”. Ogłoszono wszem wobec, że to sąsiedzi uratowali siebie nawzajem. Zadeklarowano, że wyspiarska społeczność wraca do dawnych korzeni. Na powrót się gromadziliśmy. Znow się kochaliśmy. Zналиśmy się wzajemnie. Tak jak przedtem. „Dzięki Bogu, że żyję!”. Na wyspie zapanowały miesiące bez prądu. Miesiące splukiwania toalety wodą z cystern stojących pod domem. Miesiące bez turystów i zysków, które przybywały wraz z nimi.

Ale po kryjomu nikt nie pragnął powrotu do normalności. Potajemnie każdy czuł, że to cofnięcie się w czasie było zbawienne, warte poświęcenia. Spojrzeliśmy w przeszłość po raz pierwszy od długiego czasu. I coś dostrzegliśmy. Dzięki Bogu, że żyjemy.

Anette wyprasowała wszystkim ubrania, w tym celu rozgrzewając żelazko nad małym ogniskiem na podwórku, przykryła także odzież obrusem, żeby jej nie przypalić. Członkowie rodziny, zamiast oglądać telewizję, opowiadali sobie historie, których nauczyła ich Eeona. W wersji małego Franka Anansi na końcu dzielił się wszystkim z każdym po równo. W naszej rozpowszechnionej wersji jest podstępny – w życiu by się niczym nie podzielił, ani kawałkiem owocu, ani aktem własności dużego domu na wzgórzu. Papa Franky opowiedział o uwodzicielce z racią, która – jak głosił mit – potrafiła śpiewać jak pianino. Nie pamiętali już dokładnie, co wieszczły mity, ale i tak je sobie powtarzali. Czy La Diabliesse to ta sama postać co *soucouyant*? Czy Anansi, Pan Pająk, należał do Duene? Eve Youme przysłuchiwała się i czuła mrowienie w palcach. Czasem stopy sprawiały jej ból, jakby próbowały od niej uciec.

W końcu FEMA, Federalna Agencja Zarządzania Kryzysowego, przestała rozdawać bochenki chleba, a zaczęła racjonować żołnierskie żelazne porcje – racje żywnościowe przydzielane chłopcom z wojska. Jacob w swym domu pozbawionym rynien deszczowych i balkonu podlewał wodą mięso, by

napęczniało, i przypominał sobie, jak jadł podobne śmieciowe jedzenie wiele lat temu, kiedy był odważny i sprawiedliwy. To było wtedy, gdy wiedział, że w niczym nie ustępuje żadnemu mężczyźnie. Teraz Jacob wraz z uroczą małżonką jedli przy ogromnym stole w skąpanej blaskiem świec jadalni. Wyposażyli się w kosztowny generator prądu, który starczał im na własne potrzeby – obsługę pompy wodnej oraz oświetlenie, jakiego domagała się próżność jego żony.

Youme siedziała w domu Franky'ego i Anette i jadła dmuchaną sałatkę owocową. Czuła się tak, jakby w ustach miała oblaną lukrem gąbkę. Me, która od dnia dwunastych urodzin zawsze sypiała w skarpetkach, butach i majtkach, choć poza tym mogła być zupełnie naga, schowała owocową sałatkę i zakopała ją w ogródku za domem, kiedy wszyscy smacznie spali, a całą wyspę okryła ciemność. Myślała, że może coś z tego wyrośnie. Jeśli nie, to nie powinna tego jeść. Nie podobało jej się, że ten posiłek wprawiał ją w odrętwienie.

Przez szacunek do kobiet tak silnych jak ona sama huragan Mary nie uczynił pensjonatowi Eeony na Saint John żadnej szkody. Ale nawałnica zrównała z ziemią ośmioboczny pałacyk na szczycie wzgórza w Freedom City na Saint Croix. Pająk wypełził stamtąd i prędko utkał sobie z sieci nowy dom, jak to Anansi mają w zwyczaju.

Franky zaproponował, że weźmie łódź ze straży i popłynie sprawdzić, czy wszystko u Eeony w porządku, ale Anette wcale a wcale nie spodobał się pomysł, by jej mąż wybierał się gdziekolwiek bez niej, jeśli praca tego nie wymagała. Nie po tym, jak prawie uśmierciła go w myślach. A zważając na jej strach przed łodziami, nie miała zamiaru wyprawiać się z nim. Poza tym z cudnej wyspy Saint John nie dotarły żadne doniesienia o rannych czy ofiarach śmiertelnych. Promy przewoziły w tę i z powrotem głównie sypkie towary i lekarstwa, upłynął więc cały miesiąc, zanim członkowie rodziny dostali wieści o Eeonie – a nie były to nawet wieści, lecz sama Eeona, która stanęła w progu.

Zanim huragan Mary dotarł do Stanów Zjednoczonych, zdążył osłabnąć. Ale i tak przewrócił niczym domino sklecone naprędce z drewna i płyt gipsowych domy na kontynencie. Mary zabiła w Stanach wiele osób. Ale huragany wyruszają z wybrzeży Afryki i wędrują po trójkącie szlaku handlowego wedle własnego widzimisie.

BOMBA

Prędzej przewłóczę i przepiję rumem całe noce,

Niż wsiądę na LaBegi karuzelę.

Nie słyszałeś, co LaBega mówi bezczelnie?

„Ludzie nie są warci więcej

niż piętnaście centów dziennie”.

– LaBega Carousel



Gdzieś na czubku góry na wyspie, gdzie znajdowało się miasto zwane Freedom, dom o ośmiu ścianach legł w gruzach, jakby ktoś zmiażdżył go stopą.

A gdzieś daleko, daleko stąd, we Frenchtown, w butikowym hotelu z restauracją na parterze, generator prądu chodził pełną parą i zaczęto sprzątać zalegające w porcie roгатki i lucjany czerwone. Po huraganie Rząd Federalny Stanów Zjednoczonych przytulił wielu Amerykanów z wyspy i przeniósł ich na lono cywilizowanego kontynentu. Nie grało roli, że rdzenni wyspiarze także byli Amerykanami – nie witano ich wcale z otwartymi ramionami na pokładzie ewakuacyjnych samolotów. Ostało się jednak paru obywateli Stanów Zjednoczonych, którzy nie wyjechali, jak na przykład świeżo upieczony mąż Gertie. To oni później będą się obruszać, kiedy zwać ich będą obcymi. Odpowiedzą, że przetrwali huragan Mary, przeżyli go i z racji tego faktu należy im się status swojego. Aktualnie nie byli utwierdzeni w decyzji, by zostać, i skłonni byli sownie zapłacić za przyzwoity posiłek, prąd i dobrą obsługę. Generator w hotelu i restauracji Hibiskus warczał jak potwór i jak ryba skwiercząca na patelni.

Państwo Joseph z Garden Street nie słyszeli o samolotach zabierających prawdziwych Amerykanów z powrotem do prawdziwego kraju. Wiedzieli o tym tylko ci, co mieli się dowiedzieć. Wykorzystywano lampy naftowe oraz lampy zasilane bateriami, które zarzucały sieć światła na każdy zakamarek domu. W radiu mówili, że minie parę miesięcy, zanim wyspy odzyskają dostęp do prądu i bieżącej wody.

Anette będzie czekać na elektryczność tak samo jak Antoinette i Owen Arthur. Będzie jej wyczekiwać niczym magicznej sztuczki.

Eeona zawitała do nich w miesiąc lub nieco więcej po tym, jak huragan Mary pojawił się i zniknął. Pytana o pensjonat odpowiadała, że ma się dobrze, po prostu świetnie. Wypytywana, jak udało jej się przeżyć nawałnicę i jak radzi sobie sama przez te półtora miesiąca później, odpowiadała tak samo.

– Jestem tu, bo bardzo przyjemnie jest być na Saint Thomas, kiedy nie ma tu prądu. Przypomina mi się dzieciństwo.

Wszyscy siedzieli w salonie, czekając, aż się ściemni i nie pozostanie już nic innego, jak tylko położyć się spać. O siódmej wieczorem każdy padał ze zmęczenia, o ósmej cała wyspa była już w łózkach. Eeona, siedząc w zmierzchu przy świetle lampy naftowej, myślała o ojcu, jak wracał do domu i opowiadał jej o dziewczynce, której włosy unosiły się do nieba, kiedy trzymała magiczną kulę elektryczności. Anette pamiętała, jak woźny zgasił światła na potańcówce, przypominała sobie, że stała tam w ciemności, a mężczyzna o skórze koloru piasku był tuż obok. Wówczas rozpamiętywała ciemne noce, kiedy leżała z obojgiem

dzieci i kochankiem. Potem wyjrzała przez okno i usiłowała wzbudzić w sobie stosowny wstyd.

Youme, dla której prąd nie był żadnym luksusem, bo przyjmowała go za coś najzwyczajszego pod słońcem – tak naprawdę nieróżniącego się wiele od słońca – odsunęła dywanik ze środka salonu i otworzyła właz zbiornika na wodę. W poprzednim pokoleniu chodziło się do publicznego hydrantu, prawdę mówiąc, niektórzy nadal tak robili. Ale wodny zbiornik Josepha był ogromny i mieścił wystarczająco dużo wody, by oszczędzić im wystawania w kolejce na ulicy. Eeona i Anette obserwowały Me, jak czerpie wodę. Dziewczyna miała na nogach białe skarpetki i czarne lakierki. Me nie tylko niszczyła czyste skarpetki, zbytek w dobie, kiedy wszyscy prali w rękach, więcej – brudziła podłogę butami, w których chodziła na dworze. Lecz Anette pozwalała wszystkim dzieciom na odrobinę pohuraganowego rozluźnienia. Młodemu Frankowi wolno było wdrapywać się na jedyną palmę kokosową w sąsiedztwie, która przetrwała sztorm, zrywać kokos, odrąbywać jego końcówki, wypijać jednym haustem wodę kokosową oraz wyjadać całą kokosową galaretkę. Wspinanie się na drzewa było niebezpieczne. Tak samo jak pochylanie się nad dziurą w podłodze, czerpanie wody i dźwiganie jej w ciężkich wiadrach.

Cała rodzina obserwowała Youme i wstrzymywała oddech. Co jeśli Youme wpadnie do środka? Czy wszyscy w rodzinie potrafią pływać? Tak. Ale co jeśli zbiornik nie będzie napełniony? Wówczas upadek oznaczał rozbicie sobie głowy o betonową podłogę. A co jeśli na dnie kryją się skorpiony i węże morskie, które zaplączą się jej we włosy albo – jak sądziła ciocia Eeona – wślizgną się do waginy? Co wtedy? Anette raz po raz prosiła Youme, by zostawiała ten obowiązek papie Franky’emu, ale dziewczyna upierała się przy swojej powinności.

Eve Youme ostrożnie zarzucała wiadro niczym wędkę i opuszczała je, aż napełniło się po brzegi wodą. Potem wyciągała kubek. Kiedy wstawała, jej brat spieszył ostrożnie zamknąć pokrywę. Zakrył jej połać podrabianym dywanem perskim. Nawet on był przekonany, że Me powinna zdjąć te głupie skarpetki i buty. Kto się tak ubiera w taki upał?

Drzwi do zbiornika znajdowały się na środku podłogi w salonie, co było bardzo nieporęczne teraz, kiedy czerpali wodę do każdej kąpieli, do każdego mycia zębów, do każdej czynności wymagającej użycia wody. Wcześniej wcale nie zaprzętało sobie głowy zbiornikiem. Ale huragan wyrwał i zwiął im pompę wodną, poza tym jak mieli pompować bez prądu? Pompa stała się jedyną ofiarą w rodzinie. Leżała teraz nietknięta na podwórku oddalonym o dwie mile, skąd zabrała ją i sprzedała jakaś inna rodzina, potem kolejna ją sprzeda, a później następna się jej pozbędzie i kiedy parę tygodni później Franky uda się na Market Square, żeby kupić używaną pompę, zapłaci wygórowaną cenę za tę samą, która niegdyś należała do niego.

Ale na razie Eeona przypatrywała się, jak Eve Youme ostrożnie wlece wiadro z wodą do łazienki. Jej sylwetka układała się w coś w rodzaju krzywej bramy, niemal urzekającej seksapilem w swojej otwartości. Jej nogi, szczupłe, ale zgrabne, były jak konary drzew rosnących tuż nad cieśniną oceanu. Nikt nie krytykował tego, ile wody Youme nabrała. Nastął wieczór, a w wiadrze było naprawdę za dużo, by umyć nogi, twarz i zęby – a doprawdy tylko tyle wystarczyło podczas wieczornej toalety. I tak późnym rankiem wszyscy brali kąpiel w wodzie, którą wcześniej stawiano na słońcu, by się nagrzała.

Może woda była jej potrzebna po to, by spłukać nią toaletę, by pozbyć się odchodów i ich smrodu. Mimo że deszczówki było jak na lekarstwo, co zakrawało na ironię po powodzi wywołanej sztormem, nikt nie żałował pełnego wiadra, jeśli miało służyć do spłukiwania. Łazienka woniała teraz ludzkością. Mimo że Anette szorowała ją co drugi dzień, w powietrzu unosił się zapach stęchłej wody i świeżego tyłka. W najlepszym razie śmierdziało gotującymi się jajkami. Ale zaduch panował tam od wielu tygodni i wszyscy do niego przywykli. Nawet wrażliwy nos Eeony, ponieważ ta woń była jej znajoma. W dzieciństwie używali przecież nocników.

Eeona, która miała przeczucie, podążyła za dziewczyną do łazienki. Po cichu pchnęła drzwi i nie była wcale zaskoczona, gdy zastała Eve Youme, jak kompletnie naga kuca w wannie. Dziewczyna zanurzała myjkę w wiadrze z wodą. Kiedy jej ciotka weszła, Eve Youme stanęła wyprostowana, w oczywisty sposób zaskoczona i nieoczywiście przekorna. Jej błyszczące łono lśniło niczym tarcza.

Eeone, co prawda, nie zdziwił widok wyjątkowego blasku Youme, ale też jej nie zadowolił. Sama nie do końca jeszcze rozszyfrowała, co mogła oznaczać ta klątwa albo błogosławieństwo.

– Me, nosisz srebro na intymnych częściach ciała – powiedziała ciocia Eeona.

Eve Youme, która była pewna, że zamknęła łazienkę na klucz, skinęła twierdząco głową. Eeona, sądząc, iż dziecko pragnęło prywatności, weszła do środka i przymknęła za sobą drzwi. Nie tego chciała Youme. Dziewczyna wolała zostać sama, by nadawać sobie połysku w chwale. Ale ukrywała coś jeszcze. Stała tam, strzegąc czegoś, czego nikt nie mógł ujrzeć.

Ta zuchwałość była zgoła inna od niepewności, którą czuła Eeona, gdy jej własna matka odkryła srebro, lecz to tylko ułatwiło całą sprawę.

– Moja droga, od kiedy tak masz?

Być może dobór słów nie był odpowiedni. Ale jakie słowa są dobre, by opisać coś tak dziwnego i tak cudaczego?

Eve Youme nie była pewna, do czego ciotka pije, ale i tak odpowiedziała, bo odpowiedź brzmiałaby tak samo bez względu na pytanie.

– Odkąd skończyłam dwanaście lat.

– Czy twoja matka wie?

– Nikt nie wie.

– Nawet twój doktor?

Już wtedy trudno było ukryć ciało młodej kobiety. Lekarze mogli rozbierać je do naga. Lekarzom wolno było nawet rozkładać im nogi i wdrażać się w ich tunel. Uważano to za dobrą opiekę zdrowotną.

– Jedyńm doktorem, którego znam, jest doktor McKenzie, mój ojciec.

Dwie kobiety, choć jedna z nich jeszcze nie była kobietą, patrzyły na siebie nawzajem niczym na odbicie w lustrze. W ich posturze tkwił nieruchomy zamiar. Eeona zrobiła krok do przodu. Eve Youme już przywarła plecami do ściany prysznic.

– Me, jesteś moją ulubienicą. Możesz mi wszystko powiedzieć. Czy między tobą a tamtym McKenziem zaszło cokolwiek niestosownego?

Nie, chciała odpowiedzieć Youme. Nic a nic. Lecz zamiast tego odwróciła wzrok i utkwiła go w drzwiach, pragnąc, by matka przyszła i wywabiła ją z opalów. Ale wtedy przypomniała sobie, że trzymała to w sekrecie także przed matką.

Kobieta pomniejsza niż Eeona nie zauważyłaby zmatowiałego wzroku w oczach dziecka. Eeona go dostrzegła.

– Rozumiem. Rozumiem to, Me – powiedziała, mimo że wcale tego nie rozumiała.

Młoda kobieta, jeszcze dziecko, zaczęła płakać. Jej ciało tego nie zdradzało. Tylko twarz nagle zarumieniła się na bordowo, a później łza, która wydawała się mętna, spłynęła po policzku.

– Wejść do ciebie czy wyjdiesz z wanny? Wszystko w porządku.

Ale nic nie było w porządku.

Eve Youme wyszła z wanny. Spojrzała na dół, wskazując Eeonie, gdzie powinna skierować wzrok.

Eeona nie mogła się powstrzymać, by nagle nie zaczerpnąć powietrza, gdy zobaczyła, że w miejscu, gdzie powinny się znajdować palce u nóg, u lewej stopy Youme zarysowywał się gładki kikut pięty. Potem dziewczyna odwróciła nogę i pokazała pięć palców, zgrabnych, lecz przerażających, wystających stamtąd, gdzie powinna tkwić jej pięta.

– Moje dziecko, zdeformowaną stopę da się naprawić. To nic aż tak...

Ale damie, która zawsze była taka pomysłowa, nagle zabrakło słów, gdy jej siostrzenica podniosła stopę tyłem do przodu i ów kikut zaczął się obracać z powolnym chrzęstem kości, obracał się jeszcze dalej, powoli, powolusieńku, aż ze zgrzytem pięta powędrowała do tyłu, a palce wysunęły się naprzód. Ciocia Eeona odetchnęła głośno.

– Eve Youme, czy to ty poruszasz tak stopą?

– Czuję ruch – powiedziało dziecko. – Ale nie ja go powoduję. Tak się po prostu dzieje.

– Musimy cię naprawić – stwierdziła ciotka.

Jedyny doktor, którego знаła, to ojciec tego dziecka.

87.

Kiedy doktor Jacob McKenzie przyjechał, papa Franky wyszedł napić się drinka za rogiem. Pijalnia była otwarta całymi dniami i serwowała ciepłą jednobeczkową whisky za grosze, bo tylko to zostało. Franky zamawiał kieliszek za kieliszeczką. Wyszedł z domu, bo nie chciał w nim być, stawać w zawodach i przegrać.

Jacob wszedł jak do siebie. Wysiadł z wypucowanego samochodu na prawdziwą bezołowiową benzynę, co po huraganie było niesłychane. Jego skórzane buty sunęły po schodach wciąż zasypanych gruzem, którego było tak dużo, że potrzeba by długich miesięcy, by go uprzętać. Jacob miał na sobie biały fartuch, ale patrzył prosto przed siebie, więc sąsiedzi nie mieli sposobności, by zadać mu jakiegokolwiek pytanie.

Jacob i Anette nie zamienili ze sobą ani słowa przez cały czas, kiedy byli w domu, który zbudował dla niej Franky. Po raz pierwszy wstydziła się swego domostwa, i to wcale nie dlatego, że drobny huragan je nadszarpnął. To miły domek, ale salon był tak mały, a kuchnia tak zatłoczona, do tego jedyną ładną rzeczą na ścianach były mgliste zdjęcia przedstawiające rodziców, których nigdy nie znała.

Tak naprawdę Anette wstydziła się siebie. Włosy zaczęły jej rzednąć, od kiedy dawno temu zaczęła je farbować, i teraz nie mogły równać się z lśniąca burzą włosów młodszej żony Jacoba, którą przez te wszystkie lata widziano parę razy w supersamie, otwartym na amerykańską modłę. Anette zagrzewała żelazko nad wąłym knotem lampy i prasowała starą białą suknię, by wyglądała jak nowa. Czy Jacob zauważył? To była ta sukienka, którą włożyła lata temu na lotnisku, kiedy ją opuścił. Nie mogła się powstrzymać. Wisiała w szafie, gdy zajrzała do środka. No cóż, bądźmy szczerzy. Wisiała z tyłu szafy. Ale to była kreacja, którą miała na sobie, kiedy widziała Jacoba po raz ostatni. To sukienka, w której powinna była wziąć z nim ślub. Nadal na nią pasowała. Leżała na niej cholernie dobrze.

Ale Jacob, także w bieli, przeszedł obok niej, mimo że czuł wyładowania elektryczne w powietrzu, gdy ich oddechy zbliżyły się do siebie. Poszedł do pokoju, gdzie Eve Youme siedziała na łóżku, a przy jej boku czuwała ciotka. „A to ci hetera” – pomyślał Jacob, widząc, jak Eeona trzyma dziecko za rękę. Anette poszła w ślad za nim, ale nie powiedziała ani słowa. Mały Frank patrzył na sylwetkę matki, gdy zamykała mu drzwi przed nosem. Frank poczuł natychmiastową i tłamszącą nienawiść do doktora. Nie dlatego, że doktor

McKenzie był jedynym mężczyzną, jakiego wpuszczono do pokoju, gdzie jemu nie wolno było wchodzić. Nie dlatego, że doktor McKenzie był bogatym ojcem Me. Ale dlatego, że przez tego człowieka jego matka wcisnęła się w szarzejącą sukienkę, która była na nią za ciasna. To dla syna prawdziwa hańba.

Och, a co gdyby Anette ubrała się w tę czerwono-żółtą sukienkę? Jacob tak naprawdę nigdy nie widział jej w tym stroju, mimo że zobaczył afisz filmowy. Lecz Anette nie przywdziała tej sukienki, ponieważ po tamtym filmie pornograficznym podarła ją na strzępy i wyrzuciła. Teraz szczątki fatalaszka rozkładały się na wysypisku śmieci w okolicach wiejskich Bovoni. Pozostałe resztki były zjadane przez ryby w Morzu Karaibskim. Ale gdyby Anette włożyła na siebie tamtą sukienkę albo jakąkolwiek inną czerwoną sukienkę, Jacob mógłby nie zdołać wrócić tego popołudnia do swej pięknej żonki. Mógłby nie dać rady postawić obróconej tyłem do przodu stopy pierworodnej na swoim kolanie i patrzeć, jak obraca się i mieli, jakby to była najnormalniejsza w świecie anomalia. Mógłby nie potrafić zbadać jej srebra wśród szlochów zawstydzonego dziecka.

Musieli odsłonić do połowy zasłony i przekręcić żaluzje, by wpuścić odrobinę światła dziennego, skoro zabrakło prądu. W badaniu nie było za grosz intymności czy doniosłości, które powinny się tam znaleźć. Eve Youme zalewała się łzami, ponieważ żaden mężczyzna – mimo obaw Eeony – nigdy tam na nią nie patrzył, a teraz wszyscy: ojciec, ciotka i wtłoczona w zbyt ciasną sukienkę matka stali w pokoju z otwartymi na oścież oknami, podczas gdy dziewczyna opuszczała pończochy, a potem spuszczała majtki.

Jacob nie pocałował córki w czoło, jak powinien to zrobić. Eve była ni mniej, ni więcej tylko jego pacjentką i chorobą do wyleczenia, nie do kochania, a on był zbyt małoduszny, by pojąć, że to jedno i to samo. Pokiwał głową nad swoją córką-pacjentką, zdarł z siebie rękawiczki i wyslizgnął się z białego fartucha. Ale zamiast podejść do Anette, udał się do Eeony.

– Nie jestem lekarzem tego typu.

Nie postawił diagnozy, nie zalecił leczenia.

Ale pospieszna odpowiedź Eeony wypełniła pomieszczenie niczym para.

– Ciało tego dziecka to twoja wina. Mówiłam ci – zwróciła się do Anette, a potem do Esau: – Mówiłam wam obojgu.

Eeona opuściła pokój, opuściła dom, a potem wyspę. Później zniknęła.

88.

Łączność była ważniejsza niż światło czy gorąca woda, więc wymieniono już linie telefoniczne na całej wyspie. Jacoba bardzo to ucieszyło, ponieważ nie chciał odwiedzać matki osobiście, by przedyskutować to, co należało poddać dyskusji.

Kiedy Jacob opowiedział Rebekah o wszystkim, westchnęła: „Ahaaa” do

słuchawki, tak jakby często do niej telefonował, by omówić sprawy swoich pacjentów – czego przecież nigdy nie robił. Obawiał się, że matka powie to samo, co zdawało się, iż powiedziała Eeona – że jego dziecko było grzechem. Ale dlaczego grzechem? Być może odważy się i w rozmowie z matką zażąda wyjaśnień, co to naprawdę oznacza. Wielu mężczyzn na wyspie miało nieślubne dzieci. To był grzech lekki, jeśli w ogóle.

Ale Rebekah powtarzała swoje: „Ahaaa” raz po raz. Nadal „ahała” do słuchawki i Jacob zastanawiał się, czy była w transie, czy sama się nie rozchorowała. Ciągnęła to, aż go to znużyło, i już miał jej przerwać, kiedy w końcu wydusiła coś z siebie.

– Powiedziałałabym, że masz dwa wyjścia.

Jacob wyciągnął porządny skórzany notes z długopisem zatkniętym z boku. Wyjął długopis i przytknął gładką, cienką końcówkę do grubej białej kartki. Słuchawkę telefonu trzymał wciśniętą między ucho a bark.

– Słucham, mam – powiedział.

– Po pierwsze, możesz rozważyć, czy nie wrzucić dziecka do zbiornika na wodę w Nadmorskiej Willi i nie zamknąć zapadni, i nie otwierać jej, aż miną dwie pełnie księżyca, ale może być trudno przechytrzyć nowych strażników. Drugi sposób wymaga więcej zachodu, ale jest równie skuteczny. Trzeba ukamienować dziecko muszlami, aż zemdleje, a potem przytrzymać mu głowę w wiadrze pełnym mokrego piasku morskiego.

Jacob najpierw powoli odłożył kosztowny długopis, a potem słuchawkę. Nalał sobie pełną szklankę rumu i zażył dwie końskie dawki środka przeciwbólowego. Potem zatelefonował do Anette, desperacko pragnąc, by to ona odebrała, jako że zawsze przerywał połączenie, gdy ktoś inny podnosił słuchawkę.

– Musimy porozmawiać twarzą w twarz – powiedział, kiedy usłyszał głos Anette. – Tylko ty i ja. Musimy wspólnie temu zaradzić.

Próbował, wciąż próbował. Podejmował próby, być może, by odzyskać własną duszę. Znał pewne publiczne miejsce, gdzie mogli porozmawiać prywatnie. Hotel Hibiskus, będący także restauracją, leżał w głębi Frenchtown, miał otwartą kuchnię, gdzie podawano rybę dzianym tubylcom i Amerykanom, którzy nadal tu tkwili po nawałnicy. Generator prądu warczał głośno, ale poza tym było to przytulne, wytworne miejsce. Nie wiedział, że za czasów jego matki nosiło inną nazwę: Nadmorska Willa. Matka zaproponowała dokładnie ten adres, by tam utopił swoją córkę.

– To niezbyt odpowiednia pora. Moja siostra... – zaczęła Anette.

– Wiem, ale trzeba prędko się tym zająć.

Nie wiedział. Nie wiedział, że Eeona wyjechała z powrotem do swojego pensjonatu i przestanie odbierać telefony, nawet od Eve Youme. Nie miał pojęcia, że Anette jeszcze nigdy nie była we Frenchtown. Francuska wioska była jej obca.

Mimo tego Jacob Esau i Nettie uzgodnili, że spotkają się za dwa dni. W końcu to miejsce publiczne. Mogli umówić się na plaży, ale mimo że ona także była publiczna, to oznaczałoby zdradę. Plaże to romantyczne miejsca, miejsca rodzinne. Nie udają się tam osoby przeciwnej płci, chyba że mają się ku sobie albo są rodziną. Tych dwoje spotka się więc dwa dni później w restauracji hotelu Hibiskus.

Te zaledwie dwa dni nadal liczą sobie całe czterdzieści osiem godzin. Tyle może się zdarzyć w ciągu tego czasu.

89.

W ciągu tych godzin rodzina Josephów zebrała się na plaży, tak jak kochankowie mają w zwyczaju. Ponieważ Franky nie mógł znieść wizyty doktora McKenziego we własnym domu, postanowił zyskać nad nim przewagę tym samotnym spacerem. Franky musiał coś zrobić. Wyspa nadal wyglądała jak morze niebieskiego brezentu pokrywającego każdy dach. Dzięki temu przyszedł mu do głowy pomysł wyjścia na plażę. Franky, człowiek pełni serca, wycucia czasu i nieprzebranej cierpliwości, wiedział co nieco o plaży. Wiedział, jak bardzo jego żona uwielbia piasek. Jak bardzo kocha pływać. Jak Anette, z tego, co mu opowiadała, wybierała się sama na plażę o poranku, by jedynie pospacerować. Franky chadzał nieraz na tę odległą plażę, kiedy był młodszy, i wziął tam niejedną kobietę, zanim się ożenił. Często był tam na patrolu straży. W wieczór po tym, jak doktor McKenzie wyszedł, Franky ogłosił swój pomysł. Świeczki migotały, ale zamiast opowiadać sobie historie, zaczęli rozważać wycieczkę na plażę. Wybiorą się jutro z rana.

Frank, młody mężczyzna w rodzinie, rozochocił się na samą myśl o odkrywaniu wyspy. Huragan ujawnił, że inni ludzie, ci ze wzgórz, posiadali kawałek lądu, którego nigdy nie poznał. Anette spodobał się pomysł eksploracji nowej plaży, miejsca, gdzie można stworzyć nowe historie z mężczyzną, z którym spędzała życie. Tyle że myślenie o plaży niesło ze sobą wspomnienia ciała Jacoba i jej ciała. Anette chciała być dobrą kobietą, chciała wykreślić z pamięci myśli o Jacobie. Wymazać je bardziej, niż sądziła, że zatarły się w czasie.

Eve Youme nie była pewna, czy powinna iść. Jeśli na plaży znajdą się jej brat i ojczym, nie będzie mogła zdjąć butów i popływać. Nie wiedzieli o jej dziwacznej nodze ani o srebrze. Dowiedzieli się o tym tylko ciocia Eeona, mamusia, a teraz także ojciec.

Mąż z żoną wstali przed wschodem słońca i popijali herbatę z trawy cytrynowej w promieniach poranka w kuchni. Pochylali się ku sobie tak jak wtedy, gdy on miał zielonego cadillaca i nic oprócz tego. Anette spakowała trochę owoców mango. Nieco solonych krakersów w puszcze. Franky zapakował ręczniki i przepastne prześcieradło, by mogli się na nim położyć. Pomagali sobie

w wysiłkach, by dobudzić Franky'ego, który spał jak kamień. Eve Youme już siedziała na łóżku, gotowa i ubrana w jeansy i trampki, kiedy Anette uchyliła drzwi do pokoju dziewczyny.

Wsiadli do datsuna i uśmiechnęli się do siebie. Po raz pierwszy od czasu, kiedy RONALDA wyjechała do college'u, czuli się jak rodzina w komplecie. Oboje rodzice i dwoje dzieci. Rodzice spojrzeli po sobie nawzajem, a potem na dzieci. Syn, jedyne dziecko, które stworzyli razem od początku do końca, popatrzył na matkę i się uśmiechnął. Zdawał się spoglądać na nią z pewnego rodzaju podziwem. Później podczas protestów mały Frank przypomniał sobie tę chwilę blasku swej niewinności. Wspomni także dzień, kiedy spadła pierwsza BOMBA.

Franky wiózł w bagażniku dwa zamknięte kanistry z zapasowym paliwem. Przygotowany jak zawsze. To było więcej, niż potrzeba, by dojechać do plaży i z powrotem. Gdy tylko rodzina Josephów wydostała się z miasteczka i zostawiła za sobą najgorsze rumowiska, ruszyła dalej z opuszczonymi szybami w oknach, ze smagającym wiatrem i słońcem wschodzącym za plecami. Anette wspomniała przelotem jazdę innym samochodem, tym bez drzwi, razem z Gertie i mężczyzną, za którego Gertie w końcu wyszła za mąż, a który przeleciał z impetem przez pustkę, gdzie powinna się znajdować przednia szyba, oraz z człowiekiem, którego Anette będzie kochać i trzymać się przez całe życie. A potem pomyślała, że to było tak dawno temu. „Daj spokój” – powtarzała sobie. – „Daj sobie z tym spokój. Jedyne rzecz, która łączy cię z Jacobem, to córka”. Anette wystawiła dłoń za okno i pozwoliła, by wiatr ją unosił. Eve Youme zrobiła to samo, tyle że siedząc z tyłu po przeciwnej stronie. Każdy, kto to widział, mógłby powiedzieć, że to skrzydła, na których samochód szybował pośród wzgórz.

W końcu Franky dojechał do skrzyżowania w stromą kamienistą drogę.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział z westchnieniem.

Ale kiedy to mówił, samochód wpakował się wprost w łańcuch odgradzający jezdnię. Oczka łańcucha rozsypały się po masce, rysując ją, i poleciały na przednią szybę, zanim Franky zdołał zahamować.

– Łańcuch – stwierdziła Anette, tak jakby ktokolwiek potrzebował wyjaśnienia.

– Może to nie to miejsce – dodał mały Frank, który tak naprawdę był większy i wyższy od ojca.

– To tutaj. Znam tę okolicę jak własną kieszeń, tak.

Ojciec Franky'ego pracował dla rodziny Hodge'ów, właścicieli plaży. Jedną z córek, kobietę, która wpadła mu w oko, wyszła za mąż za McKenziego. Potrząsnął głową, by pozbyć się niefortunego wspomnienia. Plaża w pewien sposób należała do ojca Franky'ego. Utrzymywał ją w najlepszym porządku. Niejako należała też do Franky'ego. Mimo że oczywiście od zawsze była własnością kogoś innego. Ale ten ktoś do tej pory nigdy nie rozwieszał łańcucha.

Anette i Franky snuli swoje własne wspomnienia o plaży, a potem pomyśleli – naraz i desperacko – że muszą się dostać na tę właśnie plażę. Nie chodziło tylko o zwykłą wycieczkę. To było konieczne dla rodziny. Potrzebowali wspólnej plażowej historii. Franky w końcu powiedział:

– Może naprawiają drogę, tak? Po sztormie. Dlatego rozwiesili łańcuch. Dalej możemy pójść pieszo. To spory kawałek, ale damy radę.

– Ruszajmy więc – powiedziała Anette.

Zostawili samochód na poboczu i rozpoczęli podróż w dół, w samo krocze góry. Frank niósł mango, krakersy i butelki z wodą w torbie. Franky trzymał tobolek z prześcieradłem i ręcznikami. Eve Youme nie niosła nic poza samą sobą, mimo tego szła, jakby dźwigała ciężar na głowie albo miała kamyk w bucie. Jej krok stał się zapadający w pamięć i kołyszący, dziewczyny w szkole szydziły, że chodzi jak ładacznica. Chłopcy na ulicy gwizdali miłosne przekleństwa: „Pssst! Łamiesz mi serce, kiedy mnie mijasz, cukiereczku”.

Anette schodziła ze wzgórza obok córki i zauważyła ciężar czegoś, co miało nastąpić.

To był długi spacer, towarzyszyły im tylko drzewa wokół i nad nimi oraz konary pod stopami, przez które musieli przeskakiwać. Ale było pięknie. To dopiero przygoda. Frank zaczął śpiewać calypso i wszyscy się przyłączyli. Przez całą drogę – ponad milę – nie widzieli żywej duszy. Dostrzegli blask przed sobą. Teraz obok nich wyrastały drzewa morskiego winogrona. Drzewa spokojnego oceanu. Frank poczuł pod stopą coś twardego, o co się potknął.

– Kurwa mać! – powiedział na głos.

To pierwszy raz, kiedy przeklął przy rodzicach. Spojrzał w dół i zobaczył, że przeszkodził mu nagrobek.

To nie był tylko jeden grób. Wokół, rozsiane po zapiaszczonej trawie, znajdowały się jeszcze trzy inne.

– Och, są tutaj, od kiedy byłem mały, tak – wyjaśnił Franky, tak jakby je przedstawiał.

Na jednym wyryto: 1830–1885. Na drugim: 1846–1907. Nazwiska zostały wypłukane. W końcu niedaleko było morze.

– Nie, tatku. Na tym, o który się potknąłem, jest napis: 1952–1952. To dziecko.

Anette spojrzała tam, gdzie wskazywał jej syn.

– Chłopiec. Miał na imię Owen. Jak mój ojciec – odczytała. – Biedactwo. Nie ma nawet nazwiska.

– Nie martwcie się – zapewniał ich Franky. – Mają już swoje lata. Były tu jeszcze za starych dobrych czasów.

– Ale ten nie jest stary, tatku. Owen byłby w tym samym wieku co Youme.

– Popatrz. – Franky skierował rozmowę na inne tory. – Tam jest plaża, tak.

I rzeczywiście, była tam. Franky wziął żonę za rękę, Frank chwycił dłoń siostry i poprowadzili się nawzajem naprzód na cichą połąć białego piasku. Fale były spokojne i łagodne. Plażę oczyszczono z gruzu. Gdziekolwiek spojrzeć, nie było widać nikogo.

Gdy rodzina ruszyła przed siebie, Eve Youme zauważyła, że w piasku tkwiły nienaruszone muszle. Później będą je mogli zabrać na pamiątkę, bo każde z nich czuło się jak turysta na wakacjach – niczego im nie brakowało, dręczyła ich tylko ta drobna niepewność, czy tu przynależą. Rozłożyli prześcieradło, rodzice położyli buty na jego rogach, żeby wiatr go nie porwał. Podmuchy wzbijały w górę piasek, który tylko trochę kłuł ich w skórę. Franky rozebrał się do kąpielówek i ruszył do pysznej wody. Anette usiadła obok córki.

– Wszystko w porządku, Me?

– Tak, mamusiu.

– Możesz popływać tam, za skałami – szepnęła Anette. – Mogę przejść się z tobą.

– Nie, dzisiaj chcę tylko zażyć słońka.

– Wkrótce cię naprawimy. Twój ojciec McKenzie chce się ze mną spotkać na osobności, żeby omówić...

– Tak, mamo, dobrze.

Anette przytaknęła, rozumiejąc, że Youme nie chce rozmyślać nad takimi rzeczami. Anette dołączyła do męża i weszła do rzeźkiego porannego morza.

– To kobiece sprawy – powiedziała Anette, zbywając Franky'ego.

Jej wzrok prześlizgnął się po horyzoncie, gdzie nadal wschodziło słońce.

Franky nie pytał o szczegóły. Nie dlatego, że stronił od kobiecych spraw, ale ponieważ wiedział, iż ten drugi ojciec, ten McKenzie, jest lekarzem. Zamiast wypytywać, wyglądali za horyzont wraz z żoną.

– To jest nasze – powiedział Franky. To była jedyna możliwa odpowiedź.

Anette skupiła się więc na Frankym. Rozmyślała jedynie nad tym, jak Franky mówił jej, że jest gwiazdą, kiedy kręcili ten paskudny film. Dziś uśmiechała się do tego wspomnienia, to było tak dawno temu, że ból prawie całkiem przeminął. Chociaż już sam fakt, że pomyślała akurat o tym, powinien stanowić znak, że rzeczy ani trochę nie miały się dobrze.

Podczas gdy rodzice pływali, a siostra czytała grubą amerykańską powieść w broszurze, Frank rozglądał się po zatoce. To było tylko jedno małe pasmo plaży. Zadarł głowę i spojrzął na wzgórza, z których zesli. Wtedy zobaczył dom na pagórku. Dostrzegł białą kobietę, młócaącą w powietrzu rękoma, jakby próbowała posłać im sygnał. Frank odmachął jej, ale ona kiwała dalej, jak gdyby manewrowała samolotem. Teraz, kiedy się jej przypatrywał, słyszał jej słaby krzyk. Postanowił ją zignorować. Coś w nim wiedziało, że nie chce usłyszeć, co kobieta ma do powiedzenia.

Zamiast więc nadstawiać ucha, Frank zdjął koszulkę i popędził do wody. Biegł szybko i ciężko, usiłując narobić takiego hałasu, by nikt nie dosłyszał kobiety. Chlapał dookoła zimną wodą, ojciec podpłynął do niego i urządzili sobie wyścigi, wyrzucali w górę ramiona i kopali nogami. Syn wygrał. Ojciec dyszał, ale na twarzy wykwitła mu duma. Matka klaskała i się cieszyła. Kiedy Frank znów spojrzął na balkon, nikogo tam nie było.

Dopiero gdy usiedli, by przyssać się ustami do soczystego mango, jakiś mężczyzna powoli podszedł do nich. Nie przyszedł drogą, ale jakąś prywatną ścieżką. Był pierwszą osobą, którą ujrzeli od prawie dwóch godzin. Franky wstał, by go przywitać. Plaża była mała, ale zdawało się, że mężczyźnie zajęło sporo czasu, zanim do nich dotarł. Miał na sobie szorty z obciętych jeansów i białą koszulkę, która wzdymała się na wietrze. Zatrzymał się kawałek od Franky'ego.

– Należycie do rodziny Hodge'ów? – spytał.

– Nie, nazywamy się Josephowie. Moja żona pochodzi z Bradshawów.

Człowiek skinął głową, jakby już to wiedział.

– Tamta kobieta jest właścicielką ziemi. – Wskazał na dom, który widział Frank. Kobieta znów stała na balkonie, patrząc na nich z góry jak królowa, jej dom przetrwał nawałnicę. – Nie pozwala tu przychodzić nikomu poza Hodge'ami, ponieważ mają tu swoje groby. Tych parę nagrobków należy do Hodge'ów, ale ziemia jest jej.

– Ale my nie jesteśmy na ziemi. Jesteśmy na plaży, tak. Poza tym zawsze tu przychodziłem. Znam państwa Hodge'ów.

– Nic już nie należy do rodziny Hodge'ów. Wszystko należy do niej. Nawet plaża.

Anette stanęła u boku męża.

– A kim ona jest?

– To Amerykanka. Ja tylko dla niej pracuję. Dbam o obejście i trudnię się innymi brudnymi robotami. – Potrząsnął głową z niedowierzaniem. – Nikt z was nie zauważył łańcucha? To znaczyło: „Zakaz wstępu”, a nie: „witamy serdecznie”.

Mężczyzna zerknął na Eve Youme w trampkach, jeansach i górce od bikini. Wzrokiem przebiegł jej ciało, a potem popatrzył z powrotem na twarz. Była bardzo ładna. Bardzo. Choć nikt wcześniej tego nie zauważył.

Franky spojrzął surowo na mężczyznę. Nie potrafił dokładnie zlokalizować jego akcentu, ale wiedział, że pochodzi z innej karaibskiej wyspy, nieco bardziej oddalonej.

– Nie jesteś nawet z Wysp Dziewiczych – zaczął Franky swoim głosem strażnika. – Przyjechałeś z jakiejś tam *gyaso* wyspy, tak, i teraz pomagasz białym przepędzać nas z plaży?

Ciało Franky'ego naprężyło się jak struna. Mężczyzna zrobił krok do tyłu i wyciągnął przed siebie ręce, jakby chciał uspokoić Franky'ego.

– Ech, biała kobieta patrzy. Jeśli podniesiesz na mnie rękę, wezwie policję.

– Przyjrzyj mi się dobrze – powiedział Franky. – Jestem wojskowym. Policjanci robią, co im każe.

– No cóż... Cóż...

Mężczyzna spojrział znów na Eve Youme, która odwzajemniła spojrzenie. Podniósł wzrok na dom na zboczu wzgórza. „Co za kabała” – pomyślał. – „Po co, do diabła, wyjechałem z Antigui? Żeby przyjechać tu i obracać się między tymi cholernymi Amerykanami?”

Frank, który był już prawie mężczyzną, wyłonił się z wody niczym pierwotna forma życia. Stał milcząco obok ojca, a gęsia skórka przebijała mu na całym ciele. Wówczas Eve Youme, która była prawie kobietą, przemówiła.

– Chodźmy, papo. I tak już się zasiedzieliśmy.

Ale Franky chciał coś udowodnić. Pragnienie dowiedzenia czegoś stanowiło powód, dlaczego w ogóle tu przyszli. Spojrział na syna stojącego u jego boku. Za swojego syna mógłby zabić. Chciał być dla syna odważny. Odważniejszy niż jakiś tam doktorek, który wchodzi do ich domu. Ale potem zobaczył swoją córkę – nigdy nie myślał o niej jako o pasierbicy – i przytaknął jej. Zaczął zbierać ich rzeczy. Nie podniósł wzroku na żonę.

Droga powrotna przez wzgórza była długa. Mężczyzna z Antigui powiedział im, że to samo dzieje się na jego wyspie. Plaże, gdzie zawsze można było się przejść, wykupywali teraz biali i zakazywali wstępu.

– Słuchajcie, tak już jest. Musicie się z tym pogodzić.

Starł się zachować zdrowy rozsądek, ale tak naprawdę myślał, że tym mieszkańcom Wysp Dziewiczych musi się wydawać, że są lepsi od wszystkich innych w całych Karaibach. Żaden inny wyspiarz nie mógł się ot tak po prostu wylegiwać na prywatnej plaży. Ale nie powiedział nic w tym rodzaju, kiedy ich odprowadził. Przez większość drogi głównie milczeli.

Zarówno Franky, jak i Anette myśleli o filmie pornograficznym, w którym wystąpili, ale nie odezwali się do siebie ani słowem. Jeszcze nie dostrzegali związku.

90.

Anette

Patrzcie tylko, co się porobiło. Dopiero co był tu huragan, właśnie odkryłam, że moją córkę pokarało kłątwą, a teraz uciekliśmy z plaży. A może te trzy sprawy to jedna i ta sama rzecz. Postanowiłam, że zostanę wiedźmą i naprawię córkę, skoro nie potrafię naprawić nic innego. Nie powiedziałam o tym Eeonie. Ona uciekła z powrotem na Saint John do swojego pensjonatu i nawet nie odbiera telefonów. Nie dowie się, że zamierzamy się spotkać z Jacobem we Frenchtown. Tak czy owak, to nie żarty. To sprawa między lekarzem a rodzicem. Tak

przynajmniej sobie powtarzam.

Po huraganie brakuje paliwa, więc idę spacerem. Nadal gubię się we Frenchtown, bo moja noga nie postanęła tu ani na chwilę, od kiedy wymaszerowałam stąd przeszło trzydzieści dziwacznych lat temu. Nigdy nie przyszedłam tu, żeby kupić rybę. Ani razu nie odwiedziłam tu przyjaciela. Nigdy nie przyszedłam oglądać meczu, który rozgrywają na boisku Frenchtown. Ale teraz idę tam z powrotem, jakbym wracała do dzieciństwa. Otwieram szeroko oczy, żeby sprawdzić, czy cokolwiek rozpoznam, by zobaczyć, czy nawiedzą mnie wspomnienia. Dom, w którym kiedyś mieszkaliśmy, był duży. Jak opactwo albo dworek. Znajdował się na końcu długiej, ciemnej drogi polnej. Nic mi go tu nie przypomina. Może więc Eona mówiła prawdę. Że dom zburzyli, spalili lub zniszczyli w jakiś inny sposób. Jestem tu, we Frenchtown, i zastanawiam się, czy do niego przynależę. Ale poczuję się jak patafian, jeśli spytam kogoś, gdzie jest mój stary dom. Zamiast tego pytam jakiegoś Francuzika o restaurację. Gość cmoka ustami, ale daje mi dokładne wskazówki.

– Jeśli szukasz pracy – mówi – to przyjmują, ale nie wyspiarzy takich jak ty czy ja.

Restauracja znajduje się w hotelu Hibiskus. Mnie na przykład nic takiego nie obito się nigdy wcześniej o uszy. Głupia nazwa, mówię wam, ale Amerykanie zawsze wpadają na takie pomysły. Nazywają rzeczy na cześć wyspy, co nie ma najmniejszego sensu. Kto chciałby zatrzymać się w hotelu, którego nazwa brzmi tak, jakby był zarośnięty hibiskusem? To taki kwiat, który zamyka się i zamiera, kiedy zapada noc. Chcecie, żeby ludzie rozmyślali o tym przed snem? Ale hotel Hibiskus nie był przeznaczony dla nas. To jedno z tych miejsc, gdzie biali chadzali przed nawałnicą. Ale potem zaczęli je odwiedzać wszyscy bogaci, bo sami biali, co zostali na wyspie, nie zdołaliby go zapełnić.

Spójrzcie tylko na mnie. Jestem w czerwonej sukience. Nie tej, którą włożyłam dawno temu na plan tamtego głupkowatego filmu. Po tamtej nie ma już śladu. Ale czerwień sprawia, że czuję się w towarzystwie Jacoba silna. To prawda, pragnę, żeby Jacob mnie pożądał, ale prawda jest też taka, że chciałam być twarda i trzymać ster. Tak robią wiedźmy.

Kiedy skręciłam nad zatokę, zobaczyłam, że restauracja w dawnych niewolniczych czasach musiała być wspaniałym domem. Dopiero kiedy tamtędy szłam, zdałam sobie sprawę, że krok za krokiem czuję się coraz bardziej głupio w tej zbyt wytwornej sukience, idąc starą, chrześzczącą drogą. Ale wtedy wyprostowałam plecy, jak widziałam, że robi to moja siostra, i już samo to sprawiło, że przepełniła mnie duma i mogłam iść dalej, mimo że widziałam wysokiego piaskuna, który stoi na schodach i czeka na mnie, jakby to był nasz dom i jak gdybym wracała do niego i do siebie.

Jacob wyciągnął rękę, żeby mi pomóc, i weszliśmy po stopniach. Przywarł

do mojego boku, prowadząc mnie pod ramię. Zawsze taki był. Pasma włosów opada mi na twarz – on nigdy nie zapomni go odgarnąć. Wystaje mi ramiączko biustonosza? W życiu nie przepuści takiej okazji. Franky po prostu mówi: „Anette, twoja bluzka”. Poprawki zostawia mnie. Ronnie? On odwróciłby wzrok, zbyt grzeczniutki, by coś na tym ugrać.

Teraz, kiedy stanęliśmy przy stoliku, z początku nie dochodzi do mnie, że Jacob naprawdę odsuwa mi krzesło. To coś, czego Franky nigdy w życiu dla mnie nie zrobił, no bo Franky’ego tak nie wychowano. Czuję, że wszystko jest na swoim miejscu, a ja mogłabym być żoną Jacoba. Potem przepelnia mnie zabawne uczucie. Czuję, że jestem żoną Jacoba. Tak jakbyśmy – on i ja – byli ze sobą przez cały ten czas.

Pojedyncza czerwona róża stoi na baczność w szklanym flakoniku. Na wierzchu leżą trzy karty menu, z czego dwie przed nim. Otwiera tę chudą, tak jakby to nie było wcale umówione spotkanie. Ważne spotkanie w sprawie naszej córki. Wyciąga dłoń pod stołem i chwytam mnie za kolano.

– Mają tu najlepszy wybór win na wyspie – mówi.

No tak. Zna to miejsce. Wie, jakie podają tu wina. A serwują tu prawdziwe wino, mimo że mieszkańcy wyspy nie mają prawdziwej wody. Wyobraźcie to sobie.

– Dorastałaś w okolicy – ciągnie, tak jakby wyczuwał krytykę z mojej strony.

– Nie do końca – odpowiadam. – Tylko się tu urodziłam. Mieliśmy tu dom. Willę. Przepadła, jak sądzę.

Kiedy zjawia się kelner, Jacob zamawia wino o szynkowej francuskiej nazwie. Potem pyta kelnera, czy słyszał o jakiejś willi w okolicy.

– Nie, proszę pana. Jestem z Connecticut. – Potem kelner kłania się, jakby był giermkim i znajdowałibyśmy się na zamku. Potem znika.

Jacob wyciąga różę z wazonu. Sięga przez połąć ziemską stołu i zatyka mi kwiat za ucho.

– Kwiatek dla ciebie – mówi.

A ja zastanawiam się, czy to był dobry pomysł, żeby w ogóle ubierać się w tę czerwoną sukienkę. Działa aż za dobrze, ale nie jestem pewna, czy mnie wzmacnia, czy osłabia.

– Chciałem przynieść kwiaty tamtego wieczoru, kiedy przyszedłem do Eve – stwierdza. – Ale wydawało mi się, że to nie będzie stosowne, biorąc pod uwagę...

– Nie mówi, co brał pod uwagę. Zostawia to w domyśle.

Staram się myśleć teraz o Frankym, bo to jest stosowne. Myślę o tym, jak mówię Franky’emu, że idę do doktora porozmawiać o Youme, a Franky patrzy na mnie, na twarzy odbija mu się ta czerwona sukienka, przytakuje tylko i mówi: „Nie siedź długo”. A ja kiwam głową w odpowiedzi. A kiedy zbieram się do wyjścia,

czuję, że wbija w moje plecy oczy, jakby to były zęby.

Ale jestem tutaj. Nie w lekarskim gabinecie. Huragan zrównał gabinet z ziemią, a przynajmniej tak twierdzi Jacob. Ale tego nie powiem Franky'emu. Poza tym w gabinecie pana doktora znajduje się leżanka, gdzie mogą spocząć pacjenci, no i drzwi, które zamyka się, by chronić prywatność. Gdyby Franky wiedział to wszystko, wolałby, żebyśmy spotkali się tutaj niż gdziekolwiek indziej. Teraz patrzę, jak Jacob wacha wino i macza w nim usta, zanim pozwoli kelnerowi nalać mi odrobinę. Jacob unosi kieliszek, by stuknąć się ze mną, ale zamiast tego mówi: „Chciałbym wnieść toast”, a ja wiem, że to właśnie powinno się powiedzieć, podnosząc kieliszek wina. „Za rodzinę” – dodaje. I wpatrujemy się w siebie, jakby spojrzenie naszych oczu ciasno uwiązano sznurkiem.

Przypominam sobie teraz Jacoba, jak pochyla nade mną usta i nos, jakbym była kwiatem. Ale zanim zdążę zatopić się we wspomnieniach, słyszę: „Dobry wieczór!”. To biały mężczyzna o tak zaczerwienionej twarzy, jakby przed chwilą odwalił kawał ciężkiej roboty.

– Jestem właścicielem Hibiskusa. Słyszałem, że pytali państwo o naszą historię.

Wcale nie. Ale zachodzę w głowę, czy nie zrobiliśmy nic złego, naprzykrzając się temu kelnerowi, co nie ma o niczym zielonego pojęcia.

– Ta wspaniała posiadłość rzeczywiście była niegdyś willą. Wiele osób nas o to pyta po nawałnicy. Wcześniej nikt nigdy nie dociekał. No cóż, w rzeczy samej. Kiedy kupiliśmy to miejsce, nosiło nazwę Willa Antoinette. Tak! To była wówczas wytworna dama. Tak słyszałem. Wcześniej majątek nazywał się Nadmorska Willa. O mały włos nie wróciliśmy do tego miana. Ale miejscowi, wiecie, Francuziki, powiedzieli, że sprowadzą *jumbie*, by nas nawiedzał. Nie wierzę w takie rzeczy. Ale szanuję lokalne zwyczaje. Zatrzymaliśmy nawet część dawnej służby. Ogrodnik jest stąd. Szczerze mówiąc, moi drodzy, ogrodnika nabyliśmy wraz z tym miejscem. Nie chciał odejść. Cóż za lojalność...

Mężczyzna mówił to wszystko, a ja z Jacobem wgapialiśmy się w niego.

– Przepraszam – mówię, zanim zacznę kontynuować.

Mężczyzna przerywa, ale ja nie dodaję nic więcej. Spogląda więc na nas, po czym odzywa się:

– No tak, cóż. Już przysyłam obsługę.

On znika w podskokach, a ja nadal milczę.

Jacob patrzy na mnie i uśmiecha się trochę słodko, a trochę smutno.

– Willa Antoinette – wymawia tę nazwę, jakby była śliczna. – Jak Willa Anette. Wyobraź sobie, gdyby należała do ciebie...

Ale właśnie w tej chwili znów podchodzi kelner. Nie ma w ręku nic do pisania. Ale zaczyna zalewać nas szczegółami dań dnia. Garnirunek z bazylią – mówi. Pod szpinakową pierzynką – dodaje. W głowie mi się miesza. Nie chcę

podnosić wzroku znad stołu. Nie chcę rozglądać się dookoła. O Jezu. Naprawdę? Dajcie mi spokój. Moja córka jest chora. Niedawno szalał tu huragan. Aż tyle kobieta musi udźwignąć za jednym razem?

Biorę parę łyżków wina, którego nigdy nie pijam, ale teraz już wiem. Wiem, o co chodzi. To mój dom. Dom, w którym się urodziłam. Miejsce, do którego powinnam przynależeć. Nie został spalony. Nie zmyła go fala.

– Co zamawiasz, Nettie? – pyta mnie Jacob.

Nikt już tak do mnie nie mówi. Nikt poza nim. To coś w rodzaju *vodou*, które na mnie rzuca, a ja nie mam siły, by odeprzeć zaklęcie. Czuję, że łzy napływają mi do oczu. Naprawdę zadowolilibym się mulami w sosie maślanym, ale nie ma ich w menu. Jacob zamawia jakąś wyszukaną rybę w panierce czy w kociołku, czy w czymś jeszcze innym. Mówię więc: „To samo”, bo nie mogę wydusić z siebie nic więcej. Ale zanim przyniosą jedzenie, korzystam z okazji i czmycham do łazienki.

Nie potrzebuję się załatwić ani poprawiać szminki na ustach. Chciałam tylko zyskać chwilę, żeby doprowadzić się do porządku i być przyzwoitą mężatką, bo czułam, że zapominam, czyją żoną tak naprawdę jestem i jakie życie tak naprawdę prowadzę. Czułam strach, smutek i seks, i jeszcze całą stertę innych określeń na „s”, które mieszały się jak w tyglu. Tak jakby moim przeznaczeniem było należeć do tego miejsca, a gdyby tak było, może o mały włos wcale nie odesłano by mnie do sierocińca i prawie nie kopnęłabym w kalendarz, a później nie wyszłabym za Ronniego? Może matka Jacoba nie sprzeciwiłaby się temu, by jej syn ożenił się z ubogą rozwódką z Savan, więc Jacob wziąłby ze mną ślub i może wiedziałabym wtedy, jak wypluć wino z powrotem do kieliszka i wznieść stosowny toast? Nikt nie kazałby mi wynosić się z plaży bez względu na to, gdzie na wyspie by leżała, i może moje życie byłoby proste i słodkie. Teraz zostawiam Jacoba za sobą i czuję, jak klatkę piersiową stopniowo zalewa błoto.

Idę do toalety po wysokich schodach. Staram się nie patrzeć na boki. Nie dam sobie rady z niczym więcej. Na szczycie znajduję pokój z kanapami i bujakiem w kącie oraz ogromną dekoracją z orchidei, której nie mogę przeoczyć, mimo że wcale nie patrzę. Pomieszczenie jest otwarte niczym usta i zaprasza do środka. Nie ma w tym nic znajomego. Boże. Trochę się uspokajam. Może biały mężczyzna się pomylił. Co on może wiedzieć o wyspie? Nic a nic. Toalety znajdują się na końcu korytarza, po obu stronach niczym migdałki. Obok zamkniętych przeszklonych drzwi z napisem: „Tylko dla personelu i gości hotelu”, wymalowanym z wielkim rozmachem, wyciąga się ku morzu ogromny balkon. Stoją tam stół i krzesła z kutego żelaza. Muszę usiąść.

Podchodzę do jednej z kanap i wtedy zauważam starego człowieka o żółtosiwych włosach i szorstkiej żółtobrązowej skórze. Uwiesił się starej miotły, jakby odpoczywał od zamiatania. To mieszkaniec Frenchtown, ale zdaje się czuć tu

swojsko, a ja boję się swojskości. Znów czuję się dziwnie, jakby mnie połykano. Ale on tylko wskazuje podbródkiem na obraz na ścianie, na którym młody człowiek ciągnie za sobą łódź rybacką.

– To ja – oznajmia, jakbym go o coś pytała.

Dopiero wtedy zauważam, że na całej ścianie wiszą obrazy.

– Hm – mówię tylko.

„Idź sobie” – myślę. Wtedy za naszymi plecami rozlega się stukot obcasów jakiejś kobiety, stuk, stuk, po czym dźwięk ginie w korytarzu wiodącym do toalety, tak jakby zniknął w obolałym gardle.

– To ja, jak wracam o świcie. Łowiłem ryby od czwartej nad ranem.

Końcówką kija miotły wskazuje już nie na obraz, ale na prawdziwy ocean rozciągający się za balkonem dla służby i gości hotelowych.

– Jesteśmy w tym samym miejscu.

Spogląda prosto na mnie, jakby dopiero teraz doszło do niego, że nie gada do siebie.

– Nazywam się Hippolyte Lammartine. Zwałeś mnie mister Lyte. A ta tam to madame Antoinette Stemme Bradshaw. – Mierzy w obrazek. – Nie znasz tej historii?

Jasne, do kurwy nędzy, że znam. To ten mętny obraz, Eona upierała się, żebym powiesiła go u siebie w salonie. Chociaż nie, ten obraz, co go mam, nie przypomina wcale tego tu na ścianie. Ten z domu mojego i Franky’ego pokazuje młodą i śliczną Antoinette w długiej spódnicy, jak siedzi z wyprostowanymi plecami obok naszego ojca. On jest najprzystojniejszy na świecie. A na tym płótnie widzę nieco starszą kobietę. Stoi obok dziewczyny tak pięknej, że nawet ja wiem, iż młoda musi być *soucouyantem*. Tu Antoinette na kolanach trzyma dziecko, co siedzi jak mała brzydka laleczka. Twarzyczkę niemowlęcia okala czepek z brokatu, tak wymyślny, jakby chciał być słonecznikiem. Wstrętne dziecię patrzy na mnie z obrazka, jak gdyby nie mogło uwierzyć w to, co widzi.

– Jestem nauczycielką historii – mówię wyraźnie, jakbym prowadziła lekcję.

– Znam wszystkie historie.

Ale czuję, że niemowlak gapi się prosto w moją twarz. Mam takie uczucie, jakbym była rozgrzana i wypila szklanek zimnej wody. Czuję, jak nowina się po mnie rozchodzi.

– Tu, gdzie stoisz, mieszkali ludzie – stwierdza mister Lyte.

– To już wiem – odpowiadam.

Choć tak naprawdę mam ochotę powiedzieć: „Zamknij dupę”. Mam teraz inne rzeczy na głowie. Nie dam rady. Chryste, kto kazał mi przyjść do Frenchtown?! Całe życie unikałam tego miejsca. To wina Jacoba. Chodzi o to, co jest pomiędzy mną a Jacobem. To niestosowne.

– Nie chodzi mi o turystów czy właścicieli hotelu. – Twarz mister Lyte’a

ukrywa się w zmarszczkach. Oczy zwięzają się w szparki. – Mówię o ludziach, do których to miejsce należało dawno temu.

– To nie moja sprawa – mówię, chociaż wiem, że łżę.

Ale stary Francuzik wzdycha ciężko i siada na bujaku starym jak świat. Wtedy zaczynam się głowić, czy ja go znam. Czy on zna mnie? Czy znał mnie, kiedy byłam mała? Bujane krzesło ma wytworne zdobienia naśladowujące koronkę. To bujak, że na pierwszy rzut oka widać, iż nie potrzeba poduszki, by siedziało się w nim wygodnie. Mister Lyte się buja. Zaczyna snuć swoją opowieść. Nie mogę ot tak po prostu wyjść. Nawet jeśli chcę. No ale wy znacie prawdę. Wcale nie chcę. Mimo że ze mnie strachajło na sto dwa, chcę wiedzieć. To moja historia, a ja w końcu jestem nauczycielką historii.

Wskazuje na zbyt ładną dziewczynę z obrazu.

– Onjoma. Starsza córka. Ma na imię Onjoma, bo to on ją miał. To ojciec pierwszy trzymał niemowlę na rękach. I to ojciec zostawi matkę tuż po tym, jak ona urodzi. Weźmie dowodzącą dziewczynkę, zanim po raz pierwszy mała dostanie pierś. On ją przewinie, kiedy zrobi pierwszą kupkę. Żaden ojciec na świecie nigdy wcześniej tego nie zrobił, więc jasne, że dziewczę będzie miało problem, oczywiście, że będzie nieco inna. Rozumiesz, co chcę powiedzieć? Za dużo od niej oczekiwał. Onjoma wyrosła na wiedźmę.

Mister Lyte odłożył miotłę na drewnianą podłogę, jakby kładł ukochaną do łóżka. Łapię się na myśli, że sama mam ochotę się położyć.

– Onjoma, he?

Zrywam płatek kwiatka i rozcieram go palcami. Staje się gładki i oleisty. I wtedy dociera do mnie to, co powiedziałam: Onjoma. Eeona.

Mister Lyte płynie z nurtem opowieści.

– Gadają, że ona jeszcze żyje i nadal jest zachwycająco piękna. Wciąż ma włosy jak ocean. Papa z córeczką zakradali się nocą na statek. Pływali nago. – Lyte wskazuje na zdjęcie przedstawiające wody oceanu. – Dziewczynka podrosła. Teraz jest wiedźmą. Ale z rudej siostrzyczki też jest niezły egzemplarz. Nauczyła się pływać za niemowlaka, zanim potrafiła jeść. Byłem tam. Potwierdzam.

Podnoszę rękę i dotykam swoich włosów. Farbuję je na czarno, odkąd urodziła się RONALDA. A pływanie? Przecież to Jacob nauczył mnie pływać. Wtedy mister Lyte mówi coś, co sprawia, że zapominam o sobie.

– Widzisz, gdzie klubowicze Inner Wheel jadają lunch? – Wskazuje brodą na balkon. – Tam chadzali papa z najstarszym dzieckiem i uprawiali miłość błyszczącą jak aureola anioła, choć wcale nie byli z nich świętoszki. – Cmokta ustami. – Jeśli masz śliczną córkę, powinnaś to wiedzieć, żebyś mogła zbywać złego mężczyznę, ale sama nie powinnaś do niego należeć...

– Chwila, chwila, chwila – mówię, bo nie mogę wydusić z siebie nic więcej.
– Zaczekaj jedną pieprzoną minutę.

– ...Ale Bradshaw stłumił w sobie to uczucie, dlatego postanowił wziąć sobie kobietę na boku.

– Nie mam zamiaru słuchać tych głupot.

– Ale musisz. Ponieważ kapitan Bradshaw i jego babka na boku spłodzili chłopca, który wygląda jak garść piasku. To Jacob Esau. Uchodzi za McKenzięgo.

Mister Lyte przytakuje grobowo, jakby wiedział, że mówi coś złego, najgorszego na świecie.

A teraz patrzcie na mnie. Kiść płatków orchidei krwawi mi w garści. Podnoszę rękę i biorę zamach na tego faceta, by rozciąć mu usta i uciszyć tego skurwiela na zawsze. Jest stary, ale robi unik i ujmuje moje dłonie w delikatnym uścisku.

– Czekaj, czekaj. Właśnie załapałem, kto ty jesteś. Anette Bradshaw, znam cię od maleńkości.

Lyte puszcza moje nadgarstki, a ja stoję tam nadal, jakbym była uwiązana. Kapitan Bradshaw to mój ojciec. Ta opowieść złapała mnie na haczyk. Ten sam Bradshaw jest ojcem Jacoba Esau. I wiem, że za chwilę dojdę do momentu, kiedy nie będę mogła już oddychać. Jacob Esau to mój Jacob.

Mister Lyte posyła mi łagodne spojrzenie, jakby mnie uspokajał.

– Przykro mi, dziecinko. Ale taka jest historia. My, tutejsi, musimy wiedzieć, nawet jeśli ta wiedza nie jest przyjemna.

Stoję. W końcu się ruszam. Oddycham ciężko, uff, uff, jakbym walczyła o powietrze. Tak się czuję. Otwieram rękę i pozwalam płątkom spaść cicho na ziemię, miazga ich wnętrzości przywiera do moich dłoni. Moje życie właśnie legło w gruzach. Wszystko, co kocham, właśnie przerodziło się w grzech. Wzbiera coś na kształt fali, która tym razem mnie zatopi.

91.

Anette

Kiedy wychodzę z hotelu Hibiskus, nie zatrzymuję się nawet, by ostrzec piaskuna. Wybiegam, jakby się paliło. W szkole mówili, że kiedy dopada cię strach, można zaśpiewać sobie Psalm 23. Ale co wtedy, kiedy stracha napędziło ci życie miłosne z mężczyzną o skórze koloru piasku, co siedzi na schodach na dole i czeka, aż zejdziesz, by zjeść z nim wytworny posiłek? A co jeśli stracha napędza coś, co noszę w sobie? Kiedy więc wybiegam z Frenchtown, potykając się o własne nogi, jedyne, co robię, to podśpiewuję w kółko słowa psalmu, które zapamiętałam. „Nasz ocean występuje z brzegów. Chociażbym chodziła przez dolinę i wody, niczego się nie lękam. Ty mnie pocieszasz. Ty mnie prowadzisz. Tylko piękno winno za mną podążać”. Biegnę i przytulam samą siebie, moje ramiona próbują mnie ponieść.

Tak się modląc, odkrywam, że jestem na początku długiej drogi do domu,

który zbudował dla mnie Franky.

Kiedy docieram na miejsce, dopadam do telefonu, jakby to było płaczące dziecko. Telefonuję do siostry. Aparat działa, mimo że wciąż nie mamy prądu. Chcę spytać siostrę o to, co usłyszałam. Pragnę, żeby Eeona powiedziała mi, jaka jest prawda. Chcę zapytać, co robić z Eve Youme, bo wiem, że Eeona wie więcej, niż mówi. Pragnę spytać, co mam zrobić ze sobą. Zdaję sobie sprawę, że Eeona nie będzie chciała gadać, wydzwaniałam do niej niezliczoną ilość razy, ale dziś wieczorem zmuszę ją do rozmowy.

Słuchawkę podnosi gospościa Eeony.

– Mady nie ma, panienko.

– Co to znaczy – matki nie ma?

– Przepadła.

– Co to znaczy – przepadła?

– To znaczy, że mady Eeony wcale tu nie ma.

– Kiedy matka wraca?

– Nie wiem, panienko. Nie spakowała rzeczy. A zwykle parę dni schodzi jej na pakowanie, nawet jeśli wyprawia się tylko w odwiedziny do panienki na Saint Thomas.

– Hm, a skąd w takim razie wiadomo, że przepadła? Zawołaj ją. Musi gdzieś tam być. Nie przyjmuję tych durnot do wiadomości. Powiedz jej, że to nagły wypadek.

– No cóż, zostawiła wiadomość. Mam ją tu. Pisze, że nie wróci za szybko. Tak właściwie, panienko, przykro mi to mówić przez telefon, ale pisze tam, że jeszcze długo nie wróci.

– Tak jest tam napisane?

– Nie słowo w słowo, panienko. Pisze: „Jestem bardziej dzika niż mama”.

Tak pisze.

– Co to za stek bzdur! Czy to nie ją nazywają matką? O jakiej mamie mówi?

– Nie mam pojęcia, panienko. Ale ostatnio mada Eeona zachowywała się inaczej. Bardzo dziwnie. Opowiadała wszystkim, nawet gościom pensjonatu, że niektóre historie do niej wracają i ją prześladowają. Zrobiła się śmieszna. Tak śmieszna, jakby miała nierówno pod sufitem. Miała epizody, jak mówiła.

Kiedy wieczorem dzwoni telefon, mój syn podskakuje jak poparzony, jakby rozległ się alarm przeciwpożarowy.

– Dobry wieczór – mówi.

Po tym, jak powtarza to jak echo do słuchawki, poznaję, że osoba po drugiej stronie nie odpowiada.

– Ciocia Eeona? – pyta z nadzieją w głosie, ponieważ zdążyłam przekazać mu wieści, że Eeona wyjechała i nie powiedziała dokąd.

Ale ja wiem, że to nie Eeona. Patrzę na moją córkę, która wzrokiem świdruje

mi czoło. Ona wie, że to nie Eeona. Córka i ja, obie wiemy, że to jej ojciec, Jacob. Telefonuje, żeby sprawdzić, gdzie zniknęłam. Jacobowi pewnie wydaje się, że zmyłam się z restauracji. Zostawiłam różę, którą wsunął mi za ucho, na podłodze w toalecie. Nie podchodzę do telefonu, mimo że wiem, że się nie odezwie, jeśli nie usłyszy mojego głosu.

Siadam i słucham, jak mój syn powtarza: „Dobry wieczór, dobry wieczór”, czuję, jak pytania Me kołatają mi się po głowie, i patrzę, jak niewyobrażalnie piękno wypływa jej na twarz. Zalewa mnie przeczucie. Przypatruję się mojej córce. I czuję piasek pod stopami. Franky staje w drzwiach i posyłamy sobie pobieżne spojrzenia, takie, jakie wymieniamy, odkąd wyrzucono nas z plaży na naszej własnej wyspie. Czuję morze. I to nie tak, że tonę albo zaplątuję się w sieć. Pływam, jak nauczył mnie Jacob. Wiem, co muszę zrobić, żeby wszystko naprawić. Potrzebuję czegoś wielkiego, że ho, ho, do czego mogłabym przynależeć. Czegoś większego od męża, chłopaka albo nawet siostry.

Muszę zawlec tyłek z powrotem do Frenchtown.

92.

Siedziba radiostacji była we Frenchtown. Łatwo ją było znaleźć, jadąc samochodem, ponieważ prowadziły do niej brukowane drogi. Kiedy Anette podeszła do mikrofonu, przedstawiono ją jako panią strażnikową Straży Wybrzeża oraz latarni, Franklynową Joseph, dyplomowaną nauczycielkę historii w anglikańskiej szkole parafialnej, ale możecie zwracać się do niej Anette. Mervyn Manatee, prezenter radiowy, kazał jej mówić wyraźnie. Wówczas powiedziała to, co musiała powiedzieć wszystkim mieszkańcom Wysp Dziewiczych, zarówno należących do Stanów Zjednoczonych, jak i do Wielkiej Brytanii i każdej innej wyspy, gdzie zdołano złapać zasięg fal radiowych.

– Nawiedziła nas nawałnica. Ucierpiały nasze ziemie i wody, ale teraz musimy zażądać tego, co do nas należy. Nadszedł czas, żeby zgłosić pretensje do miejsca, do którego przynależymy. – Zrobiła pauzę, żeby podkreślić dramatyzm wypowiedzi. – Nasze plaże muszą być wolne.

W studiu rozdzwoniły się telefony.

Wybuchła BOMBA.

W dzienniku „Daily News” opublikowano listy. Ludzie rozmawiali o tym na ulicach. Plaże należą do tubylców. Ale kim byli tubylcy? Nie, nie. Przemoc na plażach wzmoże się, jeśli zezwoli się miejscowym na wstęp. No ale plaże są dla wszystkich. Tak jak nasze publiczne parki. Zoo. Ogrody botaniczne. Nasze miejsca, gdzie ludzie się kochają i biorą ślub. Ale ci wszyscy ludzie zapaskudzą plaże. Ciała ociekające kremami przeciwsłonecznymi, niechluję śmiejący papierkami. Czy nic dobrego nie czeka na tym świecie nas, ich, mnie?

Huragan ujawnił tak wiele plaż. Te zarośnięte krzewami i drzewami teraz

zostały wymyte i odkryte. Zasłaniający je dom został zdmuchnięty, zmiażdżony lub wybebeszony wiatrem i deszczem. Któż w miasteczku słyszał o basenie pełnym morskiej wody zwanym Stumpy? Kto z żyjących kiedykolwiek był nad Botany Bay?

Wówczas ruch nie miał jeszcze żadnej nazwy, ale nazwijmy go jakoś, bo rzeczy nienazwane nie istnieją naprawdę. Historia nazwie go Beach Occupation Movement and Bacchanal, czyli ruchem obrony plaż i bachanaliów, w skrócie: BOMB. W Ameryce członkowie organizacji Weatherman czy Czarnych Panter wysadzali innych oraz siebie nawzajem. W Wietnamie wietnamski żołnierz celował bronią do innego Wietnamczyka z wrogiego ugrupowania. Żołnierz zaczekał na aparat fotograficzny i strzelił drżącemu wieśniakowi w głowę.

John F. Kennedy zginął. Che Guevara zginął. Martin Luther King zginął.

A na Wyspach Dziewiczych mieliśmy BOMBĘ. Maszerowaliśmy po piasku, brodziliśmy i moczyliśmy się w wodzie, a ci, który potrafili, pływali. W środku nocy biegliśmy na plażę, wykiwawszy strażników i psy. Za dnia udawaliśmy czarnoskórych turystów. Zakładaliśmy jasne kapelusze z szerokim rondem i plażowe pareo na stroje kąpielowe. Na stopy wkładaliśmy sandały, żeby móc chodzić po piasku. Na nos lśniące okulary przeciwsłoneczne. Ale naraz ujawnialiśmy się, włączaliśmy radio i puszczaaliśmy na cały regulator piosenki The Pick-up Men czy quelbe, wykrzykując: „Wyspy Dziewicze to my!”, podczas gdy wyskakiwaliśmy ze strojów i biegliśmy do wody. Zostawialiśmy tam, tańcząc i śpiewając ile sił w płucach, aż nie przyjechała policja. Potem wlekli nas do aresztu. Jedna osoba niemal zeszła z tego świata, oparzona macką meduzy. To właśnie wtedy prasa zaczęła przysyłać reporterów i fotografów.

Ronalda, która w Ameryce wymyślała slogany dla SNCC, studenckiej komisji do koordynacji walki z przemocą, nie mogła stworzyć nic porządnego dla ruchu z jej rodzinnych stron. Pierwszy raz zabrakło jej haseł. Przez telefon testowała parę na matce: „Pijawkom na plażę wstęp wzbroniony” oraz „Chcecie odebrać nasze wybrzeże? Nie wierzę”. Ale RONALDA nie była z nich zadowolona. Och, znów to uczucie, że nie jest wystarczająco dobra dla swojej rodziny, ponieważ wymagano od niej perfekcji, na którą nie mogła się zdobyć. Dlatego w ogóle wyjechała z domu.

Młody Frank mocno się zaangażował. Jego pierwsza kąpiel odbyła się nocą, wyspa nadal była skąpana w ciemnościach, jako że tylko urzędowe budynki miały dostęp do prądu. Ludzie zabrali ze sobą latarki i zaczęli śpiewać. Frank czekał na refren calypso, po czym wbiegł do wody tak szybko, że minął brodzących i zdołał dziewięć razy uderzyć w wodę rękami i nogami w istic pływackim stylu, zanim władze wyciągnęły go na brzeg. Zwykle odławiano protestujących, zanim zdołali wejść do wody choćby po pas, więc ta kąpiel Franka była naprawdę heroiczna. Anette kibicowała swojemu chłopcu z płycizny. To jej syn. Jej i Franky'ego.

Po tym wydarzeniu Anette z synem zaczęli prowadzić regularne ćwiczenia w swoim salonie. Po pierwsze, jak zamoczyć całe ciało w morzu, żeby przynajmniej ociekać wodą, kiedy będą cię wyciągać. Po drugie, jak udawać tonięcie, co dobrze wypadło w obiektywie aparatu. Ona mówiła, a Frank demonstrował najpierw skok na główkę, potem zanurzenie całego ciała, następnie machanie nogami i w końcu tańczenie i chlapanie wodą wszędzie wokół.

Ale jeśli plaże to nasze miejsca, przynależne nam miejsca, to prawdziwą niedorzecznością wydawało się, że większość z nas nie potrafi nawet pływać. Tak jakbyśmy chcieli plaży, ale tak naprawdę jej nie doceniali. Niczym mężczyzna, który błaga kobietę, by za niego wyszła, lecz gdy tylko noc poślubna dobiega końca, wychodzi i zamyka za sobą drzwi. Zrobiliśmy się poważni nie na żarty. Wynajęliśmy dwa pomieszczenia w hotelu należącym do miejscowej rodziny, gdzie każdemu apartamentowi przysługiwał prywatny basen. Anette wzięła pod swoje skrzydła kobiety, jej syn zajął się mężczyznami.

– Obejmij mnie w pasie. Machaj nogami, machaj. Chlap, ile wlezie.

Nauka pływania w basenie była trudna, nienaturalna. Aktywiści składali się na pokrycie kosztów wynajmu pokoi. Na szczęście gdy ci amatorzy po raz pierwszy spróbowali pływać w oceanie, sól ich uniosła. Płynęli. Czuli się jak ryby w wodzie.

Rzecz, w którą Anette się zaangażowała, była największą rzeczą, jakiej kiedykolwiek dokonała. Jej pierworodna popłynęła z prądem na kontynent amerykański, jej drugie dziecko miało jakąś chorobę nie z tej ziemi, jej siostra zaginęła, a ona sama niesłusznie kochała najmniej słusznego mężczyznę na świecie. Ale przez króciutką chwilę BOMBA była większa niż te wszystkie miłości.

Powoli i po cichu hotele z powrotem podłączano do prądu. Koniec z generatorami warczącymi po nocach. Znów można pobierać pełną opłatę. Lotnisko, które do tej pory działało na pół gwizdka, teraz ruszyło pełną parą. Samoloty zaczęły przynosić na swoich pokładach tyle samo przyjezdnych, co zaopatrzenia niezbędnego w sytuacjach kryzysowych. Wyspy były teraz, no cóż, najwyraźniej bardziej karaibskie. Ludzie wracali tłumnie na targ, by tam co rano robić zapasy. Ten autentyzm, tak naprawdę wynikający z biedy, zaczął na powrót przyciągać turystów. Wówczas majątniejsze części wyspy poczęły odzyskiwać dostęp do prądu. Wtedy rozkwitł lokalny handel. Wtedy na serio zaczęła tykać BOMBA, ponieważ turyści wykwitli na plażach i mogliśmy zobaczyć na własne oczy, że oni nie potrzebują pozwoleń, przepustek, protestów.

Zaczęliśmy zabierać ze sobą lodówki turystyczne pełne rumu i coca-coli. To były bachanalia. Ale to była także poważna sprawa.

Duży Franky na równi podziwiał, co martwił się działalnością swego syna. A co jeśli wsadzą chłopaka za kratki? Jako że Franky należał do Straży Wybrzeża,

nie mógł czynnie protestować. Bał się, że pewnego dnia pošlą go, by przymknął demonstrantów. Nawet Anette się martwiła mimo piastowanej roli matki ruchu. A co jeśli Frank się utopi?

Niepokoila się także dlatego, że chciała zatelefonować do Jacoba. Teraz wcale z nim nie rozmawiała. To już skończone. Z nimi koniec.

Och, ale wcale tak nie było. Ponieważ łączyło ich dziecko. Nigdy nie nastąpi koniec. A kiedy młody Frank przekonał to dziecko, by przestało zamartwiać się swoją stopą i przyłączyło się do ruchu, rzeczy zaczęły naprawdę ruszać się do przodu.

93.

Na Water Island planowano pokazny protest. Przy tej samej plaży, gdzie tak dawno temu Anette i Franky tańczyli do tego wstrętnego filmu. Ludzie wynajęli i wypożyczyli łódki rybackie i pontony i przyплыnęli, pchani napędem silnika lub siłą własnych rąk, wprawiających w ruch wiosła. Nie wprowadzono żadnych ograniczeń dla łodzi na wodzie. Miejscowi musieli przecież łowić ryby. Zgromadziliśmy się wszyscy i szczerze wypełniliśmy cieśninę między większą wyspą Saint Thomas a mniejszą Water Island. Honeymoon Beach, plaża miesiąca miodowego, miała idealną nazwę. Tego dnia wydarzyło się bowiem coś słodkiego. Minał miesiąc, od pełni do pełni księżyca, i było po wszystkim.

Tym razem celem było to, by dostać się na brzeg. Dotrzeć na plażę, dając nura do wody i przepływając dystans do brzegu albo dobijając pontonem tuż na nabrzeżne piaski. Dla tych na plaży musieliśmy wyglądać jak element rozrywki, za którą turyści zapłacili. Tak, mieszkańcy Wysp Dziewiczych byli warcami tych pieniędzy. Tubylcy przybyli wraz z muzyką. Markie, sława z The Pick-up Men, nadal żył, zabrał ze sobą ręcznej roboty ukulele i śpiewał ile sił w płucach, dając sygnał do wojny.

Anette, która dała początek temu wszystkiemu, nie brała udziału w proteście mimo idealnie symetrycznego policzka, jaki mogłaby tym sposobem wymierzyć władzom. Trzymała się od demonstracji z daleka z dwóch powodów. Po pierwsze, ze względu na nieustający strach przed łodziami. Bez jej męża nie będzie nikogo, kto trwałby przy jej boku i oplótl ją ramionami. Po drugie, z Saint John zaczynały docierać pogłoski o Eeonie. Że ludzie ją widują. Anette musiała czuwać przy telefonie. Została więc w domu, ale włączyła radio i nasłuchiwała wiadomości z Water Island.

W sam poranek wielkiego protestu Franky pocałował Anette w usta, tak jak uczynił to podczas huraganu. Miał na sobie oficjalny biały mundur, którego nigdy nie wkładał, a który oznaczał, że idzie załatwić sprawę Straży Wybrzeża. Nie rozmawiali o tym. Może dzieci, jak to mają w zwyczaju, uratują ich oboje.

My, mieszkańcy Wysp Dziewiczych, wdzialiśmy na siebie jeansowe szorty

i słomkowe kapelusze. Nieśliśmy transparenty i magnetofony na baterie. Na pierwszy rzut oka łatwo nas było wziąć za pochód karnawałowy, o ile ktoś nie przeczytał sloganów, które RONALDA umieściła na banerach. Nasz marsz powoli zaczynał przypominać turystom inwazję.

W przeciwieństwie do wcześniejszych pojedynczych i spontanicznych kąpiei ten pochód był najlepiej zaplanowanym i największym wydarzeniem naszego ruchu. Kamieniem milowym historii. Nie przewidziano zażywania kąpiei, ale dobrej zabawy. Tym razem wychodziliśmy z wody. Plan obejmował dotarcie do brzegu i imprezowanie, jakby to miejsce należało do nas. Była tam Youme, choć miała na sobie dziwaczne nowomodne dzwony i staromodne trampki. Kiedy łódzie podpływały do brzegu, Youme wznosiła okrzyki na równi z najmocniejszymi gardłami. Z łódek widzieli turystów, różowych jak środek muszli i wystraszonych. Mogli dostrzec także straż wynajętą przez Gull Reef Club. Strażnicy, którzy bez wyjątku byli ludźmi Karaibów, naszymi ludźmi, czekali w mundurach z amerykańskiego granatu.

Strażnicy ustawili się w szeregu wzdłuż nabrzeża, zostawiając odstęp na sześć stóp między sobą, tak jak im kazano i jak ich wyszkolono. Ale gdy łódzie podpłynęły bliżej i śpiewy i skandowane hasła stały się bardzo wyraźne, niektórzy strażnicy, owładnięci miłością do wyspy, zrzucili z siebie mundury i popłynęli do protestujących. Wdrapali się na łódki, gdzie wyróżniali się w swoich majtkach i czarnych lśniących butach.

Wtedy właśnie ujawniła się prawdziwa policja. Policjanci w mundurach, lepiej przygotowani i piastujący posady, które zapewniały im dostęp do służby zdrowia, wypełnili puste miejsca, skąd prędko ewakuowali się ochroniarze hotelowi.

Kiedy łódzie zaczęły przybijać śpiewnie do brzegu, a ludzie, co potrafili pływać, poczęli wyskakiwać za burtę i docierać na piasek, policjanci podnieśli pałki, ale zrobili to jakoś bez przekonania. Demonstranci byli dumni i rozbawieni, nawet gdy chwymano ich za ramiona i spychano na rafę pojmanych, z dala od wzroku turystów.

– Ci z Wysp Dziewiczych to wariaci! – krzyтели funkcjonariusze policji.

Ale ci wszyscy ludzie byli w końcu ich kuzynami, ciotkami i wujkami, a czasem siostrami i braćmi, żonami i mężami.

– Palma wam odbiła! – policjant powiedział to z zaśpiewem, jakby szaleństwo było najlepszym, co mogło im się przytrafić.

Ale to nie wszystko.

Straż Wybrzeża należała do rządu Stanów Zjednoczonych, więc zjawiała się – jak to kolonizatorzy mają w zwyczaju – na pokładzie wielkich statków. Gdy tylko małe łódki i motorówki demonstrantów ruszyły z miejsca i wypłynęły w pięciominutowy rejs na Water Island, wyekspediowano statki straży. Strażnicy

potrzebowali dziesięciu minut, by dobić do brzegu. Ich jednostki pływające były teraz na wodzie, stając twarzą w twarz z tłumem protestujących, których zatrzymano na piasku. Podpływały do łódeczek, gdzie ludzie, jeszcze nie do końca pewni swoich umiejętności pływackich, tkwili, zarzucając kotwice, gasząc silniki i starając się nie wyglądać na przestraszonych. Biały komendant Straży Wybrzeża przemówił przez megafon i oznajmił tym na plaży, że zostaną zwolnieni z rafy pojmanych, tym na łódkach, iż nie zostaną zatopieni, a wszystkim, że nie zostaną aresztowani – o ile tylko zgodzą się wrócić do domu.

– Ale przecież my już jesteśmy w domu! – odparli unisono ludzie na łodzi i na piasku, tak jakby mieli to zaplanowane.

Turyści na plaży zamarli z przerażenia. Przypominali ogromne rzeźby z piasku. Żona Lota, tyle że na tropikalną modłę. Wpatrywali się w transparenty protestacyjne wbite w piasek i nie wiedzieli, że to oni są tymi pijawkami. Rewolucja? O nie! To tylko tubylcy się buntują. Ale dlaczego? Spójrzcie tylko, jak tu pięknie. Kto nie potrafi być szczęśliwy w takim raj? Któż porywałby się na rewoltę?

Skoro była tu już Straż Wybrzeża, turyści powoli się ruszyli z nadzieją, że jeśli powoli zbiorą ręczniki i kremy do opalania, nikt nie zauważy.

I rzeczywiście nikt ich nie zauważył. Ponieważ powoli działo się co innego. Dziewczyna, która odłączyła się od tłumy protestujących, biegła do wody. Zażywała kąpeli, mimo że planowali zażyć dobrej zabawy. Jednak dziewczyna miała rację. Móc wbiegać do wody w tę i z powrotem, jak się żywnie podoba – to dopiero coś. W tę i z powrotem – na tym polegała plaża. Dziewczyna była ubrana, miała na sobie dziwaczne spodnie dzwoniące u kostek, ale włosy płynęły za nią niczym niestworzona ławica barrakud. I mimo że biegła do wody, zdawało się, jakby rozbiegała się na wszystkie strony. Zrzuciła trampki ze stóp tuż przed tym, jak wpłynęła niczym dorzecze do morza.

Jej uroda była tak niepokojąca, tak niezwykajna i tak niesprawiedliwa, że nawet demonstranci ściszyli głosy. Nawet policjanci patrolujący wody opuścili ramiona i zdążyli tylko zauważyć, jak przemyka obok nich jak ryba. I wtedy wyswobodziła się z koszulki i pozwoliła jej odpłynąć na grzywie morskiej fali, nacierając na wodę niczym Atena na opak. Wrastając korzeniami w ocean, z powrotem do swego stwórcy. Tak wiele, wiele metafor.

Eve Youme nie miała zamiaru się obnażać. Może odziedziczyła ów dar. Być może postradała zmysły i miała epizod. My, zabobonniczki, nie możemy mieć pewności. Bo kiedy została ograbiona z koszulki, tak jak i z góry bikini, którą miała pod spodem, Chryste Panie, oczom zebranych ukazały się prawdziwe cuda – jej miękkie i sprężyste jak poduszki piersi. Gdy Eve Youme zanurkowała, każdą osobę stojącą na plaży, bez wyjątku, zalała fala prądowej żądzy. Wszyscy popłynęli na fali za nią.

Każdy, turysta, tubylec, miejscowy, strażnik czy ten, co jeszcze przed chwilą zarzekał się, że nie potrafi pływać, teraz przez całą minutę pluskał się w wodzie jak dziecko. Jakby to były prawdziwe bachanalia. Jak gdyby to była karnawałowa niedziela, a my bylibyśmy na ostatnich nogach. Wszyscy pływają. Cud.

W końcu Straż Wybrzeża, która niespodziewanie zaczęła pluskać się z innymi, wzięła się w garść i zaczęła wyławiać chlapiących demonstrantów z wody. Eve Youme wypłynęła z powrotem na powierzchnię, daleko, nieopodal boi. Młody bohaterski strażnik ruszył w jej kierunku. Zaczekała, aż do niej podpływie, i narobiła krzyku i rabanu niczym upiór.

Młody Frank, zakuty w kajdanki, ociekał wodą na brzegu. Zobaczył, jak wyławiają jego siostrę z wody, i cieszył się, że przekonał ją do przyjścia.

– Me! – zawołał do niej, by wiedziała, że nie jest sama. – Me! – krzyknął jej brat, a ona szukała wzrokiem jego wsparcia, aż pochwyciła jego spojrzenie.

Wtedy uderzyła Franka osobliwa myśl, która nie dotarła do jego świadomości wcześniej, kiedy dołączył do pozostałych w wyścigu do morza: siostra była olśniewająca. Frank już wcześniej widział biust, dzięki popularności w szkole zasłużył sobie na ten przywilej. Ale jego siostra, Jezu Chryste! Frank pozwolił policjantowi odwrócić sobie twarz.

Kiedy strażnik siłą wywlekał Eve Youme z wody, wyglądała jak morskie stworzenie. Młody funkcjonariusz nie zdjął koszuli, by ją zasłonić, jak powinien być zrobić. Och, była czymś tak pięknym, tak magicznym i nie z tego świata, a może właśnie z tego pełnego zaklęć świata. Mimo że strażnik powinien chronić turystów przed Youme, trzymał Youme tak, jakby była jego kobietą, spalonymi słońcem dłońmi chwycił ją wysoko powyżej pasa, tuż pod biustem. Wszyscy widzieli, jak jej ciało zostało odsłonięte. Każdy czekał na rybi ogon. Widać jej było nogi, ale jeansy, mokre i ciężkie, mieniły się na pośladkach jak rybie łuski. Nie podniosła rąk, żeby zasłonić piersi. Fotoreporter z „Daily News” przypomniał sobie o swojej misji i przystawił oko do aparatu. Biorąc pod uwagę jej oślepiające piękno, nikomu nawet nie przyszło do głowy, by przypatrywać się jej stopom, zasłoniętym modnymi spodniami. Ale czy to nie dziwne, że ślady stóp, które zostawiała, zdawały się posyłać ją w przeciwne strony? W tę i we w tę. No ale przecież było tam mnóstwo śladów, nie wiadomo na pewno, które należały do niej.

Młody strażnik dalej mocno trzymał Youme.

– Przepraszam, to moja praca. Nie pochodzę stąd, ale jestem po twojej stronie, Me. Tak masz na imię, prawda? Proszę, wybacz mi, Me. To mój obowiązek.

Zatapiał te słowa w jej szyi niczym szepczący kochanek.

Starsi strażnicy, którzy zostali na tyłach w swoich półoficjalnych białych mundurach i patrzyli przez lornetkę, teraz podpływali pontonami do brzegu. Jeden z nich podbiegł, gubiąc po drodze but. Rozpiął guziki koszuli. Dzielny blondyn ze

Straży Wybrzeża stanął przed Youme.

– Marynarzu, ręce precz od mojej córki.

Youme zgodziła się, by papa Franky wsunął jej ręce w rękawy swej lśniącej koszuli. Po chwili Franky zdjął także buty i włożył je na jej stopy. Zgodziła się, by swymi niezdarnymi palcami zawiązał sznurowadła i zapiął guziki. A on od tej chwili nie pozwolił sobie nigdy ani przez chwilę wspomnieć to, co widział.

– Puśćcie Me! – zakrzyknął ktoś. A wtedy inni podłapali: – Puśćcie ją! Puśćcie nas! – Nie dało się rozróżnić okrzyków.

Stróż Joseph – papa Franky – wypuścił ją w ubraniu i w obuwiu ku ludziom. Szła, człapiąc w za dużych butach, do tłumu demonstrantów, którzy zebrali się i utworzyli koralowy okrąg w zakątku Honeymoon Beach. Wiwatowali na jej cześć i zrobili jej przejście – niczym ławica ryb – zgodnie otwierając się i zamykając, by przyjąć jednego ze swoich. Teraz była kimś więcej niż tylko bohaterką. Była kimś, za kogo warto utonąć.

– Jak się nazywasz? – wrzasnął reporter.

Ale nikt tego nie usłyszał. W prasie pojawiło się więc imię, które podał jej brat. Tak to wszyscy zapamiętają: Me uratowała protest. Me zagrzewa do walki. Me jest piękna.

Ludzie dalej stali w koralu na piasku, a funkcjonariusze nie odebrali Markiemu ukulele, gdy wymyślał na miejscu piosenkę. „Lud Saint Thomas kocha swą zatokę! Będziemy tańczyć i śpiewać, aż Me odnajdzie do ratunku drogę!”.

Strażnicy Straży Wybrzeża oraz kierownicy Gull Reef Clubu nie byli pewni, co teraz zrobić z ludźmi. Plan był taki, żeby pozbyć się ich z plaży. Czy lepiej przetrzymać ich tu na piasku, aż będzie można zakuć ich w kajdanki, czy odesłać ich łodziami na morze i wtedy ich spętać? Muszą wrócić na Saint Thomas, a tam trafić do aresztu czy w magiel przesłuchania, czy co tam jeszcze dla nich przygotowano. Trzeba, żeby opuścili plażę. Ale dopóki przebywali na plaży, odnosili zwycięstwo. Ale czym była plaża? Lądem czy morzem?

– Me, przepraszam! – zawołał młody przystojny strażnik do Eve Youme, prowadząc ją z portu na statek Straży Wybrzeża. Franky, który stał kawałek dalej, westchnął, gdy ów mężczyzna podniósł deskę i uwięził pod pokładem ją i resztę.

Nas, protestujący tłum, zatrzymano na statkach Straży Wybrzeża, gdzie gawędziliśmy, jakby to był Dzień Dobrego Jedzenia, tyle że bez jedzenia, albo Dzień Transferu sprzed wielu lat, którego większość z nas nie mogła pamiętać, bo wydarzył się, zanim zdążyliśmy się urodzić. Aresztowano tylko organizatorów, którzy dobrowolnie się poddali. Pozostałych stłoczono na nabrzeżu, a potem puszczono wolno. To było trochę straszne, trochę ekscytujące i trochę magiczne, ale zwycięskie i zupełnie prawdziwe.

Kiedy Youme tego popołudnia stanęła w drzwiach, by spotkać się ze swoją siostrą, Franka nie było z Anette. Frank był w więzieniu.

Niecałą godzinę później w radiu ogłoszono, że młody Frank Joseph podejmuje strajk głodowy. Anette wzniosła oczy ku sufitowi i potrząsnęła przecząco głową. Jej chłopak i tak był już chudy jak patyk, mimo że żarł jak świnia. Nie wytrzyma ani dnia strajku głodowego. Zapakowała jedzenie i wraz z Youme wyruszyły do miejscowego aresztu, który wychodził na morze.

– Mamusiu, jaki masz dla mnie plan? – spytała Youme, a jej twarz zdradzała zarówno gotowość, jak i opór. – Wymyśliliście coś dla mnie z doktorem McKenziem?

– Me, martwmy się na razie o twojego brata, dobrze?

W budynku aresztu zebrał się tłum, składający się głównie z protestujących podczas zażywania kąpieli i dobrej zabawy, sól zaschła im na obliczach, imitując wojenne rany. Demonstranci zrobili Me przejście. Pozdrawiali ją głośno: „Me! Me! Me!”, lecz ona uśmiechnęła się tylko i trzymała matki. Franky stał przy dyżurce, bosy, w przemoczonym podkoszulku i białych mundurowych spodniach Straży Wybrzeża. Rozmawiał o czymś szeptem z komendantem policji. Podniósł rękę, by żona i córka mogły go zobaczyć.

– Chłopak nie weźmie jedzenia do ust – powiedział Franky.

– Od swojej matki weźmie – stwierdziła Anette.

– Nie rób mu tego – powiedział Franky do żony. – Pozwól mu być mężczyzną.

Stało się. I to tak prędko. Jej syn należał teraz do samego siebie. Anette dała jedzenie Franky’emu.

– Me? – zawołała córkę.

– Powinnyśmy już iść, mamusiu – powiedziała Youme.

Czuła, że tłum robił się wygłodniały od samego patrzenia na nią.

Podczas swojej idiotycznej głodowej medytacji Frank myślał tylko o siostrze i cioci Eeonie. Nie wierzył, że ciotka nie żyje, czego wszyscy się obawiali. Nie dawał wiary, że rzuciła się w morską toń, tak jak mówiono, iż Bradshawowie mają w zwyczaju. Frank bez jedzenia czuł się jak na haju, miał poczucie, że wie, naprawdę wie, że jego kobiety nie poddają się cięciu noża, ścianie wody czy zatrzymaniu akcji serca. Trwają. Wznoszą się jak wulkany, wykwitają niczym krosty na skórze. Wybuchają erupcją i sieją oczyszczające zniszczenie.

Młodego Franka zwolniono bez stawiania zarzutów, nie minęły nawet dwadzieścia cztery godziny. Franky czekał na chłopaka na posterunku całą noc, ponieważ funkcjonariusze policji chcieli wypuścić Franka tylko w ręce kogoś ze służb.

Kiedy Frank przekroczył tego ranka próg domu, podszedł do siostry. Przysunął beczkę z lodem i usiadł na niej, a Eve Youme siedziała na kanapie.

- Dlaczego pobiegłaś do wody?
- Nie wiem. Coś mnie opanowało.

Frank przypatrywał się twarzy siostry i zobaczył, że pod jej skórą wzbiera ciocia Eeona.

95.

Ruch obrony plaż i bachanaliów, w skrócie BOMB, po udanym zażywaniu kąpeli lub dobrej zabawy na Water Island wypłynął na pełne wody. Zdjęcie Eve Youme, to nieprzyzwoite z roznegliżowaną piersią, na której w druku pojawił się czarny pasek cenzury niczym czarna dziurka od klucza, ukazał się w prasie tego samego ranka, kiedy uwolniono Franka. BOMBA wypaliła się miesiąc później. Nie upłynęło dużo czasu, a przegłosowano ustawę o wolnym dostępie do plaż. Najwyższa pora. Skoro stołówkom w stanie Georgia nakazano obsługiwać Murzynów, to oznaczało, że Wyspom Dziewiczym można kazać, by obsługiwały wyspiarzy. Historia nie zawsze działa tak symetrycznie, ale tym razem zadziałała. Wszystkie marne hotele – co do jednego – oraz każda skąpa rodzina – co do ostatniej – musiały usunąć znaki „Teren prywatny” i zdjąć łańcuchy. Leżeliśmy na plaży i czuliśmy, jak nasze poczucie własnej wartości wzbiera razem z przyływem.

Oczywiście turyści nadal przybywali tłumnie, a hotele wciąż pękały w szwach. Wyobraźcie sobie, że nie upłynęło parę miesięcy nowej wolności, kiedy Franky przyszedł do domu i ogłosił, że ziemię Muhlenfeldt Point sprzedano wielkiej sieci kurortów. Latarni morskiej groziło niebezpieczeństwo, tak samo jak dorobkowi życia Franky’ego. Ale patrząc z szerszej perspektywy, przyłodek znajdował się na klifie. Nie na plaży. Choć tyle, że nie na plaży.

BOMBA wybuchła i zgasła po trzech miesiącach. Trwała po miesiącu na każdej z większych wysp – na czele z Saint Croix i Saint John. Albo może po miesiącu na każde z rodzeństwa Bradshawów. Lub po miesiącu na każdą osobę boską w Trójcy Świętej. Nieważne. Ponieważ po upływie tych trzech miesięcy, kiedy plaże uwolniono na drodze pokojowej i w świetle prawa zajęto, Eeona wróciła.

MIŁOŚĆ

Na imię mi miłość

to ja jestem luby

ostatni romantyk

pochodzący z wyspy

z morza

wyłaniający się z mętnego oceanu

– Habib Tiwoni, *Al-Habib*



Jeśli mogę... wtrącić się raz jeszcze. Proszę. Chciałbym wyjaśnić, że próbowałem. Kiedy Anette zostawiła mnie w restauracji, czekałem... Telefonowałem... Ale nie chciałem zakłócać spokoju jej ogniska domowego. Byłem pewien, że jej mąż nie wie o naszym spotkaniu we Frenchtown. Moja żona... jak zwykle... nic nie wiedziała.

Zrozumcie. Zobaczyłem córkę w gazecie, jak protestuje. Wyciąłem jej fotografię... Dla przyzwoitości umieszczono jej czarny cenzorski pasek na biuście. Nosilem zdjęcie w portfelu, aż wyświechtało się doszczętnie. Proszę, musicie zrozumieć... Nie uczestniczyłem w ruchu ani bachanaliach. Nigdy w życiu nie kazano mi opuścić plaży... Ale rozumiem powody demonstracji.

Podczas miesiący zaciemnienia i zrzutów BOMB korespondowałem z moimi kolegami medykami na temat choroby mojej córki. Rozsiewałem listy obficie, ale to nie przynosiło żadnych plonów. Znajomi lekarze odpisywali, odsyłając mnie do innych doktorów. Pisałem do Portoryko, Stanów Zjednoczonych, Anglii i Danii. Pewien francuski lekarz zaproponował hiszpańskiego medyka... Ów okazał się księdzem, który podczas wojny był nazistowskim doktorem... „Przywieź ją do mnie” – napisał hiszpański lekarz w medycznej łacinie.

Uwierzcie mi... Ten list leży otwarty na moim biurku. Żona odkurza mi biurko i porządkuje korespondencję, ale ja co wieczór rozważam ponownie propozycję Hiszpana. Co zrobić? Lekarz, który jest księdzem. Jego kuracja to pewnie kodeina, egzorcyzmy, operacja... i modlitwa. Ważyłem w myślach tę możliwość, nie mogąc jej z nikim skonsultować.

Gdy tak deliberowałem, wyjmowałem zdjęcie córki wycięte z gazety. Jest na nim jak symbol, niczym Statua Wolności Wysp Dziewiczych. Stoi przemoczona w wodzie... Wygląda na silną i buńczuczną pomimo tego, że trzyma ją funkcjonariusz Straży Wybrzeża. Spróbowałbym porozmawiać z tym symbolem. Zapytałbym symbol wolności i łańcuchów, co jest najlepsze dla mojej córki. Dumałem samotnie nad fotografią, aż doszedłem do wniosku, że nie ma innej drogi, jak tylko ją odesłać. W Hiszpanii na pewno znajdą się podobne do niej. Wiem to... Nie spodobała mi się moja decyzja, ale tylko taką zdołałem podjąć.

Wciąż telefonowałem do domu Josephów... Dzień po dniu... Całymi tygodniami... Aż w końcu słuchawkę podniosła moja córka. Protesty na plaży dobiegły końca i teraz każdy szary człowiek, nawet z innych wysp, mógł się wylegiwać na naszych najlepszych plażach. Tak... To dzięki niej stało się to możliwe. Na dobre i na złe. Kiedy odebrała... Cóż, mogłem usłyszeć piękno w jej głosie.

– Nie odeślesz mnie – powiedziała.

Musiałem się przyznać. Moja Eve, już to zrobiłem. Zamówiłem zamiejscową i zatelefonowałem do hiszpańskiego księdza doktora. Porozumieliśmy się. Będiesz tam niecały miesiąc. Muszę omówić ten plan z twoją matką.

I wtedy Eve przemówiła bardzo dorosłym tonem:

– Doktorze McKenzie – powiedziała – nie sądzi doktor, że w pewien sposób to jest piękne? Że warto to zachować?

Ścisnąłem mocno słuchawkę spoconymi palcami. Przed oczami ujrzałem, jak kocham się z jej matką. Przypomniałem sobie, jak spłodziłem córkę. Tak, oczywiście, każdy jej skrawek był piękny. Oczywiście... Ale piękno może być złe.

– Eve. Jesteś moją pierworodną. Nie sądzę, żeby to pochodziło od Boga.

– I co z tego? Pochodzi ode mnie.

Tak. Okazuje się, że... tak... tak... Podziwiam córkę za jej odwagę. Ale cóż, podjąłem brzemienną w skutki decyzję... Pozwolę Eve być.

Zrozumcie. Usiłuję powiedzieć, że pamiętałem. Pamiętałem siebie samego, jak śpiewam na środku ulicy dla kobiety o rudych odrostach. Pamiętam grające pianino i fotografa, który zrobił mi zdjęcie. Pamiętam matkę, jak kąpała mnie w słodko pachnącej wodzie... Pamiętam... Uwierzcie mi. Pamiętam, jak pucowałem wojskowe buty i ukradłem lśniące strzelby. Pamiętam, jak wybrałem przedni biały materiał, a potem jaskrawą czerwień i żółć. Pamiętam, że uroda może być niebezpieczna... Sam nie wiem... Może nawet warto było przyplacić to niebezpieczeństwem. Pamiętam, że bywałem skąpiradłem. Chociaż nigdy nie miałem takiego zamiaru.

97.

Opłata za pokój w pensjonacie Eeony pewnie wynosiła tyle w 1935 roku. Ponieważ matka Eeona nadal nie wróciła, Josephowie pobierali czynsz za wynajem i po opłaceniu personelu przesyłali parę groszy Ronaldzie, by pomóc jej w nauce w college'u. Nie mogli odłożyć własnych pieniędzy, ponieważ Franky'ego zwolniono z posady strażnika latarni morskiej. Czuł, że to polityczna degradacja, bo był głową rodziny biorącej udział w BOMBIE. Ale w Straży Wybrzeża powiedziano mu, że po prostu nie ma już potrzeby, by dbał o latarnię. Stanie tam hotel. Marriott, ściślej rzecz ujmując. Będzie błyszczał jaśniej niż jakikolwiek świetlny sygnał.

Franky'ego oddelegowano do brudnej roboty i innych poniżających zajęć. Dalej wybierał się w swoje zwyczajowe obchody po wybrzeżu wyspy, ale nie miał już tak wyjątkowego zajęcia jak doglądanie latarni. W domu był dawnym sobą. Zaczął polerować na błysk szkiełka latarek. Sprawdzał raz i drugi baterie, liżąc je czubkiem języka. Był jak utrapienie, ale Anette dawała mu spokój. Wyspa wygrała plaże i oznaczało to, że obędzie się bez ofiar. Jednak była jedna ofiara. Mieszkała u niej w domu.

Członkowie rodziny zamartwiali się także o ciocię Eeone. Anette nie miała przecucia, że ktoś przybędzie. Może Eeona nigdy nie wróci. Być może to Anette będzie musiała wsiąść na łódź i odwiedzić pensjonat. Podjąć decyzję, co z nim zrobić.

Ale z dobrych rzeczy – rodzina Josephów chodziła teraz na plażę, i to co niedzielę na inną. Stumpy i Sapphire. Sugar Bay i Botany. Magens i Secret Harbor. Późne wieczory spędzali na patrzeniu sobie w oczy przy płomieniu świec, na czytaniu książek, aż rozbolały ich oczy, i na opowiadaniu historii, aż zmorzył ich sen. Niektóre domy prywatne na wyspie miały prąd, ale Josephowie nadal czekali.

Naraz pewnego wieczoru Anette oceniała wypracowania z historii przy lampie naftowej, kiedy usłyszała Franka śpiewającego kaiso w wannie. Anette właśnie umyła swoje teraz siwiejące rude włosy, ponieważ pofarbowała je na czarno, a zabłąkane pasma okalały jej twarz. Zadzwoił telefon i w słuchawce odezwała się gospodyni pensjonatu, która awansowała na kierowniczkę hotelu, kiedy zaginęła matka Eeona. Anette odbyła z ową kobietą trywialną rozmowę o zapchanych toaletach i młodych parach, co zdawały się zapominać o bożym świecie i po upływie dwóch miesięcy nadal głośno uprawiały miłość do trzeciej nad ranem.

– No cóż, dziękuję za wieści.

– Pani Joseph, jakie wieści? Jeszcze nie przekazałam pani wieści.

I wtedy właśnie Anette dowiedziała się, że wiarygodne źródła twierdzą, iż widziano Eeone w miasteczku. Całe dwa dni temu. Dostrzeżono ją w jej ludzkiej postaci, z włosami rozpostartymi na wietrze jak skrzydła, jak błąkała się po ulicy, jakby zgubiła drogę. Mówiła coś do siebie, mamrotała coś – jak donosił jeden ze świadków – o homarze. Niejeden mieszkaniec nakarmił ją śledziem, domyślając się, że była głodna i miała chętkę na morskie potrawy.

Pogłoski na temat Eeony to nie żadna nowość. Ludzie widywali ją, odkąd była małą dziewczynką. Ale niewiarygodna banalność tego doniesienia tym razem przekonała Anette, że w końcu stało się coś strasznego. Może Nadmorska Willa napędziła Eeonie stracha. Albo może zwycięskie zdobycie plaż sprawiło, że duchy przeszłości znów ją nawiedzały.

Anette nigdy wcześniej nie była w pensjonacie. Nigdy jej to nie ciekawiło. Po niedawnych odwiedzinach w hotelu Hibiskus Anette nie tylko nie była tym zainteresowana, była wręcz niezainteresowana. Lecz teraz przygotowywała się do rejsu promem na Saint John.

Młodsza siostrzyczka Anette. Nie przepadała za łodziami, statkami i żadnymi innymi jednostkami pływającymi po morzu, ale teraz szła po falującym pokładzie bez niczyjej pomocy. Spędziła czterdzieści ciągnących się jak wieczność minut na łódce, w tym czasie siedząc z założonymi rękami i nie robiąc nic poza kołysaniem się, drzeniem jak osika i przygotowywaniem się na zatonięcie.

A przynajmniej tak Anette się czuła. Przetrwa, i to dzięki temu, że będzie tkwić przy barierce i wpatrywać się w dal. Brzmiało to jak odwaga, ale wcale nią nie było. Skupiała się na morzu, by wiedzieć, kiedy dać nura, jeśli łódź niespodziewanie rozpadnie się na kawałki. Pływanie było umiejętnością wrodzoną, wiedziała o tym. Dawno temu zdecydowała jednak, że łodzie takie nie są. Podróż odbywała się po południu, ale słońce świeciło wystarczająco mocno, by Anette zobaczyła żółwia morskiego sunącego obok łodzi. Widziała siebie, jak skacze na jego skorupę i żegluje ku bezpiecznej przystani. Chwyliła barierkę rękami tak mocno, że aż dłonie ją zabolowały.

Dotarła do pensjonatu wieczorem, ponieważ szykowała się do drogi powoli, wręcz z ociąganiem, i spóźniła się na poranny rejs promem. Ale nie było tak źle. Pensjonat – w przeciwieństwie do domu Josephów – jarzył się prądem. Mienił się w zmroku.

Ogrodnik otworzył Anette drzwi, zanim nawet zdążyła zapukać.

Pensjonat Eeony pomalowano na niebiesko na zewnątrz i od środka. Zdobiły go ciemne mahoniowe krzesła, które przypominały stare antyki. Wystrój był barokowy, staromodny. Na wysokich sufitach i w kątach, gdzie zbiegały się ściany holu, wykwitły kunsztowne ornamenty. Kremowe zasłony ze zwiewnego jedwabiu przepierzały przedpokój od kuchni oraz kuchnię od korytarza. Panowała tu atmosfera jak na starym galeonie. Anette zachwiała się lekko. Na jednej z odległych ścian wisiał portret Eeony, właścicielki, a nad nim tkwiła lampka, świecąca prosto na płótno. Na obrazie madame była dość młoda, miała około siedemnastu lat, a jej uroda przykuwała uwagę wszystkich zebranych w pokoju.

Anette usiadła w holu i znów zdjęło ją dziwne przecucie. Tak jakby wcześniej już tu była. Albo coś w tym rodzaju. Kierowniczka hotelu stała z rękoma splecionymi na brzuchu, Anette wodziła palcami po parapetach. Czuła się tak swojsko, że aż zaszumiało jej w głowie. W końcu poprosiła, by zaprowadzono ją do pokoju Eeony, bo wiedziała, po prostu wiedziała, że będzie wyglądał jeszcze bardziej jak Nadmorska Willa, niż udało się to hotelowi Hibiskus. Jednak kierowniczka profesjonalnym tonem oznajmiła, że do tego jednego jedyne pomieszczenia nie ma klucza. A pokój stał zamknięty na klucz.

Anette odłożyła jedyną małą torebkę, którą zabrała, w drugim pokoju z łóżkiem niezwykle przypominającym tamto, gdzie spała jako małe dziecko. Ale Anette tego nie pamiętała. Zamiast tego wezwała szemranego taksówkarza, by przewiózł ją przez miasteczko Coral Bay, a potem obwiozł po całej wyspie Saint John. Obolałe dłonie złożyła na podołku i wołała przez okno taksówki: „Eeona! Ee-o-na! Onjoma!”. Zakrzykiwała domy Coral Bay, aż ludzie wychodzili przed próg, by zobaczyć, co się dzieje. Wieczór ciągnął się, aż Anette straciła głos.

W końcu taksówka zabrała Anette do punktu ratunkowego na drugim krańcu wyspy, naprzeciwko pensjonatu. Punkt był szpitalem, posterunkiem policji oraz

jednostką straży pożarnej, wszystko w jednym. Co dziwne, uprzejme zwroty dobywały się z ust Anette ochryplym szeptem, ale gdy się zaklinała, grubiańskie słowa słycać było jasno i wyraźnie. Pracownicy służb ratunkowych patrzyli na nią w osłupieniu, bo czyż to nie ta sama czcigodna dama, która zrzuciła BOMBĘ? Może nie. Za to wiedzieli z całą pewnością, kim była matka Eeona. Posłali do jej pensjonatu wiele par turystów. Kiedy ostatni raz ją widziano? Parę dni temu, ale wcześniej – nie oglądano jej od miesiący.

Anette postanowiła, że zaczeka. Do punktu ratunkowego wpadła grupka nastolatków z Saint John i narobiła hałasu. Wjechali samochodem w drzewo, ale sami mieli wyprasowane ubrania i nienagane fryzury. Wyglądali na zdrowych i podekscytowanych. Anette im zazdrościła. Ich młodości, ich poczucia wspólnoty.

Parę godzin później dwóch policjantów odwiozło Anette na odległy kraniec wyspy, z powrotem do pensjonatu Eeony. Funkcjonariusze rzadko odwiedzali te tereny i znużyła ich jazda w ciemności, bo po drodze nie napotkali ani jednej latarni. Jednocześnie byli poruszeni, w końcu mieli okazję wieść pasażera, a nie worki ziemniaków i ryżu, które ich żony kazały im przewozić na tylnym siedzeniu. Anette siedziała cicho na tyłach radiowozu i otrzępywała z pyłu ziarenka ryżu. Ze względu na kratę oddzielającą ją od mężczyzn czuła się tak, jakby stwarzała niebezpieczeństwo. Jedyne oświetlenie zapewniały ich własne przednie światła.

Kiedy w końcu dotarli do pensjonatu, Anette zdążyła powziąć decyzję. Gestem nakazała, by otworzyli apartament Eeony. Jednak policjanci nie mogli sforsować zamka, dopóki właścicielka im na to nie pozwoliła.

– Ale właścicielka zaginęła – upierała się teraz Anette wåtłym głósikiem, którym się dławiała.

Kierowniczką pensjonatu poszła po akt własności. Ależ nie, przecież już lata temu Eeona uczyniła Youme oficjalną właścicielką całego lokalu. Kto o tym wiedział? No cóż, Youme wiedziała. Ale to była tajemnica jej i jej ciotki.

– Gamonie! Właścicielem jest moje dziecko! – krzyczała Anette. – Jest niepełnoletnia, do kurwy nędzy. Więc ja mam tu ostatnie słowo, do cholery!

Policjanci zrobili krok do tyłu, jakby zobaczyli coś zbyt nieprzyzwoitego, by mogli to znieść. Anette spuściła wzrok i zaczęła łkać.

Ale policja została i rozpytywała gości oraz pracowników pensjonatu. Anette słyszała, że parę dni temu widziano Eeone błakającą się nocą po ulicach niczym duch. Była miła i przyjęła konserwę z podrabianego kraba, jakby była kotem. Za to poprzedniej nocy naprawdę była kotem z długim srebrnym futrem, zmierzwiony w kołtuny i loki. Tu kryła się tajemnica, której Anette się spodziewała, ale nie takiej Eeony się spodziewała. Tak, Eeona musiała mieć epizod. Znajdą ją, wróci, wszystko będzie z nią w porządku. Anette próbowała wziąć się w garść.

Jeden z funkcjonariuszy odwrócił się do Anette, podniósł palec wskazujący do skroni i zakręcił nim młynki, pytając: „Oszalała?”. Ale Anette nie

odpowiedziała. Nie mogła odpowiedzieć.

Może jej siostra Eeona w końcu oszalała. Bez dzieci. Bez męża. Na skutek tych wszystkich nieprzyjemności, o których opowiadał mister Lyte. Wystarczy wyobrazić sobie sekrety, które zalewały jej głowę. Anette doprawdy nie mogła winić Eeony, że uciekła. Anette sama uciekła od Jacoba, kiedy dowiedziała się tego, co teraz wie.

Okolicę spowiała zbyt wielka ciemność, by choćby pomyśleć o powrocie na drugi skraj wyspy, więc funkcjonariusze zatelefonowali do żon. Uprzejmie zapytali kierowniczkę pensjonatu, czy każdy z nich mógłby otrzymać bezpłatnie pokój, mimo że było jasne, iż będą potrzebować noclegu i nie będą musieli za niego płacić. Położyli się do łóżek i ani drgnęli.

Zapadła noc i prawie wszyscy leżeli w łóżkach, więc Anette udała się do ogrodnika, który przygotowywał zawczasu w kuchni śniadanie, ponieważ był także kucharzem, i cedząc słowa, wydała mu polecenie: „Otwórz drzwi”. Potrząsnął przecząco głową. „Przykro mi, pani Joseph. Nie mogę tego zrobić”. Anette utkwiała w nim porywcze spojrzenie, a potem zaczęła warczeć z głębi piersi. „Otwieraj te pieprzone drzwi albo je wyważę”. To było amerykańskie przekleństwo, najgorsze, które zdołała sobie przypomnieć. I zadziało jak magiczne zaklęcie, ponieważ mężczyzna zmarszczył z chrzęstem twarz jak małą piłeczkę i wyjął duży klucz z sekretnych fałd tkaniny na piersi. To było tak podobne do Eeony – dać mężczyźnie klucz do swego pokoju. To było tak podobne do tak wielu kobiet żyjących w jej epoce.

Anette z klucznikiem weszli na trzecie piętro i minęli pokoje, które nie gościły nikogo prócz policjantów, którzy chrapali, i pary nowożeńców, która była zbyt pogrążona w mglistych oparach miłości.

Kiedy stanęli przed apartamentem, który bardziej przypominał pokój, lecz ludzie niegdyś nazywali takie pomieszczenia apartamentami, ogrodnik otworzył drzwi. Gdy to zrobił, poczuli zapach pełen życia. Coś jak zrzucone pióra i mech. Jakby ktoś wyrzucił ich własne ciała na drugą stronę. Ale było chłodno, zrywał się wiatr. I tak, pokój wyglądał bardzo znajomo. Lecz Anette nie pamiętała, że to kopia pokoju jej matki.

– Eeono – zawołała Anette.

Jednak nikt nie odpowiedział. Mimo tego wszędzie leżała błękitna garderoba Eeony. Niebieskie pantalone i bluzki z długim rękawem w kwiatowy wzór dzwonek. Znajdowały się tam otwarte puszkę z żywnością oraz nieprzykryte garnki, które lekko trzeszczały, jakby ich zawartość ożyła. Na podłodze rozlała się lepka maź. Wokół leżały czasopisma, podarte i przemoczone, z zagiętymi rogami, tworzyły szalony dywan. Z błyszczących okładek wyglądały kobiety w modnych amerykańskich ubraniach. Łóżko, ogromny, wspaniały, mahoniowy antyk z przejrzystą moskitierą, było pokryte sadzą i niezaścielone. Na ścianach można

było odczytać napisy. Całe akapity spisane długopisem i pismem Eeony. Pokrywały ściany z góry na dół. W rzędach i w kolumnach, sięgały podłogi i zaczynały się na wysokości wzroku. Ale wszystkie wykonano starannie, jakby pokój był jaskinią, a pisarz chciał zabezpieczyć pismo dla przyszłych pokoleń. Kiedy Anette podeszła wystarczająco blisko, dostrzegła, że wersy na ścianie to nic innego jak strzępy opowieści o Anansi, Duene i inne legendy.

No i był tam balkon, bardzo mały, ale zawsze. Tamtędy właśnie wpadała do pokoju bryza. Płócienne zasłony wzdymały się niczym żagle okrętu. Anette podeszła do balkoniku, lecz tam także nikogo nie było. Skrawek miejsca wystarczał, by dwoje ludzi stanęło tam w objęciach. Wyjrzała za barierkę. Ale tam też nikogo nie znalazła.

Ogrodnik zaczął się trząść.

– Nie powinienem, nie powinienem był pani wpuszczać.

– To ja – Anette w końcu przemówiła swoim własnym, słodkim głosem.

Potem skierowała mężczyznę do wyjścia, wskazując mu drogę ręką. Sama zmierzyła się z pozostałymi pokojami. Weszła do malutkiej kuchni. Stał tam kosztowny szampan. W lodówce znalazła mleko w szklanej butelce i ręcznie wyciskany sok z miąższem. Wszystko skwaśniało i zgniło. W staromodnym pojemniku na chleb tkwiło maślane pieczywo, teraz twarde jak gład.

Anette zaczęła ścielić łóżko świeżą pościelą. Zamiotła podłogę i złożyła czyste błękitne ubrania. Wyrzuciła gazety do śmietników na dole. Wrzuciła zakopcone pranie do pralki piętro niżej. Zamknęła drzwi na balkon. I się nie rozpląkała.

Tej nocy leżała w pomieszczeniu, które przypominało jej dziecięcy pokój. W dłonie wtarła balsam, jaki znalazła w łazience. Przywdziała stosowną koszulę nocną, wiedząc, że Eeona to doceni. Koszula była nowa i ciężko opadała na jej ciało. Znalazła wieszak, gdzie rozwiesiła wilgotną bieliznę, którą przeparała w zlewie. Na niewielkiej komodzie rozstawiła przybory toaletowe. W wąskiej szafie powiesiła dopasowaną podomkę. Łóżko było duże i wysokie, na materac wchodziło się po schodkach. Obok łoża znajdował się telefon. Anette zatelefonowała do Franky’ego i opowiedziała mu – w końcu własnym głosem – o bezowocnym dniu i smutnym pokoju. Nie powiedziała mu za to o antycznym meblu, zasłonach oraz o tym, jak coś opętało jej mowę. Nie potrafiła tego wytłumaczyć.

– Kiedy wracasz? – spytał Franky bez cienia desperacji, którą czuł.

– Latem. Jeszcze przez miesiąc nie muszę uczyć w szkole. Zaczekam tutaj na tę wiedzmę.

– Wiesz, teraz mnie oświeciło, tak – oznajmił.

I Anette zachodziła w głowę, czego się dowiedział. Mówienie metaforami nie było do niego podobne. Jeśli nagle zdał sobie z czegoś sprawę, to nie

zwiastowało nic dobrego. Czy jakimś cudem dowiedział się o niej i Jacobie? Odczekała w ciszy, aż jej mąż podejmie wątek.

– Słuchasz mnie? – spytał.

– Słucham – odparła.

– Oświeciło mnie. W domu jest jasno jak za dnia, tak. Zrobiłem niespodziankę dzieciakom, nie chciały wstać, tak bardzo ich raziło.

– Prąd, chcesz powiedzieć? Podłączyli prąd?

– Tak, tak – powiedział. – A co myślałaś?

Okna pensjonatu nie miały szyb, więc nocą insekty zaatakowały Anette, jakby umierały z głodu. Włączyła na całą noc przenośny wentylator, sądząc, że moskity w końcu znużą się wlatywaniem wprost między jego skrzydła i padaniem pokotem. Wiatraczek furkotał w wahadłowym rytmie. Anette słyszała przez ścianę, jak nowożeńcy wtapiają się w siebie w wielkim wrzeniu.

98.

Młodsza siostrzyczka Anette śniła o tym, by zbudzić się u boku starszej siostry, kiedy Eeona poprzednim razem zniknęła na tak długo. Ale gdy teraz Anette się zbudziła, Eeony nie było w łóżku. Za to słońce wpadało przez żaluzje. Pomimo koszmarów i bąbli po ugryzieniach komarów na nogach Anette czuła się świetnie. W końcu wsiadła na łódkę i nie zatонуła. Spała w tym zbyt znajomym domu i dzieciństwo jej nie wessało. Tak, wyspa Saint John była tak ładna, jak wszyscy mówili. Może nawet poszuka plaży i pójdzie popływać.

Poczuła zapach słodkiej herbaty z czerwono krzewu i kiełbaski wieprzowej, który przywędrował zza okien. Umalowała usta szminką, wskoczyła w domowe bambosze i dopasowaną podomkę. Zeszła do salonu i zobaczyła ogrodnika, pokojówkę, policjantów i nowożeńców, wszyscy zasiedli do śniadania przy stole jak rodzina. Sterta pustych naczyń leżała przed nimi jak góra świeżych kości. Ogródnik, który wstał, żeby uprzątnąć stół, spojrzął na Anette i wzniósł oczy ku niebu.

Anette nie była już młodką, ale pokonała schody prędko jak ryba pływająca pod prąd. Z pokoju Eeony na końcu korytarza nie była żadna poświata, jakby czyhała tam wiedźma. Drzwi nie pulsowały ani nie skrzypiały dziwnie. To był zwykły pokój starszej pani, która stawiała czoło przeszłości. Anette zapukała. Eeona nie odpowiedziała. Zawołała: „Eeono, sestro”. Nie było żadnej odpowiedzi. Anette wpatrywała się w zamek u drzwi, tak jakby swego czasu potrafiła otwierać zasuwę samą siłą myśli. Ale dziś cofnęła się o krok i uderzyła w odrzwia ramieniem.

– Do kurwy nędzy! – wrzasnęła i chwyciła się za bolący łokieć.

Nie była już dzierlatką, a drzwi ani drgnęły. Anette ukryła twarz w dłoniach i jęknęła. To nie był płacz, a jedynie przeciągły dźwięk. Potem wyciągnęła rękę przed siebie i obróciła klamkę. Drzwi stanęły otworem.

– Siadaj – dobiegł ją głos starszej siostry.

Okna były pozamykane, ale balkonowe zasłony łopotały na wietrze. Drzwi stały otwarte na oścież i wpuszczały do środka trochę światła. Anette usiadła na krześle, które znalazła w półcieniu, bo odstawiła je tutaj wczoraj wieczorem, kiedy zaprowadzała porządku.

– Och, Anette. Skrzyżuj nogi na wysokości kostek, nie kolan, jak jakaś pospolita ladacznica. Nawet jeśli koniecznie musisz być ladacznicą, moja droga, równie dobrze możesz mieć choć odrobinę klasy.

Anette dostrzegła duży wygodny fotel, przysunięty w pobliże małego balkoniku. Nie mógł pochodzić z tutejszego umeblowania, ale nawet tu pasował. Eeona, siedząc w fotelu, wyglądała na małą, lecz władczą królową. Anette przysunęła swoje krzesło bliżej i uniosła podbródek, by spojrzeć siostrze prosto w twarz.

– Jak się masz, Eeono?

– Dobrze, moja droga.

Siostry wpatrywały się nawzajem w swoje ciała w panującym półcieniu.

– Gdzie byłaś? – spytała Anette, usiłując tak jak Youme czytać w myślach. – W Ameryce? Tam uciekła od nas mama. Byłaś w Ameryce? Widziałaś się tam z Ronaldą?

– Ależ głupoty chodzą ci po głowie. – Eeona patrzyła na siostrę. Ona miała wgląd w jej wnętrze.

Anette zamilkła. Mimo że nie wyczuła intruza w swojej głowie, próbowała pozbyć się własnych myśli.

– Eeono, byłaś w Nadmorskiej Willi?

– Czemu coś takiego przychodzi ci do głowy? – Eeona przez chwilę mierzyła wzrokiem milczącą siostrę. – Nie, siostrzyczko. Moja willa jest tutaj. Ruszyłam na poszukiwanie czegoś innego.

99.

Mówimy, że na Anegadzie jest więcej krabów niż ludzi. Więcej wraków statków niż ludzi. Jedz homara na śniadanie, obiad i kolację, tak mówimy. Złów rekina, jeśli potrzebujesz odmiany. Mówimy, że to podwodna wyspa. Wierzchołek Atlantydy. Onegada. Anigeda. Anegada. Może nigdy wcześniej nie słyszeliście o tym miejscu. I może tak jest lepiej, bo gdybyście nasłuchali się za dużo, usłyszelibyście wołanie takie jak *anegando en mis llanto* – tonę we łzach. Ale dotarliście aż tutaj.

Tak na marginesie, to woła Eeona.

Prawdę mówiąc, Anegada nadal jest piękna. Wciąż naga i jałowa. Ludzie mieszkają w domach stłoczonych na górcie luźno ułożonych kamieni, a otacza ich piaszczysty ląd. Ludzie, którzy tu żyją, to ci, co należą do ziemi. Ludzie, którzy

zgłosili pretensje do ziemi. Nie ma tu pola golfowego. Ani hoteli *all inclusive*. Eeona opuściła pokład łodzi, a pewna staruszka, na litość boską, utkwiała spojrzenie w ślicznej twarzyczce Eeony i powiedziała: „Jesteśmy rodziną”. I tak rzeczywiście było.

Na wyspie znajdował się jeden niewielki pensjonat, tam właśnie Eeona się udawała, ale kobieta, która teraz nazywała się Norman, ale za panieńskich czasów Stemme, powiedziała: „Zatrzymaj się u mnie. Najlepszy poławiacz homarów na całej wyspie to mój mąż”.

Pani Norman była starowinką. Może i przypominała babcię, ale kroczyła z wyprostowanymi plecami, a nogi miała mocne i gładkie. Kiedy dwie kobiety przechodziły nieopodal morza, pani Norman wyciągnęła ramię w stronę wody, gdzie można było dostrzec poławiacza homarów. A właściwie ledwie zarys jego postaci na końcu małego portu. Czarna sylwetka mężczyzny na tle zachodzącego słońca. Stopy tyłem do przodu tkwiły pod wodą, nie mógł ich zobaczyć nikt poza rybami. Fale obmywały mu golenie, gdy podnosił maczetę i rąbał homara na kawałki.

Pani Norman krzyknęła do mężczyzny z cienia.

– Jeszcze jednego, kochanie!

Mężczyzna wszedł na dok i zszedł z promieni zachodzącego słońca.

To był Owen Arthur.

A raczej w oczach Eeony wyglądał zupełnie jak Owen Arthur. Miał srebrne włosy i sfatygowaną twarz, ale skóra zachowała kolor złotego piasku. Ten sam kształt nosa. Ta sama twarz, której gładzi nie zakłócał żaden wąs.

– Jaki masz dziś humor, piękna panienko? – zawołał poławiacz homarów. – Chcę wiedzieć, zanim do ciebie podejść.

Eeona myślała, że to ona jest tą piękną panienką, lecz nie...

– Mam słodki humorek – powiedziała pani Norman. – Chodź, poznasz moją kuzynkę.

Eeona musiała zmierzyć się ze swymi występkami. Na pewno jej uciezka sprawi, że wyląduje w nawiedzonym domu, gdzie przeszłość będzie wdzierać się drzwiami i oknami. Mężczyzna, który nie był jej ojcem, ale tak bardzo go przypominał, trzymał wiadro homarów w obu rękach. Jego stopy stały na ziemi tyłem do przodu.

– Nic nowego w rodzinie – powiedziała pani Norman, kiedy szli do The Settlement, do jej domu. – Ludzie zawsze tu wracają, próbując odkryć, gdzie przynależą. – Uśmiechnęła się do Eeony z kącikami ust skierowanymi do dołu, jakby kryły tajemnicę. – Lyonel powrócił tu lata temu. Jesteśmy kuzynostwem. Siódma woda po kisielu, ale jednak rodzina.

Eeona szła między nimi. Spojrzała na mężczyznę. Potem na swoje dłonie. Zakręciło jej się w głowie, Anegada potrafiła to robić – przyprawić o zawrót głowy

własnym pięknem.

Kiedy dotarli do domu, wyjedli homara ze skorupy. Eeona w końcu się przedstawiła. Podała swoje nazwisko, nazwiska rodziców. Poławiacz homarów skinął na jej słowa.

– Przyjechałaś odnaleźć groby dziadków?

– Tak, oczywiście – powiedziała prędko Eeona.

– To byli prości, dobrzy ludzie – zapewnił ją. – Twoich rodziców też tu pamiętamy. Wciąż wspominamy tę katastrofę. „Homecoming”, prawda? – Zacisnął usta w linijkę, a potem się rozluźnił. – Statek wciąż tu jest. Odkąd pamiętam, ludzie znajdowali w piasku kości z tego właśnie okrętu. Duchy takie jak ty zawsze dopływają cało do brzegu.

Czy właśnie nazwano ją duchem? Eeona miała chęć udzielić temu człowiekowi reprymendy, ale jak miała to zrobić, kiedy jego twarz wyglądała jak miłość jej życia? Zamiast tego odchrząknęła i połknęła uwięzłe w gardle słowa. Poza tym potrzebowała sojuszników. Poławiacz homarów może być jej przewodnikiem. Przybyła tu, żeby zobaczyć statek „Homecoming”.

Pani Norman wstała, żeby znieść naczynia, ale poławiacz homarów, zmęczony spojrzeniem Eeony, sam je zebrał i umył. Pani Norman usiadła obok Eeony.

– Jest tu taka plaża nazwana na pamiątkę dziewczyny, która lata temu odwiedziła ją wraz ze swym francuskim ukochanym. Wiesz o tym? – Pani Norman powiedziała to bez cienia podejrzenia na twarzy.

– Wiem – odparła Eeona.

– To dobrze. Tam zawsze chodzimy kąpać się wieczorami.

Plaży Flash of Beauty, „blask piękna”, nie nazwano na cześć Eeony i Moreau, ale taką historię powtarzano z ust do ust, taka więc historia teraz obowiązywała. Miejsce było tak samo piękne jak dziesiątki lat temu. Czy to możliwe mimo że tak boleśnie prawdziwe? Biały piasek z różowymi drobkami przypominającymi dziecięce jęczyczki.

– Nie mogę uwierzyć w to, że tu jestem – powiedziała Eeona, połyskując „znowu”, które chciała dodać na końcu zdania.

Taplała się w wodzie z panią Norman, a stary poławiacz homarów przyglądał im się ze swej siedziby na piasku. Dwie kobiety pływały ubrane od stóp do głów, jak nakazywała dawna tradycja.

Pani Angela Norman, która została panią, ponieważ wyszła za mąż za pana Normana, spojrzała na ocean. Parę mil dalej, gdzie zaczynała się rafa koralowa, fale rozbijały się bezdźwięcznie.

– Anegada nie jest prawdziwa – powiedziała Angela. – Jest zaczarowana.

– Ale ja nie śnię, prawda? – Eeonie było lekko na sercu, choć zarazem martwiła ją skala epizodu.

– Może śniesz, kuzynko Eeono.

To prawda, Eeona nie była sobą. Nie do końca sobą. Kuzynka Angela Norman zdawała się tak naprawdę nie rozumieć ani nie dbać o to, kim Eeona Bradshaw jest. Angelę obchodził jedynie sam fakt ich pokrewieństwa. Tak jakby to było nic. Albo jakby to było wszystko. I ten Lyonel, łowca homarów. Spojrzał na nią raz jeden, i do tego nazwał ją wtedy duchem. Przecież to on był duchem. Mężczyzną dość przystojnym, by być jej ojcem.

Pani Norman i Eeona zaczęły wychodzić z wody. Ubrania przywierały im do kobiecych ciał i eksponowały je zupełnie nieskromnie. Eeona nie była skora do płaczu, ale kiedy Angela podała jej ręcznik, odkryła ze zdziwieniem, że musi otrzeć łzy. Poławiacz homarów z szacunkiem odwrócił wzrok.

Tę noc Eeona przespała w wielkim mahoniowym łóżku w domku należącym do małżeńskiej pary. Łoże było takie, że mogliby w nim leć Antoinette z Owenem Arthurem. Stało wysoko nad podłogą, a kiedy Eeona na nim usiadła, stopy, które wystawiła za brzeg łóżka, dyndały jej jak u dziecka. Tej nocy śniła. A ponieważ coś jej się przyśniło, wiedziała, że Anegada mimo wszystko nie jest snem. Miała sen o ławicy kobiet wychodzącej z oceanu. Sen się powtórzył. Potem jeszcze raz. I tak w kółko, aż w końcu stała się jedną z tych kobiet.

Nazajutrz rano nad omletem z homara z wodorostami Eeona powiedziała do poławiacza:

– Chciałabym wybrać się na statek „Homecoming”.

Mężczyzna zmrużył oczy.

– Leży pod wodą.

– To żaden problem.

Spojrzał na Angelę, swoją kobietę, a ona skinęła głową.

– Jesteś kobietą z wody – odezwał się do Eeony. – Mowa o statku twojego ojca. – Potem wzruszył ramionami na zgodę.

Eeona wypłynęła więc łódką na ocean ze srebrnowłosym mężczyzną, który przypominał jej ojca. To był pochopny pomysł. Ale prawdę mówiąc, mimo że Eeona była panią w średnim wieku i nie potrafiła prowadzić samochodu, umiała przywdziać maskę i płetwy i wślizgnąć się do wody jak ziemnowodny płaz.

Morska toń pociemniała od cielsk łodzi. To była siedziba spokoju. Starsza kobieta i starszek nurkowali nad wrakowiskiem, trzymali w ustach rurkę, więc nie mogli rozmawiać. Ale dla bezpieczeństwa Eeony mężczyzna trzymał ją za rękę. Niczym kochanek.

Pod nimi leżały statki, szkielety dawnych siebie. Jakim cudem odnajdzie ten właściwy? Poławiacz homarów wskazał jej miejsce. Eeona skierowała tam wzrok. Starła się coś dostrzec, lecz nie zdołała. A on wciąż celował palcem. „Homecoming” ukazał się jej oczom, wyłonił się z cmentarzyska okrętów. Nie był już pomalowany na biało, jego kadłub przybrał barwę głębokiej zieleni.

Wodorosty, niegdyś porastające brzuszysko statku, co kiedyś tak niepokoiło Eeone, teraz zajęły całe cielsko. To nadal ją poruszało. Ale przełknęła niepokój i nakarmiła nim własny żołądek.

Eeona pofrunęła nad wrakiem „Homecominga” jak wiedźma. Oglądała galeon jak przez szybę. Statek, który kiedyś należał do niej, nadal był jej. Leciąca nad pleśniejącym pokładem wraz z poławiaczem homarów. Ryba poleciała razem z nimi. Eeona ciasno upięła włosy, by utrzymać maskę nieruchomo, ale teraz jej fryzura zbuntowała się, wyzwoliła z więzów i wiła swymi mackami wszędzie dookoła. Statek zatonął na tyle płytko, że docierały do niego promienie słońca, które zdołały przedrzeć się przez fale. Eeona widziała pokład i maszt. Eeona widziała cielsko okrętu, co leżało na boku niczym rozłożony na kanapie kochanek, który przez te wszystkie lata po prostu odpoczywał i czekał.

To był statek jej ojca. I to był statek Eeony. I mimo że nie była wprawnym nurkiem, wstrzymała oddech, puściła rękę Lyonela i rzuciła się w dół, by dotknąć choć masztu. A może zdoła postawić stopę na pokładzie. Lyonel musiał podążyć za nią, bo mimo wieku nadal zarabiał na życie na tym właśnie morzu. Znał je lepiej niż ona.

Och. Eeona nie była gotowa tak długo nurkować w morzu w taki upalny dzień. Pożegnała się już z młodością. Ale pochodziła z rodu ludzi morza. Nie uległa więc panice, kiedy zaczęła wypływać ku srebrzystej toni. Gdy woda wypychała ciało Eeony niczym boję głową w dół, pani Norman, obserwująca ich z rybackiej łodzi, także nie spanikowała.

Kiedy poławiacz homarów zobaczył, jak Eeona opada w górę, a nie nurkuje w stronę statku, przyglądał się jej przez chwilę. Jej upadek w wodzie był powolny, delikatny i pełen gracji. Patrzył i widział ją bez przeszkód, bo nigdy nie zakładał maski. Widział jej upadek w górę, wyżej i wyżej.

Oczywiście mężczyzna wiedział, kim Eeona jest i do kogo należy. To wszystko wydarzyło się tak dawno temu. Próbował spojrzeć na to chłodnym okiem, ale dziewczyna, a właściwie kobieta, posyłała mu uwodzicielskie spojrzenia, od kiedy tylko się zjawiała, a potem chwyciła go za rękę, gdy pływali, a on po prostu nie miał serca... A teraz tylko się jej przyglądał. Patrzył, jak płynie i płynie.

Jednak wtedy zauważył, że unosi się w bezwładny sposób, dostrzegł, jak jej ciało uderza o sterczący koral i nie napręża się, ale jedynie zwalnia, odbija się i dalej opada ku gorze. Jakby była martwa. Wystrzelił więc za nią jak z armaty, nabierając haust świeżego powietrza do płuc, gdy wyciągał ją na rybacką łódź. Tę samą, jak się okazało, na której ofiarowywał Antoinette Stemme życie i miłość.

Eeona zatrzymała się w domostwie kuzynów. Wciąż śniła. Stała wśród ławicy kobiet. Na wyspie brakło szpitala, ale wyspiarska doktorka, która wcale nie była lekarką, ale kimś, kogo mniej zanglizowani nazywali wieszczką *obeah*, nakazała Angeli wlać nalewkę czosnkową i zupę homara do gardła niechcącej się

obudzić Eeony.

Wówczas Eeona się zbudziła. I nie była sobą. Wcale nie była sobą. Wiedziała, gdzie zostawiła siebie. Miała świadomość, jak się tam znalazła. Pamiętała, że nie zdołała dotknąć statku „Homecoming”. Lecz obrzuciła mglistym wzrokiem poławiacza homarów stojącego nad nią z miską homarowej zupy i doszła do wniosku, że wcale nie jest aż tak podobny do jej ojca.

Poławiacz przypominał jej kogoś innego. Matkę. Wyglądał jak piękna mama Eeony. Eeona zauważyła, że wpatruje się w nią tak, jak mógłby patrzeć na nią wuj. To były oczy Antoinette. To usta Antoinette szeptały jej imię. Eeona nigdy wcześniej nie zastanawiała się, jak piękna była jej matka.

Na Boga, co się dzieje? Czy wszyscy mieszkańcy Wysp Dziewiczych są spokrewnieni? Czy w tym tkwiła tajemnica wolności i przynależności? Eeona doprawdy w życiu nie pragnęła niczego więcej, niż być córką swego ojca. Była pożądana przez prawie dwie dekady, a potem w niecały rok zmarł jej ojciec i wymarła cała rodzina. Ani razu nie zastanawiała się, co to tak naprawdę może znaczyć. Nigdy wcześniej.

100.

Anette, będąc w pensjonacie w Coral Bay, widziała, jak jej siostra pochyła ciało – jak do bitwy. Jednak Anette nie odezwała się ani słowem, tylko siedziała i pozwoliła łzom płynąć po policzkach.

– Chodź, Anette. Przewietrzysz się trochę. Chcę ci pokazać, co w końcu zrobiłam. Otwórz balkon na oścież.

Anette pociągnęła nosem i zmrużyła oczy. Potem wstała i wyciągnęła ręce ku balkonowym drzwiom. Szarpnęła za klamki i wpuściła do środka powietrze i morską bryzę. Zasłony rozłożyły skrzydła i otuliły ich.

Na podółku Eeony leżały nożyczki. Ciemne i jasne pukle nie rosły już na głowie, ale spoczywały w jej dłoniach. Czaszka z pięknymi bliznami, pamiątkami po dawnym kochaniu się na szkle, miejscami lśniła jak oszlifowany brylant.

– Twoje włosy. Do diaska, co z nimi zrobiłaś?

To prawda, sprawa była poważna. Co więcej – zakrawała o szaleństwo.

Eeona nie miała już lica młódki. Była teraz starszą panią. Prawdę mówiąc, przekroczyła wiek średni. Otworzyła usta i westchnęła, wypuszczając lekki wietrzyk.

– Byłam dzieckiem i chciałam tylko...

Ale nie dokończyła, jedynie potrząsnęła głową. Słowa zawodziły. Trzymała pełne garście własnych loków. Wyciągnęła teraz dłonie do Anette niczym w ofierze. Twarz Eeony pozbawionej włosów była jedynym, co miała do ofiarowania. Jezu, ależ była piękna. Tyle że teraz wydawała się albo mędrcom, albo kapłanem. A może to jedno i to samo.

– Siostrzo? – spytała Anette szeptem, który wyrażał oszołomienie i smutek.

Anette podeszła do Eeony, która w końcu była jej małą siostrzyczką. Przejęła srebrną fryzurę. Włosy były ciężkie i miękkie. Ważyły tyle co niemowlę i Anette je ukołysała. Teraz Eeona strzepywała drobne loczki z koszuli i podółka. Czyniła to powolnym ruchem drżących palców. Odzyskała panowanie nad sobą, podczas gdy Anette przyciskała włosy do piersi.

– Już po wszystkim – powiedziała w końcu Eeona. Otarła twarz chusteczką. Skinęła głową. Kiwała nią i kiwała, aż wreszcie z jej ust dobyły się słowa:

– Anette, sprzedajemy pensjonat.

Łzy wezbrały gwałtownie w oczach Anette. „Szalona wiedźma” – chciała powiedzieć siostrze. Ale zachowała zimną krew.

– Uspokój się, Eeono. Dopadł cię epizod. Twój umysł błądzi. Zawsze pragnęłaś tego pensjonatu. Dopiero co mówiłaś, że to twoja willa...

– Nettie, przeprowadzam się na Anegadę.

– Nie. – Anette nadal stała. Balkon był tuż obok nich. – Potrzebuję cię, Eeono. Potrzebuję rodziny. – Objęła włosy z morskiej bryzy.

– Masz rodzinę.

– Ależ, Eeono, teraz nie odróżniasz prawdy od kłamstwa. Ale to nic. Ja się tobą zaopiekuję.

– Och, Nettie. Gdybym tylko posłała cię na Anegadę, żebyś tam dorastała. Może wtedy potrafiłabyś przemierzać góry, zamiast nosić je na barkach.

Przydomek, który Eeona wciąż przywoływała, wprawiał Anette w niepokój. Czy Eeona podsłuchiwała, jak Jacob tak mówił? Anette wplotła dłonie we włosy i nawijała pukle na palce.

– Eeono, przecież nie możesz tak po prostu wstać i wyjść. Chcę wiedzieć parę rzeczy. Muszę wiedzieć, co stało się z papą. Co wydarzyło się w naszym starym domu? No dalej, Eeono. Powiedz prawdę. Odpowiedz na te pieprzone pytania.

– Przestań kłąć. To ci nie przystoi. Poza tym zabieram ze sobą Eve Youme. Możesz nas odwiedzać. Będziemy pisać listy.

Anette poczuła ścisk między łopatkami.

– Zaczynasz dziczyć, *bazadie!* Idź do diabła. Nikt nie odbierze mi mojego dziecka.

– Ona już nie jest dzieckiem. – Eeona wypuściła powietrze. Ściągnęła łopatki. – Szczerze mówiąc, Nettie, Anegada jej potrzebuje. Ja chyba też jej potrzebuję.

Anette nie mogła odzyskać mowy.

– Gdybyś tylko powiedziała prawdę wtedy, kiedy byliśmy młode. – Anette podniosła głos. Włosy oploty jej piersi. – Gdybyś to zrobiła, może nigdy nie związałamby się z Jacobem i nie wydarzyłoby się nic z tych bzdur.

– Tak, Nettie. To prawda – powiedziała Eeona, a jej twarz nie zdradzała żadnych uczuć.

– „To prawda”? Tylko tyle masz mi do powiedzenia? Po tym, jak pokochałam niewłaściwego mężczyznę. Po tym, jak nasz dom rodzinny przerobili na restaurację i przeganiają nas z plaży na naszej własnej wyspie...

Włosy zaczęły opadać Anette na ramiona. To na chwilę je uciszyło.

– Nettie, wiesz, dlaczego nazywają tamtą wyspę Anegadą?

Anette czuła, że to się nie dzieje naprawdę. Tu i teraz sprawy wypływają na powierzchnię jej świadomości. Tak jak wtedy w hotelu Hibiskus. Tak samo było ze szpetotą Youme. Nawet Jacob był podświadomym snem. A ona nadal dzieckiem w domu rodziców. Może to Anette popadała w szaleństwo. Potrząsnęła przecząco głową, jakby chciała pozbyć się wody z uszu.

– Eeono. Uczę historii. Wiem, że Anegada to kraina topielców, bo nieopodal rozbijają się wszystkie statki. Na czele ze statkiem naszego ojca.

– Zgoda, Nettie, ale mylisz się. Nazywają tak wyspę z powodu tamtejszej ziemi. Łąd składa się z wody i dlatego właśnie wyspa ocalała.

Anette nigdy nie była na Anegadzie. Prawdę powiedziawszy, tylko czytała o niej w rozdziale *Piraci i korsarstwo* w podręczniku do historii powszechnej. W tej części wspomniano Karaiby jeden jedyny raz. Setki wraków wciąż leżą na dnie u wybrzeży, jak sobie przypominała. Anegada to nie było odpowiednie miejsce do przeprowadzki. Ludzie ze strachu unikali tej okolicy. Anette wyszeptała do siostry:

– Youme jest chora, Eeono. Ma to coś, no wiesz. – Ściszyła głos. – To *obeah*. Magia.

– Nettie, na Anegadzie są kobiety do niej podobne. Niech się tam uda, może zrozumie samą siebie. – Eeona spojrzała w przekrzywione lustro zawieszone na ścianie. – Czy można chcieć dla swego dziecka czegoś więcej?

Anette obróciła się do siostry, tak jakby decyzja tkwiła w jej odbiciu.

To szyja Eeony, to jej ramiona, a to cała ona. Eeona była dziką i elegancką kobietą. Królową pewnej krainy, na widok której mężczyźni zawsze omdlewali. Anette odwróciła wzrok i spojrzała na własne odbicie. I zobaczyła, że ona też ma w sobie to coś.

Wiatr wiał się do środka z balkonu. Anette rozwarła ramiona, a jej włosy rozlały się i popłynęły na wszystkie strony, jakby były ledwie powietrzem.

101.

Spotyka ją na plaży w kształcie serca kochanka. Ale zatoka nie zamyka się w szpic, przypomina otwarte serce. Fale morskie obmywają serce – jakby z miłości. Zawsze spotykają się na brzegu o poranku. Nikt nie zbiera po kryjomu zwójek na odległym krańcu. Już nie. Niedawno okradziono kogoś w tym

piaszczystym zakątku. Jednak teraz jest wczesny ranek. Słońce dopiero wschodzi i wieje chłodny wiatr. Woda jest jeszcze zimniejsza. Wszystko spowija błękit błędnącego nieba o świcie.

Nie są na plaży sami. Zjawiała się też amerykańska para, która mieszka na wyspie od wielu lat, niedaleko stąd, w jednym z tych dużych domów. Uprawia razem jogging. Poza tym jakaś sylwetka przy skałach wygina się w łuk i łapie równowagę w rytm kroków capoeiry. Zarządca plaży wraz z zastępcą też już tam są, rozmawiając między sobą po hiszpańsku, wypakowują mrożone hot dogi i wegetariańskie burgery.

Kobieta siada na ławce. Nie rozpira się na niej wyzywająco, jakby mogła zrobić, gdyby była młodsza i chciała pochwalić się dekoltem. Nie szuka go niespokojnie wzrokiem, wyczekując z nadzieją, że się pojawi. Wie, że przyjdzie. Zawsze przychodzi. Poza tym ona i tak przeczuwa, kiedy ktoś ma się zjawić. Nie ma na sobie białej sukni ani nie ubrała się w czerwoną sukienkę w wielkie żółte kwiaty. Przywdziała szare lniane spodnie, to, które pasuje do jej poprzetykanych srebrem rudych włosów. W garści tuli małą paczuszkę kandyzowanych wiśni.

Zzula buty. Srebrne włoski lśnią jej na kłykciach dużych paluchów u stóp. Piasek przyjemnie otula jej nogi i przesypuje się między palcami.

Mężczyzna zbliża się, krocząc po plaży w skórzanych butach. Ma na sobie szary garnitur, ale marynarkę zarzucił na ramię i podwinął rękawy koszuli. Codziennie ubiera się w garnitur, nawet w dzień wolny od pracy. No i nadal pracuje, mimo że mógłby już przejść na emeryturę. Ale nie ma kto przejąć po nim praktyki medycznej. Każdy z sześciu synów wdał się w interesy na Wall Street, gdzie czeka na nich więcej pieniędzy. Zostawili jego i matkę samych w wielkim domu na wzgórzu. Kontakt z synami to teraz zaledwie rozmowy telefoniczne z Ameryką. To tylko okazjonalne wizyty z nową śliczną dziewczyną, z którą nie zostają zresztą zbyt długo. Wyjątek stanowi najmłodszy, on wciąż przyjeżdża do domu na karnawał. W college'u w Stanach nauczył się grać na steel panie. Jacob uśmiecha się, wspominając właśnie tego syna. Dzieci to możliwość małej reinkarnacji lub wielkiego odkupienia.

Anette wpatruje się w swoje stopy zakopane w piasku. „Piasek” – myśli – „to taki ład, który płynie jak woda”. Ronalda telefonowała wczoraj wieczorem, mrużąc coś o mężu, Amerykaninie z Florydy. Utrzymywali się z produkcji krokantu, posypki cukierniczej z masła, cukru i siekanych orzechów. Anette w jej wieku nie potrafiła zagotować wody. Frank junior uczy dzieci na Grenadzie. Wkrótce ich odwiedzi, pewnie zabierze ze sobą jednego ze swych przyjaciół, zatwardziały marksistów. Wczoraj po południu przyszedł list od Youme z Anegady. I mimo że Anegada leży na oceanie parę kroków stąd, cała korespondencja zawsze idzie przez Portoryko, więc wiadomości docierają dopiero po dwóch tygodniach. Anette położyła list na kolanach jak dziecko lub

przestraszone zwierzątko. W końcu to jedno i to samo.

Jacob niesie pojedynczy kwiat anturium. Nie różę czy lilię. Żadną orchideę. Kwiecie ma długą łodygę. Jego grube płatki są silne i różowe jak intymne części ciała kobiety. Misterny słupek wyrasta z bruzdy w kształcie serca na płatku.

Anette widzi, że Jacob się zbliża, lecz nie wychodzi mu na spotkanie. Tylko patrzy, jak nadchodzi. Po tych wszystkich latach wciąż uwielbia sposób, w jaki ów wysoki piaskun kroczy. „Niczym falujący namorzyn” – myśli.

– Nettie – mówi, kiedy jest już blisko i widzi każdą zmarszczkę na jej twarzy.

– Tak, to ja. Czemu nie założyłaś okularów?

– To dla ciebie. – Wręcza jej kwiat.

Na długim złocistym ramieniu rosną drobne srebrne włoski, migoczące w promieniach dopiero co wzeszłego słońca jak iskierki. Anette żałuje, że nie wetknie sobie kwiatu za ucho, ale ma tak rzadkie włosy, że kwiecie mogłoby wypaść. Zamiast tego trzyma anturium w dłoni, podczas gdy on siada obok niej, wyciągając przed siebie długie namorzynowe nogi. Podaje mu paczuszkę kandyzowanych wiśni. Dziękuje jej lekkim muśnięciem jej ramienia opuszkami palców. Czytają wspólnie list od córki, tak jak to mają w zwyczaju.

Tego ranka to ona pierwsza odejdzie. To jej prawo, on pierwszy zostawił ją tak dawno temu. Wstanie po cichu, podejdzie do budki telefonicznej i poprosi swoją przyjaciółkę Gertie, by przestała na chwilę niańczyć Hamiltonów i przyjechała po nią.

Parę minut później Jacob wsiądzie do smukłego auta, włączy piosenkę starego Irvinga Berlina nagrą na kasecie, tę w wykonaniu Sarah Vaughan, bo Jacob lubi słyszeć ją z ust kobiety.

Wróć do swoich domów, do swoich współmałżonków.

Jacob pocałuje żonę w czoło, a potem wślizgnie się z powrotem do łóżka u jej boku. Zamknie oczy i zobaczy srebrny przedziałek Anette, gdzie rudość jej włosów wyblakła, i wyobrazi sobie, że całuje Nettie. Anette wróci do domu do Franky'ego, który już wstanie i będzie doglądał drzew melonowca. Ona zacznie przyrządzać śniadanie. Usmaży mu jajka, odpowiednio doprawione sosem pieprzowym, tak jak lubi. On spyta, jak Gertie radzi sobie z chorobą męża, a Anette skinie głową i odpowie: „Dobrze, całkiem dobrze”. Kiedy jaja będą skwierczeć w sadzawce masła, Anette pomyśli, że nawet nie wie, jak lubi je jeść Jacob Esau.

Ale na razie Jacob jest tu z Anette i czytają list od dziecka, które razem spłodzili. Dwoje ludzi, zakochanych w sobie od dawna, siedzi na ławce, a słowa ich córki płyną przed nimi. Jacob i Anette przywierają do siebie mocno, kiedy od oceanu zawiewa chłód.

Słowo od autorki



Ta książka powstała po części w odpowiedzi na powieść Hermana Wouka *Nie przerywajcie karnawału*, gdzie pojawiają się Sheila i Hippolyte oraz Gull Reef Club. W mojej opowieści klub znajduje się tam, gdzie kręcono film o dziewczynach stworzonych do miłości, *Girls are for loving*. Mimo że moja książka to dzieło fikcji, film nią nie jest. *Girls are for loving* rzeczywiście nakręcono na Wyspach Dziewiczych, premierę miał w 1973 roku. Występuje w nim Cheri Caffaro.

Po raz pierwszy usłyszałam o powieści Wouka oraz filmie z Caffaro od babci. Wypożyczyłam film na długo po tym, jak napisałam sceny umiejscowione w klubie, ale i tak wzbudził mój sentyment. Film to soft porno, lecz miejscowi występujący w obrazie nie są świadomi tego erotycznego podtekstu. Scena, którą opisałam w powieści, nie pojawia się na ekranie, a na afiszu nie znalazła się para tubylców. Poddając fakty fabularyzacji, zmieniłam także datę zdjęć, cofając ją o przeszło dekadę, by zachować pożądaną chronologię wydarzeń.

Zarówno film z Caffaro, jak i książka Wouka stanowiły wczesny i nieprzemijający portret Wysp Dziewiczych Stanów Zjednoczonych.

Pozwoliłam sobie na daleko idącą swobodę w wyborze nazwisk i ustalaniu dat. Postaciom nadałam imiona, które mogły być wówczas popularne na Wyspach Dziewiczych, ale nie miałam zamiaru odsyłać czytelników do konkretnej osoby czy rodziny, żyjącej tam wówczas lub dziś.

Amerykański narzeczony i późniejszy mąż Gertie jest wzorowany na dyplomacie ze Stanów, który mieszkał na Wyspach Dziewiczych na początku dwudziestego wieku.

Frenchtown, miasteczko nazywane tak obecnie, wówczas nosiłoby nazwę Carenage. Co więcej, aktualna pisownia tego miejsca to „French Town”.

Linbergh Bay (często zapisywana „Limberg” czy „Lindberg”) za czasów Anette i Jacoba równie dobrze mogła być znana jako Mosquito Bay. Zaczęła tracić poprzednią nazwę po tym, jak lotnik Charles Lindbergh wylądował na wyspie w 1928 roku z misją dobrej woli.

Imię Youme zapożyczyłam od autorki, ilustratorki i w ogóle fajnego człowieka – Youme Landowne.

Określenie z pierwszego rozdziału, że deszcz ma odnóza, to nawiązanie do wiersza *Noche de Lluvia*, *San Salvador* autorstwa Aracelis Girmay.

Zielarskie metody przerywania ciąży, które Rebekah proponuje Antoinette, są zmyślone. Takie sposoby oczywiście istnieją, ale nie zgłębiałam tajników tej

dziedziny.

Publiczną edukację na Wyspach Dziewiczych Stanów Zjednoczonych zapoczątkowali bracia morawscy, a kontynuował Kościół anglikański (episkopalny). W ślad za tym jak grzyby po deszczu pojawiały się inne szkółki niedzielne i publiczne placówki. Wykształcenie Anette i jej rodaków to wymysł fabularny, mający na celu uproszczenie opowieści, a nie odzwierciedlenie naszej historii.

Część budynków Uniwersytetu Wysp Dziewiczych mieści się na terenie, gdzie kiedyś na Saint Thomas znajdowało się wielkie pole golfowe. Gracze w golfa nadal doskonaliły swoje umiejętności na boisku Herman E. Moore Golf Course, które leży nieopodal, lecz nie nad samymi wodami Brewer's Bay (inny zapis to Brewers Bay), jak podałam to w książce. Uniwersytet okalają dwie plaże: piaski Brewer's Bay od zachodu (niedaleko miejsca, gdzie Franky próbował nauczyć Eeonę, jak prowadzić samochód) oraz Lindbergh Bay od południa (tam Anette i Jacob po raz pierwszy się kochali). Lepiej powiedzieć, że pole golfowe leży po drugiej stronie Lindbergh Bay. Jednak w powieści stronię od szczegółowych wyjaśnień, żeby nie rozpraszać niepotrzebnie uwagi czytelnika.

Wspomniany pobieżnie w toku narracji protest na Anegadzie wybuchł dwie dekady przed rozmową w latarni morskiej.

Positive Action Movement (ruch pozytywnego działania), polityczna i kulturalna organizacja istniejąca na Wyspach Dziewiczych, była czymś w rodzaju pierwowzoru dla BOMBY. Ustawa o wolnym dostępie do plaż w rzeczywistości nie istnieje. Podobne rozporządzenie prawne oficjalnie nazywa się *Virgin Islands Open Shorelines Act*.

Mój prawuj, Sigurd Petersen senior, podczas służby wojskowej stacjonował w Nowym Orleanie. Jego historia zainspirowała powstanie poświęconych temu ustępów tej książki, choć moja opowieść o chłopcach z Wysp Dziewiczych służących w Nowym Orleanie zrodziła się na kanwie relacji przekazywanych mi przez licznych emerytowanych wojskowych z kompanii 872. i 873. W fabule wspominam kompanię 875., by podkreślić, że nie mam na myśli prawdziwych jednostek 872. ani 873.

Cytat za Davidem A. Melfordem pochodzi z pamfletu *Ninety Wrecks on Anegada, 1643–1853 (Dziewięćdziesiąt wraków u brzegu Anegady w latach 1643–1853)*, będącego przestrożą dla turystów zwiedzających Karaiby. Od tamtej pory Melford zdołał zaktualizować wyniki swoich badań, które teraz uwzględniają sto trzydzieści cztery wraki statków... i liczba ta nadal rośnie. W wielu szacunkowych obliczeniach zatopionych okrętów na rafie Anegady wzmiankuje się liczbę sześciuset statków lub większą.

Słowa Altona Adamsa pochodzą z pieśni *Virgin Islands March*, uważanej za nasz narodowy czy miejscowy hymn. Adams, rodowity mieszkaniec Wysp

Dziewicznych, był pierwszym kapelmistrzem wojskowym afrykańskiego pochodzenia w marynarce wojennej Stanów Zjednoczonych.

Cytuję także wykład Dereka Walcotta wygłoszony 11 października 2012 roku w El Museo del Barrio w Nowym Jorku. Tak brzmiała w całości jego odpowiedź na pytanie: „Co czyni literaturę karaibską wyjątkową?”.

Tytułowy protest song *LaBega Carousel*, skąd zaczerpnęłam fragment, należy do tradycji *quelbe* i mojego fikcyjnego zespołu Markie and the Pick-up Men. Na Wyspach Dziewicznych piosenkę tę wykonują miejscowi muzycy tacy jak Stanley and the Ten Sleepless Knights, Jamesie, The Lashing Dogs i inni. Opowiada o proteście z początków dwudziestego wieku, który wybuchł po tym, jak właściciel karuzeli, pan LaBega, wypłacił swoim pracownikom bardzo skąpą pensję. W odpowiedzi ludzie zbojkotowali karuzelę i znaleźli inną rozrywkę – włóczęgę po mieście i skropione rumem pijatyki. Autorstwa piosenki nie przypisuje się żadnej konkretnej osobie.

Wersy Habiba Tiwoniego pochodzą z wiersza *Al-Habib* ze zbioru poezji *Islands of My Mind*.

Jestem dłużna zbyt wielu autorom, bym zdołała wymienić wszystkie ważne dla tej książki teksty. Jednak te okazały się niezastąpione: *Rum War: The U.S. Coast Guard and Prohibition (Wojna rumowa: Straż Wybrzeża Stanów Zjednoczonych i prohibicja)* autorstwa Donalda L. Canneya; *These Are the Virgin Islands (Oto Wyspy Dziewicze)* Hamiltona Cochran; *Take Me to My Paradise: Tourism and Nationalism in the British Virgin Islands (Zabierz mnie do raju: turystyka i nacjonalizm na Brytyjskich Wyspach Dziewicznych)* Colleen Ballerino Cohen; *Time Gone (Miniony czas)* Lyndy Wesley McLaughlin; *The Men of the 872nd Port Company and Other Stories (Żołnierze z 872. kompanii i inne historie)* Richarda A. Schradera seniora; *St. John Backtime: Eyewitness Accounts from 1718 to 1956 (Saint John tamtej epoki: relacje naocznych świadków z lat 1718–1956)* zebrane przez Ruth Hull Low i Rafaela Vallsa oraz *Fire on the Beach: Recovering the Lost Story of Richard Etheridge and the Pea Island Lifesavers (Pożar na plaży: odzyskując utraconą opowieść o Richardzie Etheridge'u i ratownikach z Pea Island)* autorstwa Davida Wrighta i Davida Zoby'ego. Wiele zawdzięczam także malarstwu Camille'a Pissarra.

Uchylę też rąbka tajemnicy mojej osobistej historii. Mój prapradziadek był kapitanem statku. Jego okręt, „Fancy Me”, zatonął u wybrzeży ówczesnego Santo Domingo (dzisiejszej Dominikany). Zgodnie z tradycją nie chciał opuścić mostka kapitańskiego, aż wszyscy inni nie zostaną uratowani. Poszedł na dno razem z wrakiem statku. Wiele rodzin z Wysp Dziewicznych straciło bliskich, a katastrofa morska okrętu „Fancy Me” to wielki historyczny przełom w dziejach Karaibów – nasz „Titanic”. Moja prababcia była najmłodszym dzieckiem. Kiedy zmarł jej ojciec, jej matka wyjechała do Ameryki, ale wróciła chora i wkrótce potem zmarła.

Moją prababkę wychowała jej starsza siostra. W końcu prababcia wyszła za mąż, urodziła pierwsze dziecko i się rozwiodła. Potem urodziła moją mamę. Moim biologicznym pradziadkiem był młody mężczyzna, który ostatecznie został lekarzem, uznanym na Wyspach Dziewiczych radiologiem, mimo że początkowo chciał być akuszerem. Jego matka, moja praprababka, uczyła gry na pianinie.

Kiedy moja mama była bardzo młoda, moja prababcia wyszła za strażaka. Ów człowiek (mój pradziadek pod każdym względem prócz biologicznego) wychował mnie wraz z prababką.

Rodzina prababci pochodzi z Anegady. Kiedy miała osiemdziesiąt parę lat, zrobiłam jej niespodziankę i zabrałam ją tam. Nigdy w życiu nie była na wyspie, ale wiele słyszała o tym pięknym miejscu. Podczas naszej wyprawy odwiedziłyśmy plażę Flash of Beauty i odnalazłyśmy grób prababki mojej prababci.

Prababcia pracowała w bibliotece dla dzieci. Jej praca w znacznym stopniu polegała na opowiadaniu historii, które często przekazywała także nam – swoim dzieciom i wnukom. Większość faktów historycznych w tej powieści usłyszałam najpierw z jej ust.

Reszta to magia i mit – fikcja, jak mówimy.

Podziękowania



Dziękuję Penny Feuerzeig, Beulah Harrigan, Gretchen Heyer, Keithowi Jardinowi, Amandzie Nowlin, Monice Parle i Gemini, którzy przeczytali pierwsze szkice tej powieści. Dziękuję Cassandrze Francis za teksty źródłowe i opracowania. Pragnę podziękować Jerichowi Brownowi, Kathy Cambor, Amber Dermont, Ninie McConigley, Keyi Mitrze, Emily Pérez i Giuseppe Taurinowi, którzy stale motywowali mnie i wspierali ten projekt. Dziękuję Hosamowi Abu-Ela, Vincentowi Cooperowi, Claudii Rankine i Lois Zamorze – to oni zadawali mi trudne pytania, dzięki którym odkrywałam jeszcze trudniejsze odpowiedzi. Chcę także złożyć podziękowania na ręce Chitry Divakruni, opiekunki mojej pracy, która wspierała mnie tak, jak tylko mentor potrafi. Dziękuję Patrickowi Freemanowi, Laurze Jo Hess, Paige Cohen, Andrèsowi Crucianiemu i Gilmarie Brioso – dzięki temu, że poświęcili mi swój czas, ja miałam więcej czasu. Wyrazy podziękowania dla sympozjum Bread Loaf Writers' Conference (w szczególności Michaela, Jen i Noreen) oraz dla uniwersytetu The New School (zwłaszcza Helen Schulman, Roberta Polito, Davida Scobey'ego, Luisa Jaramillo i moich wspaniałych studentów) za to, że stworzyli tak wspierające i inspirujące społeczności. Pragnę podziękować bibliotekom Enid M. Baa Public Library z Saint Thomas i Anegada Community Library oraz French Heritage Museum of Frenchtown na Saint Thomas, gdzie zbierałam materiały. Wielkie dzięki Elise Capron i Sandrze Dijkstrze, które zawsze żarliwie zachęcały mnie do pracy. Dziękuję Sarah McGrath i Sarah Stein, które mówiły: „Tak”, kiedy trzeba było powiedzieć: „Tak”, oraz mówiły: „Nie”, gdy coś było naprawdę niepotrzebne. Dzięki, Riverhead! To miasteczko ze snów! Niezwykle podziwiam redaktora Davida Hough, który cierpliwie brnął ze mną krok po kroku przez wszystkie zawilości, jakie ta książka odkrywa. Eddiemu Brynowi, Normie Bryan i Judy Bryan oraz Judy Petersen dziękuję za rozmowy. Pragnę podziękować także doktorowi Andre Galiberowi seniorowi za opowieści z młodości. Podziękowania należą się także mojej mamie i moim ciotkom, które przeczytały maszynopis i postanowiły kochać mnie mimo tego albo wspierać właśnie dlatego. Dziękuję bratu i synowi – moim chłopakom z przesilenia dnia z nocą, którzy zachowali cierpliwość. Chcę z głębi serca wyrazić wdzięczność dla Mosesa Djeli, który jest mi partnerem we wszystkim.

Moje życie, nie wspominając o tej książce, nie byłoby możliwe, gdyby nie moja prababcia Beulah Smith Harrigan.



Anansi – Pan Pająk, postać rodem z karaibskiego folkloru, podstępny oszust o kształcie pająka z ludzką głową, bohater wielu opowieści. Jego pierwowzór, Anansi, pochodzi z podań ludowych Aszanti z Afryki Zachodniej.

Arawakowie – grupy etniczne Indian Ameryki Południowej, posługujące się językami z rodziny arawackiej.

Calypso – gatunek muzyki pochodzenia afrykańskiego, a także taniec towarzyski oparty na melodii improwizowanej ballady. Nazwa „calypso” nawiązuje do imienia nimfy Kalipso, choć swoje korzenie ma w etymologii języków afrykańskich.

Duene – mityczne mieszkanki Karaibów, najpiękniejsze kobiety na Ziemi. Dusza anioła w ponętym ciele.

Jagody Guava – *Myrciaria floribunda*, rosną na drzewach owocowych na Karaibach. Drzewa potrafią być naprawdę wysokie, sięgają dwudziestu metrów. Ze słodkich, pomarańczowych lub czerwonych owoców robi się dżemy oraz alkohol. Nalewka na bazie rumu to tradycyjny bożonarodzeniowy trunk, zwłaszcza na Wyspach Dziewiczych.

Guayabera – jest to męska koszula o kroju charakteryzującym się pionowymi plisami. Cienka, przewiewna i wygodna. Noszona głównie w tropikach, ale także w Ameryce Środkowej czy Południowej, a nawet Azji Środkowej. Nazywana ślubną koszulą.

Gumbo – danie, które powstało na południu Luizjany w osiemnastym wieku. Istnieje wiele rodzajów gumbo, ale zwykle potrawa składa się z bulionu, mięsa lub skorupiaków oraz warzyw i przypraw.

Jatoba – czytaj: żetoba. *Hymenaea courbaril L.*, gatunek drzewa z rodziny bobowatych. Występuje powszechnie w Ameryce Środkowej i Południowej. Nazywany jest śmierdzącym paluchem albo palcem starucha z powodu nieprzyjemnego zapachu, który wydziela jadalny miąższ.

Johnnycake – kukurydziany placek, rodzaj podpłomyka. Przepis zaczerpnięto z kuchni rdzennych Indian Ameryki Północnej, choć johnnycake je się do dziś na całym wybrzeżu atlantyckim Ameryki Północnej i Środkowej.

Jumbie – demon karaibskiego folkloru. Wierzyli w niego wyznawcy *obeah*. *Jumbie* to duch zmarłego, który może przybierać różne formy, najczęściej psa, świni czy kota. Panuje generalna zasada, że jeśli ktoś za życia był zły, po śmierci stanie się narzędziem złego. Istniał szereg przesądów, jak uchronić ciało zmarłego przed transformacją w *jumbie* oraz jak ustrzec się przed opętaniem przez *jumbie*.

Kaiso – gatunek muzyczny niezmiernie popularny na Karaibach, który powstał w Afryce Zachodniej i wraz z czarnoskórymi niewolnikami przyплыł do basenu Morza Karaibskiego. Na bazie kaiso powstało późniejsze calypso.

Katolickie Siostry Ameryki – amerykańska katolicka organizacja charytatywna, założona w 1903 roku, jedno z największych tego typu zgromadzeń w obu Amerykach.

Kobieta Krowa – wierzenie *vodou* wywodzące się z wyspy Saint Thomas. Ponoć w latach czterdziestych Kobieta Krowa pracowała w fabryce przy pakowaniu mięsa. Jedna noga wkręciła się jej w maszynę, a zamiast amputowanej kończyny przyszyto jej krowią racicę. Kobieta Krowa nie znosi zapachu tytoniu, dlatego warto na Karaibach palić, by ją od siebie przegonić.

Limbo – taniec karaibski, w którym tancerze tanecznym krokiem przechodzą pod poprzeczką, czasem dla urozmaicenia przeszkodę się podpala.

La Diabliesse – diabllica, postać wywodząca się z karaibskiego folkloru. Urodziła się człowiekiem, ale konszachty z diabłem przemieniły ją w demona. Na pierwszy rzut oka wydaje się piękna, lecz przy bliższym poznaniu okazuje się, że pod kapeluszem z ogromnym rondem ukrywa szpetną twarz, a pod długą suknią skrywa krowie kopyto.

Mamoncillo – *Melicoccus bijugatus*, drzewo owocowe rosnące w tropikach Nowego Świata, także na Karaibach i Wyspach Dziewiczych.

Mango julie – odmiana mango uprawiana na Karaibach. Charakteryzuje się małymi, ale niezwykle słodkimi owocami.

Merengue – żwawa muzyka do tańca, która wywodzi się z Dominikany. *Merengue* w języku hiszpańskim znaczy dosłownie „beza”. Rytm merengue jest dość jednostajny, a teksty piosenek bywają proste i wulgarne. Gatunek ten wypromował prezydent Dominikany Rafael Leónidas Trujillo, za którego sprawą merengue stało się narodową muzyką i tańcem.

Obeah – (lub *Obi*) to synkretyczne religijne i magiczne praktyki, typowe dla folkloru czarnoskórej ludności Małych i Wielkich Antyli, w tym Wysp Dziewiczych. Termin wywodzi się z języka aszanti ludów Afryki Zachodniej i oznacza „czarnoksiężstwo”. Z *obeah* wiążą się biała i czarna magia, zaklęcia i amulety.

Prawa Jima Crowa – regulacje prawne wprowadzane głównie na południu Stanów Zjednoczonych po wojnie secesyjnej, choć obowiązywały też w stanach nienależących do konfederacji. Ich celami stały się ograniczenie praw byłych murzyńskich niewolników oraz pogłębianie separacji między białą- a czarnoskórą ludnością. Zwyczajowa nazwa pochodzi od tytułu piosenki *Jump Jim Crow*.

Quelbe – to ludowe pieśni rodem z tropików. Oficjalna muzyka Wysp Dziewiczych. Najpopularniejszym zespołem była grupa Stanley and the Ten Sleepless Nights, choć melodie wraz ze słowami rodziły się spontanicznie podczas

ludowych świąt i festiwali.

Soucouyant – w karaibskim folklorze to typ wampira. Za dnia żyje pod postacią staruchy, a po zmroku zrzuca pomarszczoną skórę i jako płonąca kula przemieszcza się po niebie w poszukiwaniu ofiar. W odróżnieniu od europejskich wampirów nie musi być zaproszony przez gospodarza, by móc przekroczyć próg domu. Najczęściej wdziera się przez dziurkę od klucza i wysysa krew śpiącym ludziom.

Steel pan – to jednocześnie instrument muzyczny i forma muzyki, wywodzące się z wysp Trynidadu i Tobago na Karaibach. Kształtem przypomina obcięte dno beczki. Instrument ma formę blaszanych bębnów posiadających wgłębienia. Dźwięki wydobywa się, uderzając w bęben pałeczkami.

Vodou – to synkretyczna religia wyznawana głównie na Haiti, ale także na innych wyspach Morza Karaibskiego. To mieszanka elementów pochodzenia afrykańskiego, chrześcijańskiego oraz indiańskiego. Powstała na drodze chrystianizacji niewolników z Afryki, którzy nie odrzucili dawnych wierzeń, ale połączyli je z nową wiarą.

Zakon Rycerzy Kolumba – największa na świecie katolicka organizacja świecka o charakterze charytatywnym.

Tytuł oryginału:

Land of Love and Drowning

Redaktor prowadząca: Aneta Bujno

Redakcja: Ewa Popielarz

Korekta: Justyna Tomas

Projekt okładki: Ilona Gostyńska-Rymkiewicz

Zdjęcie na okładce: © alexannabuts (depositphotos.com)

Copyright © 2016 by Tiphane Yanique

Copyright © 2017 for Polish edition by Wydawnictwo KobiECE,

an imprint of ILLUMINATIO Łukasz Kierus

Copyright © for Polish translation by Edyta Świerczyńska

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2017

ISBN 978-83-65506-25-2



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

www.facebook.com/wydawnictwokobiecepl



www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo KobiECE

E-mail: wydawnictwo@kobiece.pl

Dział handlowy: zamowienia@kobiece.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink

woblink.com

